



WILLIAM
GOLDMAN

„Pełna zwrotów akcji
i humoru opowieść
o prawdziwej miłości.”
– The New York Times

ARZECZONA
KSIĘCIA



WILLIAM
GOLDMAN

PARZECZONA
KSIĘCIA

KLASYCZNA OPowieść O WIELKIEJ
MIŁOŚCI I WIELKIEJ PRZYGODZIE
pióra S.MORGENSTERNA



Wydanie poprawione i rozszerzone
Tłumaczenie: Paulina Braiter



Tytuł oryginału: The Princess Bride

Redakcja: Paweł Gabryś-Kurowski

Korekta: Ewa Mościcka

Skład i łamanie: Ekart

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/ Aureusart

Zdjęcia na okładce:

Copyright © Victoria Davies / Trevillion Images

Copyright © Leya_G

Copyright © 1973, 1998, 2003 by William Goldman

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-665-9

Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Wstęp do jubileuszowej edycji z okazji trzydziestolecia *Narzeczonej księżca*

Wstęp do jubileuszowej edycji z okazji dwudziestopięciolecia pierwszego wydania *Narzeczonej księżca*

Mapa

Narieczona księżca

Rozdział pierwszy. NARZECZONA

Rozdział drugi. NARZECZONY

Rozdział trzeci. ZALOTY

Rozdział czwarty. PRZYGOTOWANIA

Rozdział piąty. ZARĘCZYNY

Rozdział szósty. UROCZYSTOŚCI

Rozdział siódmy. ŚLUB

Rozdział ósmy. WESELE

Dziecko Buttercup. Wyjaśnienie

Dziecko Buttercup. Niezrównane studium wielkiej odwagi w obliczu śmierci serca, pióra S. Morgensterna. Skrócone przez Williama Goldmana

Fezzik ginie

1. Fezzik

2. Inigo

3. Buttercup i Westley

4. Fezzik spada

WSTĘP DO JUBILEUSZOWEJ EDYCJI
Z OKAZJI TRZYDZIESTOLECIA
NARZECZONEJ KSIĘCIA

WILLIAM GOLDMAN



JESZCZE PARĘ TYGODNI TEMU niniejszy wstęp byłby bardzo krótki: „Dlaczego kupujecie tę książkę?”. Czy też, ściślej rzecz biorąc, to wydanie książki?

Kupcie wydanie z okazji dwudziestej piątej rocznicy, dodałbym. Zawiera napisany przez niżej podpisanego długi wstęp, w którym tłumaczę wiele spraw związanych ze spadkobiercami Morgensterna i paskudnymi problemami prawnymi, które z nimi miałem. Wersja ta wciąż jest w sprzedaży, a was przecież interesuje to samo co mnie – to znaczy ostateczne wydanie *Dziecka Buttercup*.

Napisałbym także, że w tym temacie nie mam do dodania nic nowego. Żadnych zmian. Ale, jak mówią, to było wtedy.

Bo potem wydarzyło się coś absolutnie nowego.

* * *

Pozwólcie, że opowiem, jak w ogóle dowiedziałem się o istnieniu Muzeum Morgensterna. Cofnijmy się w czasie do 1986 roku, do Sheffield w Anglii. Kręciliśmy właśnie filmową wersję *Narzeczonej księżca*. To był dla mnie cudowny okres – Morgenstern w końcu zyskiwał nowe filmowe życie. Scenariusz napisałem ponad dziesięć lat wcześniej, ale nigdy nie został zakupiony, wciąż pozostawał w niebycie.

Zazwyczaj nie lubię przebywać na planie filmowym. Napisałem kiedyś, że najszcześniejszy dzień naszego życia to ten pierwszy na planie, a najgorsze to te wszystkie pozostałe. Przepęnia je upiorna nuda, z paru powodów: 1) są nudne i upiorne (ale wiem, że i tak mi nie uwierzycie) i 2) jeśli chodzi o pisarza, jego praca dobiegła już końca.

Moja obecność denerwuje aktorów, a co gorsza, jeśli już to kiedyś napisałem, przeskoczcie ten akapit, mam ogromny talent do psucia ujęć. Gdy ruszają kamery, ukrywam się na planie, gdzieś z boku, ale nie potrafię zliczyć, ile razy reżyser dostrzegł mnie i prosił, żebym łaskawie przeniósł się gdzie indziej, bo stałem akurat tam, gdzie chciał zakończyć daną scenę.

Kilka dni przed wydarzeniem, o którym zamierzam wam opowiedzieć, kręciliśmy *Ogniste Bagna*. W filmie jest taki moment, kiedy Cary Elwes (Westley) zaczyna przeprowadzać przez nie Robin Wright (Buttercup).

Wiem dokładnie, co się zaraz wydarzy – z ziemi wystrzeli płomień i jej suknia zajmie się ogniem. Skąd ta pewność? Bo Morgenstern to napisał, ja zaadaptowałem w powieści i wykorzystałem we wszystkich wersjach scenariusza, a wierzcie mi, było ich sporo.

No dobra, stoję na planie *Ognistych Bagien*...

– Akcja, Cary! – woła Rob Rainer i pojawiają się oboje, dwójka cudownych aktorów, i obserwuję z kącika, jak Cary prowadzi ją naprzód, jeden krok, drugi...

...W tym momencie bucha płomień i jej suknia zajmuje się ogniem...

A ja (jakież to upokarzające) zaczynam krzyczeć:

– Suknia jej się pali, suknia jej się pali! – dokumentnie niszcząc ujęcie.

Rob krzyczy „Cięcie!”, obraca się do mnie i głosem, który wciąż słyszę w głowie, mówi z całą cierpliwością, na jaką potrafi się zdobyć:

– Bill, ona ma się zapalić.

Mam wrażenie, że w odpowiedzi zdołałem wymyślić coś bardzo mądrego, w stylu: „Wiem, przepraszam”, a potem się schowałem.

No dobra, możecie wracać do lektury.

Następnego wieczoru kręciliśmy w plenerze scenę ataku na zamek. Było zimno. Tak zimno, jak to bywa tylko w Wielkiej Brytanii. Cała załoga opatulili się szczelnie, ale wiatr i tak mroził nam szpik w kościach. Pamiętam, że chyba nigdy na żadnym planie nie było aż tak zimno. Wszyscy zamarzali żywcem.

Oprócz Andre.

Nie potrafię tego wyjaśnić, ale Andre nigdy nie marzył. Może to cecha olbrzymów, nigdy go nie pytałem. Siedział tam tamtego wieczoru wyłącznie w rajstopach i bardzo cienkim rękniku na ramionach. (Oczywiście ręknik, zwykły, przeciętnych rozmiarów, nie zakrył mu całych ramion.) I kiedy tak rozmawialiśmy, dziesiątki ludzi, nie przesadzam, podchodziły do niego, witały się, a potem pytały, czy nie podać mu płaszcza albo koca, czy czegoś, co by go ogrzało, a on odpowiadał niezmiennie:

– Nie, szefie, dzięki, szefie, nie trzeba. – A potem wracał do dyskusji ze mną.

Uwielbiałem jego towarzystwo. Zaczynam właśnie piąte dziesięciolecie pracy w szalonym przemyśle filmowym, a Andre cieszył się na planie zdecydowanie największą popularnością ze wszystkich osób, z jakimi zdarzyło mi się zetknąć. Grupka z nas – był w niej chyba także Billy Crystal – wysilała mózgi nad stworzeniem serialu telewizyjnego dla Andre, żeby mógł nieco ograniczyć podróże, bo jego kariera wrestlingowa wymagała ponad trzystu dni rocznie w drodze. Serial ten miał chyba nosić tytuł *Nadchodzi Andre* i opowiadać o zapaśniku, który postanowił, że ma dosyć ringu, i znalazł sobie pracę opiekuna do dzieci.

Dzieciaki szalały na jego punkcie. Za każdym razem, gdy odwiedzałem plan Ognistych Bagien, zastawałem go tam z jednym dzieckiem na głowie, paroma na każdym ramieniu i po jednym w dłoni. Wszystko to były dzieci ludzi pracujących przy filmie. Siedziały w milczeniu, oglądając kolejne duple.

– Bjiil? – Wracamy do mroźnego wieczoru; z tonu głosu Andre zrozumiałem, że wkraczamy na trudny teren. Odetchnął głęboko, zastanawiając się dłuższą chwilę. – Jakk ddotą, sso myśli o muoim Feh-ziiku?

Odparłem zgodnie z prawdą, że napisałem tę rolę z myślą o nim. W czterdziestym pierwszym roku, kiedy ojciec po raz pierwszy czytał mi Morgensterna, naturalnie nie miałem pojęcia, że ktokolwiek pisze filmy. Po prostu uwielbiałem je oglądać w Alcyonie. Później, gdy sam zacząłem pracę w tym biznesie i adaptowałem *Narzeczoną księżca* na srebrny ekran, nie miałem pojęcia, kto mógłby zagrać Fezzika, jeśli kiedykolwiek dojdzie do realizacji.

A potem, pewnego wieczoru, zobaczyłem w telewizji walkę Andre. Był wtedy młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Helen (moja ówczesna żona, światowej sławy psychiatra) i ja oglądaliśmy telewizję w łóżku. Czy raczej ja oglądałem, podczas gdy Helen tłumaczyła jedną ze swych książek na francuski.

– Helen, mój Boże! – krzyknąłem nagle. – Spójr, Fezzik!

Helen wiedziała, o czym mówię, wiedziała, jak ważna jest dla mnie filmowa wersja Morgensterna, rozumiała, jak wiele razy była blisko realizacji i jak bardzo frustrowało mnie, że do niej nie doszło. Czasami próbowała oswoić mnie z rzeczywistością i uświadomić, że być może nigdy nie nakręcą tego filmu. Chyba znów zaczęła mówić coś w tym stylu, potem jednak dostrzegła wyraz moich oczu, kiedy patrzyłem, jak Andre miażdży grupkę czarnych charakterów.

– Będzie świetny – odparła, ze wszystkich sił starając się dodać mi otuchy.

* * *

I oto ja, ponad dziesięć lat później, siedzę i gawędzę z niesamowitym Francuzem, którego zawsze już będę widział obwieszono go łańcuchami po nim dziećmi.

– Twój Fezzik jest wspaniały – odparłem.

I był. Owszem, mówił z trochę zbyt wyraźnym francuskim akcentem, ale kiedy się do niego przywykło, żaden problem.

– Bahzzo cięsszko nad nim phacowaę. To znasznie gęęsza holla nisz Wjelka Ssopa. – (Jedną z jego nielicznych niezapaśniczych ról filmowych był właśnie Wielka Stopa, zagrał go chyba w *Człowieku za sześć milionów dolarów*.) – Bahzzo mosno szygotowuję sję do holli. Do muojej pssaci.

Natychmiast zrozumiałem, że „psaci” to w języku Andre „postaci”.

– Jak dokładnie się przygotowujesz?

Sądziłem, że odpowie, iż kilka razy czytał francuskie wydanie.

– Spjinąm sję na uhwiiska.

– Urwiska Szaleństwa? – Jego słowa mnie oszołomiły. Nie potraficie sobie wyobrazić, jakie to strome skały.

– Och, oui. Wjele hazy, w góhę ji w dół, w góhę ji w dół.

– Ale Andre, co by było, gdybyś spadł?

– Zza pihszym hazę bahzo sję baem, ale wjeziaem jęno: Feh-ziiik nigdy by sję nje ześlizną. Nagle odniosłem wrażenie, że dyskutuję z samym Lee Strasbergiem.

– Walszę tesz z grupami. Feh-ziiik walszy z grupami, ja walszę z grupami. Szysko topsze. A potem dodał najważniejsze.

– Szy odwiezieś muzee? Tam dowieziaę sję najwięsej.

Odparłem, że nie wiem, o którym muzeum mowa.

I przez jakiś czas Andre mi wyjaśniał.

Ale czy tam pojechałem? Nie. Nigdy nie odwiedziłem Florenu, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Nieprawda, zastanawiałem się, ale nie odwiedziłem go z jednej przyczyny: bałem się, że przeżyję zawód.

Po raz pierwszy pojechałem tam, gdy Stephen King praktycznie mnie tam wysłał podczas prac nad pierwszym rozdziałem *Dziecka Buttercup* (szerzej tłumaczę to we wstępie do edycji z okazji dwudziestopięciolecia wydania *Narzeczonej księżki*; kiedy go przeczytacie, zrozumiecie znacznie więcej – załączamy go tu na str. 25, a także sam rozdział z *Dziecka Buttercup*, który znajdziecie na końcu książki).

Podczas pierwszego wyjazdu spędziłem kilka dni zarówno w samej stolicy, jak i w otaczających wioskach. Ganiałem jak szalony, obejrzałem mnóstwo rzeczy – ale muzeum było akurat zamknięte z powodu remontu.

Uznałem zatem, że nadrobię to następnym razem. Nieważne, kiedy nadejdzie.

Okazało się, że znacznie szybciej, niż przypuszczałem.

* * *

Pewnie już o tym wiecie, bo moje nazwisko wydrukowały gazety całego świata: znów

zdobyłem nagrodę Dziadka Roku. Tak bardzo wyprzedziłem konkurencję, że postanowili zrezygnować z urzędowania kolejnych zawodów i zawiesić je na trochę. Jakiś staruszek z Indii twierdził co prawda, że rozpieszczę Willy'ego, ale, jak to mówią, kwaśne winogrona.

Szybkimi krokami zbliżały się jego dziesiąte urodziny, okazja do prawdziwego zaszalenia z prezentami. Wpadłem właśnie na kolację do mojego syna Jasona i jego żony Peggy i poprosiłem o wskazówki. Zwykle podsuwali mi całą listę rzeczy, ale nie tym razem. Oboje zrobili się jacyś dziwni.

– Na pewno coś wymyślisz – wymamrotali.

I zmienili temat.

Zastukałem zatem do drzwi młodego i spytałem, czy mogę wejść. Otworzył mi cicho – dziwne, bo zazwyczaj po prostu krzyczał, żebym włąził.

– Chciałem porozmawiać o twoich urodzinach – oznajmiłem.

Oto, co musicie wiedzieć: Willy świetnie potrafi przyjmować prezenty. Tak bardzo się cieszy. Nawet jeśli sam sobie coś wybierze, kiedy mu to daję, szczerze się zachwyca.

Teraz oznajmił, że w przeszłości tak znakomicie mi szło, że ucieszy się ze wszystkiego, co mu dam.

– Nie masz żadnych pomysłów? – naciskałem.

Odparł, że nie, no i ma naprawdę dużo zadane, więc czy możemy się już pożegnać?

Wstałem, a potem znów usiadłem, bo coś sobie uświadomiłem – wiedział dokładnie, czego chce, ale z jakichś powodów wstydził się przyznać.

Zaczekałem zatem.

Willy długą chwilę siedział w milczeniu przy biurku, potem odetchnął głęboko. I znowu. Wtedy wiedziałem już, że zaraz coś powie.

– Cokolwiek to jest – rzuciłem szybko – odpowiedź brzmi „nie”. Nie dostaniesz tego.

– No... – zaczął mój Willy, błyskawicznie wyrzucając z siebie kolejne słowa – dziesięć to w naszej rodzinie bardzo ważna data, bo miałeś tyle lat, kiedy się rozchorowałeś i twój tato zaczął ci czytać. A kiedy mój tato miał dziesięć lat, dałeś mu książkę i wtedy zrozumiałeś, że lepiej będzie, jeśli ją skrócisz. I ja też będę miał dziesięć lat, i to tylko jedna taka okazja w życiu, i... i...

Sprawił wrażenie tak zakłopotanego, że pokazałem palcem własne ucho.

– Szepcz – wyszeptalem.

I to właśnie zrobił.

* * *

Nie chciałem przesadzić, ale nasz pierwszy poranek we Florencie, owo cudowne, wczesne przebudzenie z Willym młodszym pochrupującym w łóżku obok, stanowił bez wątpienia najwspanialszy moment mojego życia. Ja i mój jedyny wnuk razem, na początku urodzinowej przygody w ojczystym mieście Morgensterna. Spróbujcie to przebić.

Willy był wykończony po podróży – kolejny punkt dla Floreńskich Linii Lotniczych – musiałem zatem chwilę nim potrząsać, nim uniósł powieki, zamrugał, kilka razy rzucił „heh” i w końcu dołączył do ludzkiej rasy.

– Dokąd teraz? – spytał, po czym sam sobie odpowiedział. – Na Wyspę Jednego Drzewa, prawda?

Obiecałem mu helikopterową wycieczkę, by mógł obejrzeć miejsce, w którym Fezzik został

opanowany przez tajemniczą siłę, wykonał nacięcie szpadą i ocalił życie Waverly (trzeba było mnie posłuchać wcześniej, kiedy mówiłem, żebyście zajrzeli na koniec książki i przeczytali rozdział z *Dziecka Buttercup*).

Pokręciłem głową.

– Wiem, wiem, nie mów: komnata w zamku, w której Inigo zabił Hrabiego! – Wyskoczył z łóżka i zaczął się fechtować wyimaginowanym rapierem. – Witaj, nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na... – wykonał gwałtowne pchnięcie naprzód – śmierć!

Uwielbiał to robić; wraz z przyjaciółmi konkurowali ze sobą, komu lepiej uda się odegrać tę scenę – a mnie dziko cieszy fakt, że on to uwielbia. Znowu jednak pokręciłem głową.

– Jasne, że tam pójdziemy, ale nie dzisiaj.

Skinął ręką, nakazując, żebym mówił dalej.

– Niedługo otwierają Muzeum Morgensterna. Lepiej się przygotuj.

Willy jęknął i z powrotem wlaźł do łóżka.

– Och, dziadku, proszę, proszę, proszę. Czy musimy zaczynać od muzeum? Nie znoszę muzeów, wiesz, że nie cierpię muzeów!

– Izba Sław ci się podobała.

W zeszłym roku zabrałem go do Cooperstown.

– To był baseball.

– Muszę tam iść – oznajmiłem. – Bądź fair; wiedziałeś, że mamy to w planach!

Szczerze? Już zamierzałem powiedzieć, żeby jeszcze się przespał: nie było powodu, dla którego nie mógłbym sam pierwszy raz odwiedzić muzeum.

Ale nic nie powiedziałem i dziękuję za to Tobie, tam w górze.

* * *

Muzeum Morgensterna leży tuż przy placu Floreńskim. To piękna, stara rezydencja, pochodząca z Bóg jeden wie jak dawnych czasów i gdy tam dotarliśmy, Willy znowu się nakręcił, jak zwykle podskakując przede mną na chodniku. Otworzył mi drzwi, z ukłonem zaprosił do środka...

...A potem jęknął „Omójboże!” i zamarł. Bo tuż przed nim, pośrodku eleganckiej, starej sieni, w wielkiej, pięknie oświetlonej szklanej gablocie leżała...

...szczęściopalczasta szpada.

Wiedziałem, że tam jest. Andre wspominał mi o niej, opisał ją szczegółowo owej mroźnej nocy w Sheffield...

...Ale wciąż nie byłem gotów na to, jak bardzo jej widok mną wstrząśnie. Tak długo o niej słuchałem, kilkadziesiąt lat wcześniej wypytywałem ojca, co czyniło z niej tak wyjątkowy okaz, tak magiczną broń? Jak mogła wyglądać?

A teraz ją zobaczyłem. Ojciec Iniga zginął dla niej, to z jej powodu zmieniło się całe życie Iniga, dla tej magicznej klingi, najwspanialszego miecza od czasu Excalibura.

Willy chwycił mnie za rękę i razem ruszyliśmy ku niej. Wiem, że to nie ma sensu, ale w tym momencie, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, odniosłem wrażenie, że tańczy.

– Czy ona się rusza? – wyszeptał Willy. – Bo tak właśnie wygląda.

– Chyba przez to oświetlenie. Ale masz rację.

Wokół gabloty zebrała się garstka innych osób: dzieci, starszych, najróżniejszych. I najdziwniejsze było to, że wszyscy patrzyliśmy na nią, nikt nie odchodził. Po prostu powoli

okrążaliśmy gablotę, przyglądając się szpadzie najpierw z jednej strony, potem z boku, potem z trzeciej, w końcu z czwartej.

Chłopczyk mniejszy od Willy'ego wyszeptał z francuskim akcentem do eleganckiej damy, zakładam, że matki:

– Allo, mon nom est Iiinigo. Maun-tou-ja...

– Po naszymu to brzmi lepiej – wyszeptał Willy i wtedy coś sobie uświadomiłem.

Wszędzie wokół gabloty widziałem dzieci, unoszące wyimaginowaną broń, powtarzające słowa Morgensterna. I nie wiem, kiedy muzeum pokazało swe różne eksponaty...

...ale czyż nie byłoby cudownie, gdyby sam wielki człowiek zobaczył to, co ja widziałem teraz?

Następnym okazem, który zaparł dech w piersiach małemu, był odlew palców Fezzika (Andre opowiadał o nim bardzo długo – wcześniej myślał, że to jego własne są największe, póki nie ujrzał tych prawdziwych). Willy zmierzył je bardzo starannie.

– Jego kciuk jest większy od całej mojej dłoni – oznajmił.

Przytaknąłem. Rzeczywiście był.

Potem ujrzelśmy całą ścianę obwieszoną ubraniami Fezzika, przepięknie odprasowanymi. Willy jedynie uniósł wzrok, oceniając, gdzie byłaby głowa olbrzyma, i w zachwycie pokręcił własną.

Dalej pokazywano suknię ślubną Buttercup, choć trudno było się do niej przedrzeć przez otaczający ją wianuszek dziewcząt.

Było tyle do oglądania – strzałka wskazywała drogę do sąsiedniej sali, w której umieszczono tylko jeden eksponat, wysysającą życie Maszynę Hrabiego Rugena – ja jednak nie mogłem się doczekać spotkania z kuratorem. Stephen King uprzedził go listownie o moim przyjeździe.

Kurator miał wpuścić mnie w miejsce, które najbardziej pragnąłem odwiedzić – zwano je Sanktuarium, to tam przechowywano wszystkie listy i zapiski Morgensterna. Nie było otwarte dla zwiedzających, jedynie dla naukowców, ale akurat tamtego dnia ja także się do nich zaliczałem.

Zadałem kilka pytań, wskazano mi drogę i w końcu znaleźliśmy kuratora: młodszego niż można by sądzić, niewątpliwie błyskotliwego, w którego oczach kryła się szczerą życzliwość.

Siedział za swoim biurkiem w pokoiku na drugim piętrze; nie zdziwiło mnie, że wzdłuż wszystkich ścian ustawiono regały z książkami. Kiedy weszliśmy, uniósł głowę i uśmiechnął się.

– Pewnie szukacie toalety dla chłopców – zaczął. – To sąsiednie drzwi, większość moich gości tam właśnie się wybiera.

Uśmiechnąłem się, przedstawiłem i wyjaśniłem, że przyjechałem aż z Ameryki, by jakiś czas poczytać materiały w Sanktuarium.

– Ależ to niemożliwe! – zaprotestował kurator – otwieramy je tylko dla naukowców.

– William Goldman – przedstawiłem się ponownie. – Stephen King uprzedził listownie o moim przyjeździe.

– Pan King to słynny potomek imigrantów z naszego kraju, nie ma wątpliwości, ale nie dostałem od niego żadnego listu.

Musicie coś o mnie wiedzieć – w takich sytuacjach bywam okropnym paranoikiem. To, co zaraz opiszę, to prawda – kiedy zasiadałem w jury festiwalu filmowego w Cannes, zaproszono mnie na oficjalne przyjęcie. Było to dla mnie bardzo ważne: moje małżeństwo właśnie się sypało, po raz pierwszy od wieków miałem zostać sam na tym świecie i dotarłem na imprezę, na której goście mówili w najróżniejszych językach, bardzo nieliczni po angielsku. Przygotowano

trzy okrągłe stoły, szczęśliwie z wizytówkami, i kiedy powiedziano nam, że czas siadać, wymknąłem się z kryjówki w kącie i pospiesznie okrążyłem pierwszy stół.

Brak wizytówki z moim nazwiskiem.

Ruszyłem do drugiego, wykonałem obchód.

Nic.

A kiedy zacząłem okrążyć trzeci, ostatni stół, odezwała się moja paranoja, bo wiedziałem, że wizytówki z moim nazwiskiem tam nie będzie. Wciąż czuję ten pot na twarzy, gdy uświadomiłem sobie, że nie znajduję siebie.

Wyobrażacie sobie podobnego świra?

I wiecie co? – na trzecim stole także nie było mojego nazwiska. Okazało się, że organizatorzy się pomylili.

No dobra, zacząłem serio się denerwować. Czyżbym wyobrażał sobie, że King napisze list? Nie, powiedział mi przecież, że liczy na prawdziwe i autentyczne *Dziecko Buttercup*. To dlatego przejechałem taki kawał drogi.

A potem pomyślałem „to dlaczego nie dał mi liściku i nie pozwolił bym wręczył go osobiście?” (w tym momencie włącza się mój obłęd i podpowiada, że gdybym faktycznie miał przy sobie cholerny list od Kinga i wręczył go kuratorowi, ten oddałby mi go i oznajmił, że nie jest ekspertem w sprawach ręcznego pisma Stephena Kinga, więc nie wpuści mnie do Sanktuarium, piękne dzięki).

Poczułem się tak bezradnie, stojąc tam obok ukochanego wnuka, że zacząłem już się odwracać do wyjścia.

I wtedy odezwał się Willy.

– Dziadku, to pomyłka. Zadzwoń do niego.

Nienawidzę komórek, ale z okazji wyjazdu wykupiłem pakiet zagraniczny. Poprzedniego wieczoru, gdy dotarliśmy do hotelu, zadzwoniliśmy do Jasona i Peggy.

Wybrałem zatem numer Kinga w Maine, uzyskałem połączenie, wyjaśniłem sytuację. Zachował się świetnie.

– Jezu, Bill, strasznie przepraszam, powinienem był dać ci ten cholerny liścik. Floren ma najgorszą pocztę w Europie, pewnie dotrze na miejsce w przyszłym tygodniu (tak naprawdę zabrało to jeszcze dwa). Czy pracuje dziś Vonya? Daj mi go.

Kurator chyba usłyszał swoje imię, bo sięgnął po telefon. Oddałem mu go, a on wstał zza biurka, wyszedł na korytarz i zaczął krążyć tam i z powrotem. Słyszałem, jak mówi „oczywiście, panie King” i „uczynię wszystko, byle tylko pomóc, panie King, zapewniam pana”.

Tymczasem Willy zerknął na mnie, łącząc w kółeczko kciuk i palec wskazujący (dodam, że dyskretnie), i za chwilę Vonya wrócił.

Gestem polecił nam iść za sobą.

– Co mogę rzec... – wymamrotał. – Wie pan, poczta.

Odparłem, że cieszę się, iż wszystko udało się wyjaśnić.

– To dla mnie ogromny wstyd, panie Goldman. Stephen King wyjaśnił mi, kim pan był.

Powinienem był być gotów na to, co zaraz nastąpi. Słowo „był” stanowiło dostateczną zapowiedź.

I wtedy padło zabójcze zdanie:

– Wie pan, czytałem kilka pańskich książek, naprawdę je lubiłem. Był pan wspaniałym pisarzem... kiedyś.

Nie powinno mnie to aż tak kopnąć, ale wiedziałem, czemu bardzo boli. Bo bałem się, że to

prawda. Napisałem kilka przyzwoitych rzeczy, ale działa się to dawno temu, w innym kraju. To jeden z powodów, dla których tak bardzo pragnąłem rzucić się w wir pisania *Dziecka Buttercup*. Dzięki *Narzeczonej księcia* zapragnąłem zostać powieściopisarzem; miałem nadzieję, że ten Morgenstern znów mnie nim uczyni.

– Wciąż jest cudowny! – wykrzyknął w tym momencie Willy.

– Ciii, w porządku – mruknąłem. – Naprawdę.

Spojrzał na mnie; próbowałem ukryć, co czuję, wiedziałem jednak, że dostrzega to w moich oczach.

A potem upiorny Vonya poprowadził nas parę kroków dalej, otworzył drzwi, gestem zaprosił nas, żebyśmy weszli, i odszedł.

Zostaliśmy sami w Sanktuarium.

Willy wciąż się gotował.

– Nie cierpię tego gościa!

Myślicie, że nie chciałem go za to uściskać? Ale z trudem się opanowałem.

– Czas trochę popracować – wymamrotałem i zacząłem rozglądać się po pokoju.

Nie był zbyt wielki. Tysiące listów, wszystkie skatalogowane, albumy zdjęć rodzinnych, każdy z opisem wyjaśniającym znaczenie danego ujęcia.

Ale to notesy interesowały mnie najbardziej. Morgenstern słynął z drobiazgowości. Najpierw jednak obejrzałem albumy, próbując zrozumieć, jak wyglądało jego życie w pełni rozkwitu talentu.

I wtedy usłyszałem niezwykłą uwagę Willy'ego:

– Wiedziałeś, że Hrabia Rugen zabił Iniga?

Odwrociłem się do niego.

– O czym ty mówisz?

Wskazał ręką notes, który zdjął z półki, i zaczął czytać:

– „Dziś rano obudziłem się z myślą, że Rugen faktycznie powinien zabić Iniga. Jasne, w ten sposób tracę całe »Witaj, nazywam się Inigo Montoya« i będzie mi tego brakowało. Ale jeśli Inigo umrze, Westley będzie musiał pokonać zarówno Humperdincka, jak i Rugena, choć niedawno został zamordowany. A pamiętajmy, że to Westley jest głównym bohaterem”.

Tymczasem zdążyliśmy już zasiąść przy stole, przyglądając się dziennikowi z *Narzeczonej księcia*.

Kto by pomyślał, że coś takiego w ogóle istnieje.

Co za cud – siedziałem tam, w sanktuarium Morgensterna, wraz z wnukiem, w głowie wirowały mi wspomnienia ojca, tego jak czytał w swej kiepskiej angielszczyźnie, na zawsze odmieńając moje życie.

Willy przewrócił kartkę i znów zaczął czytać na głos:

– „Postanowiłem, że Inigo nie może umrzeć. Nie spałem pół nocy i w końcu spróbowałem napisać scenę, w której zabija Rugena, raz po raz powtarzając ten sam tekst, aż w końcu krzyczy: »Chcę mojego ojca, ty sukinsynu!« – i kiedy zapisałem te słowa, uświadomiłem sobie, iż sam najbardziej na świecie pragnę odzyskać swego ojca, choć wiem, że to niemożliwe – toteż Inigo zwycięży i przeżyje, a Westley będzie musiał zadowolić się pokonaniem jedynie Humperdincka”.

Willy uniósł wzrok znad dziennika.

– Rany, o mało nie popsuł swojej własnej książki.

Przytaknąłem, cofając się myślami i zastanawiając się, czy mnie samego też nawiedziły

podobne wątpliwości. Pamiętam, że bardzo nie chciałem zabijać Butcha i Sundance'a, ale musiałem, bo w prawdziwym życiu obaj zginęli, tak jak opisałem, i nie mogłem zmieniać historii wyłącznie po to, by ocalić szczęśliwe zakończenie.

Oto jednak Morgenstern, człowiek, który tak bardzo wpłynął na moje życie, próbował zrobić coś, co zawsze budziło we mnie sprzeciw – zastanawiał się nad zmianą historii – i to mnie poruszyło.

Słuchajcie, minęły setki lat, odkąd Floren był potęgą europejską, ale kiedyś wszystko to miało znaczenie, tak jak każda prawda. Gdybyście przeczytali podręczniki historii tak jak ja, odkrylibyście, że owszem, istniał Vizzini, choć naukowcy nigdy nie zdołali w pełni dowieść, że był garbusem. Wiemy tylko, że na pewno miał jedną nogę krótszą. I że pochodził z Sycylii.

I owszem, wynajął Fezzika i Iniga. A Fezzik ustanowił wiele rekordów w świecie tureckich zapasów, część z nich imponuje do dzisiaj. A Iniga Montoyę uważa się za największego szermierza w dziejach – sprawdźcie sami w dowolnej książce na temat sztuki stali.

No dobrze, Vizzini ich wynajął, wiemy, dlaczego nie udało im się, człowiek w czerni ich powstrzymał, Buttercup przeżyła. I co najważniejsze: Inigo zabił Hrabiego Rugena. To historia Florenu. Byłem w komnacie, w której zginął ów złowrogi szlachcic. (I znów, specjaliści wciąż dyskutują, w którym konkretnie miejscu w komnacie doszło do owego zgonu. Osobiście nie obchodzi mnie, czy zginął przy stole bilardowym, czy w najdalszym kącie.)

Ale nie można zmieniać historii wyłącznie do celów opowieści, Inigo nie mógł zginąć, ponosząc klęskę, po wszystkim, przez co przeszedł, aby pomścić ojca.

– Przeskocz naprzód – poprosiłem. – O jakiej ważnej następnej ważnej rzeczy pisze?

Willy przerzucił kilka kartek, zatrzymał się i jęknął.

– Szekspir – rzekł. – Naprawdę muszę?

Gestem poleciłem mu kontynuować lekturę.

– „Większą część nocy krążyłem tam i z powrotem. Wspominałem czasy, gdy byłem dzieckiem, a ojciec zabrał mnie do Danii, do zamku Elsynor i oznajmił, że właśnie tutaj, wewnątrz tych murów miała miejsce największa tragedia wszechczasów: dzieje Hamleta. (W sadze islandzkiej na imię miał Amleth.) Następnie wyjaśnił, że stryj otruił jego ojca, później poślubił matkę i że na pewno zachwycę się, czytając o tym, gdy będę nieco mądrzejszy.

Szekspir wykorzystał ten skrawek historii, uczynił go wielkim, ale nie zmienił podstawowych faktów dla swoich potrzeb. Na przykład nie kazał Hamletowi ginąć w niesławie.

A ja omal nie sprawiłem, że Inigo przegrał ze złym Rugenem.

Powinienem się wstydzić, że prawie to zrobiłem. Inigo zasłużył na swe miejsce w naszych dziejach. Westley to największy z naszych bohaterów. Nie mogę dewaluować jego osiągnięć.

Przysięgam, że w przyszłości spiszę się lepiej”.

Nawet nie wiecie, jak mi ulżyło, gdy to usłyszałem.

* * *

I wtedy nagle nadeszła pora lunchu. Spędziliśmy tam ponad dwie godziny, powoli przewracając kartki dziennika, i nie przeczytaliśmy nawet jednej dziesiątej.

– Wielka szkoda, że nie możemy zabrać tego do hotelu – powiedział Willy.

Wiedział jednak, że to niemożliwe – na ścianach wisiały tablice ostrzegające w wielu językach, by niczego nie wynosić – bez żadnych wyjątków.

– Nie widziałeś gdzieś dziennika z *Dziecka Buttercup*? – spytałem. – Bo ja nie.

Pokręcił głową.

– Nie było tu zbyt wielu dzienników. Może go nie napisał.

Podszedł do półki i odstawił *Narzeczoną księżca*.

– Może zapytam Vonyę. A nuż ma go w swoim biurku czy gdzieś.

– Dziadku, to chyba niezbyt rozsądne.

– Szybkie pytanie: w czym mogłoby zaszkodzić?

I wtedy Willy młodszy posłał mi przeciągłe spojrzenie.

– No co?

– Nie rozmawiaj z tym gościem. Nie dawaj mu szansy, żeby powiedział ci coś jeszcze.

Miał rację. Opuściliśmy Sanktuarium i muzeum i zaczęliśmy szukać jakiegoś miejsca, żeby coś zjeść, ale było zimno i choć Willy miał na sobie kurtkę, to najcieplejszą zostawił w hotelu i chciał tam wrócić, więc tak zrobiliśmy.

Położyłem się na łóżku. Tymczasem Willy, nadal w kurtce, zniknął w łazience. Wyłonił się z niej po dłuższej chwili, przeszedł do salonu w naszym apartamencie, pokręcił się minutę.

– Dziadku?! – zawołał.

– Kogóż to masz na myśli?

Nie lubi, kiedy zachowuję się dziecinnie.

– Hłe, hłe, hłe.

– Co z tym dziadkiem?

– Co byś powiedział na wielkiego ptaka? – Zmaterializował się w drzwiach. – Pamiętasz końcówkę tego rozdziału *Dziecka Buttercup*, kiedy Fezzik spada na spotkanie śmierci, trzymając w objęciach Waverly? Co byś pomyślał, gdyby wleciał olbrzymi gadający ptak i ich ocalił?

– Gadający ptak? Daj spokój. Może i historycy nie są pewni tego, jak Fezzikowi udało się przeżyć, ale wiem, że Morgenstern nigdy nie zniżyłby się do czegoś tak idiotycznego. No wiesz, równie dobrze skały na dnie przepaści mogłyby okazać się gumowe, tak że Fezzik poodbijałby się trochę i ocalił życie. To miałoby mniej więcej tyle samo sensu.

– Ach tak, Panie Cwaniaku? – Na moment zniknął mi z oczu, a potem wrócił i zaczął czytać na głos.

– „Żałuję, że nie przemyślałem, w jaki sposób zdołam ocalić Fezzika, zanim zanurkował w przepaść. Mógł po prostu wyciągnąć rękę i w ostatniej chwili złapać Waverly. Dlaczego wciąż stwarzam sobie podobne problemy? I znów wracamy do kwestii Hamleta. Jak bardzo można manipulować prawdą w imię sztuki?” – Willy przewrócił kartkę. – „Mój podstawowy problem z ocaleniem Fezzika jest taki, że osobiście nie bardzo mogę uwierzyć w istnienie olbrzymiego ptaka. Choć widziałem szkielet, choć nasi najwięksi uczeni zapewniali mnie, że faktycznie patrolował nasze niebo, nadal czuję, że ów legendarny ratunek trąci czystym przypadkiem. Kto wie, jak w końcu rozwiążę ten problem?”.

Nim jeszcze skończył, zerwałem się z łóżka, wbijając wzrok w to, co czytał. Natychmiast zrozumiałem, co zrobił. Schował dziennik pod kurtkę i pojąłem dlaczego – żebym mógł przyjąć ten dar, nie wysłuchując dalszych obelg. Wiedziałem też, że za kilka godzin zwrócimy go na miejsce i nikt nawet nie zorientuje się, że zniknął.

Ostrożnie odebrałem go Willy’emu, szybko przerzuciłem kartki i odkryłem, że dowiem się z nich o dzieciństwie Westleya, nim stał się parobkiem, o wielkim romansie Fezzika i złamanym sercu Iniga, a także koszmarach Buttercup, które zaczęły się sprawdzać, i o problemach Cudownego Cyryla z pamięcią oraz o najgroźniejszym morskim potworze, który odkrywa, że na Wyspie Jednego Drzewa mieszkają ludzie, smakowici ludzie.

Trzymałem w dłoniach *Dziennik Buttercup*. Niesamowita sprawa.
Teraz pozostawało już tylko przewrócić stronicę...

* * *

...A jeśli Wy, Drodzy Czytelnicy, jak kiedyś mawialiśmy, przewróciliście stronicę, cóż Was tu czeka?

Jedynie wstęp do wydania z okazji dwudziestopięciolecia, na który – mam nadzieję – już zerknęliście, a potem moje „najlepsze kawałki” *Narzeczonej księcia* oraz jeden jedyny skrócony rozdział *Dziecka Buttercup*. Ale proszę, nie rozpaczajcie.

Nigdy nie pracowałem ciężiej niż przez te ostatnie dni. Czasem sam, czasem z cudownym dzieckiem, które ma jeszcze większy odjazd na punkcie ukończenia badań i samej książki niż wy.

Przestałem już składać obietnice, ale jedną złożę teraz (tę samą, którą złożyłem Willy’emu, kiedy zabrałem go na grób Fezzika; Andre zmarł wiele lat wcześniej, jak powiedział, musiał jeszcze popracować nad swoją „psacją”): przed (ugh) pięćdziesiątą rocznicą *Narzeczonej księcia* dostaniecie w swoje ręce *Dziecko Buttercup*.

Mam też z góry nadzieję, że wam się spodoba... A jeśli nie, proszę, nie mówcie mi.

WSTĘP DO JUBILEUSZOWEJ EDYCJI
Z OKAZJI DWUDZIESTOPIĘCIOLECIA
PIERWSZEGO WYDANIA
NARZECZONEJ KSIĘCIA

William Goldman



TO WCIĄŻ MOJA NAJULUBIENSZA książka świata.

I dziś bardziej niż kiedykolwiek żałuję, że to nie ja ją napisałem. Czasami lubię sobie wyobrazić, że to zrobiłem, że to ja wymyśliłem Fezzika (mojego ulubionego bohatera), że to moja wyobraźnia przywołała scenę z iokainą i pojedynkę umysłów na śmierć i życie.

Niestety, wszystko to wymysły Morgensterna i muszę się zadowolić się faktem, iż mój skrót (choć w 1973 roku zmiądzony przez wszystkich ekspertów od florenistyki – recenzje w pismach naukowych były brutalne, w całej mojej karierze autorskiej tylko *Chłopcy i dziewczęta* dostali gorsze manto) przynajmniej przedstawił Morgensterna szerszej publiczności amerykańskiej.

Czy istnieje coś silniejszego niż wspomnienia z dzieciństwa? Nie, przynajmniej dla mnie. Wciąż często nawiedza mnie sen o mym biednym, smutnym ojcu, czytającym na głos książkę – tyle że we śnie nie jest wcale biedny i smutny, miał cudowne życie, życie, na które zasłużył jako człek przyzwoity. A kiedy czyta, jego angielski, w świecie rzeczywistym tak boleśnie kaleki, brzmi wspaniale. I on sam jest szczęśliwy. A moja matka taka dumna...

Jednak nasze obecne spotkanie zawdzięczamy filmowi. Wątpię, by moi wydawcy zdecydowali się wydać pieniądze na tę edycję, gdyby nie film. Jeśli to czytacie, stawiam dolary przeciwko orzechom, że go widzieliście. Kiedy pierwszy raz trafił do kin, cieszył się sporym powodzeniem, ale dopiero po jego ukazaniu się na kasetach wideo wśród ludzi rozeszła się fama. Film stał się wielkim przebojem w wypożyczalniach i wciąż nim pozostaje. Jeśli macie dzieci, pewnie oglądaliście go razem. Robin Wright rozpoczęła swoją karierę od roli Buttercup i jestem pewien, że wszyscy zakochali się w niej ponownie w *Forreście Gumpie*. (Osobiście uważam, że to jej zawdzięcza on ów fenomenalny sukces. Była tak urocza, taka ciepła, że wszyscy kibicowaliśmy z całych sił biednemu, głupkowatemu Tomowi Hanksowi, by mógł żyć długo i szczęśliwie z kimś właśnie takim.)

Większość z nas uwielbia filmowe historie. Może w czasach świetności Broadwayu ludzie uwielbiali też opowieści teatralne, ale już nie dzisiaj. I założę się, że nikt nie błaga Julii Louis-Dreyfus, by opowiedziała o tym, co czuła, kręcąc osiemdziesiąty dziewiąty odcinek *Seinfelda*. A opowieści pisarzy? Wyobrażacie sobie, że przyłapujecie gdzieś Dostojewskiego i błagacie o zabawne anegdotki z czasu tworzenia *Idioty*?

Tak czy inaczej, oto kilka filmowych wspomnień z *Narzeczonej księżca*, których możecie jeszcze nie znać.

Aby skrócić powieść Morgensterna, zrobiłem sobie przerwę w pisaniu scenariusza *Żon ze Stepford*. Wkrótce ktoś u Foxa usłyszał o nowym projekcie, zdobył maszynopis książki, spodobała mu się i wyraził chęć nakręcenia filmu. Mówimy tu o początku roku siedemdziesiątego trzeciego. Tym „ktosiem” w Foxie był zatwierdzacz (kolaudator?), który sam siebie nazywa „zielonoświatłowcem”.

W pismach takich jak „Premiere”, „Entertainment Weekly” i „Vanity Fair” znajdziecie wiele niekończących się list stu najpotężniejszych osób w studiach filmowych. Wszyscy ci idioci mają wspaniałe tytuły: wiceprezes do spraw tego i owego, główny menedżer od tego i tamtego, i tak dalej.

Prawda jest taka – to wszystko wypierdki.

Tylko jedna osoba w każdym studiu dysponuje czymkolwiek przypominającym władzę: to właśnie zatwierdzacz (kolaudator?). Bo dzięki zatwierdaczom (kolaudatorom?) powstają filmy.

To on (albo ona) przeznacza pięćdziesiąt milionów dolarów, jeśli film ma trafić do Sundance, bądź trzy razy więcej na widowisko z efektami specjalnymi.

A zatwierdaczowi Foxa spodobała się *Naręczona księcia*.

Problem w tym, że nie był pewien, czy to faktycznie materiał na film. Zawarliśmy zatem szczególny układ – oni kupią książkę, ale nie scenariusz, o ile nie zdecydują się rozpocząć produkcji. Innymi słowy do obu stron należało po pół tortu, choć zatem zmęczyła mnie praca nad skrótem, dałem się ponieść entuzjazmowi i natychmiast potem przygotowałem scenariusz.

Mój rewelacyjny agent Evarts Ziegler przyjechał do miasta. To Ziegler załatwił mi umowę na *Butcha Cassidy'ego*, która wraz ze *Złotą świątynią*, pierwszą powieścią, najmocniej odmieniła moje życie. Poszliśmy na lunch do Lutece, pogawędziliśmy, nacieszyliśmy się własnym towarzystwem, rozstaliśmy, ja wróciłem do biura na Upper East Side, w budynku mającym basen. Kiedyś pływałem co dzień, bo w tamtych czasach miałem poważne kłopoty z kręgosłupem, a pływanie je łagodziło. Szedłem właśnie na ów basen, gdy uświadomiłem sobie: nie mam ochoty pływać.

Pragnąłem jedynie wrócić do domu, i to szybko. Bo zacząłem mieć okropne dreszcze. Dotarłem na miejsce, położyłem się do łóżka, dreszcze zastąpił pożar. Helen, moja żona, supergwiazda wśród psychiatrów, wróciła z pracy, rzuciła na mnie okiem i natychmiast zawiozła do szpitala.

Oglądała mnie cała parada najróżniejszych doktorów – wszyscy wiedzieli, że dzieje się coś poważnego, ale nikt nie miał pojęcia co.

Obudziłem się o czwartej nad ranem i wiedziałem już, co jest nie tak. W jakiś sposób okropne zapalenie płuc, które omal mnie nie zabiło, kiedy miałem dziesięć lat, i które sprawiło, że ojciec w ogóle przeczytał mi *Naręczoną księżniczkę*, żebym mógł przetrwać tych kilka żałośnie paskudnych, poszpitalnych dni – to samo zapalenie wróciło teraz, by dokończyć dzieła.

I w tym momencie, w tamtym szpitalu (owszem, wiem, że zabrzmiało to wariacko), gdy obudziłem się w bólu i malignie, w jakiś sposób pojąłem, że jeśli mam przeżyć, muszę wrócić do czasów dzieciństwa. Zacząłem głośno wołać nocną pielęgniarkę...

...Ponieważ w jakiś sposób moje życie i *Naręczona księżniczka* połączyły się na zawsze.

Kiedy siostra się zjawiła, poprosiłem, by poczytała mi Morgensterna.

– Co takiego, panie Goldman? – spytała.

– Proszę zacząć od *Zoo Śmierci* – poleciłem, a potem rzekłem: – Nie, nie, wykluczone. Zaczynajmy od *Urwisk Szaleństwa*.

Pielęgniarka przyglądała mi się chwilę, po czym pokiwała głową.

– A, jasne, tam właśnie zacznę, ale zostawiłam Morgensterna na biurku. Przyniosę go.

Nim się zorientowałem, zjawiła się Helen. I kilku innych lekarzy.

– Poszłam do twojego gabinetu, chyba znalazłam właściwe strony. Co takiego mam ci przeczytać?

– Nie chcę, żebyś ty cokolwiek czytała, Helen, nigdy nie lubiałaś tej książki i nie masz ochoty mi jej czytać. Robisz to tylko dla mnie, a poza tym nie ma tam dla ciebie roli.

– Mogłabym być Buttercup...

– Czy to scenariusz? – wtrącił nagle przystojny lekarz. – Zawsze chciałem zostać gwiazdą filmową.

– Pan będzie człowiekiem w czerni – poinformowałem, potem wskazałem ręką rosnącego

doktora w drzwiach. – Proszę spróbować Fezzika.

I tak właśnie po raz pierwszy usłyszałem scenariusz. Owi medycy i moja genialna żona zmagali się z nim w środku nocy, podczas gdy ja, trawiony gorączką, na przemian zamarałem i oblewałem się potem.

Po jakimś czasie zasnąłem i pamiętam, że tuż przedtem pomyślałem, iż rosły doktor radzi sobie całkiem nieźle, a Helen, choć źle obsadzona, okazała się zupełnie sprawną Buttercup. I co z tego, że przystojny doktor gra sztywno? Jednak przeżyję.

Taki był początek życia scenariusza.

A potem zatwierdzacz z Foxa wysłał go do Richarda Lestera w Londynie – Lester reżyserował między innymi *Noc po ciężkim dniu*, pierwszy cudowny film Beatlesów – po czym spotkaliśmy się, zaczęliśmy pracę, rozwiązywaliśmy problemy. Zatwierdzacz (kolaudator?) był zachwycony, wszystko szło wspaniale...

...a potem został zwolniony i zastąpił go nowy zatwierdzacz.

Oto, co dzieje się, gdy następuje coś takiego: stary zatwierdzacz (kolaudator?) traci epolety i możliwość dostania się do Mortona w poniedziałkowy wieczór. Odchodzi z pracy bardzo bogaty – był przecież przygotowany na tę ewentualność – ale w niesławie.

A nowy zatwierdzacz wstępuje na tron, przestrzegając jednego, wykutego w kamieniu niezmiennego prawa: nic, nad czym pracę rozpoczął jego poprzednik, nie może zostać ukończone. Dlaczego? Powiedzmy, że nakręca film. Powiedzmy, że okaże się hitem. Komu przypadnie zasługa? Staremu zatwierdzaczowi. A kiedy nowy zatwierdzacz, który może teraz dostać się do Mortona w poniedziałki, będzie musiał przedzierać się przez zebrany tam tłum, będzie wiedział, że koledzy po fachu drwią za jego plecami: „Co za palant, to nie był jego film”.

Śmierć.

I tak *Narzęczona księżca* została pogrzebana, być może na zawsze.

A ja zrozumiałem, że straciłem nad nią władzę. Fox miał książkę. Co z tego, że sam miałem scenariusz; mogli przecież zamówić kolejny. Mogli zmienić wszystko, co tylko zechcą. Zrobiłem wtedy coś, z czego jestem autentycznie dumny: odkupiłem od studia książkę za moje własne pieniądze. Myślę, że podejrzewali, iż mam jakąś umowę albo plan, ale nie. Po prostu nie chciałem, żeby jakiś kretyn zniszczył coś, co, jak rozumiałem, było najważniejszą rzeczą, do jakiegokolwiek przyłożyłem rękę.

Po długich negocjacjach odzyskałem tę powieść. Teraz byłem jedynym idiotą, który mógł ją zniszczyć.

* * *

Słyszałem niedawno, że świetna książka Jacka Finneya *Time and Again* po niemal dwudziestu latach wciąż nie trafiła na ekran. *Narzęczonej księżca* nie zabrało to aż tak długo, ale niewiele krócej. Nie prowadziłem zapisków, toteż wszystko odtwarzam z pamięci. Musicie zrozumieć, że aby ktoś nakręcił film, potrzeba dwóch rzeczy: zapła i pieniędzy. Okazało się, że mnóstwo ludzi uwielbia *Narzęczoną księżca*. Znałem co najmniej dwóch zatwierdzaczy, którzy szaleli na jej punkcie. Którzy uścisnęli mi dłoń, przyklepując umowę. Którzy pragnęli nakręcić *Narzęczoną księżca* bardziej, niż jakikolwiek inny film.

I którzy obaj zostali zwolnieni w weekend przed rozpoczęciem prac. Jedno studio (niewielkie) w ogóle zamknęło się w weekend przed rozpoczęciem prac. Scenariusz zaczął powoli zyskiwać reputację – w pewnym artykule nazwano go jednym z najlepszych, których nigdy nie nakręcono.

W istocie po ponad dziesięciu latach sądziłem już, że do tego nie dojdzie. Za każdym razem, gdy ktoś okazywał zainteresowanie, czekałem, aż miecz spadnie nam na głowy – i zawsze spadał. Lecz bez mojej wiedzy dziesięć lat przed ostatecznym zbawieniem drobne wydarzenie rozpoczęło łańcuch innych, które w końcu doprowadziły do powstania filmu.

Po skończeniu zdjęć do *Butcha Cassidy i Sundance Kida* na jakiś czas zrobiłem sobie wolne od kina (jesteśmy z powrotem pod koniec lat sześćdziesiątych). Chciałem spróbować czegoś zupełnie nowego: innego niż beletrystyka.

Napisałem zatem książkę o Broadwayu zatytułowaną *Sezon*. Przez ten rok setki razy chodziłem do teatru, zarówno w Nowym Jorku, jak i poza nim, i obejrzałem co najmniej raz wszystkie sztuki. Ale najczęściej razy oglądałem świetną komedię zatytułowaną *Coś innego*, napisaną przez Carla Reinera.

Sam Reiner ogromnie mi pomógł i byłem mu bardzo wdzięczny. Kiedy skończyłem *Sezon*, wysłałem mu egzemplarz. Kilka lat później, po ukończeniu *Narzeczonej księcia*, wysłałem też tę powieść, a on pewnego dnia wręczył ją najstarszemu synowi.

– Oto coś – powiedział do Roberta – co powinno ci się spodobać.

Miało minąć jeszcze dziesięć lat, nim Rob rozpoczął karierę reżyserską. Potem jednak, w roku 1985, spotkaliśmy się, a Norman Lear (niech go Bóg błogosławi) dał nam pieniądze, żebyśmy mogli rozpocząć kręcenie filmu.

Nadzieja umiera ostatnia.

* * *

Pierwsze czytanie scenariusza zorganizowaliśmy w hotelu w Londynie wiosną osiemdziesiątego szóstego. Był tam Rob, a także jego producent, Andy Scheinman. Byli Cary Elwes i Robin Wright, Westley i Buttercup, a także Chris Sarandon i Chris Guest, czarne charaktery, księżę Humperdinck i Hrabia Rugen. Oraz Wally Shawn, złowrogi geniusz Vizzini. Był tam Mandy Patinkin, który grał Iniga, oraz siedzący samotnie i w ciszy – zawsze starał się siedzieć w ciszy – Andre the Giant, odtwórca roli Fezzika.

Trudno to nazwać zwykłym kółkiem dyskusyjnym.

W kącie z uprzejmym uśmiechem siedziałem też *moi*. Dwie bardzo ważne postaci, które wywarły wpływ na me życie w przemyśle rozrywkowym – Elia Kazan i George Roy Hill – powiedziały mi to samo podczas wywiadów: że do czasu pierwszego czytania z obsadą najważniejsza część prac dobiegła końca. Jeśli macie dobry scenariusz i właściwie go obsadzicie, istnieje szansa zrobienia czegoś dobrego. Ale jeśli nie, nie ma znaczenia, jak będzie przebiegał dalszy proces, bo film od początku jest martwy.

Laikom wyda się to obłudem i tak być powinno, ale w istocie to szczerą prawdą. A oto powód, dla którego uznajemy to za szaleństwo: pismo „Premiere” nie przygląda się pracom nad scenariuszem. „Entertainment Tonight” nie śledzi procesu obsadowego. Pojawiają się dopiero podczas kręcenia filmu, najmniej ważnej części całego tworzenia. Zapamiętajcie sobie: kręcenie to fabryka montująca z części samochod.

* * *

Podczas owej pierwszej próby najsłabsze ogniwo stanowił A.R. Roussimoff. Występując pod pseudonimem Andre the Giant był najsłynniejszym wrestlerem świata. Przez lata wierzyłem, że

jeśli ma w ogóle powstać film, to on powinien zagrać Fezzika, najsilniejszego z ludzi.

Rob także sądził, że Andre może nadawać się do tej roli – problem polegał na tym, że nikt nie mógł go znaleźć. Przez ponad trzysta trzydzieści dni w roku występował na ringu i stale gdzieś podróżował.

Próbowaliśmy zatem obsadzić kogoś innego. Były to najosobliwsze zdjęcia próbne, jakie zdarzyło mi się oglądać. Zjawiali się potężni goście – mówimy tu o naprawdę dużych facetach – ale nie olbrzymi. Od czasu do czasu znajdowaliśmy olbrzymą, okazywało się jednak, że nie umie grać albo jest za chudy, a chudy olbrzym zupełnie nie pasował do naszej wizji.

I wciąż nie mieliśmy Andre.

Pewnego dnia Robin i Andy sprawdzali we Florencji ostatnie plenery, kiedy dostali cynk – następnego popołudnia Andre będzie w Paryżu. Polecieli na spotkanie z nim. Nie jest to takie łatwe, bo z Florencji nie ma żadnych bezpośrednich lotów do głównych europejskich stolic, nie mówiąc już o fakcie, że rozkład lotów zależy od obłożenia – wszystkie samoloty Floreńskich Linii Lotniczych są zawsze zatłoczone, bo linie czekają ze startem na wyprzedanie biletów i pozwalają nawet ludziom stać w przejściach. (Sam widziałem coś takiego tylko raz w Rosji, podczas koszmarnej przelotu z Tbilisi do Sankt Petersburga.) Ostatecznie Rob i Andy musieli wynająć niewielki samolot śmigłowy, żeby dotrzeć na miejsce. Kiedy zjawili się w Ritzu, odźwierny powitał ich dziwnym tonem.

– Pewien człowiek czeka na panów w barze.

Andre był dla mnie trochę jak Pentagon – nieważne, jak wielki się nam wydaje, bo kiedy podchodzimy bliżej, okazuje się jeszcze większy.

Andre był większy.

Według oficjalnych dokumentów ważył dwieście sześćdziesiąt kilo i miał dwieście dwadzieścia cztery centymetry wzrostu, ale nie był do końca pewny tych liczb i nie spędzał zbyt wiele czasu na wadze. Opowiadał mi, że kiedyś zachorował i w trzy tygodnie stracił pięćdziesiąt kilo, poza tym jednak nie rozmawiał nigdy o swoich rozmiarach.

Pogawędzili trochę w barze, potem poszli do pokoju Roba, gdzie przejrzeni scenariusz. Od razu zrozumieli kilka rzeczy: Andre miał zabójczy francuski akcent, a co gorsza, jego głos zdawał się dobiegać prosto z lochów.

Rob jednak zaryzykował i dał mu tę rolę. Nagrał także dla Andre jego teksty na taśmie – wszystkie, co do zdania, łącznie z akcentami – by Andre mógł wziąć ją ze sobą w trasę i nauczyć się na pamięć przed rozpoczęciem prób.

Tego dnia próba w Londynie z rozmysłem przebiegała swobodnie: parę czytań scenariusza, kilka komentarzy. Nastąpiło piękne popołudnie, toteż zrobiliśmy przerwę na lunch i znaleźliśmy sobie w pobliżu bistro ze stolikami na zewnątrz. Wszystko szło idealnie, tyle że krzesło okazało się stanowczo za małe dla Andre – szerokością dostosowano je do zwykłych istot ludzkich i poręcze były za blisko. W środku stał stolik z ławą, ktoś zaproponował, żebyśmy tam zjedli. Ale Andre nie chciał o tym słyszeć, usiedliśmy zatem na dworze. Wciąż widzę go, jak rozsuwa szeroko metalowe poręcze, wciska się między nie, a potem poręcze odskakują na miejsce, przygniatając go przez resztę posiłku. Nie jadł zbyt wiele, a sztuczki w jego olbrzymich dłoniach wyglądały jak dziecięce zabawki.

Po lunchu znów podjęliśmy próby, teraz zajęliśmy się poszczególnymi scenami. Andre pracował z naszym Inigo, Mandym Patynkinem. Widziałem wyraźnie, że słuchał taśm Roba – ale nie dało się zaprzeczyć, że jego czytania słyły bardzo wolno i zdecydowanie monotonicznie.

Odgrywali właśnie scenę po ponownym spotkaniu. Mandy starał się wyciągnąć z Andre

informacje, a Andre dukał kolejne wyuczone na pamięć zdanie. Mandy jako Inigo próbował poganiać Fezzika. Andre znów odpowiedział, recytując powoli. Powtarzali to raz po raz, Mandy jako Inigo prosił Andre jako Fezzika, żeby mówił szybciej – a Andre odpowiadał z tą samą szybkością jak wcześniej...

Aż wreszcie Mandy rzucił „Szybciej, Fezziku!” i bez żadnego ostrzeżenia wymierzył olbrzymowi siarczysty policzek.

Wciąż widzę zaskoczone oczy Andre. Nie sądzę, by od czasu dzieciństwa ktokolwiek uderzył go poza ringiem. Popatrzył na Mandy’ego... Wszyscy umilkli. Na moment zawiesił głos, cały pokój wypełniła martwa cisza.

A potem Andre zaczął mówić szybciej, nagle jakby coś w nim zaskoczyło, włożył w swą rolę więcej tempa i energii. Widać było niemal kręcące się trybiki: „Ach, a więc to tak się to robi poza ringiem! Spróbujmy na trochę”. W istocie ów policzek stanowił początek najszcześniejszego okresu jego życia.

Dla mnie też był to cudowny okres. Po ponad dziesięciu latach czekania najważniejsza książka mojej młodości na mych oczach zyskiwała nowe życie. Kiedy skończyliśmy i zobaczyłem gotowy produkt, pojąłem, że w całej mojej karierze tak naprawdę szczerze kochałem tylko dwa filmy, w których powstaniu uczestniczyłem: *Butcha Cassidy i Sundance Kida* oraz *Narzeczoną księżca*.

Ale film nie tylko sprawił mi wiele radości, uczynił więcej: tchnął w książkę nowe życie. Znów zacząłem dostawać cudowne listy, jeden przyszedł nawet dzisiaj – słowo harcerza! – od mężczyzny z L.A., którego rzuciła jego Buttercup. Po dziesięciu latach rozstania usłyszał, że ma kłopoty, wysłał jej zatem egzemplarz powieści i, no cóż, są teraz razem. Myślicie, że to nie wspaniałe uczucie – zwłaszcza dla kogoś, kto jak ja spędził całe swe życie zaszyty w norze, pisząc – wiedzieć, że może dotknąć innego człowieka? Nie ma niczego lepszego.

Oczywiście są też rzeczy, których żałuję. Żal mi kłopotów prawnych ze spadkobiercami Morgensterna, o których więcej opowiem później. Żal mi, że nie wyszło nam z Helen. (Nie żebyśmy oboje nie wiedzieli, co się święci – ale czy musiała odejść akurat w dniu nowojorskiej premiery filmu?) I żal mi, że Urwiska Szaleństwa stały się obecnie największą atrakcją turystyczną Florenu, bo bardzo to uprzykrza życie miejscowym strażnikom leśnym.

Ale takie jest życie na tym świecie. Nie można mieć wszystkiego.







NARZEŹONA KSIĘCIA

KLASYCZNA OPowieść O PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI
I WIELKIEJ PRZYGODZIE

PIÓRA S. MORGENSTERNA

„NAJLEPSZE WYJĄTKI”

W WYBORZE
WILLIAMA GOLDMANA

I PRZEKŁADZIE PAULINY BRAITER



TO JEST MOJA NAJUKOCHAŃSZA książka na świecie, choć nigdy jej nie czytałem.

Jak to w ogóle możliwe? Postaram się wytłumaczyć. Jako dziecko zupełnie nie interesowałem się książkami. Nienawidziłem czytania, wręcz nie radziłem sobie z nim, a poza tym jak można marnować czas na lekturę, gdy wokół czekał sport, napraszający się, by wciąż grać? Koszykówka, baseball, kulki – nigdy nie miałem dosyć. Nie byłem nawet zbyt dobrym sportowcem, ale dajcie mi piłkę i puste podwórko, a wymyślę gole i zwycięstwa, które sprawią, że będziecie mieli łzy w oczach. Szkoła stanowiła prawdziwą torturę. Panna Roginski, moja nauczycielka od trzeciej do piątej klasy, bez przerwy odbywała spotkania z moją matką.

– Mam wrażenie, że Billy nie przykłada się do nauki tak bardzo, jak powinien.

Albo:

– W testach Billy osiąga naprawdę doskonale wyniki, biorąc pod uwagę przeciętną jego ocen.

Albo najczęściej:

– Sama nie wiem, pani Goldman. Co my zrobimy z Billym?

Co my zrobimy z Billym? To pytanie prześladowało mnie przez pierwszych dziesięć lat życia. Udawałem, że nic mnie nie obchodzi, ale w głębi ducha byłem przerażony. Ze wszystkim pozostawałem za wszystkimi w tyle. Nie miałem bliskich przyjaciół, nikogo, kto podzielałby moje szalone zainteresowanie wszelkimi możliwymi sportami. Sprawiałem wrażenie stale zajętego; zajętego, lecz przypuszczam, że gdyby ktoś zaczął mnie wypytywać, musiałbym przyznać, że w gruncie rzeczy jestem ciągle sam.

– Co my z tobą pocniemy, Billy?

– Nie wiem, proszę pani.

– Jak mogłeś oblać ten sprawdzian z czytania? Na własne uszy słyszałam, jak używasz każdego z tych słów.

– Przepraszam, proszę pani. Chyba nie myślałem.

– Ty zawsze myślisz, Billy. Po prostu nie myślałeś o sprawdzianie, to wszystko.

Mogłem jedynie przytaknąć.

– Co to było tym razem?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Czy znów chodziło o Stanleya Hacka?

(Stan Hack grał u Cubsów na trzeciej bazie w tamtych i przez wiele późniejszych lat. Kiedyś oglądałem jego mecz z ostatnich rzędów i nawet z tej odległości miał najśłodszy uśmiech, jaki w życiu widziałem. Mogę przysiąc, że kilka razy uśmiechnął się wtedy do mnie. Uwielbiałem go. Poza tym uderzał jak z armaty.)

– O Bronko Nagurskiego. To piłkarz. Wielki piłkarz i we wczorajszej gazecie pisali, że może wróci, by znów zagrać z Niedźwiedziami. Wycofał się, kiedy byłem mały, ale gdyby powrócił i gdybym znalazł kogoś, kto zgodziłby się zabrać mnie na mecz, mógłbym zobaczyć, jak gra, a może, jeśli ten ktoś, z kim bym poszedł, znałby go osobiście, mógłbym go potem poznać, gdyby był głodny, poczęstowałbym go kanapką, o ile wziąłbym ją ze sobą. Zastanawiałem się właśnie, jakie kanapki lubi Bronko Nagurski.

Pannie Roginski opadły ręce.

– Masz wspaniałą wyobraźnię, Billy.

Nie wiem, co odpowiedziałem. Prawdopodobnie „dziękuję pani” lub coś w tym stylu.

– Nie mogę jej jednak okiełznać – ciągnęła. – Dlaczego?

– Pewnie potrzebuję okularów i nie czytam zbyt dobrze, bo słowa są całkiem zamazane. To by wyjaśniało, czemu stale mrużę oczy. Może gdybym poszedł do okulisty, który zapisałby mi szkła, zostałbym najlepszym uczniem w klasie i nie musiałaby pani tak często zostawiać mnie po lekcjach.

Panna Roginski wskazała tylko ręką za siebie.

– Zetrzyj tablicę, Billy.

– Tak, proszę pani. – W ścieraniu tablic byłem najlepszy.

– Czy naprawdę są zamazane? – spytała po dłuższej przerwie panna Roginski.

– Och, nie, wymyśliłem to sobie. – Nie mrużyłem też oczu. Tylko że ona wyglądała tak nieszczęśliwie z powodu tego sprawdzianu. Jak zawsze. Zawsze przez całe trzy klasy.

– Jakoś nie mogę do Ciebie dotrzeć.

– To nie pani wina.

(Istotnie, nie była to jej wina. Ją też uwielbiałem. Była tłusta i pękata, ale marzyłem, by to ona była moją matką. W żaden sposób nie mogłem sobie tego wyobrazić, chyba że poślubiła kiedyś mojego ojca, potem się rozwiedli i ojciec ożenił się z matką – i w porządku, bo przecież panna Roginski musiała pracować, więc ojcu przyznano opiekę nade mną. Tyle że nigdy nie sprawiali wrażenia, jakby się znali, mój ojciec i panna Roginski. Za każdym razem, gdy się spotykali, co roku podczas przedstawienia na Boże Narodzenie, na którym obecni byli wszyscy rodzice, obserwowałem ich uważnie w szalonej nadziei, że dojrzę jakiś sekretny błysk w oku czy spojrzenie mówiące: „No, co u Ciebie, jak się miewasz od czasu naszego rozvodu?”, ale nic z tego. Nie była moją matką, tylko nauczycielką, a ja wyrastałem na jej największą osobistą klęskę.)

– Wszystko będzie dobrze, Billy.

– Mam taką nadzieję, proszę pani.

– Należysz do tych, którzy późno rozwijają swój potencjał. Tak było z Winstonem Churchillem i tak będzie z Tobą.

Już miałem zapytać, u kogo grał Winston Churchill, ale jakiś ton w jej głosie ostrzegł mnie, że lepiej, bym tego nie robił.

– I z Einsteinem.

Jego też nie znałem. Nie miałem również pojęcia, co oznacza „potencjał”. Ale, o rany, tak bardzo pragnąłem go mieć.

* * *

Gdy miałem dwadzieścia sześć lat, moja pierwsza powieść, *Złota świątynia*, ukazała się nakładem Alfreda A. Knopfa (które to wydawnictwo jest obecnie częścią Random House, który z kolei jest częścią RCA, co jest jedynie częścią dzisiejszych problemów wydawniczych w Ameryce, ale nie jest częścią tej historii). W każdym razie jeszcze przed publikacją książki ludzie z reklamy u Knopfa rozmawiali ze mną, próbując znaleźć coś, co mogliby zrobić, by zasłużyć na swoje pensje. Spytały mnie, komu chciałbym wysłać darmowe egzemplarze. Czy znam kogoś, kto ma wpływ na opinię publiczną? Odparłem, że nie, nie znam nikogo takiego, a oni na to: „Pomyśl, każdy ma jakichś znajomych”. I nagle wpadł mi do głowy naprawdę ekscytujący pomysł, więc powiedziałem:

– W porządku, wyślijcie egzemplarz pannie Roginski. – Co, jak mi się wydawało, było rozsądne i logiczne, ponieważ jeśli ktokolwiek miał wpływ na moje myślenie, to właśnie ona. (Nawiasem mówiąc, można ją znaleźć w całej *Złotej świątyni*, tyle że nazwałem ją „panną Patulski” – nawet wtedy byłem bardzo twórczy.)

– Komu? – spytała jedna z pań z reklamy.

– To moja dawna nauczycielka. Wyślijcie jej egzemplarz, a ja go podpiszę, może jeszcze dodam parę słów...

– Myśleliśmy raczej o kimś bardziej znanym w kraju.

– Panna Roginski – odparłem bardzo cicho. – Po prostu wyślijcie jej egzemplarz, dobrze? Proszę.

Pamiętacie, jak nie zapytałem, u kogo grał Churchill, bo przestraszył mnie ton jej głosu? W tym momencie trafiłem widocznie na ten sam ton. Bez wątpienia coś musiało się stać, bowiem ten gość natychmiast zanotował jej nazwisko, pytając, czy końcówka brzmi „ski” czy „sky”.

– Przez „i” – odparłem, w myślach przebiegając całe lata i próbując ułożyć fantastyczną dedykację. Wiecie: inteligentną, skromną, dowcipną i idealną, ot co.

– Imię?

To natychmiast sprowadziło mnie na ziemię. Nie wiedziałem, jak miała na imię. Zawsze mówiłem o niej „panna”. Nie znałem również adresu. Nie miałem nawet pojęcia, czy w ogóle jeszcze żyje. Od dziesięciu lat nie odwiedziłem Chicago – byłem jedynakiem, oboje rodzice nie żyli, a komu potrzebne Chicago?

– Wyślijcie ją do szkoły podstawowej w Highland Park – powiedziałem wreszcie i najpierw zamierzałem napisać: „Dla panny Roginski – róża późno rozwiniętego potencjału”, potem jednak uznałem, że to zbyt niezarozumiałstwo, więc zdecydowałem, że: „Dla panny Roginski – chwast późno rozwiniętego potencjału” będzie skromniejsze. Za skromne, uznałem po chwili i na tym skończyły się błyskotliwe pomysły. Nic nie przychodziło mi do głowy. Nagle pomyślałem: „A jeśli ona w ogóle mnie nie pamięta? Przez te lata przez szkołę przewinęły się setki uczniów, więc dlaczego akurat ja miałbym utkwic jej w pamięci?”. Aż wreszcie, zdesperowany, napisałem: „Dla panny Roginski od Williama Goldmana – nazywała mnie pani Billym i mówiła, że późno rozwinę swój potencjał. Ta książka jest dla pani, mam nadzieję, że się pani spodoba. Byłem pani uczniem w trzeciej, czwartej i piątej klasie, dziękuję pani bardzo. William Goldman”.

Książka wyszła i zebrała cięgi; ja zostałem i doświadczyłem tego samego, osuwając się z rzeczywistością. Debiut nie tylko nie ustalił mojej pozycji jako najbardziej obiecującego młodego autora od czasu Kita Marlowe’a, lecz także na dodatek nikt go nie czytał. Nieprawda. Przeczytało go sporo osób – sami moi znajomi. Mogę jednak śmiało stwierdzić, że nie zachwylił się nim żaden obcy człowiek. Klęska była miążdżąca. Kiedy więc dotarł do mnie list panny Roginski – spóźniony, wysłała go do Knopfa, skąd przekazano mi go dopiero po jakimś czasie – naprawdę potrzebowałem słowa otuchy.

„Szanowny panie Goldman. Dziękuję za książkę. Nie miałam jeszcze czasu, by ją przeczytać, jestem jednak pewna, że to wartościowa pozycja. Oczywiście, że pana pamiętam. Nigdy nie zapominam swoich uczniów. Z poważaniem, Antonia Roginski”.

Byłem załamany. W ogóle mnie nie pamiętała. Siedziałem bez ruchu, trzymając w rękę liścik, zdruzgotany. Ludzie zapominają mnie. Naprawdę. To nie paranoja – po prostu mam zwyczaj umykać im z pamięci. Nie przeszkadza mi to aż tak bardzo, tylko że to kłamstwo. Przeszkadza. Z jakiegoś powodu lokuję się pośród najczęściej zapominanych osób.

Gdy więc panna Roginski przysłała mi list, który sprawił, że stała się taka sama jak wszyscy,

ucieszyłem się, że nie wyszła za mąż. Zresztą nigdy jej nie lubiłem, zawsze była okropną nauczycielką i dobrze jej tak, że ma na imię Antonia.

– Nie chciałem, panno Roginski – powiedziałem głośno. Byłem sam w mojej kawalerce we wspaniałej Zachodniej Dzielnicy Manhattanu i gadałem do siebie. – Przepraszam, przepraszam – ciągnąłem. – Musi mi pani uwierzyć, panno Roginski.

Rzecz jasna w tym właśnie momencie zauważyłem w końcu postscriptum. Znajdowało się po drugiej stronie kartki i oto, co w nim znalazłem: „Idiota. Nawet nieśmiertelny S. Morgenstern nie mógłby czuć większej dumy ode mnie”.

S. Morgenstern! *Narzęczona księcia!* Pamiętała!

Retrospekcja.

Rok 1941. Jesień. Jestem wściekły, bo moje radio nie odbiera meczu futbolowego. Northwestern gra z Notre Dame. Zaczęli o pierwszej, a o pierwszej trzydzieści wciąż nie mogę złapać meczu. Muzyka, wiadomości, opery mydlane – wszystko, tylko nie mecz. Wołam matkę. Po chwili wchodzi do pokoju. Mówię jej, że moje radio jest zepsute, nie mogę znaleźć meczu Northwestern – Notre Dame. Ona na to: chodzi ci o futbol? Tak, tak, tak, mówię. Dziś jest piątek, odpowiada, myślałam, że grają w sobotę. Co za dureń ze mnie!

Leżę na łóżku, słuchając mydlanek, i po jakimś czasie znów zaczynam szukać, a moje głupie radio odbiera każdą chicagowską stację z wyjątkiem tej, która nadaje relację ze stadionu. Zaczynam naprawdę wrzeszczeć i znów wpada matka. Wywalę to radio za okno, mówię, nie chce go złapać, nie chce go złapać! Czego?, pyta matka. Mecz, odpowiadam, jak możesz być taka głupia, meeeeczu. Grają w sobotę i liczą się ze słowami, młody człowieku; mówiłam ci już, dziś jest piątek. Matka wychodzi.

Czy jest gdzieś większy osioł?

Upokorzony kręcę gałkami mojego wiernego zenitha w poszukiwaniu meczu. Było to tak frustrujące, że leżałem na łóżku, cały zlany potem, czułem, jak wariuje mi żołądek, i tłukłem pięścią w radio, żeby zaczęło działać. I tak właśnie odkryli, że cierpię na ostre zapalenie płuc.

W dzisiejszych czasach zapalenie płuc to nie to samo co kiedyś. Kiedy ja na nie chorowałem, oznaczało to jakieś dziesięć dni w szpitalu, po czym powrót do domu i długi okres rekonwalescencji. Zdaje się, że były to kolejne trzy tygodnie w łóżku, może nawet miesiąc. Zero energii, żadnych sportów czy gier. Bezwładny jak kłoda, mogłem jedynie z wolna zbierać siły.

I takim właśnie powinniście mnie widzieć, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z *Narzęczoną księcia*.

To był mój pierwszy wieczór w domu. Nadal czułem się wyczerpany i bardzo chory. Do pokoju wszedł ojciec, jak sądziłem po to, by życzyć mi dobrej nocy. Usiadł na skraju łóżka.

– Rozdział pierwszy. *Narzęczona* – powiedział.

Dopiero wtedy uniosłem wzrok i przekonałem się, że trzyma w ręku książkę. Już samo to niepomiarne mnie zdziwiło. Mój ojciec był prawie analfabetą. W angielskim. Pochodził z Floreny (miejsce akcji *Narzęczonej księcia*) i w swoim kraju nie należał do głupców. Wyznał kiedyś, że miał zostać prawnikiem, i może istotnie tak by się stało. Fakty są takie, że jako szesnastolatek wpadł na pomysł, by wyjechać do Ameryki, zaryzykował podróż do krainy marzeń i przegrał. Nie miał zresztą zbyt wielkich szans. Nigdy nie był specjalnie przystojny – bardzo niski i od wczesnej młodości łysy. Poza tym nauka nie przychodziła mu łatwo. Kiedy już raz coś poznał, zapamiętywał to na całe życie, ale nie uwierzylibyście, ile czasu potrzebował każdy fakt, by przeniknąć przez jego grubą czaszkę. Jego angielski na zawsze pozostał śmiesznie imigrancki i to też nie ułatwiało mu życia. Na statku poznał moją matkę, później pobrali się, a

kiedy uznali, że mogą sobie na to pozwolić, mieli mnie. Od zawsze pracował jako numer drugi w najmniej znanym zakładzie fryzjerskim w Highland Park w stanie Illinois. Pod koniec życia przez całe dni drzemał w swym fotelu. I tak właśnie odszedł. Nie żył już od godziny, nim fryzjer numer jeden zorientował się, co się stało; wcześniej myślał po prostu, że ojciec uciął sobie szczególnie smaczną drzemkę. Może zresztą tak było. Może śmierć znaczy tylko tyle, nic więcej. Kiedy powiedzieli mi o tym, wiadomość ta bardzo mną wstrząsnęła, jednocześnie jednak pomyślałem, że takie odejście niemal nadało sens całej jego egzystencji.

Wtedy jednak powiedziałem:

– Eee? Co? Nie dosłyszałem. – Byłem taki słaby, tak bardzo zmęczony.

– Rozdział pierwszy. *Narzęczona*. – Pokazał mi książkę. – Czytam ci to, żebyś odpoczął. – Niemal wepchnął mi ją w twarz. – To S. Morgenstern. Wielki floreński pisarz. *Narzęczona księcia*. On też przybył do Ameryki. S. Morgenstern. Już nie żyje, umarł w Nowym Jorku. Sam napisał angielską wersję. Władał ośmioma językami. – Tu mój ojciec odłożył książkę i uniosł wszystkie palce. – Ośmioma. Kiedyś, we Florencji, byłem w jego kawiarni. – Potrzęsnał głową; zawsze to robił, kiedy powiedział coś nie tak, jak chciał. – Nie w jego kawiarni. Był tam wtedy, w tym samym czasie, co ja. Widziałem go. S. Morgenstern. Miał wielką głowę, o taką. – Machnął rękami, podkreślając słowa stosownym gestem. – Wielki człowiek we Florencji. Nie tak wielki w Ameryce.

– Mówi się tam o jakimś sporcie?

– Szermierka. Zapasy. Tortury. Trucizna. Prawdziwa miłość. Nienawiść. Zemsta. Olbrzymi. Myśliwi. Żli ludzie. Dobrzy ludzie. Najnajpiękniejsze damy. Węże. Pajaki. Zwierz wszelkiego gatunku i pochodzenia. Ból. Śmierć. Śmiałkowie. Tchorze. Siłacze. Pościgi. Ucieczki. Kłamstwa. Prawda. Namiętność. Cuda.

– Brzmi niezłe – odparłem i lekko przymknąłem oczy. – Postaram się nie zasnąć, tato... ale jestem okropnie śpiący...

Skąd można wiedzieć, kiedy zmieni się wasz świat? Kto potrafi przewidzieć, że wszelkie wcześniejsze doświadczenia, wszystkie te lata prowadzą ku... niczemu? Wyobraźcie to sobie: stary człowiek, półanalfabeta, zmagający się z obcym językiem i kompletnie wyczerpany chłopak, walczący ze snem. A pomiędzy nimi tylko słowa innego cudzoziemca, z trudem przełożone z własnego języka na obcy. Któż mógłby przypuszczać, że rano obudzi się już inny chłopiec? Sam pamiętam jedynie, jak próbowałem opanować zmęczenie. Nawet tydzień później nie zdawałem sobie sprawy, co właściwie rozpoczęło się owego wieczoru. Część drzwi w moim umyśle zatrzasnęła się z hukiem, inne rozwarły się na oścież. Może powinienem przynajmniej coś przeczuć, lecz kto potrafi dosłyszeć wśród wiatru słowa objawienia?

Oto, co się wydarzyło: wciągnęła mnie opowieść.

Po raz pierwszy w życiu zainteresowałem się książką. Ja: fanatyk sportu, maniak na punkcie gier, jedyny dziesięciolatek w całym stanie darzący szczerą nienawiścią alfabet, chciałem wiedzieć, co było dalej.

Co się stało z piękną Buttercup i nieszczęsnym Westleyem, i Inigo, największym szermierzem wszech czasów? Jak silny był Fezzik i czy istniały granice okrucieństwa Vizziniego, diabelskiego Sycylijczyka?

Każdego wieczoru ojciec czytał mi na głos, rozdział za rozdziałem, zawsze starając się prawidłowo wymówić słowa, uchwycić sens kolejnych zdań. A ja leżałem z przymkniętymi oczami, podczas gdy moje ciało rozpoczynało powolny marsz ku zdrowiu. Jak już mówiłem, trwało to jakiś miesiąc i w tym czasie ojciec dwa razy przeczytał mi całą *Narzęczoną księcia*.

Nawet kiedy sam mogłem już czytać, ta książka pozostała jego własnością. Nie śniłbym o tym, żeby ją otworzyć. Pragnąłem jego głosu, jego słów. Później, nawet po latach, mówiłem czasami: „Co powiesz na pojedynek na Urwiskach? Ten między Inigiem i człowiekiem w czerni?”, a ojciec burczał coś pod nosem, po czym przynosił książkę i śliniąc kciuk, odwracał kartki aż do początku sławetnej walki. Uwielbiałem to. Nawet dziś tak właśnie przypominam sobie ojca, gdy zajdzie potrzeba: zgarbioną postać mrużącą oczy i z wahaniem wymawiającą słowa. Człowieka, który przekazał mi arcydzieło Morgensterna najlepiej, jak potrafił. *Narieczona księcia* należała do mojego ojca.

Cała reszta była moja.

Nie istniała żadna powieść przygodowa, na którą nie miałbym zakusów.

– No dalej – popędzałem pannę Roginski, gdy już wyzdrowiałem. – Stevenson, wciąż powtarza pani „Stevenson”, skończyłem już Stevensona, kto następny?

A ona na to:

– Cóż, spróbuj Scotta, zobacz, jak ci się spodoba.

Spróbowałem więc starego sir Waltera i spodobał mi się dostatecznie, by w grudniu przebrnąć przez pół tuzina książek (znaczna część tego czasu przypadła na ferie świąteczne, kiedy nic nie przeszkadzało mi w lekturze oprócz krótkich przerw na jedzenie).

– Kto jeszcze, kto jeszcze?

– Może Cooper? – zasugerowała, więc zagłębiłem się w *Pogromcy zwierząt* i innych przygodach Skórzanej Pończochy, a potem sam natrafiłem na Dumasa i D’Artagnana i oni właśnie wypełnili mi większą część lutego.

– Na moich oczach stałeś się powieścioholikiem – oznajmiła panna Roginski. – Czy wiesz, że spędzasz teraz więcej czasu na czytaniu niż kiedyś na grach? Zdajesz sobie sprawę, że twoje stopnie z arytmetyki jeszcze się pogorszyły? – Jej połajanki zupełnie mnie nie wzruszały. Byliśmy sami w klasie, a ja nękałem ją o kolejne nazwisko na pożarcie. – Bez wątplenia rozwijasz swój potencjał, Billy, i to na moich oczach. Chciałabym tylko wiedzieć, co z tego wyniknie.

Stałem przed nią bez słowa, czekając, aż poleci mi kogoś nowego.

– Jesteś niemożliwy. – Przez chwilę zastanawiała się. – W porządku. Spróbuj Hugo. *Katedra Marii Panny w Paryżu*.

– Hugo – powtórzyłem. – *Katedra*. Dziękuję pani.

Odwrociłem się, po czym wystartowałem do biegu w stronę biblioteki. Usłyszałem jeszcze za plecami jej westchnienie.

– To nie może trwać długo. Po prostu nie może.

A jednak.

I trwa nadal. I teraz jestem równie gorącym wielbicielem historii przygodowych jak wtedy i nigdy nie przestanę. Weźmy wspomnianą tu już moją pierwszą powieść, *Złotą Świątynię* – czy wiecie, skąd pochodzi ten tytuł? Z filmu *Gunga Din*, który widziałem dotąd szesnaście razy. Nadal twierdzę, że jest to najnajnawspanialszy przygodowy film na świecie. (Prawdziwa historia dotycząca *Gunga Din*: kiedy zostałem zwolniony z armii, poprzysiągłem sobie, że moja noga nigdy więcej nie postanie na terenie jednostki wojskowej. Nic wielkiego, po prostu zwykła przysięga na całe życie. W porządku. Znalazłem się w domu i dzień później dzwonię do przyjaciela odbywającego służbę w Forcie Sheridana, i ten kumpel mówi:

– Hej, zgadnij, co dziś grają w jednostce! *Gunga Din*.

– Idziemy – ja na to.

– Trudna sprawa; jesteś cywilem.

Efekt? W pierwszy wieczór po zwolnieniu z powrotem wkładam mundur i zakradam się na teren jednostki, żeby obejrzeć *Gunga Din*. Zakradam się. W ciemności, jak złodziej. Cały zlany potem, z bijącym sercem i tak dalej). Jestem maniakiem przygód/akcji/jakkolwiek-to-nazwiecie. Nie opuściłem ani jednego filmu z Alanem Laddem czy Errolem Flynnem. Nadal nie opuszczam filmów z Johnem Wayne.

Moje prawdziwe życie rozpoczęło się w momencie, gdy ojciec zaczął mi czytać *Narzeczoną księcia*, gdy miałem dziesięć lat. Dowody? *Butch Cassidy i Sundance Kid* to bez wątpienia najpopularniejsze przedsięwzięcie, do jakiego przyłożyłem rękę. Jeśli „Times” wydrukuje po mojej śmierci wspomnienie o mnie, to właśnie z powodu *Butcha*. Dobra, o której zatem scenie wszyscy mówią, który moment zapada w pamięć mnie, wam i całej masie ludzi? Odpowiedź: skok z Urwiska. Doskonale. Pamiętam, że kiedy to pisałem, myślałem, że Urwisko, z którego skaczą, to w rzeczywistości Urwiska Szaleństwa z *Narzeczonej księcia*, skały, które wszyscy próbują pokonać. Mój umysł cofnął się wtedy w czasie do chwili, kiedy ojciec czytał mi o wspinaczce na Urwiska Szaleństwa i czyhającej w dole niechybnej śmierci.

Ta książka to najlepsza rzecz, jak przydarzyła mi się w życiu (przykro mi z tego powodu, Helen; Helen to moja żona, wzięty psychiatra dziecięcy) i na długo przed ślubem wiedziałem, że podzielę się nią z moim synem. Wiedziałem także, że będę miał syna. Kiedy więc urodził się Jason (gdymy był dziewczynką, nazywałby się Pemby – czy uwierzycie, że psychiatra dziecięcy mógłby nadać swym własnym dzieciom podobne imiona?) – w każdym razie, kiedy urodził się Jason, postanowiłem kupić mu *Narzeczoną księcia* w prezencie na dziesiąte urodziny.

Po czym na śmierć o tym zapomniałem.

Skok naprzód: hotel w Beverly Hills, zeszły rok, grudzień. Powoli dostaję szału, odbywając niekończące się spotkania w sprawie *Żon ze Stepford* Iry Levina, które adaptuję na srebrny ekran. Po południu dzwonię do żony, do Nowego Jorku – zawsze to robię, bo dzięki temu czuje się potrzebna – rozmawiamy i na zakończenie ona mówi:

– Och. Dajemy Jasonowi rower z dziesięcioma przerzutkami. Dziś go kupiłam. Sądzę, że to stosowne, a ty?

– Dlaczego stosowne?

– Daj spokój, Willy. Dziesięć lat – dziesięć przerzutek.

– Czy jutro są jego dziesiąte urodziny? Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Zadzwoń jutro wieczorem, to sam złożysz mu życzenia.

– Helen! – powiedziałem wtedy. – Posłuchaj, zrób coś dla mnie. Przedzwoń do księgarni i każ im przysłać *Narzeczoną księcia*.

– Zaczekaj, wezmę ołówek. – Chwila przerwy. – W porządku. Wal. Jaką narzeczoną?

– *Narzeczoną księcia*. To klasyka dziecięca. Powiedz mu, że go przepytam, kiedy wrócę w przyszłym tygodniu. Nie musi być zachwycony ani nic takiego, ale jeśli mu się nie spodoba, to powiedz, że się zabiję. Proszę, przekaż mu to dokładnie; nie chciałbym przesadnie go naciskać.

– Pocałuj mnie, ty wariacie.

– Mmmm-ach.

– I żadnych gwiazdek. – Zawsze się tak żegnała, kiedy byłem sam, na wolności w słonecznej Kalifornii.

– Wszystkie dawno wymarły. – To było moje pożegnanie. Rozłączyliśmy się.

I oto zdarzyło się, że następnego popołudnia w pobliżu pojawiła się nagle żywa, opalona gwiazdka o bujnych kształtach. Leżałem nonszalancko obok basenu, a ona przeszła koło mnie,

ubrana w bikini. Była wspaniała. Mam wolne popołudnie, nie znam nikogo, więc zaczynam zabawiać się myślami, w jaki sposób zagadnąć tę dziewczynę i nie zostać wyśmianym. Nigdy nie robię nic takiego, ale wymowne spojrzenia to świetna rozrywka, a w podpatrywaniu dziewcząt jestem prawdziwym fachowcem. Nie potrafię jednak wymyśleć nic, co miałoby cokolwiek wspólnego z rzeczywistością, więc zaczynam moją porcję pływania. Codziennie pływam prawie pół kilometra, ponieważ mam uszkodzony dysk u podstawy kręgosłupa.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem, osiemnaście basenów, a kiedy kończę, zdyszany zatrzymuję się przy krawędzi w głębszym krańcu i wtedy podpływa do mnie ta gwiazdka. Również opiera się o krawędź, całe piętnaście centymetrów ode mnie, jej mokre włosy błyszczą, ciało kryje się pod wodą, ale wiesz, że tam jest, i mówi (to dzieje się teraz):

– Przepraszam, ale czy pan jest Williamem Goldmanem, który napisał *Chłopców i dziewczęta*? To moja najulubiejsza książka na świecie.

Przywieram do krawędzi i kiwam głową; nie pamiętam, co konkretnie odpowiedziałem. (Kłamstwo: świetnie pamiętam, co powiedziałem, tylko że jest to zbyt kretyńskie, by cytować, w końcu, o bogowie, mam czterdzieści lat. „Goldman, tak, Goldman, jestem Goldman”. Wszystko to jednym tchem, jak pojedynczy wyraz, więc nie potrafię stwierdzić, czy w ogóle rozpoznała język, którym się posługiwałem.)

– Jestem Sandy Sterling. Cześć.

– Cześć, Sandy Sterling – wykrztusiłem, co, przynajmniej jak na mnie, było zupełnie zreczne; w podobnej sytuacji powiedziałbym to znowu.

W tym momencie wezwano mnie do telefonu.

– Zanuckowie ani na chwilę nie dają mi spokoju – mówię, a ona wybucha śmiechem. Ruszam więc szybko, zastanawiając się, czy to naprawdę bystra odpowiedź, i wreszcie uznaję, że tak, po czym rzucam do słuchawki:

– Bystra. – Nie „Halo”. Nie „Tu Bill Goldman”. Po prostu „bystra”.

– Czy powiedziałaś „bystra”, Willy? – To Helen.

– Jestem w trakcie narady, Helen, a zresztą będziemy rozmawiać dziś wieczorem. Po co dzwonisz w czasie lunchu?

– Agresja, agresja.

Nigdy nie dyskutujcie o agresji z żoną, która jest dyplomowaną freudystką.

– To nic takiego, tylko do szalu doprowadzają mnie te ich głupie pomysły. Co się stało?

– Chyba nic, z wyjątkiem tego, że nakład Morgensterna został wyczerpany. Sprawdziłam również w Doubleday. Mówiłeś o tym takim tonem, jakby to było dla ciebie ważne, więc chciałam cię zawiadomić, że Jason będzie musiał zadowolnić się swą jakże stosowną dziesięcioprzerzutkową machiną.

– Nieważne – odparłem. Sandy Sterling uśmiechała się z głębszego końca basenu. Prosto do mnie. – W każdym razie dzięki. – Już miałem odłożyć słuchawkę, ale w ostatniej chwili dodałem: – Jeżeli już jesteś przy tym, zadzwoń do Argosy przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Specjalizują się w rzadkich książkach.

– Argosy. Pięćdziesiąta Dziewiąta. W porządku. Do usłyszenia wieczorem. – Rozłączyła się.

Nie mówiąc: „I żadnych gwiazdek”. Kończyła tak każdą rozmowę, a tu nagle nic. Czyżby coś zdradził jej ton mojego głosu? Helen ma w tych sprawach niesamowite wyczucie – w końcu jest psychiatrą. Gdzieś w głębi duszy odezwało mi się dręczące poczucie winy.

Wróciłem na swój leżak. Sam.

Sandy Sterling przepłynęła parę basenów. Rozłożyłem nowojorski „Times”. W okolicy

wyczuwało się lekkie napięcie seksualne.

– Skończyłeś z pływaniem? – spytała.

Zwinąłem gazetę. Teraz Sandy stała tuż obok krawędzi basenu, blisko mojego leżaka.

Przytaknąłem, gapiąc się na nią.

– Który to Zanuck, Dick czy Darryl?

– To była moja żona. – Nacisk na ostatnie słowo.

Nie zraziło jej to. Wyszła z wody i położyła się na sąsiednim leżaku. Nieco przyciężka góra, ale ogólnie samo złoto. Jeśli ktoś lubi ten typ, Sandy Sterling musiała mu się podobać. Ja lubię ten typ.

– Jesteś tu z powodu Levina, prawda? *Żon ze Stepford*?

– Zajmuję się scenariuszem.

– Uwielbiam tę powieść. To moja najulubieńsza książka na świecie. Byłabym szczęśliwa, mogąc zagrać w takim filmie. Z twoim scenariuszem. Zrobiłabym wszystko za taką szansę.

Proszę bardzo. Sama wyłożyła na stół wszystkie karty.

Oczywiście natychmiast wyprowadziłem ją z błędu.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Ja nie robię takich rzeczy. Gdyby nie to, chętnie bym się zgodził, bo jesteś świetna, zresztą nie muszę ci o tym mówić. Tymczasem jednak życzę ci szczęścia. Życie jest zbyt skomplikowane nawet bez takich atrakcji.

Przynajmniej wydawało mi się, że to powiem. Potem jednak pomyślałem: „Chwileczkę, pokaż mi prawo, które każe ci odgrywać rolę jedyne go purytanina w przemyśle filmowym”. Pracowałem już z ludźmi, którzy mieli całe kartoteki podobnych spraw (to prawda, zapytajcie Joyce Haber). Nagle usłyszałem własne słowa:

– W wielu filmach grałaś?

Domyślacie się chyba, jak bardzo zależało mi na odpowiedzi na to pytanie.

– W niczym, co pozwoliłoby mi rozwinąć skrzydła, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Pan Goldman?

Uniosłem wzrok. To był pomocnik ratownika.

– Znowu do pana. – Podał mi telefon.

– Willy? – Sam dźwięk głosu żony wystarczył, by każdą cząstkę mego ciała przeszył dreszcz ślepego niepokoju.

– Tak, Helen?

– Masz jakiś dziwny głos.

– Co się stało, Helen?

– Nic, ale...

– Musiało się coś stać, inaczej byś nie dzwoniła.

– O co ci chodzi, Willy?

– O nic. Staram się tylko rozumować logicznie. Ostatecznie to ty zadzwoniłaś. Próbowalem jedynie ustalić dlaczego. – Jeśli naprawdę się przyłożę, w sumie potrafię zachować całkowitą obojętność.

– Coś przede mną ukrywasz.

Nic nie doprowadza mnie do większego szału niż te słowa w ustach Helen. Ponieważ, widzicie, ona oskarża mnie, że coś ukrywam tylko wtedy, kiedy istotnie coś ukrywam.

– Helen, jestem w tej chwili w trakcie narady. Co się stało?

Proszę, i znowu to samo. Skłamałem mojej żonie na temat innej kobiety i ta kobieta o tym wiedziała.

Sandy Sterling posłała mi z sąsiedniego leżaka zabójczy uśmiech.

– Argosy nie ma tej książki, nikt nie ma tej książki, do widzenia, Willy. – Odłożyła słuchawkę.

– To znowu żona?

Pokiwałem głową i położyłem telefon na stoliku obok.

– Widać, że dużo ze sobą rozmawiacie.

– Wiem – odparłem. – Pisanie w tych warunkach to prawdziwa męczarnia.

Zdaje się, że się uśmiechnęła.

W żaden sposób nie mogłem uspokoić walącego serca.

„Rozdział pierwszy. *Narzeczona*” – powiedział ojciec.

Musiałem chyba podskoczyć albo szarpnąć głową, bo Sandy odezwała się:

– Och?

– Mój oj... – zacząłem. – Myśla... – zacząłem. – Nic, nic – wykrztusiłem wreszcie.

– Spokojnie – mruknęła i obdarzyła mnie pełnym słodczy uśmiechem.

Jej dłoń na sekundę musnęła moją – delikatnie, zachęcająco. Zastanawiałem się, czy to możliwe, by była wyrozumiała. Świetna i wyrozumiała? Czy to zgodne z prawem? Helen nigdy nie była wyrozumiała. Co prawda zawsze tak twierdziła – „Doskonale rozumiem, dlaczego tak mówisz, Willy” – ale w skrytości ducha grzebała się w moich psychozach. Może zresztą była wyrozumiała, brakowało jej natomiast współczucia. I, oczywiście, nie była też świetna. Szczupła – owszem. Inteligentna – jak najbardziej.

– Poznałem moją żonę na uczelni – poinformowałem Sandy Sterling. – Właśnie robiła doktorat.

Sandy Sterling z wyraźnym trudem śledziła tok moich myśli.

– Byliście wtedy zaledwie dziećmi. Ile masz lat?

– Naprawdę czy dla prasy?

W tym momencie szczerze się roześmiałem. Świetna, wyrozumiała i zabawna?

„Sermierka. Zapasy. Tortury” – mówił mój ojciec. – „Miłość. Nienawiść. Zemsta. Olbrzymi. Zwierz wszelkiego rodzaju i pochodzenia. Prawda. Namietność. Cuda”.

Była dwunasta trzydzieści pięć, gdy powiedziałem:

– Tylko jeden telefon, dobrze?

– Jasne.

– Z informacją nowojorską – rzuciłem w słuchawkę, a kiedy uzyskałem połączenie, poprosiłem: – Czy mogłaby pani podać mi nazwy księgarni z Czwartej Alei? Musi ich tam być ze dwadzieścia. – Czwarta Aleja stanowi centrum anglojęzycznej części cywilizowanego świata, jeśli chodzi o rzadkie i używane książki. Podczas gdy telefonistka szukała, odwróciłem się do spoczywającego obok cudownego stworzenia. – Mój syn kończy dzisiaj dziesięć lat i chciałbym podarować mu w prezencie pewną książkę. To potrwa tylko chwilę.

– Nie ma sprawy – odparła Sandy Sterling.

– Mam tu jedną księgarnię pod nazwą Czwarta Aleja – stwierdziła telefonistka i podała mi numer.

– A co z innymi? Są tam wszystkie na kupie.

– Jeśli poda mi pan ich nazwy, z radością panu pomogę – powiedziała telefonistka typowym tonem pracowników kompanii Bella.

– Wystarczy mi ten jeden – odparłem, po czym poprosiłem centralę hotelową o połączenie z księgarnią. – Proszę posłuchać, dzwonię z Los Angeles – oświadczyłem. – Potrzebna mi

Narieczona księcia S. Morgensterna.

– Niestety, nie mamy – odparł na to facet i zanim zdążyłem dodać: „W takim razie, czy mógłby pan podać mi numery innych księgarń w okolicy?”, odłożył słuchawkę.

– Poproszę jeszcze raz ten sam numer – zwróciłem się do recepcjonistki i kiedy księgarz odebrał telefon, powiedziałem:

– Tu pański korespondent z Los Angeles. Następnym razem proszę nie rozłączać się tak szybko.

– Nie mamy tej książki, proszę pana.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ponieważ jednak jestem w Kalifornii, to czy mógłby pan podać mi nazwy i numery innych okolicznych sklepów? Może w którymś ją znajdę, a nie mam akurat pod ręką nowojorskiej książki telefonicznej.

– Oni nie pomagają mnie, ja nie pomagam im – on na to. I rozłączył się.

Siedziałem bez ruchu, trzymając w dłoni słuchawkę.

– Co jest takiego szczególnego w tej książce? – spytała Sandy Sterling.

– Nic – odparłem, odkładając słuchawkę. Po sekundzie poprawiłem się: – A jednak jest. – I ponownie ująłem telefon, by „już za chwileczkę” dotrzeć w końcu do mojego własnego wydawnictwa w Nowym Jorku, Harcourt Brace Jovanovich. Po kolejnych kilku „chwileczkach” sekretarka redaktora odczytała mi nazwy i numery wszystkich księgarń i antykwariatów w okolicy Czwartej Alei.

„Myśliwi” – mówił ojciec. – „Żli ludzie. Dobrzy ludzie. Najnajpiękniejsze damy.” – Przycupnął wewnątrz mojej czaszki, zgarbiony i łysy, i mrużąc oczy, usiłował czytać tak, by utrzymać syna przy życiu, by odpędzić osaczające go wilki.

Była pierwsza dziesięć, nim zdołałem skompletować listę i rozłączyłem się z sekretarką.

A potem zabrałem się za księgarnie.

– Dzień dobry, dzwonię z Los Angeles. Szukam książki *Narieczona księcia*, autorstwa S. Morgensterna, i...

– ...przykro mi...

– ...przykro mi...

Zajęte.

– ...już od lat nie...

Znów zajęte.

Pierwsza trzydzieści pięć.

Sandy pływa. Zaczyna być nieco zła. Zapewne myśli, że ją nabieram. Myli się, ale z pewnością tak to właśnie wyglądało.

– ...niestety, w grudniu miałem jedną...

– ...nic z tego, bardzo mi przykro...

– To jest nagrana wiadomość. Ten numer został wyłączony z eksploatacji. Proszę się rozłączyć i...

– ...nie, nie ma...

Sandy naprawdę wściekła. Ze złością zbiera rzeczy.

– ...kto dzisiaj czyta Morgensterna?...

Sandy odchodzi, odchodzi, śliczna, już jej nie ma.

– ...przykro mi, właśnie zamykamy...

Pierwsza pięćdziesiąt pięć. Czwarta pięćdziesiąt pięć w Nowym Jorku.

Panika w Los Angeles.

Zajęte.

Nikt nie odpowiada.

Nikt nie odpowiada.

– Chyba mam wersję floreńską. Gdzieś na zapleczu.

Uniosłem się na leżaku. Księgarz mówił z bardzo charakterystycznym akcentem.

– Potrzebuję tłumaczenia na angielski.

– W dzisiejszych czasach mało kto interesuje się Morgensternem. Sam już nie wiem, co tam mam. Proszę przyjść jutro, będzie się pan mógł rozejrzeć.

– Dzwonię z Kalifornii – odparłem.

– Pitu-pitu.

– Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby pan sprawdził.

– Zaczeka pan, aż to zrobię? Nie mam zamiaru płacić za tę rozmowę.

– Nie szkodzi, poczekam.

Zabrało mu to siedemnaście minut. Trwałem przy telefonie, nasłuchując. Od czasu do czasu dobierał mnie odgłos kroków, trzaśnięcie książki albo mruknięcie „aha”.

Wreszcie:

– No cóż, mam wersję floreńską, tak jak myślałem.

A byłem już tak blisko!

– Ale nie angielską.

I nagle ten człowiek zaczął wrzeszczeć.

– Zwariowałaś pan?! Mało nie skręcę sobie karku, a on mi mówi, że jej nie mam! Tak, mam ją, mam ją przed sobą i proszę mi wierzyć, będzie pana kosztowała sporo grosza!

– Świetnie! Naprawdę, nie żartuję. Proszę teraz posłuchać, oto, co pan robi: weźmie pan taksówkę i każe zawieźć się prosto na Park Avenue, a...

– Panie Kalifornia Pitu-pitu, to pan mnie posłuchaj: zanosi się na śnieżycę, a ja nie mam zamiaru ruszać się z miejsca, ani ja, ani te książki, póki nie dostanę pieniędzy – sześć pięćdziesiąt sztuka, cena na okładce – jeśli chcesz pan angielską, musisz wziąć też floreńską, a zamykam o szóstej. Te książki nie opuszczą sklepu, póki do moich rąk nie trafi trzynaście dolarów.

– Proszę nie ruszać się z miejsca – poleciłem, odkładając słuchawkę. Do kogo dzwonicie po godzinach pracy, z Bożym Narodzeniem tuż na karku? Oczywiście do swojego prawnika.

– Charley – powiedziałem, kiedy odebrał telefon. – Proszę, zrób coś dla mnie. Jedź na Czwartą Aleję, do księgarni Abramowitza, zapłać mu trzynaście dolarów za dwie książki, weź taksówkę do mnie do domu, daj je odźwiernemu i każ zanieść do naszego mieszkania, tak, wiem, że pada śnieg, co ty na to?

– Jest to tak dziwaczna prośba, że nie mogę odmówić.

Ponownie zadzwoniłem do Abramowitza.

– Mój prawnik jest już w drodze.

– Żadnych czeków – zastrzegł się Abramowitz.

– Wprost tryska pan życzliwością.

Odłożyłem telefon i zacząłem liczyć. Mniej więcej dwie godziny rozmów zamiejscowych, dolar trzydzieści pięć za pierwsze trzy minuty plus trzynaście za książki, plus jakieś dziesięć za taksówkę Charleya i około sześćdziesięciu za jego czas daje w sumie...? Jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów. Wszystko po to, aby Jason dostał Morgensterna. Wyciągnąłem się na leżaku i przymknąłem oczy. Dwieście pięćdziesiąt dolarów, nie licząc nawet dwóch godzin

męczarni i nerwów. I nie zapominajmy też o Sandy Sterling.

Darmocha.

Zadzwonili do mnie w pół do ósmej. Byłem już w moim hotelowym apartamencie.

– Oszałał na punkcie roweru – oznajmiła Helen. – Nie można go z niego ściągnąć.

– Wspaniale.

– I doręczono twoje książki.

– Jakie książki? – spytałem; Chevalier nie potrafiłby lepiej odegrać obojętności.

– *Narzeczoną księcia*. W różnych językach, na szczęście także po angielsku.

– Cóż, to miłe – odparłem, nadal zachowując kamienny spokój. – Praktycznie zapomniałem, że kazałem je przysłać.

– Skąd je wytrzasnąłeś?

– Zadzwoiłem do sekretarki mojego redaktora i poprosiłem, żeby zorganizowała parę sztuk. Kto wie, może mieli je u Harcourta? – (Rzeczywiście, Harcourt miał jeszcze egzemplarze, wyobrażacie to sobie? Prawdopodobnie za parę stron wyjaśnię, skąd się tam wzięły.) – Daj mi dzieciaka.

– Cześć – powiedział mój syn sekundę później.

– Posłuchaj, Jasonie. Myśleliśmy o tym, żeby dać ci na urodziny rower, ale zdecydowaliśmy, że to marny pomysł.

– I tu się mylisz. Już go dostałem.

Jason odziedziczył po matce kompletny brak poczucia humoru. Zresztą nie wiem, może to on jest zabawny, a ja nie. Jedno, co mogę stwierdzić z całą pewnością, to to, że rzadko śmiejemy się razem. Mój syn Jason wygląda naprawdę niesamowicie – pomalujcie go na żółto, a zostanie podporą szkolnej drużyny sumo. Tłuszczoch. Cały czas rusza szczęką. Sam dbam o sylwetkę, pocziwą starą Helen widać tylko z przodu, w dodatku jest wiodącym dziecięcym psychiatrą Manhattanu, tymczasem nasz dzieciak toczy się szybciej, niż idzie. „Jedzenie jest dla niego środkiem ekspresji”, powtarza zawsze Helen. „W ten sposób wyraża swe niepokoje. Kiedy poczuje, że jest w stanie stawić im czoło, schudnie”.

– Hej, Jason! Mama powiedziała, że doszła już książka ode mnie. Ta *Narzeczona*... Byłoby mi miło, gdybyś przeczytał ją do mojego powrotu. Uwielbiałem ją jako dziecko i ciekawi mnie twoja reakcja.

– Czy ja też muszę ją uwielbiać? – Nieodrodny syn swojej matki.

– Nie, nie. Powiedz prawdę, tylko to, co myślisz. Tęsknię za tobą, chłopie. Porozmawiamy jeszcze w twoje urodziny.

– I tu się mylisz. Dzisiaj są moje urodziny.

Przekomarzaliśmy się jeszcze przez chwilę, nie mając już sobie właściwie nic do powiedzenia. Potem to samo było z małżonką, póki nie zakończyłem rozmowy, przyrzekając, że wrócę przed upływem tygodnia.

Zjawiłem się dopiero po dwóch.

Narady przeciągały się, producenci wpadali na znakomite pomysły, które należało dyplomatycznie utrać, trzeba też było ugłaskać ego reżyserów. W każdym razie mój pobyt w słonecznej Kalifornii nieco się przeciągnął. Wreszcie jednak pozwolono mi na powrót w ramiona stęsknionej rodziny, więc błyskawicznie zadzwoniłem na lotnisko w Los Angeles, żeby nikt nie zdążył zmienić zdania. Dotarłem tam dość wcześnie, jak zawsze w drodze do domu, ponieważ muszę wyładować kieszenie różnymi drobiazgami dla Jasona. Za każdym razem, kiedy wracam z podróży, rzuca się biegiem (człapie) w moją stronę, wyjąc: „Kieszenie, kieszenie, chcę

zobaczyć kieszenie!”. Potem przeszukuje je dokładnie, wyławiając kolejne łupy, a kiedy zgromadzi już całość, ściska mnie serdecznie. Czy to nie okropne, do jakich rzeczy posuwamy się na tym świecie tylko po to, by czuć się potrzebni?

– Kieszenie, chcę zobaczyć kieszenie! – krzyknął Jason i runął przez hol.

Było czwartkowe popołudnie i podczas gdy odprawiał swój rytuał, Helen wychynęła z biblioteki, ucałowała mnie w policzek i zauważyła:

– Kto by pomyślał, że poślubiłam takiego przystojniaka. – Co również należy do rytuału; potem obładowany prezentami Jason obdarzył mnie czymś w rodzaju uścisku i śmignął (poturlał się) do swojego pokoju.

– Angelica właśnie wstawia obiad – oznajmiła Helen. – Nie mogłeś przyjechać w lepszym momencie.

– Angelica?

Helen przyłożyła palec do ust i szepnęła:

– Jest tu trzeci dzień, ale myślę, że okaże się prawdziwym skarbem.

– A co się stało ze skarbem, który mieliśmy przed moim wyjazdem? – szepnąłem w odpowiedzi. – Była u nas dopiero od tygodnia.

– Sprawiała mi zawód – odrzekła Helen. To wszystko.

(Helen jest niezwykle inteligentną kobietą – najlepsza w college’u, studia ukończone ze wszystkimi możliwymi honorami, intelekt o ogromnej rozpiętości i osiągnięciach – tyle że nie potrafi utrzymać służącej. Po pierwsze, mam wrażenie, że czuje się winna, zatrudniając jakąkolwiek osobę, bowiem większość dostępnych w dzisiejszych czasach osób to Murzynki albo Portorykanki, a Helen jest ultra-super-liberalna. Po drugie, jest tak sprawna, że je przeraża. Wszystko umie zrobić lepiej niż one i wie o tym, wie również, że one wiedzą. Po trzecie, gdy już doprowadzi je do paniki, próbuje wyjaśniać – w końcu zajmuje się też psychoanalizą – czemu nie powinny się bać, a po solidnej półgodzinie grzebania we własnej osobowości one są już w obecności Helen na dobre przerażone. W każdym razie w ciągu ostatnich lat przez nasz dom przewijały się przeciętnie cztery „skarby” rocznie.)

– Mieliśmy ostatnio pecha, ale to się zmieni – oznajmiłem z całą ufnością, na jaką tylko było mnie stać. Kiedyś drażniłem się z nią na temat jej kłopotów ze służącymi, ale szybko nauczyłem się, że nie jest to zbyt rozsądne.

Wkrótce potem obiad był już gotowy, toteż obejmując jednym ramieniem żonę, a drugim syna ruszyłem w stronę jadalni. W tym momencie czułem się zadowolony, bezpieczny i w ogóle miałem miły nastrój. Jedzenie stało już na stole: szpinak, tłuczone kartofle, sos i pieczeń; wspaniale, z tym że ja nie przepadam za pieczenią, bo wolę krwiste mięso, ale szpinak to moja ulubiona potrawa, więc w sumie na obrusie rozłożono zupełnie jadalny posiłek. Usiedliśmy. Helen pokroiła mięso, resztę nakładaliśmy sobie sami. Mój plaster pieczeni nie był specjalnie soczysty, ale sos rekompensował mi ten mankament. Helen zadzwoniła i w pokoju zjawiała się Angelica. Miała osiemnaście, dwadzieścia lat, była śniada i powolna.

– Angelico – zaczęła Helen. – To jest pan Goldman.

– Cześć! – rzuciłem z uśmiechem, wymachując widelcem.

Pozdrowiła mnie skinieniem głowy.

– Angelico, nie odbierz tego jako krytyki pod twoim adresem, ponieważ wszystko, co się stało, jest wyłącznie moją winą, ale na przyszłość naprawdę obie musimy pamiętać, że pan Goldman woli krwistą polędwicę...

– To była polędwica? – zdumiałem się.

Helen zmiażdżyła mnie wzrokiem.

– Oczywiście nic się nie stało, Angelico, i powinnam ci była kilka razy opowiedzieć o upodobaniach pana Goldmana, ale następnym razem, kiedy będziemy robić wołowinę, postarajmy się, żeby środek pozostał różowy, dobrze?

Angelica wycofała się do kuchni. Jeszcze jeden „skarb” z głowy.

Pamiętajcie, wszyscy troje rozpoczęliśmy obiad w radosnym nastroju. Dwóch z nas pozostało w tym stanie, Helen natomiast sprawiała wrażenie nieco podenerwowanej.

Jason pewnymi, wyćwiczonymi ruchami ręki ładował na swój talerz prawdziwą górę ziemniaków.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Hej – zagadnąłem – przyhamuj trochę, co, chłopie?

Kolejna łyżka z plaśnięciem wylądowała na talerzu.

– Jasonie, masz już pełno.

– Jestem naprawdę głodny, tato – rzucił, nie podnosząc wzroku.

– Więc weź więcej pieczeni. Jedz tyle mięsa, ile zechcesz, nie powiem ani słowa.

– W ogóle nic nie będę jadł! – powiedział gwałtownie Jason i odepchnął talerz, po czym splótł ręce i wpatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Gdybym była ekspedientką w sklepie meblowym – wtrąciła Helen – albo może kasjerką w banku, zdołałabym cię zrozumieć. Ale jak możesz mówić takie rzeczy po tylu latach małżeństwa z psychiatrą? Zupełnie jakbyś urwał się ze średniowiecza.

– Helen, chłopak ma nadwagę. Proponowałem tylko, aby zostawił kilka kartofli reszcie świata i zamiast tego najadł się tą wspaniałą pieczenią, którą twój skarb sprokurował na mój tryumfalny przyjazd.

– Willy, nie chciałabym cię zszokować, ale tak się składa, że Jason ma nie tylko lotny umysł, lecz także niezwykle bystry wzrok. Zapewniam cię, że kiedy patrzy na siebie w lustrze, dostrzega, że nie jest szczupły. To dlatego, że na tym etapie nie pragnie być szczupły.

– Niedługo zaczniesz umawiać się na randki, Helen. Co wtedy?

– Jason ma dziesięć lat, kochanie, i na tym etapie nie interesują go dziewczęta. Teraz ciekawią go rakiety. Jaką różnicę sprawia miłośnikowi rakiet niewielka nadwaga? Kiedy uzna, że chce być szczupły, zapewniam cię, że ma dość inteligencji i siły woli, by się takim stać. Do tego czasu jednak proszę cię, abyś w mojej obecności nie frustrował dziecka.

Przed moimi oczami tańczyła Sandy Sterling w bikini.

– Nie będę nic jadł, i tyle – oświadczył Jason.

– Drogie dziecko – powiedziała Helen tonem, który na tym świecie rezerwuje sobie wyłącznie na podobne sytuacje – myśl logicznie. Jeśli nie zjesz tych kartofli, będziesz zły i ja będę zła; twój ojciec, jak widać, już jest zły. Jeżeli je zjesz, będę zadowolona, ty będziesz zadowolony, twój brzusek będzie zadowolony. Nie możemy nic zrobić, jeśli chodzi o twojego ojca. Twoje postępowanie może więc zdenerwować wszystkich, z wyjątkiem jednej osoby, co do której, jak już wspomniałam, nie da się nic zrobić. Konkluzja zatem winna być oczywista; pokładałam wiarę w twoją zdolność samodzielnego wyciągania wniosków. Rób, jak uważasz, Jasonie.

Mój syn zaczął wpychać w siebie jedzenie.

– Robisz z chłopaka spaślaka – mruknąłem, ale tak cicho, że nie słyszał tego nikt poza mną samym i Sandy.

A potem odetchnąłem głęboko, bardzo głęboko, bo zawsze, kiedy wracam do domu, zaczynają się kłopoty. Helen twierdzi, że to dlatego, iż wraz z sobą przywożę napięcie. Stale potrzebuję

nadludzkich dowodów, że za mną tęsknili, że wciąż mnie potrzebują, kochają... Co do mnie, wiem jedynie, że nienawidzę przebywać poza domem, lecz najgorszy jest sam powrót. Nie ma też wielkich szans, abyśmy zagłębili się w pogawędkę „co słyhać od mojego wyjazdu?”, bowiem i tak rozmawiamy z Helen co wieczór.

– Założę się, że dokonujesz cudów na tym rowerze – zagadnąłem. – Może w weekend wybierzemy się razem na przejażdżkę?

Jason uniósł wzrok znad swoich ziemniaków.

– Strasznie podobała mi się ta książka, tato. Była naprawdę super.

Jego słowa zaskoczyły mnie, bo naturalnie właśnie po to poruszyłem temat prezentów. Ale też przecież, jak zawsze powtarza Helen, Jason nie jest głupi.

– Cóż, cieszę się – stwierdziłem. I rzeczywiście ogarnęła mnie ogromna radość.

Jason kiwnął głową.

– Może to nawet najlepsza książka, jaką w życiu czytałem.

Zacząłem przeżuwać szpinak.

– Jaki jest twój ulubiony fragment?

– Rozdział pierwszy. *Narieczona*.

To naprawdę mnie zdumiało. Nie żeby rozdział pierwszy był marny czy coś takiego, ale nie dzieje się w nim zbyt wiele w porównaniu z niesamowitymi rzeczami w dalszych partiach powieści. – A co sądzisz o wspinałce na Urwiska Szaleństwa? – spytałem. To był rozdział piąty.

– Och, super – odparł Jason.

– A opis Zoo Śmierci księcia Humperdincka? – To w drugim rozdziale.

– Jeszcze lepsze.

– Co mnie przy nim uderzyło – ciągnąłem – to fakt, że mimo iż sam opis jest bardzo krótki, w jakiś sposób ma się po nim wrażenie, że Zoo pojawi się jeszcze później. Czy ty też tak to odebrałaś?

– Mmmm-hmmm – przytaknął Jason. – Super.

W tym momencie wiedziałem już, że jej nie przeczytał.

– Naprawdę próbował – wtrąciła Helen. – Skończył pierwszy rozdział. Drugi okazał się nie do zniesienia, więc kiedy podjął już dostateczne, dopuszczalne rozsądkiem starania, kazałam mu przestać. Różni ludzie mają różne gusta. Powiedziałam mu, że to zrozumiesz, Willy.

Oczywiście, że rozumiałem. Mimo to czułem się tak bardzo opuszczony.

– Nie podobała mi się, tato. Staralem się.

Uśmiechnąłem się do niego. Jak mogła mu się nie spodobać? Namiętność. Pojedynki. Cuda. Olbrzymi. Prawdziwa miłość.

– Szpinaku też nie jesz? – spytała Helen.

Wstałem.

– Zmiana czasu. Nie jestem głodny.

Nie odezwała się ani słowem, póki nie usłyszała, jak otwieram frontowe drzwi.

– Dokąd idziesz?! – zawołała.

Gdybym wiedział, odpowiedziałbym jej.

Wędrowałem przez grudniową noc. Bez płaszcza. Jednak w ogóle nie czułem zimna. Wiedziałem tylko, że mam czterdzieści lat i nie chciałem, aby tak wyglądało moje życie, gdy osiągnę ten wiek – uwięziony z genialną żoną psychologiem i baloniastym synem. Musiała być już dziewiąta, kiedy usiadłem na ławce w środku Central Parku, sam. W pobliżu nie było nikogo,

wszystkie inne ławki pozostawały puste.

I właśnie wtedy usłyszałem szelest w krzakach. Po chwili ucichł. I znów. Barrrdzo cichy. Zbliżał się.

Odwrociłem się gwałtownie.

– Odczep się ode mnie! – krzyknąłem i ktokolwiek to był – przyjaciel, wróg, wyobraźnia – uciekł. Słyszałem tupot biegnących stóp i coś sobie uświadomiłem: wtedy, w tym momencie, byłem niebezpieczny.

Potem zrobiło się zimno. Wróciłem do domu. Helen przeglądała w łóżku jakieś notatki. W normalnych okolicznościach rzuciłaby jakąś uwagę o tym, że jestem trochę za stary na tak dziecinne zachowanie. Zapewne jednak nadal otaczała mnie groźna aura. Wyczytałem to w jej sprytnych oczach.

– Naprawdę próbował – rzekła wreszcie.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Gdzie jest książka?

– Chyba w bibliotece.

Zawróciłem, kierując się ku drzwiom.

– Potrzebujesz czegoś?

Odparłem, że nie. Potem poszedłem do biblioteki, zamknąłem się na klucz i wyłowilem egzemplarz *Narzeczonej księżcia*. Oglądając oprawę, stwierdziłem, że jest w całkiem niezłym stanie, i wtedy ujrzałem, że opublikowało ją moje własne wydawnictwo, Harcourt Brace Jovanovich. Tylko dużo wcześniej, wtedy nie nazywali się jeszcze nawet Harcourt, Brace & World. Po prostu zwykłe Harcourt, Brace, kropka. Otworzyłem książkę na stronie tytułowej i poczułem się nieco dziwnie, bo nigdy przedtem tego nie robiłem; to mój ojciec zawsze zajmował się lekturą. Ujrawszy prawdziwy tytuł, nie mogłem powstrzymać uśmiechu, bowiem widniało tam czarno na białym:

NARZECZONA KSIĘCIA

KLASYCZNA OPOWIEŚĆ O PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI I WIELKIEJ PRZYGODZIE

PIÓRA S. MORGENSTERNA

Trudno nie podziwiać faceta, który nazwał swą nową powieść klasyczną, jeszcze zanim została wydana i zanim ktokolwiek poza nim samym miał okazję ją przeczytać. Może uznał, że jeśli on tego nie robi, to nie robi tego nikt inny, albo może podsuwał trop krytykom; nie wiem. Przejrzałem pierwszy rozdział, który wyglądał prawie tak, jak go zapamiętałem. Następnie zacząłem przerzucać kartki drugiego rozdziału, opowiadającego o księciu Humperdincku i zawierającego krótki, fascynujący opis Zoo Śmierci.

I wtedy zacząłem pojmować, na czym polega problem.

Nie, żeby opisu tam nie było. Był. I znów: prawie taki, jakim go pamiętałem. Ale zanim się do niego doszło, trzeba było pokonać jakieś sześćdziesiąt stron traktujących o przodkach księcia Humperdincka i o tym, jak jego rodzina doszła do władzy we Florencie, o ślubach, o tym, jak syn tego i tego spłodził tamtego, który poślubił kogoś jeszcze, a potem przeskoczyłem do trzeciego rozdziału, zatytułowanego *Zaloty*, zawierającego historię Guldenu i szczegóły, w jaki sposób kraj ten zyskał swoje miejsce w świecie. Im więcej czytałem, tym jaśniej uświadamiałem sobie,

że Morgenstern nie miał bynajmniej zamiaru tworzyć książki dla dzieci. Jego dzieło to coś w rodzaju satyrycznej historii ojczyzny autora i upadku monarchii w cywilizacji Zachodu.

Ale mój ojciec czytał mi jedynie fragmenty przygodowe, najlepsze wyjątki. Nie zwracał sobie głowy poważną stroną powieści.

Około drugiej nad ranem zadzwoniłem do Hiram. Hiram Haydn był moim redaktorem od kilkunastu lat, to jest od czasu *Żołnierza w deszczu*, i wiele razem przeszliśmy, ale nigdy jeszcze nie odbywaliśmy rozmów telefonicznych o drugiej w nocy. Wiem, że do dziś dnia nie potrafi zrozumieć, czemu nie mogłem poczekać do śniadania. „Czy na pewno dobrze się czujesz, Bill?”, powtarzał.

– Cześć, Hiram – zagailem, gdy odebrał po sześciu dzwonek. – Posłuchaj, tuż po pierwszej wojnie światowej opublikowaliście pewną książkę. Co sądzisz o pomysle, żebym zrobił z niej wybór tak, by można ją było wydać na nowo?

– Czy na pewno dobrze się czujesz, Bill?

– Ależ tak, świetnie, i widzisz, wykorzystałbym tylko najlepsze kawałki. Wypełniłbym przerwy w akcji, pozostawiając w spokoju najciekawsze fragmenty. Co ty na to?

– Bill, tu jest druga w nocy. Czy nadal siedzisz w Kalifornii?

Udałem zdumienie i zakłopotanie, żeby nie pomyślał, że zwariowałem.

– Przepraszam cię, Hiram. Boże, co za dureń ze mnie! W Beverly Hills jest dopiero jedenasta. Ale czy sądzisz, że mógłbyś spytać o to pana Jovanovicha?

– Teraz?

– Jutro, pojutrze, nie ma pośpiechu.

– Spytam go, o co chcesz, choć nie jestem całkiem przekonany, czy dobrze rozumiem, o co ci chodzi. Czy aby na pewno dobrze się czujesz, Bill?

– Jutro wracam do Nowego Jorku. Zadzwonię do ciebie i pogadamy o szczegółach, dobra?

– Mógłbyś jednak zrobić to raczej w godzinach pracy?

Roześmiałem się, po czym wymieniliśmy pożegnania i zadzwoniłem do Ziga w Kalifornii. Evarts Ziegler był moim agentem filmowym od ponad ośmiu lat. Wynegocjował dla mnie umowę na *Butcha Cassidy*. Jego też obudziłem.

– Posłuchaj, Zig, czy mógłbyś załatwić mi przedłużenie terminu na *Żony ze Stepford*? Wynikła mi tu jedna sprawa.

– Według kontraktu masz zacząć natychmiast. Jak długie ma być to opóźnienie?

– Sam jeszcze nie wiem. Nigdy przedtem nie skracałem książki. Jak sądzisz, co mogą zrobić?

– Jeżeli to potrwa zbyt długo, zagrozą ci procesem i skończy się na tym, że stracisz pracę.

Stało się mniej więcej tak, jak przewidywał: zagrozili mi procesem i omal nie straciłem pracy oraz sporej sumy pieniędzy. Nie przysporzyłem też sobie przyjaciół w „przemysle”, jak my, siedzący w show-biznesie, nazywamy film.

Ale zrobiłem ten skrót i właśnie trzymacie go w rękach. Najlepsze kawałki.

* * *

Po co właściwie pchałem się w to wszystko?

Helen naciska, abym zastanowił się nad odpowiedzią na to pytanie. Uważa, że to ważne – niekoniecznie dla niej, ale dla mnie.

– Ponieważ zachowywałaś się jak wariat, Willy – stwierdziła. – Naprawdę się zlekąłem.

I co z tego?

Nigdy nie byłem specjalistą w introspekcji. Wszystko, co piszę, to sprawa impulsu. To wygląda dobrze, tamto brzmi źle – coś takiego. Nie potrafię analizować, a przynajmniej nie własne postępowanie.

Naprawdę nie oczekuję, żeby ta książka zmieniła czyjeś życie, tak jak kiedyś odmieniła moje.

Ale weźcie tytułowe słowa – „prawdziwa miłość i wielka przygoda”. Kiedyś naprawdę w nie wierzyłem. Uważałem, że moje życie potoczy się takim szlakiem. Modliłem się, by tak było. Oczywiście nic takiego się nie stało, nie sądzę zresztą, by na świecie pozostała jeszcze wielka przygoda. W dzisiejszych czasach nikt nie wyciąga szpady, by krzyknąć: „Witaj! Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć!”.

I możecie też zapomnieć o prawdziwej miłości. Nie przypuszczam, abym cokolwiek naprawdę kochał, poza piwiarnią u Petera Lugera i enchiladą z serem w El Parador. (Przykro mi z tego powodu, Helen.)

W każdym razie oto „najlepsze wyjątki” *Narzeczonej księżca*. Napisał je S. Morgenstern. Mój ojciec przeczytał mi je kiedyś. A teraz ja daję je wam. Jesteśmy bardzo ciekawi, co z nimi zrobicie.

Nowy Jork,
grudzień 1972

ROZDZIAŁ PIERWSZY



NARZECZONA



WROKU NARODZIN BUTTERCUP najpiękniejszą kobietą na świecie była francuska pomywaczka o imieniu Annette. Annette mieszkała w Paryżu, w pałacu Diuka i Diuszesy de Guiche; uwadze Diuka nie umknął fakt, iż ktoś niezwykle poleruje u niego platerę. Spostrzeżenie Diuka nie uszło z kolei uwagi Diuszesy, która nie była może zbyt piękna ani bardzo bogata, lecz miała dużo sprytu. Diuszesa zaczęła obserwować Annette i wkrótce odkryła tragiczną namiętność swojej przeciwniczki.

Czekoladę.

Następnie, uzbrojona w tę wiedzę, Diuszesa ruszyła do ataku. Pałac de Guiche zamienił się w krainę słodkości. Gdziekolwiek byś nie spojrzal – cukierki. W jadalniach piętrzyły się stopy miętówek w czekoladzie, w salonach stały kosze pełne czekoladowych pralinek.

Annette nie miała najmniejszych szans. W ciągu jednego sezonu jej figura z delikatnej stała się zwalista i odtąd, gdy Diuk spoglądał w jej stronę, w jego oczach zawsze malował się tęskny smutek. (Warto tu zauważyć, że sama Annette radośnie przyjęła nagły przyrost swej wagi. Ostatecznie poślubiła cukiernika i oboje jedli bardzo dużo, póki w końcu nie umarli ze starości. Warto też dodać, że dla Diuszesy sprawy nie ułożyły się tak pomyślnie. Z powodów przekraczających ludzkie rozumienie Diuk zakochał się wkrótce we własnej teściowej, co z kolei sprawiło, iż Diuszesa dostała wrzodu żołądka, tyle że wtedy nie było jeszcze wrzodów. Ścisłej mówiąc, wrzody istniały, ludzie cierpieli na nie, lecz nie nazywano ich jeszcze „wrzodami”. W owych czasach przedstawiciele profesji medycznej określali je mianem „bólów brzucha” i jako najlepsze lekarstwo zalecali kawę, szczerze doprawioną koniakiem, dwa razy dziennie aż do ustania dolegliwości. Diuszesa posłusznie zażywała miksturę, przyglądając się przez lata, jak za jej plecami mąż i matka przesyłają sobie całusy. Nic dziwnego, że zrzędlivość Diuszesy stała się legendarna, jak pięknie napisał Wolter. Tyle że zdarzyło się to jeszcze przed Wolterem.)

W roku, w którym Buttercup ukończyła dziesięć lat, najpiękniejsza kobieta mieszkała w Bengalu i była córką majątnego handlarza herbatą. Jej imię brzmiało Aluthra, a cera miała idealny, smagły odcień, niewidziany w Indiach od osiemdziesięciu lat. (W Indiach zdarzyło się tylko jedenaście przypadków idealnej cery, odkąd rozpoczęto dokładne obliczenia.) Aluthra miała dziewiętnaście lat, gdy w Bengalu wybuchła epidemia ospy. Dziewczyna ocalała, choć nie dało się tego powiedzieć o jej skórze.

W roku piętnastych urodzin Buttercup najpiękniejszą istotą na ziemi była niewątpliwie Adela Terrell z Sussexu nad Tamizą. Adela miała dwadzieścia lat i tak dalece przewyższała pozostałe kobiety, że wydawało się, iż przez wiele, wiele lat utrzyma palmę pierwszeństwa. Ale pewnego dnia jeden z jej zalotników (a miała ich stu czterech) wykrzyknął, że Adela bez wątpienia jest najbliższą ideałowi istotą na świecie. Adela, której to bardzo pochlebiało, zaczęła rozmyślać nad prawdziwością tego stwierdzenia. Tej nocy, samotna w swej sypialni, dokładnie obejrzała w lustrze każdy por własnej twarzy (lustra już istniały). Dopiero nad ranem zakończyła tę inspekcję, lecz do tego czasu jasno pojęła, iż młody człowiek nie mylił się w ocenie: była, bez żadnej swojej winy, idealna.

Przechadzając się po różnym ogrodzie o wschodzie słońca, czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

– Nie tylko jestem idealna – powiedziała do siebie. – Najprawdopodobniej osiągnęłam to jako

pierwsza od początku istnienia wszechświata. Żadnego rysu mojej twarzy nie da się już udoskonalić. Jakież to szczęście, że jestem idealna, bogata, popularna, wrażliwa, młoda i...

Młoda?

Mgła unosiła się wokół, gdy Adela znów zaczęła myśleć. Oczywiście zawsze będę wrażliwa i nigdy nie zabraknie mi majątku, ale nie widzę, w jaki sposób mogłabym na zawsze zachować młodość. A kiedy nie będę już młoda, jak mam pozostać idealna? A jeśli nie będę idealna, to cóż... co jeszcze liczy się na tym świecie? Zaiste, co jeszcze? Adela zmarszczyła brwi, rozmyślając desperacko. Po raz pierwszy w życiu jej brew się zmarszczyła i Adela jęknęła, uświadomiwszy sobie, co właśnie zrobiła, przerażona, że w jakiś sposób uszkodziła ją, być może na zawsze. Pospieszyła z powrotem do lustra, gdzie spędziła cały ranek, i choć zdołała się przekonać, iż nadal jest równie idealna co zawsze, bez dwóch zdań nie była już taka szczęśliwa, jak kiedyś.

Zaczęła się niepokoić.

Następne dwa tygodnie przyniosły pierwsze rysy na twarzy. Po miesiącu miała już lekkie zmarszczki, po roku – ogromne. Wkrótce potem wyszła za mąż za tego samego mężczyznę, który oskarżył ją kiedyś o idealną urodę, i z radością na wiele lat zmieniła jego życie w piekło.

Rzecz jasna Buttercup w wieku piętnastu lat nie miała o tym pojęcia. A gdyby nawet się dowiedziała, uznałaby to za zupełnie niepojęte. Po co ktoś miałby przejmować się tym, czy jest najpiękniejszą kobietą świata, czy nie? Jaka to różnica, czy się jest trzecią z najpiękniejszych? Albo szóstą? (Buttercup w tym czasie nie lokowała się bynajmniej tak wysoko. Z ledwością mieściła się w pierwszej dwudziestce, a i to głównie z powodu posiadanego potencjału. Nienawidziła mycia twarzy, nie znosiła obszarów skóry za uszami, dostawała szał przy rozczesywaniu włosów i starała się to robić najrzadziej, jak tylko mogła.) Jej ulubionymi zajęciami, ukochanymi ponad wszystko inne, była jazda na koniu i drwiny z parobka.

Imię konia brzmiało „Koń” (Buttercup nigdy nie wyróżniała się zbyt bogatą inwencją); przychodził, kiedy go wołała, szedł zgodnie z jej wskazaniem i robił to, co mu poleciła. Parobek również robił to, co kazała. W istocie był już raczej młodym mężczyzną, ale od czasu gdy osierocony zatrudnił się u ojca Buttercup, ta nazywała go parobkiem.

– Parobku, podaj mi to. Przynieś mi tamto, parobku; szybko, leniuchu, biegnij już, albo poskarżę się ojcu.

– Jak każesz.

Zawsze odpowiadał w ten sam sposób: „Jak każesz”. „Przynieś to, parobku”. „Jak każesz”. „Wytrzymaj tamto”. „Jak każesz”. Mieszkał w szopie obok zagrody dla zwierząt i, wedle matki Buttercup, utrzymywał tam nienaganny porządek. Kiedy zdołał zdobyć świece, często nawet czytał.

– Zostawię mu w spadku z akr ziemi – zwykł mawiać ojciec Buttercup (mieli już wtedy akry).

– Rozpuścisz go – odpowiadała zawsze matka.

– Harował przez tyle lat; ciężka praca winna zostać wynagrodzona.

Następnie, zamiast ciągnąć kłótnię (kłótnie też już wtedy się zdarzały) oboje zwracali się przeciw córce.

– Nie kąpałaś się – rzucał ojciec.

– Kąpałam, kąpałam – to Buttercup.

– Nie w wodzie. Cuchniesz jak ogier.

– Przez cały dzień jeździłam konno – wyjaśniała córka.

– Musisz się kąpać, Buttercup – dołączała do dyskusji matka. – Chłopcy nie lubią, kiedy ich

dziewczęta śmierzdzą stajnią.

– A, chłopcy! – wybuchła Buttercup. – Nie interesują mnie „chłopcy”. Piękne dzięki. Koń mnie kocha i uważam, że to zupełnie wystarczy.

Przemowę tę wygłaszała głośno i bardzo często.

Ale, czy jej się to podobało, czy nie, sprawy toczyły się własnym torem.

Na krótko przed szesnastymi urodzinami Buttercup uświadomiła sobie, iż minął już miesiąc od czasu, gdy odezwała się do niej jakakolwiek dziewczyna z wioski. Nigdy nie utrzymywała zbyt bliskich kontaktów z dziewczętami, więc nie była to jakaś gwałtowna zmiana, ale przedtem przynajmniej pozdrowiały się kiwnięciem głowy, gdy przejeżdżała między chatami albo handlowym traktem. Teraz jednak, z niewiadomych przyczyn, nic. Szybkie zerknięcie na bok, gdy się zbliżała, to wszystko. Pewnego dnia Buttercup osaczyła w kącie u kowala Cornelie i spytała o otaczającą ją ciszę.

– Można by sądzić, że po tym, co zrobiłaś, będziesz miała dość wstydu, by o to nie pytać.

– Ale co ja takiego zrobiłam?

– Co? Co?... Ukradłaś ich! – Z tymi słowy Cornelia uciekła, lecz Buttercup zrozumiała; wiedziała, kim byli „oni”.

Chłopcy.

Chłopcy ze wsi.

Tępogłowi, bezmyślni, gapiowaci, ptasiomózdzcy, cielęcoocy, postrzeleni, bezsensowni, bzdurni chłopcy.

Jak można oskarżać ją o to, że ich ukradła? Po co w ogóle komukolwiek chłopcy? Wciąż tylko nękali ją, dokuczali i drażnili.

– Czy mogę wyszczotkować twojego konia, Buttercup?

– Dziękuję, ale zawsze robi to parobek.

– Czy mogę się z tobą przejechać, Buttercup?

– Dziękuję, ale naprawdę wolę być sama.

– Myślisz, że jesteś dla nas za dobra, co?

– Nie, po prostu lubię jeździć samotnie, to wszystko.

Jednak w szesnastym roku jej życia nawet takie rozmowy ustąpiły miejsca jękaniu, rumieńcom, i w najlepszym razie pytaniom o pogodę.

– Jak sądzisz, czy będzie padać, Buttercup?

– Nie, nie przypuszczam, niebo jest zupełnie czyste.

– Ale mogłoby padać.

– Tak, chyba tak.

– Myślisz, że jesteś dla nas za dobra, co?

– Nie, po prostu nie sądzę, by miało padać.

Często nocami zbierali się w mroku pod jej oknem i naśmiewali się z niej. Ignorowała ich. Zazwyczaj drwiny prowadziły do obelg. Nie zwracała na nie uwagi. Jeśli stawały się zbyt dotkliwe, parobek brał sprawy w swoje ręce – wynurzał się w milczeniu ze swej szopy, rozbijał parę łbów i przeganiał całe towarzystwo. Nigdy nie zapominała podziękować mu za to.

– Jak każesz – odpowiadał niezmiennie.

Kiedy miała prawie siedemnaście lat, do miasteczka przyjechał mężczyzna w powozie; obserwował ją, gdy jechała po sprawunki. Kiedy wracała do domu, wciąż tam był i spoglądał na nią. Nie poświęciła mu najmniejszej uwagi i rzeczywiście, nie był nikim ważnym. Stanowił jednak zwiastun zmiany w jej życiu. Inni mężczyźni zaczęli zbaczać z drogi, aby ją zobaczyć.

Niektórzy nawet, tak jak on, nadkładali ponad dwadzieścia mil. Istotne jest jednak to, że był on pierwszym bogaczem, który to uczynił, pierwszym szlachcicem. I to właśnie ów mężczyzna, którego imię zginęło w pomroce dziejów, wspominał o Buttercup Hrabieemu.

* * *

Kraina Floren leżała w miejscu położonym pomiędzy przyszłymi państwami: Szwecją i Niemcami (było to jeszcze przed powstaniem Europy). Teoretycznie rządził w niej król Lotharon i jego druga małżonka, królowa. W istocie jednak król ledwie trzymał się życia, rzadko odróżniał dzień od nocy i spędzał większość czasu, mamrocząc do siebie. Był bardzo stary, każdy organ jego ciała już dawno odmówił posłuszeństwa, a podejmowane przezeń decyzje charakteryzowały się na ogół pewną dowolnością, budzącą żywy niepokój wielu światłych obywateli.

W rzeczywistości państwem władał książę Humperdinck. Gdyby istniała już Europa, byłby w niej najpotężniejszym człowiekiem. Jednak nawet w obecnej sytuacji nikt w promieniu tysiąca mil nie pragnął zatargu z księciem.

Hrabia był jedynym zausznikiem księcia Humperdincka. Jego nazwisko brzmiało Rugen, lecz nikt nie musiał go używać – w kraju tytuł hrabiowski nosił tylko on. Nadał mu go książę w prezencie urodzinowym wiele lat wcześniej. Rzecz jasna, miało to miejsce na jednym z przyjęć Hrabiny.

Hrabina była znacznie młodsza od małżonka. Wszystkie jej stroje pochodziły z Paryża (Paryż już istniał), ona sama zaś miała wspaniały gust (gust także już istniał, ale od bardzo niedawna; a ponieważ stanowił on taką nowość i spośród florenskich arystokratek posiadała go jedynie Hrabina, trudno się dziwić, że była ona pierwszą damą królestwa). Gorące zamiłowanie do tkanin i barwiczek sprawiło, że w końcu na stałe osiadła w Paryżu, gdzie prowadziła jedyny salon o znaczeniu międzynarodowym.

Tymczasem jednak zadowalała się spaniem w jedwabnej pościeli, jedzeniem na złotych półmiskach i opinią najgroźniejszej i najbardziej podziwianej kobiety w dziejach Floreny. Jeśli jej figura pozostawiała coś do życzenia, ukrywały to suknie; jeśli jej twarz nie była absolutnie doskonała, nie dało się tego stwierdzić, kiedy skończyła nakładać na nią rozmaite pudry. (Było to przed wynalezieniem makijażu, ale gdyby nie damy takie, jak Hrabina, nigdy nie powstałaby potrzeba jego wymyślenia.)

W sumie Rugenowie stanowili we Florenie Parę Miesiąca i to od wielu lat...

* * *

To ja. Wszystkie uwagi dotyczące skrótów i inne komentarze będą pisane tą śmieszoną kursywą, żebyście mogli je rozpoznać. Kiedy na początku stwierdziłem, że nigdy nie czytałem tej książki, powiedziałem prawdę. Przeczytał mi ją ojciec, a później, kiedy przygotowywałem ten skrót, szybko przeleciałem wzrokiem cały tekst, wykreślając długie ustępy i pozostawiając resztę tak jak u samego Morgensterna.

Ten rozdział jest całkowicie nietknięty. Mój wtręt spowodowany jest sposobem, w jaki Morgenstern używa nawiasów. Korektorka u Harcourta zapisywała całe marginesy odbitki szczerkami pytaniami: „Jakim cudem Paryż mógł istnieć bez Europy?” albo: „Jak to możliwe, by coś działo się, zanim wymyślono makijaż, skoro makijaż powstał jeszcze w starożytności? Patrz hasło w Wielkim Słowniku Oksfordzkim, czy wreszcie: „Ja zwariuję! Co mam począć z

tymi nawiasami? Kiedy w ogóle dzieje się ta książka? Nic nie rozumiem. Ratuunkuuu!”. Denise, korektorka, przygotowywała wszystkie moje książki od czasu Chłopców i dziewcząt, i nigdy przedtem nie okazywała na marginesach takich emocji.

Nie mogłem jej pomóc.

Albo Morgenstern traktował swe nawiasy serio, albo nie. A może część z nich miała być żartobliwa, a część poważna. Nigdy jednak nie zdradził, która była która. Może wreszcie miał to być chwyt stylistyczny, za pomocą którego autor mówi czytelnikom: „To nie jest prawda, nic takiego się nie wydarzyło”. Osobiście tak właśnie sądzę, choć jeśli zagłębimy się w dzieje Floreny, odkryjemy, iż coś takiego naprawdę miało miejsce. A przynajmniej same wydarzenia, bo co do motywacji bohaterów trudno jest cokolwiek powiedzieć. Mogę zasugerować tylko jedno: jeśli nawiasy was irytują, nie czytajcie ich.

* * *

– Prędko – prędko – chodź!

Ojciec Buttercup był w domu i wyglądał przez okno.

– Po co? – to matka. Jeśli chodziło o posłuszeństwo, nie ustępowała nawet na krok.

Ojciec wyciągnął rękę.

– Popatrz...

– Sam popatrz. Przecież umiesz.

Małżeństwo rodziców Buttercup trudno byłoby nazwać szczęśliwym. Marzyli oni tylko o tym, by się rozstać.

Ojciec Buttercup wzruszył ramionami i wrócił do okna.

– Aaaaaach! – powiedział po chwili. I za moment: – Aaaaaach!

Matka Buttercup zerknęła na niego znad garnków.

– Co za bogactwa – westchnął ojciec. – Wspaniałe.

Matka Buttercup zawahała się, po czym odłożyła łyżkę, którą mieszała gulasz (to było już po wynalezieniu gulaszu, jak zresztą wszystko inne; kiedy pierwszy człowiek wyszedł z morza i zbudował pierwszy dom na lądzie, na obiad tego pierwszego dnia zjadł gulasz).

– Serce rośnie w obliczu takiego splendoru – wymamrotał głośno ojciec Buttercup.

– O czym ty mówisz, słoneczko? – zainteresowała się matka Buttercup.

– Sama popatrz. Przecież umiesz – odparł tylko.

(To był ich trzydziesty trzeci przycinek tego dnia – przycinki już dawno istniały – i ojciec przegrywał trzynaście do dwudziestu. Sporo jednak nadrobił od drugiego śniadania, kiedy wynik brzmiał siedemnaście do dwóch na jego niekorzyść).

– Osioł – prychnęła matka i podeszła do okna. Sekundę potem wzdychała już „aaaaach” wraz z mężem.

Stali tak obok siebie, drobni i oszołomieni.

Buttercup przyglądała im się zza stołu.

– Zapewne wyjechali na spotkanie księcia Humperdincka – stwierdziła matka.

Ojciec przytaknął.

– Na łowy. To ulubione zajęcie księcia.

– Jakie to szczęście, że widzieliśmy ich przejazd – szepnęła matka Buttercup, ujmując dłoń męża.

– Teraz mogę już umrzeć.

Zerknęła na niego.

– Nie rób tego. – Jej głos był zdumiewająco czuły.

Prawdopodobnie uświadomiła sobie, jak wiele dla niej znaczył, albowiem gdy rzeczywiście umarł dwa lata później, poszła do grobu tuż za nim. Większość ludzi, którzy ją znali, zgadzała się, że sprawił to nagły brak przeciwnika.

Buttercup podeszła do okna i stanęła za plecami rodziców, także zachłystując się podziwem. Traktem za bramą farmy przejeżdżali bowiem Hrabia z Hrabinią wraz z całym orszakiem paziów, giermków, sług, dworaków, rycerzy i powozów.

Cała trójka trwała w milczeniu, podczas gdy procesja zbliżała się coraz bardziej. Ojciec Buttercup był małym, nieciekawym człowiekiem i zawsze marzył, by żyć tak jak Hrabia. Kiedyś znalazł się o dwie mile od miejsca, w którym polowali Hrabia i ksiądz, i do tej pory był to najwspanialszy moment jego życia. Zupełnie nie znał się na rolnictwie, a niewiele lepiej na małżeństwie. W istocie nie istniało nic, w czym by celował, i nigdy nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób udało mu się spłodzić córkę. W głębi serca wiedział, że musi to być jakaś cudowna pomyłka, nie miał jednak zamiaru badać jej natury.

Matka Buttercup, zgarbiona, stara kobieta, złośliwa i ponura, zawsze marzyła, by choć raz doświadczyć popularności, jaka stale otaczała Hrabinię. Była okropną kucharką i jeszcze gorszą gospodynią. To, w jaki sposób Buttercup mogła wyśliznąć się z jej łona, przekraczało rzecz jasna pojęcie wszystkich. Ale była przy tym obecna, to jej wystarczyło.

Sama Buttercup, przerastająca o pół głowy oboje rodziców, nadal dzierżąc w dłoniach talerze z obiadu, cuchnąca Koniem, żałowała jedynie, że wielki orszak nie znalazł się nieco bliżej. Bardzo chciała zobaczyć, czy suknia Hrabiny jest naprawdę tak piękna, jak opowiadano.

Jakby w odpowiedzi na jej życzenie procesja skręciła i wkroczyła na farmę.

– Tutaj? – wykrztusił ojciec Buttercup. – Mój Boże, dlaczego?

Matka Buttercup błyskawicznie zwróciła się ku niemu.

– Czy zapomniałeś zapłacić podatki?

(To było już po wynalezieniu podatków, jak zresztą wszystko na świecie. Podatki istniały nawet przed gulaszem.)

– Jeśli nawet, nie potrzebowaliby tego wszystkiego, aby je odebrać. Wskazał ręką na trawnik przez farmę, szybko wypełniający się Hrabią, Hrabinią i wszystkimi paziami, giermkami, sługami, dworakami, rycerzami i powozami. – Czego oni mogą ode mnie chcieć?

– Idź zobacz, idź zobacz – nalegała matka Buttercup.

– Ty idź. Proszę cię.

– Nie, ty. Proszę.

– Chodźmy razem.

I poszli. Dygotali ze strachu.

– Krowy – powiedział Hrabia, gdy stanęli obok jego złotej karocy. – Chciałbym pomówić o waszych krowach. – Nadal siedział w środku, jego twarz nikła w cieniu.

– O moich krowach? – powtórzył ojciec Buttercup.

– Tak. Widzisz, myślę o tym, by założyć niewielką mleczarnię, a ponieważ twoje krowy znane są w całym kraju jako najlepsze we Florencie, postanowiłem spytać cię o twój sekret.

– Moje krowy – wykrztusił ojciec Buttercup z nadzieją, że nie zwariował. Prawdę mówiąc bowiem, jego krowy były okropne i doskonale o tym wiedział. Ludzie z wioski narzekali na nie od lat i gdyby ktokolwiek inny miał mleko na sprzedaż, ojciec Buttercup natychmiast wypadłby z branży. Rzeczywiście, sytuacja poprawiła się, kiedy trafił do niego parobek – bez wątplenia

nieźle sobie radził i ostatnio nie było już żadnych skarg – ale nie czyniło to jeszcze jego krów najlepszymi we Florencie. Niemniej nikt nie ważyłby się zaprzeczyć słowu Hrabiego.

– Jak sądzisz, na czym polega mój sekret, kochanie? – spytał.

– Och, jest ich tak wiele – odparła jego żona. Nie była głupia, szczególnie jeśli chodziło o jakość ich inwentarza.

– Czyżbyście nie mieli dzieci? – spytał Hrabia.

– Nie, panie, mamy – odparła matka.

– Zatem pozwólcie, że z nią pomówię – ciągnął Hrabia. – Może chętniej mi odpowie niż jej rodzice.

– Buttercup! – zawołał ojciec. – Proszę, choć tutaj.

– Skąd wiedziałeś, panie, że mamy córkę? – zdumiała się matka.

– Zgadłem. Założyłem, że musi to być jedna z dwóch możliwości. Czasami szczęście dopisuje mi bardziej niż... – W tym momencie urwał.

Ponieważ ujrzał Buttercup, spieszącą na dwór na wezwanie rodziców.

Hrabia wysiadł z karety. Z wdziękiem zeskoczył na ziemię i zastygł bez ruchu. Był potężnym mężczyzną o czarnych oczach i włosach oraz szerokich barach, odzianym w czarną pelerynę oraz rękawiczki.

– Dygnij, kochanie – szepnęła matka Buttercup.

Buttercup uczyniła to najlepiej, jak umiała.

A Hrabia nadal na nią patrzył.

Pamiętajcie, że w owym czasie ledwie mieściła się w pierwszej dwudziestce. Jej włosy były tłuste i splątane, miała dopiero siedemnaście lat, toteż w niektórych miejscach na ciele pozostały jeszcze ślady szczenięcego sadła. Nikt się nią nie zajął. Nie było w niej nic – poza potencjałem.

Ale Hrabia wciąż nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Hrabia chciałby poznać sekret, dzięki któremu nasze krowy są tak wspaniałe. Czyż tak, panie? – rzucił ojciec Buttercup.

Hrabia zdołał jedynie skinąć głową.

Nawet matka Buttercup wyczuła pewne napięcie w powietrzu.

– Spytajcie parobka; on ich dogląda – powiedziała Buttercup.

– Czy zatem to jest parobek? – odezwał się nowy głos z wnętrza karocy. Następnie w drzwiach pojawiła się twarz Hrabiny.

Jej usta pokrywała idealnie czerwona szminka, zielone oczy okalały czarne kreski. W jej sukni spotkały się wszystkie barwy tęczy. Buttercup pragnęła osłonić oczy przed tym bogactwem.

Ojciec zerknął na samotną postać, wyglądającą zza rogu domu.

– Tak.

– Przeprowadź mi go.

– Nie jest ubrany odpowiednio na taką okazję – zauważyła matka Buttercup.

– Widywałam już nagie męskie torsy – odparła Hrabina, po czym zawołała: – Hej, ty! – I wskazała na parobka. – Chodź tutaj! – Jej palce pstryknęły na „tutaj”.

Parobek zrobił to, co mu kazano.

A kiedy podszedł bliżej, Hrabina wysiadła z karety.

Gdy znalazł się kilka kroków za Buttercup, parobek przystanął, posłusznie chyląc głowę. Wstydił się swego stroju: znoszonych długich butów i podartych dżinsów (dżinsy wynaleziono znacznie wcześniej, niż przypuszcza większość ludzi), więc splótł ciasno dłonie, niemal w geście poddania.

– Czy masz jakieś imię, parobku?
– Westley, Hrabino.
– Cóż, Westleyu, może potrafisz pomóc nam rozwiązać pewien problem. – Podeszła do niego. Materiał jej sukni musnął skórę parobka. – Wszyscy szaleńczo interesujemy się kwestią krów. Nasza ciekawość jest tak wielka, że praktycznie sięga granic obłędu. Jak przypuszczasz, Westleyu, dlaczego krowy na tej właśnie farmie są najlepsze w całym Florenie? Co z nimi robisz?
– Po prostu je karmię, Hrabino.
– No cóż, zatem tajemnica została odkryta. Znamy już sekret, możemy spocząć. Najwyraźniej cały czar kryje się w karmieniu krów przez Westleya. Pokaż mi, jak to robisz, dobrze, Westleyu?
– Nakarmić dla pani krowy, Hrabino?
– Bystry chłopiec.
– Kiedy?
– Teraz. Co na to powiesz? – Podała mu ramię. – Zaprowadź mnie.
Westley nie miał wyboru – musiał ująć jej rękę i uczynił to. Delikatnie.
– To za domem, pani. Jest tam okropne błoto. Zniszczysz sobie suknię, pani.
– Wkładam je tylko jeden raz, Westleyu, i nie mogę się już doczekać, by ujrzeć cię w akcji. I tak ruszyli do obory.
Przez cały ten czas Hrabia wpatrywał się w Buttercup.
– Pomogę ci! – zawołała dziewczyna w ślad za Westleyem.
– Może lepiej zobaczę, jak on to robi – postanowił Hrabia.
– Dzieją się tu dziwne rzeczy – stwierdzili rodzice Buttercup i ruszyli za nim, tworząc tylną straż karmicielskiej wycieczki. Cały czas obserwowali Hrabiego, który patrzył na ich córkę, która patrzyła na Hrabinę.
Która z kolei patrzyła na Westleya.

* * *

– Nie widzę w tym nic szczególnego – mruknął ojciec Buttercup. – Po prostu je nakarmił. – Było już po obiedzie i rodzina znów została sama.
– Muszą lubić go osobiście. Kiedyś miałam kota, który był wesół tylko wtedy, kiedy ja go karmiłam. Może to coś podobnego. – Matka wyskrobała z garnka resztki gulaszu i wrzuciła je do miski. – Proszę – poleciła córce. – Westley czeka przy tylnych drzwiach. Zanieś mu obiad.
Buttercup wzięła miskę i otworzyła drzwi.
– Masz – rzuciła.
Podziękował skinieniem głowy i ruszył w stronę swojego pniaka.
– Nie pozwolłam ci odejść, parobku – powstrzymała go Buttercup. Przystanął i odwrócił się do niej. – Nie podoba mi się to, co robisz z Koniem. A raczej czego z nim nie robisz. Chcę, żebyś go wyszczotkował. Dziś wieczór. Żeby jego kopyta błyszcząły. Dziś wieczór. Żeby ogon był zapleciony w warkoczyki, a uszy – dobrze wymasowane. Jeszcze dziś wieczorem. Żeby stajnia lśniła czystością. I to już. Wszystko ma być czyste, a jeśli zabierze ci to całą noc, trudno.
– Jak każesz.
Trzasnęła drzwiami, zostawiając go z jedzeniem w ciemności.
– Szczerze mówiąc, zdawało mi się, że Koń wygląda znakomicie – zauważył ojciec.
Buttercup milczała.

– Sama tak wczoraj powiedziałaś – przypomniała jej matka.
– Muszę być przemęczona – wykrztusiła Buttercup. – Całe to podniecenie i w ogóle.
– Idź więc odpocząć – upomniała ją matka. – Kiedy jest się przemęczonym, mogą człowieka spotkać najstraszniejsze rzeczy. Ja na przykład byłam przemęczona w dniu, kiedy oświadczył mi się twój ojciec. – Trzydzieści cztery do dwudziestu dwóch i nadal zwiększała przewagę.

Buttercup poszła do swego pokoju. Położyła się na łóżku. Zamknęła oczy.

Hrabina patrzyła na Westleya.

Buttercup wstała z łóżka. Zdjęła ubranie. Umyła się pobieżnie. Włożyła nocną koszulę. Wśliznęła się pod kołdrę, umościła wygodnie i zamknęła oczy.

Hrabina nadal patrzyła na Westleya!

Buttercup odrzuciła kołdrę. Otworzyła drzwi, podeszła do zlewu przy kuchni i nalała sobie szklankę wody. Wypiła ją duszkiem. Znów napełniła szklankę i przesunęła chłodnym naczyniem po czole. Nadal jednak czuła trawiącą jej ciało gorączkę.

Gorączkę? Czuła się świetnie. Miała siedemnaście lat i nie cierpiała dotąd nawet na ból zęba. Stanowczym gestem wylała wodę do zlewu, zawróciła, pomaszerowała do swojej sypialni, dokładnie zamknęła drzwi i wróciła do łóżka. Zamknęła oczy.

Hrabina nie przestawała patrzeć na Westleya!

Dlaczego? Czemu kobieta, którą jako jedyną w historii Florenu uznawano za doskonałą pod każdym względem, miałaby interesować się parobkiem? Buttercup przewróciła się z boku na bok. Nie istniało inne wyjaśnienie – to musiało być zainteresowanie. Buttercup zacisnęła powieki i przywołała wspomnienie Hrabiny. Najwyraźniej zaciekało ją coś w wyglądzie parobka. Fakt jest faktem. Ale co? Parobek miał oczy jak morze tuż przez burzę, ale kogo obchodziły oczy? Miał też jasnozłote włosy, jeśli ktoś lubi podobne rzeczy. Był szeroki w barach, ale znów aż tak bardzo nie przewyższał Hrabiego. I umięśniony, każdy jednak byłby umięśniony, gdyby harował całymi dniami. Jego idealnie gładką skórę pokrywała opalenizna, lecz to także wynikało z ciężkiej pracy – kto by się nie opalił, spędzając cały czas na słońcu? Nie był też o wiele wyższy od Hrabiego, choć miał bardziej płaski brzuch, ale to dlatego, że parobek był młodszy.

Buttercup usiadła na łóżku. Z pewnością chodziło o zęby. Parobek miał piękne zęby, trzeba mu to sprawiedliwie przyznać. Białe i równe, błyszczące w opalonej twarzy.

Czy mogło chodzić o coś jeszcze? Buttercup skupiła się. Dziewczyny z wioski stale łąziły za parobkiem, kiedy dostarczał mleko, ale to idiotki, które łąziłyby za każdym. A on zawsze je ignorował, bo gdyby kiedykolwiek otworzył usta, odkryłyby, że ładne zęby to wszystko, co posiada; w końcu był przecież niewiarygodnie głupi.

To naprawdę dziwne, że kobieta tak piękna, smukła, wiotka i wdzięczna, istota tak doskonale „zrobiona”, tak rewelacyjnie ubrana jak Hrabina, mogła do tego stopnia dać się zauroczyć czyimś zębom. Buttercup wzruszyła ramionami. Ludzie są zdumiewająco skomplikowani. Teraz jednak oceniła już wszystko sumiennie, wydedukowała prawdę, wyjaśniła. Zamknęła oczy, wygodnie sadowiąc się w łóżku i *ludzie nie patrzą tak na innych jak Hrabina na Westleya z powodu ich zębów.*

– Ojej – sapnęła Buttercup. – Ojejku jejku.

Teraz to parobek patrzył na Hrabinę. Karmił krowy i jego mięśnie jak zawsze grały pod opaloną skórą, a Buttercup stała obok i widziała, jak parobek po raz pierwszy spogląda głęboko w oczy Hrabiny.

Buttercup zeskoczyła z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Jak on mógł? W porządku, mógł na

nią patrzeć, ale on nie patrzył na nią tak po prostu. On na nią patrzył.

– Jest taka stara – wymamrotała z rosnącą wściekłością. Hrabina nigdy już nie będzie miała trzydziestu lat, to fakt. A jej suknia wyglądała w oborze idiotycznie, to też fakt.

Buttercup padła na łóżko, przyciskając do piersi poduszkę. Suknia była kretyńska nawet przedtem, zanim znalazła się w oborze. Hrabina wyglądała koszmarnie już w chwili, gdy wysiadła z karety, ze swymi zbyt dużymi umalowanymi ustami, małymi, świńskimi, umalowanymi oczami i upudrowaną twarzą, i... i...

Ciskając się i szarpiąc, Buttercup zapłakała, po czym zerwała się z łóżka i znów zaczęła płakać. Znane są trzy przypadki wielkiej zazdrości od czasu, gdy Dawid z Galilei doświadczył owego uczucia, kiedy nie mógł już dłużej znieść tego, że kaktus jego sąsiada Saula przewyższał jego własny. (Pierwotnie zazdrość dotyczyła wyłącznie roślin, cudzych kaktusów czy miłorzębów, a później, kiedy mieli już trawę, trawy; to dlatego do dziś dnia mówimy, że ktoś pozieleniał z zazdrości.) Przypadek Buttercup znalazł się w tym rankingu na wysokim czwartym miejscu.

To była bardzo długa i bardzo zielona noc.

O pierwszym brzasku Buttercup znalazła się przed szopą parobka. Dobiegające ze środka odgłosy powiedziały jej, że się obudził. Zapukała. Otworzył drzwi i stanął w progu. Za jego plecami dostrzegła małą świeczkę oraz kilka otwartych książek. Czekał. Spojrzała na niego i natychmiast odwróciła wzrok.

Był zbyt piękny.

– Kocham cię – powiedziała Buttercup. – Wiem, że to dość nieoczekiwane, bo dotąd wyłącznie drwiłam z ciebie, poniżałam cię i wyśmiewałam, ale kocham cię już od kilkunastu godzin, z każdą chwilą mocniej. Godzinę temu sądziłam, że kocham cię bardziej, niż jakakolwiek kobieta jakiegokolwiek mężczyznę, lecz w pół godziny później wiedziałam, że to, czego doświadczyłam przedtem, jest niczym w porównaniu z moim obecnym uczuciem. Dziesięć minut potem rozumiałam, że moja wcześniejsza miłość była jak kałuża wobec rozległego, wzburzonego morza. Czy wiedziałeś, że twoje oczy są jak ocean? Naprawdę. Do ilu minut temu doszłam? Dwudziestu? Czy przedstawiłam ci już stan moich uczuć dwadzieścia minut temu? Nieważne. – Nadal nie mogła się zdobyć na to, by na niego spojrzeć. Zaczynało już wschodzić słońce i ciepły dotyk jego promieni na plecach dodał Buttercup odwagi. – W tej chwili kocham cię tak mocno, że to, co było dwadzieścia minut temu, w ogóle się nie liczy. Kocham cię tak bardzo, że nie ma porównania z tym, co było, gdy otworzyłeś mi drzwi. W moim ciele nie ma miejsca na nic poza tobą. Moje ręce kochają cię, uszy uwielbiają, kolana dygoczą z ogromnej miłości. Umysł błaga, byś o coś poprosił, tak abym mogła być posłuszną. Czy chcesz, abym podążała za tobą przez resztę twoich dni? Zrobię to. Chcesz, abym pełzała po ziemi? Będę pełzać. Będę dla ciebie milczeć albo śpiewać, jak wolisz. Jesteś głodny? Pozwól tylko, a przyniosę ci jedzenie. Chce ci się pić i nic, poza arabskim winem, nie ukoji twojego pragnienia? Pójdę do Arabii, choć leży ona na drugim końcu świata, i przyniosę ci butelkę wina na drugie śniadanie. Zrobię dla ciebie wszystko, co zdołam, a jeśli czegoś nie potrafię, nauczę się. Wiem, że nie mogę równać się z Hrabiną co do strojów, wyglądu i umiejętności; widziałam, jak na ciebie patrzyła. I jak ty patrzyłeś na nią. Ale proszę, pamiętaj, że ona jest stara i ma wiele innych zainteresowań, podczas gdy ja skończyłam siedemnaście lat i istniejesz dla mnie tylko ty. Najdroższy Westleyu – nigdy dotąd tak cię nie nazywałam, prawda? Westley, Westley, Westley, Westley, Westley... Ukochany Westleyu, umiłowany Westleyu, słodki, doskonały Westleyu, szepnij, że mam szansę, by zdobyć twoją miłość. – Z tymi słowami uczyniła najodważniejszą

rzecz, na jaką ośmieliła się w życiu: spojrzała mu prosto w oczy.

Westley zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Bez słowa.

Bez jednego słowa.

Buttercup uciekła. Okręciła się na pięcie i runęła naprzód. Do jej oczu napłynęły gorzkie łzy; nie widziała drogi przed sobą, potknęła się, wpadła na pień drzewa, upadła, wstała, biegła dalej. Ramię bolało, i to mocno, ale nie dostatecznie, by złagodzić cierpienie strzaskanego serca. Umknęła do swego pokoju, do swojej poduszki. Bezpieczna za zamkniętymi drzwiami zalała łzami cały świat.

Bez jednego słowa. Nie był nawet dość przyzwoity, by cokolwiek powiedzieć. Mógł się chociaż zdobyć na jedno „Przepraszam”. Czy „przepraszam” zraniłoby go aż tak głęboko? „Za późno”, mógłby rzec.

Dlaczego przynajmniej czegoś nie powiedział?

Buttercup przez chwilę zastanawiała się nad tym gorączkowo. I nagle znalazła odpowiedź: nie powiedział ani słowa, ponieważ gdyby otworzył usta, w jednej chwili czar prysnąłby bez śladu. Był piękny, to jasne, ale głupi. Jedno jego słowo zniszczyłoby cały urok Westleya.

„Baaaaaaah”.

To właśnie powiedziałby. To było coś, co Westley wydawał z siebie, kiedy chciał okazać szczególną bystrość. „Baaaaaaah, dzięki, Buttercup”.

Buttercup otarła oczy i zaczęła się uśmiechać. Odetchnęła głęboko i westchnęła. Takie rzeczy stanowią część okresu dojrzewania. Niespodziewanie opanowuje człowieka szaleńcze uczucie, po czym, ledwie mrugniesz, znika bez śladu. Nagle odkrywasz w kimś doskonałość, zapominasz o wszystkich wadach i zakochujesz się na śmierć i życie, po czym następnego dnia wstaje słońce i urok znika. Zapisz to sobie po stronie doświadczeń, dziewczyno, i bierz się do roboty. Buttercup wstała, posłała łóżko, przebrała się, uczesała, uśmiechnęła i znów wybuchnęła płaczem. Ponieważ istnieje granica, poza którą trudno jest okłamywać samego siebie.

Westley nie był głupi.

Och, oczywiście mogła udawać, że jest inaczej. Mogła wyśmiewać się z jego trudności z mową. Wyrzucać sobie zauroczenie tępakiem. Prawda jednak była inna: Westley miał głowę na karku. A w środku mózg równie dobry jak zęby. Powód, dla którego nie odezwał się ani słowem, nie miał nic wspólnego z pracą szarych komórek. Milczał, ponieważ nie miał nic do powiedzenia.

Nie kochał jej, i tyle.

Łzy, które przez resztę dnia dotrzymywały Buttercup towarzystwa, zupełnie nie przypominały tamtych winnych jej zderzeniu z drzewem. Tamten płacz był gorący i głośny, pulsował gniewem. Ten – cichy, jednostajny – nieustannie przypominał jej, że okazała się nie dość dobra. Miała siedemnaście lat, każdy mężczyzna, jakiego znała, leżał u jej stóp – i co z tego? Ten jeden jedyny raz, gdy tego potrzebowała, okazała się nie dość dobra. Znała się przecież tylko na koniach. Jak miała zainteresować mężczyznę, na którego spojrzała Hrabina?

Zapadł już zmierzch, gdy usłyszała na korytarzu za drzwiami czyjeś kroki. I pukanie. Buttercup otarła łzy. Ponowne pukanie.

– Kto tam? – ziewnęła głośno.

– Westley.

Buttercup przeciągnęła się na łóżku.

– Westley? – powtórzyła. – Czy ja znam jakiegoś Westl... – A, to ty, parobku. Co za śmieszna

sprawa. – Podeszła do drzwi, przekręciła klucz i dodała swym najbardziej rozkapryszonym tonem: – Tak się cieszę, że wpadłeś. Czułam się po prostu okropnie z powodu tego kawału, jaki zrobiłam ci dziś rano. Oczywiście zdawałeś sobie sprawę, że ani przez moment nie mówiłam poważnie, tak przynajmniej myślałam, ale kiedy zacząłeś zamykać drzwi, przez jedną potworną sekundę przemknęło mi przez głowę, że może zbyt przekonująco odegrałam swą rolę, a ty, biedactwo, uznałeś, że mówię serio, choć rzecz jasna oboje wiemy, iż coś takiego jest absolutnie niemożliwie.

– Przychodzę, żeby się pożegnać.

Serce Buttercup zatrzepotało, nadal jednak ciągnęła swą grę.

– To znaczy, że idziesz spać i przyszedłeś, aby życzyć mi dobrej nocy? Jakże to miło z twojej strony, parobku. Wybaczylesz mi więc mój poranny dowcip. Doceniam ten gest i...

– Odchodzę – przerwał jej.

– Odchodzisz? – Podłoga zakołysała się pod stopami Buttercup, która aż musiała przytrzymać się framugi. – W tej chwili?

– Tak.

– Z powodu tego, co powiedziałam dziś rano?

– Tak.

– Odstraszyłam cię, prawda? Powinnam obciąć sobie język. Cóż, stało się, podjąłeś już decyzję. Ale zapamiętaj: nie przyjmę cię, kiedy ona z tobą skończy. Nawet gdybyś błagał.

Spojrzał na nią bez słowa.

– Tylko dlatego, że jesteś piękny i idealny, nie musisz zaraz być zarozumiały – ciągnęła pospiesznie Buttercup. – Sądzisz, że nie można się tobą znudzić, ale mylisz się, można, szczególnie ona. Poza tym jesteś za biedny.

– Wyjeżdżam do Ameryki, żeby zrobić majątek. (Ameryka istniała dopiero od niedawna, ale majątki – od wieków.) Wkrótce z Londynu wyrusza statek. Ameryka to kraj wielkich możliwości. Zamierzam je wykorzystać. Uczyłem się. W swojej szopie. Nauczyłem się nie potrzebować snu. Tylko parę godzin. Znajdę sobie pracę, dziesięć godzin na jednej posadzie, dziesięć na drugiej, i będę oszczędzał każdy grosz poza tymi, których potrzeba na jedzenie, abym zachował siły. A kiedy zarobię już dosyć, kupię farmę, zbuduję dom i wielkie, małżeńskie łóżko.

– Chyba oszalałeś, jeśli sądzisz, że będzie szczęśliwa w jakimś marnym domu na farmie w Ameryce. Nie przy jej wydatkach na stroje.

– Zrób mi tę grzeczność i przestań mówić o Hrabinie! Zanim zupełnie zwariuję!

Buttercup spojrzała na niego.

– Nie rozumiesz, o co tu chodzi?

Potrząsnęła głową.

Westley także.

– No tak, nigdy nie byłaś najbystrzejsza.

– Czy ty mnie kochasz, Westleyu? To miałaś na myśli?

Nie wierzył własnym uszom.

– Czy cię kocham? Mój Boże, jeśli twoja miłość to ziarnko piasku, moja jest kosmosem plaż. Jeśli twoja miłość to...

– Niezupełnie cię rozumiem – przerwała mu Buttercup. Zaczynała właśnie odczuwać coraz większe podniecenie. – Pozwól, że się zastanowię. Czy chcesz powiedzieć, że moja miłość jest wielkości ziarnka piasku, a twoja tego czegoś drugiego? Trudno mi to sobie wyobrazić, czy ten twój kosmos jest większy niż mój piasek? Pomóż mi, Westleyu. Czuję, że zbliżamy się do

czegoś strasznie ważnego.

– Przez wszystkie te lata mieszkałem w szopie – dla ciebie. Dla ciebie nauczyłem się języków. Wyćwiczyłem swoje ciało, ponieważ pomyślałem, że spodoba ci się moja siła. Żyłem nadzieją, że któregoś dnia spojrzysz nagle w moim kierunku. Twój widok nieodmiennie sprawiał, że moje serce zaczynało tłuc się o żebra jak ptak w klatce. Każdej nocy wizja twej twarzy kołysała mnie do snu. Co rano jej obraz jaśniał pod moimi powiekami... Czy moje słowa zaczynają już do ciebie docierać, Buttercup, czy też chcesz, żebym ciągnął dalej?

– Nie przestawaj.

– Każdego dnia...

– Jeśli nabijasz się ze mnie, Westleyu, zabiję cię.

– Jak możesz nawet myśleć, że to żarty?

– Ani razu nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

– Tylko tego ci trzeba? To łatwe: kocham cię. W porządku? Chcesz głośniej? KOCHAM CIĘ. Mam przeliterować? Ka-o-ce-ha-a-em-ce-i-ę. A może od tyłu? Cię kocham.

– Teraz się ze mnie nabijasz, prawda?

– Może odrobinę. Od tak dawna powtarzałem ci to głośno, ale ty nie słuchałaś. Za każdym razem, kiedy mówiłaś: „Parobku, zrób to. Parobku, zrób tamto”, zdawało ci się, że odpowiadam: „Jak każesz”, ale myliłaś się. Naprawdę mówiłem: „Kocham cię”, ty jednak wciąż nie słyszałaś.

– Ale teraz słyszę cię i przyrzekam: nigdy więcej nikogo nie pokocham. Tylko Westleya. Do końca życia.

Skinął głową, po czym odszedł na krok.

– Przyślę po ciebie wkrótce. Wierzysz mi?

– Czy mój Westley mógłby skłamać?

Kolejny krok.

– Już późno. Muszę iść. Nienawidzę tego, ale muszę. Statek wkrótce odpływa, a Londyn jest daleko.

– Rozumiem.

Wyciągnął prawą rękę.

Buttercup odkryła, że z trudem oddycha.

– Do widzenia.

Zdołała podać mu prawą dłoń.

Uścisnęli nawzajem swe ręce.

– Do widzenia – powtórzył.

Leciutko kiwnęła głową.

Postąpił trzeci krok, nie patrząc w jej stronę.

Nie spuszczała zeń oczu.

Odwrócił się.

I nagle słowa same wydarły się z jej ust.

– Bez jednego pocałunku?

Padli sobie w ramiona.

* * *

Od 1642 roku przed naszą erą, to jest od czasu, gdy przypadkowy wynalazek Saula i Delili Kornów wstrząsnął podstawami cywilizacji Zachodu, zanotowano tylko pięć wielkich

pocałunków (przedtem pary łąpały się za kciuki). Szczegółowa klasyfikacja pocałunków niesie ze sobą wiele trudności, choć wszyscy bowiem akceptują sam wzór: uczucie razy czystość razy moc razy czas trwania, nikt nigdy nie ustalił z całą pewnością, który z tych czynników jest najbardziej znaczący. Niezależnie jednak od obranego systemu wszyscy zgadzają się, że jedynie pięć pocałunków zasługuje na najwyższą ocenę.

Cóż, ten pocałunek pozostawił je wszystkie daleko w tyle.

* * *

Pierwszego ranka po wyjeździe Westleya Buttercup uznała, że ma prawo siedzieć beczynnie i użalać się nad sobą. Ostatecznie rozstała się ze swoją wielką miłością, życie nie miało sensu, jak można teraz stawić czoło przyszłości i tak dalej, i tak dalej.

Jednak po mniej więcej dwóch sekundach uświadomiła sobie, że Westley wyruszył już w wielki świat i z każdą chwilą znajduje się coraz bliżej Londynu. Co będzie, jeśli wpadnie mu w oko jakaś miejska pięknotka, podczas gdy ona gnije w lenistwie? Albo, co gorsza, Westley dotrze do Ameryki, zdobędzie dwie posady, zbuduje farmę, przygotuje małżeńskie łoże i pośle po nią, po czym, ujrzawszy ją, stwierdzi: „Odsyłam cię do domu. Użalanie się zniszczyło twoją skórę, wyglądasz brzydko i nieporządnie. Zaraz poślubię Indiankę, która mieszka niedaleko w tipi i zawsze jest w szczytowej formie”.

Buttercup skoczyła do lustra w sypialni.

– Och, Westleyu! – jęknęła. – Nie mogę cię zawieść! – Po czym pobiegła na dół, gdzie jej rodzice docinali sobie, jak zwykle (szesnaście do trzynastu, a nie minęło jeszcze śniadanie).

– Potrzebuję waszej rady – przerwała im. – Co mam zrobić, aby poprawić swój wygląd?

– Zaczynaj od kąpieli – rzucił ojciec.

– I, jeśli już przy tym jesteś, zrób coś z włosami – dodała matka.

– Usuń pokłady brudu z za uszu.

– Nie zaniedbuj kolan.

– Na początek to wystarczy – ucięła Buttercup, kręcąc głową. – Do licha, niełatwo być porządną. – Niezrażona wzięła się do pracy.

Każdego dnia wstawiała wcześniej, o ile to możliwe, o świcie, i natychmiast ruszała do zajęć na farmie. Po wyjeździe Westleya przybyło jej pracy, i to znacznie, gdyż od czasu wizyty Hrabiego wszyscy w okolicy zwiększyli zamówienia na mleko. Zazwyczaj więc dopiero po południu mogła oddać się zabiegom upiększającym.

Wtedy jednak naprawdę brała się do roboty. Najpierw solidna, zimna kąpiel. Potem, podczas gdy schły jej włosy, ze wszystkich sił starała się naprawić niedoskonałości swej figury (jeden z łokci był zbyt kościsty, przegub drugiej ręki – nieco za gruby). Ćwiczyła, aby pozbyć się resztek szczenięcego sadła (niewielkich, miała już niemal osiemnaście lat). I szczotkowała włosy.

Jej włosy miały barwę jesieni. Nigdy ich nie obcinała, więc czesanie musiało potrwać tysiąc pociągnięć szczotką, nie miała jednak nic przeciw temu, Westley bowiem nigdy nie widział ich tak czystych i na pewno zdziwi się, kiedy już sprowadzi ją do Ameryki. Jej skóra miała odcień zimowej śmietanki i Buttercup szorowała każdy skrawek aż do połysku. Nie było to zbyt przyjemne, ale czyż Westleya nie zaskoczy jej schludność, kiedy już sprowadzi ją do Ameryki?

Wkrótce też zaczęła rozwijać swój potencjał. W dwa tygodnie skoczyła z dwudziestego miejsca na piętnaste – niesłychany wręcz postęp w tak krótkim czasie. Lecz trzy tygodnie potem była już dziewiąta i nadal pięła się w górę. Na tym poziomie konkurencja była niewiarygodna,

ale dzień po tym, jak Buttercup osiągnęła dziewiąte miejsce, dostała z Londynu trzystronicowy list od Westleya i sama lektura wyniosła ją na pozycję ósmą. Albowiem jedna rzecz ponad wszystko inne wywoływała u niej te zmiany – stale wzrastająca miłość do Westleya. Ludzie z zachwytem patrzyli, jak dostarcza mleko co rano. Niektórzy gapili się w milczeniu, inni jednak, zagadnąwszy ją, stwierdzali, że Buttercup jest cieplejsza i miłsza niż kiedykolwiek przedtem. Nawet dziewczęta ze wsi pozdrawiały ją skinieniem dłoni i śmiechem, a czasem pytały o Westleya, co było błędem, jeżeli nie miało się sporo wolnego czasu. Bo jeśli ktokolwiek zapytał Buttercup o to, jak się miewa Westley... cóż, odpowiadała. Był wspaniały, jak zawsze, rewelacyjny i absolutnie niezrównany. Mogła tak ciągnąć przez kilka godzin. Czasami słuchaczom z trudem przychodziło śledzenie toku jej słów, starali się jednak, bo przecież Buttercup tak szalenie go kochała.

I dlatego śmierć Westleya wstrząsnęła nią aż tak bardzo.

Napisał do niej tuż przed tym, nim odpłynął do Ameryki. Jego statek nazywał się Sława królowej i kochał ją. (Zawsze kończył tak każde zdanie: „Dziś pada deszcz i kocham cię”. „Katar prawie mi przeszedł i kocham cię”. „Pozdrów ode mnie Konia i kocham cię”. Coś w tym stylu.)

Potem nie było więcej listów, ale to naturalne – płynął przecież przez morze. Aż wreszcie dotarła do niej wieść. Buttercup wróciła właśnie do domu po skończonym roznoszeniu mleka i zastała zdrętwiałych ze zgrozy rodziców.

– Tuż przy wybrzeżu Karoliny – szepnął ojciec.

Matka odszepnęła:

– Bez żadnego ostrzeżenia. Nocą.

– Co się stało? – wtrąciła Buttercup.

– Piraci – odparł ojciec.

Buttercup pomyślała, że lepiej będzie, jeśli usiądzie.

Cisza.

– A zatem schwytali go? – wykrztusiła z siebie wreszcie.

Matka pokręciła przecząco głową.

– To był Roberts – wyjaśnił ojciec. – Straszliwy pirat Roberts.

– Och! – westchnęła Buttercup. – Ten, który nigdy nie bierze jeńców.

– Tak – odparł ojciec.

Milczenie.

I nagle Buttercup zaczęła bardzo szybko mówić:

– Czy pchnięto go nożem?... Czy utonął?... Czy poderżnęli mu gardło we śnie?... A może go zbudzili, jak sądzicie?... Czy został zachłostany na śmierć?... – Wstała. – Przepraszam, zaczynam wygadywać głupstwa. – Pokręciła głową. – Jakby to, jak zginął, miało jakiegokolwiek znaczenie. Przepraszam. – Z tymi słowami pobiegła do swego pokoju.

Pozostała tam przez wiele dni. Z początku rodzice próbowali ją wywabić – bez skutku. W końcu ograniczyli się do stawiania jej pod drzwiami tac z jedzeniem, ona zaś od czasu do czasu przegryzła parę kęsów, dość, by pozostać przy życiu. Z wnętrza pokoju nigdy nie dobiegł żaden dźwięk, płacz czy gorzkie szlochanie.

A kiedy wreszcie wyszła, jej oczy były suche. Rodzice unieśli wzrok sponad śniadania i zaczęli wpatrywać się w nią w milczeniu. Już wstawali z miejsc, gdy ona powstrzymała ich, podnosząc dłoń.

– Dziękuję, ale sama mogę się obsłużyć – rzuciła i zaczęła przygotowywać sobie jedzenie. Matka i ojciec obserwowali ją uważnie.

Szczerze mówiąc, nigdy nie wyglądała lepiej. Kiedy zamknęła się w pokoju, była po prostu nieprawdopodobnie śliczną dziewczyną. Kobieta, która z niego wyszła, była odrobinę szczuplejsza, znacznie mądrzejsza, o niebo smutniejsza. Pojmowała istotę cierpienia, a jej wspaniałe rysy kryły mocny charakter i stłumiony ból.

Miała osiemnaście lat. Była najpiękniejszą kobietą swego stulecia. I zupełnie jej to nie obchodziło.

– Dobrze się czujesz? – spytała matka.

Buttercup pociągnęła łyk kakao.

– Świetnie – odparła.

– Na pewno? – dopytywał ojciec.

– Tak – odrzekła Buttercup. Po dłuższej chwili ciszy dodała: – Ale nigdy już nie wolno mi nikogo pokochać.

* * *

I nie pokochała.

ROZDZIAŁ DRUGI



NARZECZONY



TO JEST MOJE PIERWSZE poważniejsze cięcie. Rozdział pierwszy: Narzeczona, niemal w całości dotyczy narzeczonej. Rozdział drugi: Narzeczony, wspomina o Humperdincku dopiero na ostatnich kilku stronach.

Właśnie przy tym rozdziale mój syn Jason zrezygnował z lektury i absolutnie nie mogę go za to winić. Albowiem Morgenstern rozpoczyna go od sześćdziesięciu sześciu stron, opisujących historię Florenu. Ścisłej mówiąc, jest to sześćdziesiąt sześć stron dziejów floreńskiej korony.

Potworne? Nie do uwierzenia.

Czemu mistrz historii przygodowych miałby przerwać swoją opowieść, nim na dobre zdążyła się rozpocząć? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Mogę jedynie zgadywać, że dla Morgensterna prawdziwym tematem tej historii nie była Buttercup i jej niezwykle przygody, lecz raczej dzieje monarchii i podobne nudziarstwa. Gdy ta wersja ukaże się drukiem, prawdopodobnie zostanie zamordowany przez wszystkich specjalistów z zakresu florenistyki (Uniwersytet Columbia ma nie tylko najlepszych florenistów w Ameryce, lecz także silne powiązania z „New York Times Book Review”. Nic na to nie poradzę. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że zdołają zrozumieć, iż w moich zamiarach w żadnym razie nie leżało zlekceważenie oryginalnej wizji autora).

Książę Humperdinck był zbudowany jak beczka. Jego pierś przypominała potężną baryłkę, nogi – solidne antałki. Choć niezbyt wysoki, ważył ponad sto dwadzieścia kilo – same twarde jak skała mięśnie. Poruszał się jak krab, z boku na bok, i zapewne gdyby zapragnął zostać tancerzem w balecie, czekałoby go ponure życie, pełne niekończących się rozczarowań. On jednak nie chciał być tancerzem. Nie spieszyło mu się też z nadto do tego, by zostać królem. Nawet wojna, w której osiągnął prawdziwe mistrzostwo, zajmowała w jego życiu dalsze miejsce. Wszystko zajmowało w jego życiu dalsze miejsce.

Jego miłością były łowy.

Każdy dzień, w którym czegoś nie zabił, uważał za stracony. Nieważne, czym była ofiara. Kiedy po raz pierwszy zajął się swą pasją, zabijał jedynie wielkie zwierzęta: słonie albo pytony. Z czasem jednak, w miarę jak jego umiejętności rosły, zaczął napawać się także cierpieniem małych stworzeń. Mógł spędzić radosne popołudnie, ścigając przez las umykającą polatuchę bądź podążając w dół strumienia za tęczowym pstrągiem. Kiedy książę raz już podjął decyzję i dokonał wyboru ofiary, był nieugięty. Nigdy się nie męczył, nigdy nie ustępował, nie znał głodu ani senności. W szachach śmierci był światowym arcymistrzem.

Z początku przemierzał cały świat w poszukiwaniu przeciwników. Podróże jednak zabierały czas, biorąc pod uwagę tempo poruszania się statków i koni, i długie nieobecności księcia we Florenie zaczynały budzić powszechny niepokój. Tron zawsze musiał mieć swojego następcę i póki żył ojciec Humperdincka, problem nie istniał. Kiedyś jednak ojciec umrze, a wtedy książę zostanie królem i będzie musiał wybrać sobie królową, która zapewni nowego następcę.

Aby więc uniknąć kłopotliwych nieobecności, książę Humperdinck wybudował Zoo Śmierci. Sam je zaprojektował, z niewielką pomocą Hrabiego Rugena, po czym rozesłał swoich podwładnych na wszystkie strony świata, aby dostarczyli zwierzyny. Zoo po brzegi wypełniały stworzenia, na które można polować, i zupełnie nie przypominało jakiegokolwiek innego

zwierzyńca. Po pierwsze, nie odwiedzali go żadni goście. Bywał tam wyłącznie dozorca-albinos, dbający o to, by zwierzęta miały co jeść i by w środku nie zagnieżdżyła się nawet najłżejsza choroba czy słabość.

Inną szczególną cechą Zoo Śmierci stanowiło jego położenie – pod ziemią. Książę sam wybrał odpowiedni punkt, w najspokojniejszym, najdalszym kącie terenów pałacowych. Rozkazał także, by wybudowano pięć poziomów, każdy zapewniający właściwe warunki poszczególnym przeciwnikom. Na pierwszym poziomie umieszczono istoty szybkie: dzikie psy, gepardy, kolibry. Drugi poziom należał do istot silnych: anakond, nosorożców i krokodyli długich na ponad sześć metrów. Trzeci przeznaczono trucicielom: kobrom, skaczącym pająkom, jadowitym nietoperzom. Czwarty poziom stanowił królestwo najniebezpieczniejszych stworzeń, istot strachu: krzyczącej tarantuli (jedynego pająka zdolnego wydać z siebie jakikolwiek dźwięk), krwawego orła (jedynego ptaka żywiącego się ludzkim mięsem) i, w osobnej czarnej kałuży, ośmiornicy-wampira. Nawet albinos dygotał ze strachu podczas karmienia mieszkańców czwartego poziomu.

Piąty poziom był pusty.

Książę zbudował go w nadziei, że kiedyś znajdzie godnego siebie przeciwnika, istotę, która będzie równie groźna, potężna i przebiegła jak on sam. Mało prawdopodobne. Humperdinck jednak nie tracił optymizmu i kazał trzymać wielką klatkę na piątym poziomie w nieustającej gotowości.

Zresztą na pozostałych czterech poziomach było wystarczająco wiele śmiertcionośnych stworzeń, by uszczęśliwić każdego. Czasami książę wybierał swe ofiary losowo – miał wielkie koło ze strzałką, a na zewnątrz koła widniały wizerunki wszystkich zwierząt w Zoo. Przy śniadaniu kręcił kołem, po czym albinos sprowadzał wskazany gatunek. Czasami wybierał podług nastroju:

– Czuję się dziś szybki; przyprowadź geparda.

Albo:

– Czuję się dziś silny; uwolnij nosorożca. – I, rzecz jasna, natychmiast spełniano każdy jego rozkaz.

* * *

Właśnie wykańczał orangutana, gdy kwestia stanu zdrowia króla ostatecznie przeszkodziła jego rozrywkom. Minęło już południe. Książę od rana siłował się z ogromnym zwierzem i wreszcie, po tylu godzinach, włochaty stwór zaczynał słabnąć. Raz po raz małpa próbowała gryźć – widomy znak uchodzących sił. Książę z łatwością uniknął tych ataków i małpiszon dyszał już ciężko, desperacko chwytając powietrze. Humperdinck niczym krab postąpił krok w bok, potem następny, wreszcie wyprysnął naprzód, chwytając ofiarę w ramiona i napierając na kręgosłup. (Wszystko to działo się w małpiej dziurze, gdzie książę zabawiał się ze wszelkimi odmianami człekokształtnych.) Nagle z góry dobiegł głos Hrabiego Rugena.

– Przynoszę nowiny.

Książę, nie przerywając walki, rzucił:

– Nie mogą zaczekać?

– Jak długo? – spytał Hrabia.

T

R

A

C

H!

Orangutan padł niczym szmaciana lalka.

– A teraz powiedz, o co chodzi – odezwał się znów książę, przekraczając truchło zwierza i kierując ku drabinie stanowiącej wyjście z dziury.

– Twój ojciec przeszedł coroczne badania – oznajmił Hrabia. – Mam tu raport lekarzy.

– I?

– Jest umierający.

– Do diaska! – westchnął książę. – To znaczy, że będę się musiał ożenić.

ROZDZIAŁ TRZECI





CALA CZWÓRKA SPOTKAŁA SIĘ w wielkiej komnacie rady w zamku. Byli tam: księżę Humperdinck, jego zausznik Hrabia Rugen, ojciec, sędziwy król Lotharon i królowa Bella, okrutna macocha.

Królowa Bella wyglądała jak marmoladka i miała cerę jak malina. Była bez wątpienia najbardziej kochaną osobą w królestwie i poślubiła króla Lotharona na długo przedtem, nim zaczął bełkotać. Księżę Humperdinck był wtedy jeszcze dzieckiem, a ponieważ znał dotąd jedynie okrutne macochy z bajek, tak właśnie nazwał Bellę. Często używał skrótu O.M.

– W porządku – zagadnął księżę, kiedy wszyscy usiedli. – Kogo mam poślubić? Wybierzmy narzeczoną i załatwmy to jak najszybciej.

Sędziwy król Lotharon powiedział:

– Myślę, że stanowczo nadszedł już czas, aby Humperdinck wybrał sobie narzeczoną. – W istocie jednak z jego ust dobył się tylko bełkot: – Myblę ble blenoble bleble jub blable Humbleble blableble.

Jedynie królowa Bella starała się jeszcze zrozumieć jego słowa.

– Masz całkowitą rację, kochanie – stwierdziła i poklepała królewską szatę.

– Co on powiedział?

– Mówi, że panna, na którą się zdecydujemy, dostanie za towarzysza życia oszałamiająco pięknego księcia.

– Powiedz mu, że sam też nieźle wygląda – odparł księżę.

– Właśnie zmieniliśmy cudotwórców – wyjaśniła królowa. – Stąd ta poprawa.

– To znaczy, że wylaliście Cudownego Cyryla? Sądziłem, że został już tylko on.

– Nie, znaleźliśmy jeszcze jednego w górach i jest zupełnie niezwykły. Oczywiście stary, ale komu potrzebny młody cudotwórca?

– Powiedz mu, że zmieniłem cudotwórców – wtrącił król Lotharon. Zabrzmiało to tak: – Poble bleble cubleble.

– Co mówił? – zainteresował się księżę.

– Stwierdził, że mężczyzna na twoim stanowisku nie może poślubić jakiejś tam zwykłej księżniczki.

– To prawda, to prawda. – Księżę Humperdinck westchnął. Głęboko. – Przypuszczam, że to oznacza Noreenę.

– Z pewnością byłoby to doskonałe posunięcie polityczne – zauważył Hrabia Rugen.

Księżniczka Noreena pochodziła z Guldenu, kraju leżącego po drugiej stronie Kanału Floreńskiego. (W Guldenie określano to inaczej: dla nich Floren był krajem po drugiej stronie Kanału Guldeńskiego.) Oba państwa przetrwały długie wieki głównie dzięki niekończącym się wojnom. Wspomnijmy choćby Wojnę Oliwkową, Tuńczykowy Konflikt, który doprowadził oba kraje na krawędź bankructwa, Perliczkowy Bój, po którym ogłosiły niewypłacalność po to tylko, by w Potyczkach o Szmaragdy znów się wzbogacić, głównie dzięki temu, że na krótko połączyły siły, łupiąc wszystkich w okolicy.

– Ciekaw jestem, czy umie polować – zastanawiał się Humperdinck. – Umiejętność władania nożem interesuje mnie bardziej niż czyjś charakter.

– Widziałam ją kilka lat temu – oznajmiła królowa Bella. – Była urocza, choć trudno określić

ją mianem mocarnej. Opisałabym ją jako typ domatorki, nie osobę czynu. Ale, podkreślam raz jeszcze, uroczą.

– Cera? – spytał księżę.

– Jak alabaster.

– Wargi?

– Liczba czy barwa?

– Barwa, O.M.

– Jak róża. Podobnie policzki. Oczy jak spodeczki: jedno zielone, drugie błękitne.

– Hmmm – mruknął Humperdinck. – A figura?

– Jak klepsydra. Zawsze ubrana jak bogini. I, oczywiście, sławna w całym Guldenie z największej w świecie kolekcji kapeluszy.

– Cóż, ściągnijmy ją tu na jakąś państwową uroczystość i przyjrzyjmy się jej – rzucił księżę.

– Czy w Guldenie nie ma przypadkiem księżniczki akurat w odpowiednim wieku? – spytał król. Zebrani usłyszeli: – Blenie bla blabladkiem blednible blablebleku?

– Jak zawsze nieomylny. – Królowa Bella westchnęła i uśmiechnęła się do zachodzących mgłą oczu swego władcy.

– Co powiedział? – dopytywał się księżę.

– Że powinnam jeszcze dziś wyruszyć, by dostarczyć zaproszenie.

I tak rozpoczęła się wspaniała wizyta księżniczki Noreeny.

* * *

To znowu ja. Ze wszystkich cięć w tej wersji to właśnie uważam za najbardziej usprawiedliwione. Podobnie jak rozdziały wielorybiczne w Moby Dicku, które każdy, poza najbardziej zdeterminowanym czytelnikiem, może spokojnie opuścić, tak i sceny pakowania u Morgensterna lepiej zostawić w spokoju. Albowiem to właśnie dzieje się przez następne pięćdziesiąt sześć i pół strony Narzeczonej księcia: pakowanie (do kategorii tej zaliczam także sceny rozpakowywania).

Oto dokładny opis wydarzeń: królowa Bella pakuje większość swojej garderoby (jedenaście stron) i wyrusza do Guldeny (dwie strony). W Guldenie rozpakowuje swe rzeczy (pięć stron), po czym przekazuje zaproszenie księżniczce Noreenie (jedna strona). Księżniczka Noreena przyjmuje zaproszenie (jedna strona). Następnie pakuje wszystkie swoje stroje i kapelusze (dwadzieścia trzy strony) i wraz z królową jedzie do Floreny na coroczne obchody rocznicy założenia miasta Floren (jedna strona). Docierają do zamku króla Lotharona. Tam księżniczka Noreena zostaje zaprowadzona do swych komnat (pół strony) i rozpakowuje te same stroje i kapelusze, które pakowała półtorej strony wcześniej (dwanaście stron).

To bardzo zagadkowy fragment. Rozmawiałem o nim z profesorem Bongiorno z Uniwersytetu Columbia, szefem Wydziału Florenistyki, i dowiedziałem się, że jest to najwspanialszy satyryczny ustęp w całej książce. Najwyraźniej Morgensternowi chodziło o pokazanie, że choć Floren uważał się za państwo o wiele bardziej cywilizowane, to jednak Gulden wyprzedzał sąsiada w rozwoju, czego wskaźnikiem może być większa liczba i jakość damskich strojów. Nie zamierzam się spierać z prawdziwym profesorem, ale jeśli przypadkiem ktoś z was będzie cierpiał na ostrą bezsenność, zróbcie sobie tę przyjemność i zacznijcie czytać trzeci rozdział pełnej wersji Narzeczonej księcia.

W każdym razie zdarzenia nabierają nieco tempa, kiedy księżę i księżniczka spotykają się i

spędzają razem cały dzień. Noreena istotnie miała, jak zapowiadano, cerę jak alabaster, wargi i policzki jak róże, oczy jak spodeczki, jedno zielone, drugie błękitne, figurę jak klepsydra i zapewne najniezwyklejszy zbiór kapeluszy, jaki kiedykolwiek zgromadzono. Z szerokimi i wąskimi rondami, wysokie i niskie, ozdobne i kolorowe, kraciaste i gładkie. Uwielbiała zmieniać kapelusze przy każdej najmniejszej okazji. Kiedy poznała księcia, miała na głowie jeden kapelusz, gdy po chwili Humperdinck zaprosił ją na spacer, przeprosiła go na moment i wkrótce wróciła w drugim, równie twarzowym. I tak minął cały dzień. Uznałem jednak, że dla współczesnego czytelnika tak duża porcja dworskiej etykiety mogłaby okazać się niestrawna, więc dopiero przy kolacji wracam do oryginalnego tekstu.

* * *

Kolację podano w wielkiej sali zamku Lotharona. Zazwyczaj wszelkie posiłki spożywano w jadalni, lecz na tak ważną okazję była ona po prostu za ciasna. Tak więc stoły ustawiono rzędem pośrodku Wielkiej Sali, ogromnego, pełnego przeciągów pomieszczenia, w którym nawet w lecie panowała zimowa temperatura. Sala miała wiele wejść, prowadziły do niej liczne olbrzymie drzwi, a szalejący w niej wiatr osiągał w powiewach siłę huraganu.

Ten wieczór nie różnił się od innych: wiatr gwizdał nieustannie, zapalane wciąż od nowa świece natychmiast gasły, a śmielej odziane damy dygotały z zimna. Księżciu Humperdinckowi to jednak nie przeszkadzało, a we Florenie, jeśli on coś znosił, musieli to znosić wszyscy.

O godzinie ósmej dwadzieścia trzy perspektywa trwałego sojuszu pomiędzy Florenem i Guldenem zdawała się bliska jak nigdy dotąd.

O ósmej dwadzieścia cztery oba kraje stały na krawędzi wojny.

A oto, co się zdarzyło: pięć sekund po ósmej dwadzieścia trzy zaczęto podawać główną potrawę wieczoru. Był to bulion z prosięcia marynowanego w wódce, a dla pięciuset osób potrzeba go naprawdę sporo. Aby zatem przyspieszyć podawanie, otwarto wielkie dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące z kuchni do sali. Drzwi te mieściły się w północnym końcu pomieszczenia i pozostały otwarte przez najbliższych parę minut.

Wino, pasujące do bulionu z marynowanego w wódce prosięcia, czekało już na podanie za podwójnymi drzwiami, prowadzącymi na korytarz wiodący do piwnic. Te drzwi otwarto dziesięć sekund po ósmej dwadzieścia trzy po to, by kilkunastu specjalnych kelnerów mogło szybko dostarczyć beczułki biesiadnikom. Warto tu zauważyć, że owe drzwi mieściły się w południowym końcu sali.

W tym momencie dawało się już wyczuć niezwykle silny powiew. Księżę Humperdinck niczego nie dostrzegł, ponieważ szeptał coś akurat do księżniczki Noreeny z Guldenem. Twarze mieli nachylone ku sobie, a głowa księcia znalazła się pod szerokim rondem błękitnozielonego kapelusza, który podkreślał wspaniałą barwę obu spodeczkowatych oczu księżniczki.

Dwadzieścia sekund po ósmej dwadzieścia trzy do sali biesiadnej wkroczył nieco spóźniony król Lotharon. Obecnie zawsze się spóźniał, czynił tak zresztą od wielu lat i w przeszłości zdarzało się, że ludzie marli z głodu, nim zjawił się na miejscu. Ostatnio jednak posiłki po prostu zaczynały się bez niego, o co zresztą nie miał pretensji, bo nowy cudotwórca i tak zabronił mu jedzenia. Król wkroczył do sali Królewskimi Odrzwiami, ogromnymi wrotami, których tylko jemu wolno było używać. Aby je poruszyć, potrzeba było kilkunastu służących we wspaniałej formie. Trzeba tu dodać, że Królewskie Odrzwia znajdowały się zawsze po wschodniej stronie każdej komnaty, ponieważ ze wszystkich ludzi król był najbliższy słońcu.

Powstały prąd powietrza wiał – w zależności od tego, skąd patrzeć – z północnego bądź południowego zachodu, co do tego opinie są podzielone. Wszyscy zgadzają się tylko w jednym punkcie: dwadzieścia pięć sekund po ósmej dwadzieścia trzy w Wielkiej Sali panował naprawdę ostry przeciąg.

Większość świec zgasła i przewróciła się na stół. Wspominamy o tym tylko dlatego, że kilka, wciąż jeszcze płonących, upadło w niewielkie miseczki z naftą, które rozmieszczono na stole po to, by móc podawać bulion z marynowanego w wódce prosięcia we właściwej, to jest płonącej formie. Służący natychmiast pospieszyli, aby ugasić ogień, i uczynili to bardzo sprawnie, biorąc pod uwagę fakt, że wszystko w sali fruwało bezładnie w powietrzu: wachlarze, szale i kapelusze.

Zwłaszcza kapelusz księżniczki Noreeny.

Odleciał on ku ścianie za jej plecami, skąd podniosła go szybko i umieściła na głowie. Było to pięćdziesiąt sekund po ósmej dwadzieścia trzy. Za późno.

O 8:23:55 książę Humperdinck podniósł się z rykiem. Żył w jego potężnym karku niebezpiecznie nabrzmiały. W niektórych miejscach płomień jeszcze nie zgasł i ich blask pogłębił czerwień nabiegłej krwią twarzy księcia. Kiedy tak stał, wyglądał niczym beczka pełna ognia. I wtedy, zwracając się do księżniczki Noreeny z Guldenem, wypowiedział cztery słowa, które doprowadziły oba kraje na krawędź wojny.

– Moja pani, zmiataj stąd!

Po czym wypadł z Wielkiej Sali. Była godzina ósma dwadzieścia cztery.

Książę Humperdinck gniewnym krokiem wspiął się na galerię nad salą i spojrzał na panujący w dole chaos. Ognie dopalały się czerwonym płomieniem, goście wylewali się wszystkimi drzwiami, księżniczka Noreena zaś, w kapeluszu i nieprzytomna, została właśnie zniesiona z widoku na ramionach własnych sług.

Po chwili królowa Bella dogoniła księcia, który krążył wściekle po galerii, najwyraźniej wciąż jeszcze nie odzyskawszy panowania nad sobą.

– Żałuję, że byłeś tak nieogłędny w słowach – mruknęła.

Humperdinck odwrócił się ku niej z gniewem.

– Nie zamierzam się żenić z łysą księżniczką! Nie ma mowy!

– Nikt nie musiałby wiedzieć – wyjaśniła królowa. – Noreena nawet podczas snu nosi kapelusz.

– Ja bym wiedział! – ryknął książę. – Czy widziałaś blask świec, odbijający się od jej nagiej czaszki?

– Ale wszystko tak dobrze się układało z Guldenem – westchnęła królowa, zwracając się nie tylko do księcia, lecz także do Hrabiego Rugena, który tymczasem do nich dołączył.

– Zapomnij o Guldenie. Kiedyś go podbiję. I tak marzyłem o tym, odkąd byłem dzieckiem. – Podszedł do królowej. – Kiedy masz łysą żonę, ludzie naśmiewają się z ciebie za twoimi plecami, a na to nie mam ochoty, piękne dzięki. Będziecie musieli znaleźć kogoś innego.

– Kogo?

– Kogokolwiek. Musi tylko być ładna, nic więcej.

– Ta Noreena jest łysa – powiedział król Lotharon, zdyszany po pospiesznym marszu. – Norbla blabla blebla.

– Dziękuję, że o tym wspomniałaś, kochanie – odparła królowa Bella.

– Nie sądzę, aby spodobało się to Humperdinckowi – stwierdził król. – Niebla spobla Humbla. Nagle Hrabia Rugen wystąpił naprzód.

– Pragniesz kogoś, kto ładnie wygląda. Co jednak, jeśli jest ona zwykłą poddaną?

- Im bardziej zwykłą, tym lepiej – odrzekł książę Humperdinck, nadal krążąc nerwowo.
- A jeśli nie zna się na łowach? – ciągnął Hrabia.
- Nie dbam nawet o to, czy umie pisać. – Nagle książę zatrzymał się i odwrócił do zebranych.
- Powiem wam, czego chcę – zaczął. – Pragnę dziewczyny, która jest tak piękna, że na jej widok ludzie powiedzą: „O rany, ten Humperdinck to naprawdę ktoś, skoro ma taką żonę”. Przetrząšnjcie kraj, przeszukajcie cały świat, ale znajdźcie ją.
- Hrabia Rugen uśmiechnął się tylko.
- Już została znaleziona.

* * *

O świcie dwóch jeźdźców zatrzymało konie na szczycie wzgórza. Hrabia Rugen dosiadał pysznego karego rumaka – wielkiego, silnego, idealnego. Książę siedział na grzbiecie jednego ze swych siwków. Przy jego wierzchowcu ogier Rugena wyglądał jak szkapa od pług.

- Codziennie rano dostarcza w wiosce mleko – powiedział Hrabia Rugen.
- I jest istotnie-rzeczywiście-bez-żadnej-możliwości-omyłki piękna?
- Kiedy ostatnio ją widziałem, była nieco zaniedbana – przyznał Hrabia. – Ale miała oszałamiający potencjał.
- Mleczarka. – Książę smakował to słowo na swym szorstkim języku. – Nie wiem, czy nawet w najbardziej sprzyjających warunkach mógłbym poślubić jedną z nich. Ludzie naśmiewaliby się, że nie potrafię znaleźć nikogo lepszego.
- To prawda – przyznał Hrabia. – Jeśli chcesz, możemy bez zwłoki wracać do Florenu.
- Skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy zache... – Jego głos załamał się nagle. – Biorę ją – wykrztusił wreszcie, gdy Buttercup wolno przejechała dolinę.
- Nie sądzę, aby ktokolwiek się naśmiewał – zauważył Hrabia.
- Muszę teraz rozpocząć zaloty – oznajmił książę. – Zostaw nas samych na minutkę. – Wprawna ręką skierował siwka w dół zbocza.
- Buttercup nigdy jeszcze nie widziała tak olbrzymiego wierzchowca. Ani podobnego jeźdźca.
- Jestem twoim księciem i zostaniesz moją żoną – powiedział Humperdinck.
- Jestem twoją poddaną i odmawiam – szepnęła Buttercup.
- Jestem twoim księciem i nie możesz mi odmówić.
- Jestem posłuszną poddaną i właśnie to zrobiłam.
- Odmowa oznacza śmierć.
- Zabij mnie zatem.
- Jestem twoim księciem i nie jestem taki zły. Dlaczego wolisz śmierć od małżeństwa ze mną?
- Ponieważ – odparła Buttercup – małżeństwo oznacza miłość, a nie jest to rozrywka, w której bym celowała. Raz spróbowałam i źle się to skończyło, toteż przyrzekłam sobie, że nigdy już nikogo nie pokocham.
- Miłość? – powtórzył Humperdinck. – Kto mówi o miłości? Na pewno nie ja. Posłuchaj: tron Florenu zawsze musi mieć swego następcę. To ja. Kiedy mój ojciec umrze, nie będzie już następcy, tylko nowy król. To znów ja. Gdy się to stanie, ożenię się i będę miał dzieci, póki nie urodzi mi się syn. Możesz więc poślubić mnie, zostać najbogatszą i najpotężniejszą kobietą w promieniu stu mil, rozdawać gęsi na święta i dać mi syna albo zginąć w okropnych męczarniach w bardzo bliskiej przyszłości. Wybieraj.
- Nigdy cię nie pokocham.

- Wcale tego nie pragnę.
- A zatem proszę bardzo, pobierzmy się.

ROZDZIAŁ CZWARTY



PRZYGOTOWANIA



NIE WIEDZIAŁEM NAWET, że ten rozdział istnieje, póki nie zabrałem się za wybór „najlepszych kawałków”. W tym miejscu mój ojciec mawiał jedynie: „tak czy owak, minęły trzy lata”, po czym przechodził do dnia, kiedy Buttercup została oficjalnie przedstawiona światu jako przyszła królowa, a wielki plac w mieście Floren wypełniły tłumy, jakich dotąd nie widziano, oczekujące pojawienia się narzeczonej księcia. Zaraz potem następował wspaniały opis porwania.

Czy uwierzylibyście, że u Morgensterna jest to najdłuższy rozdział?

Piętnaście stron o tym, jak Humperdinck nie może poślubić zwykłej poddanej, więc kłóć się i dyskutować ze szlachtą, aż wreszcie nadają Buttercup tytuł księżnej Wólki, maleńkiego kawałka gruntu na tyłach posiadłości króla Lotharona.

Następnie cudotwórcy zabierają się za leczenie króla Lotharona i osiemnaście stron zostaje wypełnionych opisami kuracji. (Morgenstern nienawidził lekarzy i z goryczą wspominał chwile, gdy w prawdziwym Florenie zabroniono praktyk cudotwórcom).

Potem zaś następują siedemdziesiąt dwie strony – policzcie sami, jeśli chcecie – siedemdziesiąt dwie strony na temat nauki bycia księżniczką. Autor obserwuje Buttercup dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, podczas gdy ona uczy się, jak należy dygać, nalewać herbatę, zwracać się do wielmożnych gości i tak dalej. I oczywiście wszystko to opisane z satyrycznym zacięciem, ponieważ Morgenstern nienawidził arystokracji jeszcze bardziej niż lekarzy.

Jednak z punktu widzenia akcji na stu pięciu stronach nie dzieje się nic nowego. Poza tym jednym: „Tak czy owak, minęły trzy lata”.

ROZDZIAŁ PIĄTY



ZARĘCZYNY



TEGO DNIA PRZYSZŁA ŻONA księcia Humperdincka, księżniczka Wólki Buttercup miała zostać przedstawiona światu, więc wielki rynek miasta Floren zapełnił się jak nigdy dotąd. Tłum zaczął się zbierać jakieś czterdzieści godzin wcześniej, ale po dwunastu godzinach wciąż jeszcze brakowało sporo osób do tysiąca. Później jednak, w miarę jak zbliżała się wyczekiwana chwila, przybywało coraz więcej ludzi, którzy zjechali z całego kraju. Nikt nie widział dotąd księżniczki, ale po całym Florenie krążyły pogłoski o jej urodzie, każda mniej prawdopodobna od drugiej.

W południe na balkonie zamku ojca pojawił się książę Humperdinck i uniósł ręce. Tłum, który tymczasem urósł do niebezpiecznych rozmiarów, uciszył się powoli. Podobno król umierał, właśnie umarł, od dawna już nie żył, czuł się dobrze.

– Mój ludu, moi umiłowani poddani, z których czerpiemy naszą siłę. Nadszedł dzień powitania. Jak zapewne słyszeliście, zdrowie mojego czcigodnego ojca nie jest już takie jak kiedyś. Oczywiście ma on już dziewięćdziesiąt siedem lat, więc trudno oczekiwać czegoś innego. Jak również wiecie, tron Florenu potrzebuje następcy.

Tłum zaczął szemrać – za chwilę zobaczą tę damę, o której tak wiele słyszeli.

– Za trzy miesiące kraj nasz świętować będzie swą pięćsetną rocznicę. Aby uczcić tę okazję, tego dnia o zachodzie słońca pojmę za żonę księżniczkę Wólki Buttercup. Nie znacie jej jeszcze. Zaraz jednak ją ujrzycie. – Uczynił zamaszty gest, drzwi balkonu rozwarły się i u boku księcia stanęła Buttercup.

Tłum, bez żadnej przesady, zamarł.

Dwudziestojednoletnia księżniczka znacznie przewyższała pogrążoną w żałobie osiemnastolatkę. Niedoskonałości figury zniknęły, zbyt kościsty łokieć zaokrąglił się ładnie, pulchny przegub idealnie wyszczupłał. Jej włosy, niegdyś barwy jesieni, miały nadal kolor jesieni, tylko że wcześniej dbała o nie sama, podczas gdy obecnie miała do dyspozycji pięciu pełnoetatowych fryzjerów. (Fryzjerzy istnieli już od dawna, prawdę mówiąc, w chwili gdy pojawiły się kobiety, powstał również zawód fryzjera. Adam był z nich pierwszym, choć uczeni z kręgu księdza Wujka uczynili wszystko, by ukryć ten fakt.) Skóra nadal przypominała zimową śmietankę, teraz jednak, przy dwóch łązebnych przypisanych każdej kończynie i czterech dla tułowia, w pewnym oświetleniu zdawała się otaczać postać księżniczki miękkim, łagodnym blaskiem.

Książę Humperdinck ujął jej dłoń i uniósł wysoko. Tłum odpowiedział radosnym okrzykiem.

– Wystarczy, nie można ryzykować zbyt długiego oglądania – powiedział książę i zawrócił do środka.

– Niektórzy z nich czekali tak długo – odparła Buttercup. – Chciałabym przejść się pomiędzy nimi.

– Nie mieszamy się z poddanymi, chyba że jest to zupełnie nieuniknione – oznajmił książę.

– W swoim życiu poznałam wielu poddanych. Nie sądzę, aby uczynili mi krzywdę.

Z tymi słowy opuściła balkon i po chwili pojawiła się na schodach zamku, skąd, zupełnie sama, zeszła do zebranych.

Gdziekolwiek się skierowała, tłum rozstępował się przed nią. Raz za razem przemierzała Rynek i zawsze ludzie przepuszczali ją, tworząc przejście. Buttercup z uśmiechem wędrowała

wśród nich, powoli, samotnie, niczym zbłąkany Mesjasz.

Większość ludzi zebranych na rynku nigdy nie zapomni tego dnia. Rzecz jasna nikt z nich nie znalazł się dotąd tak blisko ideału, toteż znaczna część tłumu odpowiedziała natychmiastowym uwielbieniem. Oczywiście byli też tacy, którzy – przyznając, że jest nawet niebrzydka – powątpiewali w jej zalety jako przyszłej królowej. I niewątpliwie znalazła się też garstka ogarnięta gwałtowną zawiścią. Kilkanaście osób znienawidziło ją od pierwszego wejrzenia.

A tylko trzy zamierzały ją zabić.

Naturalnie Buttercup nie miała o tym pojęcia. Uśmiechała się, a kiedy ludzie pragnęli dotknąć rąbka jej sukni, cóż, proszę bardzo, jeśli zaś chcieli choć musnąć jej skórę, niech i tak będzie. Ciężko pracowała nad prawdziwie królewskim zachowaniem i bardzo zależało jej, by odnieść sukces. Trzymała się więc prosto, uśmiechając się łagodnie, a gdyby ktoś powiedział jej, że śmierć kryje się tak blisko, roześmiałyby się.

Ale –

- w najdalszym krańcu wielkiego rynku –
- w najwyższym budynku w mieście –
- głęboko w najgłębszym cieniu –
- czekał człowiek w czerni.

Nosił wysokie buty z czarnej skóry. Jego spodnie i kurtka również miały kolor czerni. Maską przypominała swą barwą skrzydło kruka. Jednak najczarniejsze były błyszczące spod niej oczy.

Błyszczące, okrutne i śmiertelnie groźne...

* * *

Po swym triumfie Buttercup była bardziej niż trochę zmęczona. Kontakt z tłumem wyczerpał ją, więc przez jakiś czas odpoczęła, po czym wczesnym popołudniem przebrała się w strój do jazdy konnej i poszła po Konia. Był to jedyny aspekt jej życia, który nie zmienił się przez te wszystkie lata. Nadal uwielbiała przejażdżki i każdego popołudnia, niezależnie od pogody, dosiadała konia i przez kilka godzin galopowała samotnie po rozciągających się za zamkiem pustkowiach.

Wtedy najlepiej jej się myślało.

Nie żeby – nawet w najlepszym razie – jej myśli imponowały rozmachem. Ale nie była też głupia i – jak sobie powiedziała – póki z nikim nie dzieliła się swymi rozmyślaniami, co komu do tego?

Gdy tak śmigiała przez lasy, strumienie i wrzosowiska, jej myśli krążyły szaleńczo. Przechadzka wśród tłumów w dziwny sposób poruszyła Buttercup. Choć bowiem od trzech lat nie robiła nic poza nauką tego, jak powinna zachowywać się księżniczka i królowa, tego dnia po raz pierwszy zrozumiała, że wkrótce stanie się to rzeczywistością.

Tylko że ja nie lubię Humperdincka, pomyślała. Nie nienawidzę go ani nic takiego. Po prostu nigdy się nie widzimy; stale gdzieś wyjeżdża albo bawi się w Zoo Śmierci.

Wedle rozumowania Buttercup istniały dwa podstawowe problemy: 1) czy to źle wychodzić za mąż bez uczucia i 2) jeśli tak, to czy nie jest już za późno, aby cokolwiek z tym zrobić.

Odpowiedzi, wedle jej rozumowania, brzmiały: 1) nie i 2) tak.

To nic złego poślubić kogoś bez miłości, po prostu nie jest to też słuszne. Gdyby czynił tak cały świat, nic dobrego by z tego nie wyszło – wszyscy tylko narzekaliby na innych i kwękali w miarę upływu lat. Ale oczywiście nie każdy tak postępował, więc nie ma sprawy. Odpowiedź na

2) była jeszcze łatwiejsza: dała słowo, że zostanie jego żoną. Już samo to powinno wystarczyć. To prawda, uprzedził ją lojalnie, że jeśli odpowie „nie”, będzie musiał rozkazać ją zabić, aby ludzie nie stracili szacunku dla Korony. Nadal jednak, gdyby zechciała, mogła odmówić.

Odkąd została księżniczką, wszyscy powtarzali jej, że niewątpliwie jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Teraz miała również zostać najbogatszą i najpotężniejszą.

Nie oczekuj zbyt wiele od życia, powiedziała do siebie Buttercup, jadąc naprzód. Naucz się czuć zadowolenie z tego, co masz.

* * *

Zapadał już zmrok, gdy Buttercup dotarła na szczyt wzgórza. Od zamku dzieliło ją jakieś pół godziny jazdy, miała już za sobą trzy czwarte swojej codziennej przejażdżki. Nagle ściągnęła wodze Konia, w półmroku bowiem przed sobą ujrziała najdziwniejsze trio, jakie kiedykolwiek spotkała.

Pierwszy mężczyzna miał ciemną cerę – może sycylijską? – i niezwykle łagodną, niemal anielską twarz. Jedna z jego nóg była nieco krótsza, na plecach rysował się zaczątek garbu; mimo to ruszył w stronę Buttercup ze zdumiewającą szybkością i zręcznością. Pozostała dwójka stała nieruchomo. Drugi z nieznanym, także śniady, prawdopodobnie Hiszpan, był równie prosty i smukły, jak wiszące mu u pasa stalowe ostrze. Trzeci mężczyzna, wąsaty, wyglądający na Turka, wydał jej się bez wątpienia najpotężniejszą istotą ludzką, jaką kiedykolwiek widziała.

– Czy można zamienić słówko? – spytał Sycylijczyk, unosząc rękę. Jego uśmiech był jeszcze bardziej dobroduszny niż oblicze.

Buttercup zatrzymała się.

– Mów.

– Jesteśmy jedynie biednymi cyrkowcami – wyjaśnił Sycylijczyk. – Zgubiliśmy się w ciemności. Powiedziano nam, że w pobliżu znajdziemy wieś, której mieszkańcy docenią nasze rzemiosło.

– Zostaliście źle poinformowani – powiedziała Buttercup. – W promieniu wielu mil nie ma tu nikogo.

– A zatem nikt nie usłyszy, jak krzyczysz – stwierdził Sycylijczyk i z przerażającą zwinnością rzucił się ku jej twarzy.

Buttercup nie zapamiętała nic więcej. Możliwe, że istotnie krzyknęła, ale jeśli nawet, to jedynie ze strachu, nie czuła bowiem najmniejszego bólu. Jego ręce wprawnie odszukały kilka miejsc na szyi dziewczyny i Buttercup straciła przytomność.

Obudził ją plusk wody.

Była opatulona w koc, a olbrzymi Turek układał ją właśnie na dnie łodzi. Przez sekundę chciała się odezwać, ale kiedy oni zaczęli mówić, uznała, że lepiej będzie posłuchać. Po chwili zaś słuchanie zaczęło stawać się coraz trudniejsze i trudniejsze. Okropnie biło jej serce.

– Myślę, że powinieneś zabić ją już teraz – oznajmił Turek.

– Im mniej będziesz myślał, tym bardziej się ucieszę – odpowiedział Sycylijczyk.

Rozległ się trzask dartego materiału.

– Co to było? – spytał Hiszpan.

– To samo, co przyczepiłem do jej siodła – wyjaśnił Sycylijczyk. – Tkanina z munduru guldeńskiego oficera.

– Nadal sądzę... – zaczął Turek.

– Muszą ją znaleźć martwą na granicy Guldenu albo nie otrzymamy reszty wynagrodzenia. Czy to dla ciebie dość jasne?

– Po prostu czułbym się lepiej, gdybym wiedział, o co tu chodzi, to wszystko – wymamrotał Turek. – Ludzie zawsze uważają, że jestem bardzo głupi, tylko dlatego że urosłem wielki i silny, i czasami ślinię się odrobinę, kiedy się zdenerwuję.

– Powód, dla którego ludzie sądzą, że jesteś bardzo głupi – odrzekł Sycylijczyk – to fakt, że jesteś bardzo głupi. Nie ma to nic wspólnego z twoim ślinieniem się.

Załopotał żagiel.

– Uwaga na głowy! – ostrzegł Hiszpan, po czym łódź ruszyła. – Obawiam się, że obywatele Florenu niezbyt dobrze przyjmą jej śmierć. Zdążyli ją już pokochać.

– Wybuchnie wojna – zgodził się Sycylijczyk. – Zapłacono nam, abyśmy do niej doprowadzili. To znakomity fach. Jeśli doskonale wykonamy obecne zadanie, wzrośnie popyt na nasze usługi.

– Cóż, mnie niezbyt się to podoba – odparł Hiszpan. – Szczerze mówiąc, żałuję, że nie odmówiłeś.

– Zapłata była zbyt wysoka.

– Nie zachwyca mnie konieczność zabicia dziewczyny – upierał się Hiszpan.

– Bóg robi to bez przerwy. Jeśli jemu to nie przeszkadza, nie powinno przeszkadzać i tobie.

Przez cały ten czas Buttercup nawet nie drgnęła...

– Powiedzmy po prostu, że porwaliś ją dla okupu – zaproponował Hiszpan.

Turek poparł go.

– Jest taka piękna. Oszalałaby, gdyby się dowiedziała.

– Ona już wie – odparł Sycylijczyk. – Cały czas była przytomna.

Buttercup leżała bez ruchu pod kocem. Po czym to poznał?, zastanawiała się.

– Skąd możesz być pewien? – zapytał Hiszpan.

– Sycylijczyk wyczuwa wszystko.

Zarozumiałstwo, pomyślała Buttercup.

– Tak, ogromne zarozumiałstwo – potwierdził Sycylijczyk.

Musi umieć czytać w myślach, stwierdziła w duchu Buttercup.

– Czy dajesz jej dość żagla? – spytał Sycylijczyk.

– Ile tylko mogę – odrzekł Hiszpan z za steru.

– Mamy godzinę przewagi, więc na razie nie ryzykuj. Zanim jej koń dotrze do zamku, minie jakieś dwadzieścia siedem minut, dodatkowych paru potrzeba, aby domyślili się, co zaszło, a ponieważ pozostawiliśmy wyraźny ślad, ruszą za nami w ciągu godziny. Za kwadrans powinniśmy dotrzeć do Urwisk i – jeśli dopisze nam szczęście – o świcie znajdziemy się na granicy Guldenu, gdzie dziewczyna umrze. Kiedy jej książę ją odnajdzie, zmasakrowane zwłoki będą jeszcze ciepłe. Żałuję tylko, że nie możemy zostać, aby obejrzeć jego rozpacz – z pewnością będzie homerycka.

Dlaczego pozwala mi poznać swe plany?, pomyślała Buttercup.

– Pora spać, panienko – powiedział Sycylijczyk i nagle poczuła dotyk jego palców, na skroniach, ramionach, szyi i znów straciła świadomość...

Buttercup nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna, ale kiedy otworzyła oczy, nadal leżała na dnie łodzi, okryta kocem. Tym razem, nie ośmieliwszy się nawet pomyśleć – Sycylijczyk wyczułby to w jakiś sposób – odrzuciła koc i zanurkowała głęboko w wody Kanału Floreńskiego.

Pozostała pod wodą, póki starczyło jej powietrza, po czym wynurzyła się i zaczęła ze wszystkich sił płynąć przez pogrążone w bezkسیężycowym mroku morze. W ciemności za nią rozległy się krzyki.

– Skaczcіe, no skaczcіe! – To Sycylijszyk.

– Pływam tylko pieskiem. – Turek.

– I tak jesteś lepszy ode mnie. – Hiszpan.

Buttercup oddalała się coraz bardziej. Bolały ją ramiona, ani na moment jednak nie dawała im odpocząć. Jej nogi biły wodę, serce waliło.

– Słyszę plusk – stwierdził Sycylijszyk. – Skręć w lewo.

Buttercup zaczęła płynąć żabką, oddalając się bezszelestnie.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnął Sycylijszyk.

– Nie ma strachu, i tak dostaną ją rekiny – rzucił Hiszpan.

O Boże, po co on to powiedział, jęknęła w duchu Buttercup.

– Księżniczko! – zawołał Sycylijszyk. – Czy wiesz, co dzieje się z rekinami, kiedy wyczują w wodzie krew? Wpadają w szał. Nie da się ich opanować. Gryzą, szarpią i pożerają wszystko, co znajdują. Siedzę w łodzi, księżniczko, a w wodzie nie ma na razie ani kropli krwi, więc oboje jesteście bezpieczni. Ale w dłoni mam nóż i jeśli nie wrócisz, moja damo, zatnę się w ramiona i w nogi, zbiorę krew do kubka i chlusnę nią tak daleko, jak tylko zdołam. A kiedy rekiny zwęszą krew – a potrafią ją wyczuć z odległości wielu mil – nie na długo zachowasz swą urodę.

Buttercup zawahała się, cicho przemierzając morze. Nagle – choć musiała to być tylko wyobraźnia – wydało się jej, że wokół siebie słyszy szmer potężnych ogonów, przecinających wodę.

– Wracaj i to natychmiast. To ostatnie ostrzeżenie.

Jeśli wrócę, pomyślała Buttercup, i tak mnie zabiją, więc co za różnica?

– Różnica polega na tym...

O, proszę, znów to samo. On naprawdę umie odczytywać myśli.

– ...że jeśli wrócisz do nas, damę ci słowo dżentelmena i mordercy, iż umrzesz bezboleśnie. Zapewniam cię, że rekiny nie złożą podobnej obietnicy.

Rybie odgłosy zaczęły się przybliżać.

Buttercup zadrżała z przerażenia. Czuła okropny wstyd, ale nie mogła nic na to poradzić. Żałowała tylko, że choć na chwilę nie może się rozejrzeć i sprawdzić, czy rzeczywiście otaczają ją rekiny i czy Sycylijszyk naprawdę się skaleczył.

Jej porywacz syknął głośno.

– Właśnie zaciął się w ramię, panienko! – zawołał Turek. – Teraz łapie krew do kubka. Na dnie jest już jakieś pół cala.

Sycylijszyk ponownie syknął.

– Tym razem to noga – ciągnął Turek. – Kubek się wypełnia.

Nie wierzę im, pomyślała Buttercup. W wodzie nie ma żadnych rekinów, a jego kubek jest pusty.

– Wszystko gotowe! – oznajmił Sycylijszyk. – Zawołaj, gdzie jesteście... albo nie. Wybór należy do ciebie.

Nic z tego, zdecydowała Buttercup.

– Żegnaj!

Rozległ się głośny plusk, gdy jedna ciecz uderzyła o drugą.

Potem cisza.

A potem rekiny wpadły w szal...

* * *

– Tym razem rekiny jej nie zjedzą – powiedział mój ojciec.

Uniosłem wzrok.

– Co takiego?

– Wyglądałeś na zbyt rozgorączkowanego i zdenerwowanego, więc pomyślałem, że cię uprzedzę.

– O rany, no co ty! – zaprotestowałem. – Myślisz że jestem małym dzieckiem, czy jak? Co to za teksty? – Doskonale udawałem obrazonego, ale przyznam się: tak naprawdę rzeczywiście zaczynałem się denerwować i cieszyłem się, że mi powiedział. Kiedy się jest dzieckiem, człowiek nie myśli sobie: „No cóż, skoro książka nosi tytuł *Naręczona księcia* i akcja dopiero się rozkręca, oczywiście autor nie pozwoli, aby rekin schrupał główną bohaterkę”. W dzieciństwie wciągają cię takie opowieści, więc pod adresem wszystkich młodych czytelników powtórzę to, co powiedział mi kiedyś ojciec i co tak świetnie zadziałało: „Tym razem rekiny jej nie zjedzą”.

* * *

A potem rekiny wpadły w szal. Wszędzie wokół siebie Buttercup słyszała ich buczenie, piski i plusk potężnych ogonów. Nic mnie już nie uratuje, uświadomiła sobie. Jestem trupem.

Jednak w tej samej chwili, na szczęście dla wszystkich zainteresowanych – z wyjątkiem rekinów – wzeszedł księżyc.

– Tam jest! – wykrzyknął Sycylijczyk i kierowana dłonią Hiszpana łódź jak błyskawica skręciła ku niej. A potem Turek wyciągnął olbrzymią rękę i Buttercup znów znalazła się w bezpiecznym otoczeniu morderców, podczas gdy dookoła rekiny ciskały się, zawiedzione.

– Uważaj, żeby nie zmarzła! – powiedział z za steru Hiszpan, rzucając Turkowi swój płaszcz.

– Proszę się nie przeziębic – upomniał olbrzym, dokładnie opatulając Buttercup.

– Nie ma to chyba specjalnego znaczenia – zauważyła – skoro rano i tak mnie zabijecie.

– Tak naprawdę to jego robota – wyjaśnił Turek, wskazując Sycylijczyka, który opatrywał swe skaleczenia. – My cię tylko przytrzymamy.

– Trzymaj swój głupi jęzor za zębami – polecił Sycylijczyk.

Turek natychmiast umilkł.

– Nie uważam, aby był taki głupi – stwierdziła Buttercup. – A i ty sam też nie jesteś specjalnie bystry. Całe to wlewanie krwi w wodę! Nie nazwałabym tego szczytem sprytu.

– Ale zadziałało, prawda? Znów jesteś z nami, czyż nie? – Sycylijczyk podszedł do niej. – Kiedy kobiety przerażą się dostatecznie, krzyczą.

– Tylko że ja nie krzyknęłam. Zaświecił księżyc – odparła z triumfem Buttercup.

Uderzył ją.

– Wystarczy już – odezwał się Turek.

Drobny garbus spojrział na olbrzymia martwym wzrokiem.

– Czyżbyś chciał ze mną walczyć? Nie sądzę.

– Nie, proszę pana – wymamrotał Turek. – Nie. Ale niech pan nie używa siły. Proszę. To moja specjalność. Proszę raczej uderzyć mnie, jeśli pan zechce. Nie będę się gniewał.

Sycylijczyk wrócił na przeciwny kraniec łodzi.

– Krzyknęłaby – stwierdził. – Właśnie miała krzyknąć. Mój plan był idealny, tak jak wszystkie moje plany. To przedwczesny wschód księżyca pozbawił mnie doskonałości. – Wykrzywiając się, spojrział niechętnie na żółty sierp nad głową. Nagle zerknął naprzód.

– Patrzcie! – wskazał dłonią. – Urwiska Szaleństwa!

I rzeczywiście ujrzeli je. Wyrastające wprost z wody strome ściany, wznoszące się na tysiąc stóp w niebo. Skały te stanowiły najkrótszą drogę pomiędzy Florenem i Guldenem, lecz nikt nigdy z niej nie korzystał, nadkładając wiele mil żeglugi, aby okrążyć wzniesienia. Nie, żeby nie można się było na nie wspiąć. Choćby w ostatnim stuleciu udało się to co najmniej dwóm mężczyznom.

– Żegluj wprost ku najbardziej stromej części – polecił Sycylijczyk.

– Już to zrobiłem – odparł Hiszpan.

Buttercup nic nie rozumiała. Wspinaczka na Urwiska była mało realna, a nigdy nie słyszała, aby prowadziły przez nie jakieś tajne przejścia. A jednak coraz bardziej zbliżali się do potężnych skalnych ścian. Dzieliło ich już od nich zaledwie trzy czwarte mili.

Po raz pierwszy Sycylijczyk pozwolił sobie na uśmiech.

– Wszystko idzie dobrze. Obawiałem się, że twoja niespodziewana kąpiel kosztowała mnie zbyt wiele czasu. Zostawiłem nam godzinny margines bezpieczeństwa. Zostało z niego jeszcze pięćdziesiąt minut. Wyprzedzamy ich o wiele mil i jesteśmy bezpieczni, bezpieczni, bezpieczni.

– Na razie nikt nie mógłby nas ścigać? – spytał Hiszpan.

– Nikt – zapewnił go Sycylijczyk. – To niewiarygodne.

– Całkowicie niewiarygodne?

– Całkowicie, absolutnie i ze wszech miar niewiarygodne – podkreślił Sycylijczyk. – Czemu pytasz?

– Bez specjalnego powodu – odparł Hiszpan. – Tyle tylko, że przypadkiem zerknąłem do tyłu i coś tam jest.

Wszyscy odwrócili głowy.

Istotnie, coś tam było. Niecałą milę od nich oświetlone księżycem fale przecinała druga łódź – mała, pomalowana na czarno, z gigantycznym czarnym żaglem, łopoczącym w nocnym wietrze, i samotnym mężczyzną u steru. Człowiekiem w czerni.

Hiszpan spojrział na Sycylijczyka.

– Zapewne to jakiś miejscowy rybak, który wybrał się samotnie na miłą nocną przejażdżkę po nawiedzanych przez rekiny wodach.

– Niewątpliwie istnieje logiczniejsze wyjaśnienie – stwierdził Sycylijczyk. – Ponieważ jednak nikt w Guldenie dotąd o nas nie słyszał, a pościg z Florenu nie mógł tu jeszcze dotrzeć, ten człowiek – choć wszystko by na to wskazywało – nie podąży za nami. To tylko zbieg okoliczności, nic więcej.

– Dogania nas – zauważył Turek.

– To również niewiarygodne – odparł Sycylijczyk. – Zanim ukradłem łódź, zasięgnąłem języka. Pytałem, jaka jest najszybsza łódź na Kanale Floreńskim, i wszyscy zgodzili się, że właśnie ta.

– Masz rację – zgodził się Turek, zerkając za siebie. – On nas nie dogania. Po prostu jest coraz bliżej, i tyle.

– To wina kąta, pod jakim patrzymy – odrzekł Sycylijczyk.

Buttercup nie mogła oderwać oczu od wielkiego czarnego żagla. Oczywiście trzej towarzyszący jej mężczyźni przerażali ją. Ale z niewytłumaczalnych przyczyn człowiek w czerni

budził w niej jeszcze większy lęk.

– W porządku, uważajcie! – powiedział nagle Sycylijczyk. W jego głosie zabrzmiała lekka nutka zdenerwowania.

Urwiska Szaleństwa górowały nad nimi.

Hiszpan po mistrzowsku manewrował łodzią, choć nie było to łatwą sztuką – fale rozbijały się o skały, w powietrzu unosiła się oślepiająca mgiełka wodna. Buttercup osłoniła oczy i zadarła głowę, spoglądając poprzez ciemność ku skrytym w mroku niedosiężnym szczytom.

Nagle garbus sprężył się i w chwili, gdy łódź dotarła do skalnej ściany, podskoczył. W jego dłoni znalazła się lina.

Buttercup patrzyła z milczącym zdumieniem. Lina, gruba i mocna, zdawała się wędrować w górę aż po szczyt Urwisk. Sycylijczyk szarpnął nią – raz, drugi – lecz lina nie puściła. Musiała być przywiązana do czegoś na górze – wielkiego kamienia, rosnącego drzewa, czegoś takiego.

– Teraz szybko – zakomenderował. – Jeśli ten człowiek nas ściga – co, rzecz jasna, przekracza granice ludzkiej wyobraźni – więc jeśli nas ściga, musimy wspiąć się na szczyt i odciąć linę, zanim zdoła wejść za nami.

– Wspiąć się? – powtórzyła Buttercup. – Ależ ja nigdy nie zdołam się...

– Cisza! – rozkazał Sycylijczyk. – Przygotuj się! – polecił Hiszpanowi. – Zatop ją! – warknął do Turka.

Nagle wszyscy zaczęli się krzątać. Hiszpan, ująwszy linę, związał ręce i nogi Buttercup. Turek uniósł wielką nogę i tupnął o pokład. Łódź poddała się natychmiast i zaczęła tonąć. Następnie olbrzym podszedł do liny i chwycił ją mocno.

– Ładujcie – rozkazał.

Hiszpan dźwignął Buttercup i ułożył ją na ramionach towarzysza. Potem sam przywiązał się do jego pasa. Wreszcie Sycylijczyk podskoczył, przywierając do szyi Turka.

– Gotowi do odjazdu! – rzucił.

(Pociągów jeszcze wtedy nie było, ale wyrażenie to pierwotnie zrodziło się pośród flisaków spławiających drewno, a flisacy istnieli już od dawna.)

Turek bezzwłocznie zaczął się wspinać. A choć miał przed sobą co najmniej tysiąc stóp i dźwigał dodatkowo trzy osoby, nie obawiał się. Nigdy nie lękał się, kiedy w grę wchodziła siła. Przy czytaniu żołądek skręcał mu się ze strachu, pisząc, oblewał się zimnym potem, a kiedy rozmowa zeszała na dodawanie, albo – jeszcze gorzej – dzielenie pisemne, natychmiast zmieniał temat.

Ale siła nigdy nie była jego wrogiem. Mógł przyjąć koński kopniak na środek klatki piersiowej i utrzymać się na nogach. Potrafił ścisnąć między nogami pięćdziesięciokilowy worek mąki i bez trudu wydusić z niego zawartość. Kiedyś samymi mięśniami pleców dźwignął w górę słońca.

Jednak jego prawdziwa moc kryła się w rękach. Przez tysiąc lat nie zdarzyła się ani jedna para rąk, mogąca dorównać tym należącym do Fezzika (tak bowiem brzmiało jego imię). Były one nie tylko gigantyczne, absolutnie posłuszne i zdumiewająco zręczne, lecz także – dlatego właśnie nigdy się nie niepokoił – praktycznie nie znały zmęczenia. Gdyby dać mu siekierę i polecić zrząbać cały las, jego nogi mogłyby ustąpić, znużone tak długim dźwiganiem potężnego ciężaru, ostrze mogłoby rozpaść się, mordując setki drzew, ale ręce Fezzika pozostałyby równie mocne jak każdego ranka.

Toteż nawet z Sycylijczykiem na szyi, księżniczką wokół ramion i Hiszpanem u pasa Fezzik wcale nie czuł się wykorzystywany. W istocie był raczej szczęśliwy, ponieważ tylko kiedy

żądano od niego użycia siły, nie miał wrażeń, że jest dla wszystkich zawadą.

Teraz wspinał się w górę, ręka za ręką, ręka za ręką, już dwieście stóp ponad wodą. Zostało mu jeszcze osiemset.

Z całej czwórki to Sycylijczyk najbardziej lękał się wysokości. We wszystkich sennych koszmarach – a nawiedzały go często – nękała go myśl o spadaniu. Zatem owa przerażająca wspinaczka była dla niego, przycupniętego na karku olbrzyma, najtrudniejsza. Albo przynajmniej powinna być.

Ale on nie zamierzał na to pozwolić.

Od czasu, gdy jeszcze jako dziecko uświadomił sobie, że jego garbate ciało nie pomoże mu podbić świata, polegał na swoim umyśle. Szkolił go, poskramiał, oswajał. Toteż teraz, trzysta stóp w górze i wciąż wznosząc się wyżej, gdy powinien dygotać ze strachu, trwał spokojnie.

Zamiast tego rozmyślał o człowieku w czerni.

Niemożliwe, by ktoś był dostatecznie szybki, aby ich doścignąć. A jednak jakaś diabelska sztuka przywiodła tu wydęty czarny żagiel. Jak? W jaki sposób? Sycylijczyk zadreślał swój umysł w poszukiwaniu odpowiedzi – bez powodzenia. W dzikiej złości odetchnął głęboko i, nie zważając na swe lęki, spojrział w dół ku mrocznym wodom.

Człowiek w czerni wciąż tam był. Jego łódź chyżo jak błyskawica zmierzała ku Urwiskom. Teraz dzieliła go od nich już mniej niż jedna czwarta mili.

– Szybciej! – polecił Sycylijczyk.

– Przepraszam – odparł potulnie Turek. – Wydawało mi się, że już wspinam się dość szybko.

– Leniuch! – prychnął Sycylijczyk.

– Wiem, że jestem niepoprawny – przyznał olbrzym, ale jego ręce poczęły ruszać się coraz szybciej. – Prawie nic nie widzę, bo twoje stopy zasłaniają mi twarz – ciągnął. – Proszę, powiedz mi, czy jesteśmy już w połowie drogi?

– Na moje oko nawet nieco wyżej – odparł Hiszpan ze swego miejsca u pasa Turka. – Wspaniale ci idzie, Fezziku.

– Dziękuję.

– A on właśnie dobija do Urwisk – dodał Hiszpan.

Nikt nie musiał pytać, kim był ten „on”.

Sześćset stóp. Ręce nadal wciągały po linie ogromny ciężar. Sześćset dwadzieścia stóp. Sześćset pięćdziesiąt. Coraz szybciej i szybciej. Siedemset.

– Zostawił swoją łódź – oznajmił Hiszpan. – Złapał naszą linę i idzie za nami.

– Czuję go – odrzekł Fezzik. – Sznur napręża się pod nim.

– Nigdy nas nie doścignie! – wykrzyknął Sycylijczyk. – To niewiarygodne!

– Ciągłe używasz tego słowa! – warknął Hiszpan. – Chyba nie znaczy ono tego, co masz na myśli.

– Jak szybko się wspina? – spytał Fezzik.

– Boję się – oparł Hiszpan.

Sycylijczyk zebrał całą swą odwagę i znów spojrział w dół.

Człowiek w czerni zdawał się niemal frunąć. Już zdążył zmniejszyć o sto stóp dzielącą ich odległość. Może nawet jeszcze bardziej.

– Podobno jesteś taki silny! – ryknął Sycylijczyk. – Myślałem, że nikt ci nie dorówna, a jednak on nas dogania!

– Niosę troje ludzi – wyjaśnił Fezzik. – On jest sam i...

– Wymówki to specjalność tchórzów – przerwał mu garbus, ponownie zerkając w dół.

Człowiek w czerni nadrobił kolejnych sto stóp. Sycylińczyk uniósł wzrok. Powoli z mroku wyłaniały się szczyty Urwisk. Do bezpieczeństwa pozostało im jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt stóp.

Buttercup, ze związanymi rękami i nogami, nie była pewna, co przeraża ją bardziej. Wiedziała tylko jedno: nigdy już nie chce przechodzić przez coś podobnego.

– Fruń, Fezziku! – krzyknął Sycylińczyk. – Jeszcze tylko sto stóp.

Fezzik pofrunął. Oczyszczył swój umysł z myśli o wszystkim poza rękami, dłońmi i liną. Jego ręce ciągnęły, dłonie zaciskały się, lina pozostawała napięta i...

– Minął połowę drogi – zauważył Hiszpan.

– Połowę drogi do zguby – odparł Sycylińczyk. – Od szczytu dzieli nas pięćdziesiąt stóp, a kiedy znajdziemy się tam bezpiecznie i odwiążę linę... – zaśmiał się cicho.

Czterdzieści stóp.

Fezzik parł w górę.

Dwadzieścia.

Dziesięć.

Udało się. Fezzik dokonał cudu. Dotarli na szczyt Urwisk. Najpierw na ziemię zeskokczył Sycylińczyk, potem Turek zdjął z ramion księżniczkę, wreszcie Hiszpan odwiązał się i natychmiast spojrział w przepaść.

Człowiek w czerni był tylko o trzysta stóp od nich.

– Szkoda go – stwierdził Turek, podążając wzrokiem za spojrzeniem Hiszpana. – Podobny wspinacz nie zasługuje na... – Urwał.

Sycylińczyk rozplątał ostatni węzeł mocujący sznur do dębu. Lina nagle ożyła niczym mocarny wąż morski, wreszcie powracający do domu. Śmignęła nad krawędzią Urwiska i, wirując, opadła ku osrebrzonym promieniami księżycyca wodom kanału.

Sycylińczyk zaniósł się śmiechem i nie umilkł, póki Hiszpan nie powiedział:

– Udało mu się.

– Co mu się udało? – podbiegł do przepaści.

– Na czas puścił linę – wyjaśnił Hiszpan. – Widzisz?

Człowiek w czerni wisiał na rękach, kurczowo trzymając się pionowej skały, siedemset stóp nad powierzchnią morza.

Sycylińczyk obserwował go, zafascynowany.

– Wiecie – powiedział – zajmowałem się badaniami nad umieraniem i śmiercią i jestem w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. Może was zainteresuje, że nasz przyjaciel umrze na długo przedtem, nim uderzy o wodę. To upadek go zabije, nie wstrząs zderzenia.

Człowiek w czerni kołysał się bezradnie, desperacko wpijając palce w skałę.

– Och, co za nieuprzejmość z naszej strony – stwierdził Sycylińczyk, odwracając się do Buttercup. – Z pewnością też chciałabyś popatrzeć. – Podeszedł do niej i podprowadził ją, nadal spętaną, do krawędzi, aby mogła oglądać ostatnie żalosne wysiłki człowieka w czerni, trzysta stóp niżej.

Buttercup zamknęła oczy i odwróciła głowę.

– Czy nie powinniśmy już ruszać? – spytał Hiszpan. – Zdawało mi się, że wciąż powtarzasz, jak ważny jest dla nas czas.

– Bo jest. Ale nie potrafię odmówić sobie obejrzenia takiej śmierci. Mógłbym co tydzień wystawiać coś takiego i utrzymywać się ze sprzedaży biletów. Może nawet całkowicie wycofać się z zawodu płatnego zabójcy. Spójrzcie na niego – czy sądzicie, że całe życie przebiega mu

przed oczami? Tak twierdzą książki.

– Ma bardzo silne ręce – zauważył Fezzik.

– Długo już nie wytrzyma – odparł Sycylijczyk. – Wkrótce musi spaść.

Akurat w tym momencie człowiek w czerni zaczął się wspinać. Rzecz jasna, niezbyt szybko. I nie bez wielkiego trudu. Nie można było jednak wątpić, że mimo stromizny Urwisk poruszał się – w górę.

– Niewiarygodne! – wykrzyknął Sycylijczyk.

Hiszpan odwrócił się ku niemu.

– Przestań to powtarzać! Niewiarygodne było, że ktoś może nas ścigać, lecz kiedy się obejrzelśmy, zobaczyliśmy człowieka w czerni. Niewiarygodne było, że jakakolwiek łódź da radę płynąć szybciej od naszej, a przecież nas doganiał. A teraz i to miałyby być niewiarygodne, ale spójrzcie – spójrzcie... – I Hiszpan wskazał ręką w zalegający w dole mrok. – Patrzcie, jak się wspina.

Człowiek w czerni wspinał się istotnie. Jakimś sposobem, niemal cudem, jego palce odnajdywały uchwyty w szczelinach skały i teraz znajdował się piętnaście stóp bliżej szczytu, dalej od śmierci.

Sycylijczyk powoli zbliżył się do Hiszpana, jego oczy błyskały groźnie, rozdrażnione okazaną niesubordynacją.

– Mam najsprawniejszy umysł, jaki kiedykolwiek zwrócił się ku drugiej stronie prawa – zaczął – więc kiedy coś mówię, to nie zgaduję. – Podaję fakty. Fakt zaś jest taki, że człowiek w czerni nas nie ściga. Logicznym wytłumaczeniem może być to, że mamy do czynienia ze zwykłym marynarzem, który także interesuje się górską wspinaczką i przypadkiem zmierza w tym samym kierunku, co i my. To wyjaśnienie z pewnością mnie zadowala i mam nadzieję, że usatysfakcjonuje również ciebie. W każdym razie jednak nie możemy ryzykować, aby zobaczyć nas z księżniczką, a zatem jeden z was musi go zabić.

– Może ja? – zaproponował Fezzik.

Sycylijczyk potrząsnął głową.

– Nie, Fezziku – oświadczył po chwili. – Potrzebuję twojej siły. Musisz ponieść dziewczynę. – Odwrócił się do Hiszpana. – Skierujemy się wprost ku granicy Guldenu. Kiedy już zginie, dogoń nas najszybciej, jak się da.

Hiszpan skinął głową.

Sycylijczyk odszedł rozkołysanym krokiem.

Turek dźwignął księżniczkę i ruszył w ślad za garbusem. Tuż przedtem, nim stracił z oczu Hiszpana, obejrzał się i ryknął:

– Wracaj szybko!

– Zawsze tak robię! – Hiszpan pomachał mu. – Do zobaczenia, Fezziku.

– Do zobaczenia, Inigo – odparł Turek, po czym zniknął i Hiszpan został sam.

Inigo podszedł do krawędzi przepaści i ukląkł z właściwą sobie sprężystością i gracją. Dwieście pięćdziesiąt stóp niżej człowiek w czerni kontynuował bolesną wspinaczkę. Inigo położył się na brzuchu i wbił wzrok w ciemność, starając się przeniknąć sekret wspinacza. Przez długą chwilę trwał bez ruchu. Był pilnym uczniem, lecz nieszczególnie byстрыm, więc potrzebował czasu. Wreszcie uświadomił sobie, że człowiek w czerni w tajemniczy sposób zaciska pięści, wbija je w skałę i używa jako wsparcia. Następnie sięga w górę, odnajduje kolejną szczelinę, zaciska pięść i znów wbija ją w kamień. Jeśli tylko udaje mu się znaleźć oparcie dla stóp, wykorzystuje je, ale głównie polega na swych pięściach.

Inigo patrzył ze zdumieniem. Cóż za wspaniałe poszukiwacz przygód! Był już dość blisko, by Inigo mógł dostrzec, że mężczyzna nosi maskę i czarny kaptur osłaniający twarz. Czyżby kolejny złoczyńca? Możliwe. Czemu zatem mieliby walczyć? Po co? Inigo potrząsnął głową. Szkoda, że ktoś taki musi umrzeć, ale taki otrzymał rozkaz i tak się stanie. Czasami nie podobały mu się polecenia Sycylijczyka, ale co miał robić? Bez jego przebiegłego umysłu nie zdołałby zdobyć zadań podobnego kalibru. Sycylijczyk był mistrzem w układaniu planów, Inigo kierował się impulsami. Sycylijczyk powiedział „zabij go”, więc po co zawracać sobie głowę i współczuć człowiekowi w czerni? Kiedyś ktoś zabije także Iniga i świat nie przystanie w swym biegu, by go opłakiwać.

Wreszcie podniósł głowę i zerwał się na nogi. Jego sprężyste jak stal ciało było gotowe. Gotowe do działania. Niestety, człowiek w czerni wciąż miał do pokonania wiele stóp. Nie pozostawało nic innego, jak tylko na niego zaczekać. Inigo nienawidził czekania. Aby więc uprzyjemnić sobie ten czas, wyciągnął z pochwy swoje cudo, swoją wielką, jedyną miłość: sześciopalczystą szpadę.

Jakże pięknie tańczyła w blasku księżyca! Jak wspaniale i wdzięcznie! Inigo uniósł ją do ust i z całym uczuciem, jakie kryło się w wielkim hiszpańskim sercu, ucałował metal...

INIGO

W SERCU HISZPANII, w górach wysoko ponad pagórkami Toledo, leżała maleńka wioska Arabella. Tamtejsze powietrze było zawsze czyste i rześkie i stanowiło to jedyną zaletę Arabelli. Wspaniałe powietrze – przejrzyste i świeże.

Poza tym jednak ludzie nie mieli pracy, po ulicach wałęsały się bezpańskie psy i nigdy nie starczało jedzenia. Nawet powietrze, bez wątpienia czyste, było także zbyt gorące w dzień i zbyt mroźne nocą. A co do samego Iniga, stale towarzyszył mu lekki głód. Nie miał braci ani siostr, a jego matka zmarła w połogu.

Był również niewiarygodnie szczęśliwy.

Dzięki ojcu, Domingo Montoyi – zabawnym, kapryśnym, niecierpliwym, roztargnionym mężczyźnie, który nigdy się nie uśmiechał.

Inigo kochał go. Bezgranicznie. Nie pytajcie dlaczego. Nie istniał po temu żaden rozsądny powód. Och, zapewne Domingo także go kochał, ale na miłość składa się wiele rzeczy, i żadna z nich nie da się logicznie wytłumaczyć.

Domingo Montoya wyrabiał szpady. Jeśli pragnąłeś wspaniałej szpady, to czy udawałeś się do Domingo Montoyi? Jeżeli potrzeba ci było doskonale wyważonej broni, to czy odwiedzałeś góry nieopodal Toledo? Jeśli śniłeś o dziele mistrza, o szpadzie, jakiej nie widziano od wieków, czy kierowałeś swe kroki w stronę Arabelli?

W życiu.

Jechałeś do Madrytu, albowiem w Madrycie mieszkał słynny Yeste, i jeśli miałeś dość pieniędzy, a on dość czasu, dostawałeś swoją szpadę. Yeste był gruby i jowialny, należał też do najbogatszych i najbardziej szanowanych obywateli miasta. Zasłużenie. Robił wspaniałe szpady i każdy szlachcic szczyił się, jeżeli posiadał oryginalnego Yeste.

Czasem jednak – niezbyt często, zważcie, może raz do roku, albo jeszcze rzadziej – pojawiała się zamówienie, któremu nawet Yeste nie potrafiłby sprostać. Jak sądzicie, czy w takich przypadkach Yeste mówił: „Przykro mi, lecz niestety nie umiem tego zrobić”?

W życiu.

Mówił natomiast: „Oczywiście, z radością przyjmuję zamówienie, pięćdziesiąt procent honorarium z góry, reszta przy odbiorze, proszę wrócić za rok, dziękuję bardzo”.

Następnego dnia wyruszał w góry niedaleko Toledo.

– Witaj, Domingo! – wołał Yeste, dotarłszy do chaty ojca Iniga.

– Witaj, Yeste – odpowiadał Domingo Montoya, stając w drzwiach.

A potem ściskali się serdecznie. Przybiegał Inigo, Yeste gładził go po głowie, po czym chłopiec parzył herbatę, a oni rozmawiali.

– Potrzebuję cię – zaczynał nieodmiennie Yeste.

Domingo chrząkał.

– Jeszcze w tym tygodniu dostałem zamówienie na szpadę dla jednego z włoskich szlachciców. Ma mieć wysadzaną klejnotami rękojeść, a kamienie mają układać się w imię jego ostatniej kochanki i...

– Nie.

Tylko jedno słowo, nic więcej. Wystarczyło jednak. Kiedy Domingo Montoya mówił „nie”, znaczyło to „nie”.

Inigo, zajęty herbatą, wiedział, co teraz nastąpi: Yeste użyje swego uroku.

– Nie.

Yeste użyje bogactw.

– Nie.

Swego rozumu, cudownego daru przekonywania.

– Nie.

Będzie błagał, zaklinał się, przysięgał, padał na kolana.

– Nie.

Przeklinał. Groził.

– Nie.

Wreszcie płakał.

– Nie. Jeszcze herbaty, Yeste?

– Może filiżankę, dzięki... – I nagle krzyk: – DLACZEGO NIE?!

Inigo pospiesznie napełniał filiżanki, aby nie stracić ani słowa z rozmowy. Wiedział, że obaj wychowali się razem, znają się od sześćdziesięciu lat i przez cały ten czas ani na moment nie przestali kochać się głęboko. Z zachwytem więc przysłuchiwał się ich kłótniom. To było właśnie najdziwniejsze: stale się kłócili.

– Dlaczego? Mój gruby przyjaciel pyta mnie dlaczego? Siedzi tu na swym wielkoświatowym tyłku i ma czelność zadawać mi podobne pytania? Yeste. Choć raz przynieś mi wyzwanie. Jeden jedyny raz przyjedź tu i powiedz: „Domingo, potrzebuję szpady dla osiemdziesięciolatka, który ma stoczyć pojedynek”, a ja uścisknę cię i wykrzyknę „tak!”. Bo jeśli ten człowiek miałby zwyciężyć, taka szpada musiałaby być czymś szczególnym. Dość mocna, aby wygrać, a jednocześnie lekka, by nie znużyć steranego wiekiem ramienia. Musiałbym wyteńczyć wszystkie siły, może wynaleźć nowy metal, silny, lecz bardzo lekki, albo opracować nowy stop znanych rud, zmieszać brąz, żelazo i powietrze w proporcjach lekceważonych od tysiącleci. Za taką sposobność ucałowałbym twoje cuchnące stopy, o gruby Yeste. Ale głupia szpada z głupimi klejnotami w formie głupich inicjałów, by jakiś głupi włoski wielmoża mógł zadziwić swą głupią kochankę? Co to, to nie. Czegoś takiego nie zrobię.

– Po raz ostatni cię proszę. Zrób to.

– Po raz ostatni odmawiam. Przykro mi, ale nie.

– Dałem słowo, że zrobię tę szpadę – powiedział Yeste. – Ale nie potrafię. Na całym świecie tylko ty byłbyś w stanie tego dokonać, a ty odmawiasz. To znaczy, że nie dotrzymam słowa. Co oznacza, że straciłem swój honor. A ponieważ honor jest jedyną rzeczą, na jakiej naprawdę zależy mi na tym świecie, i nie mógłbym żyć bez niego, będę musiał umrzeć. Skoro zaś jesteś moim najdroższym przyjacielem, równie dobrze mogę umrzeć przy tobie, skąpany w ciepłe twego uczucia. Z tymi słowy Yeste wyciągał sztylet, wspaniały okaz, który dostał od Dominga w prezencie ślubnym.

– Żegnaj, mały Inigo – mówił. – Niechaj Bóg obdarzy cię jak największą dawką uśmiechu.

Inigo miał przykazane nie przerywać.

– Żegnaj, mały Domingo – ciągnął dalej Yeste. – I choć umieram w twojej chacie, i jedynie twój niemądry upór jest przyczyną mego odejścia, czyli innymi słowy sam mnie zabijasz, nie przejmuj się tym. Kocham cię jak zawsze. Niech Bóg broni, aby nękały cię wyrzuty nieczystego sumienia. – Rozpinał płaszcz, coraz bardziej przysuwając do siebie sztylet. – **BÓL JEST JESZCZE GORSZY, NIŻ MYŚLAŁEM!** – krzyczał.

– Jak to możliwe, skoro czubek ostrza znajduje się wciąż o cal od twojego brzucha? – pytał Domingo.

– Przewiduję go. Idź sobie, pozwól mi umrzeć w spokoju. – Przystawiał ostrze do skóry i lekko naciskał.

Domingo chwycił sztylet.

– Któregoś dnia nie powstrzymam cię – mówił. – Inigo, przynieś dodatkowy talerz. Zjemy razem kolację.

– Naprawdę chciałem się zabić.

– Skończ z tym melodramatem.

– Co macie dziś w jadłospisie?

– Owsiankę, jak zwykle.

– Inigo, idź, zobacz, czy przypadkiem w moim powozie nie znajdzie się coś lepszego.

W powozie zawsze czekała prawdziwa uczta.

Po kolacji zaś i opowieściach nadchodziła chwila rozstania, a przed nią nieodmiennie pojawiała się propozycja.

– Zostanemy współnikami – prosił Yeste. – W Madrycie. Oczywiście moje imię przed twoim na szyldzie, ale poza tym będziemy we wszystkim równi.

– Nie.

– W porządku. Twoje imię przed moim. Jesteś najlepszym płatnerzem na świecie, zasługujesz na to.

– Szerokiej drogi.

– **DLACZEGO NIE?**

– Ponieważ, przyjacielu Yeste, jesteś bardzo sławny i bardzo bogaty – zasłużenie, bo robisz wspaniałe szpady. Ale musisz też robić je dla każdego durnia, który ci się napatoczy. Ja zaś jestem biedny i poza tobą i Inigiem nikt o mnie nie słyszał, ale też nie muszę znosić głupców.

– Jesteś artystą – mówił Yeste.

– Nie. Jeszcze nie. Jedynie rzemieślnikiem. Lecz marzę, by nim zostać. Modłę się, aby pewnego dnia – jeśli będę pracował dość uważnie i miał wielkie szczęście – stworzyć klingę, która zasłuży na miano dzieła sztuki. Wtedy będziesz mógł nazwać mnie artystą, a ja się zgodzę.

Yeste wsiadał do powozu. Domingo podchodził do okienka i szeptał:

– Przypominam ci o jednym: kiedy dostaniesz tę wysadzaną kamieniami szpadę, powiedz, że

to twoje dzieło. Nie wspominaj nikomu o moim udziale.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Uściski i pozdrowienia. Powóz odjeżdżał. I tak toczyło się ich życie aż do czasu sześciopalczastej szpady.

Inigo dokładnie pamiętał moment, w którym wszystko się zaczęło. Właśnie przygotowywał obiad – od dnia, gdy ukończył sześć lat, ojciec pozostawił mu całe gotowanie – kiedy rozległo się donośne walenie do drzwi.

– Hej, tam w środku! – zagrział obcy głos. – Otwierać, a chyżo!

Ojciec Iniga podszedł do drzwi.

– Służę panu.

– Jesteś płatnerzem – oznajmił głos. – I to dobrym. Tak słyszałem.

– Ach, gdyby tylko tak było! – odparł Domingo. – Nie mam jednak szczególnego talentu. Głównie zajmuję się naprawami. Jeśli ma pan sztylet, którego ostrze stępiejało, może zdołam coś na to zaradzić. Poważniejsze sprawy są jednak poza moim zasięgiem.

Inigo podkradł się bliżej i zerknął zza pleców ojca. Donośny głos należał do wielkiego mężczyzny o ciemnych włosach i szerokich barach, dosiadającego eleganckiego kasztanowego konia. Bez wątplenia był to szlachcic, choć Inigo nie umiał zgadnąć, z jakiego pochodził kraju.

– Pragnę, aby sporządzono dla mnie najlepsze ostrze od czasów Excalibura.

– Mam nadzieję, że pańskie życzenie się spełni – stwierdził Domingo. – A teraz, jeśli pan wybaczysz, czeka na nas obiad i...

– Nie udzieliłem ci pozwolenia na odejście. Zostań tam, gdzie stoisz, albo narazisz się na mój gniew, który, z góry uprzedzam, bywa niebezpieczny. Co takiego powiedziałaś o obiedzie?

– Mówiłem właśnie, że będzie gotowy dopiero za parę godzin. Nie mam nic do roboty i nawet nie śnię, by sprzeciwić się panu.

– Plotka głosi – zaczął szlachcic – że głęboko pośród wzgórz nieopodal Toledo żyje geniusz. Największy płatnerz na świecie.

– Czasami nas tu odwiedza – stąd zapewne wzięła się pańska pomyłka. Naprawdę jednak nazywa się Yeste i mieszka w Madrycie.

– Zapłacę pięćset sztuk złota temu, kto spełni me pragnienie – oznajmił potężny nieznajomy.

– To więcej, niż wszyscy mieszkańcy tej wioski mogliby zarobić przez całe życie – odparł Domingo. – Zaiste, chętnie przyjąłbym pańską propozycję. Nie jestem jednak człowiekiem, którego pan szuka.

– Owa plotka kazała mi sądzić, że Domingo Montoya potrafiłby rozwiązać mój problem.

– A jaki jest pański problem?

– Jestem wielkim szermierzem. Nie mogę jednak znaleźć broni, która odpowiadałaby moim szczególnym wymaganiom, i przez to nigdy nie zdołałem osiągnąć wyżyn mej sztuki. Gdybym miał taką klingę, nikt na świecie nie zdołałby mi dorównać.

– Jakże więc są owe szczególne wymagania, o których pan wspominał?

Szlachcic uniósł prawą dłoń.

Domingo poczuł, jak ogarnia go ekscytacja.

Nieznajomy miał sześć palców.

– Rozumiesz już...? – zaczął szlachcic.

– Oczywiście – przerwał mu Domingo. – Równowaga szpady nie odpowiada panu, ponieważ każda szpada przeznaczona jest dla pięciu palców. Każda rękojeść upośledza pańskie zdolności, bo zrobiono ją z myślą o pięciu palcach. Dla zwykłego szermierza to żadna przeszkoda, ale

specjalista, prawdziwy mistrz, musi w końcu poczuć pewną niewygodę. Największy zaś szermierz na świecie zawsze powinien bez reszty polegać na swej broni. Uchwyt szpady ma być naturalny niczym mrugnięcie oka i nie wymagać żadnej dodatkowej uwagi.

– Najwyraźniej pojmujesz, w czym leży trudność... – znów zaczął gościć.

Myśl Dominga zawędrowała jednak na obszary, których nie sięgały czyjeś słowa. Inigo nigdy jeszcze nie widział swego ojca tak zaferowanego.

– Pomiary... oczywiście... każdy palec i obwód w przegubie... i odległość od szóstego paznokcia do poduszczeni palca wskazującego... tak wiele pomiarów... i pańskie preferencje... Czy woli pan sztychy, czy cięcia? Jeśli cięcia, to czy bardziej odpowiada panu ruch z prawa na lewo, czy może przeciwny? Przy pchnięciu czy woli pan uderzać w górę? I ile wkładanej w to siły pochodzi z ramienia, a ile z przegubu?... Czy ostrze ma być okute, aby łatwiej wchodziło w ciało, czy też lubi pan obserwować cierpienia przeciwnika?... Tak wiele pracy, tak wiele pracy... – I tak dalej w tym stylu, aż wreszcie szlachcic musiał zsiąść z siodła i niemal potrząsnąć gospodarzem, aby się uciszył.

– Jesteś człowiekiem, o którym wspominały pogłoski.

Domingo przytaknął.

– I zrobisz dla mnie najwspanialszą broń od czasów Excalibura?

– Aby osiągnąć ten cel, doprowadzę swe ciało do ruiny. Może nie zdołam tego dokonać. Ale nikt nie zrobi więcej.

– A zapłata?

– Kiedy dostanie pan szpadę, wtedy pomówimy o zapłacie. Teraz jednak muszę zacząć pomiary. Inigo – moje przyrzędy.

Inigo śmignął w najciemniejszy kąt chaty.

– Nalegam, abys przyjął jakąś zaliczkę.

– To niepotrzebne. Może mi się nie udać.

– Naprawdę nalegam.

– W porządku. Jedna sztuka złota. Nic więcej. I proszę nie zawracać mi głowy pieniędzmi, skoro jest praca do zrobienia.

Szlachcic podał mu monetę.

Domingo wrzucił ją do szuflady, nie obdarzywszy nawet jednym spojrzeniem.

– Proszę poruszyć palcami – polecił. – Zatrzeć dłonie, potrząsnąć... w czasie pojedynku będzie pan podniecony i rękojeść musi pasować do dłoni przy takim właśnie stanie ducha. Gdybym wymierzył ją w spoczynku, powstałaby różnica, sięgająca nawet tysięcznej części cala, a to pozbawiłoby nas perfekcji. Ja zaś właśnie tego szukam – ideału. Nie zadowolę się niczym innym.

Słyszając te słowa, szlachcic nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– A ile czasu zajmie ci jego osiągnięcie?

– Niech pan wróci za rok – odparł Domingo i zabrał się do pracy.

Cóż to był za rok!

Domingo sypiał jedynie wtedy, gdy padł na twarz z wyczerpania. Jadał wyłącznie wówczas, gdy Inigo zmusił go do tego. Zagłębił się w badania, martwił się, narzekał. Nigdy nie powinien był podjąć się tego zadania, niemożliwe jest jego wypełnienie. Następnego dnia niemal fruwał z radości: nigdy nie powinien był podjąć się tego zadania, jest zbyt łatwe, nie warto się nim zajmować. Radość i rozpacz, rozpacz i radość, dzień za dniem, godzina za godziną. Czasami Inigo budził jego płacz.

- Co się stało, ojczu?
- Stało się to, że nie potrafię tego zrobić. Nie umiem sporządzić tej szpady. Moje ręce nie chcą mnie słuchać. Zabiłbym się, ale co począłbyś beze mnie?
- Idź spać, ojczu.
- Nie. Nie potrzeba mi snu. Przegrani nie potrzebują snu. Zresztą spałem zaledwie wczoraj.
- Proszę, ojczu, króciutką drzemkę.
- No dobrze, tylko kilka minut. Żebyś przestał nudzić.
- Innym razem Inigo budził się w nocy, by ujrzeć Dominga tańczącego z radości.
- Co się stało, ojczu?
- Stało się to, że odkryłem, gdzie popełniłem błąd, poprawiłem wszelkie przeoczenia.
- A zatem wkrótce ją skończysz?
- Jeszcze jutro i będzie naprawdę wspaniała.
- Jesteś cudowny, ojczu.
- Jestem bardziej cudowny niż cudowny. Jak śmiesz mnie obrażać?
- Następnej nocy jednak znów ły.
- O co chodzi tym razem, ojczu?
- To ta szpada, ta szpada! Nie mogę zrobić tej szpady.
- Ale jeszcze wczoraj mówiłeś, że odkryłeś swe błędy.
- Myliłem się, dziś znalazłem nowe, jeszcze gorsze. Jestem najniezwyklejszym z ludzi. Powiedz, czy obejdzie cię, jeśli się zabiję, by skończyć z tą bezsensowną egzystencją?
- Oczywiście, że mnie to obejdzie. Kocham cię, ojczu. Umarłbym, gdybyś przestał oddychać.
- Tak naprawdę wcale mnie nie kochasz. Przemawia przez ciebie litość.
- Kto mógłby czuć litość dla największego płatnerza w historii?
- Dziękuję ci, Inigo.
- Nie ma za co, ojczu.
- Ja też cię kocham.
- Śpij, ojczu.
- Dobrze. Już śpię.

I tak przez cały rok. Kiedy rękojeść była już gotowa, okazywało się, że klindze brak równowagi; po uzyskaniu równowagi brzeszczot okazywał się zbyt tępy; naostrzenie brzeszczota ponownie wytrącało broń z równowagi; przywróciwszy ją, płatnerz odkrywał, że ostrze jest zbyt grube; po naostrzeniu cała szpada stawała się za krótka i trzeba ją było wyrzucić, by zacząć wszystko od nowa. Jeszcze raz. I jeszcze. Domingo zaczął podupadać na zdrowiu. Stale nękała go gorączka, ale walczył ze swym słabym ciałem, bo miała to być najlepsza broń od czasów Excalibura. Domingo zmagał się z legendą i walka ta niszczyła go.

Co za rok!

Pewnej nocy Inigo obudził się i zastał ojca siedzącego bez ruchu. Patrzącego przed siebie. Spokojnie. Inigo podążył za jego spojrzeniem.

Sześciopalczysta szpada była gotowa.

Nawet w mroku chaty zdawała się lśnić własnym blaskiem.

– Nareszcie – szepnęła Domingo. Nie mógł oderwać oczu od wspaniałego ostrza. – Po tylu latach. Inigo. Inigo. Jestem artystą.

Potęźnie zbudowany szlachcic nie podzielał jego zdania. Kiedy wrócił, aby kupić szpadę, zaszczycił ją ledwie przelotnym spojrzeniem.

– Nie warto było na nią czekać – stwierdził.

Inigo stał w kącie chaty i patrzył, wstrzymując oddech.

– Jest pan zawiedziony? – Domingo ledwie wykrztusił z siebie te słowa.

– Nie twierdzą, że to śmieć, pojmujesz – ciągnął szlachcic. – Ale z pewnością nie jest warta pięciuset sztuk złota. Dam ci za nią dziesięć. To chyba wystarczy?

– Myli się pan! – wykrzyknął Domingo. – Nie jest warta dziesięciu sztuk złota. Nie jest warta nawet jednej. Proszę. – Szarpnięciem otworzył szufladę, w której przez cały rok spoczywała nietknięta moneta. – Złoto należy do pana. Całe. Nic pan nie stracił. – Ujął w dłoń szpadę i zawrócił.

– Wezmę ją – powiedział szlachcic. – Nie mówiłem, że nie. Stwierdziłem tylko, iż zapłacę tyle, ile jest warta.

Domingo obrócił się jak błyskawica. Jego oczy zalśniły.

– Targowałeś się. Kłóciłeś. W grę wchodziła sztuka, a tyś widział jedynie swoją tłustą sakiewkę. Nic nie straciłeś; nie ma powodu, abyś tu dłużej przebywał. Proszę, odejść.

– Szpada – należał szlachcic.

– Ta szpada należy do mojego syna – odparł Domingo. – Właśnie mu ją dałem. Jest jego na zawsze. Żegnam.

– Jesteś zwykłym chłopem i głupcem. Chcę dostać moją szpadę.

– Jesteś wrogiem sztuki, godnym pożałowania ignorantem – odrzekł Domingo.

Były to jego ostatnie słowa.

Szlachcic zabił go bez najmniejszego ostrzeżenia. Jeden błysk szpady i serce Dominga rozpadło się na strzępy.

Inigo krzyknął. Nie wierzył własnym oczom. To się nie zdarzyło! Ponownie krzyknął. Jego ojciec czuje się dobrze, wkrótce zasiądą do podwieczorku. Nie mógł przestać krzyczeć.

I wioska usłyszała. U drzwi zebrało się dwudziestu ludzi. Szlachcic przepchnął się między nimi.

– Ten człowiek mnie zaatakował. Widzicie? Trzyma w ręku szpadę. Rzucił się na mnie i musiałem się bronić. A teraz zejście mi z drogi.

Oczywiście kłamał i wszyscy o tym wiedzieli. Ale był szlachcicem, więc co mieli zrobić? Rozstąpili się i nieznajomy dosiadł konia.

– Tchórz!

Szlachcic błyskawicznie odwrócił głowę.

– Świnia!

Zebrani ponownie rozstąpili się, tworząc przejście.

Stanął w nim Inigo, dzierząc w dłoni sześciopalczystą szpadę i raz po raz powtarzając własne słowa:

– Tchórz! Świnia! Morderca!

– Niech ktoś zajmie się dzieciakiem, zanim zrobi sobie krzywdę – rozkazał szlachcic.

Inigo podbiegł ku niemu i stanął na wprost wierzchowca, blokując mu drogę. Obiema rękami uniósł sześciopalczystą szpadę i krzyknął:

– Ja, Inigo Montoya, wyzywam cię do walki, tchórz, świnio, morderco, błaznie, głupcze!

– Sprzątnijcie go z drogi. Zabierzcie smarkacza.

– Smarkacz ma dziesięć lat i nie odejdzie – oświadczył Inigo.

– Wystarczająco wielu członków twojej rodziny dziś zginęło. Ciesz się, że zostałeś przy życiu.

– Ucieszę się dopiero wtedy, kiedy zaczniesz mnie błagać o litość. A teraz zejź z konia!

Szlachcic zsiadł.

– Dobądź szpady.

Szlachcic wysunął z pochwy morderczą broń.

– Twoją śmierć poświęcam memu ojcu – oznajmił Inigo. – Zaczynaj.

Zaczęli.

Oczywiście nie było mowy o żadnej walce. Inigo został rozbrojony po niecałej minucie. Ale przez pierwsze piętnaście sekund szlachcic czuł niepokój. Przez ten krótki czas w jego głowie zaległy się dziwne myśli. Bowiem nawet w dziesięcioletnim Inigu krył się geniusz.

Pozbawiony broni chłopiec stał prosto. Nie odezwał się ani słowem, nie błagał.

– Nie zamierzam cię zabić – oznajmił szlachcic. – Ponieważ masz talent i odwagę. Brak ci jednak manier, a to może cię wpędzić w kłopoty, jeśli nie będziesz ostrożny. Zatem pomogę ci przejść przez resztę życia, pozostawiwszy ci pamiątkę na znak, że należy pozbyć się złych manier. – I nagle jego klinga śmignęła. Dwukrotnie.

Twarz Iniga zaczęła krwawić. Dwa potoki krwi chlusnęły z ran, biegnących od skroni aż po podbródek, po jednej na każdym policzku. Wszyscy widzowie od razu wiedzieli: te blizny pozostaną mu do końca życia.

Inigo nie upadł. Świat pobladł mu przed oczami, ale on nie pozwalał swemu ciału runąć na ziemię. Krew płynęła dalej. Szlachcic schował broń do pochwy, wskoczył na siodło i odjechał.

Dopiero wtedy Inigo poddał się wszechogarniającej ciemności. Ocknąwszy się, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Yeste.

– Zostałem pokonany – szepnął Inigo. – Zawiodłem go.

Yeste odpowiedział tylko jednym słowem:

– Śpij.

Inigo zasnął. Krwawienie ustało po upływie doby, ból zniknął po tygodniu. Pochowali Dominga i po raz pierwszy i ostatni w życiu Inigo opuścił Arabelle. Z zabandażowaną twarzą pojechał powozem Yestego do Madrytu, gdzie zamieszkał w domu Yestego i słuchał jego poleceń. Po miesiącu zdjęto bandaż, lecz blizny nadal płonęły wściekłą czerwienią. Z czasem ich barwa nieco złagodniała, ale na zawsze pozostały główną cechą twarzy Iniga: para ogromnych równoległych szram, przecinających policzki od skroni aż po podbródek. Yeste opiekował się nim przez dwa lata.

Aż pewnego dnia Inigo zniknął. Zostawił tylko przypięty do poduszki list, zawierający jedynie trzy słowa: „Muszę się uczyć”.

Uczyć się? Czego? Co tak ważnego mogło istnieć poza Madrytem, co dzieciak pragnąłby poznać? Yeste westchnął, wzruszając ramionami. Zupełnie nie można zrozumieć dzisiejszych dzieci. Wszystko zmienia się tak szybko i młodzież też jest inna niż kiedyś. Nie pojmował tego, zupełnie tego nie pojmował, nie pojmował całego świata, niczego już nie pojmował. Był tłuściochem zajmującym się wyrobem szpad. Tylko tyle wiedział.

Toteż robił nowe szpady i gromadził nowe kilograpy, a lata mijały. Jego sława rosła równie szybko co brzuch. Klienci przybywali do niego z całego świata i wszyscy błagali o szpady, podwoił więc ceny, bo starzał się i nie miał ochoty zbyt ciężko pracować, ale kiedy nowina rozeszła się po świecie, od Diuka przez księcia aż po króla, sprawiła jedynie, że ludzie jeszcze rozpaczliwiej zapragnęli jego usług. Teraz okres oczekiwania wynosił minimum dwa lata, a kolejka wielmożów nie miała końca, więc Yeste, coraz bardziej zmęczony, znów podwoił swe ceny, a kiedy to ich nie powstrzymało, postanowił je potroić, choć i tak wcześniej zostały dwukrotnie podwojone. Poza tym żądał, by należność wpłacać z góry w klejnotach, a okres oczekiwania wzrósł do trzech lat, ale nic nie mogło zniechęcić klientów. Musieli mieć szpady od

Yestego, żadne inne, i choć jego najwspanialsze dzieła nie były już takie, jak kiedyś (ostatecznie Domingo nie mógł mu już pomóc), bogaci głupcy tego nie dostrzegali. Musieli mieć szpady od Yestego, więc tłoczyli się wokół, zasypując go klejnotami.

Yeste stał się bardzo bogaty.

I bardzo, bardzo gruby.

Każda część jego ciała była rozdęta niczym balon. Jako jedyny w całym Madrycie miał tłuste kciuki. Ubieranie się zabierało mu godzinę. Śniadanie – drugie tyle. Wszystko musiał robić powolutku.

Ale nadal umiał wyrabiać szpady. A ludzie wciąż ich łaknęli.

– Przykro mi – powiedział, kiedy pewnego ranka do jego warsztatu wkroczył młody Hiszpan.
– Czas oczekiwania w kolejce wzrósł do czterech lat i nawet mnie samemu wstyd jest wymienić cenę. Kup sobie broń od kogoś innego.

– Mam już broń – odparł Hiszpan.

I rzucił na ławę sześciopalczystą szpadę.

Co za powitanie.

– Nigdy więcej nie wyjeżdżaj – prosił Yeste. – Zbyt dużo jem, kiedy jestem samotny.

– Nie mogę zostać – odparł Inigo. – Wróciłem tu tylko po to, by zadać ci jedno pytanie. Jak wiesz, ostatnie dziesięć lat spędziłem na nauce. Teraz przybywam, abyś powiedział mi, czy jestem gotów.

– Gotów? Do czego? Czego, na Boga, uczyłeś się przez ten cały czas?

– Szpady.

– To szaleństwo – stwierdził Yeste. – Poświęciłeś całe dziesięć lat nauce szermierki?

– Nie tylko nauce szermierki – odparł Inigo. – Robiłem też wiele innych rzeczy.

– Opowiedz mi o tym.

– No cóż – zaczął Inigo. – Dziesięć lat to ile? Jakies trzy tysiące sześćset dni. Co oznacza – sam to kiedyś policzyłem, więc pamiętam – mniej więcej osiemdziesiąt sześć tysięcy godzin. Zawsze pilnowałem się, by spać cztery godziny na dobę. To daje czternaście tysięcy godzin, pozostawiając mi jeszcze jakieś siedemdziesiąt dwa tysiące.

– No dobrze. Spałeś. Co jeszcze?

– Wyciskałem kamienie.

– Przepraszam, ale mój słuch zawodzi mnie czasem. Wydawało mi się, że powiedziałeś coś o wyciskaniu kamieni.

– Po to, by wzmocnić przeguby. Aby móc kontrolować szpadę. Kamienie wielkości jabłek. O, takie. Wyciskałem je w obu dłoniach przez dwie godziny dziennie. Następne dwie poświęcałem na skoki, uniki i błyskawiczne ruchy, aby moje stopy zdołały zawsze utrzymać pozycję, konieczną do sztychu szpadą. W ten sposób mam z głowy następne czternaście tysięcy godzin. Zostało mi jeszcze pięćdziesiąt osiem. Cóż, codziennie przez dwie godziny biegałem najszybciej, jak umiałem, by moje nogi były nie tylko szybkie, lecz także mocne. I to sprowadza się do około pięćdziesięciu tysięcy godzin.

Yeste przyjrzał się stojącemu przed nim młodzieńcowi. Chudy jak szczapa, metr osiemdziesiąt wzrostu, prosty niczym młode drzewko, bystrooki, sprężysty. Nawet trwając bez ruchu, sprawiał wrażenie zwinnego jak kot.

– A co z tymi pięćdziesięcioma tysiącami godzin? Spędziłeś je, ucząc się robienia szpadą?

Inigo skinął głową.

– Gdzie?

- Gdziekolwiek znalazłem nauczyciela. W Wenecji, Brugii, Budapeszcie.
- Sam mogłem cię uczyć.
- To prawda. Ale ty mnie lubisz. Nie byłbyś bezwzględny. Mówiłbyś: „Znakomita parada, Inigo. Wystarczy już na dzisiaj, chodź na obiad”.
- Fakt, zupełnie jakbym siebie słyszał – przyznał Yeste. – Ale czemu to takie ważne? Dlaczego poświęciłeś na to tak wielką część życia?
- Ponieważ nie mogę znowu go zawieść.
- Kogo?
- Mojego ojca. Przez wszystkie te lata przygotowywałem się do tego, by odnaleźć człowieka o sześciu palcach i zabić go w pojedynku. Ale to mistrz, Yeste. Sam to powiedział, a ja widziałem, jak jego szpada przebiła Dominga. Kiedy go odszukam, nie mogę przegrać, więc przyszedłem do ciebie. Znasz się na broni i szermierzach. Nie wolno ci skłamać. Czy jestem gotów? Jeśli tak, przetrząsnę cały świat, póki go nie znajdę. Jeśli nie, spędzę na nauce następnych dziesięć lat, i jeszcze dziesięć, jeśli będzie trzeba.
- Tak więc przeszli na podwórze Yestego. Był późny ranek. Gorący. Yeste usadowił się na krześle, ustawivszy je najpierw w cieniu. Inigo czekał na słońcu.
- Nie musimy sprawdzać twego zdecydowania, wiemy też, że masz dostateczną motywację, by zadać śmiertelny cios – powiedział Yeste. – Zatem pozostaje nam jedynie próba wiedzy, szybkości i wigoru. Do tego nie trzeba nam przeciwnika. Wróg zawsze kryje się w umyśle. Wyobraź go sobie.
- Inigo dobył szpady.
- Człowiek o sześciu palcach szydzi z ciebie! – krzyknął Yeste. – Pokaż mu, co potrafisz.
- Inigo zaczął skakać po podwórzu. Jego szpada błyskała w słońcu.
- Stosuje obronę Agryppy! – zawołał Yeste.
- Inigo natychmiast zmienił pozycję, coraz szybciej pracując szpadą.
- Teraz zaskakuje cię pchnięciem Bonettiego.
- Lecz Inigo nie dał się zaskakiwać zbyt długo. Ponownie jego stopy zmieniły położenie, ciało przyjęło inną pozycję. Pot lał się z niego strugami, ostrze śmigало oślepijąco szybko. Yeste nadal wykrzykiwał komendy. Inigo skakał. Jego szpada nie ustawała ani na sekundę.
- O trzeciej po południu Yeste powiedział:
- Wystarczy. Zmęczyło mnie to patrzanie.
- Inigo wsunął do pochwy sześciopalczystą szpadę i czekał.
- Chcesz wiedzieć, czy według mnie jesteś gotów do pojedynku na śmierć i życie z człowiekiem wystarczająco bezlitosnym, by zabić twojego ojca, dość bogatym, by kupić sobie bezpieczeństwo, starszym i bardziej doświadczonym, uznanym mistrzem.
- Inigo skinął głową.
- Powiem ci prawdę. Żyj z nią, jeśli potrafisz. Po pierwsze, nie było dotąd mistrza tak młodego jak ty. Najmłodszy osiągnął tę rangę koło trzydziestki, ty zaś masz dopiero dwadzieścia dwa lata. Cóż, mówiąc bez ogródek: jesteś zapalczywym chłopakiem, którego prowadzi szaleństwo, i ani teraz, ani nigdy nie będziesz mistrzem.
- Dziękuję za twą szczerość – odparł Inigo. – Muszę przyznać, że miałem nadzieję usłyszeć lepsze wieści. Trudno mi w tej chwili mówić, więc jeśli mi wybaczysz, będę już...
- Jeszcze nie skończyłem – przerwał mu Yeste.
- Cóż jeszcze można powiedzieć?
- Bardzo kochałem twojego ojca. Wiesz o tym, ale czegoś nie wiedziałeś: kiedy byliśmy obaj

bardzo młodzi, nie skończyliśmy jeszcze dwudziestu lat, na własne oczy widzieliśmy popis Bastii, korsykańskiego czarodzieja.

– Nigdy nie słyszałem o żadnych czarodziejach.

– W szermierce jest to ranga wyższa nawet od mistrza – wyjaśnił Yeste. – Bastia był ostatnim człowiekiem, którego tak nazywano. Zginął na morzu wiele lat przed twoim narodzeniem. Od tego czasu nie było już czarodziejów, a ty nigdy byś go nie pokonał. Ale powiem ci jedno: on nigdy nie pokonałby ciebie.

Długą chwilę Inigo stał w milczeniu.

– A zatem jestem gotowy.

– Nie chciałbym być na miejscu człowieka o sześciu palcach – odparł Yeste.

Następnego ranka Inigo wyruszył na poszukiwania. W myślach już wcześniej starannie przygotował cały plan. Znajdzie człowieka o sześciu palcach. Podejdzie do niego. Powie: „Witaj. Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć”. A potem nastąpi pojedynek.

Był to naprawdę wspaniały plan. Prosty, jednoznaczny. Bez żadnej skazy. Z początku Inigo rozmyślał o szaleńczej zemście, z czasem jednak uznał, że prostota będzie najlepsza. Pierwotnie wyobrażał sobie liczne scenariusze – przeciwnik rozpłaczę się i zacznie błagać, z krzykiem skuli się ze strachu, będzie próbował przekupstwa, będzie jęczał i w ogóle zachowywał się niegodnie. W końcu wizje te także ustąpiły miejsca prostocie: nieprzyjaciel powie jedynie: „A, tak, pamiętam, jak go zabiłem. Z przyjemnością zabiję też ciebie”.

Istniał tylko jeden problem: Inigo nie mógł go znaleźć.

Nigdy nie przypuszczał, że okaże się to aż tak trudne. W końcu ilu mogło być szlachciców o sześciu palcach u prawej dłoni? Z pewnością w okolicy roić się będzie od plotek. Kilka pytań w rodzaju: „Przepraszam, nie jestem wariatem, ale czy przypadkiem widział pan może ostatnio szlachcica o sześciu palcach?” i z pewnością wcześniej czy później ktoś odpowie: „Tak”.

Nie nastąpiło to jednak wcześniej.

A i później nie było zachwycająco.

Pierwszy miesiąc nie był jeszcze taki zły. Inigo przemierzył Hiszpanię i Portugalię. W drugim miesiącu przeniósł się do Francji i pozostał tam aż do końca roku. Następny rok stał pod znakiem Włoch, potem nadeszła kolej na Niemcy i całą Szwajcarię.

Dopiero po pięciu latach niepowodzeń na dobre zaczął się martwić. Do tego czasu zwiedził już całe Bałkany i większą część Skandynawii, złożył wizytę floreńczykom i mieszkańcom Guldenu, zawędrował do Matuszki Rosji i przemierzył całe wybrzeże Morza Śródziemnego.

Powoli uświadamiał sobie, co się stało: dziesięć lat, poświęconych nauce, to o dziesięć lat za dużo. Zbyt wiele czasu upłynęło. Człowiek o sześciu palcach prawdopodobnie odbywał jakąś krucjatę w Azji. Albo bogacił się w Ameryce. Albo został pustelnikiem we Wschodnich Indiach. Albo nawet... nawet...

Nie żył?

W wieku dwudziestu siedmiu lat Inigo zaczął pociągać wieczorem kilka dodatkowych kieliszków wina, aby pomogły mu zasnąć. Jako dwudziestoośmiolatek popijał parę kieliszków, które miały pomóc mu w trawieniu obiadu. W wieku dwudziestu dziewięciu lat potrzebował wina, aby ocknąć się rano. Cały świat wokół niego walił się. Nie tylko stale żył z poczuciem klęski, lecz także w dodatku powoli działo się coś niemal równie okropnego: szermierka zaczynała go nudzić.

Po prostu był za dobry. Podczas swych podróży utrzymywał się, wyszukując miejscowych

mistrzów. Potem staczali pojedynki, Inigo rozbrajał przeciwnika i zbierał wygrane zakłady. Właśnie z tych pieniędzy opłacał jedzenie, mieszkanie i wino.

Wszelako miejscowi mistrzowie byli niczym. Nawet w wielkich miastach lokalni eksperci byli niczym. Ba, nawet w stolicach tamtejsi mistrzowie byli niczym. Nie istniała żadna konkurencja, nic, co zmuszałoby go do utrzymania formy. Życie przestało mieć sens, jego poszukiwania wiodły donikąd, nic już nie miało znaczenia.

W wieku trzydziestu lat poddał się. Zaprzestał wędrówek, przestał jeść, sypiał jedynie od czasu do czasu. Towarzystwa dostarczało mu wino i nie potrzebował nic więcej.

Był wypaloną skorupą. Największy szermierz od czasu korsykańskiego czarodzieja prawie zupełnie zaprzestał ćwiczeń ze szpadą.

I właśnie w takim stanie znalazł go Sycylijczyk.

Z początku mały garbus dostarczał mu jedynie mocniejsze wino. Potem jednak za pomocą połączenia pochlebstw i nalegań stopniowo odstał go od butelki. Ponieważ Sycylijczyk miał jedno marzenie: dzięki jego rozumowi, sile Turka i szpadzie Hiszpana mógł stworzyć najdoskonalszą organizację przestępczą w cywilizowanym świecie.

I tak się właśnie stało.

W mrocznych zaułkach z lękiem powtarzano ich imiona i nigdy nie brakowało im zadań. Sycylijski Tłum (dwóch to kompania, trzech to tłum, nawet wtedy) stawał się coraz sławniejszy i coraz bogatszy. Nic nie było dla nich zbyt trudne czy zbyt podłe. Szpada Iniga znów śmigła, szybsza niż kiedykolwiek przedtem. Siła Turka rosła z miesiąca na miesiąc.

Ale to garbus dowodził. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Inigo wiedział, jak skończyłyby bez niego: na plecach, błagając o wino w jakiejś podrzędnej knajpie. Słowo Sycylijczyka stanowiło dla niego więcej niż rozkaz – było jak Ewangelia.

Kiedy więc powiedział: „Zabij człowieka w czerni”, wszelkie inne możliwości zniknęły. Człowiek w czerni musiał zginąć...

* * *

Inigo przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż krawędzi Urwiska, z irytacją pstrykając palcami. Człowieka w czerni dzieliło od szczytu już tylko pięćdziesiąt stóp i wspinał się dalej. Niecierpliwość Iniga zaczynała kipieć i przelewać się przez brzegi. Patrzył na powolne postępy nieznajomego. Znaleźć szczelinę, wbić w nią dłoń, znaleźć kolejną szczelinę, wbić drugą dłoń; jeszcze czterdzieści osiem stóp. Inigo poklepał rękojeść szpady, coraz szybciej pstrykając palcami. Ponownie przyjrzał się zamaskowanemu wspinaczowi z nieśmiałą nadzieją, że może okaże się sześciopalczysty, ale nie: jego dłonie wyposażone były w zwyczajną ilość palców.

Jeszcze czterdzieści siedem stóp.

Czterdzieści sześć.

– Hej tam! – zawołał Inigo, kiedy nie mógł już wytrzymać.

Człowiek w czerni zerknął w górę i mruknął coś pod nosem.

– Obserwowałem cię.

Nieznajomy przytaknął.

– Wolno ci idzie – zauważył Inigo.

– Posłuchaj, nie chciałbym być nieuprzejmy – odparł wreszcie człowiek w czerni – ale w tej chwili jestem bardzo zajęty i wolałbym, abyś mnie nie rozpraszał.

– Przepraszam.

Ponowne mruknięcie.

– Jak sądzę, nie mógłbyś się pospieszyć? – spytał Inigo.

– Jeśli chcesz, żebym szybciej dotarł na górę – człowiek w czerni był teraz wyraźnie zły – czy mógłbyś spuścić mi linę lub mocną gałąź, albo znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie?

– Owszem – zgodził się Inigo. – Ale nie sądzę, abyś przyjął moją pomoc, ponieważ czekam tu tylko po to, by cię zabić.

– Bez wątpienia zakłóca to nieco harmonię naszej relacji – przyznał człowiek w czerni. – Obawiam się, że będziesz musiał poczekać.

Czterdzieści trzy stopy.

Czterdzieści jeden.

– Mógłbym dać ci moje słowo, słowo Hiszpana – zaproponował Inigo.

– Nic z tego. Znałem w swym życiu zbyt wielu Hiszpanów.

– Zaraz tu oszaleję.

– Jeśli tylko zechcesz zamienić się ze mną, z rozkoszą oddam ci moje miejsce.

Trzydzieści dziewięć stóp.

Chwila odpoczynku.

Człowiek w czerni zawisł w powietrzu. Jego stopy dyndały swobodnie, całe ciało opierało się jedynie na białej w skalną szczelinę ręce.

– Chodź już – błagał Inigo.

– To dość długa wspinaczka – wyjaśnił nieznajomy – i jestem trochę zmęczony. Za jakiś kwadrans powinny wrócić mi siły.

Jeszcze kwadrans! Nie do pojęcia!

– Posłuchaj, mam tu wolny kawałek liny, którego nie potrzebowaliśmy podczas naszej wspinaczki. Zrzucę ci go, ty się złapiesz, a ja wciągnę cię i...

– Nic z tego – powtórzył człowiek w czerni. – Jasne, może mnie wciągniesz, ale równie dobrze możesz puścić linę. W końcu czekasz tam, by mnie zabić, a to z pewnością byłby najszybszy sposób.

– Ale przecież nie wiedziałbyś nawet, po co tu jestem, gdybym sam ci o tym nie powiedział. Czy to nie przekonuje cię, że można mi zaufać?

– Szczerze mówiąc – mam nadzieję, że cię nie urażę – nie.

– Nie ma sposobu, abyś mi zaufał?

– Nic nie przychodzi mi na myśl.

Nagle Inigo uniósł wysoko prawą dłoń.

– Przysięgam na duszę Domingo Montoyi, że dotrzesz na górę bez szwanku!

Człowiek w czerni milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie uniósł wzrok.

– Nie wiem, kim był ten Domingo, ale coś w twoim głosie każe mi uwierzyć. Rzuć linę.

Inigo błyskawicznie przywiązał ją do wielkiego kamienia i zsunął w dół wolny koniec. Człowiek w czerni pochwycił go i zawisł w powietrzu. Inigo pociągnął. Po sekundzie nieznajomy znalazł się na szczycie.

– Dziękuję – powiedział i osunął się na najbliższy głąz.

Inigo usiadł obok.

– Zaczekamy, póki nie będziesz gotów – oznajmił.

Człowiek w czerni odetchnął głęboko.

– Raz jeszcze dziękuję.

– Dlaczego nas ścigasz?

- Macie ze sobą cenny bagaż.
- I nikomu go nie sprzedamy.
- To wasza sprawa.
- A twoja?

Człowiek w czerni nie odpowiedział.

Inigo wstał i odszedł na bok, badając teren, na którym wkrótce stoczą pojedynek. Był to naprawdę wspaniały płaskowyż, pełen drzew, użytecznych jako schronienie, i korzeni, o które można się potknąć, a także głazów, znakomitych do zeskakiwania, jeśli zdołaloby się wskoczyć na nie dostatecznie szybko. A wszystko to skąpane w blasku księżyca. Trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce na prawdziwy pojedynek, zdecydował Inigo. Nie brakowało niczego, nawet wspaniałych Urwisk z jednej strony i rewelacyjnej tysięczstopowej przepaści za nimi – rzeczy, które należy mieć na uwadze, planując taktykę walki. Idealne. Miejsce było idealne.

Jeśli tylko człowiek w czerni umiał się fechtować. Naprawdę.

Wtedy Inigo uczynił coś, co zawsze robił przed pojedyńkiem: wyjął z pochwy swą wielką szpadę i dwukrotnie dotknął klingą twarzy – raz wzdłuż jednej blizny, raz wzdłuż drugiej.

Następnie przyjrzał się człowiekowi w czerni. Świetny żeglarz, owszem, mocarny wspinacz, bez wątpienia, odważny, nie ulega kwestii.

Ale czy potrafi się fechtować?

Naprawdę potrafi?

Proszę, pomyślał Inigo. Od tak dawna nikt nie wystawił na próbę moich sił, niech teraz uczyni to ten człowiek. Niech będzie wspaniałym szermierzem. Szybkim i zręcznym, przebiegłym i silnym. Boże, daj mu niezrównane zdolności taktyczne, wyszkolenie równe mojemu. Proszę, błagam, tak wiele czasu minęło – niech-ten-człowiek-będzie-mistrzem!

– Złapałem już oddech – oznajmił nieznajomy, nadal siedząc na głazie. – Dziękuję, że pozwoliłeś mi odpocząć.

– Bierzmy się więc do dzieła – odparł Inigo.

Nieznajomy wstał.

– Wydajesz się porządnym człowiekiem – oświadczył Inigo. – Twoja śmierć nie sprawi mi radości.

– Wydajesz się porządnym człowiekiem – odparł nieznajomy. – Mnie twoja także.

– Ale jeden z nas musi zginąć. Stawaj więc.

Z tymi słowami Inigo ujął sześciopalczystą szpadę.

Lewą ręką.

Ostatnio zawsze zaczynał pojedynki lewą ręką. Stanowiło to doskonałe ćwiczenie, a choć gdy walczył sprawniejszą prawą ręką, był jedynym żyjącym czarodziejem na świecie, lewa też nie wypadła sroce spod ogona. Kiedy jej używał, mogło mu dorównać ze trzydziestu ludzi. Może nawet pięćdziesięciu, a może zaledwie dziesięciu.

Człowiek w czerni także był leworęczny, co ucieszyło Iniga. Tak było sprawiedliwiej. Jego słabość wobec siły przeciwnika. Tym lepiej.

Skrzyżowali szpady i człowiek w czerni rozpoczął obroną Agryppy – rozsądnie, jak ocenił Inigo, zwłaszcza biorąc pod uwagę skalisty teren, przy Agryppie bowiem stopy z początku pozostawały nieruchome, wydatnie zmniejszając prawdopodobieństwo upadku. Oczywiście odpowiedział Capo Ferro, co zaskoczyło przeciwnika, który jednak wybronił się, szybko porzucając Agryppę i przechodząc do ataku wedle zasad Thibaulta.

Inigo nie mógł powstrzymać uśmiechu. Od tak dawna nikt go nie atakował. To było

wspaniałe! Pozwolił człowiekowi w czerni ruszyć naprzód, poczuć się pewniej i, bezpieczny pod osłoną obrony Bonettiego, wycofał się zgrabnie pomiędzy drzewa.

Nagle skoczył jak sprężyna i skrył się za najbliższym pniem. Przeciwnik nie spodziewał się podobnego manewru i zareagował zbyt powoli. Inigo natychmiast wychynął zza drzewa i sam zaatakował; a człowiek w czerni cofnął się, potknął, utrzymał na nogach i błyskawicznie postąpił parę kroków w tył.

Inigowi zaimponowała szybkość, z jaką tamten odzyskał równowagę. Większość ludzi wzrostu człowieka w czerni runęłaby na ziemię albo przynajmniej podparła się ręką. Ale nie on. Po prostu odskoczył w bok, zrobił gwałtowny ruch i nadal walczył.

Teraz poruszali się równolegle do krawędzi Urwisk, pozostawiając za sobą większość drzew. Człowiek w czerni, naciskany przez Iniga, powoli cofał się w stronę grupy wielkich głazów, bo Hiszpan chciał sprawdzić, jak przeciwnik spisze się na ograniczonej przestrzeni, gdzie nie można całkiem swobodnie zadawać ani parować ciosów. Nadal na niego napierał, aż wreszcie otoczyły ich kamienie. Inigo nagle rzucił się na jeden z głazów, odbił z oszałamiającą siłą i z niewiarygodną szybkością zaatakował.

Pierwsza krew należała do niego.

Skaleczył człowieka w czerni, leciutko, wprost w lewy przegub. Draśnięcie, nic więcej. Ale krwawiło.

Człowiek w czerni pospiesznie odstąpił w tył, byle dalej od głazów, z powrotem na otwarty płaskowyż. Inigo ruszył za nim, nie zwracając sobie głowy powstrzymaniem jego ucieczki; przyjdzie na to czas później.

I wtedy człowiek w czerni przystąpił do swego najgroźniejszego ataku – bez uprzedzenia, z przerażającą szybkością. Jego ostrze raz po raz błyskało w promieniach księżyca i z początku Inigo z radością się cofnął. Nie do końca rozpoznawał jego styl. Składał się na niego głównie McBone, ale dawało się też dostrzec okruchy Capo Ferro, więc Inigo nadal ustępował, koncentrując się na czynnościach przeciwnika i obmyślając sposób powstrzymania ataku.

Człowiek w czerni wciąż nacierał i Inigo był świadom, że coraz bardziej zbliża się do czyhającej za plecami krawędzi Urwisk. Zupełnie jednak go to nie obchodziło. Najważniejsze to przechytryć wroga, odkryć jego słaby punkt, pozwolić zachłysnąć się triumfem.

Nagle, coraz bliższy Urwisk, Inigo uświadomił sobie, gdzie leży błąd w ataku człowieka w czerni; prosty manewr Thibaulta zniszczy go całkowicie. Nie dał jednak nic po sobie poznać. Niechaj przeciwnik nacieszy się tą chwilą zwycięstwa – życie nie oferuje ich zbyt wiele.

Urwiska były już bardzo blisko.

Inigo wciąż się cofał, człowiek w czerni wciąż nacierał.

Wreszcie Inigo odparował Thibaultem.

A człowiek w czerni odbił cios.

Odbił!

Inigo powtórzył sztych Thibaulta, nic to jednak nie dało. Przerzucił się na Capo Ferro, spróbował Bonettiego, Fabrisa, wreszcie w desperacji użył pchnięcia Saincta, zastosowanego dotąd ledwie dwukrotnie w całych dziejach.

Nic nie pomagało!

Człowiek w czerni wciąż atakował.

Zaś Urwiska były coraz bliżej.

Inigo nigdy nie wpadał w panikę – nawet odrobinę. Ale musiał bardzo szybko podjąć pewne decyzje, nie miał bowiem zbyt wiele czasu do namysłu. Człowiek w czerni, choć nieco powolny

wśród drzew i niezgrabny między głazami, gdzie nie mógł poruszać się swobodnie, na otwartej przestrzeni, pozbawiony ograniczeń, był prawdziwym uosobieniem grozy. Leworęcznej grozy w czarnej masce.

– Wspaniały z ciebie szermierz – oświadczył Inigo. Ostatni krok przywiódł go na samą krawędź. Dalej nie miał już gdzie się cofać.

– Dziękuję – odparł człowiek w czerni. – Ciężko pracowałem, aby nim zostać.

– Jesteś lepszy ode mnie – przyznał Inigo.

– Na to by wyglądało. Ale jeśli to prawda, czemu się uśmiechasz?

– Ponieważ – wyjaśnił Inigo – wiem coś, o czym ty nie wiesz.

– To znaczy?

– Nie jestem leworęczny – odrzekł Inigo i z tymi słowami przerzucił sześciopalczystą szpadę do prawej ręki. W walce nastąpił gwałtowny zwrot.

Człowiek w czerni ustępował pod naporem roztańczonej klingi. Próbował uskoczyć, odparować atak, w jakiś sposób umknąć zgubie, która teraz była już nieunikniona. Nic to jednak nie dało. Mógł odbić pięćdziesiąt pchnięć, pięćdziesiąte pierwsze przebiło się jednak i jego lewa ręka zaczęła krwawić. Zdołał uniknąć trzydziestu ripost, lecz trzydziesta pierwsza trafiała w cel i krew popłynęła z jego ramienia.

Na razie rany nie były ciężkie, lecz wciąż pojawiały się nowe, gdy tak skakali pośród kamieni, a potem człowiek w czerni trafił między drzewa i to też mu nie służyło, więc dosłownie uciekł przez atakiem Iniga i znów znalazł się na otwartym terenie, lecz Inigo już się zbliżał, nic nie mogło go powstrzymać, i znów byli wśród głazów. Dla człowieka w czerni było to jeszcze gorsze, toteż wykrzyknął ze złości i ruszył biegiem na wolną przestrzeń.

Lecz nie mógł nic zdziałać przeciw czarodziejowi i powoli raz jeszcze złowrogie Urwiska wkroczyły do gry, tyle że tym razem to człowiek w czerni cofał się ku zgubie. Był odważny, silny, nie błagał o litość mimo odniesionych ran i pod swą czarną maską nie okazywał strachu.

– Jesteś doprawdy zdumiewający! – krzyknął, gdy Inigo zwiększył i tak już olśniewającą szybkość swych ciosów.

– Dziękuję. Kosztowało to sporo wysiłku.

Śmierć była już tuż-tuż. Inigo stale zadawał kolejne sztychy i człowiek w czerni wciąż bronił się przed nimi, lecz moc, ukryta w przegubach Iniga, zdawała się nie wyczerpywać. Atakował więc coraz gwałtowniej i wkrótce człowiek w czerni zaczął tracić siły.

– Nie możesz tego dostrzec – oświadczył wreszcie – ponieważ mam na sobie kaptur i maskę. Ale w tej chwili się uśmiecham.

– Dlaczego?

– Albowiem ja także nie jestem leworęczny – oznajmił człowiek w czerni.

Następnie i on zmienił ręce i walka w końcu się wyrównała.

Inigo zaczął się cofać.

– KIM JESTEŚ?! – wykrzyknął.

– Nikim ważnym. Jeszcze jednym miłośnikiem szpady.

– Muszę to wiedzieć.

– Czasami trzeba doświadczyć zawodu.

I znów tańczyli po płaskowyżu, a ostrza ich szpad poruszały się szybciej, niż mogło to zarejestrować oko. Jednak ziemia aż jęczała pod ich stopami, niebiosy zdrząły, a Inigo zaczął przegrywać. Próbował dotrzeć do drzew, ale człowiek w czerni nie pozwolił na to. Starął się skryć wśród kamieni, ale i tego mu odmówiono.

Z kolei na otwartej przestrzeni, choć trudno w to uwierzyć, człowiek w czerni był lepszy, choć niewiele. Jego przewaga objawiała się w setkach drobnych szczegółów. Był o włos szybszy, o ułamek silniejszy, odrobinę zwinniejszy. Naprawdę nic wielkiego.

Ale wystarczyło.

Spotkali się na środku płaskowyżu w ostatecznym zwarciu. Żaden z nich nie ustępował. Wokół rozbrzmiewał szcęk metalu o metal. Przez ciało Iniga przepłynęła ostatnia fala energii i Hiszpan podjął każdą próbę, wykorzystywał każdą sztuczkę, zrobił użytek z każdej godziny swego liczącego wiele lat doświadczenia. Został jednak zablokowany. Przez człowieka w czerni. Spętany. Przez człowieka w czerni. Przechytrzony, wystawiony, osłabiony.

Pokonany.

Przez człowieka w czerni.

Ostatni błysk i sześciopalcza spada wyfrunęła z jego dłoni. Inigo stał w miejscu, bezradny. Po sekundzie osunął się na kolana, skłonił głowę i zamknął oczy.

– Zrób to szybko – powiedział.

– Prędej uschłaby mi ręka, niż zabiłbym artystę tej klasy – odparł człowiek w czerni. – Równie dobrze mógłbym zniszczyć dzieło Leonarda. Jednakże – w tym momencie zadał Inigowi mocny cios w głowę gałką szpady – nie mogę też pozwolić, abyś mnie śledził. Zrozum, proszę, że żywię dla ciebie największy szacunek. – Uderzył raz jeszcze i Hiszpan padł bez zmysłów. Człowiek w czerni szybko przywiązał go do drzewa i tak zostawił, nieprzytomnego i bezbronno.

Następnie wsunął broń do pochwy, odnalazł ślad Sycylijczyka i pobiegł w noc...

* * *

– On pokonał Iniga! – oznajmił Turek, niezupełnie pewny, czy chce w to uwierzyć, lecz przekonany, że to smutna nowina. Inigo był jedyną osobą, która nie śmiała się, kiedy Fezzik prosił o zabawę w rymy.

Podążali pospiesznie górską ścieżką, wiodącą do granicy Guldenu. Szlak był wąski i usłany setkami kamieni wielkości kul armatnich, więc Sycylijczyk z najwyższym trudem dotrzymywał olbrzymowi kroku. Fezzik bez wysiłku niósł na ramionach Buttercup, która nadal miała spętane ręce i nogi.

– Nie słyszałem, co mówiłeś, powtórz! – zawołał Sycylijczyk, Fezzik czekał więc, aż garbus go dogoni.

– Widzisz? – Wskazał ręką. Daleko w dole, na początku górskiej ścieżki pojawił się biegnący z całych sił człowiek w czerni. – Inigo został pokonany.

– Niewiarygodne! – wybuchnął Sycylijczyk.

Fezzik nigdy nie śmiał sprzeciwiać się przywódcy.

– Co za głupiec ze mnie! Inigo nie przegrał walki z człowiekiem w czerni, przeciwnie, zwyciężył. Na dowód tego włożył jego czarny strój, maskę, kaptur, buty i przytył czterdzieści kilo.

Sycylijczyk, mrużąc oczy, spojrzał na biegnącą sylwetkę.

– Ty głupcze! – wrzasnął na Turka. – Po tych wszystkich latach nie potrafisz rozpoznać Iniga? To nie on!

– Nigdy się nie nauczę – przytaknął Fezzik. – Jeśli gdziekolwiek pojawi się jakieś pytanie, można się założyć, że zawsze udzielę złej odpowiedzi.

– Inigo musiał się pośliznąć, paść ofiarą oszustwa albo innej nieczystej zagrywki. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Logiczne śliczne, pomyślał olbrzym. Tyle że nie odważył się powiedzieć tego na głos. Nie przy Sycylijczyku. Mógłby wyszeptać to Inigowi w środku nocy, ale to było, zanim Inigo zginął. Może nawet dodałby jeszcze: muzyczne, medyczne, techniczne, i to wszystko, bowiem Sycylijczyk znów zaczął mówić, co oznaczało, że Fezzik musiał skupić się na słuchaniu. Nic bardziej nie irytowało garbusa od tego, gdy przyłapał Fezzika na myśleniu. Ponieważ z trudem mógł wyobrazić sobie, by ktoś taki jak Turek był w ogóle zdolny do myślenia, nigdy nie pytał, co tamtemu chodzi po głowie, bo zupełnie go to nie interesowało. Gdyby odkrył, że Fezzik wymyśla rymy, roześmiałby się i wynalazł nowe sposoby, za pomocą których mógłby go dręczyć.

– Rozwiąż jej stopy – polecił Sycylijczyk.

Fezzik postawił księżniczkę na ziemi i rozerwał sznury krępujące jej nogi. Następnie pomasaował dziewczynie kostki, by mogła iść dalej sama.

Sycylijczyk natychmiast pochwycił jej rękę i odciągnął Buttercup na bok.

– Dogoń nas jak najszybciej – rozkazał.

– A moje instrukcje?! – krzyknął w panice Fezzik. Nienawidził, kiedy zostawiano go samego.

– Skończ z nim, skończ z nim. – Sycylijczyk naprawdę zaczynał się denerwować. – Zwycięż tam, gdzie Inigo poniósł klęskę.

– Ale ja nie potrafię się fechtować. Nawet nie wiem, jak...

– Twoim sposobem. – Sycylijczyk powoli tracił panowanie nad sobą.

– O tak, dobrze, moim sposobem, dziękuję ci, Vizzini – wymamrotał Fezzik, po czym, zbierając całą swą odwagę, dodał: – Potrzebuję wskazówki.

– Zawsze powtarzasz, że rozumiesz siłę, że siła należy do ciebie. Użyj jej, nie dbam w jaki sposób. Zaczekaj na niego o tu – wskazał ręką ostry zakręt ścieżki – i zmiażdż mu głowę jak skorupkę jajka. – Pokazał na wielkie niczym armatnie kule kamienie.

– Owszem, mógłbym to zrobić – przyznał Fezzik. – Wydaje się jednak, że to bardzo niesportowe.

Sycylijczyk wpadł w furję. Było to naprawdę przerażające. Większość ludzi w takich sytuacjach wrzeszczy, ryczy i skacze wokół. Vizzini jednak postępował inaczej: stawał się bardzo spokojny, a jego głos zdawał się dochodzić zza grobu. Tylko jego oczy płonęły.

– Mówię ci to ostatni raz i nie będę powtarzał: zatrzymaj człowieka w czerni. Zatrzymaj go na dobre. Jeśli zawiedziesz, nie przyjmę żadnych wyjaśnień. Po prostu znajdę sobie innego olbrzyma.

– Proszę, nie zostawiaj mnie – błagał Fezzik.

– Rób więc to, co ci każę. – Garbus ponownie złapał rękę Buttercup i odkuśtykał w dal, poza zasięg wzroku.

Fezzik zerknął na postać biegnącą ku niemu ścieżką. Nadal dzielił ich spory dystans. Starczy czasu na parę ćwiczeń. Fezzik podniósł kamień wielkości armatniej kuli i wycelował w szczelinę w skale jakieś trzydzieści metrów dalej.

Szzzzu.

W sam środek.

Uniósł większy kamień i cisnął nim w linię cienia, dwa razy dalej niż poprzednio.

Nie takie znów szzzzu.

Dwa cale w prawo.

Fezzik był zupełnie zadowolony. Dwa cale w prawo oznaczały, że i tak może strzaskać czaszkę zamaskowanego, jeśli będzie celował w sam jej środek. Rozejrzał się, póki nie znalazł idealnego kamienia do rzucania: znakomicie dopasowanego do jego dłoni. Następnie cofnął się do gwałtownego zakrętu ścieżki i ukrył w najgłębszych cieniach. Niewidoczny, milczący, czekał cierpliwie ze swoim kamieniem, odliczając sekundy do śmierci człowieka w czerni.

FEZZIK

TURCZYNKI SŁYNA Z ROZMIARÓW swych dzieci. Jedyny na świecie noworodek, który tuż po porodzie ważył jedenaście kilo, był właśnie owocem południowotureckiej pary. Tureckie rejestry medyczne odnotowują jedenaścioro dzieci, które w chwili narodzin ważyły ponad dziesięć kilo. I dziewięćdziesiąt pięć przypadków wagi pomiędzy siedmioma a dziesięcioma kilogramami. Wszystkie te sto sześcioro cherubinków uczyniło to, co zwykle czynią dzieci po urodzeniu: straciło trzy, cztery uncje i większą część tygodnia zajęło im ich odzyskanie. Ścisłej biorąc, sto pięcioro straciło na wadze.

Nie Fezzik.

Pierwszego popołudnia utył pół kilo. (Ponieważ przedtem ważył zaledwie siedem, a matka urodziła go dwa tygodnie za wcześnie, doktorzy nie przejmowali się zbyt.)

– To dlatego, że zleżaś dwa tygodnie wcześniej – tłumaczyli matce Fezzika. – To wszystko wyjaśnia. – W istocie, rzecz jasna, nie wyjaśniało niczego, ale kiedy lekarze czegoś nie rozumieją – a zdarza się to częściej, niż chcielibyśmy sądzić – zawsze podchwytną coś choćby odrobinę związanego z danym przypadkiem i dodają: „To wszystko wyjaśnia”. Gdyby matka Fezzika spóźniła się z porodem, powiedzieliby: „Cóż, spóźniłaś się, to wszystko wyjaśnia”, albo: „Cóż, podczas porodu padał deszcz, dodatkowa waga to ciężar wody, to wszystko wyjaśnia”.

Zdrowy niemowlak podwaja swoją wagę w ciągu mniej więcej sześciu miesięcy, a potraja do ukończenia roku. Kiedy Fezzik skończył rok, ważył czterdzieści dwa kilo. Zważcie, nie był wcale gruby. Wyglądał jak zupełnie normalny, zdrowy, czterdziestokilowy dzieciak. Choć, szczerze mówiąc, wcale nie taki normalny. Jak na roczne dziecko był zdecydowanie zbyt mocno owłosiony.

Gdy osiągnął wiek przedszkolny, musiał się już golić. W tym czasie miał już wzrost dorosłego mężczyzny i wszystkie dzieci obrzydzały mu życie. Rzecz jasna, z początku bały się go śmiertelnie (nawet wtedy Fezzik wyglądał groźnie), ale kiedy odkryły, jaki z niego tchórz, nie zamierzały przepuścić takiej sposobności.

– Wielkolud, wielkolud! – wołały ze śmiechem podczas porannej przerwy jogurtowej.

– Nieprawda – odpowiadał głośno Fezzik (w duchu zaś dodawał: „krasnołud, krasnołud”). Nigdy nie ośmieliłby się myśleć o sobie jako o poecie, ponieważ nie był nikim w tym rodzaju. Po prostu kochał rymy. Wyszukiwał je w myślach dla wszystkiego, o czym wspominali inni. Czasami jego rymy miały sens, czasem nie. Fezzik nigdy nie przejmował się znaczeniem słów, interesowało go jedynie ich brzmienie).

– Tchórz.

Stróż.

– Nieprawda.

– Więc walcz! – wołał jeden z chłopców, po czym robił zamach i z całych sił walił go w brzuch, pewien, że Fezzik sapnie jedynie „uuufff” i będzie tak stał, bo przez całe życie nigdy nikogo nie uderzył.

– Uuufff.

Następny zamach. I jeszcze jeden. Może solidny cios w nerki. Albo kopniak w kolano. Trwało to dopóty, dopóki Fezzik nie wybuchał płaczem i nie uciekał.

Pewnego dnia w domu ojciec zawołał Fezzika:

– Chodź tu.

Fezzik, jak zawsze, posłuchał.

– Otrzyj łzy – poleciała matka.

Tego dnia został dotkliwie pobity przez dwójkę dzieci. Z całych sił spróbował powstrzymać płacz.

– Fezziku, tak dłużej być nie może – oznajmiła matka. – Dzieci muszą przestać cię prześladować.

Dręczyć.

– Nie przeszkadza mi to aż tak bardzo – odparł Fezzik.

– A powinno – stwierdził ojciec. Był cieślą o mocarnych dłoniach. – Chodź na dwór, nauczę cię, jak się walczy.

– Proszę, wcale nie chcę...

– Posłuchaj ojca.

Razem wyszli na podwórze.

– Zaciśnij pięść – rozkazał ojciec.

Fezzik zrobił to najlepiej, jak potrafił.

Jego ojciec spojrzał wymownie na matkę, po czym wznosił oczy ku niebu.

– Nie potrafi nawet zacisnąć pięści.

– Próbował przecież, a ma dopiero sześć lat. Nie bądź dla niego zbyt surowy.

Ojciec Fezzika bardzo kochał syna, więc starał się mówić spokojnie i łagodnie, aby chłopiec nie wybuchał płaczem. Nie było to łatwe zadanie.

– Skarbie – zaczął – kiedy zaciskasz pięść, nie chowasz do środka kciuka, tylko zostawiasz go na zewnątrz. Jeśli bowiem będzie pod innymi palcami, a ty kogoś uderzysz, natychmiast złamiesz sobie kciuk, co – przyznasz chyba – nie byłoby zbyt dobre, cały sens bójki polega bowiem na tym, by zrobić krzywdę przeciwnikowi, a nie sobie.

Pracownikowi.

– Ale ja nie chcę nikomu robić krzywdy, tatusiu.

– Ja także tego nie chcę. Jeśli jednak będziesz umiał o siebie zadbać, a oni o tym usłyszą, zostawią cię w spokoju.

Uboju.

– Nie przeszkadzają mi tak bardzo.

– Ale nam tak – wtrąciła matka. – Nie powinni znęcać się nad tobą tylko dlatego, że masz zarost.

– Wróćmy do pięści – polecił ojciec. – Czy nauczyliśmy się już, jak ma wyglądać?

Fezzik ponownie zacisnął dłoń w pięść, tym razem pozostawiając kciuk na zewnątrz.

– Szybko się uczy – stwierdziła matka.

Kochała go równie mocno jak ojciec.

– A teraz mnie uderz – rzucił ojciec Fezzika.

– Nie, nie chcę tego zrobić.

– Uderz swojego ojca, Fezziku.

– Może on nie wie jak? – zasugerował mężczyzna.

- Możliwe. – Matka Fezzika ze smutkiem pokręciła głową.
- Zobacz, kochanie. Widzisz? To bardzo łatwe. Po prostu zaciskasz pięść, jak cię nauczyłem, potem lekko cofasz rękę, celujesz i puszczasz.
- Pokaż ojcu, jaki z ciebie pilny uczeń – nalegała matka. – Uderz go. Zadaj mu solidny cios. Fezzik wycelował w ramię ojca i pchnął.
- Ojciec ponownie uniósł pełen rezygnacji wzrok ku niebu.
- Trafił całkiem blisko – wtrąciła pospiesznie matka Fezzika, nim oblicze jej syna zdążyło się zamurzyć. – Bardzo dobrze, jak na początek, Fezziku. Powiedz mu, jak świetnie zaczął – dodała, odwróciwszy się do męża.
- Ogólny kierunek był właściwy – wykrztusił w końcu ojciec. – Gdybym tylko stał o metr dalej na zachód, poszłoby idealnie.
- Jestem bardzo zmęczony – stwierdził Fezzik. – Kiedy człowiek uczy się tak wiele w tak krótkim czasie, zawsze się męczy. Przynajmniej ja tak robię. Proszę, czy mogę już iść?
- Jeszcze nie – odparła matka.
- Kochanie, proszę cię, uderz mnie, postaraj się, dobrze? Bystry z ciebie chłopiec, więc uderz mnie mocno – błagał ojciec.
- Jutro, tatusiu. Obiecuję. – W oczach Fezzika zakręciły się łzy.
- Płacz nic ci nie pomoże! – wybuchnął ojciec. – W ten sposób nie przekonasz ani mnie, ani twojej matki. Musisz zrobić to, co ci każe, a każe ci mnie uderzyć, i jeśli miałoby to potrwać całą noc, to będziemy tu tak stali do jutra, albo nawet przez cały tydzień, a kiedy...

T

R

A

C

H

!!!

(Działo się to długo przed powstaniem pogotowia ratunkowego i szpitali, co okazało się niezbyt szczęśliwe, przynajmniej dla ojca Fezzika, bo nie było gdzie go zabrać po tym, jak dosięgnął go cios syna. W końcu wylądował we własnym łóżku i pozostał tam z zamkniętymi oczami przez półtora dnia, nie licząc chwili, kiedy zjawił się mleczarz, aby nastawić jego złamaną szczękę – lekarze już istnieli, ale w Turcji dotąd nie przejęli opieki nad złamaniami i kośćmi wciąż zajmowali się mleczarze. Tłumaczono logicznie, że skoro mleko tak dobrze robi kościom, kto mógłby więcej wiedzieć o złamaniach od mleczarza?)

Kiedy ojciec Fezzika mógł już nieco szerzej otworzyć oczy, odbyli we trójkę rodzinną naradę.

– Jesteś bardzo silny, Fezziku – stwierdził ojciec. (Ściślej mówiąc, nie jest to do końca prawdą. W istocie ojciec zamierzał powiedzieć „Jesteś bardzo silny, Fezziku”, lecz w rzeczywistości zabrzmiało to „Zzzzzz zzzzzz zzzzz, Zzzzzz”. Odkąd mleczarz zdrutował mu szczękę, „z” było jedynym dźwiękiem, jaki zdołał z siebie wydobyć. Miał jednak bardzo wyrazistą twarz i żona rozumiała go znakomicie.)

– Powiedział: „Jesteś bardzo silny, Fezziku”.

– Też mi się tak zdawało – przytaknął Fezzik. – W zeszłym roku wściekłem się kiedyś i uderzyłem drzewo. Wyrwałem je z korzeniami. Nie było zbyt duże, ale i tak uznałem, że to coś znaczy.

– Zzzzzzzzz zzzzzzzzz zzzzz zzzzzzzzz, Zzzzzzz.

– Ojciec mówi, że zamierza porzucić pracę stolarza.

– O, nie! – zaprotestował Fezzik. – Wkrótce wydobrzejesz, tatusiu. Mleczarz obiecał mi, że tak będzie.

– Zz zzz zzz zzzz zzz zzzzzzzzz, Zzzzzzz.

– On już nie chce być stolarzem, Fezziku.

– Ale co będzie robił?

Na to pytanie matka Fezzika odpowiedziała bez pomocy męża, pół ostatniej nocy spędzili bowiem na dyskusjach i podejmowaniu ostatecznej decyzji.

– Zostanie twoim agentem, Fezziku. Zapasy to turecki sport narodowy. Będziemy sławni i bogaci.

– Ale mamusiu, tatusiu, ja nie lubię walczyć.

Ojciec Fezzika wyciągnął rękę i delikatnie poklepał kolano syna.

– Zzzzzzz zzzzzzzzz zzzzzzzzz – powiedział.

– Będzie naprawdę wspaniale – przetłumaczyła matka.

W odpowiedzi Fezzik wybuchnął płaczem.

Jego pierwsza zawodowa walka odbyła się w wiosce Sandiki, w gorącą, parną niedzielę. Rodzice Fezzika z najwyższym trudem wywabili go na ring. Byli absolutnie pewni zwycięstwa, gdyż bardzo ciężko na nie pracowali. Trzy lata szkolili swego syna, nim oboje zgodzili się, że jest gotów. Ojciec zajmował się taktyką i strategią na ringu, podczas gdy matka dbała o właściwą dietę i sam trening. Nigdy w życiu nie byli szczęśliwsi.

A Fezzik – bardziej nieszczęśliwy. Lęk, strach i przerażenie – wszystko to splotło się w nim w całość. Nie bacząc na zachęty, odmówił wejścia na arenę. Wiedział bowiem jedno: choć na zewnątrz wyglądał na dwudziestolatka z całkiem sporym wąsem, wewnątrz wciąż był dziewięcioletnim chłopcem, który przepadał za rymami.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – oznajmił. – Nie zmusicie mnie do tego.

– Po tym, jak ciężko pracowaliśmy przez całe trzy lata? – powiedział ojciec (jego szczęka niemal zupełnie już wydobrzała).

– On mi robi krzywdę! – jęknął Fezzik.

– Życie to ciągle cierpienie – odparła matka. – Ktokolwiek twierdzi inaczej, z pewnością coś sprzedaje.

– Proszę. Nie jestem jeszcze gotowy. Zapomniałem wszystkie chwytty. Jestem niezgrabny i często się wywracam. To prawda.

Istotnie. Rodzice obawiali się jednak tylko jednego: czy nie jest jeszcze za wcześnie?

– Kiedy życie staje się twarde, twardzi idą naprzód – oznajmiła matka Fezzika.

– Ruszaj naprzód, Fezziku – dodał ojciec.

Fezzik nie ustępował.

– Posłuchaj, nie zamierzamy ci grozić – powiedzieli rodzice, mniej więcej równocześnie. – Za bardzo wszyscy się kochamy, żeby zaczynać robić takie rzeczy. Jeśli nie chcesz walczyć, nikt nie będzie cię zmuszał. Po prostu zostawimy cię samego na zawsze. (Według Fezzika piekło polegało na tym, że człowiek na zawsze zostaje sam. Wyznał im to, kiedy miał pięć lat.)

Wystąpił na arenę, aby zmierzyć się z mistrzem Sandiki.

Który nosił ten tytuł od jedenastu lat, to jest od czasu swych dwudziestych czwartych urodzin. Był niezwykle zwinny, szeroki w barach; liczył przy tym sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, zaledwie piętnaście mniej niż jego przeciwnik.

Fezzik nie miał szans.

Był zbyt niezgrabny, cały czas się wywracał albo chwycił odwrotnie, niż powinien, tak że jego

chwyt w ogóle nie miały wartości. Mistrz Sandiki bawił się z nim. Fezzik wciąż się potykał, upadał, był popychany, chwiał się na nogach. Zawsze wstawał i znów próbował, ale mistrz Sandiki był dla niego zbyt szybki, za sprytny i o wiele za bardzo doświadczony. Tłum zaśmiewał się, zajądając baklawę i bawiąc się znakomicie.

Póki Fezzik nie pochwycił mistrza Sandiki.

W tym momencie tłum umilkł nagle.

Fezzik uniósł go.

Cisza.

I ścisnął.

Mocno.

– Już wystarczy – powiedział ojciec.

Fezzik położył przeciwnika na ziemi.

– Dziękuję – rzekł. – Jesteś wspaniałym zawodnikiem, a ja miałem po prostu szczęście.

Były mistrz Sandiki mruknął coś niezrozumiałe.

– Podnieś ręce, zwyciężyłeś – przypomniała matka.

Fezzik stanął na środku ringu, unosząc ręce.

– Buuuuuu! – zagrział tłum.

– Zwierzę.

– Małpa!

– Go-ryl!

– BUUUUUUU!

Nie zatrzymali się na dłużej w Sandiki. W gruncie rzeczy nigdzie nie mogli bezpiecznie zatrzymać się na dłużej. Walczyli z mistrzem Ispiru. „BUUUUUUUUUUU!”. Z mistrzem Simalu. „BUUUUUUUUUUU!”. Stoczyli walkę w Bolu. W Zile.

– Nie dbam o to, co wygadują ludzie – oświadczyła matka Fezzika pewnego zimowego popołudnia. – Jesteś moim synkiem i jesteś wspaniały. – Zapadał właśnie szary zmierzch, a oni uciekali ile sił w nogach z Konstantynopola po tym, jak Fezzik zmiażdżył tamtejszego mistrza, zanim jeszcze widzowie zdążyli zająć miejsca.

– Wcale nie jestem wspaniały – odparł Fezzik. – Mają rację, że mnie wygwizdują. Jestem za duży. Za każdym razem, kiedy walczę, wygląda to tak, jakbym znęcał się nad słabszymi.

– Może – zaczął z wahaniem jego ojciec – może, Fezziku, gdybyś czasem troszeczkę odrobinę, nieco przegrał parę walk, nie krzyczeliby tak bardzo.

Żona natychmiast rzuciła się na męża.

– Chłopiec ma dopiero jedenaście lat, a ty już chcesz, żeby poddawał walki?

– Nie, nic podobnego, nie podniecaj się tak. Ale może gdyby wyglądał na cierpiącego, daliby nam spokój.

– Ja naprawdę cierpię – wtrącił Fezzik. (Istotnie, nie kłamał.)

– Okaż to.

– Postaram się, tatusiu.

– Grzeczny chłopiec.

– Nie mogę nic na to poradzić, że jestem silny. To nie moja wina. Nawet nie ćwiczę.

– Sądzę, że nadszedł czas, by wyruszyć do Grecji – stwierdził jego ojciec. – W Turcji pokonaliśmy już wszystkich, a zresztą zapasy zrodziły się właśnie w Grecji. Nikt tak jak Grecy nie potrafi docenić sportowego talentu.

– Nie cierpię, kiedy krzyczą „BUUUUUUUUUUU!” – wyjaśnił Fezzik. (To prawda. Obecnie

piekło według niego polegało na tym, że zostawał zupełnie sam i wszyscy wokół bez przerwy wrzeszczeli na niego „BUUUUUUUUUU!”.)

– W Grecji będą cię uwielbiali – obiecała matka.

Walczyli w Grecji.

AARRRGGGGGH! (Po grecku AARRRGGGGGH! oznacza to samo, co BUUUUUUUUUU!)

W Bułgarii.

Jugosławii.

Czechosłowacji. Rumunii.

BUUUUUUUUUU!

Spróbowali szczęścia na Wschodzie. Zmierzyli się z koreańskim mistrzem ju-jitsu. Mistrzem karate z Syjamu. Mistrzem kung-fu z Indii.

SSSSSSSSSS! (Patrz notka przy AARRRGGGGGH!)

W Mongolii jego rodzice umarli.

– Zrobiliśmy dla ciebie wszystko, co było można, Fezziku, powodzenia – powiedzieli i odeszli. Sprawiała to straszliwa zaraza, dżuma, która nie szczędziła nikogo. Fezzik także by zginął, tyle że oczywiście w ogóle się nie zaraził. Już sam wędrował dalej przez pustynię Gobi, często zabierając się z przypadkowymi karawanami. I tam właśnie nauczył się, jak sprawić, by widzowie przestali krzyczeć „BUUUUUUUUUU!”.

Walczyć z całymi grupkami.

Zaczął się w karawanie na Gobi, kiedy przewodnik powiedział:

– Założę się, że moi wielbłądnicy zdołają cię pokonać. – Było ich tylko trzech, więc Fezzik odparł:

– Nie ma sprawy.

Spróbował i rzecz jasna wygrał.

I wszyscy zdawali się zadowoleni.

Fezzik poczuł, jak ogarnia go zachwyty. Jeśli tylko mógł, nigdy więcej nie walczył już z jednym przeciwnikiem. Przez jakiś czas podróżował bez celu, za drobną opłatą niszcząc gangi, ale nie wiodło mu się najlepiej, a poza tym teraz, gdy dobiegał dwudziestki, samotność męczyła go jeszcze bardziej niż kiedyś.

Dołączył do wędrownego cyrku. Pozostali członkowie trupy wciąż sarkali, twierdząc, że je więcej, niż wynosi jego przydział, więc zazwyczaj trzymał się na uboczu. Poza momentami, kiedy wykonywał swą pracę.

Wreszcie jednak pewnego wieczoru niedługo po swych dwudziestych urodzinach Fezzik przeżył wstrząs swego życia: „BUUUUUUUUUU!” wróciło. Nie mógł w to uwierzyć. Właśnie zmusił do poddania pół tuzina mężczyzn, a kolejne pół tuzina leżało ogłuszone na ziemi. Czego jeszcze od niego chcieli?!

Prawda była taka: stał się zbyt silny. Nigdy nie mierzył swego wzrostu, lecz ludzie szeptali, że ma ponad dwa metry dziesięć. Nigdy też nie stanął na wadze, lecz pogłoska głosiła, że musi ważyć dobre dwieście kilo. Poza tym był bardzo szybki. Lata doświadczeń sprawiły, że stał się niemal nadczołowiekiem. Znał wszystkie sztuczki, potrafił odparować każdy chwyt.

– Zwierzę.

– Małpa!

– Go-ryl!

– BUUUUUUUUUU!

Tej nocy, sam w namiocie, Fezzik rozplakał się. Był dziwolągiem (pstrągiem – nadal uwielbiał rymować). Dwuokim Cyklopem (chłopem). Wyrzutem sumienia (strumienia – jak strumienie łez, które płynęły mu z półprzymkniętych oczu). Do rana jednak zdołał się opanować: przynajmniej miał jeszcze swoich cyrkowych przyjaciół.

W następnym tygodniu wyrzucono go z cyrku. Publiczność wołała już „BUUUUUUUUUU!” także na innych wykonawców, najgrubsza kobieta świata zagroziła odejściem, karły zaczęły się burzyć i Fezzik wyleciał z trzaskiem.

Wszystko to miało miejsce wśród pustkowi Grenlandii. Jak zaś wiadomo, Grenlandia, zarówno wtedy, jak i teraz, jest najsamotniejszym miejscem na ziemi. Na Grenlandii jedna osoba przypada na pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. Najprawdopodobniej cyrk postąpił dość głupio, wybierając się tam, ale nie o to chodziło.

Chodziło o to, że Fezzik był sam.

W najsamotniejszym miejscu na ziemi.

Siedział na kamieniu i patrzył, jak cyrk odjeżdża.

Następnego dnia wciąż tam siedział, kiedy znalazł go Sycylijczyk Vizzini. Vizzini obrzucił go pochlebstwami, przyrzekł też, że nie pozwoli na żadne „BUUUUUUUUUU!”. Vizzini go potrzebował. Ale z pewnością nie aż tak, jak Fezzik potrzebował Vizziniego. Póki Sycylijczyk był w pobliżu, nie groziła mu samotność. Fezzik spełniał każde polecenie Vizziniego. A jeśli oznaczało to roztrzaskanie głowy człowieka w czerni...

* * *

Niechaj i tak będzie.

Ale nie z zasadzki. Nie po tchórzowsku. Nie niesportowo. Rodzice zawsze uczyli go, by postępował zgodnie z zasadami. Fezzik stał w cieniu, ściskając w potężnej dłoni wielki kamień. Słyszał zbliżające się kroki człowieka w czerni. Coraz bliżej.

Nagle wyskoczył z ukrycia i cisnął kamieniem z niewiarygodną siłą i idealną celnością. Pocisk roztrzaskał się o głaz pół metra od twarzy człowieka w czerni.

– Zrobiłem to specjalnie – oznajmił Fezzik, podnosząc następny kamień i trzymając go w gotowości. – Nie musiałem chybić.

– Wierzę ci – odparł nieznajomy.

Stali naprzeciw siebie na wąskiej górskiej ścieżce.

– I co teraz? – spytał człowiek w czerni.

– Zmierzymy się po bożemu – wyjaśnił Fezzik. – Bez żadnych sztuczek, bez broni. Niech decydują umiejętności.

– Chcesz powiedzieć, że odłożysz swój kamień, a ja moją szpadę i spróbujemy się pozabijać, jak przystało na cywilizowanych ludzi, zgadza się?

– Jeśli wolisz, mogę zabić cię teraz – odrzekł łagodnie Fezzik, zamierzając się do rzutu. – Daję ci szansę.

– Owszem, a ja ją przyjmuję. – Człowiek w czerni zaczął odpinać pas z pochwą. – Choć szczerze mówiąc, wydaje mi się, że w walce wręcz przewaga jest raczej po twojej stronie.

– Odpowiem na to to, co zawsze powtarzam każdemu. Nic nie mogę poradzić na to, że jestem największy i najsilniejszy. To nie moja wina.

– Nie mam do ciebie pretensji – odrzekł nieznajomy.

– A zatem zaczynamy.

Fezzik odrzucił kamień i przyjął pozycję do walki, patrząc, jak człowiek w czerni powoli zbliża się ku niemu. Przez moment poczuł niemal żal. Najwyraźniej był to porządny gość, nawet mimo tego, że zabił Iniga. Nie narzekał, nie błagał, nie próbował przekupstwa. Po prostu zaakceptował swój los. Żadnych skarg, nic. Niewątpliwie przestępca z charakterem. (Czy jednak rzeczywiście jest przestępcą?, zastanawiał się Fezzik. Z pewnością wskazywałaby na to maska. A może to coś gorszego? Może był okaleczony? Na przykład miał twarz spaloną kwasem? Albo urodził się potworem?)

– Czemu nosisz maskę i kaptur?

– Myślę, że w przyszłości wszyscy będą tak robić – padła odpowiedź. – To niezwykle wygodne.

Stanęli naprzeciw siebie na górskiej ścieżce. Przez sekundę czekali bez ruchu, po czym ruszyli naprzód. Fezzik pozwolił człowiekowi w czerni pokręcić się trochę, badając jego siłę, całkiem znaczną jak na kogoś, kto nie był olbrzymem. Dał mu wykonać kilka uników, spróbować jednego chwytu, potem drugiego. Wreszcie, kiedy zyskał całkowitą pewność, że człowiek w czerni bez wstydu może udać się na spotkanie ze swym Stwórcą, Fezzik zamknął go w uścisku.

Uniósł.

I ścisnął.

Ścisnął.

Następnie ujął szczątki człowieka w czerni, potrząsnął nim w jedną stronę, w drugą stronę, jedną dłonią zadał mu cios w kark, drugą w krzyż, zaplótł nogi, owinął je bezwładnymi rękami i cisnął tłumok, który jeszcze niedawno był istotą ludzką, w głąb pobliskiej szczeliny.

Przynajmniej tak to wyglądało w teorii.

W rzeczywistości jednak oto, co się stało:

Fezzik uniósł przeciwnika.

I ścisnął.

A człowiek w czerni wyśliznął mu się z uchwytu.

Hmmm, pomyślał Fezzik, to z pewnością niespodzianka. Wydawało mi się, że już go mam.

– Jesteś bardzo szybki – pogratulował przeciwnikowi.

– Całe szczęście – odparł człowiek w czerni.

Po chwili znów się zwarli. Tym razem Fezzik nie dał przeciwnikowi szansy zrobienia uniku. Po prostu chwycił go, dwa razy zakręcił nim w powietrzu, roztrzaskał głowę o najbliższy głąz, zasypał go ciosami, zmiażdżył, na wszelki wypadek raz jeszcze przydusił i cisnął szczątki tego, co kiedyś było człowiekiem, w głąb pobliskiej szczeliny.

Taki przynajmniej miał zamiar.

W istocie nie udało mu się z powodzeniem wykonać nawet pierwszej części planu, tej związanej z chwytaniem. Ponieważ nim jeszcze potężne ręce Fezzika zdążyły ku niemu sięgnąć, człowiek w czerni padł na ziemię, okręcił się, skoczył i uwolnił, wciąż jak najbardziej żywy.

Nie rozumiem, co się tu dzieje, pomyślał Fezzik. Czyżbym zaczął tracić siłę? Może to jakaś choroba tak mnie osłabiła? Istniała przecież choroba pustynna, która pozbawiła sił moich rodziców. To musi być to, najpewniej złapałem dzumę, ale jeśli tak, to czemu on nie osłabł? Nie, nadal jestem silny, tu chodzi o coś innego. Tylko co?

I nagle do niego dotarło. Od tak dawna nie walczył z jednym przeciwnikiem, że zapomniał, jak to się robi. Przez wiele lat pokonywał grupki, bandy i gromadki i idea walki z jedną jedyną osobą nie przeniknęła jeszcze do jego mózgu. Ponieważ potyczka z grupą to coś zupełnie innego. Kiedy atakuje cię dwunastu ludzi, wykonujesz pewne ruchy, pewne chwytai, reagujesz w pewien

szczególny sposób. Gdy masz do czynienia z jednym przeciwnikiem, musisz zupełnie się przestawić. Fezzik pospiesznie cofnął się myślami w czasie. W jaki sposób walczył z mistrzem Sandiki? Odtworzył w pamięci ów pojedynek, po czym przypomniał sobie wszystkie swoje zwycięstwa, z mistrzami Ispiru, Simalu, Bolu i Zile. Wspomniał, jak uciekał z Konstantynopola, bo zbyt szybko pokonał tamtejszego mistrza. Tak szybko. Tak łatwo. Tak, pomyślał Fezzik. Oczywiście. I nagle zmienił swój styl, upodabniając go do tego sprzed lat.

Lecz do tego czasu człowiek w czerni zdołał go złapać za gardło.

Teraz wisiał mu na plecach, a jego ręce zaciskały się wokół krtani olbrzyma. Fezzik sięgnął do tyłu, ale człowiek w czerni nie dał się pochwycić. Turek nie mógł wyciągnąć rąk w tył i zrzucić przeciwnika. Pobiegł zatem w stronę głazu i w ostatniej sekundzie odwrócił się tak, aby cała siła zderzenia skupiła się na człowieku w czerni. To był przeszywający wstrząs. Fezzik wiedział, że powinien zadziałać.

Ale ucisk na jego krtani stał się jeszcze mocniejszy.

Fezzik ponownie runął na kamień, raz jeszcze obrócił się i poczuł potężne uderzenie, które spadło na plecy człowieka w czerni. Jednak ucisk przeciwnika nie osłabł. Fezzik zaczął ryc paznokciami ręce człowieka w czerni. Bębnił o nie swymi wielkimi pięściami.

Ale zaczynało mu brakować powietrza.

Wciąż jeszcze walczył. Teraz czuł już dziwne odrętwienie w nogach, widział, jak świat blednie mu przed oczami. Nie poddawał się jednak. Był potężnym Fezzikiem, miłośnikiem rymów, i nigdy się nie poddawał, choćby nie wiem co. Teraz drętwa dotarła do jego ramion, a cały świat skryła gwałtowna biała zawieja.

Fezzik osunął się na kolana.

Wciąż się szarpał, lecz słabł z każdą chwilą. Ciągłe walczył, ale jego ciosy nie zraniłyby nawet dziecka. Brakowało mu powietrza. Nic więcej się nie liczyło, nie dla Fezzika, nie na tym świecie. Przegrałem, przemknęło mu przez głowę. Umieram, pomyślał jeszcze i runął na kamienistą ścieżkę.

Niewiele się pomylił.

Jest taki moment, który nadchodzi pomiędzy utratą przytomności i śmiercią, i w chwili gdy olbrzym padł na ziemię, ów moment właśnie nastąpił. Chwilę wcześniej jednak człowiek w czerni zwolnił uchwyt. Następnie z trudem dźwignął się na nogi i stanął, wsparty o głaz, zbierając siły do dalszego marszu. Fezzik leżał bezwładnie, oddychając płytko. Człowiek w czerni rozejrzał się w poszukiwaniu liny, którą mógłby skrepować olbrzyma, po czym niemal natychmiast zmienił zdanie. Na co zda się lina wobec podobnej siły? Przeciwnik po prostu zerwałby wszelkie więzy. Człowiek w czerni cofnął się do miejsca, w którym odłożył szpadę. Przypiął z powrotem pas.

Dwóch z głowy, pozostał jeszcze jeden. Najtrudniejszy...

* * *

Vizzini czekał już na niego.

W istocie przygotował nawet skromny piknik. Z niewielkiego plecaka, z którym nigdy się nie rozstawał, wydobył małą serwetkę i postawił na niej dwa kielichy. Pośrodku umieścił nieduży skórzany bukłaczek z winem, trochę sera i parę jabłek. Nie mógł wybrać piękniejszego miejsca: wysoko w górach, ze wspaniałym widokiem na Kanał Floreński. Buttercup leżała obok, związana, zakneblowana, z zasłoniętymi oczami. Jej białą szyję muskało ostrze długiego

sztyletu.

– Witaj! – zawołał Vizzini, kiedy człowiek w czerni był już bardzo blisko.

Nieznajomy przystanął, oceniając sytuację.

– Pokonałeś mojego Turka – stwierdził Vizzini.

– Na to wygląda.

– Teraz więc wszystko zależy ode mnie. I od ciebie.

– Na to wygląda – powtórzył człowiek w czerni, zbliżając się o pół kroku do długiego sztyletu garbusa.

Sycylijczyk z uśmiechem mocniej przycisnął ostrze do gardła Buttercup. Lada moment mogła popłynąć krew.

– Jeśli pragniesz jej śmierci, to proszę, nie krępuj się, podejdź bliżej – rzucił.

Człowiek w czerni zamarł.

– Już lepiej. – Vizzini skinął głową.

Blask księżyca i milczenie.

– Świetnie wiem, co chcesz zrobić – oświadczył wreszcie Sycylijczyk – i z całą mocą podkreślam, że gardzę twoim zachowaniem. Próbujesz porwać coś, co uczciwie ukradłem. Uważam, że to postępowanie niegodne dżentelmena.

– Pozwól mi wyjaśnić... – zaczął człowiek w czerni, powolutku przesuwając się naprzód.

– ZABIJASZ JĄ! – krzyknął Sycylijczyk, mocniej naciskając na nóż.

Na szyi Buttercup pojawiła się kropla krwi, czerwona na tle śnieżnej skóry.

Człowiek w czerni cofnął się.

– Pozwól, że ci wyjaśnię – powtórzył z bezpiecznej odległości.

Raz jeszcze garbus przerwał mu.

– Nie możesz powiedzieć mi nic, czego nie wiedziałbym wcześniej. Istnieją wprawdzie ludzie przewyższający mnie wykształceniem, ale jeśli chodzi o wiedzę pozaksiążkową, nikt na świecie mi nie dorówna. Ludzie twierdzą, że czytam w myślach, lecz w istocie tak nie jest. Przewiduję jedynie prawdę dzięki mej mądrości i logice. Teraz zaś twierdzę, że jesteś porywaczem, sam przyznaj.

– Przyznaję, że można wziąć za nią całkiem spory okup. Poza tym jest bezwartościowa.

– Polecono mi, bym uczynił z nią pewną rzecz. To bardzo ważne, abym dokładnie wypełnił instrukcje. Jeśli to zrobię, nie zabraknie mi pracy do końca życia. A moje instrukcje nie wspominają o okupie, tylko o śmierci. Twoje wyjaśnienia nie mają więc sensu. I tak nie możemy współpracować. Ty chcesz zachować ją przy życiu, aby dostać okup, mnie natomiast niezmiernie zależy na tym, by w najbliższej przyszłości wydała ostatnie tchnienie.

– Czy przyszło ci do głowy, że poświęciłem wiele czasu i starań, a także osobistego wysiłku, aby tu dotrzeć? – spytał człowiek w czerni. – I że jeśli teraz poniosę klęskę, mogę bardzo się rozżłościć? I że jeśli ona wyda w najbliższej przyszłości swe ostatnie tchnienie, ty także możesz wkrótce zarazić się tą groźną chorobą?

– Nie wątpię, że zdołasz mnie zabić. Każdy, kto pokonał Iniga i Fezzika, bez kłopotu pozbędzie się też i mnie. Jednakowoż czy pomyślałeś o tym, że jeśli byś to zrobił, żaden z nas nic na tym nie zyska? Ty tracisz swój okup, ja – życie.

– A zatem znaleźliśmy się w impasie – podsumował człowiek w czerni.

– Obawiam się, że tak – odrzekł Sycylijczyk. – Nie mogę z tobą konkurować, jeśli chodzi o sprawność fizyczną, ty zaś nie dorównujesz mi umysłem.

– Czyżbyś był aż tak sprytny?

– Brak słów, by określić rozmiar mojej mądrości. Jestem tak przebiegły, zmyślny i szczwany, tak podstępny, zdolny do forteli i wybiegów, tak łotrowski, szelmowski, równie śmiały, jak rozważny, wykrętny jak diabeł i chytry niczym lis, śliski jak węgorz i podstępny niby wąż... Mówiłem ci, że nie wymyślono dotąd słów na opisanie podobnie potężnego umysłu. Pozwolisz, że ujmę to następująco: świat nasz liczy sobie kilkanaście milionów lat i przez ten czas stąpało po nim kilka miliardów ludzi. Ale ja, Sycylińczyk Vizzini, jestem z nich wszystkich – powiadam to z całą skromnością i pokorą – najprzebieglejszym, najbystrzejszym, najprzemysłniejszym, najinteligentniejszym człowiekiem pod słońcem.

– W takim razie – stwierdził nieznajomy – wyzywam cię na pojedynek umysłów.

Vizzini nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– O księżniczkę?

– Czytasz w moich myślach.

– Mówiłem ci już, że to tylko pozory. Wszystko jest kwestią mądrości i logiki. Na śmierć?

– Zgadza się.

– Przyjmuję wyznanie! – zawołał Vizzini. – Niechaj zacznie się walka!

– Rozlej wino – polecił człowiek w czerni.

Sycylińczyk napełnił kielichy ciemnoczerwonym trunkiem.

Człowiek w czerni wydobył z głębi swego żałobnego ubrania maleńką paczuszkę i podał ją garbusowi.

– Otwórz i powąchaj, ale uważaj, żeby nie dotknąć.

Vizzini wziął paczuszkę i posłuchał instrukcji.

– Nic nie czuję.

Nieznajomy odebrał mu zawiniątko.

– To, czego nie czujesz, nazywa się iocaina. Nie ma smaku, zapachu i natychmiast rozpuszcza się w każdym płynie. Tak się składa, że jest też najsilniejszą trucizną znaną człowiekowi.

Vizzini czuł, jak ogarnia go podniecenie.

– Nie sądzę, abyś zechciał podać mi kielichy – powiedział człowiek w czerni.

Sycylińczyk potrząsnął głową.

– Sam je weź. Mój sztylet nie oddali się od jej gardła.

Nieznajomy sięgnął po kielichy. Uniósł je i odwrócił się.

Vizzini zacmokał z uznaniem.

Człowiek w czerni robił coś przez dłuższą chwilę. Wreszcie odwrócił się z powrotem, dzierżąc w dłoniach kielichy. Ten z prawej ręki postawił ostrożnie przez Vizzinim, z lewej – naprzeciw siebie. Następnie usiadł obok i upuścił na serwetę puste opakowanie po iocainie.

– Ty zgadujesz – oświadczył. – Gdzie jest trucizna?

– Zgaduję?! – wykrzyknął Vizzini. – Ja nie zgaduję. Ja myślę. Rozważam. Dedukuję. W końcu podejmuję decyzję. Ale nigdy nie zgaduję.

– Rozpoczęła się walka umysłów. Zakończy się, kiedy zdecydujesz i odkryjemy, komu przypadło zwycięstwo, a komu śmierć. Nie muszę chyba dodawać, że obaj zaczniemy pić i przełknijemy wino w tym samym momencie.

– To takie proste – mruknął garbus. – Muszę jedynie, dysponując całą dostępną mi wiedzą o tobie, odtworzyć pracę twojego umysłu. Czy należysz do ludzi, którzy wsypaliby truciznę do własnego kieliszka, czy raczej do kieliszka przeciwnika?

– Grasz na zwłokę – stwierdził człowiek w czerni.

– Tylko napawam się sytuacją – wyjaśnił Sycylińczyk. – Od lat nikt nie rzucił mi wyzwania i

rozkoszuję się nim... A przy okazji, czy mogę powąchać oba kieliszki?

– Proszę bardzo. Uważaj tylko, by odstawić je na miejsce.

Sycylijczyk powąchał własne wino, po czym sięgnął po kieliszek człowieka w czerni.

– Jak mówiłeś, jest całkowicie bezwonna.

– Jak również mówiłem, grasz na zwłokę.

Vizzini uśmiechnął się i przeniósł wzrok na kielichy.

– Jedynie wielki głupiec nalałby wina z trucizną do własnego kieliszka, bowiem wiedziałby, że tylko inny wielki głupiec weźmie to, co mu podano. Ponieważ zaś nie jestem wielkim głupcem, nie mogę sięgnąć po twoje wino.

– Czy to twój ostateczny wybór?

– Nie. Skoro bowiem wiedziałeś, że nie jestem głupcem, musiałeś też zdać sobie sprawę, iż nigdy nie dam się złapać na tak prostą sztuczkę. Nie mogę zatem sięgnąć także po moje wino.

– Mów dalej – rzucił człowiek w czerni.

– Mam taki zamiar. – Sycylijczyk zastanowił się przez moment. – Na razie zdecydowaliśmy, że trucizna najprawdopodobniej stoi przed tobą. Ale iocaina to proszek z trzciny iocanowej, a trzcina ta rośnie wyłącznie w Australii, Australię zaś, jak wszyscy wiedzą, zamieszkują sami przestępcy, którzy przywykli do tego, by nikomu nie ufać. Ja także nikomu nie ufam, więc niewątpliwie nie mogę sięgnąć po twoje wino.

Człowiek w czerni zaczął się denerwować.

– Z drugiej jednak strony musiałeś podejrzewać, że wiem, skąd pochodzi iocaina, i że znam się na przestępcach i ich nawykach, toteż z pewnością nie mogę sięgnąć po moje wino.

– Istotnie, twój intelekt nie ma sobie równych – szepnął człowiek w czerni.

– Pokonałeś mojego Turka, co oznacza, że jesteś wyjątkowo silny, a wyjątkowo silni ludzie uważają, że są zbyt silni na to, by umrzeć, zbyt silni nawet dla iocainy. Mogłeś więc wsypać ją do własnego kieliszka, ufając, że ocali cię twa siła. Tak więc bez wątpienia nie mogę sięgnąć po twoje wino.

Człowiek w czerni denerwował się coraz bardziej.

– Zwyciężyłeś też jednak mojego Hiszpana, co oznacza, że musiałeś pobierać nauki, gdyż on przez wiele lat uczył się, by osiągnąć swe dzisiejsze mistrzostwo. Jeśli zaś potrafisz się uczyć, musisz być nie tylko silny. Pojmujesz także, jak bardzo jesteśmy śmiertelni, i nie chcesz umrzeć. W takim przypadku wolałbyś utrzymać truciznę jak najdalej od siebie, a zatem bez wątpienia nie mogę sięgnąć po moje wino.

– Po prostu czekasz, aż przez twoją gadaninę zdradzę się z czymś – stwierdził ze złością człowiek w czerni. – Nic z tego. Daję słowo, że ode mnie niczego się nie dowiesz.

– Już dowiedziałem się wszystkiego – odparł Sycylijczyk. – Wiem, gdzie jest trucizna.

– Tylko geniusz mógłby to odgadnąć.

– Co za szczęście zatem, że przypadkiem nim jestem. – Garbus z każdą chwilą okazywał coraz większe rozbawienie.

– Nie zdołasz mnie przestraszyć – powiedział człowiek w czerni, lecz w jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta lęku.

– Może więc wypijemy?

– Zdecyduj i wybierz. Przestań zwlekać – i tak nic ze mnie nie wyciągniesz. Nie wiesz, nie możesz wiedzieć.

Sycylijczyk uśmiechnął się tylko w odpowiedzi na ten wybuch. Nagle przez jego twarz przemknął dziwny wyraz. Wskazał ręką w miejsce za plecami przeciwnika.

– Co to jest, u licha? – spytał.

Człowiek w czerni obejrzał się.

– Nic nie widzę.

– Och, mógłbym przysiąc, że coś tam było. Zresztą nieważne. – Vizzini roześmiał się.

– Nie rozumiem, co cię tak śmieszy.

– Powiem ci za chwilę. Najpierw jednak wypijmy – odparł garbus.

I uniósł swój własny kielich.

Człowiek w czerni wziął w dłoń kielich, który stał przed nim.

Wypili.

– Źle zgadłeś – oznajmił człowiek w czerni.

– To tylko ty tak sądzisz – odrzekł Vizzini, śmiejąc się coraz głośniejsze. – Kiedy się odwróciłeś, zamieniłem kieliszki.

Człowiek w czerni nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Głupcze! – wykrzyknął garbus. – Padłeś ofiarą jednej z najstarszych zagrywek. Najsylniejsza to: „Nigdy nie wdawaj się w wojnę w Azji”, lecz tylko nieco mniej znana głosi: „Nigdy nie występuj przeciwko Sycylijczykowi, kiedy w grę wchodzi twoje życie”.

Nadal śmiał się wesoło... aż iocaina zadziałała.

Człowiek w czerni szybko przekroczył trupa i szorstkim gestem zerwał opaskę z oczu księżniczki.

– Słyszałam wszystko, co... – zaczęła Buttercup, po czym westchnęła nagle, gdyż jeszcze nigdy nie znalazła się tuż obok zwłok. – Zabiłeś go – szepnęła po chwili.

– Pozwoliłem, aby umarł ze śmiechem na ustach – odparł człowiek w czerni. – Módl się, abym to samo uczynił dla ciebie. – Podniósł ją, przeciął więzy, postawił na nogi i zaczął ciągnąć za sobą.

– Proszę, daj mi chwilę, abym doszła do siebie.

Człowiek w czerni zwolnił uchwyt.

Buttercup roztarła przeguby, po czym, nachyliwszy się, zaczęła masować kostki nóg. Po raz ostatni zerknęła na Sycylijczyka.

– I pomyśleć – mruknęła – że przez cały ten czas trucizna była w twoim kieliszku.

– Była w obu – odparł człowiek w czerni. – Przez ostatnie dwa lata wyrabiałem w sobie odporność na iocainę.

Buttercup spojrzała na niego. Przerazał ją – skryty pod maską i kapturem, groźny. Jego głos brzmiał szorstko i chrapliwie.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Kimś, kogo należy słuchać – odparł człowiek w czerni. – To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Z tymi słowami szarpnięciem postawił ją na nogi. – Twoja chwila już minęła. – Ponownie pociągnął Buttercup za sobą, tym razem jednak nie miała wyjścia. Musiała pobiec za nim.

Wędrowali górską ścieżką. Księżyc świecił niezwykle jasno, wszędzie wokół wyrastały skały. W oczach Buttercup cała okolica zdawała się żółta i martwa, niczym blask księżyca. Ostatnich kilkanaście godzin spędziła w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy otwarcie planowali ją zabić. Czemu więc teraz czuła większy lęk? Kim był ów złowrogi, tajemniczy nieznajomy, który budził taki strach w jej sercu? Co może być gorsze od śmierci?

– Zapłacę ci mnóstwo pieniędzy, jeśli mnie uwolnisz – zdołała wykrztusić.

Człowiek w czerni zerknął na nią z ukosa.

– Jesteś zatem bogata?

– Będę – odparła Buttercup. – Przrzekam, że dostaniesz ode mnie każdy okup, jakiego zapragniesz.

Nieznajomy roześmiał się tylko.

– Mówiłam serio.

– Przrzekasz? Ty? Miałbym cię zwolnić na słowo honoru? A cóż jest ono warte? Przysięga kobiety? To naprawdę bardzo zabawne, Wasza Wysokość. Niezależnie od tego, czy mówisz serio, czy też nie. – Nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni. W tym momencie człowiek w czerni przystanął. Na niebie miliony gwiazd walczyły o palmę pierwszeństwa i na chwilę Buttercup odniosła wrażenie, jakby jej porywacz miał zamiar obejrzeć dokładnie każdą z nich, gdy jego błyskające spod maski oczy wędrowały od konstelacji do konstelacji..

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, skręcił gwałtownie, kierując się w głąb dzikiego pustkowia i ciągnąc ją za sobą.

Buttercup potknęła się, człowiek w czerni postawił ją na nogi. Ponownie upadła i raz jeszcze pomógł jej wstać.

– Nie mogę iść aż tak szybko.

– Możesz! I zrobisz to! Albo doświadczysz wielkiego cierpienia. Czy wierzysz, że mogę sprawić, byś cierpiała?

Buttercup skinęła głową.

– Więc biegnij! – wykrzyknął człowiek w czerni i sam także ruszył biegiem, niemal frunąc nad zalanymi poświatą księżycy kamieniami i ciągnąc księżniczkę za sobą.

Buttercup z całych sił starała się dotrzymać mu kroku. Była tak przerażona tym, co mógłby jej zrobić, że nie śmiała nawet się potknąć.

Po pięciu minutach człowiek w czerni zatrzymał się nagle.

– Możesz złapać oddech – polecił.

Buttercup przytaknęła, dysząc ciężko, i spróbowała uspokoić nieco szaleńczo bijące serce. Wkrótce jednak znów ruszyli biegiem, bez uprzedzenia, śmigając przez górzysty teren w stronę...

– Dokąd... mnie zabierasz? – wydyszała Buttercup, kiedy znów pozwolił jej na chwilę odpoczynku.

– Z pewnością nawet ktoś tak arogancki jak ty nie może oczekiwać, że odpowiem na to pytanie.

– Nie ma znaczenia, czy mi powiesz, czy nie. On i tak cię znajdzie.

– „On”, Wasza Wysokość?

– Książę Humperdinck. Nie ma na świecie większego myśliwego. Potrafi wytropić jastrzębia na pochmurnym niebie i ciebie też zdoła odnaleźć.

– Wierzysz, że twój najdroższy cię ocali?

– Nigdy nie twierdziłam, że jest moim najdroższym, ale owszem, ocali mnie, jestem tego pewna.

– Przyznajesz, że nie kochasz swego przyszłego męża? Coś podobnego. Prawdomówna kobieta. Rzadki z ciebie okaz, Wasza Wysokość.

– Książę i ja od początku nie okłamywaliśmy się wzajemnie. On wie, że go nie Kocham.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś zdolna do miłości?

– Jestem jak najbardziej zdolna do miłości – zaprotestowała Buttercup.

– Lepiej trzymaj język za zębami.

– Kochałam mocniej, niż taki jak ty morderca mógłby sobie wyobrazić.

Uderzył ją w twarz.

– Oto kara za kłamstwa, Wasza Wysokość. Tam, skąd pochodzę, jeśli kobieta nie mówi prawdy, zostaje skarcona.

– Ale ja nie kłamałam. Naprawdę... – Buttercup ujrzała, jak jego ręka unosi się po raz drugi, więc natychmiast umilkła.

Po chwili znów zaczęli biec.

Przez kilka godzin nie zamienili ze sobą ani słowa. Po prostu biegli, a potem, zupełnie jakby nieznajomy umiał dokładnie zgadnąć, kiedy zupełnie braknie jej sił, zatrzymywali się i uwalniał jej rękę. Buttercup próbowała złapać oddech w oczekiwaniu na kolejny sprint, który, jak wiedziała, nieuchronnie nastąpi. Nagle bez uprzedzenia chwycił jej dłoń i znów ruszali naprzód.

Zbliżał się świt, gdy po raz pierwszy ujrzeli Armadę.

Biegli właśnie wzdłuż krawędzi wysoko położonej rozpadliny. Zdawało się, że mają u stóp cały świat. Kiedy przystanęli, Buttercup z westchnieniem osunęła się na ziemię, aby odpocząć. Człowiek w czerni stanął nad nią.

– Nadchodzi twój ukochany, i to nie sam – powiedział niespodzianie.

Buttercup nie zrozumiała, o czym mówił.

Jej porywacz wskazał palcem w kierunku, z którego przybyli.

Podążyła wzrokiem za jego gestem i ujrzała, że wody Kanału Floreńskiego jarzą się od światła tak licznych jak gwiazdy na nieboskłonie.

– Musiał wysłać za tobą każdy statek z Florenu – stwierdził człowiek w czerni. – Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego. – Wpatrzył się w latarnie umieszczone na dziobach i masztach okrętów.

– Nigdy mu nie uciekniesz – oznajmiła Buttercup. – Jeśli mnie uwolnisz, obiecuję, że nie stanie ci się żadna krzywda.

– Jesteś zbyt wielkoduszna; nie mógłbym przyjąć podobnej oferty.

– Ofiaruję ci twoje życie, to dość szczodra obietnica.

– Wasza Wysokość! – Nagle ręce człowieka w czerni znalazły się na jej szyi. – Jeśli mamy rozmawiać o darowaniu życia, to pozwól, że ja będę mówił.

– Nie zabijesz mnie. Nie po to porwałeś mnie mordercom, by teraz samemu mnie zamordować.

– Nie tylko czuła, lecz także mądra – zadrwił człowiek w czerni. Szarpnięciem postawił ją na nogi i znów pobiegli skrajem wielkiego jaru. Był on głęboki na setki stóp, pełen głązów, drzew i roztańczonych cieni. Po chwili człowiek w czerni zatrzymał się gwałtownie i odwrócił głowę, by raz jeszcze spojrzeć na Armadę.

– Szczerze mówiąc – oznajmił – nie spodziewałem się aż tak wielu.

– Nigdy nie zdołasz przewidzieć, co uczyni mój książę; to dlatego jest największym myśliwym.

– Ciekawe – ciągnął nieznajomy – czy zostaną w jednej grupie, czy też podzieli swój oddział, aby jedna część spenetrowała wybrzeże, a druga podążyła naszym śladem? Jak sądzisz?

– Wiem tylko, że mnie odnajdzie. I jeżeli wcześniej nie zwrócisz mi wolności, nie potraktuje cię łagodnie.

– Z pewnością musiał rozmawiać z tobą o tych sprawach? O rozkoszy polowania! Co czynił w przeszłości z tak wielką flotą?

– Mogę cię zapewnić, że nie dyskutujemy o łowach.

– Ani o łowach, ani o miłości. O czym wy właściwie rozmawiacie?

– Niezbyt często się widzimy.

– Przemiała para.

Buttercup poczuła, jak ogarnia ją znajomy ponury nastrój.

– Zawsze jesteśmy ze sobą bardzo szczerzy. Nie każdy może się tym pochwalić.

– Pozwól, że coś ci powiem, Wasza Wysokość. Jesteś bardzo zimna...

– Nieprawda...

– ...bardzo zimna i bardzo młoda, a jeśli przeżyjesz, sądzę, że zamienisz się w sople lodu.

– Dlaczego tak się mnie czepiasz?! Pogodziłam się już z życiem, zresztą to moja sprawa – nie jestem zimna, przysięgam, ale zdecydowałam, że najlepiej będzie, jeśli zacznę ignorować uczucia, bo nie przyniosły mi nic dobrego... – Jej serce było tajemnym ogrodem, otoczonym wysokimi murami. – Kiedyś kochałam – dodała Buttercup po chwili milczenia – i źle się to skończyło.

– Jeszcze jeden bogacz? O tak, i porzucił cię dla bogatszej kobiety.

– Nie. Biedak. Biedak, i to go zabiło.

– Czy było ci przykro? Cierpiałas? Przyznaj, że nic nie czułaś.

– Nie drwij z mojego bólu! UMARŁAM TEGO DNIA!

Armada zaczęła strzelać z dział sygnałowych. Odgłos kanonady zagrział echem wśród skał. Człowiek w czerni obejrzał się na okręty, które zaczęły właśnie zmieniać szyk.

I kiedy tak patrzył, Buttercup pchnęła go całą resztką sił, jaka jej jeszcze została.

Przez chwilę człowiek w czerni chwiał się na krawędzi przepaści. Próbując odzyskać równowagę, wymachiwał rękami jak wiatrak. Nagle, desperacko chwytając dłońmi powietrze, zaczął osuwać się po zboczu.

I runął w dół.

Bezwładnie turlał się po skałach, pokaleczony i poobijany. Z całych sił starał się zatrzymać spadanie, ale zbocze było zbyt strome i nic nie dawało się zrobić.

Spadał.

Po kamieniach, bezradny, coraz niżej i niżej.

Buttercup odprowadziła go wzrokiem.

Wreszcie zatrzymał się, daleko w dole, milczący i nieruchomy.

– Jeśli o mnie chodzi, ty też możesz sobie umrzeć – powiedziała i odeszła.

Nagle dogoniły ją słowa. Odległy szept, cichy, ciepły i znajomy.

– Jak... kazesz...

W górach zaczynało już świtać. Buttercup zawróciła w stronę źródła dźwięku i spojrzała w dół, gdzie w pierwszym brzasku dnia człowiek w czerni z trudem zsuwał maskę.

– O mój najdroższy Westleyu! – wykrzyknęła Buttercup. – Cóż ci znów uczyniłam?

Na dnie jaru panowała cisza.

Buttercup nie wahała się ani przez moment. Zaczęła zbiegać w dół, ku niemu, starając się jak najdłużej utrzymać na nogach, a kiedy ruszyła, wydało się jej, iż słyszy jego głos, krzyczący coś do niej. Nie mogła jednak rozróżnić słów, bowiem w jej sercu rozbrzmiewał łoskot walących się murów, zagłuszający wszelkie inne dźwięki.

Poza tym niemal natychmiast straciła równowagę i jar pochłonął ją. Upadek stawał się coraz szybszy i boleśniejszy, nie zważała jednak na to. Z radością runęłaby w liczącą tysiąc stóp przepaść na nabijane gwoździami łoże, gdyby na dnie czekał na nią Westley.

Spadała.

Wirując i koziołkując, posiniaczona, poobijana, leciała bezwładnie, skulona, spadając wprost ku temu, co pozostało z jej ukochanego...

* * *

Ze swej pozycji w Armadzie książę Humperdinck omiół spojrzeniem Urwiska Szaleństwa. To było polowanie jak każde inne. Zmusił się, aby zapomnieć, kogo ściga. Nieważne, czy tropi się antylopę, czy też przyszłą żonę, zasady postępowania pozostają te same. Najpierw gromadzisz dowody. Dopiero potem działasz. Najpierw bada się sprawę, potem – rusza do akcji. Jeśli badania nie będą dość dokładne, istnieje obawa, że spóźnisz się z działaniem. Nie należy żałować czasu. Dlatego, zatopiony w myślach, nadal wpatrywał się w pionową ścianę Urwisk.

Bez wątpienia ktoś niedawno wspiął się na tę skałę. Na całej jej długości widać było zadrapania, ślady stóp, tworzące prostą linię. Najpewniej oznaczało to użycie liny i wspinaczkę na rękach, od czasu do czasu wspomaganą podparciem dla nóg. Podobna wspinaczka wymagała zarówno siły, jak i dokładnego planowania, toteż książę zanotował w myślach: mój przeciwnik jest mocny. Mój przeciwnik nie kieruje się impulsami.

Teraz jego spojrzenie dotarło do punktu jakieś trzysta stóp od szczytu. W tym miejscu ślad zaczynał być interesujący. Odciski stóp stały się głębsze, liczniejsze, nie tworzyły też już prostej linii. Albo ktoś specjalnie wypuścił z rąk linę trzysta stóp od wierzchołka, co zupełnie nie miało sensu, albo też została ona odcięta, zanim ktoś dotarł na szczyt. Wyraźnie bowiem ostatnia część wspinaczki odbyła się bez pomocy liny. Kto jednak dysponował podobnymi zdolnościami? I czemu musiał z nich korzystać w tak niebezpiecznych okolicznościach, siedemset stóp od pewnej śmierci?

– Muszę zbadać szczyt Urwisk Szaleństwa – oznajmił książę, nie zadając sobie nawet trudu, by się odwrócić.

Zza jego pleców Hrabia Rugen odpowiedział jedynie:

– Zrobione. – I zamilkł, oczekując dalszych instrukcji.

– Wyślij pół Armady na południe wzdłuż wybrzeża, drugie pół na północ. O zmierzchu powinni spotkać się w okolicach Ognistych Bagien. Nasz statek dobije do brzegu w najbliższym dogodnym miejscu. Będziesz mi towarzyszył, ty i twoi żołnierze. Każ przygotować siwki.

Hrabia dał znak kanonierowi i chwilę potem rozkazy księcia zagrzmiały wzdłuż skalnych ścian. Po kilku minutach Armada zaczęła się rozdzielać i jedynie ogromny okręt księcia pozegłował przy brzegu, szukając miejsca do lądowania.

– Tutaj! – polecił nieco później książę i jego okręt skręcił w niewielką zatoczkę, szykując się do rzucenia kotwicy. Zabrało to trochę czasu, ale niezbyt wiele – kapitan znał się na rzeczy, książę zaś słynął z tego, że prędko traci cierpliwość, a nikt nie chciał narazić się na jego gniew.

Humperdinck zeskoczył na ląd. Po chwili spuszczone trap i sprowadzono po nim siwki. Ze wszystkich swoich osiągnięć książę najwyżej cenił sobie te konie. Pewnego dnia będzie dysponował całą ich armią, lecz wyhodowanie idealnie czystej krwi zwierząt wymagało czasu. Na razie miał cztery siwki, wszystkie identyczne: śnieżnobiałe, niezmordowane olbrzymy, wysokie na prawie dwa metry. Na równinach nic nie mogło ich doścignąć, a nawet wśród wzgórz czy skał pełnokrwisty arab z najwyższym trudem dotrzymałby im kroku. Kiedy się spieszył, książę dosiadał wszystkich czterech, na oklep – tak bowiem zawsze jeździł. Jadąc na jednym, prowadził trzy za sobą i zmieniał wierzchowce w biegu, by żaden nie dźwigał jego ciężaru na tyle długo, by się zmęczyć.

Teraz wskoczył na grzbiet konia i zniknął.

Po upływie niecałej godziny dotarł na krawędź Urwisk Szaleństwa. Natychmiast zeskoczył na

ziemię, ukląkł i zaczął badać teren. Do wielkiego dębu przywiązana była lina. Złamana i odarta z kory gałąź u podstawy wskazywała, że ktoś, kto pierwszy dotarł na górę, odwiązał sznur, a człowiek, który wciąż wisiał na linie, był wtedy w odległości trzystu stóp od szczytu i w jakiś sposób zdołał przetrwać wspinaczkę.

Wielka gmatwanina śladów sprawiła władcy nieco kłopotów. Trudno było ocenić, co się wydarzyło. Może narada, gdyż ślady dwóch osób zdawały się oddalać od krawędzi, podczas gdy trzecia spacerowała wzdłuż przepaści. Następnie na krawędzi pojawiły się nowe ślady. Humperdinck przyjrzał się im dokładnie, póki nie upewnił się co do dwóch rzeczy: 1) miał tu miejsce pojedynki i 2) obaj przeciwnicy byli mistrzami. Długość kroków, szybkość uników, wszystkie szczegóły wyraźnie widoczne dla wprawnego oka sprawiły, iż skorygował swą poprzednią ocenę sytuacji. To byli co najmniej mistrzowie. Prawdopodobnie byli jeszcze lepsi.

Następnie przymknął oczy i skupił się na zapachu krwi. Z pewnością w podobnie gwałtownym starciu musiało dojść do jej rozlewu. Teraz musiał jedynie podporządkować całe ciało zmysłowi powonienia. Książę pracował nad tym od wielu lat, to jest od czasu, gdy zraniona tygrysica skoczyła na niego zniemacka z gałęzi drzewa, gdy podążał jej tropem. Pozwolił wtedy, aby to oczy szukały śladów posoki, i omal nie zginął. Teraz ufał wyłącznie swemu nosowi. Jeśli w promieniu stu metrów przelano choćby kroplę krwi, znajdzie ją.

Otworzywszy oczy, bez wahania ruszył w stronę skupiska wielkich głazów, póki nie dojrzał kilku rdzawych plamek. Były nieliczne i całkowicie suche, powstały jednak nie wcześniej niż przed trzema godzinami. Humperdinck uśmiechnął się. Kiedy masz pod sobą siwki, trzy godziny to tyle co pstryknięcie palcami.

Zaczął odtwarzać pojedynki, bo zdumiał go jego przebieg. Przeciwnicy poruszali się od skraju przepaści do głazów i z powrotem na krawędź. Czasami zdawała się prowadzić lewa stopa, czasami prawa, co z logicznego punktu widzenia nie miało sensu. Najwyraźniej szermierze zmieniali ręce, ale po co mistrz miałby robić coś takiego? Chyba że jego lepsza ręka była tak poraniona, że nie nadawała się już do użycia, lecz w tym przypadku nic takiego nie miało miejsca, ponieważ podobna rana musiałaby krwawić, a w całej okolicy nie było dość krwi, by to uzasadnić.

Dziwne, bardzo dziwne. Humperdinck nadal wędrował po szczycie. Co jeszcze osobliwsze, pojedynki nie zakończył się śmiercią. Książę ukląkł obok odcisku ciała. Bez wątplenia leżał tu nieprzytomny człowiek. Znów jednak ani śladu krwi.

– Stoczono tu wspaniałą walkę – stwierdził książę Humperdinck, zwracając się do Hrabiego Rugena, który doścignął go wreszcie na czele oddziału stu zbrojnych jeźdźców. – Zgaduję, że...
– zamilkł na chwilę, podążając za śladami stóp – że ktokolwiek tu padł, uciekł tędy – wskazał w jedną stronę – zwycięzca zaś pobiegł górską ścieżką w niemal dokładnie przeciwnym kierunku. Uważam też, że zwycięzca podążał szlakiem, którym wcześniej przeszła księżniczka.

– Czy mamy ściagać obydwóch? – spytał Hrabia.

– Nie sądzę – odparł książę. – Uciekinier ma dla nas znikome znaczenie, interesuje nas bowiem ten, kto porwał księżniczkę. A skoro nie znamy natury pułapki, którą na nas zastawiono, potrzebujemy jak największej grupy żołnierzy. Najwyraźniej wszystko to zostało zaaranżowane przez mieszkańców Guldenu, a dla nich nic nie jest zbyt podłe.

– Sądzisz zatem, że to pułapka? – wtrącił Hrabia.

– Zawsze przypuszczam, że wszystko jest pułapką, póki nie znajdę dowodów, które by temu przeczyły – wyjaśnił Humperdinck. – Dlatego jeszcze żyję.

Z tymi słowami wskoczył na grzbiet siwka i ruszył galopem naprzód.

Dotarłszy do miejsca na ścieżce, w którym została stoczona walka wręcz, książę nie zawracał sobie nawet głowy zsiadaniem. Wszystko, czego potrzebował, widać było wyraźnie z końskiego grzbietu.

– Ktoś pokonał olbrzyma – stwierdził, gdy Hrabia znalazł się dość blisko. – Olbrzym uciekł, widzisz?

Hrabia, rzecz jasna, nie widział nic poza skałami i górską ścieżką.

– Nie śmiałybym wątpić w twoje słowa.

– Spójrz tutaj! – wykrzyknął książę, gdyż w tym momencie po raz pierwszy dostrzegł wśród kamieni ślady kobiecych stóp. – Księżniczka żyje!

I znów pośród skał zagrzmiał tętent kopyt siwków.

Kiedy Hrabia ponownie doścignął księcia, ten klęczał obok nieruchomego ciała garbusa. Rugen zeskoczył z konia.

– Powąchaj to – polecił książę, podając mu kielich.

– Nic nie czuję. Żadnego zapachu.

– Iocaina – odparł Humperdinck. – Założyłbym się o własne życie. Nie znam nic innego, co tak czysto zabija. – Podniósł się z kolan. – Księżniczka nadal jeszcze żyła, jej ślad podąża tą ścieżką. – Odwrócił się i wykrzyknął do setki jeźdźców: – Jeśli ona zginie, wielki płacz rozlegnie się w Guldenie!

Już pieszo pobiegł ścieżką, podążając tropem, który tylko on umiał dostrzec. A kiedy ślady skręciły w głąb pustkowiec, bez wahania skręcił za nimi. Za jego plecami rozciągnięci w długą linię żołnierze Hrabiego ze wszystkich sił starali się dotrzymać mu kroku. Ludzie potykali się, konie padały, nawet Hrabia od czasu do czasu tracił równowagę. Książę Humperdinck ani razu nie zmylił kroku. Biegł w równomiernym tempie, jak automat, a jego baryłkowate nogi pracowały z regularnością metronomu.

Dwie godziny po świcie dotarł do stromego jaru.

– Dziwne – stwierdził, zwracając się do wyczerpanego Hrabiego.

Jego towarzysz parę razy odetchnął głęboko.

– Dwa ciała spadły na dno. Nikt nie wyszedł z powrotem na górę.

– To rzeczywiście dziwne – wydyszał Hrabia.

– Nie, niezwykle jest co innego – poprawił go książę. – Bez wątpienia porywacz nie wrócił na górę, ponieważ ściany są zbyt strome, a nasze działa uprzedziły go, iż nadciąga pogoń. Zdecydował zatem – i podziwiam jego decyzję – zyskać na czasie, biegnąc dnem jaru.

Hrabia czekał, aby książę dokończy myśl.

– Dziwi mnie tylko, że człowiek, który mistrzowsko opanował szermierkę, pokonuje olbrzymów i znakomicie posługuje się iocainą, nie wie, co leży u wylotu tego jaru.

– A co tam leży? – zainteresował się Hrabia.

– Ogniste Bagna – odparł książę Humperdinck.

– A zatem mamy go.

– Istotnie.

Powszechnie wiadomo było, iż książę uśmiechał się tylko wówczas, gdy wkrótce miał zabić kolejną ofiarę. W tej chwili jego uśmiech był już wyraźnie widoczny...

* * *

Westley istotnie nie miał pojęcia, że zmierza wprost w stronę Ognistych Bagien. Wiedział

jedynie, że skoro Buttercup znalazła się na dnie jaru, wspinaczka na górę, jak słusznie założył książkę Humperdinck, zabrałaby zbyt wiele czasu. Westley zauważył też, że dno jaru jest skaliste i w miarę równe, a sama rozpadlina prowadzi w kierunku, w którym i tak zmierzali. Toteż wraz z Buttercup pobiegli naprzód, świadomi faktu, iż ścigający mają miazdzącą przewagę liczebną i zapewne zdążyli już znacznie zmniejszyć dzielący ich dystans.

W miarę, jak posuwali się naprzód, ściany jaru wznosiły się coraz bardziej stromo i Westley wkrótce pojął, że choć przedtem mógł prawdopodobnie pomóc dziewczynie wspiąć się po skale, teraz było to już po prostu niemożliwe. Dokonał wyboru i nie mógł tego zmienić: musieli skierować się tam, dokąd prowadził jar. Innego wyjścia nie było.

(W tym momencie moja żona pragnie dodać, że czuje się okropnie oszukana, ponieważ nie mogła być świadkiem sceny pojednania kochanków na dnie rozpadliny. Odpowiem na to...)

* * *

To znowu ja. Nie chciałbym być natrętny, ale akapit, w który się wtrącam, wyszedł w całości spod pióra Morgensterna. Autor stale wspominał o swojej żonie, mówiąc, że zachwycił ją następny fragment, albo że jej zdaniem cała książka jest dziełem geniusza. Pani Morgenstern nieodmiennie stała po stronie męża, w odróżnieniu od wielu żon, które mógłbym tu wymienić z nazwiska (przykro mi z tego powodu, Helen), ale tu właśnie leży sedno sprawy: pozbyłem się niemal wszystkich kawałków, w których cytował jej opinie. Nie sądzę, aby wносиły zbyt wiele do akcji, a poza tym Morgenstern traktował jej słowa jako pretekst do ciągłych komplementów pod swoim adresem, dzisiaj zaś wszyscy wiemy, że nieustanne pochwały czynią więcej szkody niż pożytku. Może o tym zaświadczyć każdy przegrany polityk, kiedy musi zapłacić rachunki reklamę za telewizyjną. Zdecydowałem się jednak pozostawić ten jeden komentarz, tym razem bowiem całkowicie popieram panią Morgensternową. Uważam, że pominięcie sceny pojednania to okropna niesprawiedliwość. Sam ją zatem opisałem, wszystko to, co według mnie mogli powiedzieć Buttercup i Westley, ale Hiram, mój redaktor, uznał, że w tym momencie jestem równie niesprawiedliwy wobec Morgensterna, co on – wobec czytelników. Jeśli skrucasz czyjąś książkę, usuwając zbędne kawałki, nie możesz tak po prostu dodawać swoich. Tak przynajmniej uważa Hiram. Długo wałkowaliśmy ten temat, przez jakiś miesiąc wymieniając listy i dyskutując przez telefon, aż w końcu osiągnęliśmy pewien kompromis: to, co macie przed sobą (zwykłym drukiem) to czysty Morgenstern. Słowo w słowo. Skrócony – owszem, ale bez żadnych zmian. Dzięki moim naleganiom Hiram zgodził się jednak, by Harcourt przynajmniej wydrukował moją scenę pojednania. Wydawnictwo Ballantine zgodziło się zrobić to samo – nic wielkiego, to w końcu zaledwie trzy strony – i jeśli ktokolwiek z was chciałby się przekonać, jak mi poszło, niech podeśle list albo kartkę do Urbana del Reya na adres: Wydawnictwo Ballantine Books, 201 East 50th Street, Nowy Jork, i wspomni, że chciałby otrzymać egzemplarz sceny pojednania. Nie zapomnijcie załączyć adresu zwrotnego; zdumielibyście się, jak wielu ludzi posyła po coś, nie podając swojego adresu. Wydawca zgodził się pokryć koszty wysyłki, więc cały wasz wydatek to cena listu, kartki czy czegoś podobnego. Naprawdę nie chciałbym sprawiać wrażenia jedyne go współczesnego pisarza w Ameryce, pracującego dla szczodrego wydawnictwa (przepraszam, panie Jovanovich, ale wszyscy wydawcy to dranie). Zresztą jedynym powodem, dla którego zgodzili się pokryć owe ogromne koszty, jest fakt, iż uważają, że nikt nie napisze. Proszę więc, jeśli interesuje to was choćby odrobinę, albo nawet ani trochę, napiszcie z prośbą o przysłanie wam mojej sceny pojednania. Nie musicie jej czytać – nie wymagam aż tak wiele – ale z rozkoszą

kosztowałbym tych genialnych wydawców parę groszy, nie oszukujmy się bowiem – nie wydają oni zbyt wiele na reklamę moich książek. Pozwólcie, że raz jeszcze powtórzę adres, łącznie z kodem pocztowym i w ogóle:

*Urban del Rey,
Ballantine Books,
201 East 50th Street,
New York, New York 10022, USA*

Wystarczy, jeśli poprosicie o egzemplarz sceny pojednania. Rozpisałem się nieco dłużej, niż planowałem, toteż zacznę ostatni akapit od początku, w ten sposób będzie się go lepiej czytało. Na razie tyle.

** * **

(W tym momencie moja żona pragnie dodać, że czuje się okropnie oszukana, ponieważ nie mogła być świadkiem sceny pojednania kochanków na dzień rozpadliny. Odpowiem na to następująco: a) każde, nawet najmarniejsze stworzenie boże ma prawo do przynajmniej kilku chwil całkowitej prywatności; b) słowa, które w istocie padły, choć w owej chwili niewątpliwie wzruszające dla obu zainteresowanych stron, przelane na papier wyglądają banalnie, jak jeleń na rykowisku: „moja słodka”, „mój jedyny”, „o cudzie” i tak dalej; c) nie przekazano w ten sposób nic ważnego, ponieważ za każdym razem, gdy Buttercup zaczynała mówić:

– Opowiedz mi o sobie.

Westley natychmiast przerywał jej:

– Później, najdroższa, to nie najlepszy moment.

Aby jednak sprawiedliwości stało się zadość, należy wspomnieć, iż 1) Westley zapłakał; 2) jej oczy też nie pozostały zupełnie suche; 3) wymieniono więcej niż jeden uścisk i 4) obie strony przyznały, że bez żadnych zastrzeżeń są bardziej niż rade z tego spotkania. Poza tym 5) po upływie najwyżej kwadransa zdążyli się już pokłócić. Zaczęło się to zupełnie niewinnie. Oboje klęczeli naprzeciw siebie, Westley tulił jej idealną twarz w swych dłoniach.

– Kiedy się rozstaliśmy – szepnął – byłaś już piękniejsza, niż mogłem sobie wymarzyć. Przez te wszystkie lata moja wyobraźnia stale starała się ulepszyć zapamiętany wizerunek. Co noc twoja twarz stała mi przed oczami. Teraz zaś widzę, że ideał, którego wizja dotrzymywała mi towarzystwa, to szpetna wiedźma w porównaniu z pięknością, jaką przed sobą ujrzałem.

– Dość już o mojej urodzie – przerwała mu Buttercup. – Wszyscy zawsze mówią mi, jaka jestem piękna. Mam także mózg, Westleyu. Pomówmy o tym.

– Będę to czynił przez całą wieczność – odparł – ale teraz nie mamy już czasu. – Z tymi słowy podniósł się. Po upadku był zmęczony i posiniaczony, ale jego kości nie odniosły szwanku. Pomógł dziewczynie wstać.

– Westleyu? – powiedziała nagle Buttercup. – Tuż przedtem, nim zaczęłam biec do ciebie, jeszcze na górze słyszałam, jak coś do mnie mówiłeś, ale nie mogłam rozróżnić słów.

– Zapomniałem, o co chodziło.

– Kłamczuch.

Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

– To nieważne, wierz mi. Niech przeszłość zostanie przeszłością.

- Nie możemy zaczynać od sekretów – oznajmiła Buttercup. Mówiła poważnie. Westley wyczuł to.
 - Zaufaj mi – spróbował raz jeszcze.
 - Ufam ci. Więc powiedz mi, co mówiłeś, albo będę miała powody, by stracić to zaufanie. Westchnął.
 - Próbowałem jedynie przekazać ci, najdroższa, krzyżąc ze wszystkich sił, tę oto prostą wiadomość: „Cokolwiek zrobisz, zostań na górze! Nie schodź do mnie! Błagam!”
 - Nie chciałeś mnie widzieć.
 - Oczywiście, że chciałem. Nie chciałem tylko widzieć cię tu na dole.
 - Ale dlaczego?
 - Ponieważ teraz, skarbie, znajdujemy się poniekąd w pułapce. Nie mogę wspiać się na górę, unosząc cię ze sobą, bo zabrałoby to cały dzień. Prawdopodobnie sam zdołałbym się wydostać na czas, ale dodatkowy ciężar twego uroczego skądinąd ciała trochę to utrudni.
 - Bzdura. Przecież wdrapałeś się na Urwiska Szaleństwa, a tu nie jest nawet w połowie tak stromo.
 - Owszem, ale też sporo mnie to kosztowało. A po tym drobnym wyczynie stoczyłem pojedynek z gościem, który znał się na szermierce. Później spędziłem kilka uroczych chwil na zapasach z olbrzymem. Następnie musiałem przechrzyć Sycylińczyka, a każdy błąd oznaczał cios nożem w twoje gardło. Potem przez parę godzin uprawiałem biegi przełajowe. Wreszcie zostałem zepchnięty w głąb głębokiego na dwieście stóp kamiennego jaru. Jestem zmęczony, Buttercup. Rozumiesz, co znaczy „zmęczony”? Mam już dosyć, dociera to do ciebie?
 - Nie jestem wcale taka głupia, jak myślisz.
 - Przestań się przechwalać.
 - Nie bądź grubiański.
 - Kiedy ostatnio przeczytałaś jakąś książkę? Tylko bez wykrętów. I nie liczą się książeczki obrazkowe – chodzi mi o coś, co ma parę stron druku.
- Buttercup odeszła kilka kroków.
- Istnieją inne rzeczy do czytania poza książkami – oznajmiła – a księżniczka Wólki czuje się bardzo urażona i poważnie zastanawia się nad powrotem do domu. – Nagle, bez słowa odwróciła się i padła mu w ramiona. – Och, Westleyu, nie chciałam tego powiedzieć, to nieprawda, nawet jeden sylabub.
- Rzecz jasna Westley wiedział, że miała na myśli sylabę, bowiem sylabub to rodzaj deseru, mieszaniny kremu i wina z różnymi dodatkami. Potrafił jednak także rozpoznać przeprosiny, kiedy je usłyszał. Toteż przytulił ją, zamknął przepelnione miłością oczy i szepnął jedynie:
- Wiedziałem, że to nieprawda. Każdy sylabub.
- Już pogodzeni ruszyli biegiem naprzód po płaskim, kamiennym dnie rozpadliny.

* * *

Naturalnie Westley znacznie szybciej niż Buttercup uświadomił sobie, że zmierzają wprost w stronę Ognistych Bagien. Nie umiał stwierdzić, czy ostrzegła go o tym delikatna woń siarki w powietrzu, czy może nagły żółty rozbłysk ognia w oddali. Ale kiedy pojął, co ich czeka, natychmiast zaczął dyskretnie rozglądać się za jakimkolwiek innym wyjściem z sytuacji. Jeden rzut oka na strome ściany jaru wykluczył wszelką możliwość wspinaczki, zwłaszcza w towarzystwie Buttercup. Westley zatrzymał się i przyłożył ucho do ziemi. Czynił to co parę

minut, aby sprawdzić, jak szybko zbliża się pościg. Teraz dzieliło go od nich tylko pół godziny jazdy i stale zmniejszali dystans.

Wstał i pobiegł dalej, jeszcze szybciej niż przedtem. Żadne z nich nie marnowało oddechu na słowa. Wiedział, że już niebawem Buttercup zorientuje się, dokąd zacierają, więc postanowił zrobić wszystko, aby nieco ukoić nieuniknioną panikę.

– Myślę, że możemy odrobinę zwolnić – powiedział, zmniejszając odrobinę tempo biegu. – Nadal są daleko w tyle.

Buttercup odetchnęła z ulgą.

Westley ostentacyjnie rozejrzał się po okolicy. Następnie uśmiechnął się najcieplej, jak potrafił.

– Przy odrobinie szczęścia – stwierdził – powinniśmy dotrzeć bezpiecznie do Ognistych Bagien.

Buttercup rzecz jasna usłyszała, co powiedział. Nie przyjęła tego dobrze, o nie...

* * *

Kilka słów na temat dwóch związanych ze sobą zagadnień: 1) ognistych bagien jako takich i 2) szczególnie Ognistych Bagien na granicy floreńsko/guldeńskiej.

1) Ogniste Bagna to, rzecz jasna, całkowicie myląca nazwa. Nie wiadomo dokładnie, skąd się wzięła, choć zapewne wystarczającym wytłumaczeniem może być dramatyczne brzmienie skojarzenia obu tych słów. W istocie są to po prostu bagna wydzielające z siebie opary siarki i innych gazów, które bezustannie wybuchają płomieniem. Pokrywają je potężne, zielone drzewa, których cień podkreśla jeszcze jaskrawość ognistych rozbłysków. Ponieważ zawsze panuje tam półmrok, grunt jest stale wilgotny, dzięki czemu przyciąga standardowe gatunki owadów i aligatorów, preferujące wilgotny klimat. Innymi słowy, ogniste bagna to po prostu bagna i kropka. Reszta to tylko ozdobniki.

2) Ogniste Bagna na granicy floreńsko-guldeńskiej miały i mają nadal parę cech charakterystycznych: a) Mączne Piaski i b) obecność G.O.N.O.R.-ów, o których więcej zostanie powiedziane nieco później. Mączne Piaski są zazwyczaj, znowu mylnie, utożsamiane z ruchomymi piaskami. Nic bardziej błędnego. Ruchome piaski są wilgotne i ich ofiary w nich toną. Mączny Piasek to mączka pyłu niemal tak drobny, jak talk, który zabija przez uduszenie.

Jeszcze jedną szczególną cechą floreńsko-guldeńskich Ognistych Bagien było to, że straszono nimi dzieci. W obu krajach trudno byłoby znaleźć dziecko, któremu choćby raz, przy szczególnie złośliwym wybryku, nie zagroziłoby porzuceniem na bagnach. „Zrób to jeszcze raz, a skończysz na Ognistych Bagnach” było powiedzeniem równie popularnym, co „Dokończ obiad, w Chinach ludzie umierają z głodu”. W miarę zaś, jak dzieci rosły, w ich rozwijających się umysłach wzrastał też strach przed Ognistymi Bagnami. Oczywiście nikt nie śmiał zapuścić się na ich teren, ale niemal każdego roku jakiś chory G.O.N.O.R. opuszczał swe legowisko, aby umrzeć, i jego odkrycie dodawało nowej grozy staremu mitowi. Jak wiadomo, największe znane ogniste bagna leżą o dzień jazdy od Perth, są nieprzebyte i mają ponad siedemdziesiąt kilometrów kwadratowych. Bagna na granicy floreńsko-guldeńskiej są wielkości zaledwie jednej trzeciej tamtych. Dotąd nikt nie zdołał się przekonać, czy można je przebyć.

Buttercup spojrzała na Ogniste Bagna. Jako dziecko przeżyła cały koszmarny rok przekonana, że tu zginie. Teraz nie była w stanie postąpić ani kroku naprzód. Gigantyczne drzewa rzucały czarny, nieprzenikniony cień na ziemię. Zewsząd błyskały nagłe wybuchy ognia.

– Nie możesz żądać tego ode mnie – powiedziała.
– Muszę nalegać.
– Kiedyś śniłam, że tu zginę.
– Ja też. Tak jak my wszyscy. Czy miałaś wtedy osiem lat? Ja tak.
– Osiem. Sześć. Nie pamiętam.
Westley ujął jej dłoń.
Nie mogła się ruszyć.
– Czy naprawdę musimy...?
Skinął głową.
– Dlaczego?
– Nie ma teraz czasu. – Pociągnął ją łagodnie.
Nadal nie była w stanie nawet drgnąć.
Wziął ją w ramiona.
– Maleństwo, najdroższe maleństwo. Mam sztylet, mam też mą szpadę. Nie po to przebyłem cały świat, aby cię teraz utracić.
Buttercup szukała czegoś, co mogłoby dodać jej nieco otuchy. Najwyraźniej znalazła ją w jego oczach.
Bo po chwili, trzymając się za ręce, wkroczyli w mrok Ognistych Bagien.

* * *

Księżę Humperdinck patrzył bez słowa. Siedział na grzbiecie siwka, badając wzrokiem ślady na dnie jaru. Nie istniało inne wytłumaczenie – porywacz pociągnął za sobą księżniczkę.
Hrabia Rugen jechał tuż obok niego.
– Czy naprawdę tam weszli?
Księżę przytaknął.
Modląc się, aby następna odpowiedź brzmiała „nie”, Hrabia spytał:
– Czy sądzisz, że powinniśmy jechać za nimi?
Humperdinck pokręcił głową.
– Albo tam zginą, albo przeżyją. Jeśli zginą, nie mam zamiaru do nich dołączyć. Jeśli przeżyją, powitam ich po drugiej stronie.
– To zbyt daleko – zaproponował Hrabia.
– Nie dla moich siwków.
– Pojedziemy za tobą najszybciej, jak zdołamy – zapewnił Rugen. Raz jeszcze zmierzył spojrzeniem Ogniste Bagna. – Musi być bardzo zdesperowany, bardzo przerażony, bardzo głupi albo bardzo odważny.
– Sądzę, że wszystko naraz – odparł księżę...

* * *

Westley prowadził, Buttercup trzymała się tuż za nim i w sumie, biorąc pod uwagę okoliczności, posuwali się nadspodziewanie szybko. Niemal natychmiast uświadomiła sobie, iż podstawowa rzecz to zapomnieć o dziecięcych lękach. Choć bowiem Ogniste Bagna były straszne, to nie aż tak straszne. Smród uciekających gazów, który z początku nie dawał oddychać, wkrótce stał się tak znajomy, iż niemal go nie czuła. Co do wybuchów ognia, to z

łatwością dawało się ich uniknąć, ponieważ zanim nastąpiły, z miejsca, w którym miały pojawić się płomienie, dochodził głęboki, słumiony bulgot.

Westley trzymał w prawej dłoni szpadę, w lewej zaś – swój długi sztylet, czekając na pierwsze G.O.N.O.R.-y, ale żaden nie pojawił się w polu widzenia. Po drodze odciął z drzewa bardzo długi kawałek mocnego pnącza i przewiesiłszy je sobie przez ramię, dłużył coś przy nim, nie zwalniając kroku.

– Kiedy skończę, oto, co zrobimy – oświadczył, wędrując niestrudzenie w mrocznym cieniu olbrzymich drzew. – Przywiążemy się do siebie tak, żebyśmy nawet w najgorszych ciemnościach nie oddalili się od siebie za bardzo. W istocie nie sądzę, aby było to konieczne, to raczej środek ostrożności. Przyznam ci się, że jestem niemal zawiedziony: to miejsce jest niewątpliwie straszne, ale nie aż tak straszne. Zgadzasz się ze mną?

Buttercup nie pragnęła niczego więcej, jak tylko wyrazić swą zgodę, i bez wątpienia uczyniłaby to, gdyby nie fakt, iż właśnie pochłonęły ją Mączne Piaski.

Westley zdążył się odwrócić w chwili, gdy zniknęła.

Buttercup po prostu zamyśliła się na moment. Grunt pod nogami sprawiał solidne wrażenie, a zresztą i tak nie miała pojęcia, jak wygląda Mączny Pasek. Kiedy jednak jej noga zaczęła tonąć, Buttercup nie mogła jej cofnąć i zanim zdążyła choćby krzyknąć, zniknęła. Przypominało to zupełnie upadek pośród chmur. Piasek, najdrobniejszy na świecie, zdawał się w ogóle nie mieć ciężaru i z początku było to nawet przyjemne. Po prostu osuwała się łagodnie w głąb miękkiego pyłu, coraz dalej i dalej od wszystkiego, co przypominało życie, ale wiedziała, że nie wolno jej wpaść w panikę. Westley poinstruował ją, co ma robić w podobnej sytuacji, i postąpiła teraz dokładnie tak, jak polecił: szeroko rozłożyła ręce, rozcapierzyła palce i zmusiła się do przybrania pozycji, którą w pływaniu nazywają leżeniem płasko na wodzie, tak bowiem kazał jej Westley, mówiąc, że im bardziej się rozpląszczy, tym wolniej będzie tonąć. A im wolniej będzie tonąć, tym szybciej on sam zdoła zanurkować za nią i ją wyłowić. Teraz uszy Buttercup były już pełne Mącznego Piasku, piasek zatykał też obie dziurki nosa i wiedziała, że jeśli otworzy oczy, milion drobinek Mącznego Piasku dostanie się natychmiast pod jej powieki. Zaczynała naprawdę panikować. Jak długo spadała? Miała wrażenie, że trwa to już całe godziny i wstrzymywanie oddechu zaczynało sprawiać jej ból.

– Musisz wstrzymać oddech, póki cię nie znajdę – powiedział jej. – Musisz rozłożyć ramiona, rozpląszczyć się, nie otwierać oczu i wstrzymywać oddech, a ja cię wyłowię i będziemy mieli wspaniałą historię, którą opowiemy naszym wnukom.

Buttercup zapadała się coraz głębiej. Ciężar piasku zaczynał przygniatać jej ramiona. Bolały ją plecy. Trzymanie rozłożonych rąk i rozcapierzonych palców było istną męczarnią, gdyż wiedziała, że i tak nic to nie da. Mączny Piasek przygniatał ją coraz bardziej, gdy tak tonęła, wciąż głębiej i głębiej. Czyżby naprawdę nie miał dna, jak wierzyli w dzieciństwie? Czy po prostu zapadasz się coraz bardziej, póki piasek nie pożre cię całkowicie, a twoje biedne kości wędrują w mroku przez wieki? Nie, z pewnością gdzieś w głębi czeka na nie miejsce spoczynku. Spoczynku, pomyślała Buttercup. Cóż za cudowne słowo. Jestem taka zmęczona, taka zmęczona, chcę odpocząć i „Westleyu, ratuj mnie!”, krzyknęła. Albo przynajmniej zaczęła. Ponieważ po to, by zacząć krzyczeć, trzeba otworzyć usta, ona zaś zdołała jedynie wykrztusić pierwszy dźwięk pierwszego słowa: „We”, a potem Mączny Piasek wtargnął w głąb jej gardła i straciła przytomność.

Westley zareagował błyskawicznie. Zanim jeszcze zdążyła całkowicie zniknąć, odrzucił szpadę i nóż i zdjął z ramienia pnącze. Natychmiast przywiązał je do jednego z wielkich pni i,

ściskając w dłoni drugi koniec, po prostu zanurkował głową w Mączne Piaski, machając nogami, aby zwiększyć jeszcze szybkość, z jaką się zapadał. W jego umyśle nie było miejsca na żadne wątpliwości. Wiedział, że ją znajdzie i że będzie zdenerwowana, rozhisteryzowana, może nawet całkiem rozkojarzona – ale żywa. W końcu zaś tylko to miało jakiegokolwiek znaczenie. Mączny Piasek wypełnił już jego uszy i nos. Westley miał nadzieję, że nie wpadła w panikę, że pamiętała, aby jak najbardziej rozplaszczyc swe ciało, by mógł szybciej doścignąć ją i złapać. Jeżeli tylko pamiętała, nie powinno to być takie trudne – nie bardziej niż wyłowienie tonącego pływaka w zamulonej wodzie. Tamten wolno opada na dno, ty zaś nurkujesz głową naprzód, kopiesz nogami, odpychasz się wolną ręką, doganiasz go, łapiesz i wyciągasz na powierzchnię. A potem jedyny problem to przekonanie wnuków, że coś takiego naprawdę miało miejsce i nie jest tylko kolejną rodzinną legendą. Nadal rozmyślał o jeszcze nie narodzonych dzieciach, kiedy nastąpiło coś, czego się nie spodziewał: lina była za krótka. Przez moment wisiał nieruchomo, zaciskając dłoń na pnączu, które unosiło się poprzez Mączny Piasek ku bezpiecznej przystani ogromnego drzewa. Wypuszczenie go byłoby szaleństwem. Nie da się samemu wypłynąć na powierzchnię. Miotając się szaleńczo, człowiek zdołałby zapewne zyskać parę stóp, ale nie więcej. Jeśli więc po wypuszczeniu pnącza nie odnajdzie jej w odległości paru centymetrów, zginą oboje. Westley bez namysłu zwolnił uchwyt, dotarł już bowiem zbyt daleko, by teraz ponieść klęskę; w ogóle nie zastanawiał się nad taką możliwością. Nurkował więc dalej i po paru centymetrach jego dłoń zacisnęła się na przegubie Buttercup. Wtedy Westley wykrzyknął ze zdumienia i strachu i Mączny Piasek wtargnął mu do gardła, gdyż przegub, który złapał, należał do szkieletu: sama kość, pozbawiona ciała. To się zdarzało w Mącznych Piaskach. Kiedy zwłoki zostały już całkowicie oczyszczone, często zaczynały się unosić, niczym wodorosty na spokojnym morzu, czasem wydostając się na powierzchnię, najczęściej jednak przez wieczność pławiąc się w pyłe. Westley wypuścił przegub i ślepo sięgnął w głąb, szaleńczo poszukując jakiegokolwiek śladu Buttercup, ponieważ przegrana była niemożliwa, nie liczył się z porażką, więc zapomnij o klęsce, po prostu szukaj, póki jej nie znajdziesz. I znalazł. Ścisłej rzecz biorąc, natrafił na jej stopę i przyciągnął ją do siebie, po czym obejmował już idealną talię Buttercup i zaczął kopać, kopać ze wszystkich sił, jakie mu jeszcze zostały, aby unieść się o parę metrów i sięgnąć końca liny. Myśl, że odnalezienie jednej cienkiej łodygi w morzu Mącznego Piasku może okazać się wystarczająco trudne, nawet nie przemknęła mu przez głowę. Klęska jest wykluczona: musi po prostu kopać, a kiedy zrobi to dostatecznie mocno, podniesie się, aż wreszcie sięgnie po linę, a gdy tego dokona, znajdzie ją, przywiąże do niej Buttercup i w ostatniej chwili dźwignie ich razem na powierzchnię.

I właśnie tak się stało.

Przez bardzo długi czas Buttercup leżała nieprzytomna. Westley krzątał się wokół niej, usuwając Mączny Piasek z jej uszu, nosa, ust i, najdelikatniej jak mógł, spod powiek. Przedłużające się omdlenie dziewczyny dziwnie go niepokoiło. Zupełnie jakby wiedziała, że nie żyje, ale bała się sama o tym przekonać. Przytulił ją do siebie i zaczął łagodnie kołysać. Wreszcie zamrugła.

Przez chwilę rozglądała się wokół bez słowa.

- Więc przeżyliśmy? – wykrztusiła wreszcie.
- Ulepiono nas z twardej gliny.
- Cóż za wspaniała niespodzianka.
- Niczym się... – Zamierzał powiedzieć „Niczym się nie martw”, lecz atak paniki nastąpił zbyt szybko. Była to zupełnie normalna reakcja i Westley nie próbował uspokajać dziewczyny, a

jedynie obejmował mocno, czekając, aż minie histeria. Przez jakiś czas Buttercup dygotała, jakby zaraz miała rozpaść się na kawałki. Ale nic gorszego nie nastąpiło. Po kilku minutach szlochała już cicho. Aż wreszcie znów była sobą.

Westley wstał, przypasał szpadę i podniósł sztylet.

– Chodź – powiedział. – Musimy iść.

– Nie, póki mi nie powiesz – odparła. – Dlaczego musimy przez to przejść?

– To nie najlepszy moment. – Westley wyciągnął rękę.

– Owszem, najlepszy. – Nie ruszyła się z miejsca.

Westchnął. Mówiła poważnie.

– W porządku – rzekł wreszcie – Wszystko ci wyjaśnię, ale już ruszajmy.

Buttercup czekała.

– Musimy przebyć Ogniste Bagna – zaczął Westley – z jednego prostego powodu. – Gdy zaczął mówić, Buttercup wstała i podążyła tuż za nim, wsłuchana w jego słowa. – Zawsze zamierzałem dotrzeć na drugą stronę, choć przyznaję, iż nie spodziewałem się, że będziemy zmuszeni pójść tędy. Wolałbym obejść to miejsce, ale jar nie pozostawił nam wyboru.

– Jeden prosty powód – nalegała Buttercup.

– Po drugiej stronie Ognistych Bagien leży Zatoka Olbrzymich Węgorzy. W jej najgłębszym miejscu cumuje wielki okręt, który nazywa się Zemsta. Zemsta jest własnością straszliwego pirata Roberta.

– Tego, który cię zabił? – przerwała mu Buttercup. – Tego samego? Człowieka, który złamał mi serce? Straszliwy pirat Roberts pozbawił cię życia, tak przynajmniej słyszałam.

– Zgadza się – odparł Westley. – I właśnie na ten statek zmierzamy.

– Znasz straszliwego pirata Roberta? Przyjaźnisz się z podobnym człowiekiem?

– To coś więcej. Nie spodziewam się, że od razu wszystko zrozumiesz, więc przynajmniej uwierz, że mówię prawdę. Widzisz, to ja jestem straszliwym piratem Robertsem.

– Nie pojmuję, jak to możliwe, skoro pływa on po morzach od wielu lat, a ty opuściłeś mnie zaledwie trzy lata temu.

– Mnie także nieraz zaskakują osobliwe koleje losu – przyznał Westley.

– Czy naprawdę zaatakował was, kiedy płynęliście do Karoliny?

– Owszem. Jego okręt Zemsta doścignął mój statek, Sławę królowej, i wszystkich nas skazano na śmierć.

– Ale Roberts cię nie zabił.

– Jak widać.

– Dlaczego?

– Nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, ale sądzę, że oszczędził mnie, bo go o to poprosiłem. I właśnie moje „proszę” wzbudziło jego zainteresowanie. W każdym razie powstrzymał swój miecz dość długo, by mnie spytać: „Czemu miałbym uczynić dla ciebie wyjątek?”, a ja wyjaśniłem, jaki jest cel mojej wyprawy, że muszę dotrzeć do Ameryki, aby zdobyć pieniądze na to, by połączyć się z najpiękniejszą kobietą na ziemi, czyli tobą. „Wątpię, by była równie piękna, jak ci się zdaje”, rzekł i znów uniósł miecz. „Włosy barwy jesieni”, rzuciłem szybko, „cera jak zimowa śmietana”. „Zimowa śmietana, co?”, powtórzył. Widziałem, że zaciekałem go odrobinę, więc zacząłem mu cię opisywać i pod koniec przekonałem go o szczerości mojego uczucia. „Coś ci powiem, Westleyu”, oznajmił wtedy. „Naprawdę mi przykro, ale jeśli zrobię dla ciebie wyjątek, rozejdą się plotki, że straszliwy pirat Roberts zmiękł, a to będzie oznaczać początek mojego końca. Bo kiedy ludzie przestają się ciebie bać, piractwo staje

się niczym innym jak pracą, pracą i jeszcze raz pracą, a ja jestem stanowczo za stary na podobne życie”. „Przysięgam, że nie powiem nikomu, nawet mojej ukochanej”, odrzekłem. „A jeśli darujesz mi życie, przez pełnych pięć lat będę twoim lokajem. Będę harował jak niewolnik, a gdybyś kiedykolwiek usłyszał ode mnie choćby słowo skargi, możesz z miejsca obciąć mi głowę, a ja umrę, ostatkiem sił chwając twoją sprawiedliwość”. Wiedziałem, że to go zastanowiło. „Zejdź pod pokład”, powiedziała. „Najprawdopodobniej zabiję cię jutro”. Westley urwał na moment, udając, że musi odchrząknąć, bowiem dostrzegł pierwszego G.O.N.O.R.-a, podążającego ich śladem. Uznał jednak, że nie ma potrzeby, by niepokoić Buttercup, toteż odkasznął tylko i szybko ruszył naprzód, manewrując pośród ognistych wybuchów.

– I co się stało jutro? – popędzła go. – Mów dalej.

– Cóż, wiesz, jaki jestem pracowity. Pamiętasz, jak lubiłem poznawać nowe rzeczy i nauczyłem się pracować dwadzieścia godzin dziennie? Postanowiłem, że w czasie, jaki mi darował, spróbuję nauczyć się jak najwięcej o zawodzie pirata, bo przynajmniej pozwoli mi to zająć myśli czymś innym, poza nadciągającą śmiercią. Pomogłem więc kucharzowi, zamiotłem ładownię i, krótko mówiąc, zrobiłem wszystko, o co mnie poproszono, z nadzieją, że moje starania nie umkną łaskawej uwadze samego strasznego pirata Roberta. „No cóż, przychodzę cię zabić”, powiedział następnego ranka, a ja odparłem: „Dziękuję ci za dodatkowy czas, to było naprawdę fascynujące. Bardzo dużo się nauczyłem”. „W jeden wieczór?”, spytał. „Czego mógłbyś dowiedzieć się w tak krótkim czasie?”. „Na przykład tego, że nikt dotąd nie wyjaśnił waszemu kucharzowi, na czym polega różnica pomiędzy ostrym pieprzem a zwykłą solą”. „Istotnie, podczas tej podróży jadaliliśmy dość ostro”, przyznał. „No dalej, co jeszcze?”, a ja wyjaśniłem, że miałyby więcej miejsca w ładowni, gdyby inaczej ustawiono skrzynie, i zauważył, że zupełnie tam wszystko poprzestawiałem. Na szczęście dla mnie istotnie w ten sposób zostało więcej miejsca i wreszcie powiedział: „Doskonale, przez jeden dzień możesz być moim lokajem. Nigdy jeszcze nie miałem lokaja i prawdopodobnie nie będę tym zachwycony, więc zabiję cię rano”. Przez następny rok co wieczór powtarzał mi to samo: „Dziękuję za wszystko, Westleyu, dobranoc, prawdopodobnie rano cię zabiję”.

Po upływie roku łączyło nas rzecz jasna coś więcej niż zwykłego pana i lokaja. Był pulchnym małym człowieczkiem, wcale nie groźnym potworem, jak można by wyobrazić sobie strasznego pirata Roberta, i często myślałem, że chyba lubi mnie tak samo, jak ja jego. Do tego czasu rzeczywiście nauczyłem się mnóstwo, jeśli chodzi o żeglarstwo, walkę wręcz, szermierkę i rzucanie sztyletem. Nigdy przedtem nie byłem w tak znakomitej formie. Kiedy minął rok, mój kapitan powiedział: „Dostyc już tych bzdur z byciem lokajem, Westleyu, od dziś jesteś moim pierwszym oficerem”. „Dziękuję”, odparłem, „ale nigdy nie mógłbym zostać piratem”. „Chcesz chyba wrócić kiedyś do swojej panny o jesiennych włosach?”, on na to, a ja nie musiałem nawet odpowiadać. „Parę dobrych lat piractwa i jesteś bogatym człowiekiem. Wtedy będziesz mógł wrócić do domu”. „Twoi ludzie są tu już od wielu lat, a jednak nie zdobyli majątków”, zaprotestowałem. „To dlatego, że nie są kapitanami. Wkrótce mam zamiar się wycofać, Westleyu, i Zemsta będzie należała do ciebie”. Muszę przyznać, najdroższa, że zawahałem się nieco, ale nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji. Zamiast tego postanowiliśmy, że będę mu asystował podczas kilku najbliższych abordaży i zobaczę, jak mi się to podoba. Tak też uczyniłem – do pierwszego G.O.N.O.R.-a dołączył teraz drugi. Powoli zaczynały ich okręzać.

Buttercup także je zauważyła.

– Westleyu...

– Ciiii. Wszystko w porządku. Widzę je. Czy mam mówić dalej? Może to pozwoli ci o nich zapomnieć?

– Pomogłeś mi przy kilku następnych abordażach – przypomniała Buttercup. – Żeby sprawdzić, czy ci się to spodoba.

Westley uskoczył przed nagłym płomieniem, osłaniając ją od gorąca.

– Nie tylko mi się spodobało, odkryłem, że mam do tego talent. Tak wielki talent, że pewnego kwietniowego ranka Roberts powiedział mi: „Westleyu, następny statek jest twój. Zobaczmy, jak sobie poradzisz”. Tego popołudnia dostrześliśmy tłustą hiszpańską ślicznotkę, zmierzającą do Madrytu. Podpłynąłem bliżej. Byli bliscy paniki. „Kto to?!”, wykrzyknął ich kapitan. „Westley”, odparłem. „Nigdy o tobie nie słyszałem”, odpowiedział i kazał otworzyć ogień.

Co za klęska! Zupełnie się mnie nie bali. Byłem tak zdenerwowany, że wszystko robiłem źle i wkrótce nam uciekli. Muszę dodać, że straciłem cały animusz. Roberts wezwał mnie do swojej kabiny. Skuliłem się w kącie jak zbity pies. „Głowa do góry”, pocieszył mnie i staranie zamknął drzwi. Byliśmy sami. „Nikom dotąd nie wyznałem tego, co ci zaraz powiem, i musisz pilnie strzec mojej tajemnicy”. Oczywiście odparłem, że nie zdradzę jej nikomu. „Wcale nie jestem straszliwym piratem Robertsem”, zaczął, „naprawdę nazywam się Ryan. Odziedziczyłem ten okręt po poprzednim straszliwym piracie Robertsie, tak jak ty wkrótce odziedziczysz go po mnie. Człowiek, który mi go przekazał, także nie był prawdziwym Robertsem; nazywał się Cumberbund. Pierwszy straszliwy pirat Roberts wycofał się piętnaście lat temu i żyje jak król w Patagonii”. Wyznałem, że nic nie rozumiem. „To naprawdę bardzo proste”, wyjaśnił Ryan. „Po kilku latach pracy prawdziwy Roberts był już tak bogaty, że pragnął przejść w stan spoczynku. Miał najlepszego przyjaciela, pierwszego oficera, Clooneya, więc podarował mu statek. I Clooney przeżył to samo co ty: pierwszy zaatakowany okręt o mało nie zdmuchnął go z powierzchni wody. Tak więc Roberts, zrozumiałwszy, że to jego nazwisko budzi niezbędny lęk, pożeglował Zemstą do portu, całkowicie wymienił załogę, a Clooney oznajmił ludziom, że to on jest straszliwym piratem Robertsem. Kto mógłby temu zaprzeczyć? Kiedy Clooney zyskał majątek, przekazał nazwisko Cumberbundowi, Cumberbund mnie, a ja, Feliks Rajmund Ryan z Boodle niedaleko Liverpoolu, mianuję ciebie, Westleyu, nowym straszliwym piratem Robertsem. Musimy jedynie zawinąć do portu i przyjąć nowych, młodych piratów. Przez parę dni popływam z tobą jako Ryan, pierwszy oficer, i opowiem wszystkim o latach spędzonych w twojej służbie: służbie straszliwego pirata Roberta. Potem, kiedy już uwierzą, wysadzisz mnie na ląd i odtąd morza będą należały do ciebie”. – Westley uśmiechnął się do Buttercup. – Więc teraz już wiesz i powinnaś zrozumieć, że nie ma się czego bać.

– Mimo wszystko boję się.

– Wszystko dobrze się skończy. Pomyśl sama: trzy lata temu ty roznosiłaś mleko, a ja byłem parobkiem. Teraz jesteś niemal królową, ja zaś niepodzielnie panuję na morzach. Nie wierzę, żeby podobna para miała zginąć na Ognistych Bagnach.

– Skąd ta pewność?

– Cóż, jesteśmy razem, trzymamy się za ręce i kochamy się.

– Ach, tak – rzekła Buttercup. – Wciąż o tym zapominam.

Jednak ton jej głosu zdradzał lekkie roztargnienie, coś, co Westley zauważyłby natychmiast, gdyby nie to, że w tym momencie zaatakował go G.O.N.O.R., który skoczył z drzewa i zatopił zęby w odsłoniętym ramieniu ofiary, wśród strug tryskającej krwi powalając ją na ziemię. Pozostała dwójka także ruszyła do ataku i, kompletnie ignorując Buttercup, rzuciła się z całą swą żarłoczną siłą ku krwawiącemu ramieniu Westleya.

(Wszelka dyskusja o G.O.N.O.R.-ach – Gryzoniach o Nadzywczaj Olbrzymich Rozmiarach – musi rozpocząć się od południowoamerykańskiej kapibary, która potrafi osiągnąć wagę ponad sześćdziesięciu kilo. Wszelako kapibary przypominają zwykłe wodne świny i nie są wcale niebezpieczne. Największe żyjące szczury pochodzą z Tasmanii i ważą do czterdziestu pięciu kilogramów. Są jednak nieruchawe, osiągnąwszy pełnię wzrostu, stają się ociężałe i większość tasmańskich pasterzy już dawno z łatwością nauczyła się ich unikać.

G.O.N.O.R.-y z Ognistych Bagien pochodziły w prostej linii od szczurów, ważyły zazwyczaj prawie czterdzieści kilo i odznaczały się istic kocią zwinnością. Również były mięsożerne i łatwo wpadały w szal.)

Szczury walczyły między sobą o dostęp do rany Westleya. Ich ogromne przednie zęby szarpały odsłonięte ciało lewego ramienia i Westley nie miał pojęcia, czy Buttercup nie została już na wpół pożarta. Wiedział jedynie, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, wkrótce nic z niej nie zostanie.

Toteż z rozmysłem poturlał się wprost w płomienie.

Jego ubranie zaczęło się palić – spodziewał się tego – ale, co ważniejsze, szczury na sekundę cofnęły się przed gorącym i ogniem. To jednak wystarczyło mu, by sięgnąć ręką i cisnąć długim nożem prosto w serce najbliższego zwierzęcia.

Pozostałe dwa natychmiast zwróciły się przeciw swemu krewniakowi, pożerając go, gdy jeszcze wrzeszczał z bólu.

Westley zdążył już dobyć szpady i dwoma szybkimi pchnięciami pozbył się całej trójki.

– Szybko! – krzyknął do Buttercup, która stała jak wrośnięta w ziemię w miejscu, gdzie zaatakował pierwszy G.O.N.O.R. – Bandaże, bandaże! Zrób mi jakieś bandaże albo zginiemy oboje! – Z tymi słowy przeturlał się po ziemi, aby zgasić tłące się ubranie, po czym zaczął pokrywać błotem głęboką ranę w ramieniu. – Te stwory są jak rekiny. Przyciąga je krew. – Nie przestawał smarować ramienia błotem. – Musimy powstrzymać krwawienie i opatrzyć ranę tak, aby nie zdołały jej wywęszyć. Jeśli nie poczują krwi, przeżyjemy. W przeciwnym razie koniec z nami, więc pomóż mi, błagam!

Buttercup zaczęła drzeć swą suknię na długie pasy i większe kawałki, po czym razem pokryli ranę kolejną skorupą błota z kałuż Ognistego Bagna i obwiązali ją kilkoma warstwami bandaży.

– Wkrótce się dowiemy – stwierdził Westley, gdyż dostrzegł, że przyglądają im się następne dwa szczury. Wstał, unosząc szpadę. – Jeśli zaatakują, to znaczy, że ją wywęszyły.

Olbrzymie gryzonie nie spuszczały z nich wzroku.

– Chodź – szepnął Westley.

Dwa kolejne szczury dołączyły do pierwszej pary.

Nagle szpada Westleya błysnęła bez ostrzeżenia i najbliższy szczur zaczął krwawić. Pozostałe na jakiś czas zadowolili się swoim towarzyszem.

Westley ponownie ujął dłoń Buttercup i raz jeszcze ruszyli naprzód.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Niemal odchodzę od zmysłów, ale możemy pomówić o tym później. Pospiesz się.

Przyspieszyli kroku. Od chwili, gdy znaleźli się na Ognistych Bagnach, minęła dopiero godzina – jak się okazało, najłatwiejsza z sześciu, które tam spędzili. Ale przebyli bagna. Dokonali tego razem. Ręka w rękę.

Zaczynało już zmierzchać, gdy wreszcie ujrzeli przed sobą Zemstę, wielki okręt cumujący w najgłębszej części zatoki. Westley, wciąż jeszcze nie przekroczywszy granicy Ognistych Bagien, osunął się na kolana, pokonany.

Bowiem pomiędzy nim a statkiem znalazło się kilka przeszkód. Z północy nadpływała połowa potężnej Armady. Od południa zbliżała się druga połowa. Do tego stu jeźdźców, w zbrojach i pod bronią. Na ich czele Hrabia. A przed wszystkimi czwórka siwków z księciem, dosiadającym najokazalszego z nich. Westley wstał.

– Zbyt długo zmitrężyliśmy podczas przeprawy. To moja wina.

– Przyjmuję twoją kapitulację – oznajmił książe.

Westley ujął dłoń Buttercup.

– Nikt jeszcze nie kapitułuje.

– To niemądre z twojej strony – stwierdził Humperdinck. – Przyznaję, że nie brak ci odwagi. Ale nie rób z siebie głupca.

– Co jest głupiego w zwycięstwie? – chciał wiedzieć Westley. – Nie myślę się chyba, sądząc, iż aby nas schwycić, musielibyście wkroczyć na teren Ognistych Bagien. Spędziliśmy tu wiele godzin, wiemy, gdzie czyhają Mączne Piaski. Wątpię, czy ty i twoi ludzie z wielką chęcią podążycie naszym śladem. A do rana zdążymy się wam wymknąć.

– Pozwalam sobie w to wątpić – odparł książe, wskazując dłonią za siebie. Połowa Armady ruszyła w pościg za wielkim pirackim okrętem. I Zemsta, osamotniona, nie mając innego wyjścia, zaczęła się oddalać. – Poddaj się – rzucił książe.

– Tak się nie stanie.

– PODDAJ SIĘ! – ryknął Humperdinck.

– RACZEJ UMRE! – wrzasnął Westley.

– ...obiecujesz, że go nie skrzywdzisz...? – szepnęła Buttercup.

– Co powiedziałaś? – spytał książe.

– Co powiedziałaś? – zawtórował mu Westley.

Buttercup postąpiła krok naprzód.

– Jeśli poddamy się, bez walki, z własnej, nieprzymuszonej woli, jeśli wszystko znów będzie tak jak wczoraj wieczorem, czy przyrzekniesz mi, że nie skrzywdzisz tego człowieka?

Książe Humperdinck uniósł prawą dłoń.

– Przysięgam na grób mego bliskiego śmierci ojca i duszę już zmarłej matki, że nie tknę tego mężczyzny, a jeśli to zrobię, obym już nigdy nie zapolował, choćbym żył nawet tysiąc lat.

Buttercup odwróciła się do Westleya.

– Proszę – stwierdziła. – Naprawdę nie mógłbyś wymagać nic więcej.

– Prawda jest taka – odparł Westley – że wolisz życie z księciem niż śmierć u boku ukochanego.

– Przyznaję, że wolę życie niż śmierć.

– Mówimy tu o miłości, moja pani.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie Buttercup powiedziała:

– Mogę żyć bez miłości.

Z tymi słowy zostawiła Westleya samego.

Książe Humperdinck obserwował, jak zbliżała się ku niemu.

– Kiedy odjedziemy – powiedział do Hrabiego Rugena – zabierz tego człowieka i umieść go na piątym poziomie Zoo Śmierci.

Hrabia skinął głową.

– Przez chwilę niemal uwierzyłem twojej przysiędze.

– Mówiłem prawdę, ja nigdy nie kłamię – odparł książe. – Powiedziałem, że go nie skrzywdzę. Ja. Ani przez chwilę nie twierdziłem jednak, że nie będzie cierpiał. Ty zajmiesz się

właściwymi torturami. Ja będę po prostu widzem. – Otworzył ramiona, aby powitać księżniczkę.

– Ten człowiek jest z Zemsty – powiedziała Buttercup. – To... – zaczęła i już miała streścić dzieje Westleya, ale uświadomiła sobie, iż nie wolno jej tego powtarzać – ...prosty marynarz. Znamy się od dziecka. Zechcesz dopilnować, aby dostarczono go na pokład?

– Czy muszę znów przysięgać?

– Nie ma potrzeby – odparła Buttercup, bowiem wiedziała, jak wszyscy, że księżę słynie w całym Florenie ze swej prawdomówności.

– Wracajmy, księżniczko. – Podał jej ramię.

Buttercup ujęła je i odeszli razem.

Westley przyglądał się wszystkiemu. Stał w milczeniu na brzegu Ognistych Bagien. Było już ciemno, lecz nagle rozbłyski ognia za plecami oświetlały jego twarz, poszarzała ze zmęczenia. Został zraniony, pogryziony, obywatel się bez spoczynku, zaatakował Urwiska Szaleństwa, darowywał i odbierał życie. Zaryzykował cały swój świat, który teraz odchodził od niego, ręka w rękę z tym łajdakiem księciem.

Wreszcie Buttercup zniknęła mu z oczu.

Westley odetchnął głęboko. Był świadom tego, że zaczynają otaczać go żołnierze, i zapewne mógłby utrudnić im nieco nieuniknione zwycięstwo.

Ale po co?

Ramiona Westleya opadły.

– Chodźmy, panie – odezwał się Hrabia Rugen, podchodząc bliżej. – Musimy zawieźć cię na statek.

– Obaj jesteśmy ludźmi czynu – odrzekł Westley. – Nie przystoją nam kłamstwa.

– Dobrze powiedziane – stwierdził Hrabia i, zamachnąwszy się nagle, zadał więźniowi jeden, ogłuszający cios.

Westley padł jak kłoda. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślał o prawej dłoni Hrabiego: miała ona sześć palców; nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek zetknął się z podobną deformacją...

ROZDZIAŁ SZÓSTY



UROCZYSTOŚCI



WROZDZIALE TYM, według profesora Bongiorno, florenistycznej wyroczni, satyryczny geniusz Morgensterna objawia się znów w całej swej piorunującej pełni. (Tak właśnie wyraża się ten gość: „piorunująca pełnia”, „intrygujące igraszki” i tak dalej.)

Rozdział Uroczystości stanowi niezwykle szczegółowy opis czego...? Bingo! Uroczystości. Do ślubu pozostało osiemdziesiąt dziewięć dni i każda ważniejsza osobistość we Florencie musi zorganizować co nieco dla narzeczeńskiej pary, toteż Morgenstern zapełnia całe strony opisami, w jaki sposób poszczególni bogacze podejmują gości. Jakie wydają przyjęcia, co podano do jedzenia, kto udekorował salę, w jaki sposób posadzono wszystkich przy stołach i tym podobne.

Jedyną interesującą rzeczą, niewartą jednak przedzierania się przez czterdzieści cztery strony druku, jest fakt, że książkę Humperdinck coraz bardziej ulega urokowi Buttercup i staje się szarmancki wobec niej, ograniczając nawet nieco czas spędzany na polowaniach. Co więcej, nieudana próba porwania sprawia, że: 1) wszyscy są przekonani, iż to Gulden zorganizował cały spisek, więc stosunki pomiędzy oboma państwami stają się raczej napięte; 2) Buttercup cieszy się powszechnym uwielbieniem, bo wśród ludzi krążą plotki, że zachowała się bardzo odważnie, a nawet nietknięta przeżyła Ogniste Bagna; i 3) książkę Humperdinck zostaje wreszcie bohaterem we własnym kraju. Nigdy nie był zbyt popularny, do czego walenie przyczyniła się jego obsesja łowiecka i częste wyjazdy za granicę, podczas gdy państwo podupadało pod rządami zdzieciniałego króla, lecz sposób, w jaki udaremnił porwanie narzeczonej, pokazał ludziom, że tak naprawdę książkę to odważny gość i że mają szczęście, iż już niedługo obejmie tron.

W każdym razie owe czterdzieści cztery strony obejmują w sumie zaledwie pierwszy miesiąc przyjęć. I dopiero pod jego koniec akcja znów rusza z miejsca. Buttercup leży w łóżku, wycieńczona po kolejnym wystawnym balu, jest późno, więc, czekając na sen, rozmyśla, po jakich morzach żegluje Westley. Co się stało z olbrzymem i Hiszpanem? W tym momencie Morgenstern, w trzech krótkich retrospektywach, wraca do tego, co dla mnie jest prawdziwą akcją.

* * *

Kiedy Inigo odzyskał przytomność, na szczycie Urwisk Szaleństwa wciąż jeszcze panowała noc. Daleko w dole szumiały wody Kanału Floreńskiego. Inigo poruszył się, zamrugał, spróbował przetrzeć oczy, ale nie mógł.

Jego związane z tyłu ręce oplatały drzewo.

Zamrugał ponownie, przeganiając mroczki spod powiek. Pamiętał, że osunął się na kolana przed człowiekiem w czerni, czekając na śmierć. Jego przeciwnik miał jednak najwyraźniej inne plany. Inigo rozejrzał się i niemal natychmiast ujrzał sześciopalczystą szpadę, połyskującą w promieniach księżyca niczym narzędzie zapomnianej magii. Hiszpan wysunął prawą nogę, najdalej jak zdołał, i udało mu się dosięgnąć rękojeści. Potem sprawa była już prosta – powoli przesunął broń tak, by można ją było chwycić ręką, po czym, co jeszcze łatwiejsze, przeciąć więzy. Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie. Potarł miejsce za uchem, gdzie dosięgnął go ogłuszający cios człowieka w czerni, i wyczuł guz, całkiem spory. Nie to jednak było jego największym problemem.

Zasadnicze pytanie brzmiało: co dalej?

Vizzini wbił im do głów ściśle instrukcje na wypadek taki jak ten, gdyby coś się nie udało: Wracajcie do początku. Wracajcie do początku i czekajcie na Vizziniego, który przedstawi nowy, lepszy plan. Inigo wymyślił nawet wierszyk dla Fezzika, aby olbrzym nie miał kłopotów z zapamiętaniem polecenia Sycylijczyka: „Nie bądź głupcem, mój skowronku, wracaj chyżo do początku”.

Hiszpan wiedział, gdzie konkretnie znajduje się ów początek. Zlecono im tę pracę w samym mieście Floren, w Złodziejskiej Dzielnicy. Vizzini osobiście poczynił wszelkie ustalenia, jak zresztą zawsze to czynił. Spotkał się z ich pracodawcą, przyjął zadanie, zaplanował jego wykonanie – wszystko w Złodziejskiej Dzielnicy. Zatem niewątpliwie tam właśnie należało się udać.

Tylko że Inigo nienawidził tego miejsca. Wszyscy tam byli niebezpieczni: wysocy, groźni i muskularni. Co z tego, że on sam jako szermierz nie miał sobie równych na świecie, skoro jego powierzchowność zupełnie na to nie wskazywała? Wyglądał jak chuderlawy hiszpański słabeusz, wymarzony obiekt rabunku. Nie mógł przecież chodzić po mieście z tabliczką: „Uwaga, ten człowiek to największy mistrz fechtunku od czasu korsykańskiego czarodzieja. Nie napadać”.

Poza tym, i na tę myśl Inigo poczuł przeszywający ból, nie był już przecież takim wspaniałym szermierzem, prawda? Dopiero co został pobity. Istotnie, kiedyś zaliczano go do gigantów, ale teraz...

* * *

W tym miejscu następuje sześciostronicowy monolog, którego jednak nie będziecie czytać. Na owych stronach Morgenstern, poprzez Iniga, wygłasza refleksje na temat uykającej sławy. Przyczyną powstania tego monologu był fakt, iż poprzednia książka Morgensterna nie tylko została zmiażdżona przez krytyków, lecz także nikt jej nie kupił. (Nawiasem mówiąc: czy wiedzieliście, że pierwszy zbiór wierszy Roberta Browninga w całości został w magazynach? Nie sprzedano ani jednego egzemplarza. To prawda. Nawet matka poety nie kupiła jego książki w najbliższej księgarni. Słyszeliście kiedykolwiek o czymś równie poniżającym? Wyobraźcie sobie, że jesteście Brownningiem, właśnie wydaliście pierwszą książkę i w skrytości ducha macie nadzieję, że oto wkrótce staniecie się Kimś. Znanym. Poważanym. Odczekujecie zatem tydzień, nim spytacie wydawcę, jak idzie sprzedaż, bo przecież nie chcecie się narzucać ani nic z tych rzeczy. Aż wreszcie wpadacie do niego i wszystko jest bardzo angielskie i pełne niedomówień, jak to w tamtych czasach. Jesteście więc Brownningiem i gawędzicie sobie z wydawcą, aż w końcu wtrącacie od niechcienia najważniejsze pytanie:

– A tak przy okazji, czy wiadomo już może, jak sobie radzą moje wiersze?

Wydawca, który prawdopodobnie z drżeniem oczekiwał tej chwili, odpowiada coś w tym stylu:

– No wiesz, jak to jest z poezją w dzisiejszych czasach. Dziś debiut to nie to samo, co kiedyś. Trzeba czasu, aby rozeszły się wieści.

Wreszcie jednak ktoś musi to powiedzieć:

– Na razie nic, Bob. Przykro mi, ale dotąd nie słyszeliśmy o żadnej udokumentowanej sprzedaży. Przez jakiś czas sądziliśmy, że u Hatcharda na Picadilly mają jednego potencjalnego kupca, ale nic z tego nie wyszło. Przykro mi, Bob. Oczywiście zawiadomimy cię, jak tylko coś się zmieni. – Koniec „Nawiasem mówiąc”.)

W każdym razie Inigo kończy wreszcie swą przemowę, której jedynymi świadkami są Urwiska, i następných kilka godzin spędza na poszukiwaniach jakiegokolwiek rybaka, po czym wraz z nim odpływa do Florenu.

* * *

Złodziejska Dzielnica była jeszcze gorsza, niż ją zapamiętał. Przedtem zawsze towarzyszył mu Fezzik. Układali rymowanki, a sam widok olbrzyma wystarczył, by odstraszyć złodziei.

Inigo w panice wędrował mrocznymi ulicami, ogarnięty rozpaczliwym lękiem. Skąd wziął się ów obezwładniający strach? Czego właściwie się bał?

Usiadł na brudnym ganku, zastanawiając się nad tym. W nocnym powietrzu rozbrzmiewały krzyki i dochodzący z gospód wulgarny śmiech. I nagle Inigo zrozumiał, że boi się, ponieważ, siedząc tak, szukając otuchy w dotyku stalowej rękojeści sześciopalczastej szpady, znalazł się nagle z powrotem w punkcie wyjścia, stał się tym, kim był, nim odnalazł go Vizzini.

Przegranym nieudacznikiem.

Człowiekiem bez celu w życiu, który nigdy nie wygląda jutra. Inigo od lat nie tknął alkoholu. Teraz jednak jego palce same zaczęły gmerać w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy. Czuł, jak nogi bez udziału woli prowadzą go do najbliższego szynku. Ujrzał swoje monety, lądujące na ladzie. Poczuł, jak jego dłoń zamyka się na butelce brandy.

Pobiegł z powrotem na ganek. Otworzył flaszkę. Powąchał zawartość. Skosztował odrobinę. Zakasłał. Nabrał w usta wódki. Ponownie zakasłał. Pociągnął potężny łyk, zakrztusił się, wypił jeszcze trochę i zaczął się uśmiechać.

Powoli opuszczał go strach.

W końcu czego miałby się bać? Był Inigiem Montoyą (zostało już tylko pół butelki), synem wielkiego Dominga Montoyi i nic na świecie nie mogło go przestraszyć (cała brandy znalazła się w jego żołądku). Jakież lęk śmiałby zbliżyć się do Iniga Montoyi, czarodzieja szpady? Nigdy więcej na to nie pozwoli (zaczął drugą butelkę). Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy więcej.

Siedział sam, silny, pewny siebie. Jego życie było proste i wspaniałe. Miał dość pieniędzy, by móc kupić brandy, a jeśli ma się brandy, ma się cały świat.

Ganek był zrujnowany i nieprzytulny. Inigo ułożył się wygodnie, zupełnie zadowolony z życia, ściskając butelkę w niegdyś drżących dłoniach. Wszystko może być naprawdę proste, jeśli tylko robisz to, co ci kazano. A jego samego czekała prosta, jasna przyszłość.

Wystarczyło tylko pić i czekać, aż zjawi się Vizzini...

* * *

Fezzik nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Kiedy z trudem podniósł się i stanął chwiejnie na górskiej ścieżce, wiedział tylko, że bardzo boli go szyja w miejscu, gdzie człowiek w czerni zacisnął swój uchwyt.

Co robić?

Plan zupełnie się zawalił. Fezzik przymknął oczy i próbował zebrać myśli. Istniało miejsce, w które powinien się udać w razie niepowodzenia planu, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to było. Inigo ułożył nawet dla niego wierszyk, aby łatwiej wszystko zapamiętał, a teraz on sam, Fezzik, okazał się tak głupi, że nawet i to zapomniał. Jak to szło? Może: „Na bycie durniem niedobra to pora, znajdź Vizziniego u Amora?”. Nawet się rymowało, ale gdzie był Amor? „Nie

„bądź głupcem i idiotą, pojedz, popij, zarób złoto?”. Tu także był rym, ale co to niby za instrukcje?

Co robić? Co robić?

„Nie bądź głupcem, ty kretynie, głową rusz, nim dzionek minie?”. Bez sensu. Nic nie miało sensu. Nigdy, przez całe życie, nie zrobił niczego dobrze – póki nie zjawiał się Vizzini. Nie zastanawiając się dłużej, Fezzik popędził w noc na poszukiwanie Sycylijczyka.

Kiedy dotarł na miejsce, Vizzini drzemał. Najwyraźniej napił się wina i zasnął. Fezzik osunął się na kolana i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Vizzini, przepraszam... – zaczął.

Vizzini spał dalej.

Fezzik potrząsnął nim łagodnie.

Vizzini się nie obudził.

Nieco mocniej.

Żadnej reakcji.

– Och, rozumiem, ty nie żyjesz – stwierdził Fezzik i wstał. – On nie żyje, Vizzini umarł – powiedział cicho. I nagle, gdy jego mózg wciąż trwał w otępieniu, z gardła olbrzyma wydał się potężny wrzask rozpacz: – INIGO! – I Fezzik popędził z powrotem ścieżką, ponieważ gdyby Inigo żył, wszystko byłoby w porządku – oczywiście nie tak samo, nie, nigdy tak samo, nie bez Vizziniego, który dyrygował nimi i zrządził, jak tylko on potrafił, ale przynajmniej mieliby czas na poezję. Toteż kiedy dotarł na szczyt Urwisk Szaleństwa, zawołał do skał:

– Inigo, Inigo, tu jestem!

i:

– Inigo, tu jestem, to ja, Fezzik! – do drzew, i:

– INIGO, INIGO, BŁAGAM, ODPOWIEDZ MI! – i krzyczał tak wszędzie wokół, aż wreszcie doszedł do nieuniknionego wniosku, że Iniga nie ma, tak samo jak Vizziniego. Zaakceptowanie tego faktu nie było łatwe.

W istocie dla Fezzika okazało się zbyt trudne, zaczął więc biegać bez celu, krzycząc:

– Zaraz do ciebie dołączę, Inigo! Już lecę, Inigo! – i: – Hej, Inigo, zaczekaj! (zaczekaj, nie zwlekaj, i tak właśnie postąpił, bez zwłoki. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy razem z Inigiem znów zagrają w rymy.)

Wreszcie, po jakiejś godzinie wrzasków, jego gardło nie wytrzymało. W końcu całkiem niedawno człowiek w czerni niemal go udusił. Fezzik biegł naprzód, coraz dalej i dalej, aż wreszcie dotarł do maleńkiej wioski i tuż za zabudowaniami natrafił na miłe skupisko skał, tworzące coś w rodzaju groty, dość obszernej, by mógł się w niej niemal wyciągnąć. Siedział tam, plecami wsparty o kamienną ścianę, obejmując rękami kolana, póki nie znaleźli go chłopcy z wioski. Powstrzymując oddech, podkradli się tak blisko, jak tylko pozwoliła im śmiałość. W nadziei, że w końcu sobie pójda, Fezzik zamarł. Wyobrażał sobie, że jest zupełnie gdzieś indziej i że towarzyszy mu Inigo. „Przybłąda”, rzuciłby Inigo, a Fezzik szybko odparłby „kolęda” i może pośpiewaliby trochę, po czym Inigo powiedziałaby „owad”, ale Fezzik nie dałby złapać się tak łatwo, bo przecież istnieje „kilowat”, a potem Inigo mruknąłby coś o pogodzie, Fezzik zrymowałby to i tak dalej. Wreszcie chłopcy z wioski przestali się go bać. Fezzik poznał to, bo podkradli się całkiem blisko i nagle zaczęli wrzeszczeć i stroić okropne miny. Nie miał do nich pretensji – wyglądał na wymarzony obiekt drwin – w podartym ubraniu, z opuchniętym gardłem i obłędem w oczach. Gdyby był w ich wieku, sam też zapewne darłby się jak szalony.

Dopiero kiedy zaczęli się z niego naśmiewać, odkrył, że to poniżające (choć oczywiście nie

znał tego słowa). Koniec z krzykami. Tylko śmiechy. Śmiechy, pomyślał Fezzik, jak pociechy, bo to właśnie z niego mieli – sto pociech, a on nie mógł im nawet odpowiedzieć. Śmiechy, pociechy od dechy do dechy.

Fezzik skulił się w swej grocie, próbując myśleć o pozytywnym aspekcie całej sprawy. Przynajmniej niczym w niego nie rzucali.

Na razie.

* * *

Westley ocknął się w wielkiej klatce, zakuty w łańcuchy. Pulsujący ból w ramieniu przypominał mu o ranach zadanych przez G.O.N.O.R.-y. Chwilowo zignorował go, próbując zorientować się w otoczeniu.

Bez wątpienia przebywał pod ziemią. Nawet nie brak okien upewnił go o tym fakcie, raczej ogólna wilgoć w powietrzu. Gdzieś z góry dobiegały odgłosy zwierząt – ryk lwa, chichot hieny.

Niedługo po tym, jak Westley odzyskał przytomność, pojawił się albinos. Błady niczym usychająca brzoza, bezkrwisty, w blasku świecy rozjaśniającej mroki klatki sprawiał wrażenie istoty, która nigdy nie widziała słońca. W rękach niósł tacę, pełną przeróżnych rzeczy: bandaży i jedzenia, lekarstw, driakwi i koniaku.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał Westley.

Albinos wzruszył ramionami.

– Kim jesteś?

Ta sama odpowiedź.

Cała rozmowa z nieznanym wyglądała podobnie. Westley zadawał pytanie za pytaniem, podczas gdy albinos przemywał i opatrywał mu ranę, po czym karmił go ciepłym, zaskakująco smacznym jedzeniem.

Wzruszenie ramion.

Wzruszenie ramion.

– Kto wie, że tu jestem?

Wzruszenie ramion.

– Powiedz cokolwiek – choćby kłamstwo, ale chcę usłyszeć jakąkolwiek odpowiedź. Kto wie, że tu jestem?

Szept.

– Ja. Oni.

– Oni?

Ruch ramion.

– Masz na myśli księcia i Hrabiego?

Skinienie głowy.

– Nikt poza tym?

Głowa.

– Kiedy mnie tu przyniesiono, byłem półprzytomny. Hrabia wydawał rozkazy, ale pamiętam, że niosło mnie trzech żołnierzy. Oni też wiedzą.

Przechęcy ruch głowy. Szept:

– Wiedzieli.

– Nie żyją? Czy to chcesz mi powiedzieć?

Wzruszenie ramion.

– Czy zatem ja także mam umrzeć?

Ramiona.

Westley z powrotem ułożył się na podłodze ogromnej podziemnej klatki, obserwując, jak albinos, załadowawszy w milczeniu tacę, znika w mroku. Skoro żołnierze nie żyli, rozsądek nakazywał założyć, że i on sam wcześniej czy później pójdzie w ich ślady. Jednak nawet jeśli pragnęli jego śmiertelnego zejścia, rozum podpowiadała, iż nie nastąpi ono w najbliższym czasie. W przeciwnym razie po cóż opatrywano mu rany, po co pozwalano odzyskać siły, odżywić ciało dobrą, ciepłą strawą? Nie, na śmierć przyjdzie mu jeszcze poczekać. Tymczasem jednak, zważywszy na charakter jego prześladowców, spokojnie można przyjąć, że uczynią wszystko, co leży w ich mocy, aby cierpiał.

I to bardzo.

Westley zamknął oczy. Czekał go ból, a on musiał być gotów na jego nadejście. Musiał nastawić swój umysł, zyskać kontrolę nad myślami i wysłać je daleko, w bezpieczne miejsce tak, by nie mogli go złamać. Wytrzyma wszystko, co zdołają wymyślić. Wiedział, że jeśli tylko dadzą mu dość czasu na przygotowania, pokona każdy ból. Jak się okazało, czasu miał dosyć (minęły miesiące, nim Maszyna była gotowa).

Ale i tak go złamali.

* * *

Pod koniec trzydziestego dnia uroczystości, postawiona przed perspektywą jeszcze dwóch miesięcy ciągłych przyjęć, Buttercup zaczęła poważnie się lękać, że zabraknie jej sił do zniesienia tego wszystkiego. Uśmiech, uśmiech, uścisk dłoni, ukłon, podziękowanie, i znowu, i jeszcze. Pierwszy miesiąc wyczerpał ją całkowicie – jak miała wytrzymać kolejne dwa?

Jednak zdrowie króla sprawiło, iż okazało się to łatwe i smutne zarazem. Albowiem pięćdziesiąt pięć dni przed ślubem Lotharon począł gwałtownie słabnąć.

Książę Humperdinck polecił, by sprowadzono nowych lekarzy. (Oczywiście był jeszcze ostatni żyjący cudotwórca, Cyryl, ale ponieważ już dawno go zwolniono, przywrócenie go do pracy uznano za nierozsądne. Skoro bowiem nie mógł nic poradzić, gdy Lotharon jedynie śmiertelnie chorował, co mógłby zdziałać teraz, kiedy król był umierający?) Nowi doktorzy uzgodnili, że zastosują pewne znane i wypróbowane lekarstwa i po niecałych czterdziestu ośmiu godzinach od ich przybycia król Lotharon nie żył.

Rzecz jasna data ślubu pozostała niezmienną – nie każdego dnia państwo obchodzi swoje pięćsetlecie – lecz wszystkie przyjęcia i zabawy odwołano bądź ograniczono do niezbędnego minimum. Książę Humperdinck na czterdzieści pięć dni przed ślubem został zaś królem Florenu, i to zmieniło wszystko. Przedtem bowiem nie traktował poważnie niczego, poza łowami, natomiast teraz musiał się uczyć: nauczyć się wszystkiego, poznać sztukę rządzenia krajem. Toteż zakopał się w książkach i otoczył mędrkami. Jakie ustalać podatki, kogo zwolnić od opłat, jak wyglądać sprawy zagraniczne, komu można zaufać, jak dalece, w czym? Na (ślicznych) oczach narzeczonej Humperdinck przeistoczył się z człowieka czynu i władzy w opętanego gorączką nauki króla, bo wiedział, że musi natychmiast opanować wszelkie arkana władzy – szybko, nim jakieś inne państwo ośmieli się zaingerować w przyszłość Florenu. Zatem ślub, kiedy już się odbył, był krótki i bardzo skromny, wciśnięty między spotkanie rady ministrów i rozmowy skarbowe, a Buttercup spędziła swój pierwszy dzień królowania, wędrując bez celu po zamku i nie wiedząc, co ma ze sobą począć. Dopiero gdy król Humperdinck stanął wraz z nią na

balkonie, aby pozdrowić olbrzymi tłum, który czekał cierpliwie przez cały dzień, pojęła, że to naprawdę się stało, że jest królową i jej życie, cokolwiek jest warte, należy odtąd do ludu.

Stali tak razem, wysłuchując pozdrowień, radosnych okrzyków, niekończących się wiwatów, aż wreszcie Buttercup powiedziała:

– Proszę, czy mogę raz jeszcze przejść się pośród nich?

Król zezwolił jej skinieniem głowy, zeszła więc na dół, tak jak w dniu ogłoszenia ich zaręczyn, promienna i samotna, i znów ludzie rozstąpili się przed nią, płacząc i wiwatując, i kłaniając się w pas...

...aż jedna osoba krzyknęła „buuuuu”.

Obserwujący wszystko z balkonu Humperdinck zareagował natychmiast. Gestem nakazał żołnierzom przeczesać miejsce, z którego dobiegł ów dźwięk. Inni błyskawicznie otoczyli królową i po sekundzie Buttercup była już bezpieczna, gorszycielkę zaś odprowadzono na bok.

– Zaczekajcie chwilę – rzuciła Buttercup, wciąż wstrząśnięta tym wszystkim. Żołnierz, prowadzący niewiastę, przystanął. – Przyprowadź ją do mnie – poleciła Buttercup i po chwili stanęła z nią oko w oko.

To była bardzo stara kobieta, pomarszczona i zgarbiona. Buttercup przywołała na myśl wszystkie twarze, jakie poznała przez całe życie, tej jednak nie mogła sobie przypomnieć.

– Czy my się znamy? – spytała.

Stara kobieta pokręciła głową.

– Więc czemu? Dlaczego akurat dzisiaj? Czemu obraziłaś swoją królową?

– Bo nie jesteś godna wiwatów – odparła stara kobieta i nagle zaczęła krzyżeć: – Miałaś miłość w zasięgu ręki i odrzuciłaś ją dla złota! – Staruszka odwróciła się do tłumy. – To, co powiedziałam, to prawda: wśród Ognistych Bagien u jej boku wędrowała miłość, a ona strzepnęła ją z palców niczym zwykły śmieć i tym właśnie jest – Królową Śmieci!

– Dałam już słowo waszemu księciu... – zaczęła Buttercup, ale stara kobieta nie dała się uciszyć.

– Spytajcie ją, jak zdołała pokonać Ogniste Bagna? Czy sama tego dokonała? Zrezygnowała z miłości, aby zostać Królową Szlamu, Królową Błota – stara jestem i życie niewiele dla mnie znaczy, więc jako jedyna z tłumy śmiem wykrzyżeć prawdę. A prawda mówi: kłaniajcie się Królowej Nieczystości, jeśli chcecie, ale ja nie będę. Pozdrawiajcie Królową Fekaliów i Ścieków, jeśli chcecie, ale ja nie zamierzam. Zachwycacie się urodą Królowej Odpadków, ale ja ani myślę. Nie ja! – Zaczęła zbliżać się do Buttercup.

– Zabierzcie ją – rozkazała królowa.

Ale żołnierze nie mogli jej powstrzymać i starucha zbliżała się coraz bardziej, a jej głos rozbrzmiewał coraz głośniej i głośniej i głośniej! I GŁOŚNIEJ i GŁOŚNIEJ i GŁOŚNIEJ!!! i...

Buttercup obudziła się z krzykiem.

Leżała w łóżku. Sama. Bezpieczna. Do ślubu pozostało wciąż sześćdziesiąt dni.

Lecz od tej chwili zaczęły się jej koszmary.

Następnego nocy śniła o narodzinach ich pierwszego dziecka...

* * *

Mała przerwa. Hej, co powiecie na numer, jaki wyciął tu stary Morgenstern? Podpucha pierwszej klasy. Czy przynajmniej przez chwilę nie uwierzyliście, że Buttercup i Humperdinck naprawdę się pobrali? Bo ja tak.

Jest to jedno z moich najwyraźniejszych wspomnień z czasów, kiedy ojciec czytał mi tę książkę. Pamiętacie, miałem zapalenie płuc, ale czułem się już nieco lepiej, historia porwała mnie bez reszty, a kiedy jest się dziesięciolatkiem, jedno wie się z całą pewnością – taka opowieść musi mieć szczęśliwe zakończenie. Autorzy mogą wyciskać z siebie siódme poty, próbując nastraszyć czytelnika, ten jednak w głębi duszy nigdy nie wątpi, iż ostatecznie sprawiedliwość zwycięży. Co do Westleya i Buttercup – cóż, mieli swoje problemy, jasne, ale w końcu musieli pobrać się i żyć długo i szczęśliwie. Gotów byłem postawić na to cały rodzinny majątek, gdybym znalazł frajera, który zgodziłby się przyjąć taki zakład.

Kiedy więc mój ojciec dotarł do tego zdania o ślubie, wciśniętym między spotkanie rady ministrów i cośtam skarbowe, wszedłem mu w słowo.

– Coś pokręciłeś.

Przypominacie sobie mojego ojca – drobnego, łysiego fryzjera? Półanalfabetę? No cóż, nigdy nie przerywajcie komuś takiemu, mówiąc, że coś źle odczytał, bo traficie w czuły punkt.

– Tutaj ja czytam – odparł.

– Wiem, ale gdzieś się pomyliłeś. Buttercup nie wychodzi za tego okropnego Humperdincka. Zostaje żoną Westleya.

– Tu jest tak napisane – zaczął ojciec, nieco poirytowany, i raz jeszcze odczytał owo zdanie.

– W takim razie musiałeś opuścić jakąś stronę. Albo coś. Sprawdź, dobrze?

Tym razem zaczynał już być naprawdę zły.

– Niczego nie pominąłem. Przeczytałem to, co było. Czarno na białym. Dobranoc. – I wyszedł.

– Hej, zaczekaj! – krzyknąłem za nim, ale uparty był z niego gość. Ledwo się obejrzałem, zjawiła się matka.

– Twój ojciec mówi, że boli go gardło. Uprzedzałam go, by nie czytał zbyt wiele. – Strzepnęła mi kołdrę, poprawiła poduszkę i mimo moich protestów ucięła dyskusję. Na ten dzień był to już koniec Narzeczonej księcia.

Spędziłem całą noc w przekonaniu, że Buttercup wyszła za Humperdincka. To mną wstrząsnęło. Nie potrafiłem tego wyjaśnić, ale świat tak nie działał. Dobro zawsze przyciągało dobro, zło spuszczało się w toalecie i po wszystkim. Ale ich małżeństwo – nijak nie mogłem się z tym pogodzić. Jak ja nad tym pracowałem! Z początku myślałem, że zapewne Buttercup wywarła fantastyczny wpływ na Humperdincka i przemieniła go w nowego Westleya. Albo może Westley i Humperdinck okazali się braćmi, których rozłączono w dzieciństwie, i Humperdinck był tak szczęśliwy z powodu odzyskania brata, że rzekł: „Posłuchaj, Westleyu, kiedy się z nią żeniłem, nie miałem pojęcia, kim jesteś, więc teraz rozwiedziemy się, ty ją poślubisz i wszyscy będziemy szczęśliwi”. Do dziś dnia nie sądzę, abym kiedyś okazał się bardziej twórczy.

Ale nic to nie dało. Coś było nie tak, a ja nie mogłem pozbyć się tego uczucia. Nagle pojawił się niepokój, a kiedy wygryzł już sobie dostatecznie wielką dziurę, wczołgał się tam, zwinął w kłębek i został. Kiedy piszę te słowa, wciąż czai się wewnątrz mnie.

Następnego wieczoru, kiedy ojciec powrócił do lektury i ślub okazał się tylko koszmarnym snem Buttercup, wykrzyknąłem:

– Wiedziałem! Przez cały czas byłem tego pewien!

– Zadowolony jesteś? – spytał ojciec. – Już wszystko w porządku, możemy kontynuować?

– Jedź dalej – rzuciłem i zacząłem słuchać.

Ale nie byłem zadowolony. Och, przypuszczam, że moje uszy były zachwycone, moje wycucie akcji, nawet serce nie posiadało się z radości. Ale na dnie czegoś, co chyba trzeba nazwać „duszą”, przekłety niepokój kręcił czarną głową.

Nigdy mi tego nie wyjaśniono aż do czasów, gdy byłem już nastolatkiem. W moim rodzinnym mieście mieszkała wspiana kobieta, Edith Neisser – obecnie już nie żyje – która pisała świetne książki o tym, jak mącimy w głowach naszym dzieciom (jedna z nich nosiła tytuł Bracia i siostry, inna – Najstarsze dziecko). Wydał je Harper. Edith nie potrzebuje reklamy, zwłaszcza że, jak już mówiłem, odeszła z tego świata, lecz jeśli są wśród was tacy, którzy matrują się, iż nie spisują się najlepiej w roli rodziców, niech sięgną po jej książki, póki czas. Znałem ją, ponieważ jej syn, Ed, strzygł się u mojego taty. Poza tym była pisarką, a ja już wtedy uważałem, że jest to zawód, który odpowiada mi najbardziej, tyle że nikomu o tym nie wspominałem. Za bardzo się wstydziłem. Synowie fryzjerów, jeśli naprawdę się postarali, zostawali czasem komiwojażerami w IBM, ale pisarzami? W życiu. Nie pytajcie jak, ale Edith odkryła w końcu moją sekretną ambicję i od tej chwili czasami spotykaliśmy się, aby porozmawiać. I pamiętam, jak kiedyś sączyliśmy mrożoną herbatę na werandzie domu Neisserów. Tuż obok werandy rozciągał się kort do badmintonu i patrzyłem właśnie na mecz rozgrywany przez parę obcych dzieciaków. Przed chwilą Ed rozgromił mnie doszczętnie, a kiedy schodziłem z kortu, kierując się na werandę, powiedział:

– Nie martw się, wszystko się wyrówna. Dołożysz mi następnym razem.

Skinąłem głową, po czym Ed dodał:

– A jeśli nie, pokonasz mnie w czymś innym.

Usiadłem na werandzie, pociągnąłem łyk mrożonej herbaty i wtedy Edith, która czytała jakąś książkę, nie odkładając jej, rzekła:

– To niekoniecznie prawda, wiesz?

– Co masz na myśli? – spytałem.

W tym momencie Edith zamknęła książkę. Spojrzała na mnie.

– Życie nie jest sprawiedliwe, Billy – oznajmiła. – Choć mówimy tak naszym dzieciom, jest to jedna z najgorszych rzeczy, jaką możemy zrobić. To kłamstwo, i w dodatku okrutne. Życie nie jest sprawiedliwe, nigdy nie było i nigdy nie będzie.

Czy uwierzycie, że w tym momencie poczułem się jak jeden z bohaterów komiksów, którym nad głową nagle zapala się oślepiająca żarówka?

– Nie jest sprawiedliwe! – powtórzyłem tak głośno, że naprawdę ją zaskoczyłem. – Masz rację. Życie nie jest sprawiedliwe. – Byłem tak szczęśliwy, że gdybym umiał tańczyć, zatańczyłbym. – Czyż to nie cudownie, czyż to nie wspaniale? – Podejrzewam, że w tym momencie Edith musiała uznać, że jestem na najlepszej drodze do czubków.

Jednak fakt, iż prawda ta została wreszcie wypowiedziana, znaczył dla mnie tak wiele, natychmiast bowiem uświadomiłem sobie, że to właśnie był ów niepokój, który ogarnął mnie tego wieczoru, gdy ojciec przerwał czytanie. To z tą prawdą próbowałem się pogodzić – i nie mogłem.

Według mnie cała ta opowieść traktuje właśnie o tym. Wszyscy uniwersyteccy eksperci mogą głądzić, ile im się podoba o rozkosznej satyrze; to wariaci. Ta książka mówi: „życie nie jest sprawiedliwe” i powtarzam wam, wszystkim razem i każdemu z osobna – lepiej w to uwierzyć. Mam tłustego, rozpuszczonego syna, który nigdy nie poderwie pięknej Lorelei. I zawsze będzie tłusty; nawet jeśli schudnie, wciąż pozostanie gruby, rozpuszczony i wiecznie niezadowolony z życia. Może to moja wina – jeśli chcecie, możecie zwalić wszystko na mnie – ale chodzi o to, że nie zostaliśmy stworzeni równymi. Do bogatych świat należy, bo życie nie jest sprawiedliwe. Mam żonę: zimną jak sople lodu, inteligentną, interesującą, wspaniałą. Między nami nie ma miłości – i w porządku, pod warunkiem że nie oczekujemy, by przed śmiercią bilans zysków i strat wyrównał się w tajemniczy sposób.

Posłuchajcie (dorośli mogą pominąć ten akapit). Nie chcę wcale powiedzieć, że ta historia kończy się tragicznie. Już w pierwszym zdaniu wspomniałem, że jest to moja najulubiejsza książka na świecie. Ale czeka nas sporo niemiłych scen. Wiecie już o torturach, to jednak nie wszystko. Będzie też śmierć i lepiej, abyście zrozumieli: niektórzy bohaterowie umierają. To nie powiastka o Ciekawym Jasiu i o Nocniczku. Mnie nikt nie ostrzegł, więc wszystko, co się wydarzyło, jest moją winą (za chwilę przekonacie się, co mam na myśli) i moim błędem. Nie chcę, aby i was spotkało coś podobnego. Niektórzy z tych, którzy powinni przeżyć, giną. Dlaczego? Bo życie nie jest sprawiedliwe. Zapomnijcie o wszystkich bzdurach, którymi karmili was rodzice. Pamiętajcie Morgensterna. Będziecie o wiele szczęśliwsi.

W porządku. Wystarczy. Wracamy do kolejnego koszmaru.

* * *

Następnej nocy śniła o narodzinach ich pierwszego dziecka. To była dziewczynka, prześliczna dziewczynka.

– Przykro mi, że nie jest chłopcem – powiedziała Buttercup. – Wiem, jak bardzo pragniesz następcy.

– Najukochańsza – odparł Humperdinck – nie przejmuj się tym. Spójrz tylko na wspaniałe dziecko, jakim obdarzył nas Bóg.

Z tymi słowy wyszedł. Buttercup uniosła dziecko do swej idealnej piersi, dziecko jednak powiedziało:

– Twoje mleko jest gorzkie.

– Och, przepraszam – rzuciła i przełożyła córeczkę do drugiej piersi.

– Nie, to też jest gorzkie – stwierdziło dziecko.

– Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

– Ty zawsze wiesz, co zrobić, zawsze świetnie wiesz, co zrobić, co jest dla ciebie najlepsze, a reszta świata może się wypchać.

– Chodzi ci o Westleya – odgadła Buttercup.

– Oczywiście, że chodzi mi o Westleya – powiedziało dziecko.

– Widzisz, sądziłam, że nie żyje – tłumaczyła cierpliwie Buttercup – i dałam słowo twojemu ojcu.

– Umieram – rzekło dziecko. – W twoim mleku brak miłości. To mleko mnie zabiło. – Z tymi słowy dziecko znieruchomiało, zaczęło się rozpadać i na oczach Buttercup rozsypało się w proch, a Buttercup krzyczała i krzyczała, i nawet wtedy, gdy się obudziła, pięćdziesiąt dziewięć dni przed ślubem, nadal nie mogła przestać krzyczeć.

Trzeci koszmar nawiedził ją następnej nocy. Znow urodziła dziecko – tym razem chłopczyka, wspaniałego silnego chłopca – i Humperdinck oznajmił:

– Ukochana, to syn.

– A zatem nie zawiodłam cię, dzięki Bogu. – Po czym książkę odszedł, a Buttercup zawołała: – Przynieście mi dziecko!

Doktorzy wypadli z królewskiej komnaty, lecz nikt nie przyniósł chłopca.

– Co się tam dzieje? – spytała Buttercup.

– Niezbyt dobrze rozumiem – odparł główny lekarz – ale syn nie chce pani widzieć.

– Powiedzcie mu, że jestem jego matką i królową i że życzę sobie, aby się tu zjawił.

Po chwili jej syn znalazł się w pokoju – chłopczyk tak piękny, jak tylko można sobie

zamarzyć.

– Zamknijcie drzwi – rozkazała Buttercup i lekarze odeszli. Dziecko stało w kącie, jak najdalej od jej łóżka.

– Chodź tu, kochanie – powiedziała Buttercup.

– Po co? Czy mnie też chcesz zabić?

– Jestem twoją matką i kocham cię. A teraz podejdź bliżej. Nigdy w życiu nikogo nie zabiłam.

– Zabiłaś Westleya. Czy widziałas jego twarz na Ognistych Bagnach? Wtedy, kiedy odeszłaś, zostawiając go samego? To właśnie nazywam morderstwem.

– Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, czemu to zrobiłam. A teraz po raz ostatni proszę cię, podejdź tu.

– Morderczyni! – wykrzyknęło dziecko. – MORDERCZYNI!

Wtedy jednak Buttercup wyskoczyła z łóżka i porwała go w objęcia, mówiąc:

– Przestań, przestań w tej chwili! Kocham cię!

A on odparł:

– Twoja miłość to trucizna, która zabija.

I umarł w jej ramionach, a ona zaczęła płakać. Nawet kiedy się ocknęła, pięćdziesiąt osiem dni przed ślubem, nadal nie mogła przestać płakać.

Następnej nocy w ogóle się nie położyła. Zamiast tego spacerowała, czytała, wyszywała, pijąc niezliczone filiżanki parującej herbaty wprost z Indii. Oczywiście ślaniała się ze zmęczenia, ale tak bardzo lękała się tego, co może przynieść sen, że z dwojga złego wolała już męczyć się na jawie, a nad ranem jej matka była w ciąży – nie, mało tego: jej matka rodziła – i Buttercup, stojąc w kącie pokoju, patrzyła na swoje narodziny. Ojciec zachłysnął się na widok urody dziecka, podobnie matka, i dopiero położna okazała niepokój. Położna była przemiałą kobietą, znaną w całej wiosce ze swej miłości do dzieci.

– Oho. Kłopoty – powiedziała.

– Jakie kłopoty? – spytał ojciec. – Czy przedtem oglądałaś kiedy podobną urodę?

– Nie rozumiecie, czemu obdarzono ją taką urodą? To dlatego, że nie ma serca. Posłuchajcie sami: dziecko żyje, ale nie słychać bicia jego serca. – To mówiąc, uniosła Buttercup i przyłożyła jej pierś do ucha ojca, który po chwili przytaknął i rzekł:

– Musimy znaleźć cudotwórcę, aby umieścić w środku serce.

– Nie – zaoponowała położna – to byłoby złe. Słyszałam już o podobnych istotach, stworzeniach bez serca. W miarę dorastania stają się coraz piękniejsze, pozostawiając za sobą dziesiątki zdruzgotanych ciał i umęczonych dusz. Istoty bez serca niosą z sobą cierpienie, więc – ponieważ oboje jesteście jeszcze młodzi – radzę, abyście sprawili sobie nowe, inne dziecko, a tego pozbyli się natychmiast. Lecz oczywiście do was należy ostateczna decyzja.

– I co ty na to? – spytał ojciec, a matka odparła:

– Położna jest najmilszą osobą w całej wiosce, więc najprędzej pozna potwora, kiedy go zobaczy. Bierzmy się do dzieła.

Wtedy rodzice Buttercup położyli dłonie na szyi córki i dziecko zaczęło się dławić. Nawet kiedy Buttercup ocknęła się o świcie, pięćdziesiąt siedem dni przed ślubem, nadal nie mogła złapać tchu.

Od tej pory koszmary stały się po prostu zbyt przerażające.

Gdy od ślubu dzieliło ją już tylko pięćdziesiąt dni, Buttercup zapukała wieczorem do komnaty księcia Humperdincka. Kiedy odezwał się, weszła do środka.

– Widzę, że coś jest nie tak – rzekł. – Wyglądasz, jakbyś była chora.

Istotnie. Oczywiście była piękna. To się nie zmieniło. Ale zdrowa? Bynajmniej.

Buttercup nie wiedziała, jak zacząć.

Książę podsunął jej krzesło. Przyniósł szklanę wody. Buttercup sączyła ją, patrząc martwo przed siebie. Humperdinck odstawił szklanę.

– Słucham cię, księżniczko – rzekł.

– Wszystko sprowadza się do tego – powiedziała Buttercup. – Tam, na Ognistych Bagnach, popełniłam największy błąd mojego życia. Kocham Westleya. Zawsze go kochałam. Wygląda na to, że zawsze będę go kochać. Nie wiedziałam o tym, kiedy do mnie przyszedłeś. Proszę, uwierz w to, co teraz powiem: kiedy ostrzegłeś, że muszę zostać twoją żoną albo umrzeć, odpowiedziałam: „Zabij mnie” i mówiłam serio. Teraz też nie żartuję: jeśli stwierdzisz, że za pięćdziesiąt dni muszę cię poślubić, do rana będę martwa.

Książę był zupełnie ogłuszony.

Po bardzo długiej chwili ukląkł obok krzesła Buttercup i zaczął mówić cichym, łagodnym głosem.

– Przyznaję, że z początku, kiedy się zaręczyliśmy, miłość w ogóle nie wchodziła w grę. Była to nasza wspólna decyzja, choć rzeczywiście, inicjatywa mogła wyjść od ciebie. Z pewnością jednak w ciągu ostatniego miesiąca zabaw i przyjęć dostrzegłaś pewne ocieplenie mojego stosunku do ciebie?

– Owszem. Byłeś słodki i szlachetny.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że po tym, co powiedziałem, docenisz, jak trudno mi rzec, co następuje: prędzej umrę, niż cię unieszczęśliwię, stojąc na drodze twemu małżeństwu z człowiekiem, którego kochasz.

Buttercup o mało nie rozpląkała się z wdzięczności.

– Do końca moich dni będę błogosławić cię za twą wielkoduszność. – Wstała. – Zatem to postanowione. Odwołujemy ślub.

Humperdinck także wstał.

– Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Czy zastanawiałaś się nad możliwością, że twój Westley może już nie zechcieć cię poślubić? Do tej chwili nie przyszło jej to na myśl.

– Przykro mi do tego wracać, lecz na Ognistych Bagnach niezbyt subtelnie obeszłaś się z jego uczuciami. Wybacz, że to mówię, najdroższa, ale w pewnym sensie zostawiłaś go na lodzie.

Buttercup osunęła się na krzesło. Tym razem to ją ogłuszyły jego słowa.

Humperdinck ukląkł obok niej.

– Ten twój Westley, ten marynarz... czy ma swoją dumę?

– Czasami wydaje mi się, że więcej niż ktokolwiek na świecie – wyszeptła słabo Buttercup.

– Zastanów się zatem, najmilsza. W tej chwili żeglujecie gdzieś ze straszliwym piratem Robertsem. Miał miesiąc na to, by zaleczyć dotkliwe rany, jakie zadałaś jego uczuciom. A jeśli pragnie zostać kawalerem? Albo, co gorsza, znalazł sobie inną?

Buttercup zupełnie odebrało mowę.

– Uważam, najśłodszy skarbie, że powinniśmy zawrzeć umowę. Jeśli Westley nadal pragnie cię poślubić, macie moje błogosławieństwo. Jeżeli jednak, z przyczyn, o których wolałbym nie wspomnieć, nie pozwoli mu na to duma, wyjdiesz za mnie, jak zaplanowaliśmy, i zostaniesz królową Florenu.

– Nie mógł poślubić innej. Jestem tego pewna. Nie mój Westley. – Buttercup spojrzała na

księcia. – Ale w jaki sposób mogę się o tym przekonać?

– Co powiesz na to: napiszesz do niego list, w którym wyznasz mu wszystko. Przepiszemy go w czterech egzemplarzach. Wybiorę cztery najszybsze okręty i pošlę je na cztery strony świata. Straszliwy pirat Roberts nieczęsto odpływa dalej niż miesiąc żeglugi od brzegów Florenu. Gdy natknie się na niego jeden z moich statków, kapitan wywiesi białą flagę, dostarczy twój list i Westley sam podejmie decyzję. Jeśli odpowiedź będzie brzmiała „nie”, przekaże ją moim ludziom. Jeśli zaś „tak”, kapitan przywiezie go do ciebie, a ja będę się musiał zadowolić mniej promienną narzeczoną.

– Myślę... nie jestem pewna... ale zdecydowanie myślę, że to najbardziej wsłaniałomyślna decyzja, o jakiej słyszałam.

– W takim razie uczyni mi w zamian pewną grzeczność: dopóki nie poznamy zamiarów Westleya, kontynuujemy wszystko tak, jakby nic się nie stało, aby nie zakłócić uroczystości. A jeśli będę ci okazywał przesadne względy, pamiętaj, że nie mogę na to nic poradzić.

– Zgoda – odparła Buttercup i ruszyła ku drzwiom. Najpierw jednak ucałowała go w policzek. Księżę odprowadził ją.

– A teraz biegnij do siebie i napisz swój list – powiedział, odwzajemniając pocałunek, po czym odprowadził ją czułym spojrzeniem, póki nie zniknęła za zakrętem korytarza.

W głębi ducha nie wątpił ani przez moment, że w nadchodzących tygodniach okaże jej przesadne względy. Ponieważ kiedy Buttercup zginie, zamordowana w ich noc poślubną, najważniejsze jest, by cały Floren pojął, jak wielką księżę darzył ją miłością i jak ogromną poniósł stratę. Wtedy bowiem nikt nie zawaha się przed wyruszeniem na wojnę przeciw Guldenowi pod wodzą swego władcy.

Z początku, kiedy wynajął Sycylińczyka, przekonany był, że najlepiej będzie, jeśli dziewczyna zginie z rąk kogoś innego, tak by wyglądało to na robotę guldeńskich żołnierzy. Toteż gdy pojawił się człowiek w czerni i w tajemniczy sposób zdołał pokrzyżować jego plany, księżę o mało nie oszalał z wściekłości. Jednak wkrótce wrodzony optymizm Humperdincka wziął górę nad czarnymi myślami – wszystko ułożyło się jak najlepiej. Obecnie ludzie uwielbiali Buttercup jak nigdy przedtem. I kiedy on sam stanie na balkonie i oznajmi, że została zamordowana – w duchu widział już całą scenę: przybędzie o sekundę za późno, by ją ocalić, ale dość szybko, by ujrzeć uciekających przez okno sypialni guldeńskich żołnierzy, zeskakujących na miękką murawę w dole – kiedy wygłosi swą mowę do tłumów, zebranych dla uczczenia pięćsetnej rocznicy powstania państwa, na całym rynku nie pozostanie ani jedna sucha para oczu. A choć odczuwał lekki niepokój, ponieważ nigdy przedtem nie zabił kobiety gołymi rękami, filozoficznie stwierdził, że zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz. Poza tym, jeśli chcesz, aby coś zostało porządnie zrobione, najlepiej zrób to własnoręcznie.

* * *

Tego wieczoru zaczęto torturować Westleya. Hrabia Rugen zajął się samym zadawaniem bólu, podczas gdy księżę po prostu siedział obok, głośno zadając pytania i w duchu podziwiając umiejętności swego towarzysza.

Hrabia naprawdę interesował się bólem. Przyczyny, dla których człowiek cierpi, zajmowały go tak samo, jak odczucia fizyczne, i podczas gdy księżę przez całe życie oddawał się doskonaleniu swego ciała w sztuce Łowów, Rugen czytał i studiował wszystko, co zdołał zdobyć na temat cierpienia.

– W porządku – powiedział książę do Westleya, leżącego na ziemi w olbrzymiej klatce na piątym poziomie. – Zanim zaczniemy, chcę, abyś odpowiedział mi na jedno pytanie: czy masz jakiegokolwiek skargi co do sposobu, w jaki cię traktujemy?

– Żadnych – odparł Westley i istotnie tak było. Oczywiście wolałby, aby od czasu do czasu choć na chwilę uwalniano go z łańcuchów, ale kiedy się jest więźniem, nie można wymagać zbyt wiele. Zabiegi medyczne albinosa okazały się skuteczne i rana na ramieniu zagoiła się bez śladu. Jedzenie, jakie mu dostarczano, było zawsze gorące i pożywne, wino i koniak stanowiły zaś cudowne antidotum na wilgoć w powietrzu.

– A zatem jesteś w pełni zdrow? – naciskał książę.

– Zakładam, że moje nogi zeszywniały nieco z bezruchu, poza tym jednak – owszem.

– Doskonale. Zatem przyrzekam ci, i niech Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę: odpowiedź na jedno pytanie, a jeszcze dziś puszcę cię wolno. Ale musisz to zrobić szczerze i do końca, niczego nie zatajając. Natychmiast zorientuję się, jeśli skłamiesz. A wtedy dam wolną rękę Hrabiemu.

– Nie mam nic do ukrycia – stwierdził Westley. – Pytaj.

– Kto cię wynajął, abyś porwał księżniczkę? To musiał być ktoś z Guldenu. Zdradził to strzęp materiału, który znaleźliśmy przy jej siodle. Podaj mi nazwisko tego człowieka, a odejdiesz wolno. Mów.

– Nikt mnie nie wynajął – odparł Westley. – Działalem absolutnie samodzielnie. Poza tym wcale jej nie porwałem: uratowałem ją z rąk innych, którzy to uczynili.

– Sprawiasz wrażenie rozsądnego człowieka, a moja księżniczka twierdzi, że zna cię od dziecka. Z tego względu dam ci jeszcze jedną, ostatnią szansę. Nazwisko człowieka z Guldenu, który cię wynajął. Podaj je albo wydobędziemy je z ciebie siłą.

– Nikt mnie nie wynajął. Przysięgam.

Hrabia podpalił mu dłonie. Nic, co mogłoby wywołać trwałe kalectwo – po prostu umoczył ręce Westleya w oleju i podsunął świecę dość blisko, by ciało zaczęło skwierczeć. Kiedy Westley wykrzyczał „NIKT – NIKT – PRZYSIĘGAM NA WŁASNĄ GŁOWĘ!” wystarczającą ilość razy, Hrabia zanurzył jego dłonie w wodzie, po czym obaj z księciem wyszli podziemnymi drzwiami, opatrzenie oparzeń pozostawiając albinosowi, który przez cały czas krążył w pobliżu, nie włączając im jednak w oczy, aby ich nie rozpraszać.

– Miły początek – stwierdził Hrabia, gdy wraz z księciem ruszyli w górę podziemnymi schodami. – To doskonałe pytanie. Oczywiście mówił prawdę. Obaj o tym wiemy.

Książę skinął głową. Hrabia doskonale orientował się w jego planach wywołania odwetowej wojny.

– Fascynuje mnie, co będzie dalej – ciągnął Rugen. – Który ból okaże się bardziej dotkliwy? Fizyczny czy też męki psychiczne? Pomyśl tylko: mieć wolność na wyciągnięcie ręki, jeśli tylko powie się prawdę, po czym wyznać ją tylko po to, by uznano cię za kłamcę.

– Uważam, że fizyczny – rzucił książę.

– Sądzę, że się mylisz – odparł Hrabia.

W rzeczywistości mylili się obaj: Westley ani przez moment nie czuł najmniejszego bólu. Jego krzyki stanowiły wyłącznie przedstawienie, które miało zadowolić oprawców – od miesiąca szykował się do obrony i był gotów. W chwili, gdy Hrabia przysunął do niego świecę, Westley uniósł oczy ku sufitowi, opuścił powieki i w stanie głębokiej koncentracji odesłał myśli daleko od rzeczywistości. Zamiast tego pomyślał o Buttercup: o jej włosach barwy jesieni i cerze koloru zimowej śmietanki. Kazał jej stanąć tuż obok niego i szeptać mu do ucha poprzez zasłonę

cierpienia:

– Kocham cię. Kocham. Tam, na Ognistych Bagnach, zostawiłam cię tylko dlatego, żeby wypróbować twoją miłość. Czy dorównuje ona mojej? Czy dwa podobne uczucia mogą jednocześnie istnieć na tej samej planecie? Czy znajdzie się na niej dość miejsca, Westleyu, ukochany?...

Albinos opatrzył mu palce. Westley leżał bez ruchu.

Po raz pierwszy to albinos rozpoczął rozmowę.

– Lepiej im powiedz – szepnął.

Westley tylko wzruszył ramionami.

– Oni nigdy nie przestają. Kiedy już raz zaczęli, nie rezygnują. Powiedz im to, co chcą wiedzieć, i skończ z tym.

Wzruszenie ramion.

Szept:

– Maszyna jest już prawie gotowa. Obecnie testują ją na zwierzętach.

Wzruszenie ramion.

Szept:

– Mówię ci to dla twojego własnego dobra.

– Mojego własnego dobra? Jakiego dobra? Przecież i tak zamierzają mnie zabić.

Zamiast odpowiedzi albinos skinął tylko głową.

* * *

Księżę znalazł Buttercup czekającą z nieszczęśliwą miną pod drzwiami jego komnaty.

– Chodzi o mój list – zaczęła. – Nie potrafię go ułożyć.

– Ależ wejdź, wejdź – powiedział łagodnie księżę. – Może zdołamy ci pomóc. – Buttercup usadowiła się na tym samym krześle, co poprzednio. – W porządku, zamknę oczy i będę słuchała. Przeczytaj mi go.

– „Westleyu, mój najdroższy, mój słodki, mój jedyny, mój kochany. Wracaj, wracaj prędko. Inaczej się zabiję. Twoja umęczona Buttercup”. – Spojrzała na Humperdincka. – I co ty na to? Czy myślisz, że mu się narzucam?

– Istotnie, twój list odznacza się nieco przesadną otwartością – przyznał księżę. – Nie zostawia mu zbyt wiele pola manewru.

– Pomożesz mi go poprawić? Proszę.

– Zrobię, co mogę, moja miła. Niewątpliwie jednak ułatwiłoby mi zadanie, gdybym najpierw poznał go nieco bliżej. Czy twój Westley jest naprawdę taki wspaniały?

– Nie tyle wspaniały, co idealny. Zupełnie niezrównany. Mniej więcej doskonały. Bez najmniejszej skazy. Wzorowy pod każdym względem. – Podniosła wzrok na Humperdincka. – Czy to ci pomoże?

– Myślę, że emocje odrobinę zaciemniają twój obiektywizm. Naprawdę sądzisz, że twój Westley potrafi wszystko?

Buttercup zastanowiła się przez moment.

– Nie chodzi o to, że potrafi wszystko. Po prostu umie to zrobić lepiej niż ktokolwiek inny.

Księżę zaśmiał się łagodnie.

– Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że gdyby przykładowo zapragnął wybrać się na łowy, mógłby przewyższyć w tym nawet kogoś takiego jak, znów dla przykładu, ja.

– O tak, myślę, że gdyby zechciał, dokonałby tego z łatwością, ale tak się składa, że Westley nie lubi polować, przynajmniej z tego, co się orientuję, ale może się mylę, nie wiem. Nie miałam pojęcia, że interesuje się wspinaczką, a jednak wdrapał się na szczyt Urwisk Szaleństwa w niezwykle niesprzyjających warunkach, a wszyscy zgadzają się, że nie jest to najłatwiejsze.

– Może więc zatem zacniemy nasz list słowami „Boski Westleyu”, odwołując się do jego poczucia skromności – zaproponował księżę.

Buttercup zaczęła pisać, lecz nagle urwała.

– Czy „boski” pisze się przez „s” czy przez „z”?

– Przez „s”, ty niezwykle stworzenie – odparł księżę, uśmiechając się ciepło, podczas gdy Buttercup układała swój list. Zabrało im to cztery godziny i przez ten czas Buttercup wiele razy powtarzała:

– Nigdy nie dałabym sobie rady bez ciebie.

Księżę zawsze odpowiadał z niezwykłą skromnością. Bez przerwy też zadawał z pozoru niewinne, osobiste pytania o Westleya, czyniąc to tak często, jak mógł, bez zwracania uwagi. W ten sposób, jeszcze przed świtem, Buttercup, uśmiechając się na to wspomnienie, opowiedziała mu, jak Westley w dzieciństwie bał się kleszczoprządków.

Tej nocy w klatce na piątym poziomie księżę jak co dzień powiedział:

– Podaj mi nazwisko Guldeńczyka, który wynajął cię, abys porwał księżniczkę, a natychmiast zwrócę ci wolność.

– Nie było nikogo, działałem sam – odparł jak zawsze Westley.

Wtedy Hrabia, który przez cały dzień zbierał prządki, położył je ostrożnie na skórze więźnia. Westley zamknął oczy i zaczął błagać o litość. Wreszcie, po jakiejś godzinie, księżę i Hrabia wyszli, pozostawiając albinosowi niemiły obowiązek przypalenia kleszczy i oderwania ich od ciała Westleya, zanim zdołają zatruć swą ofiarę. Po drodze na górę księżę próbował zagaic rozmowę.

– Znacznie lepiej, nie sądzisz?

O dziwo, Hrabia nie odpowiedział ani słowem, co nieco zirytowało Humperdincka, bo prawdę mówiąc, księżę nie przepadał za torturami i najchętniej od razu pozbyłby się Westleya.

Gdyby tylko Buttercup przyznała, że on, Humperdinck, jest lepszy.

Ale nie! Nie i nie! Wciąż tylko gadała o Westleyu. Interesowały ją jedynie wieści o Westleyu. Mijały dni, tygodnie, niezliczone bale i przyjęcia i cały Floren ze wzruszeniem patrzył, jak ich wspinały księżę-myśliwy okazuje swojej wybrance szczerą, z dawien dawna wyczekiwaną miłość. Kiedy jednak zostawali sami, Buttercup mówiła tylko o jednym:

– Zastanawiam się, gdzie się podziewa Westley? Czemu to trwa tak długo? Jak mam żyć do czasu jego przyjazdu?

Szału można dostać! Toteż każdego wieczoru męki, zadawane przez Hrabiego zwijającemu się z bólu Westleyowi, sprawiały księciu prawdziwą przyjemność. Zwykle udawało mu się wykroić godzinkę na podziwianie tortur, po czym wraz z Hrabią opuszczali Zoo. Hrabia był ostatnio dziwnie milczący. Głęboko pod ziemią, opatrując rany więźnia, albinos szeptał zaś:

– Powiedz im. Błagam. Inaczej zadadzą ci jeszcze gorsze męki.

Westley z trudem powstrzymywał uśmiech.

W ogóle nie czuł bólu, ani razu, nawet przez sekundę. Po prostu zamykał oczy i odsyłał myśli. W tym tkwił cały sekret. Jeśli potrafisz odesłać myśli daleko od chwili obecnej, tam, gdzie będą mogły w spokoju podziwiać cerę barwy zimowej śmietanki, cóż, pozostaje życzyć twym oprawcom przyjemnej zabawy...

Nadejdzie jeszcze czas jego zemsty.

Obecnie Westley żył głównie dla Buttercup. Ale nie da się zaprzeczyć, że była jeszcze jedna rzecz, jakiej pragnął.

Jego czas...

* * *

Księżę Humperdinck zupełnie nie miał czasu. Wyglądało na to, że w całym Florenie nie było nikogo, kto potrafiłby samodzielnie podjąć jakąkolwiek decyzję, bez zrzucania odpowiedzialności na jego barki. Nie dość, że się żenił, to jego kraj obchodził akurat pięćsetlecie. Nie tylko walczył w myślach wszelkie możliwe scenariusze w poszukiwaniu najlepszego sposobu na wywołanie wojny, lecz także musiał jeszcze pilnować, by jego oczy nieustannie lśniły miłosnym blaskiem. Należało dopilnować każdego szczegółu. Nie mógł popełnić najmniejszego błędu.

Ojciec tylko utrudniał wszystko, nie chcąc ani umrzeć, ani przestać bełkotać (*myśleliście, że król Lotharon nie żyje, ale nie zapominajcie, że to tylko zmyłka – Morgenstern szykował się właśnie do sekwencji koszmarnego snu; mam nadzieję, że się w tym nie pogubicie*) i zacząć mówić z sensem. Królowa Bella stale krzątała się wokół niego, od czasu do czasu tłumacząc słowa władcy, i nagle księżę Humperdinck przeżył wstrząs, uświadomiwszy sobie, że do ślubu pozostało jeszcze tylko dwanaście dni, a on zupełnie zaniedbał najważniejszy, guldeński wątek swego planu. Toteż późnym wieczorem wezwał na zamek Yellina.

Yellin był głównodowodzącym sił porządkowych Florenu. Stanowisko to odziedziczył po ojcu. (Albinos, pracujący jako nadzorca w Zoo Śmierci, był stryjecznym bratem Yellina. Ci dwaj byli jedynymi ludźmi niskiego pochodzenia, jakim księżę kiedykolwiek choć w części zaufał.)

– Wasza Wysokość – powitał księcia Yellin, drobny, lecz utalentowany mężczyzna o rozbieganych oczach i śliskich rękach.

Humperdinck wyszedł zza biurka. Zbliżył się do Yellina i rozejrzał się uważnie wokół.

– Doszły mnie słuchy – powiedział cicho – z najpewniejszych źródeł, że liczni agenci Guldenu zaczęli niedawno przenikać do naszej Złodziejskiej Dzielnicy, udając floreńczyków. Martwi mnie to.

– O niczym takim nie słyszałem – odparł Yellin.

– Agenci księcia są wszędzie.

– Rozumiem – rzekł dowódca. – I Wasza Wysokość obawia się, że z uwagi na fakt, iż – jak na to wskazują wszelkie zebrane poszlaki – raz już próbowali porwać waszą narzeczoną, podobna rzecz może się powtórzyć?

– Możliwe.

– Zatem zamknę Złodziejską Dzielnicę – oświadczył Yellin. – Nikt tam nie wejdzie i nikt stamtąd nie wyjdzie.

– To nie wystarczy – przerwał mu księżę. – Chcę, aby cała dzielnica została opróżniona, a wszyscy przestępcy uwięzieni, póki nie wyruszę w podróż poślubną. – Yellin nie przytaknął dość szybko, więc Humperdinck dodał: – Czy jest jakiś problem?

– Moi ludzie niechętnie myślą o wkroczeniu do Złodziejskiej Dzielnicy. Wielu jej mieszkańców będzie opierać się wszelkim zmianom.

– Pozbądź się ich. Utwórz oddział brutali. Ale zrób to.

– Trzeba co najmniej tygodnia, aby utworzyć porządny oddział brutali – stwierdził Yellin. –

Ale to i tak dość czasu. – Odwrócił się i skierował ku wyjściu.

I właśnie w tym momencie rozległ się krzyk.

Yellin słyszał w swym życiu wiele rzeczy, ale nigdy tak niesamowitego, jak ów dźwięk, i choć nie brakowało mu odwagi, odgłos go przeraził. Głos nie był ludzki, lecz Yellin nie potrafił zgadnąć, jakie zwierzę mogłoby wydać z siebie coś takiego. (W istocie był to dziki pies z pierwszego poziomu Zoo, ale żaden dziki pies w historii nigdy tak nie wrzeszczał. Z drugiej jednak strony żaden dziki pies w historii nie został dotąd poddany działaniu Maszyny.)

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Wędrował pod niebo, rozchodząc się po terenach zamkowych, ponad murami, aż na wielki rynek.

Trwał tam, jakby miał nigdy nie umilknąć. Ciężko wisiał w powietrzu, przypominając wszystkim o tym, że na świecie istnieje coś takiego jak cierpienie. Na rynku gromadka dzieci odpowiedziała krzykiem na krzyk, próbując go zagłuszyć. Część z nich rozplakała się, inne uciekły do domów.

Wreszcie dźwięk począł słabnąć. W jednej chwili zniknął z rynku, w następnej przekroczył z powrotem zamkowe mury. Wreszcie cofnął się aż na pierwszy poziom Zoo Śmierci, gdzie Hrabia Rugen kręcił gałkami swojego urządzenia. Dziki pies skonał. Hrabia wstał, z najwyższym trudem powstrzymując okrzyk tryumfu.

Opuścił Zoo i pobiegł ku komnatom księcia Humperdincka. Gdy tam dotarł, Yellin właśnie wychodził. Księżę siedział już z powrotem za biurkiem. Kiedy zostali sami, Hrabia skłonił się przed swym władcą.

– Maszyna – oświadczył z dumą – działa.

* * *

Księżę Humperdinck odpowiedział dopiero po chwili. Znalazł się bowiem w delikatnej sytuacji. Prawda, to on był szefem, a Hrabia jedynie poddanym, lecz nikt w całym Florenie nie dorównywał mu zdolnościami. Jako wynalazca najwyraźniej zdołał w końcu usunąć wszelkie defekty w swej Maszynie. Jako architekt odegrał decydującą rolę w planowaniu systemów zabezpieczeń Zoo Śmierci i nie da się ukryć, że to właśnie Rugen wpadł na pomysł, by jedyne prawdziwe wejście do lochów umieścić pod ziemią, na piątym poziomie. Wspomagał też zawsze księcia, czy to w łowach, czy w bitwie. Kogoś takiego nie spławia się krótkim: „Odczep się, chłopie, nudzisz mnie”. Księżę zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Posłuchaj, Ty – powiedział wreszcie – jestem wprost zachwycony, że wyszykowałeś Maszynę. Nigdy zresztą nie wątpiłem, że w końcu tego dokonasz. Nie mogę się też doczekać, kiedy zademonstrujesz mi jej działanie. Ale... jak by to ująć? I tak już tonę w obowiązkach. Nie chodzi tylko o przyjęcia i gruchanie z tą, jak jej tam. Muszę też zdecydować, jak długo ma trwać rocznicowa manifestacja, skąd i kiedy wystartuje i który szlachcic będzie szedł przed którym, tak aby po jej zakończeniu wszyscy nadal odzywali się do mnie. Do tego muszę jeszcze zabić żonę, zrobić w to inne państwo, następnie zając się wojną, która wybuchnie w efekcie tych starań, i wszystko to spoczywa tylko na mojej głowie. W sumie sprowadza się to do jednego – jestem do niczego, Ty... Co powiesz na to, abys sam zajął się Westleyem? Zrelacjonujesz mi, co się działo, a później, kiedy złapię chwilę oddechu, sam przyjdę popatrzeć i z pewnością będzie cudownie. Ale na razie potrzebuję trochę luzu. Nie masz pretensji?

Hrabia Rugen uśmiechnął się.

– Najmniejszych.

Wcale nie skłamał. Zawsze czuł się lepiej, kiedy mógł samotnie zadawać komuś ból. Łatwiej się skupić, gdy jest się sam na sam z cierpieniem.

– Wiedziałem, że mnie zrozumiesz, Ty...

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i Buttercup wsunęła głowę do komnaty.

– Są jakieś wieści? – spytała.

Książę uśmiechnął się do niej i ze smutkiem pokręcił głową.

– Kochanie, obiecałem, że zawiadomię cię, gdy tylko dowiem się czegośkolwiek.

– Ale zostało już tylko dwanaście dni.

– To mnóstwo czasu, kruszynko. Nie martw się.

– W takim razie zostawię was – oświadczyła Buttercup.

– Ja także już wychodziłem – wtrącił Hrabia. – Czy mogę odprowadzić cię do pokoju?

Buttercup skinęła głową i razem ruszyli korytarzem, aż wreszcie dotarli do jej komnat.

– Dobranoc – rzuciła szybko. Z niewiadomych przyczyn lękała się Hrabiego od dnia, gdy po raz pierwszy odwiedził gospodarstwo jej ojca.

– Jestem pewien, że się zjawi – odparł Hrabia. Był powiernikiem wszelkich planów księcia i Buttercup dobrze o tym wiedziała. – Nie znam zbyt dobrze tego młodzieńca, ale wywarł na mnie wielkie wrażenie. Każdy, kto zdołał nie zabłądzić na Ognistych Bagnach, z pewnością zdoła trafić do Florenu przed waszym ślubem.

Buttercup przytaknęła.

– Wydawał się taki mocarny, obdarzony tak niezwykłą siłą – ciągnął Hrabia ciepłym, kojącym głosem. – Zastanawiałem się jedynie, czy owej sile towarzyszy także prawdziwa wrażliwość, której czasem brak największym mocarzom. Na przykład: czy byłby zdolny do płaczu?

– Westley nigdy by nie zapłakał. – Buttercup otworzyła drzwi sypialni – chyba że po śmierci ukochanej osoby.

Z tymi słowy zatrzasnęła drzwi przed nosem Hrabiego. Już sama podeszła do łóżka i uklękła. „Westleyu”, pomyślała. „Przybądź, proszę. Przez wszystkie te tygodnie błagałam cię w duchu, abyś się zjawił, lecz ty wciąż milczysz. Wtedy, na farmie, uważałam, że cię kocham, ale to nie była miłość. Gdy na dnie jaru pod maską ujrzałam twoją twarz, myślałam, że cię kocham, lecz znów było to jedynie głębokie zadurzenie. Umiłowany, sądzę, że teraz naprawdę cię kocham i modłę się, abyś tylko dał mi szansę to udowodnić. Mogłabym spędzić całe życie na Ognistych Bagnach, śpiewając ze szczęścia od świtu do zmierzchu, gdybyś był ze mną. Mogłabym przez całe życie tonąć w Mącznych Piaskach, gdybym czuła twoją dłoń w mojej dłoni. Osobiście wolałabym przez całą wieczność trwać u twego boku wśród chmur, ale piekło także byłoby rajem, gdyby mój Westley był ze mną...”

I tak dalej, godzina za milczącą godziną. Przez trzydzieści osiem dni nie robiła nic innego i za każdym razem uwielbienie, jakim go darzyła, jeszcze się pogłębiało, jej myśli stawały się coraz wznioślejsze. Westley. Westley. Mknący ku niej przez siedem mórz.

Westley ze swej strony, choć oczywiście nie miał o tym pojęcia, spędzał wieczory w ten sam sposób. Po codziennej dawce tortur, gdy albinos opatrzył już wszystkie rany, oparzenia i złamania i Westley zostawał sam w swego olbrzymiej klatce, wysyłał swe myśli ku Buttercup.

Jakże dobrze ją rozumiał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że kiedy na farmie poprzysięgła mu miłość, z pewnością mówiła szczerze. Miała jednak zaledwie osiemnaście lat. Co mogła wiedzieć o prawdziwych głębiach serca? Potem zaś, gdy zrzucił czarną maskę, a Buttercup wpadła na niego, przeżyła nie tylko wstrząs uczuciowy, lecz także oszałamiające zdumienie. Jednak wiedział, że tak jak słońce zawsze musi wstać na wschodzie, bez względu na to, jak

bardzo mógłby ucieszyć je zachodni świt, tak i Buttercup musi odwzajemnić jego miłość. Złoto to spora pokusa, podobnie jak korona, lecz nie mogą się one równać z gorączką trawiącą mu serce. Wcześniej czy później Buttercup także zarazi się ową chorobą. Ma jeszcze mniejszy wybór niż słońce.

Kiedy więc Hrabia pojawił się w klatce wraz z Maszyną, Westley przyjął go bez szczególnego zainteresowania. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, co niesie ze sobą dręczyciel. Całkiem szczerze mówiąc, Hrabia nie niósł niczego: to albinos służył za tragarza, przynosząc kolejno serię dziwacznych przedmiotów.

Westley bowiem dostrzegał w nich tylko tyle: dziwne przedmioty. Niewielkie miękkie przysawki przeróżnych rozmiarów, coś podobnego do koła oraz część, która mogła służyć za drąg albo dźwignię – trudno to było stwierdzić.

– Dobry wieczór – zagał Hrabia.

Z tego, co Westley pamiętał, arystokrata nigdy dotąd nie okazywał podobnego podniecenia. W odpowiedzi Westley słabo skinął głową. W rzeczywistości czuł się równie dobrze jak zawsze, ale uznał, iż nierozsądnie byłoby zdradzić ten fakt innym.

– Kiepsko się czujemy? – spytał Hrabia.

Westley ponownie kiwnął głową.

Albinos krzątał się wokół, przynosząc coraz to nowe rzeczy – podobne drutom, na oko niezliczone przewody.

– To wszystko – oznajmił wreszcie Hrabia.

Skinienie głowy.

Albinos odszedł.

– Oto Maszyna – oświadczył Hrabia, gdy zostali sami. – Na jej skonstruowanie poświęciłem jedenaście lat życia. Jak widzisz, jestem dość dumny i podekscytowany.

Westley zdołał mrugnąć potakująco.

– Jakiś czas potrwa, nim ją złożę. – Z tymi słowy Rugen wziął się do pracy.

Westley obserwował go ze sporą dozą całkowicie zrozumiałej ciekawości.

– Słyszałeś krzyk dziś wieczorem?

Kolejne potakujące mrugnięcie.

– To był głos dzikiego psa. Wywołała go ta maszyna. – Zajęcie, jakiemu oddawał się Rugen, było niezwykle złożone, lecz sześć palców u prawej dłoni Hrabiego nie wahało się ani przez moment. – Bardzo interesuje mnie ból – ciągnął dalej – co z pewnością zauważyłeś w ciągu ostatnich tygodni. W istocie moje zainteresowanie jest czysto intelektualne. Rzecz jasna, pisywałem na ten temat do co bardziej oświeconych periodyków. Głównie artykuły. Obecnie jestem w trakcie pisania książki. Mojej książki. Mam nadzieję, że okaże się dziełem mego życia. Podstawową pracą na temat bólu, przynajmniej takiego, jakim go znamy.

Westley słuchał urzeczony. Jęknął cicho.

– Uważam, iż ból jest najbardziej niedocenianym z dostępnych nam odczuć. W mojej interpretacji rajski wąż był niczym innym, jak bólem. Ból zawsze nam towarzyszył i irytuje mnie, kiedy ludzie powtarzają: „to sprawa życia albo śmierci”, według mnie bowiem winno to brzmieć „sprawa bólu albo śmierci”.

– Hrabia zamilkł na dłuższą chwilę, dokonując skomplikowanych poprawek. – Jedna z moich teorii – oznajmił w końcu – głosi, iż ból wiąże się z oczekiwaniem. Przyznaję, nie ma w tym nic oryginalnego, niemniej zamierzam zademonstrować ci w praktyce, co przez to rozumiem. Dzisiejszego wieczoru nie użyję, podkreślam: nie użyję Maszyny. Mógłbym to zrobić. Jest

gotowa i przetestowana. Zamiast tego zostawię ją, zmontowaną, obok ciebie, abyś mógł wpatrywać się w nią przez następne dwadzieścia cztery godziny i zastanawiać się, czym jest, do czego służy i czy naprawdę może być aż tak straszliwa. – Pociągnął za kilka kabli, tu i ówdzie docisnął węzeł, poluzował śrubę, poklepał, pociągnął, dokręcił.

Maszyna wyglądała tak głupio, że Westley miał ochotę się roześmiać. Zamiast tego jęknął cicho.

– Pozostawiam to twojej wyobraźni – stwierdził Hrabia, spoglądając na niego. – Chcę jednak, abyś przed tym, co czeka cię jutro wieczór, wiedział jedno: jesteś najsilniejszym, najinteligentniejszym, najdzielniejszym i generalnie najbardziej wartościowym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Mówię serio. Niemal smuci mnie, że dla dobra mojej książki i wszystkich tych, którzy w przyszłości będą zajmować się bólem, muszę cię zniszczyć.

– Dziękuję – wydyszał Westley.

Hrabia podszedł do drzwi klatki.

– Możesz też przestać udawać, jaki to jesteś słaby i pokonany – rzucił przez ramię. – Nie oszukałeś mnie nawet na chwilę. Jesteś praktycznie równie silny, jak w dniu, kiedy wkroczyłeś na Ogniste Bagna. Jeśli stanowi to dla ciebie jakąś pociechę, znam twój sekret.

– ...sekret? – Ściszony, umęczony głos.

– ODSYŁAŁEŚ SWOJE MYŚLI! – wykrzyknął Hrabia. – Przez cały ten czas nie ucierpiełeś ani odrobiny. Unosisz oczy, opuszczasz powieki i przenosisz się myślą – sam nie wiem – prawdopodobnie do niej. A teraz dobranoc. Postaraj się zasnąć. Wątpię, aby ci się to udało. Oczekiwanie, pamiętasz? – Pomachał mu ręką i ruszył w górę podziemnymi schodami.

Westley poczuł, jak niewidzialna dłoń zaciska mu się wokół serca.

Niedługo potem zjawił się albinos i ukląkł obok niego.

– Obserwowałem cię przez te wszystkie dni – szepnął mu do ucha. – Zasłużyłeś na lepszy los, niż ten, który cię czeka. Jestem tu potrzebny. Nikt inny nie potrafi tak jak ja nakarmić zwierząt. Nic mi nie grozi. Nie zrobią mi krzywdy. Zabiję cię, jeśli chcesz. To pokrzyżuje im plany. Mam znakomitą truciznę. Błagam cię. Widziałem, co potrafi Maszyna. Byłem tam, kiedy wył ten dziki pies. Proszę, pozwól, abym cię zabił. Przysięgam, że podziękujesz mi za to.

– Ja muszę żyć.

Szept:

– Ale...

– Nie dosięgną mnie. Czuję się świetnie. Nic mi nie jest. Żyję i pozostanę przy życiu. – Ostatnie słowa wypowiedział głośno, z żarem. Lecz po raz pierwszy od bardzo dawna w jego duszy zagodził strach...

* * *

– I co, zdołałeś zasnąć? – spytał Hrabia następnego wieczoru, wchodząc do klatki.

– Prawdę mówiąc, nie – odparł Westley zwyczajnym głosem.

– Cieszę się, że jesteś ze mną szczery. Ja także odpłacę ci tym samym; więcej żadnych podstępów. – Hrabia położył na stole stos notesów, gęsich piór i butelek atramentu. – Muszę dokładnie opisać twoje reakcje – wyjaśnił.

– W interesie nauki?

Rugen skinął głową.

– Jeśli ten eksperyment się powiedzie, moje imię przejdzie do historii. Muszę przyznać, że to

właśnie jest mój cel: nieśmiertelność. – Ustawił kilka pokręteł Maszyny. – Przypuszczam, że odczuwasz naturalną ciekawość co do jej działania.

– Myślałem nad tym całą noc i nadal wiem tyle, co na początku. Mogę tylko stwierdzić, że składa się z niezliczonej ilości miękkich przyssawek wszelkich rozmiarów, koła, pokrętła i dźwigni. Nie mam jednak pojęcia, do czego to wszystko służy.

– Jest jeszcze klej. – Hrabia wskazał ręką niewielkie korytko, pełne gęstej mazi. – Do przymocowania przyssawek. – To mówiąc, wziął się do pracy, ujmując przyssawkę za przyssawką. Dokładnie smarował klejem miękkie krawędzie, a następnie przykładając je do skóry Westleya, pokrywając ją tak szczelnie, jak tylko potrafił. – Będę musiał zamocować ci je również do języka – stwierdził – ale zostawiam to na koniec, w razie gdybyś miał jakieś pytania.

– Z pewnością nie jest to najłatwiejsze w montażu – zauważył Westley.

– Dopracuję ten aspekt w późniejszych modelach. Takie są przynajmniej moje plany. – Hrabia nadal umieszczał przyssawki na skórze Westleya, aż wreszcie każdy centymetr kwadratowy jego ciała pokrywały małe bańki. – To tyle, jeśli chodzi o skórę – stwierdził Rugen. – Następna część jest dość delikatna. Proszę, spróbuj się nie ruszać.

– Cały jestem skuty łańcuchami – odparł Westley. – Jak myślisz, do jakich ruchów mogę być jeszcze zdolny?

– Czy naprawdę jesteś tak odważny, jak wskazywałyby twoje słowa, czy też lękasz się choćby odrobinę? Tylko mów prawdę. Pamiętaj, to dla potomności.

– Trochę się boję – przyznał Westley.

Hrabia zanotował to, zapisał też dokładną godzinę. Następnie powrócił do przerwanej pracy i wkrótce maleńkie miękkie przyssawki wyścięły już wnętrze dziurek nosa Westleya, bębniły jego uszu, wewnętrzną stronę powiek, wierzch i spód języka, i kiedy Hrabia podniósł się wreszcie, wszystkie dostępne fragmenty ciała Westleya były pokryte przyssawkami.

– Teraz – oznajmił głośno Hrabia z nadzieją, że Westley go słyszy – muszę tylko pchnąć koło najmocniej, jak zdołam, żeby dostarczyło Maszynie dość energii do działania. Skala na pokrętle sięga od jednego do dwudziestu, a ponieważ dopiero zaczynamy, ustawię je na najniższy możliwy poziom, czyli jeden. Pozostaje już tylko przesunąć dźwignię naprzód i jeśli nic nie pokręciłem, wszystko zacznie działać.

Westley jednak, gdy dźwignia powędrowała naprzód, jak zwykle wysłał swój umysł daleko poza ciało i kiedy Maszyna zaczęła działać, on gładził włosy barwy jesieni i dotykał skóry koloru zimowej śmietany i... i... i nagle jego świat eksplodował, bo przyssawki, przyssawki były wszędzie. Przedtem torturowali tylko jego ciało, nie sięgając umysłu, ale nie Maszyna, Maszyna docierała wszędzie – nie mógł już kontrolować oczu, uszy nie słyszały miłosnych szeptów ukochanej i jego umysł zaczął spadać, coraz dalej od miłości, ku głębokim otchłaniom rozpacz. Tam zatrzymał się na chwilę, by znów runąć w dół, poprzez lochy cierpienia aż do królestwa bólu. Świat Westleya rozpadał się na strzępy, a on sam mógł jedynie podążyć w jego ślady.

W tym momencie Hrabia wyłączył Maszynę i, unosząc notatnik, stwierdził:

– Jak ci zapewne wiadomo, pompa ssąca została wynaleziona wieki temu. Cóż, moja Maszyna działa na tej samej zasadzie, tyle że zamiast wody wysysa życie. Właśnie wyssałem ci rok życia. Z czasem ustawię pokrętło nieco wyżej: z pewnością na dwa i trzy, może nawet aż na pięć. Teoretycznie pięć powinno być pięć razy gorsze niż to, czego właśnie doświadczyłeś, proszę więc, abyś starał się odpowiadać najpełniej, jak potrafisz. Powiedz mi, tylko szczerze: jak się czujesz?

W swym ponizeniu, cierpieniu, rozpacz, gniewie i żalu tak wielkim, że niemal odbierał zmysły, Westley zapłakał jak zranione dziecko.

– Ciekawe – mruknął Hrabia i starannie zapisał to w notesie.

* * *

Zgromadzenie odpowiedniej liczby żołnierzy i stosownego Oddziału Brutali zabrało Yellinowi pełny tydzień. Tak więc pięć dni przed ślubem stanął na czele swej drużyny, czekając na przemowę księcia. Działo się to na zamkowym dziedzińcu, a kiedy księżę pojawił się wreszcie, u jego boku jak zwykle stał Hrabia. Niezwykle było to, że Hrabia zdawał się pogrążony w myślach. Oczywiście tak było w istocie, ale Yellin nie mógł o tym wiedzieć. W ciągu ostatniego tygodnia Hrabia wyssał z Westleya dziesięć lat, co przy przeciętnej życia floreńskich mężczyzn oznaczało, iż ofierze zostało jeszcze jakieś trzydzieści, zakładając, że w chwili rozpoczęcia doświadczenia miał około dwudziestu pięciu lat. Jak jednak najlepiej to podzielić? Hrabia był w rozterce. Tak wiele możliwości, lecz która z nich okaże się najciekawsza w sensie naukowym? Rugen westchnął. Życie nigdy nie jest proste i łatwe.

– Znaleźliście się tutaj – zaczął księżę – ponieważ być może zawiązano nowy spisec przeciw mojej ukochanej. Ustanawiam was tedy, wszystkich razem i każdego z osobna, jej osobistymi strażnikami. Życzę sobie, aby Złodziejska Dzielnica była pusta, a jej mieszkańcy trafili pod klucz dwadzieścia cztery godziny przed moim ślubem. Dopiero wtedy odetchnę spokojnie. Panowie, proszę was – uważajcie to zadanie za krucjatę w obronie uczuć, a wiem, że nie zawiedziecie. – Z tymi słowami obrócił się na pięcie i, z Hrabią u boku, opuścił dziedziniec, pozostawiając sprawy w rękach Yellina.

Zdobywanie Złodziejskiej Dzielniczy rozpoczęło się natychmiast. Yellin pracował ciężko całymi dniami, ale że wzmiankowana dzielnica miała ponad dwieście pięćdziesiąt hektarów powierzchni, roboty było w bród. Większość przestępców miała już za sobą nielegalne, nieuzasadnione aresztowania, nie stawiała więc specjalnego oporu. Wiedzieli, że w więzieniach nie wystarczy cel dla wszystkich, a jeśli nawet oznaczało to kilka dni pod kluczem, kto by się tym przejmował?

Istniała jednak także druga grupa zbrodniarzy, świadomych, że w ich przypadku uwięzienie oznacza – za różne dawne sprawki – śmierć. Ci bez wyjątku stawiali opór. Ostatecznie jednak Yellin, dzięki mistrzowskiemu pokierowaniu Oddziałem Brutali, zdołał w końcu spacyfikować i tę grupę.

Mimo wszystko trzydzieści sześć godzin przed rozpoczynającym się o zachodzie słońca ślubem w Złodziejskiej Dzielniczy nadal pozostało kilka nieopróżnionych kryjówek. Yellin zerwał się o pierwszym brzasku i, zmęczony i zakłopotany – ani jeden ze schwytanych przestępców nie pochodził z Guldenu – zgromadził śmietankę Brutali, po czym poprowadził ich do Złodziejskiej Dzielniczy na ostatnią szychcę.

Pierwsze kroki Yellin skierował do gospody Falkbridge'a, wcześniej odesławszy do różnych zajęć wszystkich Brutali poza dwójką: cichym i hałaśliwym, tych bowiem zostawił przy sobie. Zapukał do drzwi Falkbridge'a i czekał. Gospodarz był niewątpliwie najpotężniejszym człowiekiem w całej Złodziejskiej Dzielniczy. Plotka głosiła, że co najmniej połowa domów należała do niego, nie było też żadnej zbrodni, za którą nie kryłby się Falkbridge. Zawsze udawało mu się uniknąć aresztowania i wszyscy poza Yellinem podejrzewali, że przekupił kogoś ważnego. Yellin wiedział, że gospodarz płaci za ochronę, bo co miesiąc, niezależnie od pogody,

Falkbridge przychodził do jego domu i wręczał mu torbę pełną pieniędzy.

– Kto tam?! – zawołał karczmarz z wnętrza gospody.

– Dowódca sił porządkowych Florenu w towarzystwie dwóch Brutali – odparł Yellin. Nigdy nie pozostawiał niedopowiedzeń; była to jedna z jego zalet.

– A, to ty. – Falkbridge otworzył drzwi. Jak na człowieka o takiej władzy wyglądał bardzo niepozornie – niski i korpulentny.

Yellin wszedł do środka, poleciwszy Brutalom, by zaczekali.

– Zbieraj się, szybko – rozkazał.

– Hej, Yellinie, to ja! – przypomniał cicho Falkbridge.

– Wiem, wiem – odparł równie cicho Yellin. – Proszę cię jednak, zrób mi tę grzeczność i chodź.

– Udajmy, że to zrobiłem. Obiecuję, że zostanę w gospodzie. Mam dość żywności. Nikt się nie dowie.

– Książę nie zna litości. Jeśli pozwolę ci zostać, a on to odkryje, koniec ze mną.

– Od dwudziestu lat opłacam cię, aby nie trafić do więzienia. Uczyniłem cię bogatym człowiekiem tylko dlatego, żebym nie musiał siedzieć w więzieniu. Gdzie tu logika? Mam ci płacić i nic z tego nie mieć?

– Wynagrodzę ci to. Dostaniesz najlepszą celę w całym Florenie. Czyżbyś mi nie ufał?

– Jak mogę ufać komuś, kto od dwudziestu lat bierze pieniądze, aby uchronić mnie przed więzieniem, po czym nagle, kiedy tylko pojawi się dodatkowy nacisk, każe mi iść do więzienia? Nigdzie nie pójdę.

– Ty tam! – Yellin wezwał gestem hałaśliwego Brutala, który ruszył biegiem w jego stronę. – Umieść tego człowieka na wozie. Natychmiast.

Falkbridge zaczął coś tłumaczyć, kiedy hałaśliwy Brutal rąbnął go pięścią w kark.

– Nie tak mocno! – krzyknął Yellin.

Hałaśliwy Brutal podniósł Falkbridge'a, próbując otrzepać jego ubranie z kurzu.

– Żyje? – spytał Yellin.

– Nie wiedziałem, że ma być żywy. Sądziłem, że, wie pan, ma się znaleźć na wozie, żywy albo martwy, wszystko jedno...

– Wystarczy – uciał Yellin i opuścił gospodę, hałaśliwy Brutal wtaszczył tymczasem Falkbridge'a na wóz.

– Czy to już wszyscy? – spytał Yellin, odprowadzając wzrokiem kolejnych członków oddziału, ciągnących swoje wozy.

– Chyba został jeszcze szermierz, ten od brandy – zaczął hałaśliwy Brutal. – Wczoraj próbowali go ruszyć, wie pan, ale...

– Nie będę zawracał sobie głowy jakimś pijaczyną, jestem na to zbyt ważną osobistością. Zabierzcie go stamtąd, i to już, obaj. Weźcie ze sobą ten wóz. Pospieszcie się! Do zachodu słońca cała dzielnica musi być pusta i zamknięta na głucho, inaczej książę się wścieknie, a nie przepadam za tym, gdy złości się na mnie.

– Już idziemy – odparł żołnierz i pobiegł naprzód, zostawiając swemu cichemu towarzyszowi holowanie wozu z nieprzytomnym Falkbridge'em. – Wczoraj kilku zwykłych żołnierzy próbowało go zabrać, ale okazało się, że dość dobrze włada szpadą, i to im się nie spodobało. Ja jednak sądzę, że znam sposób, aby go oszukać.

Milczący Brutal biegł w ślad za towarzyszem, wlokąc za sobą wóz. Skręcili za róg i zza kolejnego zakrętu usłyszeli pijackie mamrotanie, z każdą chwilą coraz głośniejsze.

– Zaczyna mnie to nudzić, Vizzini – bełkotał niewidoczny szermierz. – Trzy miesiące to bardzo długo, szczególnie dla gorąckrwistego Hiszpana. – I nagle, znacznie głośniej: – A MOJA KREW JEST BARDZO GORAÇA, VIZZINI, PODCZAS GDY TY JESTEŚ TYLKO POWOLNYM SYCYLIJCZYKIEM! Więc jeśli nie zjawisz się w ciągu następnych dziewięćdziesięciu dni, odchodzę. Słyszysz mnie? ODCHODZĘ! – Głos niespodziewanie złagodniał: – Nie chciałem tego powiedzieć, Vizzini, uwielbiam ten brudny ganek. Zaczekam, ile będzie trzeba...

Hałaśliwy Brutal zwolnił kroku.

– Nie słuchaj go i nie pokazuj się z wozem. – Jego milczący towarzysz dociągnął swój ciężar aż do zakrętu i stanął. – Zostań tutaj – dodał pierwszy żołnierz, po czym szepnął: – Oto mój podstęp.

Z tymi słowy skręcił za róg i znalazł się naprzeciw chudego mężczyzny. Nieznajomy siedział na ganku, ściskając w dłoni butelkę brandy.

– Hej, przyjacielu! – pozdrowił go Brutal.

– Nie zamierzam się stąd ruszać. Zachowaj swoje „hej” dla siebie – odparł konsument brandy.

– Wysłuchaj mnie, proszę. Przychodzę od samego księcia Humperdincka, który pożąda rozrywki. Jutro przypada pięćsetna rocznica powstania naszego państwa i w tej chwili dziesiątki żonglerów, szermierzy i cyrkowców konkurują ze sobą o prawo występu na uroczystości. Najlepsza dwójka będzie mogła zmierzyć się na oczach młodej pary. Dlatego właśnie tu jestem. Wczoraj kilku moich kolegów próbowało cię ruszyć. Powiedzieli, że odparłeś ich dzięki wspaniałej znajomości fechtunku. Jeśli więc zechcesz, poświęcę się i zawiozę cię na turniej szermierczy, gdzie jeżeli naprawdę jesteś taki dobry, możesz jeszcze dostąpić zaszczytu zabawienia królewskich małżonków. Sądzisz, że zdołałbyś wygrać podobny turniej?

– Bez problemu.

– Pospiesz się więc. Wciąż jeszcze możesz wziąć w nim udział.

Hiszpan zdołał podnieść się na nogi. Dobył z pochwy szpady i machnął nią kilka razy przed sobą.

Hałaśliwy żołnierz cofnął się szybko o kilka kroków.

– Nie ma czasu do stracenia. Chodź.

I nagle pijak zaczął wrzeszczeć:

– Czekam-tu-na-Vizziniego!...

– Kolego.

– Nie-jestem-twoim-kolegą-ale-dotarłem-już-do-celu!...

– Przyjacielu.

– Ani-kolega, ani-przyjaciel, czy nie rozumiesz, że... – Jego głos załamał się niespodzianie.

Mrużąc oczy, pijak spojrzął przed siebie i spytał cicho: – Fezzik?

Za pleców hałaśliwego Brutala jego cichy towarzysz odparł:

– Przecież nie bezik.

Inigo postąpił krok naprzód, desperacko starając się przebić wzrokiem alkoholowe opary.

– Bezik? Czy to kolejny w twoich żartów?

– Fartów – odrzekł cichy żołnierz.

Z gwałtownym okrzykiem Inigo rzucił się naprzód.

– Fezziku, wróciłeś!

– A jak sądziłeś? – Olbrzym wyciągnął rękę i złapał Iniga tuż przedtem, nim tamten runął na ziemię.

– Przytrzymaj go tak – polecił hałaśliwy Brutal, po czym zbliżył się szybko, unosząc pięść, jak wcześniej w przypadku Falkbridge’a.

Ł
U
P
!

Fezzik wrzucił hałaśliwego Brutala na wóz obok Falkbridge’a, przykrył obu wyświnionym kocem, po czym pospieszył z powrotem do Iniga, którego zostawił wspartego o ścianę budynku.

– Jak dobrze cię widzieć – powiedział.

– O tak... tak... ale... – Głos Hiszpana cichł z każdym słowem. – Za słaby jestem na niespodzianki – wykrztusił jeszcze i zemdłał.

Przyczyniło się do tego zmęczenie, brandy, niedożywienie, brak snu i parę innych rzeczy, pozbawionych jakiegokolwiek wartości odżywczej.

Fezzik uniósł go jedną ręką, w drugą ujął dyszel wozu i pomaszerował z powrotem do domu Falkbridge’a. Wtasczył Iniga do środka, położył na piętze w puchowym łożu gospodarza, po czym spiesznym krokiem ruszył do bramy Złodziejskiej Dzielnicy. Cały czas pilnował, żeby brudny koc zasłaniał obie ofiary, albowiem na zewnątrz członkowie Oddziału Brutali rachowali nogi wszystkich jeńców. Ponieważ ogólna ilość schwytanych zgadzała się z wcześniejszymi ustaleniami, o jedenastej rano oficjalnie ogłoszono, że wielka Złodziejska Dzielnica jest pusta i zamknięta.

Zwolniony na resztę dnia ze służby Fezzik obszedł mur, znalazł spokojne miejsce i zaczął czekać. Był sam. Mury nigdy nie stanowiły dla niego przeszkody, dopóki miał sprawne obie ręce, więc wspiął się na górę i pobiegł cichymi ulicami do domu Falkbridge’a. Tam zaparzył herbatę, zaniósł ją na górę i siłą napoił Iniga. Po chwili Hiszpan uniósł powieki.

– Jak dobrze cię widzieć – powtórzył Fezzik.

– O tak, tak – zgodził się Inigo. – Przepraszam, że zemdlałem, ale przez ostatnich dziewięćdziesiąt dni nie robiłem nic, poza czekaniem na Vizziniego i piciem brandy i zdumienie, towarzyszące twojemu powrotowi, okazało się ponad moje siły, szczególnie o pustym żołądku. Ale w tej chwili czuję się świetnie.

– To dobrze – odparł Fezzik. – Vizzini nie żyje.

– Ach, tak? Nie żyje, powiadasz... Vizz... – Z tymi słowami Hiszpan znów zemdłał.

Fezzik począł czynić sobie głośnie wyrzuty.

– Ty durniu, wiadomo, że jeśli istnieje właściwy sposób powiedzenia czegoś i sposób niewłaściwy, ty zawsze wybierzesz ten drugi. Mógłbyś nie być takim kretyńcem. Nie bądź głupcem, mój skowronku, wracaj chyżo do początku. – W tym momencie Fezzik naprawdę poczuł się jak idiota, ponieważ po kilku miesiącach wyczerpanych starań nagle przypomniał sobie wierszyk – w chwili, gdy zupełnie go już nie potrzebował. Pomaszerował na dół, zaparzył nową porcję herbaty, znalazł też garść herbatników i trochę miodu. Nakarmił tym Iniga.

Gdy ten otworzył oczy, olbrzym powiedział mu:

– Odpocznij.

– Dziękuję ci, przyjacielu. Nie będę już mdłał.

Potem Inigo z powrotem zamknął oczy i spał przez godzinę.

W tym czasie Fezzik zakrzętnął się w kuchni Falkbridge’a. Nie miał pojęcia, jak się robi prawdziwy posiłek, ale potrafił podgrzać jedzenie albo je wystudzić, umiał też węchem odróżnić dobre mięso od zepsutego, więc bez większych problemów odszukał w końcu coś, co kiedyś

było pieczenią, i coś, co było ziemniakiem.

Nieoczekiwany zapach gorącego jedzenia obudził Iniga. Hiszpan, nie wstając z łóżka, zaczął jeść podawane przez Fezzika kęsy.

– Sam nie wiedziałem, że jestem w aż tak strasznym stanie – stwierdził, żując.

– Ciii, zaraz poczujesz się lepiej. – Fezzik ukroił plaster pieczeni i wsunął go do ust przyjaciela.

Inigo ugryzł go ostrożnie.

– Najpierw zjawiłeś się zupełnie niespodziewanie, a potem do tego jeszcze wiadomość o śmierci Vizziniego. To było ponad moje siły.

– Takie wieści zmogłyby każdego. Odpocznij. – Fezzik zaczął odkrawać następny plaster pieczeni.

– Czuję się bezradny jak dziecko – wyznał Inigo. Odgryzł kolejny kęs i zaczął żuć mięso.

– Do zachodu słońca będziesz silny jak nigdy dotąd – obiecał mu Fezzik, unosząc pieczeń. – Człowiek o sześciu palcach nazywa się Hrabia Rugen i obecnie mieszka we Florencie.

– Interesujące – zdołał wykrztusić Inigo, po czym zemdłał po raz trzeci.

Fezzik stanął nad nieruchomym ciałem przyjaciela.

– Jak dobrze znów cię widzieć – rzekł. – Tyle czasu minęło i miałem tak wiele nowin.

Inigo leżał bez słowa.

Fezzik pospieszył do wanny Falkbridge'a, zatkał odpływ i ciężko pracując, napełnił ją parującą wodą. Następnie wrzucił do niej Iniga, przytrzymując go jedną ręką, a drugą zakrywając mu usta, kiedy zaś brandy zaczęła wraz z potem ulatniać się z jego ciała, Fezzik opróżnił wannę i napełnił ją ponownie. Tym razem woda była lodowata. Inigo powędrował do środka, gdy zaś woda nieco się ogrzała, olbrzym przyniósł kolejną porcję wrzątku, do którego trafił Inigo. Teraz brandy parowała z niego już na dobre. I tak to trwało, godzina za godziną, wrzątek i lód, odrobina herbaty, mała grzanka, i znów woda – gorąca i zimna, krótka drzemka, nieco mniej herbaty i większa grzanka, najdłuższa z gorących kąpeli – tym razem w ciele Iniga nie zostało już zbyt wiele alkoholu – i na koniec zimna, a potem dwie godziny snu. Kiedy późnym rankiem zasiedli w kuchni Falkbridge'a, w oczach Hiszpana po raz pierwszy od dziewięćdziesięciu dni pojawiło się coś przypominającego blask. Jego ręce trzęsły się co prawda, ale niemal niedostrzegalnie, i zapewne Inigo sprzed brandy pokonałby siebie terażniejszego po jakichś sześćdziesięciu minutach solidnej szermierki, lecz niewielu mistrzów tego świata wytrzymałoby dłużej niż pięć minut.

– Opowiedz mi w skrócie, co się z tobą działo, kiedy ja tkwiłem tutaj w towarzystwie brandy.

– Cóż, jakiś czas spędziłem w wiosce rybackiej, po czym wędrowałem bez celu, aż kilka tygodni temu znalazłem się w Guldenie. Mówiono tam powszechnie o zbliżającym się ślubie i może dodatkowo o wojnie. Wtedy przypomniałem sobie, jak niosłem Buttercup podczas wspinaczki na Urwiska Szaleństwa – była taka delikatna i ładna, a ja nigdy dotąd nie wahałem z bliska tak pięknych perfum. Pomyślałem więc, że miło będzie obejrzeć jej ślub, toteż przybyłem tutaj, tylko że nie miałem już pieniędzy, więc kiedy zaczęli tworzyć oddział brutalni i potrzebowali olbrzymów, postanowiłem się zgłosić, a oni walili we mnie pałkami, żeby sprawdzić, czy jestem wystarczająco silny. Kiedy kije się połamały, zdecydowali, że tak. Przez cały ostatni tydzień byłem Brutalem pierwszej kategorii. Bardzo dobrze mi płacą.

Inigo skinął głową.

– W porządku. Zaczynaj jeszcze raz i tym razem naprawdę się streszczaj. Od początku. Człowiek w czerni. Pokonał cię?

– Tak. I to czysto. Siła wobec siły. Byłem za wolny, wyszedłem z wprawy.

– Zatem to on zabił Vizziniego?

– Tak przypuszczam.

– Użył szpady czy siły?

Fezzik próbował sobie przypomnieć.

– Na ciele nie było żadnych ran, nie wyglądało też na połamane. Tylko dwa kielichy i martwy Vizzini. Osobiście obstawiałbym truciznę.

– Po co Vizzini miałby zażywać truciznę?

Fezzik nie umiał odpowiedzieć.

– Ale definitywnie nie żył?

Fezzik nie miał żadnych wątpliwości.

Inigo zaczął przechadzać się po kuchni. Jego ruchy były szybkie i sprężyste, jak niegdyś.

– W porządku, Vizzini nie żyje, wystarczy. Powiedz mi pokrótce, gdzie znaleźć sześciopalczastego Rugena, abym mógł go zabić.

– To może nie być takie łatwe, Inigo, ponieważ Hrabia jest z księciem, a księżę przebywa w zamku i przysiągł, że opuści go dopiero po ślubie, bo lęka się kolejnego podstępного ataku ze strony Guldenu. Wszystkie wejścia oprócz głównego zostały dla bezpieczeństwa zamknięte na głucho, a jedynej bramy strzeże dwudziestu ludzi.

– Hmmmm – mruknął Inigo, spacerując coraz szybciej. – Gdybyś ty powalił pięciu, a ja wytrącił broń kolejnym pięciu, oznaczałoby to, że mamy z głowy dziesięciu ludzi. Niedobrze, bo pozostałoby drugie tyle i ta dziesiątka mogłaby nas zabić. Wszelako – tu jeszcze bardziej przyspieszył kroku – gdybyś ty zajął się sześcioma, a ja ośmioma, dałoby to czternastu pobitych. Lepiej, ale nadal kiepsko, ponieważ sześciu pozostałych wciąż mogłoby nas zabić. – Nagle obrócił się na pięcie i spojrzał na Fezzika. – Z iloma najwyżej dałbyś sobie radę?

– Cóż, część z nich to członkowie Oddziału Brutali, więc nie sądzę, abym mógł pokonać więcej niż ośmiu.

– Czyli dla mnie zostałoby dwunastu, co nie jest niemożliwe, ale znam lepsze sposoby spędzenia pierwszego wieczoru po trzech miesiącach picia brandy. – Nagle ciało Iniga oklapło, w jego oczach, jeszcze przed chwilą błyszczących zapałem, pojawił się cień wilgoci.

– Co się stało? – wykrzyknął Fezzik.

– Och, mój przyjacielu, potrzebuję Vizziniego. Nie umiem planować. Wykonuję instrukcje. Powiedz mi, co mam robić, a nie znajdziesz nikogo, kto lepiej wypełniłby polecenia. Lecz mój umysł przypomina dobre wino – nagłe wzruszenia mu nie służą. Moje myśli wędrują z miejsca na miejsce, ale nie prowadzi ich żadna logika, zapominam też o wielu ważnych rzeczach. Fezziku, pomóż mi, co mam robić?

Fezzikowi także zbierało się na płacz.

– Jestem najgłupszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek się narodził, wiesz o tym doskonale. Nie mogłem sobie przypomnieć, że powinienem tu wrócić, nawet po tym, jak ułożyłeś dla mnie ten śliczny wierszyk.

– Potrzebny mi Vizzini.

– Ale Vizzini nie żyje.

Nagle Inigo znów zerwał się na nogi i zaczął krążyć po kuchni. Po raz pierwszy pstryknął palcami, co stanowiło u niego oznakę podniecenia.

– Nie potrzebuję Vizziniego, tylko tego, kto go pokonał: POTRZEBUJĘ CZŁOWIEKA W CZERNI! Posłuchaj: wygrał ze mną, używając stali, w której jestem mistrzem. Ciebie powalił

siłą, choć w niej właśnie kryje się twoja potęga. Musiał przechytryć Vizziniego, więc będzie wiedział, jak dostać się do zamku i zabić sześciopalczastego potwora. Jeśli masz choćby najbledsze pojęcie, gdzie w tej chwili można znaleźć człowieka w czerni, odpowiedz mi, szybko!

– Żegluję po siedmiu morzach ze strasliwym piratem Robertsem.

– Po cóż miałby robić coś takiego?

– Ponieważ służy u niego jako marynarz.

– Marynarz? Zwykły marynarz?! Zwykły przeciętny żeglarz miałby pokonać w pojedynku wielkiego Inigo Montoyę? Niewia-ry-god-ne. On sam musi być strasliwym piratem Robertsem. Inaczej to nie miałyby sensu.

– W każdym razie w tej chwili odpływa w dal. Tak twierdzi Hrabia Rugen, a rozkaz w tej sprawie wydał sam książę. Książę nie życzy sobie, by w pobliżu kręcili się jacyś piraci. Ma dość kłopotów z Guldenem: pamiętaj, raz już porwali księżniczkę, mogą spróbować ponownie...

– Fezziku, to my porwaliśmy księżniczkę. Nigdy nie odznaczałeś się zbytnim sprytem, ale nawet ty powinienes pamiętać, że sami wsunęliśmy pod jej siodło strzęp guldeńskiego munduru. Vizzini uczynił to, bo otrzymał ściśle instrukcje. Ktoś chciał, aby wina spadła na Gulden, a komuż mogłoby na tym zależeć, jeśli nie jakiemuś szlachcicowi? Jeśli zaś tak, to jakiemu szlachcicowi, jak nie miłującemu wojnę księciu? Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto wynajął Vizziniego. Osobiście podejrzewam, że Humperdinck. A co do słowa Hrabiego, dotyczącego miejsca pobytu człowieka w czerni, to skoro właśnie Hrabia zamordował kiedyś mego ojca, możemy być pewni, że wspaniały z niego gość. – Ruszył do drzwi. – Chodź. Mamy wiele do zrobienia.

Fezzik podążył w ślad za nim przez pograżające się w coraz większym mroku ulice Złodziejskiej Dzielnicy.

– Czy po drodze wyjaśnisz mi wszystko? – spytał.

– Wytłumaczę ci to teraz... – Sprężysty jak stal Hiszpan niemal biegł pustymi ulicami. Fezzik dreptał u jego boku. – A) Muszę dotrzeć do Hrabiego Rugena, aby w końcu pomścić mojego ojca. B) Sam nie potrafię opracować stosownego planu. C) Vizzini mógłby to zrobić za mnie, ale (c prim) z Vizzinim nie da się już skontaktować. Wszelako d) człowiek w czerni przechytrył Vizziniego, zatem e) człowiek w czerni może mi pomóc dostać się do Hrabiego.

– Ale mówiłem ci przecież, że po tym, jak go schwytano, książę Humperdinck wobec tłumu świadków rozkazał, by odesłano go na okręt całego i zdrowego. Każdy floreńczyk ci to powie.

– A) Książę Humperdinck opracował plan zamordowania swojej narzeczonej i wynajął nas, abyśmy go wykonali, ale (b) człowiek w czerni zapobiegł temu. Ostatecznie jednak (c) książę Humperdinck zdołał schwycić człowieka w czerni, a jak to wiadomo wszystkim mieszkańcom Florenu, książę ma niezwykle wybuchowy temperament, (d) a jeśli ktoś łatwo wybucha gniewem, cóż może sprawić mu większą przyjemność niż wyładowanie wściekłości na kimś, kto zrujnował jego plany zabicia narzeczonej? – Dotarli już do muru Złodziejskiej Dzielnicy. Inigo wskoczył na ramiona towarzysza i Fezzik zaczął się wspinać. – Wniosek numer jeden – ciągnął Inigo, nie zająkawszy się ani przez chwilę – ponieważ książę przebywa we Florenie, wyładowując swą złość na człowieku w czerni, człowiek w czerni także musi być we Florenie. Wniosek numer dwa: zapewne nie jest on szczególnie zachwycony swą obecną sytuacją. Wniosek numer trzy: ja także przebywam we Florenie i potrzebuję kogoś, kto zaplanuje moją zemstę. Jemu natomiast potrzebny jest ktoś, kto wybawi go z opresji. Kiedy zaś ludzie jednako potrzebują się nawzajem, wniosek czwarty i ostatni, można dobić interesu.

Fezzik dotarł już na szczyt muru i ostrożnie ruszył na dół po drugiej stronie.

- Rozumiem – stwierdził.
- Nic nie rozumiesz, ale to naprawdę nieważne. Chcesz zapewne powiedzieć, że cieszysz się z naszego spotkania tak jak i ja. Nienawidzę samotności.
- To właśnie miałem na myśli – odparł Fezzik.

* * *

Do ślubu pozostał jeszcze jeden dzień. Zapadał już zmierzch, gdy zaczęli na oślep przeszukiwać całe miasto Floren. O tej porze Hrabia Rugen miał właśnie rozpocząć kolejny eksperyment. Na razie był jeszcze w swoim pokoju i zbierał notatniki, w których zapisywał wszystkie obserwacje. Pięć pięter pod ziemią, za wysokimi zamkowymi murami, Westley czekał obok Maszyny, zakuty w łańcuchy, milczący. W pewnym sensie nadal wyglądał jak dawny Westley, tyle że oczywiście jego wola została złamana. Maszyna wyssała z niego dwadzieścia lat życia. Pozostało drugie tyle. Nawet oczekiwanie sprawiało nieznośny ból. Wkrótce Hrabia znów się pojawi. Wbrew resztkom godności, jakie mu jeszcze zostały, Westley nie mógł przestać płakać.

* * *

Zapadał już zmierzch, kiedy Buttercup poszła zobaczyć się z księciem. Zastukała głośno, odczekała chwilę, po czym zapukała ponownie. Słyszała dobiegające z komnaty krzyki Humperdincka i gdyby sprawa, z którą przyszła, nie była aż tak ważna, nie zastukałaby po raz trzeci. Jednak zrobiła to. Księżę szarpnięciem otworzył drzwi. Jego twarz, wykrzywiona gniewem, natychmiast rozjaśniła się w najśłodszym uśmiechu.

– Ukochana – powiedział. – Wejdz. Potrzebna mi jeszcze tylko chwilka. – Z tymi słowy odwrócił się do Yellina. – Spójrz na nią. Moja przyszła żona. Czyż jakikolwiek inny mężczyzna doświadczył podobnego błogosławieństwa?

Yellin ponownie potrząsnął głową. Księżę doprowadzał go do szału opowieściami o guldeńskiej infiltracji. Yellin zapędził do pracy wszystkich swoich szpiegów, którzy harowali dzień i noc, ale żaden z nich nie uzyskał żadnej informacji o guldeńskich planach. A jednak księżę nalegał. Yellin westchnął w duchu. Ta sprawa przerastała go. W końcu był tylko zwykłym stróżem porządku, nie zaś następcą tronu. Jedyna zaledwie w drobnym stopniu niepokojąca wiadomość, jaka dotarła do niego od czasu porannego zamknięcia Złodziejskiej Dzielnicy, pochodziła sprzed godziny, kiedy ktoś wspomniał mu, że podobno widziano okręt straszliwego pirata Roberta, wpływający do samego Kanału Floreńskiego. Yellin wiedział jednak z własnego długiego doświadczenia, iż podobne wieści to zazwyczaj jedynie plotki.

– Mówię ci, Guldeńczycy są wszędzie – ciągnął księżę. – Ponieważ najwyraźniej nie potrafisz ich powstrzymać, chcę nieco zmodyfikować nasze plany. Wszystkie bramy do zamku, poza największą, frontową, zostały zamknięte, tak?

– Tak. Tej zaś strzeże dwudziestu ludzi.

– Dodaj jeszcze osiemdziesięciu. Chcę mieć setkę strażników. Czy to jasne?

– Setkę, tak jest. Wszystkich moich Brutali.

– Wewnątrz zamku jestem zupełnie bezpieczny. Mam własne zapasy, jedzenie, stajnie – wszystko, co konieczne. O ile nie dotrą do mnie, nic mi nie grozi. Oto zatem ostateczne instrukcje. Zapisz je. Wszelkie uroczystości, związane z obchodami pięćsetnej rocznicy, zostają

zawieszono aż do czasu ślubu. Sam ślub odbędzie się jutro o zmierzchu. Moja pani i ja dosiadziemy siwków i, otoczeni twoimi strażnikami, pojedziemy na brzeg Kanału Floreńskiego. Tam czeka już na nas statek, którym pozełujemy na długo oczekiwany miodowy miesiąc, eskortowani przez wszystkie okręty z floreńskiej Armady...

– Wszystkie oprócz czterech – poprawiła Buttercup.

Księżę przez sekundę milczał, mrugając oczami. Następnie posłał jej całusa, ale dyskretnie, by Yellin tego nie widział.

– Tak, oczywiście, jakież ze mnie głupiec, wciąż o czymś zapominam. Wszystkie statki, oprócz czterech. – Z powrotem odwrócił głowę do Yellina.

Jednak nagle cisza i zdumione mrugnięcie sprawiły, iż Buttercup przejrzała go.

– Okręty te pozostaną z nami, póki nie uznam, że jesteśmy bezpieczni, i nie zwolnię ich. Rzecz jasna Gulden mógłby zaatakować nas w tym momencie, ale to ryzyko, które musimy podjąć. – Księżę uwielbiał wydawać rozkazy, szczególnie takie, których – jak wiedział – nigdy nie trzeba będzie wypełniać. Poza tym Yellin nie pisał zbyt szybko, co tylko dodawało smaczkowi całej zabawie. – Możesz odejść – powiedział wreszcie.

Yellin oddalił się z ukłonem.

– W ogóle nie wysłałeś tych czterech statków – stwierdziła Buttercup, gdy zostali sami. – Nie zaprzeczaj.

– Cokolwiek zrobiłem, było to wyłącznie dla twojego dobra, kwiatuśku.

– Jakoś dziwnie nie chce mi się w to wierzyć.

– Denerwujesz się. Ja zresztą też. Jutro się pobieramy, masz prawo być zdenerwowana.

– Ogromnie się mylisz; jestem zupełnie spokojna. – I rzeczywiście sprawiała takie wrażenie. – Nieważne, czy wysłałeś te statki, czy też nie. Westley przybędzie. Bóg istnieje, wiem to. Istnieje też miłość, jestem tego pewna. Westley mnie ocali.

– Niemądra dziewczynka. Wracaj do swojego pokoju.

– Zgadza się, jestem tylko niemądrą dziewczynką. Tak, wrócę do swego pokoju. Ty zaś jesteś tchórzem, który nie zna niczego prócz strachu.

Księżę nie zdołał powstrzymać śmiechu.

– Masz przed sobą najwspanialszego myśliwego świata! A ty powiadasz, że jestem tchórzem?

– Owszem, i powtórzę to raz jeszcze. Z wiekiem staję się coraz mądrzejsza. Nazywam cię tchórzem, bo to prawda; sądzę, że wyruszasz na łowy tylko po to, by przekonać samego siebie, że nie jesteś tym, kim jesteś: największym słabeuszem w dziejach świata. On po mnie przyjedzie i odejdziemy razem, a ty, mimo swych talentów myśliwskich, nic na to nie poradzisz, bo Westleya i mnie łączy więź miłości. Jej zaś nie wytrąpi nawet tysiąc ogarów, nie przerwie tysiąc mieczy.

Humperdinck skoczył ku niej z wściekłym okrzykiem, szarpiąc włosy barwy jesieni. Brutalnie postawił Buttercup na nogi i powlókł długim, łagodnie skręcającym korytarzem do jej sypialni, po czym kopniakiem otworzył drzwi, wepchnął ją do środka, zamknął na klucz i zaczął biec ku podziemnemu wejściu do Zoo Śmierci...

* * *

Ojciec przerwał czytanie.

– Dalej – popędzałem go.

– Pogubiłem się – stwierdził, a ja czekałem, wciąż osłabiony po zapaleniu płuc, spocony ze

strachu, póki nie podjął lektury: – „Inigo pozwolił, aby to Fezzik otworzył drzwi...”.

– Hej! – przerwałem mu. – Zaczekaj, coś tu nie gra, opuściłeś kawalek. – Po czym ugryzłem się w język, bo dopiero co przeszliśmy przez całą tę scenę, kiedy zdenerwowałem się, słysząc o tym, jak Buttercup wyszła za Humperdincka, i oskarżyłem go, że źle przeczytał. Nie chciałem tego powtarzać. – Tato – powiedziałem. – Nie miałem na myśli nic złego, ale zdaje się, że książkę biegł do Zoo, po czym następne zdanie było już o Inigu. Może więc, no wiesz, przeoczyłeś stronę albo dwie?

Ojciec zaczął zamykać książkę.

– Wcale się nie kłóć, proszę, czytaj dalej.

– Nie o to chodzi – odparł, po czym przez długą chwilę wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Billy – rzekł wreszcie (Prawie nigdy mnie tak nie nazywał. Uwielbiałem, kiedy to robił. Zazwyczaj nie cierpiałem tego zdrobnienia, ale kiedy używał go fryzjer, to nie wiem, coś we mnie miękło). – Ufasz mi, Billy?

– O co ci chodzi? Oczywiście, że tak.

– Billy, masz zapalenie płuc. Bardzo przeżywasz tę książkę. Wiem, bo już raz sprzeczałeś się o to.

– Wcale się nie sprzeczam...

– Posłuchaj, nigdy dotąd cię nie okłamałem, prawda? W porządku. Zaufaj mi. Wolałbym nie czytać ci reszty tego rozdziału i chcę, żebyś się na to zgodził.

– Czemu? Co dzieje się w tym rozdziale?

– Jeśli ci powiem, równie dobrze mógłbym wszystko przeczytać. Po prostu się zgódź.

– Nie mogę, póki nie dowiem się, co było dalej.

– Ale...

– Powiedz mi, co się stanie, a ja powiem ci, czy się zgadzam. Przyrzekam, że jeśli nie będę chciał tego słyszeć, pozwolę ci przejść do Iniga.

– Nie zrobisz tego dla mnie?

– Wykradnę się z łóżka, kiedy zaśniesz. Nie obchodzi mnie, gdzie ukryjesz książkę, i tak ją znajdę i sam przeczytam końcówkę rozdziału, więc równie dobrze możesz mi powiedzieć.

– Billy, proszę...

– Mam cię, sam przyznaj.

Ojciec westchnął ciężko.

Wiedziałem, że wygrałem.

– Westley umiera – oznajmił.

– Co to znaczy „Westley umiera”? Chodzi ci o to, że umiera?

Ojciec przytaknął.

– Książkę Humperdincka go zabija.

– Ale on tylko udaje, tak?

Ojciec pokręcił głową i zatrzasnął książkę.

– O cholera – powiedziałem i rozplakałem się.

– Przykro mi – rzucił ojciec. – Zostawię cię samego. – Ruszył ku drzwiom.

– KTO ZAŁATWI HUMPERDINCKA?! – krzyknąłem w ślad za nim.

Przystanął już w korytarzu.

– Nie rozumiem.

– KTO ZABIJE KSIĘCIA HUMPERDINCKA? Na końcu ktoś musi go załatwić. Kto to będzie? Fezzik?

– *Nikt go nie zabija. Humperdinck przeżył.*

– *To znaczy, że wygrywa, tak? Jezu, po coś mi w ogóle to czytał?*

Wtuliłem twarz w poduszkę; nigdy do dziś dnia nie płakałem tak mocno jak wtedy. Niemal czułem, jak wraz ze łzami wypływa ze mnie całe serce. Najbardziej zdumiewające w płaczu jest to, że kiedy jesteś w trakcie, wydaje ci się, że to trwa wiecznie, ale w rzeczywistości wszystko odbywa się o wiele krócej. Przynajmniej jeśli chodzi o czas bezwzględny. Pod względem uczuć jest nawet gorzej, niż myślisz, ale zegary wiedzą swoje. Kiedy ojciec wrócił do pokoju, nie minęła nawet godzina.

– *I co? – spytał. – Czytamy coś jeszcze dziś wieczorem?*

– *Wal – odparłem. Moje oczy były suche, głos brzmiał zupełnie normalnie, nic niezwykłego. – Twój ruch.*

– *Zaczynamy od Iniga?*

– *Posłuchajmy o morderstwie. – Wiedziałem, że nie załamie się ponownie. Moje serce, jak kiedyś Buttercup, było teraz tajemnym ogrodem, otoczonym wysokim murem.*

* * *

Humperdinck skoczył ku niej z wrzaskiem, szarpiąc włosy barwy jesieni. Brutalnie postawił Buttercup na nogi i powlókł długim, łagodnie skręcającym korytarzem do jej sypialni, po czym kopniakiem otworzył drzwi, wepchnął ją do środka, zamknął na klucz i zaczął biec ku podziemnemu wejściu do Zoo Śmierci, w dół, coraz niżej, stawiając ogromne kroki, a kiedy rozwarł gwałtownie drzwi klatki na piątym poziomie, nawet Hrabia Rugen zdumiał się na widok tego, co wyrażały oczy księcia. Humperdinck zbliżył się do Westleya.

– *Ona cię kocha! – wykrzyknął. – Ciągle cię kocha, a ty kochasz ją. Pomyśl tylko i zważ: spośród wszystkich ludzi wy dwoje mogliście być szczęśliwi, naprawdę szczęśliwi. Wbrew temu, co twierdzą książki, nie więcej niż jedna para na stulecie ma taką szansę, ale wy ją mieliście, więc sądzę, że myśl o tym, co straciłeś, sprawi ci większy ból niż komukolwiek innemu na tym świecie. – Z tymi słowy chwycił pokrętko i przekręcił je do oporu.*

– *Nie na dwadzieścia! – ryknął Hrabia, ale było już za późno – z gardła Westleya wydarł się pełen śmiertelnego cierpienia krzyk.*

* * *

Był on znacznie straszniejszy niż krzyk dzikiego psa. Po pierwsze, w przypadku psa pokrętko zostało ustawione zaledwie na „sześć”, podczas gdy teraz wskazywało ponad trzy razy więcej. Naturalnie więc ten krzyk był trzykrotnie dłuższy – i trzykrotnie głośniejszy. Nie to jednak decydowało o jego potworności.

Różnicę sprawił fakt, iż tym razem ów głos dobywał się z ludzkiego gardła.

Buttercup usłyszała go w swojej komnacie i przeraził ją, choć nie miała najbledszego pojęcia, co to za dźwięk.

Przy głównej bramie usłyszał go Yellin i także poczuł strach, mimo że i on nie wyobrażał sobie, co mogłoby wydać z siebie podobny wrzask.

Cała setka Brutali i zwykłych żołnierzy, ustawionych po obu stronach głównego wejścia do zamku, także usłyszała ów krzyk i wstrząsnął on wszystkimi bez wyjątku. Przez jakiś czas dyskutowali nawet na ten temat, ale żaden z nich nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięło się coś

takiego.

Cały rynek zapełniali ludzie, podekscytowani zbliżającym się ślubem i rocznicą. Oni również słyszeli niesamowity krzyk, a choć nikt z nich nie udawał nawet, że go to nie poruszyło, nie mieli pojęcia, co to może być.

Pełen śmiertelnego cierpienia krzyk rozbrzmiewał coraz głośniejsze w nocnym powietrzu.

Wszystkie ulice, prowadzące na rynek, były zapchane ludźmi próbującymi dostać się jak najbliżej zamku. Krzyk dotarł i do nich, ale kiedy przyznali już, że przejął ich strachem do szpiku kości, zrezygnowali z domysłów, co też może oznaczać.

Inigo odgadł to natychmiast.

Słyszając go, zamarł bez ruchu w wąskiej uliczce, w której wraz z Fezzikiem starali się utorować sobie drogę, on sam – chwilowo pogrążony we wspomnieniach. Uliczka prowadziła do alei wychodzącej na rynek i także była zatłoczona.

– Nie podoba mi się ten dźwięk – stwierdził Fezzik. Jego skórę przebiegł nagły dreszcz.

Inigo ścisnął ramię olbrzyma, wyrzucając z siebie gwałtowny potok słów:

– Fezziku, Fezziku – to jest głos Krańcowego Cierpienia – znam go – tak właśnie krzyknęło moje serce, gdy Hrabia Rugen zamordował mi ojca, a ja patrzyłem, jak pada – w tej chwili wydaje go z siebie człowiek w czerni...

– Myślisz, że to on?...

– Któż inny miałby powody do Krańcowego Cierpienia tej świątecznej nocy? – Z tymi słowami ruszył w stronę źródła dźwięku.

Jednak drogę zagrażał mu tłum, a Inigo, choć silny, nie był zbyt masywny.

– Fezziku! – zawołał. – Fezziku, musimy podążyć za tym krzykiem, dowiedzieć się, skąd dobiega, a ponieważ ja nie mogę się ruszyć, musisz mnie poprowadzić. Biegnij, Fezziku. BŁAGAM!

Cóż, nieczęsto zdarzało się, by ktokolwiek, a już szczególnie Inigo, błagał o coś Fezzika, więc kiedy do tego doszło, olbrzym wiedział, że musi zrobić wszystko, co w jego mocy. Nie czekając więc ani chwili dłużej, zaczął przepychać się naprzód. Napotkał jednak opór mnóstwa ludzi. Fezzik pchnął mocniej. Mnóstwo ludzi poczęło się odsuwać. Jak najdalej od olbrzyma. Szybko.

Okrzyk cierpienia zaczynał już słabnąć, przygasał wśród chmur.

– Fezziku! – rzucił Inigo. – Z całych sił. JUŻ!

Olbrzym popędził uliczką, a ludzie z krzykiem uskakiwali mu z drogi. Inigo biegł tuż za nim, dotrzymując mu kroku. Uliczka prowadziła do większej ulicy. Krzyk zaczynał już cichnąć, ale Fezzik skręcił w lewo, biegnąc środkiem alei, jakby należała ona tylko do niego. Nikt nie ośmielił się stanąć mu na drodze. Krzyk stawał się coraz słabszy, więc Fezzik całą mocą swych płuc ryknął:

– CISZA! – I wszyscy nagle umilkli.

Fezzik biegł dalej, z Inigem następującym mu na pięty, a słabe echa krzyku nadal rozbrzmiewały w powietrzu. Przyjaciele wpadli na wielki floreński rynek, skąd krzyk poprowadził ich w stronę zamku i dalej, aż wreszcie ostatecznie ucichł.

* * *

Westley leżał martwy obok Maszyny. Księżę wciąż jeszcze przytrzymał pokrętko na dwudziestce, choć od dawna nie było to już konieczne. Wreszcie Hrabia oznajmił:

– To już koniec.

Humperdinck wyszedł, nie oglądając się na trupa. Wędrował tajnymi podziemnymi schodami, przeskakując po cztery stopnie naraz.

– Ośmieliła się nazwać mnie tchórzem – rzucił, po czym zniknął Hrabiemu z oczu.

Rugen zabrał się za sporządzanie notatek. Po chwili jednak odrzucił gęsie pióro. Pobieźnie zbadał ciało Westleya i powoli pokręcił głową. Śmierć jako taka zupełnie go nie interesowała: nieżywi nie odczuwają bólu.

– Pozbądź się zwłok – polecił, bo choć nie widział albinosa, wiedział, że ten czeka gdzieś w pobliżu. „Naprawdę szkoda”, pomyślał, wspinając się po schodach w ślad za księciem. Nieczęsto trafia się na tak doskonałe ofiary.

Kiedy obaj arystokraci odeszli, albinos wyszedł z mroku, oderwał przyssawki od ciała i zdecydował, że spali je na śmietniku na tyłach miasta. Co oznaczało, że będzie mu potrzebna taczka. Pobiegł więc schodami, wyszedł tajnymi drzwiami i pomaszerował szybko do głównego składu narzędzi. Wszystkie taczki stały na samym końcu, przy ścianie, przywalone stosami motyk, grabi i nożyc do strzyżenia żywopłotów. Albinos syknął z niesmakiem i zaczął się przedzierać przez sterty narzędzi. Zawsze musiało przytrafić mu się coś takiego, a już zwłaszcza wtedy, kiedy się spieszył. Ponownie syknął. Ciągłe tylko praca i praca, bez chwili wytchnienia. Ot, parszywe życie.

Wreszcie wydostał taczkę i właśnie mijał fałszywe – śmiertelnie niebezpieczne – wejście do Zoo, kiedy nagle usłyszał czyjś głos, mówiący:

– Zlokalizowanie źródła tego krzyku to naprawdę diablo trudna sprawa.

Albinos odwrócił się gwałtownie i ujrzał przed sobą – na terenach zamkowych! – szczupłego niczym stalowa klinga nieznajomego, dzierżącego w dłoni szpadę. Ostrze błysnęło nagle i znalazło się tuż przy gardle albinosa.

– Gdzie jest człowiek w czerni? – spytał obcy. Oba jego policzki przecinały ogromne blizny; w ogóle sprawiał wrażenie kogoś, z kim nie należy żartować.

Szept:

– Nie znam żadnego człowieka w czerni.

– Czy ów krzyk dochodził stąd? – Nieznajomy wskazał główne wejście do podziemi.

Skinienie głowy.

– A krtań, z której dobiegał? Potrzebuję tego człowieka, więc gadaj, i to szybko!

Szept:

– Westley.

Inigo zastanowił się chwilę.

– Marynarz? Przywieziony przez Rugena?

Skinienie głowy.

– Gdzie go znajdę?

Albinos zawahał się, po czym wskazał fałszywe wejście-pułapkę.

– Jest na najniższym poziomie – szepnął. – Pięć pięter w dół.

– W takim razie nie jesteś mi już potrzebny. Fezziku, ucisz go.

Nagle albinos dostrzegł ogromny cień poruszający się za plecami nieznajomego. „Zabawne”, pomyślał – i była to ostatnia rzecz, jaką pamiętał. – „Sądziłem, że to drzewo”.

Inigo płonął entuzjazmem. Nic już nie mogło go powstrzymać. Fezzik natomiast zawahał się, stając przy głównym wejściu.

– Czemu miałyby powiedzieć nam prawdę?

– To nadzorca zwierzyńca, zagroziliśmy mu śmiercią. Po co miałyby kłamać?

– Jedno nie wynika z drugiego.

– NIE DBAM O TO! – odparł ostro Inigo i rzeczywiście nie dbał. W głębi serca wiedział, że człowiek w czerni znajduje się tam w dole. Był to jedyny powód, dla którego odnalazł go Fezzik, dla którego Fezzik wiedział o Rugenie. Po tylu latach wszystko zmierzało do nieuniknionego rozwiązania. Jeśli Bóg istnieje, człowiek w czerni czeka gdzieś na nich. Inigo to wiedział. WIEDZIAŁ. I oczywiście miał całkowitą rację. Z drugiej jednak strony było też, rzecz jasna, wiele rzeczy, o których nie miał pojęcia. Na przykład to, że człowiek w czerni nie żyje. Albo że widniejące przed nim wejście to pułapka przeznaczona dla tych, którzy – tak jak on – nie należeli do grona wtajemniczonych. W podziemiach kryły się jadowite kobry, ale to, co na nich czekało, było jeszcze gorsze. O tym także nie wiedział.

Jednak jego ojciec musiał zostać pomszczony. A tylko człowiek w czerni mógł zaplanować tę zemstę. Inigowi to wystarczyło.

Toteż z zapalem, którego już wkrótce miał gorzko pożałować, z Fezzikiem u boku, stanął na progu Zoo Śmierci.

ROZDZIAŁ SIÓDMY





INIGO PUŚCIŁ FEZZIKA PRZODEM – nie po to, by skryć się pod osłoną siły olbrzyma, lecz dlatego że owa siła była niezbędna, by wejść do środka. Ktoś musiał wysadzić z zawiasów grube drzwi do lochów, a takie przedsięwzięcia stanowiły specjalność Fezzika.

– Są otwarte – stwierdził Turek, przekręcając klamkę i zerkając do środka.

– Otwarte?

Inigo zawahał się przez moment. Coś było nie tak. Czemu miejsce tak cenne, jak prywatne zoo księcia, miało być otworem?

– Okropnie tu cuchnie zwierzętami – zauważył Fezzik. – Smród jak nie wiem!

– Daj mi pomyśleć – powiedział Inigo. – Postaram się dojść, o co w tym chodzi.

Uczył, co mógł, ale bez rezultatu. Nie zostawia się brylantów na stole w jadalni, a Zoo Śmierci powinno być zamknięte na głucho. Musiał istnieć jakiś powód. Trzeba tylko wyteńczyć umysł i odpowiedź sama się znajdzie. (Powód, dla którego drzwi akurat stały otworem, był prosty – drzwi te zawsze stały otworem. Czemu? Dla bezpieczeństwa. Nikt, kto kiedykolwiek wszedł do środka frontowymi drzwiami, nie dożył momentu wyjścia. Pomyśl był dziełem Hrabiego Rugena, który pomógł księciu zaprojektować to miejsce. Księżę wybrał odpowiedni punkt – najdalszy kąt terenów zamkowych, leżący z dala od wszystkiego, tak by ryki zwierząt nie niepokoiły służby – ale to Hrabia zaprojektował wejście. Prawdziwe drzwi mieściły się wewnątrz ogromnego drzewa, którego korzeń unosił się, ukazując schody. Schodami tymi schodziło się na poziom piąty. Fałszywe drzwi, zwane jedynymi prawdziwymi, prowadziły gościa po poziomach bardziej tradycyjną trasą: z pierwszego poziomu na drugi, z drugiego na trzeci, czy, ściślej mówiąc, z drugiego w objęcia śmierci.)

– Tak – stwierdził wreszcie Inigo.

– Doszedłeś do czegoś?

– Powód, dla którego drzwi zastaliśmy otwarte, jest prosty: albinos zamknąłby je, nie byłby taki głupi. Ale, Fezziku, mój przyjacielu, dopadliśmy go, zanim zdążył to zrobić. Bez wątpienia gdyby skończył korzystać z taczek, zabrałby się do zamykania i ryglowania. Wszystko jest w porządku, możesz przestać się denerwować. Chodźmy.

– Z tobą czuję się tak bezpiecznie – odparł Fezzik, ponownie otwierając drzwi.

W trakcie tej czynności dostrzegł, że drzwi nie tylko były otwarte, lecz w ogóle nie miały zamka. Zastanawiał się, czy o tym nie wspomnieć, ale zrezygnował z tego zamiaru, bo wtedy Inigo musiałby przystanąć i znaleźć nowe wytłumaczenie, a jego namysł chwilę wcześniej kosztował ich sporo czasu. Choć bowiem olbrzym stwierdził głośno, że przy Inigo czuje się bezpieczny, tak naprawdę okropnie się bał. Już wcześniej dotarły do niego dziwne pogłoski o tym miejscu. Lwy mu nie przeszkadzały, kto by też się przejmował gorylami: to nic wielkiego. To pełzacze budziły w nim dreszcz zgrozy. I wijacze. Żądłacze. I... wszystko, przyznał Fezzik, aby być szczerym z samym sobą. Pająki, węże, owady i nietoperze – nie przepadał za żadnymi z nich.

– Nadal cuchnie zwierzętami – oznajmił, przytrzymując przyjacielowi drzwi.

I tak, ramię w ramię, wkroczyli do Zoo Śmierci, a wielkie drzwi bezszelestnie zamknęły się za nimi.

– Niesamowite miejsce – mruknął Inigo, mijając kilkanaście klatek, w których siedziały

gepardy i kolibry oraz przeróżne szybkie stworzenia.

Na końcu korytarza ujrzeni kolejne drzwi. Przybita nad nimi tabliczka głosiła: „Wejście na poziom drugi”. Otworzyli drzwi, zobaczyli długie schody, opadające stromo w dół.

– Uważaj – rzucił Inigo. – Trzymaj się blisko mnie i pilnuj, żebyś nie stracił równowagi.

Zaczęli schodzić ku drugiemu poziomowi.

– Czy obiecasz mi, że jeśli ci coś powiem, nie będziesz się śmiał ani złościł? – spytał Fezzik.

– Daję słowo. – Inigo skinął głową.

– Boję się jak cholera.

– Mnie też dziś lęk doskwiera – odpalił natychmiast Inigo.

– Och, co za wspaniały rym.

– Wał do mnie tak jak w dym – zrymował błyskawicznie Inigo i poczuł się niczym ktoś niezmiernie błyskotliwy, widząc, jak Fezzik wyraźnie się odprężył.

Hiszpan uśmiechnął się i klepnął olbrzyma po potężnym ramieniu. Co za wspaniały gość z niego! Jednak głęboko, w tajemnicy żołądek Iniga ścisnął się ze strachu. Ogromnie wstrząsnęło nim i zdumiało go odkrycie, że ktoś taki jak Fezzik, człowiek o, zdawałoby się, niewyczerpanej sile, może bać się jak cholera. Jeszcze przed chwilą Inigo sądził, że z nich dwóch to on boi się jak diabli. Fakt, że strach dolegał im obu, nie wróżył zbyt dobrze – od przerażenia już tylko krok do paniki. Ktoś musiał zachować rozsądek i Inigo założył z góry, że skoro Fezzik i tak nie ma go zbyt wiele, łatwiej przyjdzie mu zatrzymać uciekające resztki. Nic z tego, uświadomił sobie teraz. No cóż, będzie musiał uczynić wszystko, co w jego mocy, by zapobiec wybuchowi paniki, i tyle.

Schody były proste i bardzo długie, w końcu jednak dotarli na dół. Następne drzwi. Fezzik pchnął je lekko i drzwi rozwarły się szeroko, ukazując kolejny korytarz między klatkami – wielkimi klatkami, pełnymi ryczących hipopotamów i sześciometrowych aligatorów, rzucających się w płytkiej wodzie.

– Musimy się pospieszyć – stwierdził Inigo i ruszył szybszym krokiem – choćbyśmy nie wiem jak bardzo pragnęli zabawić tu dłużej. – Niemal biegiem dopadł tabliczki z napisem „Wejście na poziom trzeci”. Inigo otworzył drzwi i spojrział w dół. Fezzik zerknął mu przez ramię.

– Hmmm – mruknął Hiszpan.

Te schody różniły się od poprzednich. Były nieco mniej strome i w połowie skręcały ostro tak, że z góry nie można było dostrzec ich końca. Na ścianach, tuż pod sufitem, płonęły dziwne świece. Cienie, rzucane przez obu przyjaciół, wydłużyły się nagle.

– Cóż, cieszę się, że nie bywam tu zbyt często w moich snach – rzucił Inigo, starając się rozbawić towarzysza.

– Strach – zrymował odruchowo Fezzik.

Inigo eksplodował nagłym gniewem.

– Doprawdy! Jeśli nie potrafisz się opanować, to może odeślę cię na górę, żebyś tam zaczekał – zupełnie sam!

– Nie zostawiaj mnie! To znaczy, nie każ mi cię zostawiać. Proszę. Chciałem powiedzieć „dach”, nie wiem, skąd wzięło się to „str”.

– Naprawdę zaczynam już tracić do ciebie cierpliwość. Chodźmy. – Inigo ruszył naprzód, Fezzik dreptał tuż obok. A kiedy drzwi zamknęły się za nimi, zdarzyły się dwie istotne rzeczy:

1) zamek w drzwiach zatrzaskał się na dobre;

2) zgasły wszystkie świece na ścianach.

– NIE BÓJ SIĘ! – wrzasnął Inigo.

– WCALE SIĘ NIE BOJĘ! – odrzyknął Fezzik, po czym z szaleńczo walącym sercem dodał:
– Co zrobimy?

– To pros-s-ste – powiedział po chwili Inigo.

– Ty też się boisz? – spytał Fezzik z ciemności.

– Absolutnie... nie – odparł Inigo, starannie wymawiając każde słowo. – A przedtem chciałem powiedzieć „to łatwe”. Nie wiem, skąd wzięło się to „s-s-s”. Posłuchaj: nie możemy zawrócić, z pewnością też nie chcemy zostać tutaj, więc musimy po prostu iść dalej w tym samym kierunku, co przed tym drobnym wypadkiem. W dół. Tam właśnie zmierzamy, Fezziku, ale ponieważ widzę, że jesteś nieco spięty, pozwolę ci iść nie za mną czy przede mną, ale obok, po tych samych stopniach, krok w krok. Zgodzę się nawet, abyś położył mi rękę na ramieniu, bo wtedy na pewno poczujesz się lepiej. A żeby nie było ci głupio, ja także wesprę ci dłoń na ramieniu i razem, bezpieczni, ruszymy na dół.

– Czy dobędziesz szpady wolną ręką?

– Już to zrobiłem. A ty, czy zaciśniesz swoją w pięść?

– Jest zaciśnięta.

– Zatem spójrzmy na to z innej perspektywy: to prawdziwa przygoda, Fezziku. Większość ludzi żyje i umiera, nie zaznawszy smaku przygody. Mamy szczęście.

Zeszli o jeden stopień. Następny. Potem dwa, trzy; w sumie szło im coraz lepiej.

– Jak myślisz, czemu zamknęli nam drzwi za plecami? – spytał Fezzik.

– Zapewne żeby dodać smaczku naszej wyprawie – odparł Inigo.

Bez wątpienia było to nędzne wyjaśnienie, ale od ręki nie potrafił wymyśleć nic lepszego.

– Właśnie zaczyna się zakręt – stwierdził Fezzik. Zwolnili kroku i bez szwanku minęli ostry skręt, wciąż schodząc w dół. – I z tego samego powodu zgasili świece – żeby dodać smaczku?

– Najprawdopodobniej. Nie ściskaj mnie tak mocno.

– To ty mnie nie ściskaj...

W tym momencie pojęli, że są zgubieni.

Od wielu lat w środowisku zoologów toczy się zacięty spór o to, który z ogromnych węży zasługuje na miano największego. Zwolennicy anakondy bez przerwy trąbią o tym, że nad Orinoko schwytano okaz ważący dobrze ponad dwieście kilo, podczas gdy stronnictwo pytona podkreśla przy każdej okazji, że afrykański pyton skalny, upolowany w okolicach Zambezi, mierzył dziesięć metrów i pięćdziesiąt cztery centymetry. Oczywiście cała ta dyskusja nie ma sensu, bowiem pojęcie „największy” jest bardzo nieprecyzyjne i nie ma żadnego znaczenia w poważnych rozprawach naukowych.

Jednakże każdy specjalista od węży, nieważne, gdzie pobierał nauki, przyzna, iż arabski garstini, choć krótszy niż pyton i lżejszy od anakondy, jest zwinniejszy i bardziej agresywny niż oba te gatunki razem wzięte. Egzemplarz zaś, należący do księcia Humperdincka, nie tylko był wyjątkowo szybki, lecz także utrzymywano go w stanie permanentnego wygłodzenia, więc pierwszy splot opadł na nich jak błyskawica, przyciskając dłonie do boków tak, że szpada i pięść nie zdały się na nic. Drugi zwój uwieźił ich ręce i...

– Zrób coś! – krzyknął Inigo.

– Przykro mi... nie mogę się ruszyć... ty coś zrób...

– Walcz z nim, Fezzik!

– Jest dla mnie za silny...

Trzeci zwój zacisnął się już na ramionach. Czwarty, ostatni, celował w szyję. Inigo, ogarnięty grozą, ponieważ słyszał już oddech bestii i czuł na twarzy jego powiew, szepnęła resztkami sił:

– Walcz z nim... ja... już... nie...

Fezzik zadrżał w krańcowym przerażeniu.

– Wybacz mi, Inigo.

– Och, Fezziku... Fezziku...

– Co?

– Miałem dla ciebie takie rymy...

– Jakie rymy?

Cisza.

Czwarty zwój opadł na miejsce.

– Inigo, jakie rymy?

Cisza.

Oddech węża.

– Inigo, przed śmiercią chcę usłyszeć te rymy! Naprawdę, muszę je poznać... INIGO, POWIEDZ MI, JAKIE RYMY! – ryknął Fezzik.

W tym momencie był już ogromnie sfrustrowany, a także wyjątkowo wściekły i jedna z jego rąk uwolniła się z pierwszego splotu, dzięki czemu nieco łatwiej przyszło jej wysunąć się spod drugiego, co oznaczało, że mogła teraz pomóc drugiej ręce, podczas gdy olbrzym krzyczał: – Inigo, nigdzie nie odejdiesz, póki nie dowiem się, jakie to rymy! – a dźwięk jego głosu był naprawdę imponujący – głęboki i donośny – i co to właściwie za wąż, który śmie stanąć na drodze Fezzika, kiedy zostało jeszcze tyle rymów do poznania, a do tego czasu nie tylko zdołał uwolnić ręce spod trzech dolnych zwojów, lecz także wpadł w furję i jego ręce sięgnęły w stronę wężowego oddechu, a choć nie wiedział, czy węże mają szyje, to pochwycił w swe dłonie część ciała gada tuż poniżej głowy, jakkolwiek się zwała, i z całej siły uderzył nią o ścianę, na co wąż zasyczał i plunął śliną, lecz czwarty splot rozluźnił się nieco, więc Fezzik uderzył raz jeszcze i jeszcze, po czym cofnął nieco ręce, aby zyskać więcej miejsca, i zaczął walić gadem o mury niczym wiejska praczka tłukąca koszulą o kamienie, a kiedy wąż wreszcie skonał, Inigo rzekł:

– Szczerze mówiąc, nie miałem na myśli żadnych szczególnych rymów. Po prostu musiałem coś zrobić, aby zdopingować cię do walki.

Fezzik, zmachany, dyszał ciężko.

– Chcesz powiedzieć, że mnie okłamałeś, o to ci chodzi, prawda? Mój jedyny najlepszy przyjaciel okazał się zwykłym kłamcą.

Z łoskotem ruszył w dół schodów. Inigo dreptał za nim.

Dotarłszy do drzwi u stóp schodów, Fezzik otworzył je szarpnięciem i błyskawicznie zatrzęsął za sobą tak, że Inigo ledwie zdążył wsunąć się do środka.

Drzwi zamknęły się natychmiast.

Na końcu korytarza widniała tabliczka zapowiadająca „Wejście na poziom czwarty” i Fezzik pomaszerował prosto ku niej. Inigo biegł za nim, mijając trucicieli: królewskie kobry, gabońskie żmije i, zapewne najbardziej śmiertcionośne ze wszystkich, prześliczne tropikalne skorpeny, żyjące w oceanie nieopodal Indii.

– Przepraszam – powiedział Inigo. – Jedno kłamstwo przez te wszystkie lata to nie tak wiele, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że uratowało nam życie.

– Istnieje coś takiego jak zasady – odparł jedynie Fezzik i otworzył drzwi, prowadzące na czwarty poziom. – Ojciec kazał mi obiecać, że nigdy, przenigdy nie skłamię, i przez całe życie nie czułem takiej potrzeby. – To mówiąc, ruszył naprzód.

– Stój! – krzyknął Inigo. – Przynajmniej sprawdźmy, co nas czeka!

Tym razem schody były proste, pogrążone w mroku. Leżące w dole wyjście skrywały ciemności.

– Nic nie może być tak złe, jak to, co przeszliśmy – warknął olbrzym, nie zwalniając kroku.

W pewnym sensie miał rację. Inigo nigdy nie uważał nietoperzy za swój największy koszmar. Oczywiście bał się ich, jak każdy, i jeśli znalazły się w pobliżu, natychmiast uciekał z krzykiem, lecz nie nawiedzały one jego prywatnego piekła. Fezzik jednak pochodził z Turcji. Ludzie twierdzą często, że owocowy nietoperz z Indonezji to największy okaz na świecie. Spróbujcie kiedyś powiedzieć o tym jakiemuś Turkowi. Czy komukolwiek, kto słyszał okrzyk matki: „Nadlatują nietoperzeolbrzymy” i rozlegający się w ciszy jadowity łopot skrzydeł.

– NADLATUJĄ NIETOPERZEOLBRZYMY! – wrzasnął Fezzik i zastygł w miejscu, dosłownie sparaliżowany strachem.

Inigo zrównał się z nim wreszcie, próbując przeniknąć wzrokiem panującą na schodach ciemność. Nigdy dotąd nie słyszał w głosie Fezzika podobnego tonu. Inigo także nie chciał, by jakiś nietoperz wkręcił mu się we włosy, ale nie warto z tego powodu robić takiego zamieszania, zamierzał więc spytać: „Co jest takiego strasznego w nietoperzacholbrzymach?”, lecz zdążył jedynie powiedzieć:

– Co...?

kiedy Fezzik odkrzyknął:

– Wścieklizna! Wścieklizna!

Inigo nie potrzebował nic więcej.

– Fezziku, padnij! – ryknął. Trzepot skrzydeł rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Fezzik wciąż nie mógł się ruszyć, więc Inigo zaczął macać w mroku, aż wreszcie natrafił na jego ramię i z całej siły klepnął olbrzyma, krzycząc: – Padnij! – i tym razem Fezzik posłusznie osunął się na kolana, to jednak nie wystarczyło, więc Inigo ponownie go uderzył. – Płasko! Połóż się płasko na ziemi!

Po sekundzie Fezzik leżał już rozciągnięty na schodach, dygocząc ze strachu, a Inigo ukląkł nad nim, chwytając w dłoń sześciopalczystą szpadę. To było to – chwila prawdy, test, który miał określić, jak wiele kosztowało go dziewięćdziesiąt dni brandy, ile jeszcze zostało z wielkiego Inigo Montoyi, bo tak, studiował szermierkę, owszem, poświęcił pół życia i więcej, szlifując atak Agryppy i obronę Bonettiego oraz, rzecz jasna, sławnego Thibaulta. Ale w ostatecznej rozpaczy spędził kiedyś także lato z jedynym Szkotem, jaki kiedykolwiek rozumiał szpadę, kalekim MacPhersonem, i to właśnie MacPherson wyśmiał wszystko, czego Inigo zdążył się nauczyć, to MacPherson powiedział:

– Thibault? Thibault znakomicie nadaje się do walki pośrodku sali balowej, ale co będzie, jeśli spotkasz przeciwnika na stromym zboczu i znajdziesz się poniżej niego?

I przez tydzień Inigo poznawał wszystkie ruchy, potrzebne do walki z dołu, a potem MacPherson kazał mu przejść na górę, jednak nawet kiedy opanował i te sztychy, MacPherson nie dał mu spokoju. Był bowiem kaleką – jego nogi kończyły się za kolanami, więc doskonale wiedział, co znaczy walczyć z gorszej pozycji.

– A co będzie, jeśli nieprzyjaciel cię oślepi? – spytał kiedyś MacPherson. – Chlusnął ci kwasem w oczy, a teraz zbliża się, aby zadać śmiertelny cios. Powiedz, co zrobisz, Hiszpanie, podejmij walkę i przeżyj, Hiszpanie!

Teraz więc, czekając na atak nietoperzy, Inigo powrócił pamięcią do instrukcji MacPhersona. Musi polegać na uszach, słuchem odnaleźć serce przeciwnika. I nagle Inigo poczuł, jak ogromne nietoperze zbierają się przed nim, podczas gdy na podłodze Fezzik dygotał jak kociak w zimnej wodzie.

– Nie ruszaj się! – polecił Inigo i był to ostatni dźwięk, jaki z siebie wydał, teraz bowiem potrzebował swoich uszu.

Przekrzywił lekko głowę w stronę, z której dobiegał łopot, wielka szpada pewnie tkwiła w dłoni, zataczając w powietrzu niewielkie, powolne kręgi. Inigo nigdy nie widział nietoperzaolbrzymia i nic o nich nie wiedział – jakie są szybkie, jak atakują, pod jakim kątem, ile naraz. Łopot rozlegał się nad jego głową, jakieś trzy metry w górze, może trochę więcej. Czy nietoperze widzą w ciemności? Czy dysponują także i tą bronią? „No chodźcie”, chciał powiedzieć, ale nie było potrzeby, bo z głośnym łopotem skrzydeł, którego się spodziewał, i zupełnie nieoczekiwanym wysokim piskiem pierwszy nietoperz śmignął wprost ku niemu.

Inigo czekał i czekał. Łopot oddalił się w lewo – niedobrze, bo Inigo wiedział, gdzie jest, i te stwory także to wiedziały, co oznaczało, że coś szykują – skok, nagły zwrot. Toteż z całym opanowaniem, do jakiego był zdolny, utrzymywał szpadę w gotowości, nie podążając za dźwiękiem. Nagle trzepot umilkł i nietoperzolbrzym poszybował bezszelestnie wprost ku jego twarzy.

Sześciopalczysta szpada wbiła się w niego jak w masło.

Śmiertelny okrzyk nietoperzaolbrzymia bardzo przypominał ludzki, tyle że był nieco wyższy i krótszy, lecz Inigo pomyślał o nim jedynie pobieżnie, ponieważ w tym momencie łopot dobiegł z dwóch stron – prawej i lewej. MacPherson zawsze powtarzał, by uderzać z siły ku słabości, więc Inigo pchnął najpierw w prawo, potem w lewo i w mroku rozległy się dwa kolejne, niemal ludzkie jęki. Szpada była już bardzo ciężka, trzy martwe nietoperze zupełnie zmieniły równowagę broni i Inigo bardzo chciał je usunąć, lecz w tej sekundzie rozległ się kolejny trzepot – żadnego cichego szybowania, błyskawiczny, śmiertelny atak wprost na niego. Inigo zanurkował ku ziemi. Miał szczęście – jego szpada uniosła się i przeszła serce śmiercionośnego stwora i teraz cztery truchła obciążały legendarną klingę, i Inigo wiedział już, że nie przegra tej walki. Z jego gardła dobyły się słowa:

– Nazywam się Inigo Montoya i nadal jestem czarodziejem. Chodźcie, jeśli chcecie.

Odpowiedział mu łopot trzech par skrzydeł i Inigo przez sekundę pożałował, że nie okazał nieco większej skromności, było jednak za późno, aby cokolwiek na to poradzić. Potrzebował zaskoczenia i wykorzystał je, błyskawicznie zmieniając pozycję. Zerwał się na nogi i jego ostrze napotkało bestie szybciej, niż się spodziewały. Teraz jego szpadę obciążało siedem nietoperzyolbrzymów, co mogłoby się okazać zgubne w skutkach, gdyby nie jeden, najważniejszy fakt: w ciemnościach panowała absolutna cisza. Łopot skrzydeł umilkł.

– Ładny mi olbrzym – powiedział Inigo, po czym przestąpił nad Fezzikiem i zbiegł do końca schodów.

Fezzik wstał i niezgrabnie ruszył jego śladem.

– Inigo, posłuchaj. Myliłem się. Wcale mnie nie okłamałeś, tylko użyłeś podstępu, a ojciec zawsze powtarzał, że podstępny są w porządku, więc już nie jestem zły. Co ty na to? Nie gniewasz się na mnie?

Nacisnęli kłamkę i wkroczyli na czwarty poziom Zoo.

Inigo spojrział na Fezzika.

– Innymi słowy, całkowicie wybaczasz mi, że uratowałem ci życie, pod warunkiem że ja wybaczę ci, iż ty ocalałeś moje?

– Jesteś moim jedynym przyjacielem. Jedynym.

– Żałośni: oto, jacy jesteśmy.

– Radośni.

– To bardzo dobry rym – pogratulował Inigo i Fezzik wiedział, że wszystko znów jest w porządku.

Ruszyli w stronę znaku głoszącego „Wejście na poziom piąty”, mijając najdziwniejsze klatki.

– Ten jest najgorszy – zauważył Inigo, po czym odskoczył nagle, bo za przejrzystą szklaną ścianą krwawy orzeł szarpał dziobem coś, co przypominało ludzką rękę. Po drugiej stronie dostrzegł rozległy czarny staw, a cokolwiek tam mieszkało, także było czarne i miało mnóstwo macek, a woda w stawie wirowała, jakby zasysana do środka, gdzie znajdowała się paszcza potwora.

– Pospiesz się – dodał Inigo i zadrżał na myśl o tym, że mógłby zostać wrzucony do czarnego stawu.

Razem otwarli drzwi i spojrzeli w dół, ku piątemu poziomowi.

Zdumiewające.

Po pierwsze, drzwi nie miały zamka, więc nie mogły zatrzasnąć się za ich plecami. Po drugie, schody były jasno oświetlone. Po trzecie, biegły zupełnie prosto. A po czwarte, okazały się niezbyt długie.

Przede wszystkim jednak w środku nie było niczego. Tylko jasna, czysta i absolutnie, bez cienia wątpliwości pusta klatka schodowa.

– Nie wierzę w to – oznajmił Inigo i unosząc broń, pokonał pierwszy stopień. – Zostań przy drzwiach; świece mogą zgasnąć w każdej chwili.

Drugi stopień.

Świece płonęły nadal.

Trzeci stopień. Czwarty. W sumie było ich najwyżej tuzin. Zszedł o kolejne dwa, trzymając się środka schodów. Każdy stopień miał jakieś trzydzieści centymetrów wysokości, więc w tej chwili od Fezzika dzielił go jakiś metr osiemdziesiąt. W tej samej odległości widział przed sobą wielkie, ozdobne drzwi z zieloną klamką, prowadzące na ostatni poziom.

– Fezziku?

– Słucham? – dobiegło z góry.

– Boję się.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

– Nie, to pułapka. Ma nas oszukać. Cokolwiek tu jest, musi być jeszcze gorsze niż na poprzednich piętrach.

– Ale tu nic nie widać, Inigo.

Hiszpan skinął głową.

– Właśnie dlatego się boję. – Pokonał następny stopień, zbliżając się do ostatnich ozdobnych drzwi z zieloną klamką. Jeszcze jeden. Zostały cztery. Cztery stopnie.

Sto dwadzieścia centymetrów do śmierci.

Inigo pokonał następny stopień. Teraz drżał już jak osika; nie potrafił się opanować.

– Czemu się trzęsiesz? – to Fezzik ze szczytu schodów.

– Tu jest śmierć. Czuję ją.

Kolejny stopień.

Jeszcze sześćdziesiąt centymetrów życia.

– Mogę już zejść?

Inigo pokręcił głową.

– Nie ma sensu, abyś i ty zginął.

– Ale tu jest pusto.

– Nie. W pobliżu czeka śmierć. – Nagle tama puściła. – Gdybym ją widział, mógłbym walczyć.

Fezzik nie wiedział, co robić.

– Nazywam się Inigo Montoya, jestem czarodziejem szpady. Pokaż się! – Inigo obracał się wokół, unosząc broń. Wzrokiem badał puste, jasne schody.

– Wystraszyłeś mnie – powiedział Fezzik i, puszczając drzwi, ruszył w dół.

Inigo wspiął się ku niemu, powtarzając:

– Nie!

Spotkali się na szóstym stopniu.

Sto osiemdziesiąt centymetrów do śmierci.

Zielony nakrapiany pustelnik nie zabija tak szybko, jak skorpene. Wielu badaczy uważa też, że ukąszenie mamby sprawia większy ból – wszystkie te wrzody i tak dalej. Jeśli jednak chodzi o samą moc jadu, nic we wszechświecie nie może się równać z zielonym nakrapianym pustelnikiem. Wśród pajaków nawet czarna wdowa to niewinna panienska w porównaniu z zielonym pustelnikiem. Pustelnik księcia Humperdincka mieszkał pod ozdobną zieloną klamką najniższych drzwi. Rzadko opuszczał swoje gniazdo, chyba że ktoś poruszył klamką. Wtedy uderzał jak błyskawica.

Na szóstym stopniu Fezzik objął ramieniem Iniga.

– Pójdziemy razem, krok w krok. Tu nic nie ma, Inigo.

Piąty stopień.

– Musi być.

– Dlaczego?

– Bo książę to potwór. A Rugen sekunduje mu we wszystkim. To zaś jest ich arcydzieło. – Kolejny stopień.

– Co za wspaniałe rozumowanie – stwierdził Fezzik, głośno i spokojnie; w głębi ducha jednak znów ogarnął go przemożny strach.

Oto bowiem znalazł się w tym miłym, jasnym miejscu, a jego jedyny przyjaciel okazywał wszelkie oznaki załamania. Gdybyś ty, czytelniku, znalazł się na miejscu Fezzika, co byś zrobił? Twój mózg nie pracuje zbyt sprawnie, stoisz cztery piętra pod ziemią, w samym środku Zoo Śmierci, szukając człowieka w czerni, w którego obecność w tym miejscu i tak nie wierzysz, i nagle twój jedyny najlepszy przyjaciel zaczyna wariować. Co byś zrobił?

Jeszcze trzy stopnie.

Gdybyś był Fezzikiem, wpadłbyś w panikę, bo jeśli Inigo zwariował, znaczyłoby to, że teraz ty jesteś szefem ekspedycji. A Fezzik doskonale zdawał sobie sprawę, że ostatnią rzeczą, do jakiej się nadaje, jest dowodzenie czymkolwiek. Wobec tego zrobił to, co zawsze w podobnych sytuacjach.

Skoczył naprzód.

Z głośnym okrzykiem rzucił się na drzwi i wyważył je własnym ciężarem, nie zwracając sobie głowy drobiazgami, takimi jak śliczna zielona klamka. A kiedy drzwi ustąpiły, runął dalej, nie zwalniając kroku, póki nie dotarł w końcu do ogromnej klatki, wewnątrz której leżał bez ruchu człowiek w czerni. Dopiero tam Fezzik zatrzymał się, czując ogromną ulgę, bo obecność owego nieruchomego ciała oznaczała, że Inigo miał rację. Skoro zaś Inigo miał rację, znaczyło to, że nie zwariował, a jeśli tak, on, Fezzik, nie będzie musiał nikim dowodzić. Kiedy myśl ta dotarła wreszcie do jego mózgu, Fezzik uśmiechnął się.

Iniga tymczasem zdumiało dziwne zachowanie przyjaciela. Zupełnie nie pojmował, co mu się

stało, i miał właśnie zawołać Fezzika, gdy zobaczył małego zielono nakrapianego pająka, zbiegającego po kłamce. Rozdeptał go bez namysłu i pospieszył w stronę klatki.

Fezzik był już w środku i klęczał obok ciała.

– Powiedz, że to nieprawda – rzucił błagalnie Inigo.

Fezzik próbował spełnić prośbę przyjaciela, ale jego twarz zdradzała wszystko.

– Nie żyje.

Inigo zbadał ciało. W swojej karierze oglądał już wiele trupów.

– Nie żyje – powtórzył, po czym z nieszczęśliwą miną usiadł na podłodze, oplótł rękami kolana i zaczął się kołysać jak skrzywdzone dziecko – w przód, w tył, w przód, w tył.

Niesprawiedliwe. Samo życie dostarcza dość niemiłych niespodzianek, ale to przekraczało wszelkie granice. Prawda, żaden z niego myśliciel, ale czyż nie odszukał człowieka w czerni? Czy nie pokonał różnych groźnych stworów, nie odstraszył jadowitych bestii, nie przeprowadził ich bez szwanku przez Zoo? Odrzucił wszelką ostrożność, przewyciężył wszystkie krępujące go ograniczenia. I wszystko po to, by teraz, kiedy na nowo połączył się z Fezzikiem i wyruszył na poszukiwania człowieka, który mógłby pomóc mu pomścić śmierć Dominga Montoyi, odnaleźć go – martwego? Wszystko skończone. Nadzieja? Opuściła go. Przyszłość? Umarła. Wszystko, co stanowiło dotąd siłę napędową jego życia. To koniec. Został pokonany. Zniszczony. Równie dobrze mógł umrzeć.

– Nazywam się Inigo Montoya, jestem synem Domingo Montoyi i nie znam słowa „klęska”. – Zerwał się na nogi i ruszył w stronę podziemnych schodów, zatrzymując się tylko po to, by wydać stosowne polecenia. – No dalej, chodź. Weź ze sobą ciało. – Przetrzęsnał kieszenie, ale brandy dokładnie je opróżniła. – Fezziku, czy masz jakieś pieniądze?

– Trochę. W Oddziale Brutali płacą całkiem nieźle.

– Cóż, mam tylko nadzieję, że wystarczy, aby kupić cud.

* * *

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi chaty, niewiele brakowało, by Cyryl w ogóle nie odpowiedział.

– Idźcie sobie! – chciał krzyknąć, ponieważ ostatnio jedynymi gośćmi były dzieci, przychodzące, aby zrobić mu dowcip. Tylko że pora była już trochę za późna jak na dzieci – właśnie dobiegała północ – a poza tym pukanie brzmiało stanowczo i nagłaco, jakby umyślnie rozkazywał dłoni: „Pospiesz się, okaż choć trochę zapału”.

Toteż Cyryl uchylił drzwi i zerknął na intruzów.

– Nie znam was – oznajmił.

– Czy ty jesteś Cudowny Cyryl, który przez wiele lat opiekował się królem? – spytał chudzielec.

– Zostałem zwolniony, nie słyszeliście o tym? To dla mnie bolesny temat, nie powinniście go poruszać, dobranoc. Następnym razem okażcie odrobinę taktu. – Z tymi słowami zatrzęsnał drzwi.

Puk-puk-puk-łup-łup-ŁUP!

– Powtarzam, idźcie już albo wezwę Oddział Brutali.

– Ja należę do Oddziału Brutali – oznajmił drugi głos zza drzwi, potężny, głęboki głos, który sprawiał, że człowiek na wszelki wypadek wolał nie narażać się jego właścicielowi.

– Potrzebny nam cud; to bardzo ważne – dodał chudzielec.

– Jestem na emeryturze – odparł Cyryl – a zresztą nie chcielibyście chyba kogoś, kogo pozbył

się król, co? Równie dobrze mogę zabić pacjenta.

– On już nie żyje – mruknął chudzielec.

– Ach tak? – Ton Cyryla zdradzał pierwsze oznaki zainteresowania. Cudotwórca ponownie uchylił drzwi. – Zmarli to moja specjalność.

– Proszę – naciskał chudzielec.

– Wnieście go do środka. Podkreślam, nic nie obiecuję – powiedział Cudowny Cyryl po dłuższym namyśle.

Olbrzym i chudzielec wtaszczyli do środka roślego trupa i położyli go na podłodze. Cyryl szturchnął go lekko.

– Nie jest tak sztywny, jak niektórzy – zauważył.

– Mamy pieniądze – oświadczył chudzielec.

– Czemu więc nie pójdziecie do jakiegoś genialnego specjalisty? Po co marnować czas z kimś, kogo wyrzucił sam król? – Omal go to nie zabiło. Przez pierwsze dwa lata żałował, że nie umarł. Od ciągłego zgrzytania wypadły mu zęby. W ataku furii wyrwał sobie ostatnie, najwierniejsze kępki włosów.

– Jesteś jedynym żyjącym cudotwórcą we Florencie – przypomniał chudzielec.

– Ach, więc to dlatego przyszliście do mnie? Jeden z was spytał: „Co zrobimy z trupem?”, „Zabierzmy go do tego cudotwórcy, którego wyrzucił król”, zaproponował drugi. A pierwszy zapewne odpowiedział: „Co mamy do stracenia? Nie może przecież uśmiercić nieboszczyka”, a drugi...

– Byłeś wspaniałym cudotwórcą – przerwał mu chudzielec. – Zwolniono cię wyłącznie z powodów politycznych.

– Nie obrażaj mnie, mówiąc „wspaniały”! Byłem wielki – wciąż jestem wielki – nikt – słyszysz, synu? Nikt nigdy mi nie dorównał. Sam wymyśliłem połowę technik cudotwórczych – a potem mnie wyrzucili... – Nagle jego głos się załamał. Był bardzo stary i zmęczony i wysiłek, towarzyszący ognistej przemowie, zupełnie go wyczerpał.

– Proszę, niech pan usiądzie... – zaczął chudzielec.

– Nie mów do mnie „pan”, synu – zaprotestował Cudowny Cyryl. W czasach młodości był twardym facetem i nadal pozostał twardy. – Mam dużo pracy. Kiedy przyszliście, karmiłem właśnie moją wiedźmę. Zaczekajcie, muszę skończyć. – To mówiąc, uniósł klapę w podłodze i zszedł po drabinie do piwnicy, po czym zatrzasnął klapę za sobą.

Kiedy już znalazł się na dole, położył palec na ustach i podbiegł do starej kobiety, gotującej na węglach czekoladę. Cyryl poślubił Walerię jakiś milion lat temu, takie przynajmniej odnosił czasem wrażenie. Poznali się w Szkole Cudotwórców, gdzie Waleria zajmowała się warzeniem mikstur. Oczywiście nie była wiedźmą, ale kiedy Cyryl rozpoczął praktykę, moda nakazywała, by każdy cudotwórca miał swoją wiedźmę. Ponieważ zaś Waleria nie miała nic przeciw temu, w miejscach publicznych tak właśnie ją nazywał. W miarę upływu lat poznała podstawy czarodziejskiego fachu na tyle dobrze, że mogła oszukać każdego.

– Posłuchaj tylko! – szepnął Cyryl, gestykulując gwałtownie. – Nigdy nie zgadniesz, kogo mam na górze! Olbrzyma i Hiszpana!

– Olbrzyma i szampana? – powtórzyła Waleria, łapiąc się za serce. Jej słuch nie był już tak dobry jak kiedyś.

– Hiszpana! Hiszpana! Autentycznego gościa z Hiszpanii. Ma bliźny i w ogóle, prawdziwy twardziel.

– Niech sobie kradną, co chcą. O co mielibyśmy walczyć?

– Oni nie chcą nic kraść, przyszli coś kupić. Ścisłej mówiąc, mnie. Mają ze sobą trupa i pragną cudu.

– Zawsze dobrze sobie radziłeś ze zmarłymi – odparła Waleria. Od czasu, kiedy go zwolniono, nie widziała jeszcze, by tak usilnie próbował ukryć podniecenie. Starannie stłumiła własne zdenerwowanie. Gdyby tylko znów zaczął pracować! Jej Cyryl był prawdziwym geniuszem. Wszyscy wróciliby do niego, każdy dawny pacjent. Cyryl odzyskałby szacunek ludzi i mogliby wyprowadzić się z chaty. W dawnych czasach używali jej wyłącznie do przeprowadzania doświadczeń. Teraz stanowiła ich jedyny dom. – Nie masz żadnych pilnych zajęć na dziś wieczór, więc może przyjmiesz tę sprawę?

– Przyznaję, jasne, mógłbym to zrobić, ale co wtedy? Znasz ludzką naturę – najpewniej będą próbowali wymknąć się bez zapłaty. Jak miałbym zmusić olbrzyma, by zapłacił mi wbrew swej woli? Komu potrzebne podobne kłopoty? Odprawię ich, a ty przyniesiesz mi filiżankę pysznej gorącej czekolady. Zresztą jestem właśnie w połowie artykułu o orlich szponach. To naprawdę znakomity kawałek.

– Weź pieniądze z góry. Idź. Każ im zapłacić. Jeśli odmówią, wyrzuć ich. Jeżeli się zgodzą, przynieś mi pieniądze. Nakarmię nimi ropuchę; nigdy ich nie znajdą, nawet jeśli zmienią zdanie i zechcą ukraść je z powrotem.

Cyryl wszedł na pierwszy szczebel drabiny.

– Ile mam zażądać? Nie zajmowałem się cudami od jakichś – ile to było? – trzech lat. Ceny mogły pójść w górę. Pięćdziesiąt. Co ty na to? Jeśli mają pięćdziesiąt, zastanowię się. W przeciwnym razie mogą iść precz.

– W porządku – poparła go Waleria i w chwili, kiedy Cyryl zatrzasnął kłapę, wspięła się po drabinie i przycisnęła ucho do sufitu.

– Proszę pana, strasznie się spieszymy... – zagadnął jeden głos.

– Nie poganiaj mnie, synu. Poganiasz cudotwórcę, dostajesz marne cuda. Tego chcesz?

– A zatem zgadza się pan?

– Tego nie powiedziałem, synku. Nie próbuj mnie naciskać. Jak będziesz się upierał, wylecisz za drzwi. Ile macie przy sobie?

– Dałeś mi wszystkie pieniądze, Fezziku? – spytał ten sam głos.

– Co do grosza – zagrzmiał donośny bas. – Ty je policz, Inigo.

Po chwili przerwy mężczyzna, zwany Inigiem, stwierdził:

– Sześćdziesiąt pięć. To wszystko, co mamy.

Waleria już miała klasnąć w dłonie z radości, kiedy Cyryl powiedział:

– Nigdy w życiu nie pracowałem za tak małą sumę. To chyba żarty. Przepraszam, ale muszę odpowiedzieć moją wiedzmę; do tego czasu skończyła już jeść.

Waleria pospieszyła z powrotem do paleniska i zaczęła, aż pojawi się Cyryl.

– Niedobrze – oznajmił. – Mają tylko dwadzieścia.

Waleria zamieszała łyżką w kotle. Znała prawdę, ale lękała się do tego przyznać, spróbowała więc nowego podstępu.

– Kończy się nam czekolada w proszku. Muszę jutro odwiedzić kupca korzennego. Nawet dwadzieścia mogłoby się przydać.

– Nie ma czekolady w proszku? – spytał Cyryl, wyraźnie poruszony. Czekolada należała do jego ulubionych napojów, zaraz po kroplach na kaszel.

– Może jeśli sprawa okaże się szlachetna, mógłbyś obniżyć zapłatę do dwudziestu? – zasugerowała Waleria. – Dowiedz się, po co im cud.

– Najprawdopodobniej skłamią.

– Jeśli będziesz miał wątpliwości, użyj miecha. Posłuchaj: naprawdę miałabym wyrzuty sumienia, gdybyśmy odmówili cudu jakimś miłym ludziom.

– Uparta z ciebie niewiasta – stwierdził Cyryl, ale posłusznie wrócił na górę. – W porządku – powiedział do chudzielca. – Czemu spośród setek ludzi, którzy nachodzą mnie co dzień, błagając o cuda, miałbym wybrać akurat tego młodzieńca? I wierz mi, lepiej niech to będzie naprawdę szlachetny powód.

Inigo już miał odrzec: „Żeby powiedział mi, jak mam zabić Hrabiego Rugena”, ale uznał, że nie jest to coś, co według kapryśnego starego cudotwórcy mogłoby przyczynić się do szczęścia ludzkości, więc rzekł:

– Zostawił żonę, piętnaścioro dzieci i ani grosza. Jeśli nie ożyje, wszyscy umrą z głodu.

– Och synu, ale z ciebie kłamczuch. – Cyryl poszedł do kąta i wyciągnął wielki miech. – Lepiej spytam jego – mruknął, unosząc przyrząd.

– To trup; nie może mówić – zauważył Inigo.

– Mamy swoje sposoby – odparł jedynie Cyryl, po czym wepchnął wylot wielkiego miecha głęboko w gardło Westleya i zaczął pompować. – Widzicie – wyjaśniał – istnieją różne rodzaje martwoty. Bywają częściowo martwi, prawie martwi i zupełnie martwi. Ten tutaj jest tylko częściowo martwy, co oznacza, że wewnątrz jego czaszki zostały jeszcze resztki umysłu, okruchy pamięci. Kiedy zaaplikuje się odpowiedni nacisk, można czasami osiągnąć niezłe rezultaty.

Pierś Westleya zaczęła unosić się lekko pod naporem wpompowanego powietrza.

– Co robisz? – Fezzik wyraźnie się denerwował.

– Nieważne. Napełniam jego płuca. Gwarantuję, że to mu nie zaszkodzi. – Po kilku chwilach przestał pompować i wrzasnął do ucha Westleya: – CO JEST TAKIEGO WAŻNEGO? PO CO MIAŁBYŚ TU WRACAĆ? KTO NA CIEBIE CZEKA? – Następnie odniósł miech do kąta i wyjął z szafki papier i pióro. – Trochę potrwa, nim moje słowa do niego dotrą, więc tymczasem możecie odpowiedzieć mi na parę pytań. Jak dobrze go znacie?

Inigo nie miał ochoty odpowiadać. Dziwnie zabrzmiałoby, gdyby przyznał, że za życia spotkali się tylko raz, po to, by stoczyć śmiertelny pojedynek.

– O co konkretnie ci chodzi?

– Na przykład – naciskał Cyryl – czy miał łaskotki?

– Łaskotki?! – wybuchnął Inigo. – Łaskotki! Tu chodzi o śmierć i życie, a ty gadasz o łaskotkach!

– Nie krzycz na mnie – odpalił Cyryl – i nie drwij z moich metod! W odpowiednich okolicznościach łaskotki mogą okazać się niezastąpione. Miałem kiedyś trupa w gorszym stanie niż ten tu młodzian, był już prawie martwy, kiedy zacząłem go łaskotać. Łaskotałem mu pięty i pachy, wziąłem pawie pióro i połaskotałem go wokół pępka; pracowałem nad tym cały dzień i noc, aż następnego ranka – zważcie, ranka! – trup powiedział: „Naprawdę tego nie cierpię”, a ja na to: „Czego?”. „Łaskotek”, odparł. „Wróciłem z za grobu, żeby cię prosić, abys przestał”. „Chcesz powiedzieć, że denerwuje cię dotyk pawiego pióra?”. „Nie masz pojęcia, jak bardzo”, on na to, a ja oczywiście zadawałem kolejne pytania dotyczące łaskotek, zmuszając go, by mi odpowiadał. Mówię wam, kiedy trup na dobre zagłębił się w rozmowie, bitwa jest w połowie wygrana.

– Praaaaa...dziiii...waaaa...miiiiii...łooooość...

Fezzik w panice pochwycił ramię Iniga i obaj odskoczyli, wpatrując się w człowieka w czerni,

który znów milczał jak głaz.

– Powiedział „prawdziwa miłość”! – wykrzyknął Inigo. – Słyszałeś chyba – prawdziwa miłość! To dlatego chce wrócić z martwych. Z pewnością to szlachetny powód.

– Synu, nie pouczaj mnie. Prawdziwa miłość to najlepsza rzecz w świecie, z wyjątkiem kropli na kaszel. Każdy to wie.

– A więc pomożesz mi? – spytał Fezzik.

– Tak, oczywiście. Bez wątpienia pomógłbym, gdyby powiedział „prawdziwa miłość”, ale źle usłyszeliście jego słowa, podczas gdy ja, jako wybitny specjalista w zakresie głosów umarłych, wiem doskonale – a z radością potwierdzi to każdy językoznawca – że głoski „t” i „k” sprawiają największy kłopot trupom i że wasz przyjaciel powiedział „dadziwa migość”, co bez wątpienia miało oznaczać „ta dziwa mi w kość”. Najwyraźniej jakaś panna zaszła mu za skórę i chciałby się zemścić, a to z pewnością niedostateczny powód, żeby sprawić cud. Przykro mi, ale kiedy się już zdecyduję, nigdy nie zmieniam zdania. Do widzenia, zabierzcie ze sobą waszego trupa.

– Kłamca! – wrzasnął ktoś nagle z otwartej kłapy w podłodze.

Cudowny Cyryl odwrócił się gwałtownie.

– Uciekaj, więdźmo – polecił.

– Nie jestem żadną więdźmą, tylko twoją żoną. – Zbliżała się do niego, niczym drobna, starożytna furia. – A po tym, co właśnie zrobięś, nie sądzę, abym chciała nią pozostać. Cudowny Cyryl próbował ją uspokoić; bez skutku. – On powiedział „prawdziwa miłość”, Cyrylu, nawet ja usłyszałam wyraźnie. „Prawdziwa miłość”...

– Nie mów nic więcej. – W głosie Cyryla po raz pierwszy zabrzmiała błagalna nuta.

Waleria odwróciła się do Iniga.

– Mój mąż nie chce przyjąć zamówienia, bo się boi – boi się, że jest skończony, że moc czynienia cudów opuściła jego niegdyś majestatyczne palce...

– To nieprawda! – wtrącił Cyryl.

– Masz rację – przytaknęła – to nieprawda. Twoje palce nigdy nie były majestatyczne. Jesteś i pozostaniesz nieudacznikiem...

– Kuracja łaskotkowa! Byłaś przy tym... sama widziałaś...

– Szczęśliwy traf.

– Wszyscy topielcy, których ocuciłem...

– Przypadek.

– Walerio, jesteśmy małżeństwem od osiemdziesięciu lat. Jak możesz mi robić coś takiego?

– Ponieważ prawdziwa miłość ginie, a ty nie masz nawet dość przyzwoitości, by przyznać, że nie chcesz im pomóc. Ale ja mam i twierdzę, że księżę Humperdinck słusznie cię zwolnił...

– Nie wymawiaj przy mnie tego imienia, Walerio. Przynarzekłaś, że nigdy o nim nie wspomnisz.

– Księżę Humperdinck, księżę Humperdinck, księżę Humperdinck! On przynajmniej potrafi rozpoznać szarlatana...

Cyryl umknął ku drzwiom w podłodze, zasłaniając dłońmi uszy.

– Ale to jest właśnie ukochany jego narzeczonej – powiedział Inigo. – Jeśli przywrócisz mu życie, nie dopuści do ślubu księcia.

Dłonie Cyryla odsunęły się nieco.

– Ten trup. Kiedy go ożywię, księżę Humperdinck będzie cierpiał?

– Czeka go okropna kompromitacja – odparł Inigo.

– Oto szlachetny cel – stwierdził Cudowny Cyryl. – Daj mi sześćdziesiąt pięć – biorę tę sprawę. – Ukląkł obok Westleya. – Hmmm.

- Co się stało? – spytała Waleria. Znała ten ton.
- Podczas gdy my tu dyskutowaliśmy, ze stanu częściowej martwoty przeszedł w stan prawie martwoty.
- Waleria poklepała ciało w kilku miejscach.
- Sztywnieje – zauważyła. – Będziesz musiał jakoś to obejść.
- Cyryl także popukał tu i ówdzie.
- Czy sądzisz, że wyrocznia jeszcze działa?
- Waleria zerknęła na zegar.
- Nie sądzę, już prawie pierwsza. Zresztą przestałam jej ufać.
- Cyryl skinął głową.
- Wiem, ale miło by było wiedzieć z góry, czy to zadziała, czy nie. – Potarł dłonią oczy. – Jestem trochę zmęczony. Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej o tej robocie, zdrzemnąłbym się po południu. – Wzruszył ramionami. – Trudno, nic na to nie poradzę. Co się stało, to się nie odstanie. Przynies mi *Encyklopedię Zaklęć* i *Suplement Runów*.
- Myślałem, że jesteś w tym fachowcem – wtrącił Inigo, czując pewien niepokój.
- Wszedłem z wprawy, od trzech lat jestem na emeryturze, a receptury wskrzeszenia to nie żarty. Jeden drobny błąd w proporcjach i wszystko na nic.
- Proszę, oto książki i twoje okulary – wydyszała Waleria, wychodząc z piwnicy.
- Gdy Cyryl zagłębił się w lekturze, jego żona odwróciła się do Iniga i Fezzika, którzy tkwili mu nad głową.
- Możecie nam pomóc – stwierdziła.
- Co tylko trzeba – obiecał Fezzik.
- Powiedzcie wszystko, co mogłoby się przydać. Ile mamy czasu? Jeśli dokonamy cudu...
- Kiedy – poprawił Cyryl znad swej księgi. Jego głos zabrzmiał mocniej niż przedtem.
- Kiedy go dokonamy – ciągnęła Waleria – jak długo miałby działać? Co konkretnie chcecie zrobić?
- Cóż, trudno to przewidzieć – odparł Inigo – bo najpierw musimy przeprowadzić szturm na zamek, a nigdy nie ma pewności, ile potrwa coś takiego.
- Godzinna pigułka powinna wystarczyć – zawyrokowała Waleria. – Do tego czasu albo zrobicie, co trzeba, albo obaj zginiecie. Powiedzmy zatem: godzina.
- Wszyscy trzej będziemy walczyć – skorygował Inigo. – A potem, kiedy zdobędziemy zamek, musimy powstrzymać ślub, porwać księżniczkę i uciec, zostawiając mi w trakcie chwilę na to, bym mógł stoczyć pojedynek z Hrabią Rugenem.
- Na ich oczach z Walerii uszła cała energia. Staruszka usiadła ciężko.
- Cyrylu – powiedziała, klepiąc go po ramieniu – nie jest dobrze.
- Niedobrze? – uniósł wzrok.
- Oni potrzebują zwłok zdolnych do walki.
- Cyryl zatrzasnął księgę.
- Niedobrze – stwierdził.
- Ale przecież kupiłem cud! – zaprotestował Inigo. – Zapłaciłem ci sześćdziesiąt pięć, jak chciałeś.
- Spójrzcie tylko. – Waleria postukała w pierś Westleya. – Nic tu nie ma. Słyszeliście kiedyś równie głuchy dźwięk? Z tego człowieka wyssano życie. Trzeba kilku miesięcy, by odzyskał pełnię sił.
- Nie mamy miesięcy. Jest już po pierwszej, a ślub odbędzie się jutro o szóstej wieczór. Jak

wiele zdołasz uruchomić w siedemnaście godzin?

– No. – Cyryl zastanawiał się chwilę. – Z pewnością język, oczywiście umysł, a przy pewnej dozie szczęścia może zdołamy osiągnąć krótki spacer, jeśli pchniecie go lekko we właściwym kierunku.

Inigo z rozpaczą spojrzął na Fezzika.

– Cóż mogę rzec? – powiedział Cyryl. – Potrzebna wam fantasmagoria.

– A za tę sumę i tak nigdy byście jej nie kupili – dodała pocieszająco Waleria.

* * *

Drobne cięcie, jakieś dwadzieścia stron. Teraz bowiem następuje seria równoległych scen: co dzieje się w zamku, jak kształtuje się sytuacja u cudotwórcy i tak dalej. Za każdym razem autor podaje dokładny czas, coś w stylu „do szóstej zostało jeszcze jedenaście godzin”. Morgenstern używa tego chwytu głównie dlatego, że jak zwykle interesuje go przede wszystkim zjadliwa satyra. Ośmiesza więc królów, ukazując ich ślepe przywiązanie do bezsensownych tradycji, na przykład całowania świętego pierścienia prapradziadka Jak-mu-tam.

Po raz pierwszy wyciąłem też parę fragmentów akcji. Oto dlaczego: Inigo i Fezzik muszą odbyć kilka wycieczek, aby zgromadzić ingrediencje niezbędne do sporządzenia pigułki wskrzeszenia, więc Inigo wyrusza na poszukiwanie ropuszego pyłu, podczas gdy Fezzik idzie nazbierać błota potępienia, co z kolei wymaga na przykład, by zdobył gdzieś najpierw płaszcz potępienia, bo inaczej spłonie żywcem, i tak dalej. Moim zdaniem zanadto przypomina to Czarnoksiężnika Oza, wysyłającego Dorotkę i jej przyjaciół do złej czarownicy po czerwone pantofelki. Sceny te mają ten sam nastrój, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, więc nie chciałem ryzykować, że właśnie kiedy opowieść zbliża się do burzliwego finału, część czytelników może stwierdzić: „Och, to zupełnie tak samo jak u Oza”. Sęk w tym, że Morgenstern napisał floreńską wersję Narzeczonej księcia grubo przed tym, jak Baum wydał Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu; lecz choć to on był pierwszy, wszyscy uważają go za naśladowcę. Byłoby miło, gdyby ktoś, może jakiś filolog przed doktoratem, zrobił coś dla poprawienia reputacji Morgensterna, bo wiercie mi, jeśli ignorując kogoś, sprawiamy mu ból, ten facet naprawdę się nacierpiał.

Inny powód, dla którego wyciąłem ten fragment, brzmi następująco: wszyscy wiemy, że pigułka wskrzeszenia musi zadziałać. Nie po to spędzamy tyle czasu w towarzystwie zwariowanej pary, takiej jak Cyryl i Waleria, aby w końcu miało się nie udać. A przynajmniej nie robi tego mistrz Morgenstern.

Jeszcze jedna uwaga: Hiram, mój wydawca, uważał, że cały fragment z Cudownym Cyrylem jest zbyt żydowski, zbyt nowoczesny. W tym momencie usłyszał ode mnie kilka słów prawdy, bo akurat na tym punkcie jestem szczególnie wrażliwy. Przykładowo w pewnym miejscu w Butchu Cassidy i Sundance Kidzie Butch mówi:

– Ja widzę, a cała reszta świata nosi binokle.

– To trzeba wyrzucić – oświadczył jeden z moich genialnych producentów. – Nie mam zamiaru podpisać moim nazwiskiem filmu, w którym pada podobne zdanie. – Spytałem go dlaczego, a on na to: – W tamtych czasach nie mówiono w ten sposób, to anachronizm.

Pamiętam, jak mu tłumaczyłem:

– Ben Franklin nosił binokle. Ty Cobb był najlepszym pałkarzem w amerykańskiej lidze akurat wtedy, gdy żyli ci faceci. Moja matka też już wtedy żyła i nosiła binokle. – Uścisnęliśmy sobie

dłonie i rozstaliśmy się jako wrogowie, ale zdanie zostało.

Chodzi o to, że jeśli nawet Cyryl i Waleria zachowują się jak Żydzi, czemu miałyby być inaczej? Sądźcie, że gość o nazwisku Simon Morgenstern był irlandzkim katolikiem? Zabawna rzecz – rodzice Morgensterna nosili imiona Cyryl i Waleria, a jego ojciec był lekarzem. Życie naśladuje sztukę, sztuka naśladuje życie; nigdy nie wiem, co było pierwsze, tak jak nie potrafię zapamiętać, czy claret to wino z Bordeaux, czy z Burgundii. W końcu oba są smaczne i tylko to się liczy; podobnie jest z Morgensternem. A teraz wracamy do akcji. Minęło dokładnie trzynaście godzin, jest czwarta po południu, dwie godziny przed ślubem.

* * *

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko? – spytał z niedowierzaniem Inigo.

– To wszystko – potwierdził z dumą Cyryl. Od bardzo dawna nie pracował tak długo i czuł się świetnie.

Waleria była z niego dumna.

– Piękna – stwierdziła, po czym odwróciła się do Iniga. – Wyglądasz na zawiedzionego. Czego się spodziewałeś? Jak, według ciebie, powinna wyglądać pigułka zmartwychwstania?

– Na pewno nie jak bryłka gliny wielkości piłki golfowej – odparł Inigo.

* * *

(To znowu ja, po raz ostatni w tym rozdziale: nie, to także nie jest anachronizm. Piłki golfowe istniały w Szkocji już siedemset lat temu. Co więcej, pamiętajcie, że Inigo studiował między innymi właśnie u Szkota, MacPhersona. Praktycznie wszystko, o czym pisze Morgenstern, jest prawdziwe w sensie historycznym; jeśli nie wierzycie, przeczytajcie jakąkolwiek porządną książkę o dziejach Floreny.)

* * *

– Zazwyczaj na końcu pokrywam je czekoladową polewą. Dzięki temu wyglądają o niebo lepiej – wyjaśniła Waleria.

– Już prawie czwarta – stwierdził Cyryl. – Lepiej przygotuj czekoladę, żeby zdążyła zastygnąć.

Waleria zabrała pigułkę i zaczęła schodzić po drabinie do swej kuchni.

– Uśmiechnij się. Nigdy nie spisałeś się lepiej.

– I zadziała bez cienia wątpliwości? – dopytywał się Inigo.

Cyryl przytaknął stanowczo; nie uśmiechnął się jednak. Po głowie błąkała mu się dręcząca myśl. Nigdy o niczym nie zapominał, a już szczególnie o czymś ważnym, więc i o niej nie zapomniał.

Tyle że przypomniał sobie zbyt późno...

* * *

O 4.45 książkę Humperdinck wezwał do swej komnaty Yellina. Ten zjawił się natychmiast, choć z drzeniem serca oczekiwał tego, co, jak wiedział, musi nastąpić. Prawdę mówiąc, napisał już prośbę o dymisję. Miał ją ze sobą, w kieszeni, w zaklejonej kopercie.

- Wasza Wysokość... – zaczął.
- Melduj, co się dzieje – polecił książę.

Miał już na sobie weselny, oślepiająco biały strój, lecz nadal wyglądał jak beczka, tyle że nieco jaśniejsza.

– Wszystkie rozkazy Waszej Wysokości zostały spełnione. Osobiście dopilnowałem każdego szczegółu.

Yellin był bardzo zmęczony i napięcie jego nerwów już dawno przekroczyło dopuszczalną granicę.

- W samej rzeczy – rzucił książę.

Tylko siedemdziesiąt pięć minut dzieliło go od zamordowania jego pierwszej kobiety i zastanawiał się właśnie, czy zdoła zacisnąć palce na jej gardle, nim ofiara wyda z siebie jakikolwiek krzyk.

Całe popołudnie ćwiczył uchwyt na wielkiej kiełbasie i znakomicie opanował niezbędne ruchy, ale mimo wszystko kiełbasa to nie to samo, co ludzka szyja, choćby nie wiem jak bardzo tego pragnął.

– Wszystkie drogi prowadzące do zamku zostały dziś rano na nowo zamknięte, poza główną bramą. Jest tylko jedno wejście i wyjście. Sam zmieniłem zamek w bramie. Do nowego pasuje tylko jeden klucz, który zawsze noszę przy sobie. Kiedy przebywam na zewnątrz, dowodząc setką żołnierzy, klucz tkwi w zewnętrznym zamku, tak że nikt nie może wymknąć się na dwór. Gdy, tak jak w tej chwili, jestem u Waszej Wysokości, klucz zostawiam z zamku wewnętrznym, aby nikt z zewnątrz nie mógł wtargnąć do środka.

– Chodź za mną – powiedział książę, zbliżając się do wielkiego okna w ścianie i wskazując ręką. Za oknem rozciągał się przepiękny ogród. Za nim, rzecz jasna, wyrastał zewnętrzny mur. – Tędy właśnie przyjdą – oświadczył. – Przez mur i stajnie, środkiem ogrodu aż do mojego okna. Kiedy znajdą się w komnacie, uduszą królową i wrócą tą samą drogą, nim zdołamy się zorientować, co zaszło.

- Oni? – spytał Yellin, choć oczywiście znał odpowiedź.

– Guldeńcy, rzecz jasna.

– Ale w miejscu wskazanym przez Waszą Wysokość mur jest najwyższy w całym Florencie. W tym punkcie ma prawie dwadzieścia metrów. Wydaje się więc, że to najgorsze możliwe miejsce ewentualnego ataku. – Yellin rozpaczliwie próbował nie stracić opanowania.

– Właśnie dlatego je wybrali. Zresztą wszyscy wiedzą, że Guldeńcy to najlepsi wspinacze na świecie.

Yellin nigdy o tym nie słyszał. Zawsze sądził, że to Szwajcarzy nie mają sobie równych we wspinaczce.

– Wasza Wysokość – rzucił, podejmując ostatnią próbę. – Dotąd żaden z moich szpiegów nie słyszał ani słowa o spisku przeciwko książęnicze.

- Wiem z najpewniejszych źródeł, że jeszcze dziś w nocy ktoś będzie próbował ją udusić.

– W takim razie – Yellin ukląkł na jedno kolano i podał księciu kopertę – zmuszony jestem podać się do dymisji. – Trudno mu było podjąć tę decyzję: Yellinowie od wielu pokoleń dowodzili siłami porządkowymi we Florencie i zawsze traktowali swą pracę niezmiernie poważnie. – Najwyraźniej źle wypełniam swoje obowiązki. Błagam jedynie, aby Wasza Wysokość uwierzył, że być może zawiniłem duchem bądź ciałem, ale nigdy – sercem.

Książę Humperdinck znalazł się nagle w prawdziwej kropce, bo potrzebował kogoś, kto po zakończeniu wojny będzie mógł zostać w Guldenie i rządzić tam w jego imieniu. On sam nie

mógł się rozdzielić i przebywać w dwóch miejscach jednocześnie, poza sobą zaś ufał tylko Yellinowi i Hrabiemu. Wiedział, że Rugen nigdy nie zgodzi się objąć tego stanowiska: ostatnimi czasy jego myśli skupiały się wyłącznie na tym głupim *Kompendium Bólu*.

– Nie przyjmuję twojej rezygnacji. Znakomicie wypełniasz swoje obowiązki, nie istnieje żaden spisek, dziś wieczór ja sam zamorduję królową. Po wojnie będziesz w moim imieniu rządził Guldenem, a teraz wstań z klęczek.

Yellin nie wiedział, co odpowiedzieć. „Dziękuję” brzmiało stanowczo za słabo, ale nic więcej nie umiał wymyśleć.

– Po ślubie odeślę ją tutaj, aby się przygotowała, podczas gdy sam, używając przygotowanych wcześniej butów, zostawię ślady prowadzące od muru do sypialni i z powrotem. Ponieważ osobiście nadzorujesz każde śledztwo, ufam, że bezzwłocznie potwierdzisz moje obawy, iż ślady te mogą pochodzić tylko od butów guldeńskich żołnierzy. Dysponując takim świadectwem, będziemy jeszcze potrzebowali paru królewskich dekretów. Mój ojciec może abdykować jako niezdolny do prowadzenia wojny i wkrótce, mój drogi Yellinie, zamieszkaż na zamku w Guldenie.

Yellin wiedział, kiedy go odprawiają.

– Żyję tylko po to, by służyć Waszej Wysokości.

– Dziękuję ci – odparł Humperdinck, zadowolony, bo jak wiadomo, lojalność jest jedyną rzeczą, jakiej nie da się po prostu kupić. Wiedziony nagłym impulsem powstrzymał Yellina, który właśnie otwierał drzwi: – A jeśli zobaczysz gdzieś albinosa, powiedz mu, że podczas mego ślubu może stanąć w kącie kaplicy. Nie mam nic przeciw temu.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparł Yellin i po sekundzie dodał: – Ale nie wiem, gdzie podziewa się mój kuzyn. Niecałą godzinę temu usiłowałem go znaleźć. Bezskutecznie.

Książę umiał rozpoznać ważne wieści, kiedy je słyszał – nie na darmo przecież był największym myśliwym świata. Zresztą o albinosie można było z całą pewnością powiedzieć jedno: zawsze tkwił na miejscu.

– Mój Boże, nie sądzisz chyba, że naprawdę istnieje jakiś spisek? To idealny moment: cały kraj świętuje. Wiem, że gdyby Gulden obchodził swoje pięćsetlecie, zaatakowałbym go bez namysłu.

– Pospiesz się zatem do bramy, by walczyć, choćby na śmierć i życie – oznajmił Yellin.

– To miło z twojej strony! – zawołał za nim książę.

Jeśli istotnie szykują jakiś atak, z pewnością nastąpi on w najmniej stosownym momencie – podczas ślubu. Trzeba więc go przesunąć. Niełatwo przyspieszyć bieg spraw wagi państwowej, ale w końcu od czego miał władzę. Godzina szósta odpadała. Ożeni się nie później niż o wpół do szóstej, chyba że wcześniej odkryje, co się dzieje.

* * *

O piątej Cyryl i Waleria siedzieli w swojej piwnicy, popijając kawę.

– Lepiej zaraz położyć się spać – upomniała męża Waleria. – Wyglądasz, jakby cię coś trapiło. Nie możesz zarywać nocy, jak za dawnych czasów.

– Nie jestem zmęczony – odparł Cyryl. – Ale masz rację co do tego drugiego.

– Powiedz wszystko mamie. – Waleria podeszła do niego i pogłaskała miejsce, gdzie niegdyś rosła bujna czupryna.

– Nic się nie stało, tylko że przypomniałem sobie coś związanego z pigułką.

- To była wspaniała pigułka, kochanie. Możesz być z niej dumny.
 - Wydaje mi się jednak, że źle wyliczyłem składniki. Chcieli godzinę, prawda? Kiedy podwoiłem proporcje, dałem nieco za mało. Nie sądzę, aby działała dłużej niż czterdzieści minut. Waleria siadła mu na kolanach.
 - Bądźmy ze sobą szczerzy: oczywiście, jesteś geniuszem, ale nawet geniusz może zarzewieć. Od trzech lat jesteś na emeryturze. Czterdzieści minut powinno im w zupełności wystarczyć.
 - Chyba masz rację. Zresztą, co możemy teraz na to poradzić? Co się stało, to się nie odstanie.
 - Biorąc pod uwagę presję, pod jaką pracowałeś, to będzie cud, jeśli w ogóle zadziała.
- Cyryl musiał się z nią zgodzić.
- Fantasmagoria – przytaknął.

* * *

Kiedy Fezzik dotarł do muru, człowiek w czerni zdążył już niemal zupełnie zeszywnieć. Dochodziła piąta, a Fezzik taszczył ciało przez całą drogę od domu Cudownego Cyryla przez boczne uliczki, zaułki i aleje. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił. Nie męcząca. Nawet się nie zadyszał. Jeśli jednak pigułka była tylko tym, na co wyglądała – bryłką czekolady – do końca życia będą prześladowały go koszarne sny o trupach, sztywniejących mu w ramionach.

- I co teraz? – zapytał, kiedy wreszcie przycupnął w niszy obok Iniga.
 - Musimy sprawdzić, czy wciąż jest tu bezpiecznie. Mogli przygotować zasadzkę. Ich odcinek muru wychodził wprost na Zoo, leżące w najdalszym zakątku terenów zamkowych. Jeśli jednak ciało albinosa zostało odkryte, kto wie, co mogło na nich czekać?
 - Czy mam się wspiąć na górę?
 - Obaj to zrobimy – zdecydował Inigo. – Oprzyj go o ścianę i pomóż mi.
- Fezzik wygiął ciało człowieka w czerni tak, by nie upadło, zaczekał, aż Inigo wskoczy mu na plecy, i ruszył w górę. Jego palcom wystarczyła najmniejsza szczelina, nie potrzebował niczego, poza niemal niewyczuwalną nierównością muru. Raz złapawszy rytm, wspinał się szybko i już po chwili Inigo zdołał pochwycić krawędź.
- W porządku – powiedział. – Teraz wracaj na dół. – Fezzik posłusznie zsunął się z powrotem i stanął obok człowieka w czerni.

Wokół panowała martwa cisza. Inigo pełznął po szczycie muru. Daleko przed sobą widział bramę zamku i otaczających ją zbrojnych. Bliżej rozciągało się Zoo. W najdalszy rogu zaś, w najodleglejszej kępie krzaków dostrzegł nieruchome ciało albinosa. Nic się nie zmieniło. Na razie byli bezpieczni. Wezwał gestem Fezzika, który, ścisnąwszy kolanami trupa, używając samych rąk, bezszelestnie wspiął się po ścianie.

Gdy byli już razem, Inigo położył trupa na szczycie muru i szybko ruszył w miejsce, skąd mógł się lepiej przyjrzeć bramie. Droga prowadząca do głównej bramy zamku lekko opadała w dół, jakby biegła po nachylonym zboczku – niezbyt stromym i niezwykle równym. Wokół musiało być – Inigo policzył ich szybko – co najmniej stu ludzi, trwających w pełnej gotowości. Co do godziny, to wedle jego rozeznania było jakieś pięć – dziesięć po piątej. Pięćdziesiąt minut do ślubu. Inigo odwrócił się i pospiesznie pobiegł do Fezzika.

- Myślę, że powinniśmy dać mu pigułkę – stwierdził. – Do ceremonii zaślubin zostały jeszcze mniej więcej trzy kwadranse.

– To oznacza, że miałyby tylko piętnaście minut na ucieczkę – sprzeciwił się Fezzik. – Uważam, iż lepiej będzie poczekać co najmniej do wpół do. To daje mu więcej czasu.

– Nie – odparł Inigo. – W ogóle nie dopuścimy do ślubu. Osobiście sądzę, że to najlepszy sposób. Zanim jeszcze cokolwiek się zacznie. W całym przedślubnym zamieszaniu najłatwiej będzie zaatakować.

Fezzik nie zgłaszał dalszych zastrzeżeń.

– Zresztą – ciągnął Inigo – i tak nie wiemy, ile czasu zabierze mu połknięcie czegoś takiego.

– Ja nigdy nie dałbym rady. Jestem tego pewien.

– Będziemy musieli nakarmić go siłą – zdecydował Inigo, odwijając z papierka pokrytą czekoladą bryłkę. – Jak tuczną gęś. Przyłożymy mu ręce do szyi i wepchniemy pigułkę jak najgłębiej, a potem się zobaczy.

– Jestem z tobą, Inigo – odparł Fezzik. – Powiedz tylko, co mam robić.

– Najpierw powinniśmy go chyba posadzić. Jak sądzisz? Zawsze łatwiej mi było przełknąć coś na siedząco niż w pozycji leżącej.

– To nie będzie łatwe – zauważył Fezzik. – Kompletnie zeszywniał i nie przypuszczam, żeby dało się go zgiąć.

– Potrafisz to zrobić. Zawsze w ciebie wierzyłem.

– Dziękuję ci, Inigo. Po prostu nigdy więcej mnie nie zostawiaj. – Fezzik umieścił trupa między nimi i spróbował zgiąć go wpół, lecz człowiek w czerni był sztywny jak deska i olbrzym naprawdę się spocił, zanim zdołał nadać mu pożądaną kształt. – Jak myślisz, ile czasu potrwa, nim zorientujemy się, czy cud zadziałał?

– Wiem tyle samo co ty – odparł Inigo. – Otwórz mu usta najszerzej, jak się da, i przechyl głowę do tyłu. Po prostu wciśniemy mu pigułkę do gardła i przekonamy się.

Przez chwilę Fezzik mocował się z ustami trupa, po czym, rozwarłszy je tak, jak polecił przyjaciel, jednym ruchem idealnie zgiął szyję. Inigo ukląkł nad powstałym otworem i wrzucił do środka pigułkę, a kiedy wpadła do gardła, usłyszał:

– Nie mogliście pokonać mnie w pojedynkę, co, dranie? Cóż, jeśli potrafiłem zwyciężyć każdego z osobna, mogę to zrobić z dwoma naraz.

– Ty żyjesz! – wykrzyknął Fezzik.

Człowiek w czerni siedział nieruchomo, niczym lalka brzuchomówcy, poruszały się jedynie jego usta.

– To chyba najbardziej oczywiste stwierdzenie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Ale w końcu czego można oczekiwać po nieznanym. Czemu nie mogę ruszyć rękami?

– Bo byłeś martwy – wyjaśnił Inigo.

– Poza tym wcale cię nie dusimy – dodał Fezzik. – Po prostu wmuszamy w ciebie pigułkę.

– Pigułkę wskrzeszenia – uzupełnił Inigo. – Kupiłem ją od Cudownego Cyryla. Działa przez sześćdziesiąt minut.

– A co się stanie po sześćdziesięciu minutach? Znowu umrę?

(W rzeczywistości Westleyowi tylko wydawało się, że ma do dyspozycji sześćdziesiąt minut; naprawdę było ich czterdzieści. Ponieważ zaś jedną zużyli już na rozmowę, pozostało jeszcze trzydzieści dziewięć.)

– Nie wiemy. Prawdopodobnie zupełnie opadniesz z sił i będziesz potrzebował opieki przez następny rok, czy ile tam trzeba, abyś w pełni wrócił do siebie.

– Szkoda, że nie pamiętam, co się działo, kiedy nie żyłem – stwierdził człowiek w czerni. – Natychmiast bym to opisał. Taka książka przyniosłaby mi majątek. Nogami też nie mogę ruszyć.

– Z czasem to minie. Tak ma być. Cyryl powiedział, że na pewno odzyskasz władzę nad umysłem i językiem, najpewniej też będziesz mógł się poruszyć, ale powolutku.

– Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to to, że umierałem. Skąd więc wziąłem się na tym murze? Czy jesteśmy nieprzyjaciółmi? Jak się nazywacie? Co do mnie, to jestem straszliwym piratem Robertsem, ale możecie nazywać mnie Westley.

– Fezzik.

– Inigo Montoya z Hiszpanii. Pozwól, że opowiem ci, co się wydarzyło... – Inigo urwał i potrząsnął głową. – Nie – poprawił się. – Stracilibyśmy zbyt wiele czasu, więc podam tylko najważniejsze fakty: ślub odbędzie się o szóstej, co daje nam jakieś pół godziny na dostanie się do środka, wykradzenie dziewczyny i ucieczkę. Najpierw jednak zabiję Hrabiego Rugena.

– Jakie przeszkody musimy pokonać?

– Jest tylko jedna brama, a tej strzeże mniej więcej setka ludzi.

– Hmmmm – mruknął Westley, znacznie mniej nieszczęśliwym tonem niż w normalnych okolicznościach, bo właśnie w tym momencie po raz pierwszy zdołał poruszyć palcami u nóg.

– A po naszej stronie mamy...?

– Twój umysł, siłę Fezzika i moje ostrze.

– To wszystko? Absolutnie wszystko? Komplet? Cała suma?

– Od samego początku działamy pod straszną presją czasu – próbował wyjaśnić Inigo. – Na przykład jeszcze wczoraj rano ja sam byłem bezwolnym pijakiem, a Fezzik służył w Oddziale Brutali.

– To niemożliwe! – wykrzyknął Westley.

– NAZYWAM SIĘ INIGO MONTOYA I NIE ZNAM SŁOWA „KŁĘSKA”. Wiem, że coś wymyślisz. Wierzę w ciebie bez zastrzeżeń.

– Ona poślubi Humperdincka, a ja nie mogę nic na to poradzić. – W głosie Westleya brzmiała ślepa rozpacz. – Zostawcie mnie. Dajcie mi spokój.

– Zbyt łatwo się poddajesz. Ze względu na ciebie walczyliśmy z potworami, zaryzykowaliśmy wszystko, bo dysponujesz umysłem, który potrafi rozwiązać każdy problem. Jestem całkowicie, absolutnie i bez reszty pewien, że...

– Chcę umrzeć – szepnął Westley, zamykając oczy. – Gdybym miał miesiąc, może zdołałbym opracować jakiś plan, ale tak... – Jego głowa zakołysała się z boku na bok. – Przykro mi. Nic z tego.

– Właśnie poruszyłeś głową – zauważył Fezzik, z całych sił starając się go pocieszyć. – Czy nie podnosi cię to nieco na duchu?

– Mój umysł, twoja siła i jego ostrze przeciw setce żołnierzy? A ty uważasz, że mały ruch głowy miałby mnie uszczęśliwić? Po co mnie wskrziesiliście? To jest znacznie gorsze niż śmierć. Leżę tu, bezradny jak dziecko, podczas gdy moja ukochana wychodzi za mąż za mojego mordercę.

– Wiem, że kiedy dojdiesz do siebie po początkowym szoku, wymyślisz jakieś...

– Gdybyśmy chociaż mieli taczkę, to już byłoby coś – przerwał mu Westley.

– Gdzie zostawiłeś taczkę albinosa? – spytał Inigo.

– Chyba koło albinosa – odparł Fezzik.

– Możliwe, że zdołamy zdobyć taczkę – stwierdził Hiszpan.

– Czemu od razu nie powiedziałaś, że mamy coś jeszcze? – Westley usiadł, spoglądając przed siebie na żołnierzy stłoczonych przy bramie.

– Właśnie usiadłeś – zauważył Fezzik, nadal próbując go pocieszyć.

Westley wciąż wpatrywał się w żołnierzy ustawionych u stóp zbocza. Wreszcie potrząsnął głową.

– Och, ile bym dał za płaszcz potępienia – westchnął.

– Na to już nic nie poradzimy – odparł Inigo.

– A może ten się nada? – spytał z namysłem Fezzik, wyciągając zza pazuchy swój płaszcz potępienia.

– Skąd go...? – zaczął Inigo.

– To było wtedy, kiedy ty szukałeś ropuszego pyłu – odparł Fezzik. – Tak dobrze pasował, że postanowiłem go zatrzymać.

Nagle Westley dźwignął się na nogi.

– W porządku – rzekł. – Będę też potrzebował szpady.

– Po co? – spytał Inigo. – Przecież i tak nie zdołasz jej utrzymać.

– To prawda – zgodził się Westley. – Ale mało kto o tym wie. A teraz posłuchajcie: gdy już dostaniemy się do środka, mogą pojawić się nowe problemy...

– I to nieliczne – wtrącił Inigo. – Jak mamy zapobiec ślubowi? Kiedy już to zrobimy, jak zdołam znaleźć Hrabiego? Gdy już go znajdę, w jaki sposób trafię z powrotem do was? Kiedy już się zbierzemy, jak mamy uciec? Po tym, jak uciekniemy...

– Nie zasypuj go taką ilością pytań – upomniał przyjaciela Fezzik. – Daj mu odetchnąć; niedawno jeszcze nie żył.

– Racja, przepraszam.

Człowiek w czerni barrrrrdzo wolno ruszył wzdłuż muru. Sam. Bez niczyjej pomocy. Fezzik i Inigo podążyli w ślad za nim poprzez mrok w kierunku, gdzie czekała taczka. Nie da się zaprzeczyć, że w powietrzu wisiało napięcie.

* * *

Buttercup ze swojej strony nie czuła najmniejszego napięcia. W istocie nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej doświadczyła podobnego, tak cudownego spokoju. Jej Westley przybędzie, nic innego się nie liczyło. Od czasu gdy książę zawlókł ją do komnaty, rozmyślała wyłącznie nad tym, jak uszczęśliwić Westleya. Wiedziała, że zdąży na czas, by nie dopuścić do jej ślubu. Żadna inna myśl nie miała dostępu do jej świadomości.

W istocie książę Humperdinck zdołał nadrobić nawet więcej czasu, niż się spodziewał. Kiedy wraz z przyszlą małżonką uklękli przed arcydiakonem, była dokładnie piąta dwadzieścia trzy. O piątej dwadzieścia cztery arcydiakon zaczął mówić.

A o piątej dwadzieścia pięć przed bramą rozległ się hałas.

Buttercup tylko uśmiechnęła się łagodnie. Oto nadchodzi mój Westley, pomyślała.

* * *

W rzeczywistości to wcale nie jej Westley był przyczyną nagłego hałasu przed zamkiem. Westley zmuszał się, aby – bez niczyjej pomocy – iść prosto ku głównej bramie, i zadanie to pochłaniało wszystkie jego siły. Kilka kroków przed nim Inigo zmagił się z ciężką tawką. Taczka była ciężka dlatego, że stał w niej Fezzik i z płonącymi oczami, szeroko rozkładając ramiona, ryczał gniewnym głosem:

– Jam jest straszliwy pirat Roberts! Nikt nie wyjdzie stąd żywy!

Powtarzał to raz za razem, a jego głos odbijał się donośnym echem wśród murów w miarę, jak narastała wściekłość olbrzyma. Kiedy tak stał, płynąc w ciemnościach, stanowił imponujący widok: prawie trzy metry wzrostu, głos odpowiadający posturze. Nawet to jednak nie było przyczyną krzyków.

* * *

Ze swego stanowiska przy bramie Yellin z niepokojem obserwował ryczącego olbrzyma. Nie wątpił oczywiście, że setka jego ludzi z łatwością pozbędzie się intruza. Problem w tym, że olbrzym bez wątpienia także zdawał sobie z tego sprawę, toteż logika wskazywała, iż gdzieś w mroku musiał ukryć nieznaną liczbę pomocników. Innych piratów czy kogoś podobnego. Któż to wie? Mimo wszystko jednak jego ludzie, o dziwo, trwali na posterunku.

Nagle, pokonawszy połowę zbocza, olbrzym radośnie stanął w płomieniach. Jak się zdawało, zupełnie go to nie obeszło, nadal bowiem płynął naprzód, powtarzając:

– Nikt nie wyjdzie żywy, nikt nie wyjdzie żywy!

I właśnie widok zbliżającego się płonącego olbrzyma sprawił, że Brutale zaczęli krzyczeć. Kiedy zaś już to zrobili, natychmiast wpadli w panikę i rozbiegli się wokół...

ROZDZIAŁ ÓSMY





KIEDY PANIKA WYBUCHŁA już na dobre, Yellin zorientował się, że w żaden sposób nie zdoła zapanować nad sytuacją. Poza tym olbrzym był już okropnie blisko i ryk „NIKT NIE WYJDZIE ŻYWY!” niezmiernie utrudniał wszelkie próby logicznego myślenia. Pozostało mu jeszcze dość przytomności umysłu, by złapać jedyny klucz do bramy i ukryć go przy sobie w przepastnej kieszeni obszer-nego płaszcza.

Na szczęście jednak Westley także był przytomny i zauważył to.

– Oddaj mi klucz – zażądał, kiedy szpada Iniga dotykała gardła dowódcy straży.

– Nie mam żadnego klucza – odparł Yellin. – Przysięgam na grób moich rodziców. Niechaj dusza mojej matki na wieki smaży się w płomieniach, jeśli kłamię.

– Wyrwij mu ręce – polecił Westley Fezzikowi, który sam już zaczynał odrobinę się przysmażać, bowiem nawet płaszcz potępienia nie działa wiecznie. Olbrzym bardzo pragnął go rzucić, ale najpierw sięgnął ku rękóm Yellina.

– A, chodzi ci o ten klucz? – Yellin upuścił go, a kiedy Inigo odebrał mu szpadę, pozwolili mu odejść.

– Otwórz bramę – rzucił Westley.

– Gorąco mi – odparł Fezzik. – Czy mógłbym najpierw to zdjąć? – Ujrzawszy przyzwalające skinienie głowy, strząsnął z siebie płonący płaszcz, zostawił go na ziemi, po czym przekręcił klucz w zamku bramy i uchylił ciężkie skrzydło dość szeroko, aby mogli wśliznąć się do środka.

– Zamknij i zatrzymaj klucz, Fezziku. – polecił Westley. – Zostało najwyżej pół godziny, aby powstrzymać ślub.

– Co zrobimy, kiedy już wygramy? – spytał Fezzik, mocując się z potężnym zamkiem. – Gdzie się spotkamy? Należę do ludzi, którzy potrzebują instrukcji.

Zanim Westley zdążył odpowiedzieć, Inigo wydał głośny okrzyk i uniósł szpadę. Hrabia Rugen wraz z czterema pałacowymi gwardzistami wypadli właśnie zza zakrętu i zmierzali wprost ku nim. Była dokładnie piąta trzydzieści cztery.

* * *

Sam ślub zakończył się dopiero o piątej trzydzieści jeden, a i to wymagało od Humperdincka użycia wszelkich zdolności perswazji. Gdy krzyki za bramą rozbrzmiały z nieprzyzwoitą mocą, księżę najdelikatniej, jak umiał, przerwał archidiakonowi.

– Wasza Wielbność, miłość moja swą wszechogarniającą siłą nie pozwala mi dłużej czekać. Proszę, przejdźmy do najważniejszej części ceremonii.

Była godzina piąta dwadzieścia siedem.

– Humperdincku i Buttercup – zaczął archidiakon – jestem już bardzo stary i niewiele wiem o małżeństwie, ale uważam, iż w tym najszcześniejszym dniu muszę podzielić się z wami moją wiedzą. – (Archidiakon był zupełnie głuchy. Przypadłość ta dotknęła go, gdy skończył osiemdziesiąt pięć lat, i odtąd z niewiadomych przyczyn stale się pogarszała. „Mażeńswó”, powiedział oraz „Bałzo stały”. Jeśli nie pamiętało się o jego stanowisku i dawnych osiągnięciach, niezmiernie trudno było traktować go poważnie.)

– Mażeńswó... – ciągnął archidiakon.

– Raz jeszcze, Wasza Wielbność, przerywam w imię miłości. Proszę, zmierzajmy już jak najszybciej do końca.

– Mażeństwo jest jako sen skłity we śnie.

Buttercup zupełnie nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół niej. Westley musi już pędzić korytarzem. Zawsze przepięknie biegał. Jeszcze na farmie, gdy nie wiedziała, co kryje jej serce, z przyjemnością przyglądała się, jak biegał.

Oprócz nich w kaplicy znajdował się jeszcze tylko Hrabia Rugen, który, słysząc poruszenie przy bramie, poczuł gwałtowny niepokój. Za drzwiami czekało jego czterech najlepszych szermierzy, więc nikt nie zdołałby wejść do niewielkiej kaplicy, ale z miejsca, gdzie winni byli trwać na posterunku Brutale, dobiegały jedynie przerażone okrzyki. Czterej gwardziści byli jedynymi, którzy zostali w zamku, książę bowiem nie życzył sobie świadków tego, co wkrótce miało nastąpić. Gdyby tylko ten idiota duchowny przyspieszył trochę całą sprawę. Była już piąta dwadzieścia dziewięć.

– Sen o mności skłity w gębi więksego snu wiecnotwałego spokoju. Pseto wiecnos jes naszym błatem, a mność będzie wam towarzyszyć na więki.

Była piąta trzydzieści, kiedy książę wstał i stanowczym krokiem podszedł do archidiakona.

– Mężem i żoną! – krzyknął. – MĘŻEM I ŻONĄ! Powiedz to!

– Jeszcze do tego nie doszedłem – zaprotestował archidiakon.

– Właśnie doszedłeś – odparł książę. – No już!

Buttercup w duchu widziała, jak Westley mija ostatni zakręt korytarza. Na zewnątrz czekało czterech strażników. Zaczęła liczyć. Dziesięć sekund na każdego, zdecydowała, po czym dała sobie spokój. Arytmetyka nigdy nie była jej mocną stroną. Spuściła wzrok, zerkając ku swym dłoniom. O Boże, mam nadzieję, że nadal uzna mnie za piękną, pomyślała. Te koszmary kosztowały mnie wiele zdrowia.

– Mężem i żoną, jesteście mężem i żoną – oznajmił archidiakon.

– Dziękuję, Wasza Wielbność. – Książę obrócił się do Hrabiego. – Uspokój to zamieszanie! – polecił i zanim jeszcze zdążył skończyć, Rugen biegł już ku drzwiom kaplicy.

Była piąta trzydzieści jeden.

* * *

Dotarcie do bramy zabrało Hrabiemu i jego strażnikom pełne trzy minuty, a kiedy już się tam znaleźli, Hrabia nie mógł uwierzyć własnym oczom – sam widział, jak Westley umiera, a oto ujrzał go przed sobą, a wraz z nim – olbrzyma i śniadego mężczyznę z dziwnymi bliznami na twarzy. Na widok bliźniaczych szram w jego pamięci zamigotała niewyraźna iskierka, uznał jednak, że to nie najlepsza chwila na oddawanie się wspomnieniom.

– Zabijcie ich – rozkazał swym szermierzom – ale na razie oszczędźcie tego średniego.

Czterej strażnicy dobyli szpad...

...ale spóźnili się, zareagowali zbyt wolno, bo podczas gdy Fezzik osłaniał Westleya, Inigo zaatakował. Jego klinga śmignęła z oszałamiającą prędkością i czwarty żołnierz zginął, nim jeszcze zwłoki pierwszego zdążyły osunąć się na ziemię.

Przez moment Inigo stał bez ruchu, dysząc ciężko. Wreszcie odwrócił się w stronę Hrabiego Rugena i złożył mu szybki, wytworny ukłon.

– Witaj – powiedział. – Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć.

W odpowiedzi Hrabia uczynił prawdziwie niezwykłą i niespodziewaną rzecz: zawrócił na

pięcie i uciekł. Była godzina piąta trzydzieści siedem.

* * *

Kiedy król Lotharon i królowa Bella zjawili się w kaplicy, zdążyli jeszcze ujrzyć Hrabiego Rugena, prowadzącego czterech gwardzistów w dół korytarza.

– Czyżbyśmy przyszedli za wcześnie? – spytała królowa, wchodząc do kaplicy, w której czekali Buttercup, Humperdinck i archidiakon.

– Zdarzyło się mnóstwo rzeczy – odparł książę. – Z czasem wszystko stanie się całkowicie jasne. Lękam się jednak, iż w tej chwili istnieje duże prawdopodobieństwo ataku ze strony Guldenu. Potrzeba mi czasu i samotności w ogrodach, abym mógł opracować plan bitwy. Czy mogę zatem prosić, abyście osobiście zechcieli odprowadzić Buttercup do mojej sypialni?

Rzecz jasna królowa zgodziła się natychmiast. Książę pospieszył naprzód, zatrzymując się tylko raz – aby otworzyć zamkniętą na klucz szafę i wyjąć z niej kilkanaście par butów, niegdyś należących do guldeńskich żołnierzy. Następnie pobiegł na dwór.

Co do Buttercup, szła powoli między starym królem i królową, zupełnie spokojna. Nie miała się czym martwić – przecież Westley lada moment zjawi się, aby zapobiec jej małżeństwu i zabrać ją na zawsze. Dopiero w połowie drogi do komnaty Humperdincka dotarła do niej prawda o jej okropnym położeniu.

Westleya nie było.

Słodkiego Westleya nie było. Nie uznał za stosowne, aby po nią przybyć.

Westchnęła ciężko, nawet nie z bólu – raczej żegnając się ze światem. Gdy tylko znajdzie się w pokoju Humperdincka, nastąpi jej koniec. Książę miał wspaniałą kolekcję szpad i sztyletów.

Nigdy wcześniej nie zastanawiała się poważnie nad popełnieniem samobójstwa. Och, oczywiście od czasu do czasu myślała o tym, jak każda dziewczyna. Ale nigdy serio. Ku swemu zdumieniu odkryła, iż będzie to najłatwiejsza rzecz na świecie. Dotarła do drzwi komnaty, powiedziała „dobranoc” królewskiej parze i ruszyła wprost ku ścianie, na której umieszczono kolekcję broni. Była godzina piąta czterdzieści sześć.

* * *

O piątej trzydzieści siedem Iniga tak zdumiało tchórzostwo Hrabiego, że przez moment po prostu stał bez ruchu. Wreszcie rzucił się w pościg i oczywiście okazał się szybszy od swego przeciwnika, tyle że Hrabia zniknął za drzwiami, zatrzasnął je i zaryglował, i Inigo nie mógł ich wyważyć.

– Fezziku! – krzyknął rozpaczliwie. – Fezziku, wyłam je!

Fezzik jednak został z Westleyem. Takie miał zadanie: chronić Westleya, i choć nadal widział Iniga, nie mógł nic zrobić, bo Westley właśnie ruszył naprzód. Wolniutko. Chwiejnym krokiem. Ale szedł o własnych siłach.

– Rozpędź się! – zawołał Fezzik. – Uderz w nie ramieniem. Mocno. Na pewno ustąpią.

Inigo rzucił się naprzód. Raz po raz walił w drzwi, te jednak, w przeciwieństwie do niego, były solidnie zbudowane.

– On mi ucieka! – rzucił.

– Ale Westley jest bezbronny – przypomniał mu olbrzym.

– Fezziku, potrzebuję cię! – wrzasnął Inigo.

– To potrwa tylko minutkę – oznajmił Fezzik, ponieważ istnieją pewne rzeczy, które robi się niezależnie od okoliczności, na przykład nie odmawia się pomocy przyjaciołom w potrzebie.

Westley skinął głową, nie zatrzymując się. Nadal był słaby i ledwie trzymał się na nogach, ale wciąż szedł naprzód.

– Pospiesz się – nalegał Inigo.

Fezzik posłuchał. Dopadł zamkniętych drzwi i uderzył w nie całym swym potężnym ciężarem.

Drzwi wytrzymały.

– Szybciej! – błagał Inigo.

– Jedną chwilkę – przyrzekł Fezzik, po czym cofnął się kilka kroków i ponownie rąbnął ramieniem w deski.

Drzwi ustąpiły. Odrobinę. Ale niewystarczająco.

Fezzik cofnął się dalej. Z rykiem rzucił się przez korytarz i w ostatniej chwili skoczył, uderzając obiema stopami, a drzwi rozpadły się na kawałki.

– Dziękuję ci, dziękuję! – rzucił już w biegu Inigo.

– Ale co ja mam teraz robić?! – zawołał Fezzik.

– Wracaj do Westleya! – odkrzyknął Inigo, pędząc naprzód, w ślad za Hrabią przez kolejne komnaty.

– Ty dumniu – upomniał siebie Fezzik i zawrócił, by dołączyć do Westleya. Tyle że Westleya już tam nie było. Fezzik poczuł, jak zaczyna go ogarniać panika. Przed sobą miał pół tuzina korytarzy.

– Jak cię znam, na pewno wybierzesz nie ten, co trzeba – stwierdził głośno, po czym zdecydował się i pobiegł jednym z korytarzy najszybciej, jak mógł.

Wybrał nie ten, co trzeba.

Westley był sam.

* * *

Inigo nadrabiał stracony czas. Za każdym razem, kiedy wpadał do nowego pokoju, przez ułamek sekundy widział uciekającego szlachcica w sąsiednim pomieszczeniu, kiedy zaś tam docierał, Hrabia był już w kolejnej komnacie. Jednak Inigo doganiał go coraz bardziej. Wkrótce był już pewien, że najpóźniej o piątej czterdzieści, po dwudziestu pięciu latach pościgu, znajdzie się sam na sam z człowiekiem, któremu poprzysiągł zemstę.

* * *

Buttercup wiedziała z całą pewnością, że do godziny piątej czterdzieści osiem umrze. Minutę przed wyznaczonym terminem stała bez ruchu, wpatrując się w kolekcję noży księcia. Najgroźniej wyglądał najpopularniejszy z nich – floreński sztylet. Spiczasto zakończony, z łatwością wnikał w ciało, po czym rozszerzał się gwałtownie. Podobno miało to przyspieszać wykrwawienie ofiary. Sztylety te produkowano w różnych rozmiarach, a ten, należący do księcia, był jednym z największych – przy rękojeści klinga dorównywała szerokością męskiemu przegubowi. Buttercup zdjęła go ze ściany i przyłożyła do serca.

– Na tym świecie nigdy nie było zbyt wiele idealnych piersi, więc lepiej zostaw swoje w spokoju – usłyszała, po czym ujrzała leżącego na łóżku Westleya. Była piąta czterdzieści osiem i Buttercup wiedziała, że już nigdy nie umrze.

Westley z kolei zakładał, że ma czas do szóstej piętnaście, to jest do chwili upływu godziny. Wszystko się zgadzało, tyle że nie miał godziny; jedynie czterdzieści minut. Ściślej biorąc, do piątej pięćdziesiąt pięć. Jeszcze siedem minut. Lecz, jak już mówiliśmy, Westley nie mógł o tym wiedzieć.

* * *

Natomiast Inigo nie mógł wiedzieć, że Hrabia Rugen ma przy sobie floreński sztylet. Ani że jest mistrzem w posługiwaniu się podobną bronią. Dopiero o piątej czterdzieści jeden Inigo zdołał osaczyć Hrabiego w sali bilardowej. Miał właśnie oznajmić: „Witaj. Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć”, w istocie zdążył jednak tylko powiedzieć:

– Witaj. Nazywam się Ini...

I nagle w jego wnętrzości wtargnął sztylet. Siła uderzenia odrzuciła Iniga w tył, póki nie oparł się o ścianę. Upływ krwi osłabił go tak szybko, że nie zdołał utrzymać się na nogach.

– Domingo, Domingo – szepnęła i, o piątej czterdzieści dwie, osunął się na kolana.

* * *

Zachowanie Westleya zdumiało Buttercup. Podbiegła do niego, spodziewając się, że skoczy ku niej i zamknie ją w szalonym uścisku. Tymczasem on jedynie uśmiechnął się i pozostał na łóżku, rozciągnięty wśród poduszek księcia, ze szpadą leżącą u boku.

Buttercup samotnie pokonała resztę dystansu i padła na swojego najdroższego Westleya.

– Ostrożnie – upomniał ją.

– Czy to jedyne, co potrafisz powiedzieć w takiej chwili? Ostrożnie?

– Ostrożnie – powtórzył Westley, tym razem nieco mniej łagodnym tonem.

Buttercup wstała.

– Jesteś na mnie zły za to, że wyszłam za mąż? – spytała.

– Nie wyszłaś za mąż – odparł miękko. W jego głosie pobrzmiwała dziwna nuta. – Nie w moim kościele ani też w żadnym innym.

– Ale ten starzec ogłosił nas...

– Istnieją jeszcze wdowy. Każdego dnia przybywa ich coraz więcej. Czyż nie tak, wasza wysokość? – dodał głośniejszym głosem, zwracając się do księcia, który wszedł właśnie do komnaty, z zabłoconymi butami w dłoniach.

Humperdinck natychmiast sięgnął po broń i w jego potężnej dłoni błysnęła szpada.

– Na śmierć – powiedział, ruszając naprzód.

Westley pokręcił lekko głową.

– Nie – poprawił – Na ból.

To niezwykle stwierdzenie sprawiło, iż księżę przez moment zastygł w miejscu. Poza tym, czemu ten człowiek w ogóle tam leżał? Gdzie kryje się pułapka?

– Niezupełnie cię rozumiem.

Westley nadal spoczywał nieruchomo, lecz jego uśmiech stał się szerszy.

– Z radością ci wyjaśnię.

Była piąta pięćdziesiąt. Pozostało mu jeszcze dwadzieścia pięć minut bezpieczeństwa. (W istocie pozostało mu pięć, ale Westley nie zdawał sobie z tego sprawy. Skąd miałyby wiedzieć?) Zaczął mówić powoli, starannie wymawiając słowa...

* * *

Inigo także zaczął mówić. Wciąż jeszcze była piąta czterdzieści dwie, gdy wyszeptał:

– Przepraszam... ojciec...

Hrabia Rugen usłyszał jego słowa, ale z niczym ich nie skojarzył, póki nie ujrzał szpady, wciąż tkwiącej w dłoni przeciwnika.

– Czyżbyś był tym hiszpańskim smarkaczem, któremu kiedyś udzieliłem lekcji pokory? – Podszedł bliżej i uważnie obejrzał szramy. – To wręcz niewiarygodne. Ścigałeś mnie przez te wszystkie lata tylko po to, by teraz ponieść klęskę? To musi być najgorsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Coś wspaniałego!

Inigo nie mógł wyrzec ani słowa. Z jego brzucha tryskała krew.

Hrabia Rugen dobył broni.

– ...przepraszam, ojciec... Przepraszam...

– NIE CHCĘ TWOICH PRZEPROSIN! NAZYWAM SIĘ DOMINGO MONTOYA I ODDAŁEM ŻYCIE ZA TĘ SZPADE! MOŻESZ SOBIE ZATRZYMAĆ SVOJE „PRZEPRASZAM”. JEŚLI MIAŁEŚ MNIE ZAWIEŚĆ, TRZEBA BYŁO UMRZEĆ WIELE LAT TEMU I DAĆ MI SPOCZAĆ W SPOKOJU! – A potem usłyszał też wyrzekania MacPhersona:

– Hiszpanie! Nigdy nie powinienem był próbować uczyć Hiszpanów. Są tępi i wszystko zapominają. Co robimy z raną? Ile razy ci powtarzałem – CO ROBIMY Z RANĄ?!

– Zatykamy ją... – odparł Inigo, po czym wyciągnął z brzucha sztylet i wepchnął lewą pięść w sam środek krwawiącej rany.

Jego wzrok znów zaczął się przejaśniać i choć nie odzyskał jeszcze idealnej ostrości, wystarczyło to żeby Inigo dostrzegł klingę Hrabiego, celującą wprost w jego serce. Nie mógł zrobić zbyt wiele, zdołał jednak niezgrabnie odparować pchnięcie i skierować je w lewe ramię, gdzie nie wyrządziło poważniejszych szkód.

Hrabia Rugen zdumiał się nieco, widząc, że jego szpada zboczyła z kursu, nie miał jednak nic przeciw przeszyciu na wylot ramienia bezradnego przeciwnika. Nie było pośpiechu – tamten nie mógł przecież uciec.

MacPherson znów wrzeszczał:

– Hiszpanie! Dajcie mi raczej Polaka: Polak przynajmniej pamiętałby, by wykorzystać ścianę, skoro ma ją w pobliżu. Tylko Hiszpan mógłby zapomnieć o ścianie...

Powoli, cal za całem, Inigo zmusił swe ciało, aby – wsparte o mur – uniosło się w górę. Nogi służyły mu jedynie do popchnięcia reszty ciała, które tylko dzięki ścianie zachowywało równowagę.

Hrabia Rugen ponownie zaatakował, lecz z wielu przyczyn – a przede wszystkim dlatego, iż nie spodziewał się, że ranny może się ruszyć – nie trafił w serce i musiał zadowolić się przebicciem lewej ręki Hiszpana.

Inigo nie przejął się tym. Nawet nie poczuł bólu. Interesowała go wyłącznie prawa ręka. Zaciśnął palce na rękojeści i do jego dłoni napłynęła siła, w sam raz tyle, by unieść broń i spróbować pchnięcia. To także stanowiło dla Hrabiego nieprzyjemną niespodziankę, więc ze stłumionym okrzykiem cofnął się o krok, by na nowo ocenić sytuację.

Teraz moc z serca Iniga napływała do jego prawego ramienia i w dół, do palców, dosięgając wreszcie wielkiej, sześciopalczastej szpady. W tym momencie odepchnął się od ściany, szepcząc:

– ...witaj... nazywam się... Inigo Montoya. Zabiłeś... mego ojca. Gotuj się na śmierć.
Ich klingi skrzyżowały się.

Hrabia zdecydował się na szybki zabójczy cios: odwróconego Bonettiego.

Nic z tego.

– Witaj... Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się... na śmierć...

Ostrza ponownie zadźwięczały i Hrabia przeszedł do obrony Morozza, ponieważ krew płynęła nadal.

Inigo wepchnął pięść głębiej w brzuch.

– Witaj. Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć.

Hrabia odskoczył za stół bilardowy.

Inigo pośliznął się na własnej krwi.

Rugen cofał się nadal, grając na zwłokę.

– Witaj, nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca; gotuj się na śmierć. – Wbijał pięść coraz głębiej, starając się nie myśleć o tym, czego dotyka i co przytrzymuje na miejscu, ale po raz pierwszy poczuł, że może spróbować ataku. Sześciopalczysta szpada śmignęła naprzód...

...i na policzku Hrabiego otworzyła się głęboka szrama...

...kolejny świst...

...i nowe cięcie, równoległe, krwawiące...

– Witaj, nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć.

– Przestań to powtarzać! – Hrabia zaczynał się denerwować.

Inigo pchnął go w lewe ramię, tam, gdzie dosięgnął go cios Hrabiego. Następnie przeszył lewą rękę przeciwnika w tym samym miejscu, gdzie Hrabia przebił jego własną.

– Witaj. – Jego głos brzmiał coraz silniej. – Witaj! WITAJ. NAZYWAM SIĘ INIGO MONTOYA. ZABIŁEŚ MEGO OJCA. GOTUJ SIĘ NA ŚMIERĆ!

– Nie...

– Zaproponuj mi pieniądze.

– Cały mój majątek – rzucił Hrabia.

– Władzę. Obiecuj, że mi ją dasz.

– Wszystko, co mam, i jeszcze więcej. Błagam.

– Ofiaruj mi wszystko, czego zapragnę.

– Tak. Tak. Powiedz tylko słowo.

– CHCĘ DOMINGA MONTOYI, TY SUKINSYNU! – Sześciopalczysta szpada błysnęła.

Hrabia krzyknął.

– To było tuż obok twojego serca. Nieco na lewo. – Inigo ponownie ciął szpadą.

Kolejny krzyk.

– Tym razem odrobinę poniżej. Czy zgadujesz już, co zamierzam zrobić?

– Wyciąć mi serce.

– Ty odebrałeś mi moje, kiedy miałem dziesięć lat, teraz więc pragnę twojego. Obaj, ty i ja, wierzymy w sprawiedliwość. A co może być bardziej sprawiedliwe od tego?

Hrabia wrzasnął po raz ostatni, po czym padł martwy – ze strachu.

Inigo spojrział na niego. Zastygła twarz Hrabiego była szara jak popiół, a z dwóch równoległych ran wciąż jeszcze sączyła się krew. Pełne bólu i przerażenia oczy niemal wypadły z orbit. Był to wspaniały widok. Oczywiście jeśli lubi się podobne rzeczy.

Inigo je uwielbiał.

Była godzina piąta pięćdziesiąt, kiedy chwiejnym krokiem wypadł z sali. Nie wiedział, dokąd

się kieruje ani jak długo zdoła utrzymać się na nogach, miał jednak nadzieję, że ktokolwiek prowadził go dotąd, także i teraz nie odmówi mu pomocy...

* * *

– Powiem to raz i nie będę powtarzał. To, czy będziesz żył, czy też umrzesz, pozostawiam wyłącznie twojej decyzji – oznajmił Westley, leżąc wygodnie na łóżku. Po przeciwnej stronie komnaty książę wysoko unosił klingę. – Mówię zatem: rzuć szpadę, a jeśli to zrobisz, odejdę wraz z tym tu towarem – zerknął na Buttercup – ty zaś zostaniesz związany, nic poza tym, i wkrótce znów będziesz mógł zająć się własnymi sprawami. Jeżeli zaś zdecydujesz się walczyć – cóż, jeden z nas nie wyjdzie z tego żywy.

– Spodziewam się, że pooddycham jeszcze jakiś czas – odparł książę. – Sądzę, że blefujesz: byłeś więźniem przez parę miesięcy, a niecałą dobę temu własnoręcznie cię zabiłem, wątpię więc, czy w twoich ramionach pozostało zbyt wiele sił.

– To możliwe – zgodził się Westley. – A kiedy nadejdzie właściwy moment, pamiętaj: może istotnie blefuję. Być może leżę tu, bo brak mi sił, aby utrzymać się na nogach. Rozważ to wnikliwie.

– Żyjesz dotąd tylko dlatego, że powiedziałeś „na ból”. Chcę, abyś wyjaśnił mi to określenie.

– Z przyjemnością. – Była godzina piąta pięćdziesiąt dwa. Zostały jeszcze trzy minuty. Myślał, że ma osiemnaście. Milczał przez chwilę, po czym zaczął: – Z pewnością domyśliłeś się, że nie jestem zwykłym marynarzem. W istocie widzisz przed sobą Roberta we własnej osobie.

– Zupełnie mnie to nie zaskakuje ani nie wzrusza.

– „Na ból” znaczy, że jeśli ty zwyciężysz w pojedynku, zginę. Jeżeli natomiast ja wygram, daruję ci życie. Ale na moich warunkach.

– Czyli? – Nadal mogła to być pułapka. Ciało Humperdincka sprężyło się, gotowe do skoku.

– Są tacy, którzy sławią twoje zdolności łowieckie, choć osobiście mocno w nie wątpię.

Książę uśmiechnął się. Przeciwnik prowokował go. Po co?

– A skoro jesteś tak dobrym myśliwym, tropiąc tę damę, z pewnością trafiłeś na szczyt Urwisk Szaleństwa. Stoczono tam pojedynek i jeśli zdołałeś odczytać ślady, zgadłeś, że walczyli tam mistrzowie. Istotnie, tak było. Pamiętaj: to ja wygrałem tę walkę. Poza tym jestem piratem, a my znamy specjalne szermiercze sztuczki.

Była godzina piąta pięćdziesiąt trzy.

– Sam także nieźle władam bronią.

– Pierwszą rzeczą, jaką stracisz, będą stopy – oznajmił Westley. – Najpierw lewa, potem prawa. Tuż pod kostkami. Za sześć miesięcy będziesz mógł kuśtykać na kikutach. Potem dłonie, w przegubach. Zagoją się nieco szybciej. Zazwyczaj trwa to jakieś pięć miesięcy. – Westley zaczynał odczuwać dziwną zmianę we własnym ciele, więc mówił coraz szybciej i szybciej. – Następnie nos. Nie dla ciebie już wonie poranka. Potem język. Wycięty u nasady. Nie zostanie nawet kikut. Następnie lewe oko...

– A potem prawe i uszy. Czy możemy już zaczynać? – rzucił książę. Była piąta pięćdziesiąt cztery.

– Błąd! – zagrzmiął Westley, a jego głos odbił się echem w całej komnacie. – Uszy zachowasz, abyś mógł napawać się każdym krzykiem dziecka, przerażonego twoim potwornym wyglądem. Każdy płacz niemowlęcia, jęki kobiet: „Boże, co to takiego?” będzie dźwięczał bez ustanku w twoich nienaruszonych uszach. To właśnie oznacza „na ból”. Znaczy to, iż pozostawię

cię, abys żył w cierpieniu i poniżeniu, potworny i nieszczęśliwy, aż w końcu nie będziesz mógł już tego znieść. Słyszałeś więc, świnio, i wiesz, co miałem na myśli, ty obrzydliwy zgniłku. A teraz żyj albo umrzyj, to zależy od ciebie Rzuć broń!

Szpada ze szczękiem upadła na podłogę.

Była godzina piąta pięćdziesiąt pięć.

Nagle Westley wyrzucił oczami. Jego ciało zeszytniało, niemal spadając z łóżka. Ujrawszy to, księżę rzucił się na ziemię, pochwyił swą broń, skoczył na nogi i zaczął unosić ją w górę, gdy Westley wykrzyknął:

– Teraz więc będziesz cierpiał. Na ból!

Jego oczy znów były otwarte.

Otwarte i groźne.

– Przepraszam, ja nie chciałem. Naprawdę. O, popatrz. – Księżę ponownie upuścił szpadę.

– Zwiąż go! – polecił Buttercup Westley. – Pospiesz się: użyj sznurów od zasłon. Wyglądają na dość mocne, by go unieruchomić...

– Sam zrobisz to znacznie lepiej – odparła. – Pozbieram sznury, ale naprawdę sędzę, że to ty powinienes go skrępować.

– Kobieto! – ryknął Westley. – Jesteś własnością straszliwego pirata Roberta i... masz... robić... to... co... ci... się... każe!

Buttercup zebrała sznury i postarała się jak najlepiej związać swojego męża.

Kiedy to robiła, Humperdinck leżał bez ruchu na podłodze. Wydawał się dziwnie zadowolony.

– Wcale się ciebie nie boję – powiedział do Westleya. – Rzuciłem szpadę, ponieważ pościg za tobą sprawi mi znacznie większą przyjemność.

– Tak myślisz? Wątpię, byś zdołał nas odnaleźć.

– Podbiję Gulden, po czym ruszę za wami. W momencie, kiedy będziecie się najmniej tego spodziewali, wyskoczę na was zza najbliższego zakrętu.

– Jestem królem mórz i z niecierpliwością będę cię wyglądał. – Westley odwrócił się do Buttercup. – Skończyłaś już?

– Mniej więcej.

W drzwiach rozległy się kroki i nagle w drzwiach komnaty stanął Inigo. Na widok krwi Buttercup krzyknęła głośno. Inigo nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, rozglądając się wokół.

– Gdzie Fezzik?

– Nie było go z tobą? – spytał Westley.

Inigo na sekundę oparł się o najbliższą ścianę, zbierając siły. Po chwili powiedział:

– Pomóż mu wstać.

– Westleyowi? – zdziwiła się Buttercup. – Po co miałabym mu pomagać?

– Bo nie ma siły się ruszyć. A teraz rób, co powiedziałem – odrzekł Inigo. Na podłodze księżę zaczął szamotać się w więzach. Był skrępowany, i to dobrze, ale zarówno siła, jak i gniew stały po jego stronie.

– Więc jednak miałem rację. Tylko blefowałeś – stwierdził Humperdinck, a Inigo odparł:

– Nie było to zbyt mądre z mojej strony, przepraszam.

– Czy przynajmniej wygrałeś swoją walkę? – zapytał Westley.

– Tak.

– Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli się bronić – zaproponował Westley. – Pójdziemy razem.

– Pomogę ci, moje biedactwo – rzuciła Buttercup.

Nagle rozległ się głos Fezzika:

– Och, Inigo, potrzebuję cię. Proszę, Inigo, zgubiłem się i jestem nieszczęśliwy i przerażony. Chciałbym tylko zobaczyć przyjazną twarz.

Powoli podeszli do okna.

Zagubiony w książęcych ogrodach Fezzik wędrował bez celu, prowadząc za sobą cztery olbrzymie siwki.

– Jesteśmy tutaj – szepnął Inigo.

– Trzy przyjazne twarze! – Fezzik zakołysał się w przód i w tył, jak zawsze, kiedy coś go ucieszyło. – Och, Inigo, wszystko zepsułem i zablądziłem, a potem trafiłem do stajni i zobaczyłem te śliczne konie i było ich cztery, i pomyślałem sobie, że nas też będzie czworo, jeśli znajdziecie tę panienkę – dzień dobry, panienko! – i pomyślałem: „Może by tak zabrać je ze sobą, na wypadek gdybyśmy wszyscy po prostu wpadli na siebie?”. – Urwał, zastanawiając się nad czymś. – Zdaje się, że właśnie to zrobiliśmy.

Inigo był niezwykle poruszony.

– Fezziku, ty zacząłeś myśleć!

Fezzik rozważył jego słowa.

– Czy to znaczy, że nie jesteś na mnie wściekły za to, że się zgubiłem?

– Gdybyśmy tylko mieli drabinę... – zaczęła Buttercup.

– Och, do zejścia na dół niepotrzebna wam drabina – przerwał jej Fezzik. – To tylko dziesięć metrów, a ja was złapię. Tylko proszę, skaczcie pojedynczo: jest dość ciemno i gdybyście zrobili to razem, mógłbym kogoś nie zauważyć.

Podczas gdy Humperdinck zmagał się z więzami, skoczyli, jedno za drugim, a Fezzik chwycił ich ostrożnie i usadowił na grzbietach siwków. Nadal miał przy sobie klucz, zatem mogli wydostać się przez główną bramę i gdyby nie to, iż Yellin zdążył już zebrać na nowo swój oddział Brutali, udałoby im się uciec bez żadnych przeszkód. Tymczasem jednak, kiedy Fezzik otworzył bramę, zbiegowie ujrzeni przed sobą jedynie szeregi uzbrojonych Brutali. Na ich czele stał Yellin. Nikt się nie uśmiechał.

Westley potrząsnął głową.

– Nic nie przychodzi mi na myśl.

– Kaszka z mleczkiem – odparła, ku zdumieniu wszystkich, Buttercup i wysunawszy się przed swych towarzyszy, podjechała do Yellina. – Hrabia nie żyje, książę jest w wielkim niebezpieczeństwie. Jeśli się pośpieszycie, może zdołacie jeszcze go ocalić. Biegnijcie. Wszyscy.

Ani jeden Brutal nie ruszył się z miejsca.

– Żołnierze słuchają tylko mnie – oświadczył Yellin. – Jestem dowódcą straży i...

– A ja – odparła Buttercup. – Ja – powtórzyła, unosząc się w siodle, istota o nieskończonej piękności i oczach, które powoli stawały się przerażające – ja – wyrzekła po raz trzeci i ostatni – jestem

KRÓLOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOWĄ.

Nie można było wątpić w jej prawdomówność. Ani we władzę. Ani w możliwość dokonania zemsty na każdym, kto się jej sprzeciwi. Spojrzała wyniosłe na oddział Brutali.

– Ratujmy Humperdincka – powiedział jeden z Brutali, po czym wszyscy popędzili do zamku.

– Ratujmy Humperdincka – powtórzył Yellin, ostatni na posterunku, choć wyraźnie nie był przekonany.

– W istocie trochę naciągnęłam fakty – przyznała Buttercup, gdy pędzili już ku wolności – bo oficjalnie Lotharon jeszcze nie abdykował. Uznałam jednak, że „Jestem królową” brzmi lepiej

niż „Jestem księżniczką”.

– Mogę tylko powiedzieć, że mi zaimponowałaś – odparł Westley.

Buttercup wzruszyła ramionami.

– Przez trzy lata uczęszczałam do szkoły królewskiej. Coś z tego musiało mi zostać. – Spojrzała na Westleya. – Dobrze się czujesz? Wtedy gdy leżałeś na łóżku, naprawdę się przestraszyłam. Tak dziwnie wywróciłeś oczami i w ogóle.

– Przypuszczam, że jeszcze raz umierałem, więc poprosiłem Władcę Dozgonnych Uczuć o tyle sił, bym mógł dożyć do końca tego dnia. Najwyraźniej moja prośba została rozpatrzona pozytywnie.

– Nie wiedziałam, że ktoś taki w ogóle istnieje – zauważyła Buttercup.

– Ja też nie, ale po prawdzie, jeśli On nie istnieje, to i ja nie mam na to ochoty.

Cztery potężne siwki niemal frunęły w stronę Kanału Floreńskiego.

– Wygląda zatem na to, że jesteśmy skazani – oznajmiła Buttercup.

Westley uniósł wzrok.

– Skazani, Wasza Wysokość?

– Na to, aby być razem. Póki jedno z nas nie umrze.

– Już raz to zrobiłem i nie mam najmniejszego zamiaru nigdy więcej tego powtarzać.

Buttercup uniosła brwi.

– Ale przecież kiedyś chyba musimy?

– Nie, jeśli przyrzekniemy sobie, że każde z nas będzie żyło dłużej od drugiego, a ja właśnie składam taką obietnicę.

Buttercup spojrzała na niego.

– Och, mój Westleyu, ja także.

* * *

– *I żyli długo i szczęśliwie – oznajmił mój ojciec.*

– *O rany! – odparłem.*

Zerknął na mnie.

– *Nie jesteś zadowolony?*

– *Nie, nie, tylko że zakończenie nastąpiło tak nagle i trochę mnie zaskoczyło. Myślałem, że będzie coś jeszcze, to wszystko. No wiesz, czy piracki okręt naprawdę na nich czekał, a może to tylko fałszywe pogłoski?*

– *Miej pretensje do pana Morgensterna. „I żyli długo i szczęśliwie” – tak brzmi zakończenie.*

* * *

Prawda jest taka, że ojciec łgał jak z nut. Przez całe życie myślałem, że tak właśnie kończy się Narzeczona księcia, póki nie zabrałem się za jej skracanie. Wtedy bowiem zerknąłem na ostatnią stronę. Oto, jak zakończył ją Morgenstern:

* * *

Buttercup spojrzała na niego.

– Och, mój Westleyu, ja także.

Nagle za plecami, bliżej niż się spodziewali, usłyszeli wrzask Humperdincka:

– Zatrzymać ich! Odciąć im drogę!

Niewątpliwie zdumieli się, ale nie mieli powodów do niepokoju: dosiadali najszybszych koni w całym królestwie i zdobyli już sporą przewagę.

Wkrótce jednak rany Iniga otwały się ponownie, Westley stracił resztki sił, Fezzik skręcił w złą stronę, a wierzchowiec Buttercup zgubił podkowę. Za nimi zaś noc wypełniła się coraz głośniejszymi odgłosami pościgu...

* * *

Oto zakończenie Morgensterna, coś w typie Dziewczyny czy tygrysa? (pamiętajcie, że było to jeszcze przed Dziewczyną czy tygrysem?). [* Dziewczyna czy tygrys – opowiadanie Franka Stockona. Jego bohater został skazany na osobliwą karę: miał wybrać jedno z dwójga zamkniętych drzwi. Za jednymi z nich czekała piękna dziewczyna, za drugimi głodny tygrys. Skazaniec otwiera drzwi i... opowiadanie kończył się zdaniem: „Co ukazało się w otwartych drzwiach – dziewczyna czy tygrys?”.] Morgenstern był satyrykiem, więc wybrał takie rozwiązanie, natomiast mój ojciec, kryjący w sobie – jak to zbyt późno zrozumiałem – sentymentalną duszę, zakończył wszystko inaczej.*

Cóż, ja sam dokonuję skrótu, więc także mam prawo do własnej opinii. Czy im się udało? Czy okręt piracki czekał przy brzegu? Sami możecie odpowiedzieć sobie na te pytania, ale ja uważam, że tak, czekał. I tak, zdołali uciec. A potem odzyskali siły, przeżyli mnóstwo przygód i radosnych chwil.

Ale to nie znaczy, że sądzę, iż wszystko skończyło się szczęśliwie. Ponieważ, przynajmniej według mnie, często się sprzeczało, Buttercup straciła w końcu swoją urodę, a pewnego dnia Fezzik przegrał walkę, jakiś zdolny młodzik pokonał Iniga w pojedynku, Westley zaś nigdy nie mógł spokojnie zasnąć, bo stale nękała go myśl o Humperdincku, podążającym ich tropem.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie chcę, by zabrzmiało to ponuro. Naprawdę sądzę, że na świecie nie ma nic wspanialszego od miłości poza kroplami na kaszel. Ale muszę też powiedzieć, i to po raz enty, że życie nie jest sprawiedliwe. Po prostu jest lepsze od śmierci, to wszystko.

Nowy Jork
Luty 1973.

DZIECKO
BUTTERCUP



WYJAŚNIENIE





ZAPEWNE ZASTANAWIACIE SIĘ, dlaczego skróciłem jedynie pierwszy rozdział. Odpowiedź jest prosta: nie pozwolono mi na więcej. Wyjaśnienie, które zaraz przeczytacie, jest dość osobiste i przykro mi, że musicie się z nim zapoznać. Jego część – więcej niż część – sprawiła mi autentyczny ból i teraz, gdy to piszę, wciąż go czuję. Czasami ta historia stawia mnie w niezbyt dobrym świetle, ale nic na to nie poradzę. Morgenstern zawsze uczciwie postępował ze swoimi czytelnikami, uważam zatem, że zasługujecie na to samo.

* * *

Moje kłopoty zaczęły się dwadzieścia pięć lat temu od sceny pojednania.

Pamiętacie może, że w moim skrócie *Narzeczonej księcia*, kiedy Buttercup i Westley spotkali się ponownie tuż przed Ognistymi Bagnami, wtrąciłem swoje trzy grosze i powiedziałem, że według mnie Morgenstern oszukał czytelników, nie uwzględniając sceny pojednania kochanków, toteż napisałem własną wersję i wyślę wam ją, jeśli tylko zechcecie? (str. 229 * tego wydania)

Wspaniały, nieżyjący już redaktor Hiram Haydn uważał, że źle postępuję, bo jeśli kogoś skracam, nie mogę nagle wtrącać swoich własnych trzech groszy. Mnie jednak bardzo podobała się scena pojednania. Aby zatem zrobić mi przyjemność, pozwolił umieścić w książce wzmiankę o tym, że możemy ją wysłać.

Nikt – proszę, uwierzcie mi – nikt nie sądził, że ktokolwiek poprosi o moją wersję. Ale po ukazaniu się edycji w twardej okładce, jej wydawcę, Harcourta, załapała fala listów. A kiedy wyszła wersja w miękkich okładkach, Ballantine, jej wydawca, otrzymał ich jeszcze więcej. Byłem zachwycony – wydawcy musieli wydać pieniądze! Scena pojednania była gotowa do wysyłki – ale żadna nie trafiła do czytelnika.

Zamieszczam tu list z tłumaczeniem, który został wysłany do dziesiątek tysięcy ludzi, proszących przez lata o tę scenę:

Drogi Czytelniku,

dziękuję, że się odezwałeś, i nie, to nie jest scena pożegnania. Na drodze do jej wysłania stanęła pewna przeszkoda zwana Kermit Shog.

*Gdy tylko książki przyszły z drukarni, zadzwonił do mnie mój prawnik, Charley (może nie pamiętacie, ale to do niego dzwoniłem z Kalifornii, żeby podczas śnieżycy pojechał wykupić z antykwariatu *Narzeczoną księżniczkę*). Zwykle Charley zaczyna rozmowy talmudycznym humorem, mądrym dowcipem, ale nie tym razem.*

– Bill, lepiej chyba, żebyś tu przyszedł – powiedział tylko i zanim zdążyłem choćby spytać dlaczego, dodał: – Jeśli możesz, natychmiast.

W panice pędzę do niego, cały czas zastanawiając się gorączkowo, kto mógł umrzeć. Czy może schrzaniłem zeznanie podatkowe? Sekretarka wpuszcza mnie do gabinetu.

– To jest pan Shog, Billu – przedstawia Charley.

I w tym momencie widzę go: siedzi w kącie z rękami na aktówce i wygląda dokładnie jak śliska wersja Petera Lorre'a. Autentycznie spodziewałem się, że zaraz powie: „Daj

mi Sokoła, i to już, albo będę zmuszony cię zabić”.

– Pan Shog to prawnik – ciągnie Charley, po czym dodaje z naciskiem, jakby podkreślał każde słowo. – Reprezentuje spadkobierców Morgensterna.

Kto by pomyślał? Kto mógłby sądzić, że ktoś taki w ogóle istnieje? Spadkobiercy człowieka nieżyjącego od co najmniej miliona lat, o którym i tak nikt tu nie słyszał? „Może teraz oddasz mi Sokoła? – powiedział pan Shog”. Ale nie. Tak naprawdę rzekł:

– Może zechce pan zamienić teraz z klientem kilka słów na osobności?

A Charley przytaknął.

– Charley – mruknąłem, kiedy tamten wyszedł i zamknął za sobą drzwi. – Mój Boże, nigdy nie sądziłem...

A on na to:

– A Harcourt?

A ja:

– O niczym nie wspominali.

A on:

– Ooch. – I dodał ów charakterystyczny pomruk, jaki wydają z siebie prawnicy, kiedy wiedzą, że postawili na przegraną kartę.

– Czego on chce? – spytałem.

– Spotkania z panem Jovanovichem – wyjaśnił Charley.

* * *

Okazało się, że Kermit Shog nie tylko życzył sobie spotkania z Williamem Jovanovichem, błyskotliwym biznesmenem kierującym firmą. Życzył sobie także zdumiewających sum pieniędzy oraz wydania pełnej, nieskróconej wersji *Narzeczonej księżniczki* w ogromnym nakładzie (stu tysięcy egzemplarzy) – i oczywiście to spotkanie okazało się pieśnią pogrzebową dla wysyłki sceny pojednania.

A potem zaczęły się procesy. Przez lata było ich w sumie trzynaście – tylko jedenaście bezpośrednio dotyczących mnie. Okropność. Ale przynajmniej mogłem się pocieszać tym, że prawa autorskie do książki Morgensterna wygasają w 1978 roku. Odpowiadałem zatem każdemu, kto prosił o scenę pojednania, że zapisujemy ich nazwisko na przechowywaną skrzętnie listę i kiedy nadejdzie 1978, *voilà*... Tyle że znów się pomyliłem. Oto fragment następnego listu, który wysłałem wszystkim ludziom, proszącym o tę scenę.

Bardzo mi przykro z tego powodu, ale z naciskiem zapewne historię kończącą się słowami „uznajcie poprzedni telegram za niebyły i spodziewajcie się listu”? Cóż, musicie uznać za niebyłą informację o tym, że prawa autorskie do Morgensterna wygasają w 1978. To przykry błąd, wynikający z faktu, że pan Shog jako floreńczyk ma problemy z naszym systemem numerycznym. Prawa autorskie wygasają w 1987.

Co gorsza, on zmarł. To znaczy pan Shog. (Nie pytajcie, jak się zorientowałem – to było łatwe. Pewnego ranka po prostu przestał się pocić, i tyle.) Co gorsza, wszystkie sprawy trafiły teraz w ręce jego syna, który nazywa się – uwaga, uwaga – Mandrake Shog. Mandrake działa z energią i szybkością jaszczurki wylegującej się w słońcu na brzegu rzeki.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka wydarzyła się w całym tym paskudnym zamieszaniu, było to, że w końcu mogłem się zapoznać z fragmentami *Dziecka Buttercup*. Na uniwersytecie Columbia

uważają, że jako satyra bez wątpienia przewyższa *Narzeczoną księcia*. Osobiście nie czuję się z nim związany emocjonalnie, ale to bez wątpienia niesamowita historia.

* * *

Zabawne, ale w owym czasie kompletnie nie interesowało mnie *Dziecko Buttercup*.

Istniało po temu wiele powodów, a oto najważniejszy: pisałem wtedy własne powieści. Aby to wyjaśnić, chyba powinienem opisać, co zrobiłem z *Narzeczoną księcia*. Wiem, że na okładce widnieją tylko słówka „w wyborze” i, owszem, przeskakiwałem od jednego „dobrego kawałka” do drugiego. Ale w istocie oznaczało to znacznie więcej.

Narieczona księcia Morgensterna to tysiaccronicowy rękopis. Zdołałem go skrócić do trzystu stron. Ale nie wyrzucałem wyłącznie satyrycznych dygresji; wszędzie dokonywałem cięć i pozbyłem się najróżniejszych rzeczy, w tym również wspaniałych. Na przykład: opisu okropnego dzieciństwa Westleya i tego, jak został parobkiem u rodziców Buttercup. Na przykład: tego, jak król i królowa udali się do Cudownego Cyryla, bo wiedzieli, że w jakiś sposób zrodzili potwora (Humperdincka), i czy Cyryl mógłby coś na to poradzić? Niepowodzenie doprowadziło do jego zwolnienia, które z kolei wywołało załamanie wiary w siebie. (Jego żona, Waleria, czyni do tego aluzję, kiedy mówi do Iniga: „boi się, że jest skończony, że moc czynienia cudów opuściła jego niegdyś majestatyczne palce...”, str. 348 tego wydania.)

Według mnie wszystko to, choć często wzruszające i podniecające, stanowi tylko garb na plecach prawdziwej opowieści, pozostawiłem więc wyłącznie prawdziwą miłość i fantastyczne przygody. Uważam, że miałem do tego prawo i że owoce mej pracy tego dowiodły. Morgenstern nigdy nie porwał czytelników swoją powieścią – oczywiście poza Florenem. Ja pokazałem ją ludziom wszędzie, a dzięki filmowi trafiła do jeszcze szerszego grona. Więc fakt, skróciłem ją.

Ale przykro mi, bo również ukształtowałem ją. Tchnąłem w nią życie. Nie wiem, jak wy byście to nazwali, ale cokolwiek zrobiłem, to było coś.

* * *

Zatem *Dziecko Buttercup* w tym czasie wcale mnie nie kusilo. Nie chodziło tylko o samą pracę, choć oznaczałoby to tysiące godzin ciężkiej harówki. Ale to nic w porównaniu z nieustannymi atakami Shogów. Okropny proces za procesem i za każdym razem musiałem się bronić, musiałem składać zeznania i nienawidziłem każdej chwili, bo procesy te podważały moją uczciwość.

Krótko mówiąc, na jakiś czas miałem dosyć Morgensterna.

Nie przeczytałem też *Dziecka Buttercup*. Tak się złożyło, że któregoś dnia wpadłem na uniwersytet Columbia – przekazałem im moje archiwa – i jakiś młody floreńczyk zatrzymał mnie i wręczył zgrubny przekład, prosząc, żebym rzucił okiem. Pełny tytuł książki brzmi: *Dziecko Buttercup: Niezrównane studium wielkiej odwagi w obliczu śmierci serca, pióra S. Morgensterna*. Miała świetne otwarcie, naprawdę wstrząsające, ale nie zapamiętałem nic więcej. Bo widzicie, wówczas była to dla mnie tylko kolejna książka. Nie zagnieździła się w moim sercu.

Jeszcze nie.

* * *

A zatem co się zmieniło?

Prawdę mówiąc, a w sumie mogę wyznać prawdę, moje życie przez ostatnich kilkanaście lat było, jakby to ująć... – co jest odwrotnością „radosnego”? Owszem, napisałem mnóstwo scenariuszy, a także trochę prozy niebeletrystycznej, ale żadnej powieści, a proszę, pamiętajcie, że to dla mnie bolesne, bo w głębi serca jestem powieściopisarzem. Powieściopisarzem, który przypadkiem tworzy też scenariusze. (Nienawidzę, kiedy spotykam kogoś, kto pyta: „To co? Kiedy ukaże się kolejna książka?”, a ja zawsze uśmiecham się i kłamię, że zmiierzam już prosto do mety.) A filmy, w których maczałem palce – oprócz *Misery* – sprawiły mi mniejszy lub większy zawód.

Mieszkam sam w Nowym Jorku, w miłym hotelu z całodobową obsługą, wszystko super. Lecz czasami odnoszę wrażenie, że choć kiedyś pisałem wartościowe rzeczy, to może te czasy już minęły.

Ale z drugiej strony zawsze pozostaje mój syn, Jason.

Na pewno pamiętacie, że kiedy miał dziesięć lat, był z niego pozbawiony poczucia humoru tłuścioch i balon? Wierzcie mi, to była jego chuda faza. Nieustannie sprzeczaaliśmy się o to z Helen.

Kiedy skończył piętnaście lat, przekroczył granicę stu pięćdziesięciu kilo. Wróciłem wcześniej z pracy, krzykiem ogłosiłem swoją obecność i zmiierzałem właśnie do szafy z winami, gdy usłyszałem rozpaczliwy dźwięk...

...szlochania...

...dobiegający z pokoju młodego. Odetchnąłem głęboko, podszedłem do drzwi, zapukałem. Na tym etapie nie byliśmy blisko z Jasonem, prawdę mówiąc, nie przepadał za mną. Ledwie dostrzegał moją obecność, nabijał się z filmów, których scenariusze pisałem, nawet nie śnił, by otworzyć którąkolwiek z książek. Oczywiście cierpiałem, ale nie dawałem tego po sobie poznać.

– Jasonie? – spytałem zza drzwi.

Żałosne chlupanie nie ustawało.

– Co się stało?

– Nie możesz pomóc... Nikt nie może, nic nie może. – A potem żalosne: – Uaaaaa...

Wiedziałem, że jestem ostatnią osobą, jaką chciałby zobaczyć, ale musiałem tam wejść.

– Obiecuję, że nikomu nie powtórzę.

Wturlał mi się w ramiona z płonąca czerwienią, wykrzywioną twarzą.

– Och, tato, jestem brzydki i nie mam przyjaciół, wszystkie dziewczyny nabijają się ze mnie i śmieją, bo jestem taki gruby.

Sam z trudem powstrzymałem łzy – bo, widzicie, to była prawda.

Utknąłem w tej chwili jak w pułapce. Nie wiedziałem, czy chce usłyszeć ode mnie szczerą odpowiedź, czy nie. W końcu musiałem coś powiedzieć.

– A kogo to obchodzi? – rzuciłem. – Ja cię kocham.

Przytulił mnie tak mocno.

– Tatusiu – wykrztusił. – Tatusiu.

I był to pierwszy cudowny raz, gdy tak mnie nazwał. Na skórze czułem jego gorące łzy.

To był nasz punkt zwrotny.

Przez ostatnich dwadzieścia lat nikt nie mógłby sobie wymarzyć lepszego syna. Co więcej, Jason to mój najlepszy przyjaciel na całym świecie. Ale prawdziwe zbliżenie zaczęło się

następnego dnia.

Zabrałem go do księgarni Strand przy skrzyżowaniu Broadwayu i Dwunastej Ulicy. Często ją odwiedzam, zwykle przy okazji zbierania materiałów do pracy. Mieliśmy właśnie wejść, gdy Jason przystanął i pokazał palcem zdjęcie na wystawie, okładkę albumu z fotografiami.

– Ciekawe kto to? – spytał zapatrzony.

– To austriacki kulturysta, który próbuje się przebić jako aktor. Poznałem go, kiedy ostatnio byłem w L.A. Chce zagrać Fezzika, jeśli kiedykolwiek nakręcimy *Narzeczoną księcia*. – Działo się to pod koniec lat siedemdziesiątych, dwadzieścia lat temu. Schwarzenegger był wówczas nikim, ale kiedy faktycznie zaczęliśmy zdjęcia do *Narzeczonej księcia*, stał się tak wielką gwiazdą, że przy naszym budżecie nie mogliśmy sobie pozwolić na jego zatrudnienie. – Polubiłem go, to bardzo mądry młody człowiek.

Jason nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia.

I wtedy wypowiedziałem, jak się okazało, czarodziejskie słowa.

– Kiedyś też był całkiem pulchny.

Jason spojrział na mnie.

– Nie wydaje mi się.

Mnie też się nie wydawało, ale uznałem, że co mi szkodzi.

– Wspomniał o tym w rozmowie – dodałem.

Powiem wam coś jeszcze o Arnoldzie, czego założę się, nie wiecie: przyjaźnił się z Andre. (Najwyraźniej wszyscy ci siłacze znają się nawzajem.)

Poniżej zamieszczam historię, którą mi opowiedział. Przytoczyłem ją w nekrologu, kiedy Andre umarł.

Andre zaprosił kiedyś Schwarzeneggera na arenę zapaśniczą w Meksyku, gdzie występował przed dwudziestoma pięcioma tysiącami rozwrzeszczanych fanów. Kiedy wypunktował przeciwnika, gestem wezwał Schwarzeneggera, żeby wskoczył na ring.

Pośród wrzasków Schwarzenegger wspiął się do niego.

– Zdejmij koszulę – polecił Andre. – Wszyscy szaleją na twoim punkcie i bardzo chcą, żebyś ją zdjął. Znam hiszpański.

Zatem Schwarzenegger, zawstydzony, zrobił to, co kazał mu Andre. Ściągnął marynarkę, koszulę, podkoszulek i zaczął przyjmować różne pozy.

A potem Andre udał się do szatni, a Schwarzenegger wrócił do swych przyjaciół.

Wszystko to okazało się dowcipem. Bóg jeden wie, co krzyczał tłum, ale z pewnością nie domagał się, by Schwarzenegger pozował przed nimi półnagi.

– Nikogo nie obchodziło, czy zdejmę koszulę, czy nie, ale i tak się nabrałem. Andre tak działał na ludzi.

– Ciekawe, ile kosztuje ten album? – rzekł wówczas Jason. (Pamiętajcie, że wciąż stoimy przed Strandem, i choć nie wiedzieliśmy, ziemia właśnie się poruszyła.)

Czy zdziwi was wiadomość, że mu go kupiłem?

Oto co stało się z Jasonem w ciągu następnych dwóch lat: ze stu pięćdziesięciu czterech kilogramów zszedł do stu dziesięciu, z metra sześćdziesięciu pięciu wystrzelił do metra osiemdziesięciu siedmiu. Zawsze był najlepszym uczniem w swojej klasie w Dalton, ale teraz, umięśniony i przystojny, stał się też ogromnie popularny.

A oto co działo się z nim później. College, akademia medyczna, decyzja, że zostanie psychiatrą tak jak matka (tyle że Jason specjalizuje się w terapii seksuologicznej). Magazyn

„New York” zalicza go do najlepszych specjalistów w mieście. A na Wall Street poznał też uroczą dziewczynę, Peggy Henderson, wzięli ślub i żyją szczęśliwie razem.

I, i, i mają też syna.

Gdy tylko się urodził, popędziłem do szpitala.

– Nazwiemy go Arnold – oznajmiła Peggy, tuląc małego w ramionach.

– Idealnie – odparłem, choć oczywiście w głębi ducha liczyłem na to, że w jakiś sposób mogą uwzględnić też mnie. Ale cóż, bywa.

– Zgadza się – dodał Jason. – William Arnold. – Wziął Willy’ego i podał go mnie.

Najwspanialsza chwila mojego życia.

* * *

Tym z was, którzy sfrustrowani nie cisnęli jeszcze książką na drugi koniec pokoju, należy się wyjaśnienie, że wszystko to naprawdę tłumaczy, dlaczego przygotowałem tylko pierwszy rozdział *Dziecka Buttercup*;, obiecuję przejść do tego tak szybko, że sami nie uwierzycie.

No dobrze. Willy młodszy. Jason i Peggy mieszkają zaledwie dwie przecznice ode mnie i bardzo się staram nie doprowadzać ich do szału, ale nigdy nie miałem wnuka. Nie przeoczyłem żadnej zabawki u Zitomera. Nie było kaszlu, z powodu którego nie ślęczałbym nad encyklopedią zdrowia.

I oczywiście nie potrafiłem mu niczego odmówić.

Dlatego moje zachowanie w parku wydało się takie dziwne. Mamy przepiękny, wiosenny dzień, Peggy i Jason idą przed nami, trzymając się za ręce, ja i siedmioletni Willy krok za nimi przerzucamy się piłką. Byliśmy już na kilku meczach Knicksów (kupuję karnety na cały sezon, odkąd Hubie Brown został zesłany na ziemię, by mnie zniszczyć).

– Mamy prośbę – zagadnął Jason.

– Zgadnij, co skończyliśmy wczoraj wieczorem? – podjęła Peggy. – *Narzeczoną księżca*. Czytaliśmy mu na głos na zmianę.

Starając się, by zabrzmiało to nonszalancko, spytałem młodego, co myślał o całym przedsięwzięciu.

– Było fajne – odparł Willy. – Oprócz końca.

– Mnie też niezbyt podobał się koniec – przyznałem. – Ale miej pretensje do pana Morgensterna.

– Nie, nie – wyjaśniła Peggy. – To nie to, że nie podobał mu się koniec. Nie podobało mu się, że się skończyło.

Cisza. Szliśmy dalej bez słowa.

– Opowiedziałem mu o kontynuacji, tatusiu – oznajmił nagle Jason.

Peggy pokiwała głową.

– Bardzo się ucieszył.

I wtedy mój Willy wymówił te słowa.

– Przeczytasz mi ją?

W tym momencie zrozumiałem, że tracę zmysły. Pamiętam dokładnie swój strach – a co, jeśli tym razem nie uda mi się tchnąć w książkę życia? Co, jeśli poniosę klęskę? Zawiodę nas obu?

– To właśnie nasza prośba, tato, Willy chce, żebyś przeczytał mu *Dziecko Buttercup*. Wszyscy pragniemy, żebyś to zrobił.

– Co za szkoda, że „my wszyscy tego chcemy” – zacząłem, mówiąc zbyt głośno. – Wielka

szkoda, że „my” nie możemy mieć wszystkiego, prawda? Lepiej, żebyście przywykli do rozczarowań. – I nim zdążyłem zrobić cokolwiek gorszego, spojrzałem na zegarek, gestem dałem znać, że muszę iść, zawróciłem, pomaszerowałem do domu, zamknąłem się, nie odbierałem telefonów, kazałem dostarczyć sobie wczesną chińską kolację z Pig Heaven, zacząłem pić i do północy padłem.

A potem, przed świtem, obudził mnie niezwykle realistyczny sen; wyszedłem na taras i zacząłem krążyć, próbując zrozumieć nie tylko ów sen, lecz także całe moje życie i to, jak je schrzaniłem.

To było wspomnienie drugiego zapalenia płuc. Helen czytała mi scenariusz filmu – tyle że tym razem była młoda i cudowna, a także płakała.

Na tarasie pojąłem dlaczego – wszyscy jesteśmy autorami naszych własnych snów. Była mną, była mną oplakującym mnie i to, czym się stałem. A potem przypomniałem sobie, że nie czytała *Narzeczonej księcia*. Czytała o Fezziku i szaleńcu na górskim szczycie, początek *Dziecka Buttercup*. I pojąłem, że dwa razy o mało nie umarłem, a Morgenstern przybył mi z pomocą. Teraz znów się pojawił, by mnie uratować, bo stojąc tam i spoglądając na miasto skąpane w promieniach wschodzącego słońca, wiedziałem jedno: znów stanę się prawdziwym pisarzem, a nie zwykłym wyrobnikiem z maszyną do pisania, jak wciąż myśli się o scenarzystach.

Nie byłem jeszcze gotów rzucić się na głęboką wodę i zacząć powieść od zera. Brakowało mi pewności, że potrafię wymyślić wszystko, jak podczas wcześniejszych trzydziestu pisarskich lat.

Pozwólcie mi wyjaśnić, do czego nie byłem gotów.

Weźmy Szella, nazistowskiego dentystę z *Maratończyka* (w filmie grał go Oliver i czy nie był świetny? Pamiętacie scenę „Czy to jest bezpieczne” z narzędziami dentystycznymi?). Na Manhattanie jest taka ulica, Czterdziesta Siódma, pomiędzy Piątą i Szóstą. Szedłem nią kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, w drodze dokądś, nie pamiętam dokąd i nie ma to znaczenia, ale ten fragment nazywają „Dzielnica Diamentową”. Pełno tam sklepów z diamentami, większość należy do Żydów i u wielu z nich wciąż widać numery z obozów koncentracyjnych. Tamtego dnia pomyślałem, że byłoby wspaniale, gdyby tą ulicą szedł nazista.

Który nazista, nie miałem pojęcia, ale chyba zacząłem niewinnie szukać, czytać, wypytywać ludzi i w końcu natknąłem się na najbłyskotliwszego z nich wszystkich – Mengele, podwójnego doktora, antropologii i medycyny, który, jak wówczas sądzono, mieszkał w Argentynie. Człowieka przeprowadzającego koszmarnie doświadczenia na bliźniętach.

No dobra, super, mam już gościa. Ale czemu miałby ryzykować wszystkim i zjawiać się na Czterdziestej Siódmej Ulicy? Wiedziałem przynajmniej tyle, że nie przybędzie tu na bal. Najbardziej poszukiwany zbrodniarz świata musiał mieć absolutnie logiczny powód.

Mijały lata, a Mengele tkwił gdzieś w zakamarku mojej głowy. Stopniowo zaczął pojawiać się w niej także Babe, tytułowy Maratończyk. A potem mi się poszczęściło: przeczytałem o chirurgu, który wynalazł nowatorską metodę operacji serca, gdzieś, może w Cleveland, ale mogłem umieścić go w Nowym Jorku.

Taaak. Mengele przyleciał do Ameryki, do Nowego Jorku, bo musiał ratować życie.

Genialne.

Jakiś czas gnam na fali, niesiony tym pomysłem, bo rozwiązałem najtrudniejszy problem, i nagle uderza mnie myśl: głupcze, co z niego za czarny charakter, skoro ma być tak kruchy, że potrzebuje operacji serca? Mój Boże, gdyby ktoś zaczął go ścigać, mógłby paść z wysiłku!

Co oczywiste, parę lat później rozwiązałem te problemy, napisałem tę książkę oraz film, a sceną, która wciąż sprawdza się najlepiej, oprócz tej dentystycznej, jest Szell wędrujący wśród

Żydów.

Tego ranka na tarasie wiedziałem, że nie jestem gotów ruszyć ponownie w podobną podróż, ale ukształtowanie fabuły *Dziecka Buttercup* stanowiło idealny etap pośredni. Ożywienie go, tak jak kiedyś uczyniłem z *Narzeczoną księżniczką*, pozwoliłoby mi zyskać pewność siebie potrzebną do tego, bym znów stał się tym, kim kiedyś.

Dokonom zatem wyboru i skrócę kontynuację *Narzeczonej*, potem napiszę własną powieść i odjadę w cholerne zachodzące słońce, piękne dzięki. Gdy tylko otwarły się biura, zadzwoniłem do Charleya (wciąż mojego prawnika) i oznajmiłem, że nade wszystko w świecie pragnę zacząć pracę nad drugą częścią, po czym spytałem, czy istnieje możliwość, by spadkobiercy Morgensterna porzucili wrogie działania.

Jego odpowiedź zdumiała mnie do głębi.

– Dziś rano sami się ze mną skontaktowali. Shogowie. Dokładnie córka Kermita. To młoda prawniczka, wydała się miła i bystra. Pozwól, że zacytuję: „Chcemy zawrzeć pokój z pańskim panem Goldmanem”.

Tennessee chyba ujął to najlepiej. „Czasami tak szybko okazuje się, że Bóg istnieje”.

* * *

Następnego ranka spotkałem się z Karloff Shog na śniadaniu w restauracji hotelu Carlyle; w całym Nowym Jorku nie ma ładniejszej. Charley wszystko zaaranżował, postanowił też, że sam się nie zjawi, że nie ma sensu, bo to tylko „rozpoznanie”, podczas którego oboje spróbujemy się oczarować i sprawdzimy, czy zdołamy się dogadać.

Siedziałem zatem i czekałem, aż się zjawi. Przy takim imieniu jak Karloff Shog uznałem, że wąż to absolutny pewnik i wolałem nawet nie myśleć o jej pachach. (Na wypadek gdybyście nie wiedzieli – a na pewno nie wiecie, nikt nie wie podobnych rzeczy – Karloff to najpopularniejsze imię żeńskie we Florencie. Myślcie sobie, co chcecie.)

Do sali wchodzi super laska: po trzydziestce, zabójcze ciuchy, długie rozpuszczone jasne włosy. Cudowna. Podchodzi prosto do mnie i wyciąga rękę.

– Cześć, jestem Carly Shog. Jak cudownie móc pana poznać. Wygląda pan zupełnie jak na zdjęciach na książkę, tylko, jeśli wolno mi rzec, młodziej.

– Wolno ci to rzec i powtarzać tak często i głośno, jak zechcesz. W obecności uroczych, młodych stworzeń zwykle nieco płacze mi się język, więc jak na mnie był to całkiem zgrabny tekst. A najbardziej wariackie jest to, że w tym momencie, choć znaliśmy się zaledwie dziesięć sekund, pomyślałem, że ona mnie pragnie. „Pragnie” w sensie „pożąda”. A gdybyście mnie znali, wiedzielibyście, iż nigdy nie myślę, że ktokolwiek mógłby mnie pragnąć, a przynajmniej nie w sensie pożądania. – Co cię sprowadza do Ameryki?

– Ostatnio prowadzimy tu wiele spraw zawodowych. Właśnie się tu przeprowadziłam. – Chwila ciszy. – Dzięki Bogu. – Spojrzała na mnie. – Widzę, że nigdy nie byłeś we Florencie. – Potwierdziłem, że istotnie nie byłem. – Jest troszkę wsobny, no wiesz: jeśli we Florencie poślubisz kuzyna, uważa się to za świetną partię. – Kolejna chwila ciszy. – Taki nieudany dowcip, wybacz.

Przez dziesięć lat, odkąd rzuciła mnie Helen, zdarzało mi się umawiać z niesamowitymi kobietami. Ale ta tutaj, ta prawniczka, wzbudziłaby podziw każdego, zarówno swym ciałem, jak i umysłem. Była naprawdę wyjątkowa. Sięgnęła nad stolikiem, ujęła mnie za rękę...

Pozwólcie, że powtórzę: ujęła mnie za rękę!

A potem spojrzała mi głęboko w oczy.

– Tak się cieszę, że rozwiążemy nasze problemy prawne.

– To było okropne – zgodziłem się. – Wcześniej przez całe życie tylko raz ktoś mnie pozwał.

– (To prawda.) – A że był to aktor, tak naprawdę się nie liczy.

Czy muszę wspominać, że śmiech miała dźwięczny niczym dzwon? A potem jeszcze umocniła swą pozycję.

– Może nie uwierzysz, ale czytałam wszystkie książki, które napisałeś. Łącznie z Harrym Longbaughem.

(*No Way To Treat a Lady* pierwszy raz ukazała się pod pseudonimem Harry Longbaugh – to prawdziwe nazwisko Sundance Kida.)

W tym momencie trudno nawet opisać, jak bardzo byłem w niej zakochany.

– Sprawy, które mi wytoczyliście... wycofacie je?

– Oczywiście. Wszystkie trzynaście. Zrobimy to dla ciebie, a w zamian pragniemy tylko odrobiny dobrej woli.

– Dobrej woli? – Gdybym miał przy sobie pierścionek zaręczynowy, już by go dostała.

– Tak. To bardzo ważne, by *Dziecko Buttercup* ukazało się drukiem. Tu, w Ameryce.

Gestem wezwałem kelnera, który nalał nam kawę. Przez chwilę zajęliśmy się słodzikami, odtłuszczanym mlekiem i innymi pysznościami, którymi szpikujemy w dzisiejszych czasach swoje ciała. Piliśmy w milczeniu, patrząc po sobie. W końcu zadałem najgłupsze pytanie.

– Ile masz lat, Carly?

– A ile byś chciał? Wiem o tobie wszystko. Wiem, że urodziłeś się w szpitalu Michaela Reese'a w Chicago, 12 sierpnia 1931. Nieźle, co?

Przytaknąłem.

I wtedy otworzyła torebkę.

– Musisz wiedzieć tylko tyle, Bill. Przed wyjazdem z Floreny zerwałam ze swoim chłopakiem, który miał pięćdziesiąt pięć lat. Lubię... – zawiesiła głos, uśmiechając się słodko – pełnych życia starszych mężczyzn.

Nawet Marek Antoniusz nigdy nie przeżył takiego zauroczenia.

Sięgnęła do torebki, wręczyła mi kartkę papieru.

– To tylko prawny żargon. Pokaż to prawnikowi, potem podpisz i mi odeślij.

– Co to?

– Można to nazwać traktatem pokojowym. My zgodzimy się wycofać wszystkie sprawy, ty zgodzisz się, że nie zrobiliśmy nic złego i że życzysz nam powodzenia w przyszłych projektach.

– Nie tylko życzę wam powodzenia, zaharuję się na śmierć, pracując nad *Dzieckiem Buttercup*.

– Oczywiście, że byś się zaharował – odparła.

I czy wiecie, jak brzmi siedem najważniejszych słów z ostatniego trzydziestolecia kultury popularnej? Zaraz wam powiem. Wymyślił je Peter Benchley podczas spaceru po plaży, a brzmią one: „A gdyby rekin zaczął bronić swojego terytorium?”. Bo z nich wykluła się powieść *Szczęki*, a potem film *Szczęki* i odtąd nic już nie wyglądało tak samo.

No cóż, siedem następnych słów Carly Shog nie było aż tak ważnych, chyba że dla mnie, bo padły w odpowiedzi na moje pytanie:

– Dlaczego mówisz „byś”? Chcesz powiedzieć „oczywiście, że to zrobisz”. To ja skrócę *Dziecko Buttercup*.

Pamiętam, że w owej chwili, gdy czekałem, aż coś powie, i patrzyłem na tę cudowną kobietę i

jej jasnobłękitne oczy, myślałem, że dzieje się coś dziwnego, coś złego. Ale żaden paranoiczny koszmar nie mógł się równać z tym, co usłyszałem.

– Stephen King chce się zająć tą książką.

* * *

Oto, czego nie powiedziałem: „Jak brzmi pointa?” albo „Chcesz mnie zabić?”, albo „Zaśmieje wam się w twarz”, czy może „Ty wredna suko!”. I podczas gdy byłem zajęty niemówieniem niczego, Carly sprytnie ciągnęła dalej.

– Co uzyskamy, kiedy podpiszesz ten list? Bezpieczeństwo. Bo widzisz, nie możesz się równać z Kingiem, jeśli chodzi o sprzedaż książek, nikt nie może, więc nawet nie będziemy rozwijać tego wątku. Ale mnóstwo ludzi kojarzy cię z Morgensternem ze względu na film, a naprawdę nie chcemy, żeby zastanawiali się, dlaczego nie zająłeś się kontynuacją. Dobra wola jest dla nas bardzo ważna. Nie chcemy, abyś uganiał się po mediach, powtarzając, że cię zdradziliśmy. Sama to napisałam. Myślę, że zdołasz z tym żyć.

Oto brzmienie owego listu:

„Niezwykłe się cieszę, że Stephen King zainteresował się tym projektem. Szczerze mówiąc, zmęczył mnie już Morgenstern, więc życzę wszystkim jak najlepiej. I nie wiem jak wy, ale osobiście nie mogę się doczekać chwili, gdy przeczytam *Dziecko Buttercup*”.

Przez chwilę patrzyłem na nią bez słowa. Teraz wyglądała, jak Bela Lugosi.

– On tego nie zrobi. King. Trochę go znam i nie ma najmniejszego powodu, by dał się wciągnąć w coś takiego.

– Steve nie czuje się wcale wciągnięty, jest naprawdę zachwycony. Rozmawiamy co dzień i nadal będziemy, póki nie sfinalizujemy projektu.

– Nie wierzę ci. Nie wiem, co kombinujesz, ale znajdź sobie innego frajera.

Wstałem.

– Nie zawsze nazywał się King – oznajmiła wówczas Karly. – Jego przodkowie mieszkali kiedyś we Florencji. Wciąż odwiedza go latem.

Usiadłem.

– Czy on o mnie wie?

– Bill, oczywiście. I powiedziałam mu to samo, co napisałam w tym liście: że jesteś zmęczony. Łatwo w to uwierzyć. Mój Boże, od ponad dziesięciu lat nie napisałeś powieści!

Teraz przypominała bardzo Leatherface’a z *Teksaskiej masakry piłą łańcuchową*.

– Do zobaczenia w sądzie – warknąłem. Rzuciłem parę banknotów na stół i wyszedłem.

Może to głupie słowa, wiedziałem, że będzie naciskać kolejnymi procesami. Bez dwóch zdań, trzymała w rękach wszystkie karty.

Wszystkie, oprócz jednej.

* * *

Nieco później tego samego ranka siedziałem na lotnisku w Bangor w stanie Maine.

Poznałem Kinga przy okazji *Misery*, scenariusza, który napisałem według jednej z jego najlepszych i ulubionych powieści. Wpadłem wtedy parę razy do Bangor w ramach zwykłych przygotowań, żeby z nim trochę pogawędzić, zadać mu kilka pytań. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli pogadamy osobiście, nie przez telefon. Po ukończeniu filmu urządziliśmy mu prywatny

pokaz i wraz z Robem Reinerem, reżyserem, krążyliśmy nerwowo po holu z nadzieją, że mu się spodoba. Bardzo nam zależało, żeby go zadowolić. Kariera Roba naprawdę ruszyła z rozmachem po *Stań przy mnie*, innej adaptacji Kinga (opowiadania pod tytułem *Ciało*).

Gdy tylko zobaczyliśmy, jak wychodzi z sali, zrozumieliśmy, że uradowało go to, co zrobiliśmy z jego dzieckiem. Zachwyciła go zwłaszcza Kathy Bates. (Nie był w tym odosobniony: dostała za tę rolę Oscara dla najlepszej aktorki.) Zabawne, ale jeszcze lepiej zapamiętałem moment tuż przed początkiem filmu, kiedy pożegnał się z nami, żeby zająć miejsce na widowni: jego twarz promieniowała taką nadzieją. Jak u dziecka. Wspomniałem o tym Robowi, który odparł: „Mam wrażenie, że jest równie wrażliwy teraz, jak wtedy, gdy zaczynał, i właśnie dlatego zdołał pozostać Stephenem Kingiem”.

Nie sądzę, by wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jaki to fenomen. Nie chodzi tylko o sprzedane setki milionów książek, ale fakt, że tak długo pozostaje najgorętszym pisarzem na świecie. *Carrie* ukazała się w 1974 roku. To dziesiątki lat siedzenia na szczycie.

Teraz ujrzałem go przez okno: dzinsy, flanelowa koszula, zamaszysty krok. King jest znacznie wyższy, niż można by przypuszczać, i wyjątkowo bezpretensjonalny.

Usiedliśmy w prywatnym kącie poczekalni – nic nie jadłem od wczorajszego legendarnego lunchu z Fałszywą Floreńską Flądram. Pół nocy nie spałem, przygotowując wszystkie argumenty, by móc pomówić rozsądnie, jak pisarz z pisarzem, jeden twórca opowieści z drugim. I wyobrażałem sobie, że potoczy się to mniej więcej tak: nim dojdę do połowy, Stephen oznajmi: „Bill, ta suka mnie okłamała, mówiła, że nie chcesz tego robić. Zgodziłem się tylko dlatego, bo zwróciła się do kilku krewnych, których wciąż tam mam i którzy zaczęli naciskać. Ale od początku czułem, że mnie przymuszają”.

Cisza przeciągała się. King patrzył na mnie. Czekał. Wiedziałem, że denerwuję go, siedząc tak bez słowa, ale nie miałem pojęcia, jak zacząć. Nade wszystko nie chciałem go zawstydzić. Albo, co gorsza, przeżyć upokorzenia.

– Co u Kathy? – spytał w końcu. – Podobała mi się w *Titanicu*.

Daje ci niezłe otwarcie, rzekłem w duchu. Porozmawiajcie o Kathy Bates, masz świetną historię o Kathy Bates, opowiedz mu.

– Niezbyt często ją widuję, ale czy opowiadałem ci kiedyś o tym, jak dostała rolę w *Misery*? To świetna historia.

King pokręcił głową.

– Napisałem tę rolę dla niej. Przez lata oglądałem ją na scenie: była jedną z tych wielkich aktorek, które jakoś nie zdołały się przebić w filmie – i nim zacząłem pracę, rozmawiałem z Robem i oznajmiłem, że napiszę rolę Annie Wilkes dla Kathy Bates. A Rob na to: „To dobrze, jest super. Zatrudnimy ją”.

– I co? – spytał King.

– I to wszystko. Najbardziej pożądana kobieca rola tego roku trafiła do nieznannej aktorki. Strasznie się cieszyłem, że wziąłem w tym udział. Odmieniłem jej życie.

– Fakt, świetna historia. – King starał się wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu, ale wiedziałem, że czyni to bez przekonania.

– Nie! – zaprotestowałem zdecydowanie za głośno, ale jak pewnie wyczuli czytelnicy tego wstępu, nie byłem wówczas w najlepszej formie. – Nie – powtórzyłem już ciszej. – To nie ta historia. Teraz będzie ta świetna historia.

King czekał.

– No dobra, Rob wezwał ją, w pokoju byli tylko oni, Kathy i Rob, a Kathy nigdy nawet nie

zbliżyła się do głównej roli w filmie, i Rob bez żadnych względów rzucił: „Dostałaś tę robotę”. Kathy odsiedziała chwilę bez słowa, po czym rzekła: „Robotę. Dostałam ją.”. Rob przytaknął, powtórzył wieści. „Dostałaś”. Po kolejnej przerwie Kathy powiedziała, co następuje: „Rolę Annie. Annie Wilkes. Tę rolę?”. Rob znów przytaknął. „Annie Wilkes. Główną rolę.”. Teraz Kathy, trochę szybciej: „I mam ją? Wszystko załatwione i tak dalej?”. „Wszystko załatwione”, odparł Rob. Pochyliła się do przodu. „Chcę sprawdzić, czy dobrze rozumiem. Będę grała Annie Wilkes, główną rolę w *Misery*? „Owszem” – Reiner na to, a Kathy: „To już pewne i tak dalej? Zdecydowanie, kategorycznie będę grała Annie? Wszystko jest rozstrzygnięte, nie ma możliwości błędu ani zmiany?”. A Rob mówi: „Nawet nie uwierzysz, jak bardzo rozstrzygnięte”. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, a potem Kathy powiedziała cicho: „Czy mogę powiedzieć mamie?”.

King zachwyił się szczerze (ja zresztą też, to jedna z moich ulubionych hollywoodzkich anegdot), roześmiał się, rozpromienił, popatrzył na mnie pytająco, a ja uniosłem prawą rękę.

– Słowo honoru, szczerza prawda. – I poczułem, że w końcu się odprężam. Teraz wiedziałem, że mogę to zrobić, porozmawiać z nim, przekonać, żeby odpuścił tę robotę, bo ostatecznie zrobiłem wcześniej *Narzeczoną księcia* i nawet na tym świecie czasem zdarza się odrobina sprawiedliwości.

– Naprawdę podobał mi się film – powiedział.

– Mnie też – odparłem. – Nie tylko z powodu Kathy, lecz także Jimmy’ego Caana.

A on:

– Miałem na myśli *Narzeczoną księcia*.

– Dziękuję. Mnie także.

I miałem podjąć wątek, gdy coś zrozumiałem. Coś okropnego. Nie wspomniał o powieści, tylko o filmie. Ale Boże, musiała mu się podobać, to po prostu moja paranoja.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o książce – dodał i widziałem, że słowa te sprawiają mu ból.

Najpopularniejszy pisarz stulecia mówi ci, że jesteś kiepski w opowiadaniu historii. Chciałbym oznajmić, że zniosłem to mężnie, jak dojrzały człowiek. Ale niestety zareagowałem jak kompletny palant.

– Ach tak? Mnóstwu ludzi całkiem się podobała, piękne dzięki.

Nagle pochylił się ku mnie.

– Bill, naprawdę świetnie uchwyciłeś styl, ale fakt pozostaje faktem: nie podobał mi się twój skrót. Na przykład rozdział czwarty: wyciąłeś siedemdziesiąt stron szkolenia Buttercup. Jak mogłeś to zrobić? Są tam cudowne rzeczy! Musiałeś przecież widzieć Szkołę Królewską, to jeden z najwspanialszych budynków w całej Europie. Plan zajęć Buttercup? Niesamowity! Jak mogłeś to wyrzucić?

– Głównie interesowała mnie sama historia. No wiesz, akcja – i wtedy zdradziłem prawdę. – Nigdy tam nie byłem. We Florenie. Po co niby miałbym go odwiedzać?

– Po co miałbyś go odwiedzać? Poleciałeś tam przecież, żeby sprawdzić plenery przed nakręceniem filmu!

Nie odpowiedziałem, bo czułem, że zrywa się straszny wiatr i że zaraz mnie zdmuchnie.

– Dlatego właśnie chcę zrobić *Dziecko Buttercup* – oświadczył. – Żeby tym razem wszystko było, jak należy.

Umarł w butach. Wstałem, podziękowałem mu za poświęcony mi czas i zdruzgotany ruszyłem do wyjścia.

– Naprawdę mi przykro – rzekł.

Uśmiechnąłem się. W tym momencie nie było to najłatwiejsze, ale lubiłem Kinga i nie chciałem, żeby akurat on widział, jak się rozsypuję.

– Bill! – zawołał za mną – zaczekaj! Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Posłuchaj, ja zrobię skrót, a ty napiszesz scenariusz. Zastrzegę to wyraźnie w swojej umowie.

Zrozumiałem, że chce mi jakoś pomóc, i wtedy na lotnisku powiedziałem mu wszystko. O tym, jak tato czytał mi tę książkę, jak Jasonowi się nie spodobała, jak uświadomiłem sobie, że usłyszałem tylko najlepsze kawałki, a teraz Jason był mną i miał synka, Willy’ego, cudowne dziecko, nazwane na moją pamiątkę, a Willy chciał, żebym ja przeczytał mu drugi tom i nie doszłoby do żadnych skrótów, gdybym ja ich nie zaczął. I co by zrobił, gdyby stracił kiedyś swą moc, moc opowiadania historii, tak jak ja straciłem swoją? I jak by się czuł, gdyby przez resztę życia musiał pisać idealne role dla idealnie okropnych ludzi, którzy w tym tygodniu przypadkiem akurat są uważani za gwiazdy filmowe. Gdyby ta moc...

I zrozumiałem, że właśnie przeżyłem to, czego najbardziej nie chciałem, upokorzenie, toteż zostawiłem go tam, zmuszając się, żeby nie wybiec, i wyszedłem...

* * *

Samolot do Nowego Jorku odlatywał za trzy godziny. Wsiadłem więc do taksówki, ukryłem się w Bangor, przeczekałem, taksówką wróciłem na lotnisko.

Opóźniony. Problemy z pogodą.

Usiadłem na ławce na lotnisku, odchyliłem się, zamknąłem oczy i King spytał:

– Przyleciałeś tu taki kawał, aż do Maine, żeby przeżyć załamanie nerwowe? – Siedział obok mnie. – Co do jednego masz rację i dużo o tym myślałem: nie doszłoby do żadnych skrótów, gdyby nie to, że twój ojciec przeskakiwał fragmenty. Toteż w pewnym sensie masz rację. To twoje dziecko. Ty zacząłeś.

Cisza.

A potem to.

– Spróbuj z pierwszym rozdziałem.

Po mojej minie widział, że nie do końca rozumiem, o co mu chodzi. Musiałem wyglądać jak Kathy podczas rozmowy z Robem.

– Posłuchaj, zbliża się dwudziesta piąta rocznica wydania *Narzeczonej księcia*, prawda? Twojej wersji. – Faktycznie. – Cóż, pewnie twój wydawca zechce jakoś to uczcić, może wypuścić ją na nowo w twardej okładce. – Przytaknąłem; już o tym rozmawialiśmy. – W takim razie skrót pierwszy rozdział *Dziecka Buttercup* i zamieść go tam, jeśli chcesz. Pewnie powinienes też napisać wstęp i wyjaśnić, dlaczego nie robisz całej książki. Zadzwońię do Shogów, powiadomię ich o mojej decyzji, nie spodoba im się, ale się zgodzą. Od lat chcą prowadzić ze mną interesy, a za parę lat zwalniają się floreńskie prawa do moich książek.

Przez chwilę wahał się i już się bałem, że zmienił zdanie. Czekałem z nadzieją, że nie. W końcu pokręcił głową z miną: „chyba zwariowałem, że się na to zgadzam”, i usłyszałem te cudowne słowa:

– Bill, spodziewam się, że tym razem naprawdę się postarasz.

– Przygotuję się jak jeszcze nigdy dotąd – obiecałem (i faktycznie tak zrobiłem). – Ale co się stanie po tym, jak wydam już pierwszy rozdział?

– Nie uprzedzajmy wypadków – odparł. – Ty go napiszesz, ja przeczytam, potem zapozna się

z nim publika Morgensterna. Wyślę kilka egzemplarzy moim kuzynom we Florenie, zobaczą, co powiedzą. – Wstał i spojrzał na mnie. – Bo chyba najważniejszy jest Morgenstern. To mistrz i byłoby miło, gdybyśmy mogli go zadowolić, nie sądzisz?

– Tak byłoby najlepiej – przyznałem i mówiłem szczerze.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, pożegnaliśmy się, ruszył do wyjścia, obejrzał się przez ramię.

– Nie czytałeś jeszcze *Dziecka Buttercup*, prawda?

– Jeszcze nie.

– Niesamowita historia.

– Co chcesz powiedzieć? Że nawet ja nie zdołam jej spieprzyć?

– Tu masz rację. – Stephen King uśmiechnął się.

* * *

Natychmiast wyjechałem do Florenu. (Nie znaczy to bynajmniej, że natychmiast wylądowałem we Florenie – dopilnowali tego geniusze zajmujący się rozkładami lotów Floreńskich Linii Lotniczych. Nocnym lotem Air France dotarłem do Brukseli, stamtąd samolot InterItalii dowiózł mnie do Guldenu, a stamtąd już tylko krótki skok do Florenu.) Przygotowałem listę miejsc do zobaczenia. Oczywiście Szkołę Królewską, bo King przykładał do niej tak wielką wagę. Urwiska Szaleństwa – zadzwoniłem wcześniej, żeby zrobić rezerwację, bo są oblegane przez turystów – las, w którym doszło do Bitwy Wśród Drzew i tak dalej, i tak dalej. King sporządził dla mnie spis przyjaciół i uczonych, którzy mogliby okazać się pomocni. Jedna cudowna kuzynka prowadziła najlepszą restaurację we Florenie, co okazało się błogosławieństwem, bo Floren, jak pewnie wiecie, to europejska stolica warzyw korzeniowych. Z pewnością cieszy to rolników, ale ich narodową potrawą jest brukiew i można się nią znudzić bardzo szybko, jeśli nie ma się na podporządkowaniu zdolnego kucharza.

Przez pierwsze dni czułem się dziwnie, oglądając prawdziwe miejsca, które w dzieciństwie miałem za wymyślone. Martwiłem się, że nie dorównają moim fantazjom. (I niektóre nie dorównały, ale większość tak.)

Dzielnica Złodziei, w której Fezzik odnalazł Iniga. Zwiedziłem ją, a także komnatę, gdzie Inigo w końcu zabił Hrabiego Rugena; uwzględniam ją w planie zwiedzania zamku. Farma Buttercup zachowała się nietknięta, ale co mogę rzec, to zwykła farma. I oczywiście Ogniste Bagna – wciąż pozostają morderczo niebezpieczne, nikomu nie wolno ich odwiedzać, ale widziałem miejsce niedaleko, w którym według miejscowych uczonych Buttercup i Westley padli sobie w ramiona po tym, jak zepchnęła go w przepaść. (To tu rozgrywała się scena pojednania i wierzcie, dziwnie się czułem, stojąc tam i patrząc na ten skrawek ziemi.)

Na Wyspę Jednego Drzewa wciąż nie można się dostać łodzią ze względu na otaczający ją wir, wynająłem więc helikopter i pospacerowałem dokoła. (To właśnie na wyspie odzyskiwali siły.) To tu Buttercup i Westley kochali się po raz pierwszy, tu urodziła się biedna Waverly. W sumie nie powinienem nazywać jej biedną, jakiś czas żyła jej się świetnie. Miała rodziców, którzy ją kochali. Pilnował jej najwspanialszy szermierza świata, najsilniejszego człowieka świata służył jej za piastunkę. Czego jeszcze można by pragnąć?

Oczywiście wszystko zmieniło się w chwili porwania, ale lepiej już się zamknę, nim zdradzę zbyt wiele.

DZIECKO BUTTERCUP



NIEZRÓWNANE STUDIUM WIELKIEJ
ODWAGI W OBLICZU ŚMIERCI SERCA,
PIÓRA S. MORGENSTERNA



SKRÓCONE PRZEZ WILLIAMA GOLDMANA



FEZZIK GINIE

1. Fezzik



FEZZIK ŚCIGAŁ PO ZBOCZU SZALEŃCA, szaleńca unoszącego ze sobą najcenniejszy dla olbrzyma skarb na całym świecie, małą dziewczynkę, dziecko Buttercup.

„Ścigał” to może nie najlepsze słowo, „gramolił się w ślad za...” bardziej odpowiadałoby rzeczywistości. Nieważne jednak, jak to ujmemy, wieści nie były dobre, bo choć Fezzik starał się, jak mógł, coraz bardziej zostawał w tyle. Istniały po temu dwa powody: po pierwsze, rozmiary. Znajdowali się pięć tysięcy metrów nad poziomem morza, zbocze było niemal pionowe i Fezzik z najwyższym trudem odnajdywał drogę. Jego wielkie, masywne stopy tu i tam opierały się o skały, ale zabierało to stanowczo zbyt wiele czasu.

A szaleniec wykorzystywał ten czas najlepiej, jak potrafił, zwiększając swoją przewagę. Od czasu do czasu zerkał w dół, odwracając pozbawioną skóry twarz i sprawdzając, jak daleko w tyle pozostał olbrzym. Nawet Fezzik bez trudu zrozumiał jego plan: dotrzeć na szczyt, przebiec przez płaski wierzchołek i pomknąć w dół po przeciwnej stronie, pozostawiając go bezradnego, zmagającego się wciąż ze wspinaczką.

A oto drugi powód niepowodzenia Fezzika: lęk. Czy też, ściśle rzecz biorąc lęki. Nikt nie przypuszczał, że on, najroślejszy i najsilniejszy z ludzi, ma także uczucia. Ludzie nie chcieli wiedzieć, że choć potrafi wyrywać z korzeniami drzewa, małe zwijające się robaki, żyjące wśród korzeni go brzydzą. Ponieważ pokonał mistrzów zapasów z siedemdziesięciu trzech krajów, ludzie nie wierzyli, że kiedy był (względnie) mały, matka musiała całą noc palić świecę w jego sypialni. Oczywiście wszelkie publiczne przemowy nie wchodziły w grę, ale Fezzik wolałby spędzić resztę życia, wygłaszając przemówienia do tłumu, niż stawić czoło temu, co miał przed sobą teraz: możliwości, że

S
P
A
D
N
I
E

na kamienie w dole, które zmiażdżą jego ciało.

Owszem, wspiał się na Urwiska Szaleństwa, ale to było co innego. Miał wtedy linę, której mógł się przytrzymać, więc wiedział, dokąd iść, a także Vizziniego, który go wyzywał, co zawsze uprzyjemniało pracę.

Gdyby tylko szaleniec porwał cokolwiek innego, Fezzik mógłby zatrzymać się i odczołgać w bezpieczne miejsce. Gdyby tylko ukradł całe srebro z Persji albo pigułkę, którą wystarczy raz zażyć i przestać już być olbrzymem.

Wtedy łatwo przerwałby pościg.

Ale to była Waverly, jego skarb, i choć w głębi wielkiego serca wiedział, że przegra wyścig, wiedział, że w końcu się ześliźnie, Fezzik gramolił się dalej.

Zerknął w górę: wciąż spowijał ją kocyk, ten sam, w którym została porwana. Jak dawno temu? Fezzik wolał nie pamiętać, bo całe to porwanie to była jego wina. W jakiś sposób dopuścił do niego – wydarzyło się na jego zmianie. Zamrugął szybko, próbując przegnać łyżę żalu. Nie ruszała się. Porywacz pewnie podał jej jakąś miksturę, żeby łatwiej móc z nią biec.

Nad nim szaleniec zatrzymał się, pchnął, kopnął... i z góry posypały się wielkie głazy.

Fezzik próbował ich uniknąć, ale zareagował za wolno. Kamienie trąciły go w stopy, pozbawiając oparcia, i teraz on, Fezzik Turek, dyndał w powietrzu, a przed upadkiem bronila go tylko siła kilku palców.

Szaleniec zakrzyknął tryumfalnie i ruszył dalej. Okrążył nawis i zniknął.

Fezzik wisiał w powietrzu. Tak bardzo się bał.

Wiatr kołysał jego ciałem.

Lewa ręka zaczęła cierpnąć, toteż uwolnił ją i sięgnął jakiś metr w górę, szukając lepszego uchwytu.

Wisiał tam, rozmyślając, a myślał nie o tym, jak bardzo się boi, tylko że właśnie pokonał cały metr wyłącznie za pomocą rąk. Czy zdoła to powtórzyć? Znowu sięgnął w górę, znalazł kolejny uchwyt.

– Bardzo ciekawe – rzekł do siebie – wspiąłem się, nie używając stóp. I zrobiłem to szybciej niż wcześniej, gdy używałem stóp.

Hmmm.

I nagle ruszył w górę, posługując się wyłącznie rękami. Sięgał, chwycił i znowu sięgał, chwycił. Mniejsza o cztery kończyny, wystarczą tylko górne dwie.

Teraz wspinał się bardzo szybko.

Fezzik praktycznie frunął w górę zbocza. Gdzieś z drugiej strony szaleniec nie spieszył się, pewien, że się go pozbył. Olbrzym jeszcze przyspieszył, dotarł na szczyt i na płaski wierzchołek, pędząc przez niego olbrzymimi susami. A kiedy szaleniec się tam wdrapał, on już czekał.

– Chciałbym odzyskać dziecko – rzekł cicho.

– Oczywiście, że byś chciał.

Szaleniec nie miał ust, dźwięk dobiegał gdzieś z wnętrza jego pozbawionej skóry twarzy. Nadal trzymał ciało Werverly.

Fezzik zbliżył się o krok.

– Umie zionąć ogniem – oznajmił tamten.

Fezzik wiedział, że to prawda. Ale nie bał się.

Kolejny krok.

– Potrafię zmieniać swój kształt – dodał tamten głośniej i Fezzik pojął, że to prawda. Ale pojął coś jeszcze: w sercu wroga zagościł strach.

– Oto moje ostatnie słowa – rzekł. – Kiedy powiem ci, abys oddał mi dziecko, oddasz mi dziecko.

– Użyję na tobie całej swojej magii!

– Możesz spróbować – mruknął miękko olbrzym. – Ale choć nie masz twarzy, widzę, jak bardzo się boisz. Przeraza cię myśl, że zrobię ci krzywdę – zawiesił głos. – I zrobię. – Znowu umilkł. – Dużą.

Strach wewnątrz szaleńca pulsował.

Wielkie ręce Fezzika sięgnęły po kocyk.

– Daj mi dziecko – rzekł i szaleniec zaczął już to robić, potem jednak nagle szarpnął rękami, tak że Waverly wyturlała się z kocyka, wleciała wysoko w górskie powietrze...

I siła rozpędu poniosła ją poza krawędź, obok miejsca, gdzie stali mężczyźni. A kiedy tak wirowała, zatrzepotała powiekami, rozejrzała się gorączkowo, zobaczyła Fezzika i sięgnęła ku niemu, spadając w przepaść, wymawiając słowo, którym tylko ona go nazywała:

– Cień.

Fezzik nie miał wyboru. Zanurkował w otchłań za nią, oddając życie w zamian za życie dziecka.

* * *

I co myślicie?

Ekscytujące, prawda? Muszę to przyznać Morgensternowi. Jak to mówią goście z telewizji, od razu zasysa. Ale to jednak powieść, mamy czas, by rozwinąć wątki i postacie, nikt tu nie zmienia kanału. Toteż nie jestem zachwycony. Nie podoba mi się też, że rozdział pierwszy nosi tytuł Fezzik ginie.

Wierzycie, że Morgenstern naprawdę zabije Fezzika? Bo ja nie, ani przez sekundę. Zapomnijmy o tym, że to mój ulubieniec, ale pomyślcie, jak wiele zrobił dla Buttercup i Westleya: dał się podpalić tuż przed atakiem na zamek, znalazł cztery siwki, na których odjechali na spotkanie wolności, i nie sądzcie nawet przez chwilę, że Inigo dotarłby na sam dół Zoo Śmierci bez pomocy Fezzika. Toteż w pewnym sensie ocalał też Westleya.

I przykro mi, ale kogoś takiego się nie zabija. Tak nie wolno. Nawet żeby z rozmachem rozpocząć całą historię.

Innymi słowy, nie podoba mi się otwarcie. W istocie w rozdziale tym jest jeszcze kilka rzeczy, które mnie nie zachwycają. Ale znacie powody, dla których musiałem się zgodzić.

I nie jestem całkiem pewien, czy powinienem uwzględnić następny fragment o Inigu. Stoczyłem długą kłótnię z moim wydawcą, Peterem Gethersem. Był przeciwny, bo uznał, że ten kawałek tylko zamąci w głowie czytelnikom. Zanim podam wam powody, lepiej sprawdźcie sami, o co tak się spieraliśmy.

2. Inigo



INIGO BYŁ W ROZPACZY.

Trudno ją znaleźć na mapie (to się działo już po mapach) – nie dlatego, iż kartografowie nie wiedzieli o jej istnieniu, ale ponieważ kiedy odwiedzili ją, by odmierzyć dokładne odległości, ogarnął ich taki smutek, że zaczęli pić i wątpić we wszystko, a zwłaszcza w to, czemu ktoś chciałby zająć się czymś tak durnym jak kartografia. Wymaga przecież nieustannych podróży, nikt nie zna twojego nazwiska, a co najważniejsze, ponieważ w wyniku wojen granice cały czas się zmieniają, po co w ogóle zwracać sobie tym głowę? Stopniowo zatem ówcześni twórcy map doszli do zawarcia dżentelmeńskiej umowy, by zachować to miejsce w sekrecie, w obawie, iż w przeciwnym razie turyści mogliby przybyć tu i umrzeć. (Gdybyście jednak bardzo chcieli je odwiedzić, leży bliżej państw bałtyckich niż jakichkolwiek innych miejsc.)

Wszystko w Rozpaczy było przygnębiające. W ziemi nic nie rosło, a to, co spadało z nieba, nie dawało zbyt wiele powodów do radosnych rozmów. Cały kraj był wilgotny i cuchnął, więc to, dlaczego miejscowi jeszcze stąd nie uciekli, stanowiło nie tylko dobre pytanie, lecz także jedyne pytanie. Miejscowi nie rozmawiali o niczym innym.

– Dlaczego się stąd nie wyprowadzimy? – pytali co dzień mężowie, a żony odpowiadały:

– Boże, nie wiem. Zróbmy to.

A wtedy dzieci zaczynały podskakiwać.

– Hura, hura! – krzyczały. – Wynosimy się stąd!

Tyle że nic się nie działo. Pintupi żyją w jeszcze gorszych warunkach, a oni też niewiele podróżują, bo świadomość, że nieważne, jak bardzo jest źle, to gorzej już być nie może, niesie ze sobą pewną otuchę.

Znieśliśmy w życiu wszystko, powtarzali sobie miejscowi. A gdybyśmy zebrali swoje rzeczy i przeprowadzili się choćby do Paryża, dostalibyśmy podagry i całymi dniami wysłuchiwaliby wyzwisk paryżan.

Inigo natomiast darzył to miejsce pewną sympatią, bo to właśnie tutaj wiele lat wcześniej zdobył pierwsze mistrzostwo szermiercze. Dotarł na miejsce krótko przed rozpoczęciem turnieju i przybył tu z ciężkim sercem. Tuż pod powiekami stale kryły się łzy, nie mógł otrząsnąć się z tego nastroju z powodu tego, co spotkało go we Włoszech, które odwiedził po raz pierwszy. Podróż, którą rozpoczął z taką nadzieją.

* * *

Do czasu swoich dwudziestych urodzin Inigo Montoya z hiszpańskiej Arabelli spędził osiem lat na wędrówkach po świecie. Nie zaczął jeszcze pościgu za człowiekiem o sześciu palcach, który zabił jego ukochanego ojca, Dominga. Nie był gotów i nie będzie, póki nie stwierdzi tego wielki płatnerz, Yeste. Yeste, najlepszy przyjaciel jego ojca, nigdy nie pośle go w świat, jeśli dostrzeże w nim jakąś skazę. Skazy prowadzą nie tylko do śmierci, lecz także, co gorsza, do upokorzenia.

Inigo wiedział jedno i tylko jedno: kiedy w końcu znajdzie swego kata, kiedy wreszcie będzie mógł stanąć naprzeciw niego i powiedzieć: „Witaj. Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mego ojca. Gotuj się na śmierć.”, w jego umyśle nie może być nawet najmniejszej wątpliwości co do zwycięstwa. Człowiek o sześciu palcach był mistrzem. Toteż szykując się na starcie z mistrzem, Inigo podróżował po świecie. Rósł i nabierał sił, uczył się od każdego, kto mógł mu przekazać tajemnice wymagające rozwikłania. Później zaczął się specjalizować. Miał nieprawdopodobny talent, ale to wciąż za mało, by zyskać błogosławieństwo Yestego.

Ostatnio odwiedził Islandię i spędził kilka miesięcy z Ardnockiem, największym specem od mrozów. Inigo opanował już walkę z dołu i z góry, walkę z drzew, ze skał, na bystrzynach. Co jednak, jeśli człowiek o sześciu palcach pochodzi z dalekiej północy i spotkają się na zamarzniętym śniegu albo świeżym lodzie? I co, jeśli Inigo, bezradny i niezdarny, poślizgnie się, straci równowagę, przegra, utraci wszystko?

Po Islandii pół roku spędził na równiku, studiując u Atumby, mistrza upałów. Bo co, jeśli człowiek o sześciu palcach pochodzi z dusznej krainy i jeśli staną do walki w upale najgorętszego dnia roku, w pięćdziesięciu stopniach i jeśli rękojeść szpady na moment zawilgnie mu w dłoni?

Teraz, tuż po dwudziestych urodzinach, przybył do Włoch, aby spotkać się z Piccolim, drobnutkim starcem, uznanym królem umysłu. (Piccoli pochodził z najsłynniejszego rodu wielkich włoskich nauczycieli; inna jego gałąź osiadła w Wenecji, gdzie uczyła śpiewu wszystkich słynnych włoskich tenorów, których nazwiska kończyły się na samogłoskę.) Inigo wiedział, że kiedy nadejdzie ów najważniejszy, śmiertelny pojedynek, nie będzie w stanie myśleć. Jego umysł musi być niczym wiosenny dzień, a ruchy następować naturalnie, same z siebie, serią piruetów, uników i pchnięć.

Piccoli mieszkał w małym kamiennym domku. Pracował dla Hrabiego Cardinale, niezwykłego i tajemniczego człowieka, który władał większą częścią kraju. Piccoli słyszał o Inigu, bo choć Yeste był najsłynniejszym i największym z płatnerzy, krążyły plotki, że kiedy dostawał zlecenie wykraczające poza nawet jego zdolności, udawał się do miasta Arabella, wysoko na wzgórzach nad Toledo, do nędznej chaty niejakiego Domingo Montoyi, wdowca, mieszkającego tam z młodym synem.

I to tam wykuto sześciopalczystą szpadę.

Czy naprawdę mogła być cudem świata? Piccoli słyszał o niej od dziesięciu lat i nade wszystko pragnął przed śmiercią ujrzeć, jak tańczy. Najwspanialsza broń od czasu Excalibura. I gdzie była teraz? Zniknęła z domu Yestego wraz z dzieckiem Montoyi. A gdzie się podziewało dziecko?

Piccoli całe długie życie szkolił swój umysł, tak by móc siedzieć nawet cały dzień w sercu szalejącej bitwy, nie dostrzegając otaczających go krzyków i rzezi. Kiedy przebywał wewnątrz swego umysłu, był niczym głuchy ślepiec. Każdego ranka o świcie zagłębiał się w umysł i pozostawał w nim do południa. Nie istniała moc, która mogłaby mu w tym przeszkodzić.

Pewnego dnia o świcie zanurzył się w umysł, zamierzając pozostać tam do chwili, gdy słońce stanie w zenicie – lecz tego ranka o ósmej stało się coś niezwykłego.

Przebywał w myślach, jak zawsze o szóstej, siódmej i wpół do ósmej, a także kwadrans przed ósmą, za dziesięć, za pięć, cztery, trzy...

I wtedy nagle uderzyło go coś tak oszałamiającego, że nawet on musiał otworzyć oczy...

I ujrzeć zbliżającego się młodzieńca, wysokiego, chudego jak klinga, umięśnionego, stąpającego sprężysto. Dość przystojnego, choć jego urodę pomniejszały nieco dwie równoległe

blizny na policzkach...

– młodzieńca, który w dłoniach dzierżył coś tak cudownego, iż tańczyło w nich słońce.

Piccolemu zaparło dech w piersi.

– Chciałbym zobaczyć się z panem Piccoli – oznajmił młodzieniec, podchodząc bliżej.

– Chcę obejrzeć twoją szpadę.

Piccoli zadrżał, ujmując ją w maleńkie dłonie.

– Czegóż jeszcze mógłbyś chcieć ode mnie? – Nie mógł oderwać oczu od broni. – Masz tu cały świat.

Inigo mu powiedział.

– Chcesz, żebym cię nauczył panowania nad umysłem? – upewnił się Piccoli.

Młodzian przytaknął.

– Przybyłem z bardzo daleka.

– Obawiam się, że zmarnowałeś czas. Jesteś młody. Młodym brak cierpliwości. Są głupi.

Sądzą, że ciała ich uratują.

– Pozwól mi się uczyć.

– To nie ma sensu. Idź, tocz swą bitwę beze mnie.

– Błagam cię.

Piccoli westchnął.

– No dobrze. Pozwól, że ci pokażę, jaki jesteś głupi. Odpowiedz mi na pytanie: czego pragniesz bardziej niż czegokolwiek innego na całym świecie?

– To proste. Oczywiście zabić człowieka o sześciu palcach.

I wtedy Piccoli zaczął krzyczeć.

– Żle, źle! Posłuchaj mnie i zrozum, co ci powiem. – Jego głos złagodniał, zabrzmiał uwodzicielsko. – Człowiek o sześciu palcach trzyma w dłoni szpadę, zadaje pchnięcie. Masz widzieć to, co ci opisuję, Montoya, obserwuj jego broń. Pchnął twego ojca, spada wbija się w jego serce, serce Dominga pęka w strzępy. A ty masz dziesięć lat, stoisz tam, jesteś bezradny. Pamiętasz tę chwilę? Rozkazuję ci, przypomnij sobie tę chwilę!

Inigo nie mógł powstrzymać nagłych łez.

– Teraz widzisz, jak pada. Spójrz, spójrz na niego, patrz, jak Domingo umiera...

Inigo rozplakał się rozpaczliwie.

– Powiedz mi, co czujesz.

– Ból – ledwie wykrztusił Inigo.

– Tak, tak, oczywiście ból, morderczy ból. I tego właśnie pragniesz nade wszystko, pozbyć się bólu.

– ...Tak...

– Ten ból towarzyszy ci w każdej chwili, każdego dnia?

– ...Tak...

– Jeśli będziesz myślał o skończeniu z bólem, zabijesz człowieka o sześciu palcach. Lecz jeśli skupisz się na zemście, to on cię zabije, bo odebrał ci już coś, co ceniałeś sobie nade wszystko, i będzie o tym wiedział. A kiedy staniecie do walki, zaczniesz mówić różne rzeczy, drwić z siebie, gadać o twoim żalonym ojcu, wyśmiewać się z tego, że kochałeś takiego nieudacznika jak Domingo, a ty krzykniesz z wściekłości, zawładnie tobą zemsta i zaatakujesz na oślep – a wtedy on porąbie cię na strzępy.

Inigo ujrzał to wszystko i zrozumiał, że to prawda. Zobaczył samego siebie, jak rzuca się naprzód z wrzaskiem, a potem poczuł klingę człowieka o sześciu palcach, wbijającą się w ciało,

przeszywając serce.

– Proszę, nie pozwól, żebym z nim przegrał – zdołał w końcu wykrztusić.

Piccoli przyjrzał się stojącemu przed nim zdruzgotanemu młodzieńcowi. Delikatnie oddał mu sześciopalczystą szpadę.

– Idź, otrzyj łzy, Montoya. Rano zaczniemy szkolenie...

* * *

To była mordercza praca. Inigo nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie łatwo, ale Piccoli okazał się nieludzko bezlitosny. Przez osiem lat Inigo co dzień biegał dwie godziny, by wzmocnić mięśnie nóg. Teraz Piccoli w ogóle nie pozwalał mu biegać. Przez osiem lat przez dwie godziny dziennie wyciskał kamienie wielkości jabłek, aby przeguby miały dość siły, by zadać śmiertelne pchnięcie z każdej możliwej pozycji. Teraz dostał zakaz wyciskania kamieni. Przez osiem lat co najmniej dwie godziny każdego dnia poświęcał na skoki, uniki i błyskawiczne ruchy, by jego stopy były dość szybkie. Teraz nie wolno mu było uskakiwać ani robić uników.

Ciało Iniga, silne jak bicz, giętkie jak sprężyna? Ciało, które ukształtował wyłącznie z myślą o morderczej walce? Ciało budzące zazdrość większości mężczyzn? Piccoli go nienawidził.

– Póki u mnie jesteś, ciało to twój największy wróg – wyjaśnił. – Na razie musimy je osłabić, to jedyny sposób, byś mógł rozwinąć umysł. Dopóki sądzisz, że dzięki walce uwolnisz się z każdego tarapatów, nigdy nie zdołasz się z nich uwolnić.

Przez osiem lat Inigo zadowalał się czterema godzinami snu. Teraz sen stał się jego jedynym zajęciem. Spał. Drzemał. Odpoczywał. Chrapał. Przysypiał na rozkaz, sjesta trwała cały dzień. Miał wrażenie, że za każdym razem, gdy chce zmrużyć oko, mrużył ich tuzin. A odpoczywając, miał się skupiać na swoim umyśle.

Mijały tygodnie. Z początku Inigo przesypiał dwanaście godzin dziennie, potem piętnaście. Piccoli wyznaczył mu cel: pełne dwadzieścia – i Inigo wiedział, że męczarnie nigdy się nie skończą, póki go nie osiągnie. Nie robił zatem nic, jedynie leżał i skupiał się na umyśle.

Jego jedynym zadaniem były rozmyślenia o umyśle. Zaznajomienie się z nim, poznanie jego nawyków.

Piccoli pozwalał mu tylko na kwadrans ćwiczeń dziennie o zachodzie słońca. Wysyłał go wtedy na dwór ze szpadą w dłoni i raz jeden kiwał głową. A Inigo śmigał naprzód w gasnącym świetle, miecz ożywał mu w ręce, ciało skakało, robiło uniki, cienie tańczyły niczym duchy. Piccoli był bardzo stary, ale kiedyś widział Bastię i to znów był Bastia, który powrócił na ten świat.

Kolejne skinienie drobniutkiego starca oznaczało powrót do odpoczynku. Do łóżka. Do leżenia i skupiania się na umyśle.

I trwało to aż do dnia, gdy Piccoli musiał udać się do wioski po zapasy. Inigo został sam w kamiennym domku, nagle usłyszał zbliżające się lekkie kroki i miękki głos pytający o właściciela. A potem nie był już sam. Spojrzał na stojącą w wejściu postać i wypowiedział doprawdy niezwykle, nieoczekiwane słowa:

– Nie mogę się z tobą ożenić.

Spojrzała na niego.

– Czy my się znamy, panie?

– Poznaliśmy się w moich snach.

– I postanowiliśmy nie brać ślubu? Cóż za niezwykle sny u kogoś tak młodego

– Nie młodszego od ciebie.

– Pracujesz dla Piccolego?

Inigo pokręcił głową.

– Głównie sypiam dla Piccolego. Podejdz bliżej?

– Nie mam wyboru.

– Pracujesz w zamku?

– Spędziłam tam całe życie. Moja matka także.

– Inigo Montoya z Hiszpanii. A ty...?

Czekał, aż usłyszy imię. Wiedział, że będzie cudowne, że zapamięta je do końca życia.

– Giulietta, panie.

– Uważasz, że jestem dziwny, Giulietto?

– Musiałabym być głupia, żeby tak nie myśleć – odparła Giulietta, po czym dodała: – Panie.

– Czujesz w tej chwili swoje serce? Bo ja czuję swoje.

– Musiałabym być głupia, żeby nie czuć – przyznała Giulietta, czarnymi oczami przez chwilę przyglądała się jego twarzy. – Chyba lepiej będzie, jeśli opowiesz mi swoje sny.

Inigo zaczął. Opowiedział jej o rzezi i o swych bliznach, o tym, jak po wyzdrowieniu wyruszył w drogę. I jak wędrował po świecie – od miasta do miasteczka, do wioski, sam, zawsze sam, i czasem wymyślał sobie kompanów, bo w rzeczywistości nikt nie dotrzymywał mu towarzystwa... A kiedy skończył trzynaście lat, pojawił się ktoś, kto pod koniec dnia zawsze na niego czekał. W miarę jak Inigo rósł, ona także dorastała, ta dziewczyna. I zawsze tam była, zawsze, jedli razem resztki na kolację i spali na stryszkach w swoich ramionach. A kiedy na niego patrzyła, jej czarne oczy miały tak łagodny wyraz.

– Tak jak twoje oczy teraz, kiedy patrzysz na mnie, a jej czarne włosy opadały, tak jak teraz twoje opadają. I przez te wszystkie lata obdarzałaś mnie swym cudownym towarzystwem, Giulietto. I kocham cię, zawsze będę kochać, ale nie mogę, mam nadzieję, że to zrozumiesz, bo moja misja ma pierwszeństwo nade wszystkim. Więc mimo tego, co dostrzegam w twoich oczach, nie mogę się z tobą ożenić.

Była wyraźnie wzruszona. Inigo widział, że poruszył ją do głębi. Czekał na odpowiedź.

– Często opowiadasz tę historię? – spytała w końcu Giulietta. – Założę się, że wieśniaczki szaleją na twoim punkcie. – To rzekłszy, odwróciła się do drzwi. – Może spróbuj z nimi. – I odeszła.

Następnego ranka, nim zagłębił się w swój umysł, wróciła.

– Niech sprawdzę, czy dobrze zrozumiałam, Inigo. Jedliśmy na obiad resztki? Występuję w twoich marzeniach, a ciebie stać w nich tylko na resztki? – Odwróciła się do drzwi. – Nie masz szansy, żeby zdobyć moje serce.

Inigo powrócił w głąb swego umysłu.

Następnego dnia w południe obudziła go szturchańcem.

– Niech sprawdzę, czy dobrze zrozumiałam, Inigo: sypialiśmy na stryszkach z sianem? Nie mogłeś nawet wymyślić czystej izby w gospodzie? Wiesz, jak bardzo od siana swędzi całe ciało? – Odwróciła się do drzwi. – Dziś masz jeszcze mniejsze szanse na zdobycie mego serca niż wczoraj.

Inigo powrócił w głąb swego umysłu.

Następnego dnia o zmierzchu stanęła w drzwiach. Zjawiła się tuż przed kwadransem jego ćwiczeń.

– Skąd mam wiedzieć, że znajdziesz tego człowieka o sześciu palcach? – spytała. – I skąd

mam wiedzieć, czy zdołasz go pokonać? Co, jeśli ulituję się nad tobą i będę czekać, a on zwycięży?

– To mój koszmar. Dlatego właśnie się uczę.

Wskazała ręką jego szpadę.

– Umiesz się tym posługiwać?

Inigo wyszedł na dwór i zaczął tańczyć w gasnących promieniach słońca z sześciopalczystą szpadą. Bardzo starał się zrobić na niej wrażenie i zakończył ozdobnym gestem, którego wiele lat wcześniej nauczył go MacPherson ze Szkocji. Łączył on w sobie piruet, odrzucenie szpady i ukłon.

– Przyszynę, to imponujące – rzekła, kiedy skończył. – Ale co będzie, kiedy już znajdziesz tego człeka i go zabijesz? Jak planujesz zarabiać na życie? Takimi popisami? A ja co mam robić, grać na tamburynie i zwoływać tłumy? Twoje szanse na zdobycie mego serca są tak mizerne, że nie ma sensu, żebyśmy się jeszcze spotykali. Żegnaj.

I kiedy Inigo odprowadzał ją wzrokiem, nie miał wątpliwości: bolało go serce...

* * *

Nie wróciła aż do wieczora, kiedy odbywał się bal. Inigo wbrew sobie słyszał muzykę wylewającą się w mrok z zamku, gdzie muzycy ćwiczyli od wielu dni. Nagle w drzwiach pojawiła się Giulietta i wezwała go gestem.

– Jest tak pięknie – wyszeptła. – Pomyślałam, że może zechcesz zobaczyć. Mogę cię tam przemycić, ale musisz robić dokładnie, co ci każe. Byłoby źle, gdyby nas odkryli.

Pomknęli razem pośród długich cieni, przystając tylko na moment przed kuchnią. Potem Giulietta kiwnęła głową i weszli do środka. Skinęła ręką w lewo, wskazując mu drogę, potem w prawo, a on podążał za nią, aż ujrzeli przed sobą salę balową.

Widok był tak wspaniały, że Inigo nie potrafił go objąć wzrokiem. Jakaż ogromna sala, co za elegancja, dość kwiatów, by wypełnić cały las, i grający cicho muzycy. Inigo gapił się i gapił oszołomiony, aż w końcu usłyszał głośnie sapnięcie.

– O nie! – wyszeptła Giulietta. – Hrabia tu jest! Muszę iść. Schowaj się za drzwiami.

Posłusznie wśliznął się za drzwi, zastanawiając się, jak straszna kara czeka kogoś, kto zakradł się do zamku i zajrzał do pomieszczeń dostępnych tylko możliwym. Zamknął oczy, modląc się w duchu, by Hrabia go nie zauważył.

Kiedy uniósł powieki, odkrył, że ziścił się jego najgorszy: Hrabia patrzył na niego. Był bardzo stary. Odziany w przepyszny strój. Miał niezwykle wzgardliwą minę. A także głos pełen porażającej mocy.

– Ty – zaczął z narastającą wściekłością – jesteś złodziejem!

– Nigdy niczego nie ukradłem... – zaczął mówić Inigo.

– Kim jesteś?

Inigo nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa.

– Um... Montoya. Inigo Montoya z Arabelli w Hiszpanii.

– Hiszpan? W moim domu? Będę musiał wszystko odkazić! – A potem Hrabia podszedł bliżej. – Jak się tu dostałeś?

– Ktoś mnie przyprowadził. Ale nigdy nie zdradzę jej imienia. Może mnie pan karać, robić, co zechce, ale jej imię na zawsze pozostanie tajemnicą. – Nagle zachłysnął się, gdy w odległych drzwiach stanęła Giulietta. Gestem polecił jej, by uciekła, ale Hrabia odwrócił się za szybko i ją

zobaczył. – Proszę jej nic nie robić! – krzyknął Inigo. – Mieszka tu całe życie, tak jak wcześniej jej matka!

– Jej matka była moją żoną! – ryknął Hrabia ogłuszająco. – Ty żałosny, głupi łowco posagów, niegodny jesteś stapać po tym świecie! – I z okrzykiem niesmaku odwrócił się i odszedł.

Giulietta w mgnieniu oka podbiegła do Iniga.

– Tato cię polubił – rzekła rozradowana.

* * *

Tańczyli całą noc, spleceni w objęciach niczym kochankowie. Inigo, dzięki wieloletnim studiom i ćwiczeniom, pisał jak marzenie, wirując lekko, Giulietta uczyła się tańca od dziecka, a muzycy grywali już dla tłustych książąt i groteskowych kupców, teraz jednak, kiedy patrzyli na tę ciemnowłosą parę, ledwie muskającą stopami ziemię, pojęli, że ich muzyka musi dorównać tancerzom.

Jeszcze dziś cała służba w zamku Cardinale wspomina brzmienie tej muzyki.

Oczywiście nim padli sobie w objęcia i puścili się w wir tańca, musieli najpierw wyjaśnić sobie kilka drobiazgów.

– Tato cię lubi. – Giulietta odprowadziła wzrokiem rozwścieczonego ojca.

– Chwileczkę – rzucił Inigo. – Skoro jesteś jego córką, to cię czyni Hrabianką. A jeśli jesteś Hrabianką, to cię czyni kłamczuchą, bo podawałaś się za służkę. A jeśli jesteś kłamczuchą, nie mogę ci zaufać, bo nic nie tłumaczy kłamstwa, zwłaszcza kiedy wiedziałas o moich marzeniach i miłości. Muszę cię zatem pożegnać. – Ruszył do wyjścia.

– Jedna sprawa? – zagadnęła Giulietta.

– Znowu kłamstwa?

– Sam ocenisz. Owszem, jestem Hrabianką. I owszem, skłamałam. Niełatwo jest być mną. Nie oczekuję współczucia, ale musisz mnie wysłuchać. Jestem jedną z najbogatszych kobiet na świecie, a w oczach wielu mężczyzn także jedną z najbardziej atrakcyjnych. Jestem też – proszę, uwierz, i wiem, że to zabrzmiało arogancko – jestem też mądra, czuła i zyczliwa. Nie ubrałam się w strój służki, by cię oszukać. Zawsze się tak ubieram. Po to, żeby spróbować odkryć prawdę. Każdy wolny szlachcic w promieniu tysiąca mil przybywał do tego zamku, by prosić ojca o moją rękę. Twierdzą, że pragną mojego szczęścia, ale tak naprawdę chcą tylko pieniędzy. A ja marzę jedynie o miłości. – Inigo milczał. Postąpiła krok naprzód, podchodząc bliżej. Potem kolejny i znalazła się obok niego. – Kiedy przybyłeś tu ze swoim marzeniem – wyszeptowała szybko – zdobyłeś moje serce. Ale musiałam zaczekać. Przemyśleć to. I już przemyślałam – gestem nakazała muzykom, by zagraли jeszcze piękniej. – To nasze przyjęcie, jesteśmy jedynymi gośćmi. Zrobiłam to wszystko dla ciebie i jeśli nie pocałujesz mnie w usta, Inigo Montoyo z Hiszpanii, najpewniej umrę.

Jak mógł nie usłuchać?

Tańczyli całą noc. Och, jak oni tańczyli, Inigo i Giulietta. I jak obejmowali się. A on całował jej usta i rozpuszczone włosy. I po raz pierwszy od śmierci ojca czuł takie szczęście. Wcześniej przed nim umknęło, a kiedy przeżywa się wiele lat bez niego, zapomina się, że żadne błogosławieństwo nie może się z nim równać...

* * *

Wiecie co? To już koniec. Bum, odrobina szczęścia, koniec historii.

Nazywam tę część Niezrozumiałym fragmentem o Inigu, a Peter protestował przed jego włączeniem i uważał go za dziwaczny z jednego, prostego powodu: nic się w nim nie dzieje.

Z czysto narracyjnego punktu widzenia oczywiście ma rację. Ale uważam, że tu po raz pierwszy Morgenstern pokazuje ludzkie oblicze Iniga, tak byśmy zrozumieli, że jest czymś więcej niż tylko hiszpańską machiną zemsty. (Szczerze mówiąc, żałuję, że nie wiedziałem o istnieniu tego fragmentu przed lekturą Narzeczonej księcia.) Nie sądzę, bym kibicował mu jeszcze mocniej, ale mój Boże, z czego musiał zrezygnować biedny Inigo, żeby uczcić pamięć ojca! Pomyślcie tylko! Wszyscy przecież mamy marzenia, prawda?

Czy sądzicie, że przed tym, nim poznałem i poślubiłem Helen, nosiłem w sobie wizję mojej żony, genialnej doktor psychiatrii? Oczywiście, że nie. A jednak Inigo stworzył w swym sercu idealną istotę – a potem ją odnalazł. I okazało się, że ona go kocha.

I rozstali się.

Wiem, to tylko domysły, ale ponieważ słyszymy, że Inigo z ciężkim sercem dotarł do Rozpaczy (a przybył tam z Włoch), wyjaśnienie samo się narzuca.

Umieściłem tu ten fragment z jednego, bardzo prostego powodu: uważam, że to Morgenstern w najlepszej formie. Oczywiście poradziłem się Kinga i on też sądził, że muszę go zachować, bo Morgenstern to zrobił. Dał mi również telefon do swego kuzyna, profesora na uniwersytecie Florenu – syna kobiety, która prowadzi świetną restaurację. Ten kuzyn, specjalista od Morgensterna, uważa, że całe pomieszanie to wyłącznie moja wina. Że gdybym dostatecznie przygotował się naukowo, zrozumiałbym symbolikę stosowaną przez Morgensterna i pojął, że dzieje się tu bardzo dużo. Ściślej rzecz biorąc, przynajmniej według tego kuzyna, to tutaj Inigo po raz pierwszy odkrywa, że Humperdinck zaplanował porwanie pierwszego dziecka Westleya i Buttercup tuż po jego narodzinach. Dlatego musi pędem wracać na Wyspę Jednego Drzewa i do tego nie dopuścić. Kuzyn Kinga uważa, że Niezrozumiały fragment o Inigu wcale nie jest fragmentem, ale pełnoprawną częścią powieści.

Sam niczego z tego nie rozumiem; jeśli wy rozumiecie, super. A przy okazji, sami zdecydujcie, czy postąpiłem słusznie, czy nie, uwzględniając go w moim skrócie. Jeśli się nie zgadzacie, nie szkodzi. Wiem tylko, że zamiary miałem czyste...

3. Buttercup i Westley



CZTERY POTĘŻNE SIWKI niemal frunęły w stronę Kanału Floreńskiego.
– Wygląda zatem na to, że jesteśmy skazani – oznajmiła Buttercup.
Westley uniósł wzrok.

– Skazani, wasza wysokość?

– Na to, aby być razem. Póki jedno z nas nie umrze.

– Już raz to zrobiłem i nie mam najmniejszego zamiaru kiedykolwiek tego powtarzać.

Buttercup uniosła brwi.

– Ale przecież kiedyś chyba musimy?

– Nie, jeśli przyrzekniemy sobie, że każde z nas będzie żyło dłużej od drugiego, a ja właśnie składam taką obietnicę.

Buttercup spojrzała na niego.

– Och, mój Westleyu, ja także.

Nagle za plecami, bliżej niż się spodziewali, usłyszeli wrzask Humperdincka.

– Zatrzymać ich! Odciąć im drogę!

Niewątpliwie zdumieli się, ale nie mieli powodów do niepokoju: dosiadali najszybszych koni w królestwie i zdobyli już sporą przewagę.

Wkrótce jednak rany Iniga otwały się ponownie, Westley stracił resztki sił, Fezzik skręcił w złą stronę, a wierzchowiec Buttercup zgubił podkowę. Za nimi zaś noc wypełniła się coraz głośniejszymi odgłosami pościgu...

* * *

Widzicie, co tu zrobił?

Owo pół stronicy to oczywiście zakończenie Narzeczonej księcia. I potrwa to tylko chwilę, ale chciałbym zwrócić waszą uwagę na to, co Morgenstern robi w drugiej części: bawi się czasem. Słuchajcie, wrzuciłem tu już wyjaśnienia, że Waverly zostanie porwana, zapomnijcie o tym. Morgenstern mówi wam to samo na pierwszych stronach opisujących Fezzika na szczycie góry.

No dobrze, czyli doszło już do porwania. Potem w Niezrozumiałym fragmencie o Inigu mówi, że wkrótce do niego dojdzie (przynajmniej według kuzyna Kinga). A tutaj cofa się do czasów, nim jeszcze Buttercup i Westley bezpiecznie uciekli przed Humperdinckiem.

Uważam, że to ciekawe, ale niektórzy z was mogą to uznać za mylące. Tak właśnie stało się z Willym, moim wnukiem. Czytałem mu na głos (i jakież to wspaniałe uczucie, wy wszyscy miłośnicy sportu), kiedy rzekł:

– Zaczekaj chwilę. – Więc zrobiłem to. A on: – Jak to możliwe, że Inigo usłyszał o porwaniu, a potem w następnym zdaniu znów wracamy do Narzeczonej księcia?

Wyjaśniłem, że Morgenstern tak właśnie uznał za stosowne opowiedzieć tę historię. A on spytał:

– A to tak wolno?

Mam szczerą nadzieję, że tak.

* * *

Wkrótce jednak rany Iniga otwarły się ponownie. – I to *nie błąd, po prostu uznałem, że jeśli powtórzę ostatni akapit, przejście będzie płynniejsze. Zobaczcie sami.* – Westley stracił resztki sił, Fezzik skręcił w złą stronę, a wierzchowiec Buttercup zgubił podkowę. Za nimi zaś noc wypełniła się coraz głośniejszymi odgłosami pościgu...

Najpierw Fezzik popełnił błąd. Jechał na przedzie, której to pozycji starał się unikać, kiedy tylko mógł, ale tu nie miał wyboru, ponieważ Inigo z każdym krokiem tracił siły, a kochankowie, no cóż, wymieniali obrzydliwie czułe słówka na temat wieczności.

Co oznaczało, iż Fezzik, przyjaciel doskonały, wierny pomocnik, miłośnik rymów, może nie najbystrzejszy gość, ale niewątpliwie najbardziej oddany członek każdej możliwej kompanii, ujrzał przed sobą najbardziej znenawidzony, najzdradliwszy podstęp wymyślony przez człowieka –

– rozwidlenie drogi.

Tak naprawdę to nie droga (noga), pocieszał sam siebie. To bardziej ścieżka (weszka), nie ma się co denerwować (gotować).

Zmierzali nad Kanał Floreński, gdzie czekał na nich wielki piracki okręt Zemsta, by zabrać ich i ponieść ku szczęściu.

– Odpręż się Fezziku – mówił do siebie olbrzym. – Traktuj tę całą eskapadę jak przygodę (zgodę), wspomnienie, na które w przyszłości uśmiechniesz się ciepło. Ostatecznie nie jest to nawet poważne rozwidlenie.

Można by rzec, że jest malutkie (rzutki), jedynie drobniotka przeszkoda (uroda).

Fezzik niemal to sobie wmówił, ale potem do głosu doszła rzeczywistość...

Bo nadal były to rozstaje.

Coś, co wymagało myślenia, mądrości, planu...

...a on wiedział, że zawsze potrafi coś takiego schrzanić.

* * *

To znowu ja. I nie, nie wtrącam się, po prostu chcę wyjaśnić. Zadałem sobie wiele trudu, by wyszlifować tekst do perfekcji, sami zresztą wiecie, więc nie chcę, by ktokolwiek napisał, że „schrzanić” to anachronizm. Bo tak nie jest. To starożytne, tureckie określenie zapaśnicze, opisujące niecny podstęp, kiedy to zawodnik smarował się chrzanem, aby przeciwnikowi zakręciło się w nosie, a wówczas łapał go w mocny chwyt prowadzący do niechybnej śmierci. Schrzanianie przeciwnika było oczywiście od wieków zakazane. Wszędzie.

* * *

Rozstaje się zbliżały. Otaczał je coraz większy gąszcz drzew, a brutale za plecami doganiał ich szybko. A choć istotnie rozwidlenie nie było wielkie, to nie powstało bez powodu i Fezzik wierzył, iż powód ów jest następujący: jedna droga wiedzie do kanału i czekającej Zemsty, a druga gdzie indziej. Ponieważ tylko morze stanowiło pożądany cel, gdzie indziej, nieważne gdzie indziało, oznaczało zgubę.

Fezzik obrócił się szybko, by spytać Iniga o zdanie, ale Inigo okrutnie krwawił, bo galop

siwego ogiera nie pomagał człowiekowi przebitemu niedawno szpadą.

Fezzik odruchowo sięgnął za siebie, chwycił słabnącego kompana, przesadził na swojego wierzchowca, żeby sprawdzić, czy zdoła go ocalić...

I kiedy tak sięgał, dotarli do rozwidlenia, a on nawet nie patrzył, jak jego koń skręca w lewo – która to droga, niestety, prowadziła gdzie indziej.

– Cześć – rzucił Fezzik, kiedy posadził Iniga przed sobą. – Czujesz się podekscytowany? Bo ja tak, i to bardzo.

Inigo był za słaby, by odpowiedzieć. Fezzik obejrzał jego rany, wepchnął jedną z pięści Iniga głębiej, w nadziei że w jakiś sposób powstrzyma krwotok. Wyraźnie widział, że sam musi ocalić przyjaciela i zrobić wszystko, byle tylko dostarczyć go do dobrego Zakrzepiacza Krwi. Z pewnością na Zemście zatrudniano kogoś podobnego.

Inigo odpowiedział jęknięciem.

– Całkowicie się zgadzam – odparł Fezzik, zastanawiając się, jakim cudem drzewa tak szybko tak bardzo zgęstniały. Niesamowite. Teraz przypominały już niemal ścianę. —Jestem też pewien, że za tym ostatnim murem z drzew leży Kanał Floreński i że wszystkie nasze marzenia się spełnią.

Inigo odpowiedział tak samo, tylko jeszcze słabiej. A potem jego palce pochwyciły wielką dłoń Fezzika.

– Odchodzę na spotkanie z ojcem... ale Rugen nie żyje... więc nie zmarnowałem życia... Umiłowany przyjacielu... powiedz mi, że nie zawiodłem.

Fezzik wiedział, że traci Iniga, i kiedy trzymał w ramionach rannego szermierza, pojął kilka rzeczy, a oto jedna z nich: gdziekolwiek leży dno otchłani, właśnie go dosięgnął.

– Panie olbrzymie? – usłyszał w tym momencie.

Zastanawiał się, do kogo mówi Buttercup, póki nie pojął, że tak naprawdę nigdy ich sobie nie przedstawiono. Owszem, ogłuszył ją, porwał, omal nie zabił, więc ciężko twierdzić, że się nie znali. Ale trudno to również uznać za oficjalną prezentację.

– Fezzik, księżniczko.

– Panie Fezziku! – zawołała głośniejszym głosem niż to konieczne, ale dlatego, że w tym momencie jej koń zgubił podkowę.

– Wystarczy zwykłe „Fezzik”, będę wiedział, że chodzi o mnie. – Przyglądał się jej twarzy w blasku księżyca. Nigdy nie widział podobnej. Nikt nie widział. Choć w tej chwili nie była w najlepszej formie, bo nie tylko jej koń zachowywał się dziwnie, ale w jej oczach Fezzik dostrzegł ból. – Co się stało, Wasza Wysokość? Proszę powiedzieć, to może pomogę.

– Mój Westley przestał oddychać.

I znów się pomylił, pojął Fezzik. Otchłań nie miała dna. Odruchowo sięgnął do tyłu, chwycił pozbawionego tchu przywódcę, posadził go na swego konia, żeby sprawdzić, czy zdoła go ocalić...

A kiedy to zrobił, przeciążony wierzchowiec się zatrzymał. Musiał. Bo dalszą drogę przegradzała nieprzenikniona ściana drzew.

A Inigo nadal krwawił.

A Westley wciąż nie oddychał.

A Buttercup ciągle patrzyła na niego, jej twarz zaś rozświetlała nadzieja, że ze wszystkich istot na całej ziemi tylko on, Fezzik, zdoła uratować jej ukochanego, a tym samym ocalić jej serce przed pęknięciem.

W tej najbardziej bohaterskiej chwili swego życia Fezzik świetnie wiedział, co nade wszystko

pragnie zrobić: włożyć do ust kciuk i ssać go do śmierci. Ponieważ jednak nie wchodziło to w rachubę, zrobił następną najlepszą rzecz. Ułożył wiersz.

Fezzik ma stracha, łacha, łacha,
i humor kwaśny jak wiśnia,
Dymi mu czacha, racha-ciacha,
Bo wszyscy chcą, żeby myślał.

Świetna robota, bez dwóch zdań, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że na swym znieruchomiałym koniu dźwigał dwa niemal trupy, a księżniczka płakała obok, licząc na cud. Hm. Fezzik zdecydował się na inny układ rymów, w nadziei że podsunie mu coś użytecznego.

Mocarny Fezziku, stojący wśród drzew,
Zapomnij o płaczu panny,
Choć drogę zgubiłeś (więc wstydz się, że hej!),
Zapomnij, że umrą dwaj ranni.
Potężny Fezziku, co mięśni masz moc,
A ludzie myślą, żeś głupi,
Dziś musisz już tylko wymyślić wam plan
– plan, który was nie ukatrupi.

Fezziku odważny, przemądry i cny,
Fezziku, ty świata cudzie,
Fezziku, co...

Ostatnie „co” zaginęło w pomroce dziejów.

Bo właśnie w tym momencie poetyckiego natchnienia ostry jak brzytwa metalowy grot strzały księcia Humperdincka przebił ubranie Fezzika, mknąc ku jego wielkiemu sercu.

* * *

Kiedy księżę Humperdinck zorientował się, że skręcili w lewo, zrozumiał, że ich ma. Odwrócił się do Yellina, głównodowodzącego sił porządkowych Florenu, i przyłożył palec do ust. Yellin uniósł dłoń – na ten znak podążająca za nimi pięćdziesiątka członków Oddziału Brutali zwolniła.

Idealne promienie księżycy złociły gałęzie gęstniejących drzew. Humperdinck nie zdołał powstrzymać podziwu na widok tego piękna. Zastanawiał się, czy istnieje na świecie inne miejsce z podobnymi drzewami. Nie, z całą pewnością nie – zaliczały się do największych skarbów wszechświata.

Podczas chwili kontemplacji księcia Yellin polecił gestem brutalom, by podzielili się na grupy szturmowe: tu nożownicy, tam dusiciele, pośrodku siłacze miażdżący w swych objęciach.

Księżę pokonał ostatni lekki zakręt – i tuż przed sobą, w przepięknej oprawie doskonałych drzew, ujrzał żywy obraz śmierci: zapłakaną pannę młodą i dwóch młodych mężczyzn na chwiejącym się koniu, podtrzymywanych ramionami olbrzyma.

– Do diaska – rzekł do siebie – gdybym tylko zabrał ze sobą królewskiego rysownika.

Cóż, uznał, że będzie musiał zachować ten widok w pamięci.

W świecie księcia, świecie nieszczęść i bólu, wciąż pozostawała jedna wielka kontrowersja: kogo zaatakować najpierw? Czy powinni wybrać najbliższego? Czy raczej przywódcę? Niewątpliwie był nim Westley, lecz w tej chwili w najlepszym razie dysponował odrobiną sił. A drugi nieruchomy mężczyzna także musiał władać jakąś mocą, bo przecież zabił Rugena, a to niełatwe zadanie. Zwyczaj nakazywał zostawiać kobiety na koniec. Nie znały się na walce, a także płakały, chlapały, szukały ucieczki w niebiesiech – a z tego zawsze można się później pośmiać przy obozowym ognisku.

Czyli zostawał olbrzym.

Księżę dobył łuku, wybrał najostrzejszy metalowy grot, nałożył strzałę. Był znakomitym strzelcem, ale nocą, w blasku księżyca, wśród cieni, wprost nie miał sobie równych. Od bardzo dawna nigdy nie chybił w ciemności.

Wciągnął powietrze, by utrzymać równowagę.

Ostatni uśmiech do drzew.

A potem naciągnięcie cięciwy, zwolnienie i strzała pomknęła wprost przed siebie. Księżę wstrzymał oddech, póki nie ujrzał, jak rozdziera ubranie olbrzyma, zmierzając wprost ku sercu.

Gigant krzyknął przeciągle w szoku i runął w tył z konia.

Po tym upadku Yellin poprowadził brutali do ataku i rozpoczęła się Bitwa Wśród Drzew, zacięta, choć krótka – pięćdziesięciu brutali z ogłuszającym wrzaskiem rzuciło się na trzech leżących na ziemi mężczyzn i samotną kobietę, która usiłowała podtrzymać w ramionach ich wszystkich.

Gdy napastnicy znaleźli się o włos, Buttercup przyszła do głowy pewna myśl: jeśli ma umrzeć, czy istnieje lepsza śmierć niż ta, gdy będzie tuliła w ramionach ukochanego, prawdziwą miłość, pośród piękna umiłowanych floreńskich drzew, okrywających ją gałęziami? Nawet w dzieciństwie nic nie cieszyło jej bardziej niż cudowne drzewa na granicy farmy i kiedy skończyła codzienne zajęcia, tam właśnie się udawała, by spacerować radośnie wśród nich. Jakiż spokój tam znajdowała. I nadal będą darzyć swym spokojem jej floreńskich współbraci na wieki i...

* * *

Chwila przerwy. Możecie uwierzyć, że ktoś naprawdę napisał ten ostatni akapit? Buttercup ma właśnie umrzeć i myśli o roślinności? Straszne, naprawdę straszne. Nie wstrzymujcie zatem oddechu, czekając na durną Bitwę Wśród Drzew. Kiedy pierwszy raz to przeczytałem, dostałem szału. Zwykle radośnie połykam strony, a Morgenstern to bez wątpienia mistrz akcji, ale w tej chwili załóżę się, że zastanawiacie się: co było dalej?

Mój Boże, Fezzik trafiony strzałą w serce, pozostali dwaj odpływają. Buttercup stara się podtrzymać ich wszystkich, podczas gdy pędzi na nich pięćdziesięciu ZBROJNYCH BRUTALI – więc chyba chcemy wiedzieć, co się wydarzyło?

Oto, czego nie przeczytacie: sześćdziesięciu pięciu stron na temat floreńskich drzew, ich historii i znaczenia. (Jak może zauważyliście, Morgenstern już zaczął – w chwili, gdy księżę Humperdinck zorientował się, że zdybał uciekinierów, pojawia się cały durny akapit na temat drzew.) Nawet floreńscy wydawcy błagali, żeby to wyciął, więc nie obchodzi mnie, jak bardzo wkurzą się eksperci od Morgensterna z Columbii – jeśli cokolwiek zasługiwało na wywalenie, to właśnie to.

A chcecie wiedzieć, czemu wsadził to do książki?

Wiąże się to z Narzeczoną księcia. Czy raczej jej sukcesem we Florencie. Morgenstern nagle

zarobił sporo grosza, więc kupił sobie wiejski dom, stojący na odludziu i sąsiadujący z wielkim rezerwatem leśnym należącym do rządu, tak że stał się w istocie panem wszystkiego, co ogarniał wzrokiem.

Jednakże...

Żle go poinformowano. Okazało się, że teren należy do koncernu drzewnego i niedługo po tym, jak się wprowadził, drwale zaczęli wycinać drzewa. Morgenstern wpadł w furję. (Naprawdę. Cała jego korespondencja z koncernem drzewnym została zachowana w Muzeum Morgensterna, po lewej od placu Floreńskiego.)

Nie zdołał ich powstrzymać i po roku czy dwóch jego dom pozostał samotny, nagi i wyglądający dość głupio, toteż go sprzedał (tracąc przy tym, co o mało go nie zabiło) i wrócił do miasta.

Ale od tego czasu stał się najzacieklejszym w kraju bojownikiem o zachowanie drzew. (Jak się okazało, miał na oku kolejną wiejską rezydencję, równie odosobnioną, ale nie zamierzał jej kupić, póki nie zyska pewności, że będzie bezpieczna przed zamachami drwali.)

Zatem w Dziecku Buttercup starannie zbudował chwile wielkiego napięcia, pewien, że czytelnicy będą musieli przeczytać esej na temat drzew, po to, by dowiedzieć się, kto przeżył, a kto zginął.

Oto zatem pokrótce, czego dowiadujemy się, jeśli chodzi o akcję: a) Fezzik przeżył trafienie metalową strzałą Humperdincka dzięki płaszcowi potępienia Cudownego Cyryla, który ukrył pod tuniką i którego fałdy stepiły grot, ratując mu życie; b) wśród drzew ukrywali się piraci z okrętu Zemsta i kiedy brutalnie mieli już zabić naszą czwórkę, runęli na nich niczym gniew niebios i załatwili wszystkich w ciągu paru minut, a widząc to, Humperdinck i Yellin umknęli natychmiast. Potem c) piraci pod dowództwem Pierre'a – gościa numer jeden i następnego w kolejce do przejścia tytułu Straszliwego Pirata Roberta – zabrali czwórkę i pospieszyli z nimi na Zemstę w nadziei, że kiedy tam dotrą, nikt jeszcze nie umrze.

Koniec przerwy.

* * *

Gdy tylko cała czwórka znalazła się bezpiecznie na pokładzie, Pierre dał znak, aby podnieść kotwicę, i wielki okręt piracki Zemsta pomknął naprzód, przecinając wody Kanału Floreńskiego ku otwartemu morzu. Jedno pstryknięcie wystarczyło, by sprowadzić Zakrzepiacza Krwi, który natychmiast zabrał się do pracy nad Inigiem.

Tymczasem Pierre, główny medyk i pierwszy oficer, skupił całą uwagę na Westleyu, czy też, jak nazywano go na statku, Straszliwym Piracie Robertsie. Fezzik i Buttercup stali tuż obok. Buttercup nie mogła powstrzymać drżenia, wyciągnęła zatem rękę, próbując chwycić dłoń Fezzika, lecz zorientowawszy się w różnicy wielkości, złapała go mocno za kciuk.

Zakrzepiacz zdarł z Iniga koszulę i zbadał krwotok. Na każdym ramieniu dostrzegł lekkie rany, ale nic poważnego. Jego uwagę przyciągnął brzuch.

– Trójboczny floreński sztylet – rzekł do Pierre'a, a po czym odwrócił się do Fezzika. – Kiedy?

– Parę godzin temu – odparł olbrzym – gdy szturmowaliśmy zamek.

– Mogę go zakrzepić – oznajmił Zakrzepiacz – ale to nie na wiele się zda. – Wskazał ręką sześciopalczystą szpadę, którą Inigo wciąż ścisnął w prawej dłoni. – Przez bardzo długi czas po nią nie sięgnie.

To rzekłszy, odbiegł, wrócił po chwili po chwili z mąką i przecierem pomidorowym, zmieszał je fachowo i zaczął wypełniać ranę. Następnie spojrzął na Pierre'a i skinieniem głowy wskazał Westleya.

– Mam popracować też nad nim?

– To nie kwestia krwi. Posłuchaj. – Pierre rąbnął pięścią w pierś Westleya, nasłuchując straszego, głuchego odgłosu. – Wyssano zeń życie.

– To się stało wczoraj – wyjaśnił ostrożnie Fezzik, starając się jeszcze bardziej nie zdenerwować Buttercup. – Jeśli byliście w mieście, pewnie słyszeliście jego przedśmiertny krzyk.

– To był on?! – zawołał Pierre. – Zrobili to mojemu panu? Gdzie?

– Na najniższym poziomie Zoo Śmierci. – Fezzik wskazał ręką Iniga. – Tam go znaleźliśmy.

Pierre jeszcze chwilę przyglądał się Westleyowi. Ramiona mu opadły.

– Z pewnością torturowali go ponad ludzką wytrzymałość. – Pokręcił głową. – Gdybym tylko był tam z wami! Wiedziałbym, co zrobić: natychmiast zabrałbym go do Cudownego Cyryla.

Fezzik zaczął kołysać się na piętach.

– Ale to właśnie zrobiliśmy! Poszliśmy właśnie tam. Po wskrzeszenia.

Oklapłe ciało Pierre'a na nowo wypełniła energia.

– Jeśli Cyryl nad nim pracował, może istnieje nadzieja.

– Istnieje coś więcej niż nadzieja – wtrąciła Buttercup. – Jest jeszcze prawdziwa miłość.

– Księżniczko – rzekł Pierre. – Ty rób swoje, a ja będę robił swoje. – Z namysłem przyjrzał się Fezzikowi, po czym zadał następne pytanie: – Czy Cyryl mówił, w jakim stopniu był martwy?

– „Częściowo”. Ale potem przeszedł w stan „prawie”.

Pierre przytaknął.

– „Prawie” to nie najlepiej, ale mogę z tym coś zrobić. Czy to była nowa pigułka zmartwychwstania, nie stara z zapasów Cyryla?

– Świeżutka. Sam musiałem zebrać błoto potępienia – odrzekł Fezzik.

Pierre zaczynał się podniecać, jego oczy rozbłyły.

– A teraz ostatnie i najważniejsze: czy Waleria zdążyła pokryć ją czekoladą?

– Pozwoliła mi wylizać garnek – odrzekł Fezzik z radością, bo udzielał właściwej odpowiedzi.

– Była przepyszna.

* * *

Niewielkie cięcie. (Wspomniałem już we wstępie, że udali się na Wyspę Jednego Drzewa, żeby dość do siebie, toteż raczej nie obgryzacie nerwowo paznokci, czekając, czy Westley przeżyje.)

Oto, czego tu nie przeczytacie: sześciostronicowej sekwencji, w której Pierre (a przecież wszystkim nam rozpaczliwie zależy, żeby poznać go bliżej, prawda?) stosuje wszystkie cudowne zabiegi nowoczesnej floreńskiej medycyny, żeby pomóc Westleyowi. I oczywiście żaden z nich nie działa, bo na tym etapie swego życia Morgenstern nienawidził lekarzy, ponieważ cierpiał na gazy (przykro mi, jeśli to was brzydzi, ale obiecałem Kingowi, że wszystko dokładnie zbadam, i musiałem dołożyć wielkich starań, nim w końcu odkryłem, że cała dokumentacja medyczna Morgensterna jest przechowywana w muzeum, ale nie każdy może oglądać tak osobiste dokumenty, trzeba mieć poważny powód naukowy, a nawet wtedy nie wolno ich stamtąd zabrać). Przepraszam, zapomniałem, od czego zacząłem to zdanie, ale tak czy inaczej, cierpiał na gazy,

nie mógł się ich pozbyć, więc dał Pierre'owi tę scenę, żeby się zemścić. A tak w ogóle, kiedy nic nie zadziało, Fezzik podniósł Westleya za stopy i zwiesił z burty, przytrzymując tak długo, aż jego płuca wypełniły się morską wodą. To w Turcji słynna kuracja – tyle że nie na śmierć, a na podagrę, na którą cierpiał ojciec Fezzika. Westley kaszlał jak szalony, ale przynajmniej znów zaczął mówić.

* * *

Inigo wciąż był nieprzytomny, ale przynajmniej przestał krwawić, gdy Westley w końcu otworzył oczy. Działo się to w środku nocy. Buttercup leżała obok niego na pokładzie, Fezzik czuwał nad wszystkimi. Pierre podszedł do nich, ukląkł.

– Przynoszę najgorsze wieści – rzekł cicho.

– Nie ma czegoś takiego jak „najgorsze” – odszepnął Westley, przyglądając się twarzy Buttercup. – Jesteśmy razem.

Pierre odetchnął głęboko.

– Musicie zejść ze statku. I to jeszcze dzisiaj.

Nim Buttercup zdążyła zaprotestować z oburzeniem, Westley przyłożył palec do jej ust.

– Oczywiście. Rozumiem. Ściga nas Humperdinck.

– Cała jego Armada. Jakiś czas zdołamy ich wyprzedzić, ale wcześniej czy później, dopóki tu będziecie...

– Nie jesteśmy w tej chwili w najlepszej formie! Nie możemy podróżować! – zaprotestowała Buttercup. – Daj nam kilka dni. Mój mąż to najpotężniejszy człowiek w promieniu tysiąca mil, żadne miejsce na ziemi nie jest przed nim bezpieczne.

– To niemożliwe, choć bardzo bym tego chciał. Załoga wpadłaby w panikę i słusznie, a nie mogę pozwolić, żeby przestali we mnie wierzyć.

Westley przytaknął. Potem umilkł. W końcu wymówił imię Fezzika.

Ten czekał.

– Pamiętasz wspinaczkę po Urwiskach Szaleństwa?

– Nie chcę tam wracać – odparł Fezzik. – Mam lęk wysokości.

– Fezziku – powiedział cierpliwie Westley – ja też nie chcę tam mieszkać. Powiedz mi jedno: kiedy to robiłeś, dzwigałeś trzy osoby. Zastanów się, proszę, i odpowiedz. Czy byłeś zmęczony?

Fezzik odczekał chwilę, by mieć pewność, że się nie pomyli.

– Nie.

– A dlaczego nie? Zależy od tego nasze życie, więc proszę, nie śpiesz się.

Fezzik nie musiał czekać.

– Moje ręce – oznajmił cicho.

Westley jeszcze chwilę patrzył na niego, potem odwrócił się do Pierre'a.

– Będziemy potrzebowali łańcuchów i łódki. – Zawiesił głos. – Tylko szybko, do świtu musisz wysadzić nas w pobliżu Wyspy Jednego Drzewa.

* * *

Zemsta mknąca pod pełnymi żaglami w powiewach sprzyjającego wiatru rozwinęła zdumiewającą prędkość i wkrótce płynęli już przez odległą część Morza Floreńskiego. Przed świtem marynarze spuścili z pokładu łódkę i cała czwórka, przykuta mocnymi łańcuchami do

Fezzika, wsiadła do niej. Ani Westley, ani Inigo nie byli w stanie zbytnio się ruszać. Fezzik chwycił wiosła, Westley skinął głową i olbrzym zaczął wiosłować.

– Modłę się, żeby jeszcze was zobaczyć! – zawołał z mostku Pierre.

– Tak zrób – odparł Westley.

Buttercup przytuliła siedzącego na kolanach ukochanego.

– To takie słodkie z jego strony. Nie sprawiał wrażenia człowieka obdarzonego głęboką wiarą.

– To będzie jego pierwsza modlitwa i trudno znaleźć kogoś, kto potrzebowałby jej bardziej niż my.

– Dlaczego tak mówisz?

– Po prostu obejmijmy się – rzekł Westley. – Dopóki możemy.

– Zabrzmiało to trochę złowrogo, nie sądzisz?

Fezzik słuchał przerażony, ale miał tak wiele pytań, że nie wiedział nawet, od którego zacząć, toteż po prostu wiosłował. Co jakiś czas uśmiechał się do Iniga, który co jakiś czas z trudem odpowiadał uśmiechem.

A potem cała czwórka umilkła. Długi czas trwali bez słowa. Trudno wyobrazić sobie piękniejszą noc. Idealna pogoda. Praktycznie brak fal. Lekki wiatr pieszczący skórę.

– Aaaach.

Fezzik wiosłował dalej w równym, szybkim tempie, jego potężne ręce rozkoszowały się wysiłkiem. Na chwilę przyspieszył i oczywiście łódź pomknęła szybciej. Potem wrócił do zwykłego rytmu i, rzecz jasna, łódka zwolniła. Lubił to, bo zakłócało monotonię: mocniej, szybciej, normalnie, wolniej, mocniej, szybciej, normalnie. Szybciej.

Hmm, pomyślał Fezzik. Ciekawe, dlaczego tak się dzieje?

Znów dołożył sił i tym razem łódka niemal wzleciała nad wodę. A potem Fezzik wyciągnął wiosła...

...a łódź pomknęła jeszcze szybciej.

Znacznie szybciej niż wcześniej. A z dali dobiegł zbliżający się szybko ryk.

– Och, Westleyu – rzekł Fezzik – zrobiłem coś nie tak, przepraszam, nie chciałem aż tak się rozpędzać, po prostu próbowałem przełamać monotonię, szybciej, wolniej i tak dalej, ale nie chciałem, by do tego doszło.

– To nie twoja wina – odparł Westley, starając się utrzymać jak najspokojniejszy ton, by jeszcze bardziej nie przerazić towarzyszy. – Pochwycił nas wir.

Na to słowo Inigo zamrugnął oczami.

– Fezziku... Opłynął go.

– Nie możemy tego zrobić – odrzekł Westley.

– Westleyu, mój bohaterze i zbawco – wtrąciła Buttercup, wypowiadając na głos myśli ich wszystkich – o co w tym chodzi?

– Będę się streszczał. Ściga nas Armada Humperdincka, musimy zniknąć i dojść do siebie. Z tego, co słyszałem, Wyspa Jednego Drzewa jest najlepszym miejscem na ziemi, by to uczynić.

– A co sprawia, że jest tak wyjątkowa? – dopytywała Buttercup głośniej, bo łódka zaczęła się kołysać, a ryk narastał im w uszach.

– Nie mogę podać szczegółów, bo nigdy tam nie byłem – wyjaśnił Westley, na wpół krzycząc i trzymając się mocno burty, by nie spaść do wody. – Nikt jej nigdy nie odwiedził. Spowijają ją mgły, spośród których widać tylko wierzchołek samotnego drzewa. Mgłę rodzi wir. Otacza całą wyspę. On i skały. Nie przepłynie tamtędy żadna łódź: skały ją zmiążdżą albo woda wessie. Teraz rozumiecie, dlaczego jest dla nas idealna? Humperdinck nie zdoła tam dopłynąć i wkrótce

straci zainteresowanie nami.

– Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałam – rzekła Buttercup. – Cała Armada nie zdoła dotrzeć na wyspę, ale my tak?

– Tak uważam.

– Nie chcę przesadnie naciskać, ale wolałbym nie dać się zmiażdżyć ani utopić. Westleyu, co u licha mamy my, czego nie mają oni?

– Mamy Fezzika – odparł z prostotą Westley.

– Zdecydowanie tak! – wykrzyknął Fezzik, uradowany, że odpowiedź zabrzmiała tak prosto. – Jest tutaj, w mojej skórze.

– Ale umiłowany mój, co może Fezzik?

– Oczywiście przepłynąć z nami przez wir.

Przez chwilę nikt nie odpowiedział, bo w tym momencie małeńka łódka zaczęła trzeszczeć pod naporem wody i otoczył ich ryk wiru, co oznaczało, że znaleźli się bardzo blisko. Westley sprawdził łańcuchy Buttercup i Iniga, a także swoje, upewniając się, że są bezpiecznie związane wokół olbrzyma. Chwile łodzi były już policzone; doprowadziła ich blisko, ale teraz ujrzeli przed sobą skały i Westley wykrzyknął z całych sił:

– Uratuj nas, Fezziku, uratuj albo zginiemy!

Jak wiadomo całemu światu, Fezzik cierpiał z powodu ogromnie niskiej samooceny. Toteż w teorii był jak najbardziej za propozycją Westleya. Ratowanie ludzi. Jakież to cudowne! Co może być lepszego na tym świecie niż ratowanie ludziom życia, a zwłaszcza tej trójce? Nic. Toteż w teorii powinien być gotowy zanurkować.

W praktyce jednak siedział na dnie łodzi, dygocząc.

– Fezziku, już! – zawołał Westley.

Fezzik trząsał się jeszcze bardziej.

– Potrzebny mu rym – wyjaśnił Westleyowi Inigo, a potem rzekł do Fezzika: – Fezzik nie jest zerem.

Olbrzym zatrzęsał się jeszcze bardziej.

– Chcesz podpowiedź?! – wrzasnął Inigo, gdy łódź zaczęła pękać.

Znów dygot.

– Jest bohaterem! – podjął Inigo.

Fezzik nie słuchał. Ukrył twarz w dłoniach.

– Czego on może się bać? – zdumiała się Buttercup.

– Fezziku! – zawołał mu do ucha Westley. – Czy boisz się rekinów?

Jeszcze gorsza trzęsionka. I przeczący ruch głową.

Wir zaczął nimi obracać.

– Może gigantycznej ośmiornicy?

Trzęsionka do potęgi. I znów ruch głową.

Wir powoli ciągnął ich w dół.

– Czyżby morskich potworów?

Kolejne dreszcze, kolejne przeczenie.

A Westley świadom, że jeśli tak pójdzie dalej, nie mają szans na przeżycie, wrzasnął resztą sił:

– Powiedz mi!

Fezzik znów ukrył twarz w dłoniach.

I wtedy z ust Westleya wyrwał się jeszcze donośniejszy krzyk:

– Nic nie jest gorsze od morskich potworów! Czego tak bardzo się boisz?

Fezzik uniósł wielką głowę i zdołał na nich spojrzeć.

– Tego, że woda wpłynie mi do nosa – wyszeptał. – Nienawidzę tego.

I znów zasłonił oczy.

Tymczasem łódź rozpadała się. Rozpaczliwie przywarli do szczątków.

– Jestem na to za słaby. Inigo, zrób to – rzucił Westley.

A Inigo:

– Jestem Hiszpanem, nie mam zwyczaju zaciskać nosa innemu mężczyźnie.

A Buttercup, nie po raz ostatni usłyszała własny głos:

– Wy mężczyźni...!

A potem, gdy wir ich pochwycił, uniosła obie dłonie i przycisnęła je do nosa Fezzika.

* * *

Wir od pierwszej chwili wiedział, że ich już ma. Od stuleci nie przegrał bitwy. Konkretnie od czasu, gdy żołnierz wracający z krucjaty zaskoczył go wyjątkowo pewnego spokojnego dnia i niemal zdołał się przesliznąć. Od brzegu wyspy dzieliło go zaledwie kilka kroków, gdy wyczerpany opadł z sił, i tym razem wir nie popełnił błędu: zatrzymał go na dnie dłużej niż kiedykolwiek wcześniej, a potem puścił, pozwalając, by wypłynął ku czekającym rekinom.

Tego dnia rekiny także czekały, zachwycone perspektywą rozszarpania czterech osób. Krążyły tuż za granicą wiru, patrząc, jak ludzie toną. Fezzik nie stawiał oporu, nie robił nic, póki nie upewnił się, że Buttercup mocno ściska jego nos. Wir wsysał ich pod wodę, coraz szybciej i szybciej, a olbrzym pozwolił na to, licząc, że pozostali zdołają wstrzymać oddech dłużej niż kiedykolwiek. Wkrótce poczuł pod sobą morskie dno. Wody nie były tu głębokie, wiry nie lubią głębokiej toni, więc Fezzik skulił olbrzymie ciało i pchnął potężnymi nogami, pchnął mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy tylko pomknął w górę, zaczął młócić rękami, potężnymi, niestrudzonymi rękami, wymachując nimi z większą mocą i gwałtownością niż ktokolwiek inny w pamięci wiru. Ten robił wszystko, co mógł – ryczał głośnie, obracał się gwałtowniej – ale ręce nie ustawały, nic nie mogło ich zatrzymać, a łańcuchy trzymały mocno. Pozostali stracili przytomność, lecz kiedy tylko Fezzik wynurzył się z wody na odległym końcu wiru, pojął, że Inigo miał rację w swojej rymowance, że z całą pewnością nie jest zerem, a na pewno nie tego dnia...

Kiedy dotarli na brzeg Wyspy Jednego Drzewa, nadal zwisali na łańcuchach, i pozostali tak, przypięci, przez kolejne dwa dni, leżąc bez ruchu, niemal martwi z powodu odniesionych ran, męczarni i wyczerpania. W końcu uwolnili się i, wciąż trzymając się blisko, zaczęli zwiedzać nowy dom.

* * *

Jak widzicie, to znów ja i wybaczcie, ale na pewno nie macie ochoty czytać dziesięciu stron opisu roślinności. (Znów dochodzi do głosu fiksjacja Morgensterna na temat drzew. Chodzi mu o to, że Wyspa Jednego Drzewa jest niczym raj i że cały Floren mógłby być taki, gdyby ludzie wszystkiego nie wyrąbywali i nie niszczyli.)

Nasza czwórka powoli odzyskuje siły. Buttercup ich pielęgnuje, Fezzik zajmuje się aprowizacją, gotowaniem i oczyszczaniem ryb, stanowiących podstawę ich diety. (Któregoś dnia Buttercup nie ma zbyt pilnych zajęć, więc robi mu prezent, specjalnie do nosa – klips do bielizny.)

Fezzik dostaje szau z radości, jest taki szczęśliwy, klips pasuje idealnie, olbrzym nigdy się z nim nie rozstaje itd., itp. i uzbrojony w niego staje się postrachem okolicy, pływając wszędzie wokół, walcząc z rekinami i gigantycznymi ośmiornicami – smakują jak kurczak, myślę, że co wrażliwszych z was ucieszy ta informacja – i codziennie dostarczając do kuchni świeży połów.) W każdym razie ta część kończy się w chwili, gdy księżyc wisi wysoko na niebie, noc jest pogodna i piękna, bardzo romantyczna i tak dalej. Inigo i Fezzik drzemią w swoich namiotach, Buttercup i Westley siedzą samotnie przy migoczącym ognisku.

* * *

– Wiesz, że tylko się całowaliśmy? – Buttercup wbijała wzrok w dogasający żar.

– Oczywiście – odparł Westley.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, na którą liczyła, spróbowała ponownie.

– Przeżyliśmy całkiem sporo przygód, nikt nie zaprzeczy, a prawdziwa miłość... skoro ją odnaleźliśmy, musimy być najbardziej błogosławionymi z ludzi.

– Bez cienia wątpliwości – zgodził się Westley.

– Ale – ciągnęła Buttercup, starając się przemawiać lekko – jak dotąd pozostaje jeden niezaprzeczalny fakt: tylko się całowaliśmy.

– A jest coś więcej? – spytał Westley i musnął wargami jej policzek, po czym westchnął. – Z pewnością nie ma niczego ponad to.

Nie zachował się tu zbyt uczciwie, ponieważ przez kilka długich lat pozostawał Królem Mórz i, no cóż, doszło do tego i owego.

– Niemądry chłopcze – rzekła z uśmiechem. – Mam dość wiedzy za nas oboje. To oczywiste, biorąc pod uwagę wszystkie zajęcia na temat sztuki miłosnej w Szkole Królewskiej. – Owszem, uczestniczyła w zajęciach, ale ponieważ Humperdinck polecił profesorom, by nie uczyli jej zupełnie niczego, Buttercup, choć uśmiechała się, w istocie czuła przerażenie.

– Nie mogę się już doczekać rozpoczęcia nauki.

Spojrzała w jego idealną twarz, pomyślała, że nade wszystko w świecie pragnie, by potoczyło się zgodnie z tym, co czuje w sercu. Ale co, jeśli go zawiedzie? Co, jeśli okaże się kolejnym przypadkiem, który dużo gada, ale mało umie i w końcu Westley znuży się nią i ją zostawi?

– Wiem tak wiele, iż trudno mi orzec, od czego najlepiej zacząć. Jeśli będę posuwać się zbyt szybko, podnieś rękę.

Czekał, a kiedy ujrzał bezradność w jej oczach, pojął, że nigdy jeszcze nie kochał jej tak mocno i tak głęboko.

– A nie będziesz się ze mnie śmiała?

– Nigdy nie zawstydziałabym początkującego, takiego jak ty. Szydzenie z twojej niewiedzy byłoby okrucieństwem. Ja oczywiście doskonale znam się na rzeczy.

– Zaczniemy na stojąco czy na leżąco?

– To bardzo dobre pytanie – rzekła szybko Buttercup, bo po prawdzie nie miała pojęcia. – Zdania są co do tego podzielone.

– Może zatem lepiej będzie uwzględnić obie możliwości. Przyniosę koc, na wypadek gdyby pozycja leżąca wygrała.

Koc, który rozłożył dla nich na ziemi, był miękki, poduszki – jeszcze bardziej.

– Gdybyśmy mieli się położyć – rzekł Westley, kładąc się – czy zaczniemy blisko siebie, czy też po przeciwnych stronach koca?

– Kolejny poważny spór – odparła. – Widzisz, jedną z wad posiadania tak bogatej wiedzy jest to, że dostrzegamy w takiej dyskusji mocne argumenty u obu stron.

– Okazujesz mi wielką cierpliwość i doceniam to. – Wyciągnął do niej rękę. – Moglibyśmy zrobić tak: spróbować położyć się obok siebie na kocu i trochę poeksperymentować.

Buttercup ujęła jego silną dłoń.

– Wszyscy moi profesorowie popierali eksperymenty.

Teraz leżeli bardzo blisko siebie. Widząc to, wietrzyk, świadom, jak wiele musieli przejść, by dotrzeć do tej chwili, uznał, że miło byłoby popieścić ich oboje. Na ten widok gwiazdy pomyślały, że uprzejmie będzie, jeśli nieco przygaszą swój blask. Księżyc zgodził się z nimi i do połowy ukrył się za chmurką. Buttercup nadal trzymała Westleya za rękę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie byłoby najlepiej przerwać teraz, wyznaczyć sobie prawdę i spróbować ponownie innego wieczoru. Właśnie miała to zaproponować, ale wtedy spojrzała mu głęboko w oczy. Miały barwę morza przed burzą i to, co w nich odczytała, dało jej siłę, by posunąć się dalej...

* * *

Chcicie usłyszeć coś zdumiewającego? Willy’emu spodobała się ta scena. Pamiętam, że kiedy ojciec czytał mi Narzeczoną księcia, nie znosiłem tych wszystkich pocałunków. Jeszcze przed rozpoczęciem lektury uprzedziłem młodego, że może tu być nieco mniej brawurowych scen, i możliwe, że to pomogło. W każdym razie miał tylko jedno pytanie: do jakiegoż to „tego i wego” doszło, kiedy Westley był Królem Mórz? Odparłem, że gdyby Morgenstern chciał, żebyśmy wiedzieli, toby nam powiedział.

Kupił to. Uff.

Tak czy inaczej, zapewne nie zdziwi was wiadomość, że obowiązkowe dziewięć miesięcy minęło bardzo szybko i...

* * *

– Myślę, że zachód słońca to cudowna pora – oznajmiła Buttercup. – Na pewno spodobałoby mi się, gdyby w tym momencie otworzył oczy na świat. Tak, zdecydowanie, o zachodzie słońca.

Mówiła te słowa przy śniadaniu do pozostałych i wszyscy się zgodzili. W istocie, ponieważ żadne z nich nie miało ani cienia doświadczenia z porodami, trudno, żeby protestowali. I nikt nie mógł też zaprzeczyć, że Buttercup świetnie dawała sobie radę. W ciągu dziewięciu miesięcy od dnia, gdy po raz pierwszy kochali się z Westleyem, rozkwitła, znosząc całą sytuację z błogą radością, zaskakującą u tak młodej dziewczyny. To prawda, pierwsze miesiące przyniosły ze sobą poranne mdłości i owszem, nie było to najprzyjemniejsze, ale żeby je przegnać, wystarczyło, aby spojrzała na Westleya, powtarzając sobie w duchu, że sprowadzi na ten świat drugiego takiego jak on. I puff, mdłości pierzchały szybko.

Wiedziała, że ich pierwsze dziecko będzie chłopcem, w pierwszym miesiącu śniła o tym. Sen powrócił jeszcze dwukrotnie, potem już nie wątpiła i przez całą ciążę zachowywała się, jakby była w najzupełniej normalnym stanie. Owszem, utyla, ale zupełnie nie przeszkadzało jej to w codziennym życiu, na które w jej przypadku składało się pomaganie Fezzikowi w gotowaniu, Inigowi – w leczeniu złamanego serca, spacer i rozmowy z Westleyem, dyskusje o przyszłości, o tym, gdzie osiadą i co zrobią z resztą życia, biorąc pod uwagę, że najpotężniejszy człowiek na

ziemi wciąż chce ich zabić.

Po posiłku była gotowa. Westley przygotował jej specjalne łóżko porodowe, najmiększą słomę i jeszcze miększe poduszki. Zwrócone było na zachód, a obok rozpałił ognisko, na którym nastawiał kociołki z najczystsza, gotującą się wodą. Godzinę przed zachodem słońca, gdy skurcze następowały już co pięć minut, zaniósł Buttercup na łóżko i położył delikatnie, a potem usiadł obok, masując ją. Była taka szczęśliwa i on także, i kiedy słońce zaczęło zachodzić, skurcze dzieliły od siebie zaledwie dwie minuty.

Buttercup spojrzała w czerwoną tarczę, uśmiechnęła się, ujęła dłoń Westleya.

– Tego właśnie zawsze pragnęłam najbardziej na świecie – wyszeptała. – Sprowadzić nań twojego syna, gdy będziesz siedział przy mnie.

Oboje byli tacy szczęśliwi.

– Nasze serca biją jak jedno – rzekł Westley, a ona ucałowała go czule.

– I zawsze będą – szepnęła.

W tym czasie Inigo fechtował z cieniami – to świetne ćwiczenie, jeśli nie ma się dobrego przeciwnika. Oczywiście Westley był znakomity i spędzili wiele godzin, okładając się nawzajem bronią, teraz jednak, gdy słońce zaszło, Inigo był gotów skończyć trening i powitać dziecko.

Fezzik zwykle przyglądał się im, albo samemu Inigowi – ale nie tego wieczoru. Dziś ukrywał się po przeciwnej stronie Jednego Drzewa, najwyższego na wyspie, przyciskał ręce do brzucha i próbował nie jęczeć, by nie zawracać nikomu głowy, ale prawda jest taka, że jak na najsilniejszego człowieka na ziemi, człowieka, który zarabia na życie, zadając innym ból, Fezzik był dość wrażliwy i wiele rzeczy go brzydziło. Sam widok krwi mógł znieść, jak każdy wojownik, jeśli tylko była krwią przeciwnika. Ale spytał Westleya i Iniga, jak to będzie wyglądało, kiedy urodzi się syn Buttercup, a choć żaden z nich nie zaliczał się do ekspertów, obaj twierdzili, że może pojawić się krew i inne rzeczy.

Gdy do jego uszu dotarły słowa „inne rzeczy”, Fezzik przeturlał się po ziemi. Istniał turecki wyraz opisujący coś takiego – *byuk*. Fezzik, trzymając się za brzuch, raz po raz powtarzał w myślach *byuk*. Patrząc w gwiazdy na niebie, wiedział, że chłopiec wkrótce się urodzi.

Lecz o północy zrozumieli, że coś jest nie tak.

Kiedy na niebie pozostała ostatnia słoneczna luna, skurcze następowały co minutę – i na tym poziomie pozostały. O dziesiątej wszystko wciąż wyglądało jak przedtem i Buttercup starała się znieść to spokojnie, tak jak przez poprzednie godziny...

Jednak o północy pojawiły się ostre bóle pleców. Mogła je znieść – Westley siedział obok. Co znaczą bóle? Przygotowała się na ich długie odwiedziny...

Dopóki ból nie spłynął z pleców do bioder, dopóki nie znalazł jednej nogi, potem drugiej, nie rozpałił żywym ogniem...

A ogień w nogach stanowił dopiero początek męczarni.

Twarz dziewczyny straciła kolor, ale nadal pozostała Buttercup, rozświetloną blaskiem płomieni. W tym momencie wciąż stanowiła niezwykły widok.

Dopiero o świcie przekonali się, co uczynił z nią ból.

Westley cały czas trwał przy niej, masował plecy, nogi, ocierał ręcznikiem zlaną potem twarz. Był cudowny.

W południe wiedzieli już, że coś jest bardzo nie tak.

Zjawił się Fezzik, tupiąc głośno, spojrział raz jeden, uciekł biegiem i ukrył się tam gdzie przedtem, bezradny. Inigo chwycił sześciopalczystą szpadę i walczył z wiatrem, póki nie zorientowali się, że słońce znów zachodzi i że zaczyna się drugi dzień porodu.

– Nie chcę, żebyś się martwił – wyszeptła do ukochanego Buttercup.
– Dotąd nie dzieje się nic niezwykłego – odparł Westley. – Z tego, co słyszałem, trzydzieści godzin idealnie mieści się w normie.
– To dobrze. Cieszę się, że to mówisz.
Nadszedł kolejny świt i wyraźnie zaczynała słabnąć.
– Co jeszcze słyszałeś? – zdołała wykrztusić.
– Wszyscy zgadzają się co do jednego: im dłuższy poród, tym zdrowsze dziecko.
– Jacyż z nas zatem szczęściarze, że będziemy mieć zdrowego syna.
Wieczorem drugiego dnia chodziło już tylko o przeżycie.
Fezzik szlochał za drzewem, a Westley naradzał się z Inigiem. Mówili spokojnie, lecz czuli wokół siebie dławiącą grozę.
– Nie znam się na takich rzeczach – przyznał Inigo.
– Ja też nie.
– Słyszałem o cięciu, które może ocalić życie. W jakiś sposób rozcinasz kobietę...
– Miałbym zabić ukochaną? Zamordowałbym każdego, kto by spróbował.
W tym momencie Buttercup krzyknęła. Westley podbiegł do niej i padł na kolana.
– ...Przepraszam, że... zwracam ci głowę...
– Skąd ten krzyk?
Buttercup sięgnęła po jego dłoń i uściśnęła mocno.
– Plecy mnie pałą.
Westley uśmiechnął się.
– Jacyż z nas szczęściarze. Kiedy coś takiego dzieje się z kręgosłupem, to jasny znak, że nasz syn wkrótce się narodzi.
– Kręgosłup to nic, zwłaszcza kiedy się przywyknie. Poznałam prawdziwy ból, gdy usłyszałam, że Roberts cię zabił. Trudno go było znieść. Wtedy cierpiałam, ale to... – Starła się pstryknąć palcami, ale ciało nie słuchało. – To nic.
– Właśnie zastanawialiśmy się z Inigiem, dokąd się udamy, gdy zostaniemy rodziną. Pamiętasz, jak wyjechałem z farmy twego ojca? Myślałem wtedy o Ameryce. Wydaje mi się to niezłym pomysłem. A tobie?
– Ameryka? – wyszeptła.
– Tak, gdzieś za oceanem. I czy wiesz, kiedy po raz pierwszy cię pokochałem?
– ...Powiedz...
– No cóż, byliśmy oboje młodzi, właśnie okropnie mnie zwyzywałaś, nazwałaś durkiem i głupcem, jak miałaś w zwyczaju w tamtych czasach: „Parobku, czemu nie potrafisz zrobić niczego, jak należy? Parobku, jesteś beznadziejny, beznadziejny i głupi i nigdy nic z ciebie nie będzie”.
Buttercup zdołała się uśmiechnąć.
– Byłam okropna.
– W dobre dni byłaś okropna, ale bywałaś też znacznie gorsza, a kiedy zjawiali się chłopcy, robiło się najgorzej. Pewnego wieczoru, gdy odeszli, a ja szcztokowałem w stajni Konia, przysłaś, nucąc pod nosem coś niemądrego, i oznajmiłaś: „Mogę mieć każdego chłopaka w wiosce, tralala!”, a ja wróciłem do mojej szopy i rzekłem do siebie: „Dość tego, jeśli o mnie chodzi, możesz sobie zatrzymać tych idiotów, zmykam stąd.”, spakowałem swój dobytek i ruszyłem w drogę. A potem obejrzałem się na twoje okno i pomyślałem: „Pożalujesz, że tak mnie poniżałaś, bo pewnego dnia wrócę tu ze wszystkimi bogactwami Azji, żegnaj na zawsze”.

– Naprawdę mnie zostawiłeś...?

– Przynajmniej w teorii. Rzeczywistość wyglądała tak: odwróciłem się, postąpiłem krok w stronę bramy i pomyślałem „Jaką wartość mają wszystkie bogactwa Azji bez jej uśmiechu?”. A potem postąpiłem kolejny krok: „A co, jeśli ten uśmiech nadejdzie, a ciebie nie będzie tu, żebyś go zobaczył?”. Stojąc pod twoim oknem, zrozumiałem, że muszę być na miejscu, na wypadek gdyby pojawił się ów uśmiech. Bo byłem bezradny wobec ciebie, odurzony twoją wspaniałością, w ekstazie, gdy znalazłem się blisko, choć ty wyłącznie obrzucałaś mnie wyzwiskami. I pojąłem, że nie zdołam odejść.

Uśmiechnęła się do niego najśłodziej, jak umiała.

Westley wezwał gestem Inigo.

– Najgorsze mamy chyba za sobą – wyszeptał.

– Widzę – odszepnął Inigo.

Ale obaj wiedzieli, że czepiają się nadziei, i Westley tulił ją lekko, czując, jak oddycha coraz słabiej. Inigo poklepał go po ramieniu jak jeden towarzysz drugiego i skinął głową na znak, że wszystko będzie dobrze, a Westley odpowiedział tym samym. Lecz w głębi serca Inigo wiedział, iż wkrótce nadejdzie koniec.

A Fezzik, samotny za drzewem, sapnął w głos, bo nagle pojął, że nie jest już sam. Z początku próbował z tym walczyć, bo coś wtargnęło w jego ciało, wniknęło w umysł, a Bóg jeden wie, że jego mózgowi przydałaby się pomoc. Ale Fezzik walczył, bo kiedy ktoś przejmuje nad tobą kontrolę, nigdy nie wiesz kto to: ktoś życzliwy czy taki, co chce zaszkodzić, ktoś dobry czy, co o wiele straszniejsze, ktoś, kto pragnie zadawać cierpienie. Matkę Fezzika opanowało coś w dniu, gdy poznała jego ojca, była bowiem zbyt nieśmiała, by podejść do niego i flirtować, jak wypadało Turczynkom w tamtych czasach. Stała zatem z boku, podczas gdy reszta dziewcząt ze wsi tłoczyła się wokół niego. Pragnęła ojca Fezzika, chciała spędzić z nim resztę życia, wiedziała to, ale była bezradna, toteż odeszła, szurając nogami, oddając pole odważniejszym dziewczętom – wtedy jednak coś ją opanowało i nagle ośmieliła się, a tymczasowa lokatorka dała jej dość pewności siebie, by mogła czynić cuda. Wróciła zatem i dołączyła do pozostałych flirtiar, pokonując je wszystkie, posyłając kuszące uśmiechy, cudownie poruszając ciałem. Tak przynajmniej wyglądało to owego dnia. Ojciec Fezzika zachwycił się nią, a choć wieczorem tajemnicza moc zniknęła, pobrali się i jego matka była taka szczęśliwa, a ojciec zastanawiał się tylko z upływem lat, co stało się z ową cudowną, śmiałą istotą, która podbiła jego serce...

W miarę, jak intruz sadowił się w nim wygodnie, Fezzik tracił kontrolę. Jego ostatnia myśl była w istocie modlitwą: proszę, kimkolwiek jesteś, jeśli skrzywdzisz dziecko, najpierw zabij mnie.

A przy ognisku Westley tulił Buttercup jeszcze mocniej, powtarzając optymistyczne słowa, a Inigo odpowiadał tym samym tonem.

Aż do okropnej pięćdziesiątej godziny porodu, gdy nie mógł już dłużej kłamać i wypowiedział straszliwe zdanie.

– Straciliśmy ją.

Westley popatrzył na nieruchomą twarz i zrozumiał, że to prawda, że nie uczynił nic, aby ją ocalić. Nigdy w życiu, poza chwilami, kiedy tkwił w Maszynie, nie dopuszczał do siebie łąz. Nawet wtedy, kiedy na jego oczach torturowano ukochanych rodziców. Nigdy, ani razu w życiu.

Teraz polały się rzęsiście. Padł na nią, a Inigo mógł tylko patrzeć bezradnie. Westley zastanawiał się, co będzie robić, zanim zabierze go śmierć, bo wiedział, że samotne trwanie nie jest możliwe. Pokonali Ogniste Bagna i przeżyli. W tym momencie pomyślał, że gdyby wiedział,

jak to się skończy, pozwoliły im tam zginąć – przynajmniej wówczas odeszliby razem.

I wtedy zza ich pleców dobiegł dźwięk, dziwniejszy niż jakikolwiek wcześniej, bezcielesny dźwięk. Brzmiało to jak głos mówiącego trupa i aż zagrzmiało im w uszach.

– **Mamy ciało.**

Inigo odwrócił się gwałtownie, po czym krzyknął w noc. A Westley w rozpaczy, zaskoczony jego reakcją, także się odwrócił i także krzyknął w noc.

Coś zbliżało się ku nim z ciemności.

Obaj zmrużyli oczy, by się upewnić. Nie oszukały ich.

Z mroku maszerował ku nim Fezzik.

A przynajmniej coś, co wyglądało jak Fezzik. Jego oczy jednak lśniły, stąpał szybko, a głos – nigdy nie słyszeli podobnego – był taki niski, grzmiący, spokojny. No i ten akcent! Nie zetknęli się z takim, póki w końcu nie dotarli do Ameryki. (Czy też, ściślej rzecz biorąc, ci, którzy przeżyli.)

– Fezziku – rzucił Inigo – to nie najlepszy moment.

– **Mamy ciało** – powtórzył Fezzik. – **Mamy w środku zdrowe, żwawe dziecko. Za długo już czekała.**

Teraz olbrzym ukląkł obok nieruchomej kobiety. Gestem polecił Westleyowi odsunąć się, przyłożył ucho do jej piersi i głośno klasnął w dłoń.

– **Ty.** – Wskazał Iniga. – **Przynies mi mydło i wodę, żebym mógł zdezynfekować dłoń.**

– Gdzie on słyszał to słowo? – zdumiał się Westley.

– Nie wiem, ale lepiej zrobię to. – Inigo podbiegł do ogniska.

Fezzik wskazał ręką wielką szpadę.

– **Wysterylizuj ją w ogniu.**

– Po co? – Inigo przyniósł Fezzikowi mydło i ręcznik.

– **Żebym mógł wykonać cięcie.**

– Nie! – zaprotestował Westley. – Nie pozwolę mu dać ci szpady.

I wtedy głos nabrał mocy, straszniejszej niż kiedykolwiek wcześniej.

– **Dziecko to późniak – tak nazywamy te, które zbyt długo pozostają w łonie. Ale, co gorsza, mała jest także odwrócona i pępowina zaciska jej się wokół szyi. Jeśli chcesz samotnie przeżyć resztę życia, zachowaj szpadę. Jeżeli natomiast pragniesz dziecka i żony, rób, co ci każe.**

– Niech będzie po twojemu.

Westley skinął głową na Iniga, by oddał olbrzymowi wielką szpadę.

Fezzik pomaszerował z nią do ognia, rozżarzył czubek do czerwoności, wrócił do Buttercup i ukląkł.

– **Pępowina zaciska się bardzo mocno. Nie pozostało już zbyt wiele tchu, mamy bardzo mało czasu.**

Na moment zamknął oczy, oddychał głęboko, potem zaczął działać.

A jego wielkie ręce poruszały się tak delikatnie, olbrzymie palce tak zręcznie i na oczach Westleya i Iniga dłonie Fezzika robiły dokładnie to, co im kazał. Szpada dotknęła skóry Buttercup, a potem zaczęła ciąć – długo, precyzyjnie. Pojawiła się krew, lecz oczy Fezzika rozbłysły jeszcze mocniej, palce tańczyły. Sięgnął do środka i delikatnie wyjął małą dziewczynkę, bo Buttercup się myliła, to była dziewczynka. I w końcu, różowobiała niczym cukierek...

...pojawiła się Waverly.

4. Fezzik spada



Z POCZĄTKU BYŁA ZNACZNIE NIŻEJ, obracała się i wirowała z rozpędu i wiatru. Fezzik jeszcze nigdy nie oglądał świata w ten sposób, z takiej wysokości, pięciu tysięcy metrów pustki pomiędzy nim a nicością, pomiędzy nim a skałami w dole.

Zawołał za nią, ale oczywiście nie usłyszała. Patrzył na nią, lecz oczywiście nie doganiał jej. Istnieją prawa naukowe wyjaśniające, że ciała spadają z tą samą szybkością niezależnie od rozmiarów. Ale twórcy owych praw nigdy nie próbowali wyjaśnić tego Fezzikowi, bo jego stopy, choć kompletnie nie radziły sobie z odnajdywaniem punktów oparcia podczas wspinaczki, nie miały sobie równych w wymachiwaniu i kopaniu w powietrzu. Wygiął dłonie, zamieniając je w idealne łopaty, i wziął się do roboty, młóćąc rękami i trzepocząc stopami tak szybko, że gdyby ktoś próbował się im przyjrzeć, nie mógłby. A on natężył się jeszcze bardziej...

I dzieląca ich odległość zaczęła maleć. Od trzydziestu metrów do połowy tego, potem znów połowy mniej, a kiedy znalazł się już tak blisko, Fezzik krzyknął, jak zawsze, tylko jedno słowo:

– Maaaaa!

Usłyszała i spojrzała w górę, i gdy zobaczył, że go widzi, zrobił jej ulubioną, niemądrą minę – tę, kiedy czubkiem języka dotykał nosa – a ona dostrzegła ją, rzecz jasna, a potem roześmiała się w głos z radości.

Bo teraz wiedziała, że to tylko kolejna wspaniała zabawa, a one zawsze kończyły się szczęśliwie.

* * *

Od początku wszystko wyglądało inaczej. Czasami, gdy Waverly była małeńka i drzemała, a Fezzik pomagał Buttercup, mówił nagle:

– Musi na nocniczek.

A Buttercup odpowiadała.

– Wcale nie, niczego nie... – I urywała, nim dotarła do „potrzebuje”, bo w tym momencie Waverly budziła się zupełnie mokra i w owych chwilach Buttercup patrzyła na Fezzika z nieskrywanym zdumieniem.

Albo czasem bawiły się radośnie, a Fezzik patrzył, zawsze tam był i patrzył, i Buttercup pytała:

– Fezziku, dlaczego jesteś taki smutny?

A on na to.

– Nie cierpię, kiedy choruje.

I tej nocy pojawiała się gorączka.

Wiedział, kiedy była głodna czy zmęczona. Wiedział, dlaczego się uśmiecha i kiedy wkrótce zacznie marudzić.

A to w opinii Buttercup czyniło z niego idealną niańkę. Bo czy może być lepsza niańka niż ta, która wie dokładnie, co się wydarzy? Toteż Fezzik nieustannie pilnował małej, a kiedy drzemała,

siedział między Waverly i słońcem i to dlatego, gdy zaczęła mówić, nazwała go „Cieniem” – bo tym właśnie był dla niej od początku: jej własnym cieniem.

Później, kiedy nauczyła się różnych zabaw, wystarczyło jej mrugnąć w jego stronę, by wiedział nie tylko, że chce się bawić, lecz także w co. Westley zgadzał się z Buttercup, że choć owszem, to dość nietypowy związek opiekuna z dzieckiem, stanowi on prawdziwe błogosławieństwo, bo daje matce czas, by mogła dojść do siebie i odzyskać siły. A co lepsze, mieli też czas dla siebie. Zatem Fezzik i Waverly uczyli się od siebie nawzajem i uwielbiali swoje towarzystwo. Oczywiście od czasu do czasu się sprzeczali, ale coś takiego, jak wyjaśniła mu kiedyś Buttercup, stanowi nieodłączną część macierzyństwa.

– Czy Waverly może pójść pobawić się ze mną w wirze? – pytał nieustannie Fezzik.

Buttercup wahała się.

– Bardzo ją to męczy, Fezziku.

– Proszę, proszę, proszę.

Oczywiście Buttercup ustępowała i odchodzili razem, najpierw zatrzymując się, żeby zabrać klips, a potem do wody. Waverly siedziała bezpiecznie na jego głowie, a on ścisnął dłońmi jej stopy i *huuuus!* Widok był naprawdę cudowny, wręcz magiczny, i Inigo oraz jej rodzice często przyglądali się tej dwójce. Bo Fezzik, kiedy pokonał już wir, zaprzyjaźnił się z nim. Rozpędzał się, a potem wpływał w sam środek i pozwalał się ponieść. Waverly krzyczała, a on utrzymywał równowagę, gdy razem mknęli w wodzie. To była ich ulubiona zabawa i zawsze kończyła się szczęśliwie...

* * *

Fezzik był już dość blisko, by sięgnąć ręką, więc uczynił to, chwycił małą w ramiona, i znów się wykrzywił, przeganiając jej lęki.

– Cień! – zawołała radośnie.

Jeszcze tysiąc metrów.

Przytulił ją mocno.

Sześćset pięćdziesiąt.

I kiedy skały mknęły ku niemu, Fezzik wiedział, że w żaden sposób nie zdoła się uratować. Jeśli jednak przycisnie ją do siebie, jeśli rozłoży się płasko w powietrzu i przytrzyma ją z całych sił, pozwalając, by potężne plecy jako pierwsze przyjęły na siebie uderzenie, istniała spora szansa, że owszem, mocno potrząśnie małą, bardzo mocno...

...ale być może jej nie zabije.

Rozpłaszczył zatem ciało, chłostane powiewami wiatru, z całych potężnych sił przytulił ją do siebie.

– Mała – wyszeptał w końcu. – Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała cienia, pomyśl o mnie.

Jeszcze jedna niemądra mina.

Jeden cudowny śmiech w odpowiedzi.

I wtedy Fezzik zamknął oczy, myśląc tylko: dzięki Bogu, że jestem olbrzymem.

* * *

Kiedy skończyłem, Willy milczał. Zabrał swoją piłkę baseballową i swoje frisbee, nacisnął przycisk windy. Zbliżała się pora obiadu, więc musiałem odprowadzić go do domu. Odezwał się

dopiero na ulicy.

– Nie ma mowy, Fezzik nie zginie.

Pokiwałem głową. Szliśmy naprzód w milczeniu i... pamiętacie, jak Fezzik wiedział, co dzieje się z Waverly? Ja potrafię to samo z Willym, przynajmniej kiedy mam dobry dzień, czułem więc, że zbliża się wielkie pytanie.

– Dziadku? – zagadnął w końcu.

Chcecie wiedzieć, jak bardzo to uwielbiam? Pamiętacie, ile pieniędzy zamierzał zdobyć Westley, gdy postanowił opuścić Buttercup po tym, jak znęcała się nad nim o jeden raz za dużo, gadając o chłopakach z wioski? Oto jak bardzo.

– Mów do mikrofonu – poleciłem, podsuwając mu zaciśniętą dłoń.

– No wiesz, to coś, co wtargnęło w Fezzika? Czegoś tu nie rozumiem: skąd wiedziało, że ma to zrobić akurat wtedy? No bo gdyby zjawilo się dzień wcześniej, musiałyby czekać wewnątrz niego przez całą dobę i czułoby się strasznie głupio.

Odparłem, iż wątpię, by ktokolwiek wcześniej na całej planecie Ziemi zadał to pytanie.

Jason i Peggy czekali na nas przy drzwiach.

– Było fajne, tato – oznajmił Willy. – Mnóstwo zabaw z czasem.

– Naprawdę potrzebujemy w rodzinie następnego powieściopisarza – odparł Jason, a ja roześmiałem się, uściskałem ich i ruszyłem do domu.

Był piękny wiosenny wieczór, toteż odpowiedziałem na zew parku i jakiś czas spacerowałem w milczeniu, pogrążony w myślach.

Po pierwsze, muszę przyznać jedno: Morgenstern nie stracił wiele ze swych zdolności. To oczywiście zupełnie inna książka niż Narzeczona księcia, ale też napisał ją znacznie starszy człowiek.

A ponieważ być może na tym skończy się mój udział w jej powstaniu, jeszcze kilka uwag na zakończenie.

Podobnie jak Willy nie wierzę, że Fezzik umrze. Stawiam na to, że Morgenstern go uratuje. Ocalił go przecież przed strzałą Humperdincka płaszczem potępienia, więc z pewnością i tu coś wymyśli.

Niezrozumiały fragment o Inigu. Co to było? Czy nie mógł przynajmniej udzielić nam kilku wskazówek co do powodu jego zamieszczenia? Czy później nabierze on więcej sensu?

Kim był szalenciec na górze? Czy urodził się bez skóry? W jaki sposób dopadł Waverly? Czy był porywaczem, czy też członkiem bandy? A jeśli członkiem, to kto dowodził bandą? I kto wtargnął w ciało i umysł Fezzika?

W tym momencie minęła mnie piękna młoda para. Dziewczyna była w zaawansowanej ciąży, życzyłem jej, żeby urodziła własną Waverly. I wtedy coś pojąłem. To mianowicie:

Pokonałismy długą drogę, wy i ja, od czasu gdy Buttercup zaliczała się zaledwie do grona dwudziestu najpiękniejszych kobiet świata (a i to wyłącznie dzięki potencjałowi), dosiadała Konia i wyśmiewała się z parobka, a Inigo i Fezzik zostali wynajęci, by ją zabić. Pisaliście do mnie listy, podtrzymywaliście ze mną kontakt i nie macie pojęcia, jak bardzo jestem wam wdzięczny. Kiedyś, wiele lat temu, siedziałem na plaży w Malibu i zobaczyłem chłopaka obejmującego dziewczynę. Oboje mieli na sobie koszulki z napisem WESTLEY NIE UMIERA.

Zachwyliło mnie to. I wiecie co? Lubię tę czwórkę. Buttercup i Westleya, Fezzika i Iniga. Wszyscy cierpieli, znosili trudy i znoje, nikt z nich nie urodził się w czepku. I wyczuwam złowrogie moce, zmawiające się przeciw nim. Wiem, że czekają ich jeszcze gorsze nieszczęścia. Czy wszyscy przeżyją? Niezrównane studium wielkiej odwagi w obliczu śmierci serca – głosi

podtytuł. Czyjej śmierci? I co ważniejsze, czyjego serca? Morgenstern wciąż odsuwał od nich szczęśliwe zakończenie.

Mam szczerą nadzieję, że tym razem pozwoli im się nim cieszyć.

*Floren/Nowy Jork
16 kwietnia, 1998*